MARYAWITA

ARTUR GRUSZECKI

MARYAWITA

POWIEŚĆ

KRAKÓW
NAKŁADEM AUTORA
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SP.
1912

I.

W pokoju dusznym od gorąca, przesyconym dymem tytuniowym, siedział na głębokim, wygodnym fotelu w pobliżu pieca proboszcz Marski, robiąc z uwagą i starannością papierosy. Od czasu do czasu surowa twarz jego stawała się chmurniejszą i odkładając szybko maszynkę, tarł ręką prawą nogę w kolanie, sycząc przez zaciśnięte wargi:

— A bodaj cię licho wzięło!... A to szelma boli!

Szare jego oczy z pod krzaczastych brwi błądziły niespokojnie po pokoju, zatrzymywały się na jedynym obrazie Matki Boskiej Częstochowskiej w szerokich, złoconych ramach; patrzały na wiszący, stary zegar kwadratowy, powtarzający z niezmąconą jednostajnością tik—tak; ślizgały się po stole nakrytym dywanową serwetą, na którym leżał brewiarz oprawny, ze złoconymi brzegami i wracały do stoliczka przy fotelu, do pudełka z tytoniem i tutkami.

— I za co ja tak cierpię? — rozmyślał z goryczą, nie poczuwał się bowiem do żadnej winy ani wobec Boga, ani ludzi.

Pełen buntu i gniewu zastanawiał się nad niesprawiedliwością losu, który zesłał na niego reumatyzm.

I trzeba nieszczęścia, że właśnie dziś są imieniny Horodelskiego, dobrodzieja kościoła i plebanii; ale jak tu jechać w taką szarugę, przy takim wietrze? Spojrzał z wyrazem obrzydzenia przez okna. Nagie gałęzie drzew przechylały się nizko, smagane wiatrem i śniegiem zmieszanym z deszczem. Po szybach okien spływały cieniutkie strugi wody, a krople deszczu głucho odbijały się od szkła.

— I to kwiecień! — wydął usta pogardliwie. Dawniej bywało tak pogodnie, słonecznie, ale i on był młody i nie miał przeklętego reumatyzmu.

— A może z południa się rozpogodzi? — uśmiechnęła mu się nadzieja.

Wstał z fotela, krępy, barczysty, jak ociosany toporem i ciężko stąpając, zbliżył się do barometru.

Patrzał przez chwilę, a widząc strzałkę na słocie, odwrócił się z pogardą i usiadł na dawnem miejscu. Uważnie i systematycznie zebrał resztki tytoniu, wsypał do pudełka, obliczył ilość zrobionych papierosów, wziął jednego, zapalił i wyciągnąwszy się w fotelu, ziewnął przeciągle.

Zaskrzypiały zawiasy drzwi i stanęła w nich nizka, szczupła niewiasta, z twarzą zwiędłą, pomarszczoną, a utkwiwszy swe spłowiałe, niebieskie oczy w księdza, spytała drewnianym głosem, usiłując go zrobić przyjemnym:

— Bracie dobrodzieju, czy do rosołu kluseczki francuskie, czy kaszka?

— Najpierw niech siostra zamknie drzwi, — powiedział surowo i ręką przysłonił kolano.

Drzwi przeciągle zapiszczały, a proboszcz porywczo:

— Dlaczego drzwi nie nasmarowane? tyle razy prosiłem... ale siostra głucha na moje słowa.

— Zapomniałam... zaraz zrobię.

— Niepotrzeba, — burknął gniewnie, — dość mam przeciągów w kościele, — tarł nogę.

— To przez tę psią pogodę — westchnęła Blińska, cioteczna proboszcza, — jak się wypogodzi, ustanie.

— Pogoda... pogoda, — drwił ksiądz, — oj, żeby tak ciebie bolało, zrozumiałabyś głupotę twej pociechy... Czego chcesz? — podniósł na nią szare oczy.

— Czy brat każe do rosołu francuskie kluseczki z grysiku, czy też...

— Dajże mi spokój... zrób co chcesz — i po chwili namysłu: — niech będą z grysiku, ale pulchne... i co na obiad?

— Kotlecik cielęcy z jajkiem... kompot... — wpatrywała się bacznie w księdza.

— Dobrze... wszystko mi jedno. A gdzie Grzela?

— Zaniósł obrok koniom.

— A dopatrzyłaś, czy wsypał do żłobu? — spytał z żywością.

— Widziałam, że zaniósł do stajni — odpowiedziała nieśmiało.

Proboszcz wyprostował się w fotelu, uderzył ręką w poręcz:

— Tyle razy mówiłem, a idź! a dopilnuj! a zobacz!.... ale to groch o ścianę! Taki parobas schowa gdzieś owies, potem sprzeda za kieliszek wódki, czy rozumiesz?

— Święta prawda — mówiła pokornie, — ale byłam bardzo zajęta... i takie błoto...

— Błoto!?... Patrzcie ją! Zmoczysz kieckę, to wy-

schnie, wielkie historye, — uśmiechnął się gorzko, — ale koń niemy, nie poskarży się.

— Prawda! — westchnęła.

— Zawsze mówisz prawda, a swoje robisz, nawet tej wyręki, ażeby dopatrzeć, nie mam w domu, — narzekał — gdyby nie ta przeklęta choroba, nie prosiłbym ciebie.

— Już dopilnuję — mruknęła.

Położyła rękę na klamce, cofnęła się i stała.

— Czegóż tam?

— A to przyjechało z Rudnik dwa wozy, z dzieckiem do chrztu.

— Z Rudnik?... przecież onegdaj chrzciłem dwoje. Czy powaryowali ci ludzie? Bydło jakieś, w sprosności żyje i dla sprosności płodzi... Czy siostra powiedziałaś im, że chory jestem... wyjść nie mogę.

— Mówiłam, ale ustąpić nie chcą, bo przygotowali wszystko na chrzciny.

— A tak, — zawołał gniewnie, — po świętym sakramencie obżarstwo i pijaństwo. Podłe nasienie grzeszników i obłudników.

— Cóż mam powiedzieć?

— Wypędzić... przy pogodzie niech przyjadą. Nie myślę tracić zdrowia dla tych bezbożników.

— Święta racya, — skinęła głową z uznaniem, — a czy brat da teraz list do pana Horodelskiego? bo posłaniec czeka.

— Niech czeka... może Bóg da, że się wypogodzi, to sam pojadę.

Blińska wysunęła się z pokoju, a proboszcz z przyzwyczajenia i nudów podszedł do małej szafki, stojącej w rogu, i wziąwszy książkę, usiadł na fotelu.

Otworzył machinalnie książkę i oczy jego spoczęły na słowach:

»Miłością braterską jedni ku drugim skłonni bądźcie... w pracy nie leniwi, duchem pałający, Panu służący... w nadziei się weselący, w ucisku cierpliwi, w modlitwie ustawiczni«...

Odłożył książkę, wstał i z papierosem w ustach, zwolna się przechadzał, rozmyślając nad odczytanymi frazesami.

Najpierw uderzyły go słowa: »w ucisku cierpliwi«. Czy on jest cierpliwy? Sumienie mu szepnęło, że nie, gdyż drażni go ból nogi, złości się, przeklina; ale na podobne podszepty uśmiechnął się w poczuciu wyższości. Pismo święte mówi o ucisku ducha, nie ciała, a on jest nadzwyczaj cierpliwy, gdyż cierpi tych swoich parafian bezbożnych, grzesznych, zaniedbujących obowiązki religijne, oddanych opilstwu, przemytnictwu i różnym łotrostwom.

I jacy oni zatwardziali, rozmyślał z goryczą, napróżno ich gromi, napomina, karze. Nie dbają o przybytek Boży, o plebanię, płacą niechętnie, zwlekają ze wszystkiem...

Krzyż pański dźwiga, i westchnął żałośnie nad sobą, a właśnie dojrzał przez okno, jak chłopi wygrażając plebanii siadali na wozy. Otóż to naród pogański, zatwardziały! patrzał chmurny na chłopów. Żadnego u nich współczucia, zrozumienia, że on będąc słabym i cierpiącym nie może wyjść z pokoju na taką słotę i wiatr dojmujący. On przecież jest pasterzem całej parafii i dla jednego nie może siebie narażać.

Baczniej spojrzał na chłopów i poznał młodego Grzejszczaka i Kaspra Sasa. Przypomniał sobie, że do-

piero jesienią zeszłego roku dawał Grzejszczakowi ślub, a w kwietniu przywozi już dziecko do chrztu. To obliczenie czasu wzburzyło go, postanowił go skarcić i teraz rad był, że ból w nodze nie dozwolił mu ochrzcić dziecka.

Znów zaczął pobożne rozmyślania na temat przeczytanych słów: miłością braterską jedni ku drugim skłonni bądźcie... o, tak, on czuje w sobie tę miłość braterską, gdyż dokłada wszelkich starań, ażeby wiernych jego pieczy powierzonych sprowadzać na drogę cnoty i prawdy. Nie zraża go brak uznania, wdzięczności i przywiązania...

Spojrzał przez okno i ujrzał krowę łaciatą, która wybiegłszy ze stajni pobrykiwała na dziedzińcu nie dając się napędzić do obory.

Poczerwieniał z gniewu i zapominając o bolącej nodze szybko podszedł do drzwi, otworzył i krzyczał:

— Marto!... Marto! — i na widok siostry: — ta szelma Kaśka wypuściła Łaciatą, biegaj, pomóż zapędzić... no, idź!

Zamknął drzwi z trzaskiem, a idąc szybko do okna mruczał:

— Cielna... wiatr taki... jeszcze się przeziębi, zachoruje...

Patrzał z oburzeniem na niezdarność dwóch niewiast, które nie mogły sobie poradzić z rozbrykaną krową.

— A to głupie!... głowy nie mają!... I jak one to robią!...

Zjawił się wreszcie Grzela, zaprowadził krowę, odetchnął proboszcz i rozmyślał głośno:

— O, co chłop, to chłop... a te baby, niemrawe, nieporadne, prawdziwe naczynia grzechu i głupoty.

Zmęczony wrażeniami usiadł na fotelu i odpoczywał.

Po dobrej chwili spojrzał na zegar, który właśnie wydzwaniał dwunastą godzinę... Poczuł głód i przyszło mu na myśl, żeby przyspieszyć podanie obiadu, lecz wierny porządkowi domowemu, postanowił zaczekać do pierwszej godziny.

Znów otworzyły się drzwi, wsunęła głowę Blińska.

— Jegomość, ktoś do nas jedzie.

— Odprawić i kwita.

— Kiedy bo to ktoś do nas, nie do kościoła, — bąknęła nieśmiało.

— Śni ci się, czy co? Któżby w taką pogodę jeździł?

— Z ganku widziałam, jak skręcał na drogę naszą.

Proboszcz wstał, podszedł do okna. Widział jak furman zlazł z kozła lichej bryczki i otwierał wrota, wiodące do probostwa. Konie były marne, w łatanej uprzęży, a furman, gdy dwa psy podwórzowe poczęły ujadać, wskoczył z niezwykłą skwapliwością do bryczki i batem oganiał się od psów.

Proboszcz wpatrując się rzekł półgłosem:

— To Josek... ze stacyi... hm... ale kto jedzie?

Na zadniem siedzeniu widział postać otuloną czarnym płaszczem, a spuszczone rondo miękkiego kapelusza nie dozwalało dojrzeć twarzy przyjezdnego.

— Marto! — zwrócił się do ciotecznej — zaprowadź go do kancelaryi i daj mi znać kto on taki?

Blińska, zaciekawiona, szybko zniknęła za drzwiami,

a proboszcz z pewnym niepokojem na pomarszczonej twarzy oczekiwał wieści.

Nareszcie weszła Blińska i zawołała z progu:

— Zgadnij bracie dobrodzieju, kogo nam Pan Bóg zesłał dzisiaj?

— No, kogo?

— Zgadnij dobrodzieju, — zaśmiała się — kogoś oczekiwanego.

— Głupie żarty... gadaj!

— Księdza wikarego! — zawołała, — nareszcie brat odpocznie i zacznie się porządnie leczyć.

— Wikarego? — powtórzył proboszcz — nareszcie dał Pan Bóg rozum tym z konsystorza... Poproś go tutaj.

Zanim wikary przyszedł, proboszcz zbliżył się do lustra, przygładził krótkie, mocno szpakowate włosy, obciągnął starą, poplamioną, na łokciach połataną rewerendę i oparłszy się jedną ręką o stół, stał z powagą, wpatrując się w drzwi.

Posłyszał kroki i ujrzał w otwartych drzwiach młodego blondyna, który pochyliwszy głowę rzekł dźwięcznym głosem:

— Laudetur Jesus Christus!

— In saecula, saeculorum, — odmruknął proboszcz.

— Z rozkazu jego ekscelencyi, księdza biskupa, jestem przeznaczony na wikarego do parafii księdza proboszcza, — wyjął list w kopercie i podał.

— Nareszcie namyślili się, — wziął list w lewą rękę, a prawą podał do uścisku mówiąc: — witam księdza wikarego, a jakie nazwisko?

— Ksiądz Stanisław Kęcki — uścisnął z szacunkiem podaną rękę.

— Siadaj księże Stanisławie, — wskazał krzesło,

a sam usiadł na fotelu przy piecu, — jakąż miałeś podróż?

— Nieszczególną, — uśmiechnął się, — jeszcze koleją to szło, ale te cztery mile końmi były przykre.

— No, tak, roztopy, wiatr, deszcz... a skąd jedziesz?

— Byłem u rodziny za Warszawą i wczoraj o piątej po południu wyjechałem.

— Co? Wczoraj?... O, długa droga; dlaczego nie odpocząłeś gdzieś?

— Otrzymałem polecenie natychmiastowego udania się na probostwo... więc się spieszyłem.

— Ano, chwali ci się ta gorliwość, — skinął proboszcz łaskawie głową, — a słyszałeś co, księże Stanisławie, o mojej parafii?

— Niewiele... trochę opowiadał mi ksiądz Zarucki, proboszcz z Ignatowiec...

— A... Stefan? to kolega mój z seminaryum. Cóż mówił? — spojrzał ciekawie w oczy przybyłego.

— Chwalił gorliwość księdza proboszcza.

— A tak, tak, to rzecz najważniejsza nie ustawać w pracy, na wszystkie błędy i grzechy mieć oczy otwarte, zawsze napominać, nic nie zatajać, nie osłaniać... to moja zasada, — kończył z dumą, — i tej radzę się trzymać księdzu wikaremu.

— Rozumiem księże proboszczu, — odpowiedział cicho i skraj sutanny podniósł, układając na butach, gdyż spostrzegł, że wala czystą podłogę.

Proboszcz zobaczył mokre plamy i rzekł:

— Przemokłeś widzę dobrze... dlaczego nie przebrałeś się, księże Stanisławie?

— Wyschnie, — pominął milczeniem odpowiedź, — deszcz siekł od rana.

— Zziąbłeś pewno... a możeby tak nalewki na rozgrzanie? co?

— Dziękuję księdzu proboszczowi... nie używam alkoholów.

— To tak za młodu, — uśmiechnął się proboszcz, — z czasem nauczysz się, bo są wypadki, że musisz pić... No, kiedy się o tem zgadało, muszę ci, księże Stanisławie, powiedzieć moje warunki.

— I owszem... słucham.

— Masz tedy pokój swój w plebanii z opałem. Światło kupisz sam. Co do śniadania i kolacyi porozumiesz się z moją cioteczną, panią Blińską, ja się w to nie mieszam. Obiadować będziemy razem, czy dobrze?

— Zastosuję się do życzenia księdza proboszcza, — powiedział uprzejmie.

— Czy byłeś księże Stanisławie już wikarym? — spojrzał bacznie.

— Nie... to pierwszy raz.

— A wiesz, co wikary dostaje?

— Nie bardzo dokładnie. Wiem, że rząd płaci mi sto dwadzieścia rubli rocznie... a reszta od zgody z księdzem proboszczem.

— No, tak, — mówił zwolna, — ale ja mam, jako proboszcz, znaczne wydatki... muszę przyjąć, ugościć, zapłacić, wsunąć w rękę temu i owemu... rozumiesz przecież?

Wikary wprawdzie nie rozumiał dobrze. Słyszał to i owo od kolegów w seminaryum o proboszczach, ale nie bardzo dokładnie, jednak przez grzeczność odpowiedział, czerwieniąc się:

— Rozumiem... domyślam się.

Proboszcz rozważał co dogodniejsze dla niego, czy

płacić wikaremu jakie dwanaście lub piętnaście rubli miesięcznie, a zatrzymać dla siebie wszystkie opłaty za jura stolae; czy też dopuścić wikarego do części dochodów kościelnych. Zdecydował się na drugi sposób, gdyż zainteresuje wikarego w gorliwem pełnieniu usług religijnych.

— Otóż, księże wikary, — przemówił po chwili, — odstąpię ci czwartą część jura stolae. Parafia moja liczna, dochodzi do trzech tysięcy, to bieda, że rozległa, bo prócz Kościeńca z parafialnym kościołem, należą jeszcze dwie wsie i jeden przysiółek. Chłopi gruntów mają niewiele, ale są przemyślni, i mają dochody z poblizkiej granicy. Czy zgoda?

— Przyjmuję.

— Dochód za mowy pogrzebowe i ślubne do ciebie tylko należy, o ile sam je wypowiesz... No, a za obiady będziesz mi płacił osobno.

— Ile?

— No, nie zedrę cię... pomówimy później — spojrzał na zegar, było już po pierwszej. Zmarszczył brwi i rzekł niezadowolony: — obiad spóźniony, nie lubię tego... a pewnoś głodny.

— Ależ nie bardzo... zresztą to taka drobnostka.

— O, wcale nie, — rzekł proboszcz surowo, — u mnie wszystko punktualnie... nie znoszę bałamuctwa.

W tej chwili otworzyły się drzwi, stanęła w nich Blińska w świeżym czepeczku na głowie, w lepszej sukni i przemówiła słodko:

— Proszę jegomości, obiad gotów.

— Spóźniłaś się o dziesięć minut, spójrz na zegar, — wskazał palcem.

— Byłam zajęta w kuchni...

— No i stroiłaś się, — powiedział z niezadowoleniem — i potrzebne to było jak psu buty.

Szedł pierwszy, za nim wikary i wreszcie gospodyni.

W jadalni oświetlonej dwoma oknami, najpierw rzucał się w oczy wielki jesionowy kredens, stół podłużny na środku pokoju, a między oknami, w ramach czarnych wisiał obraz ukrzyżowanego Chrystusa.

Wygodny fotel wskazywał miejsce dla proboszcza, który patrząc badawczo na talerz z rosołem, przeżegnał się i mrucząc odmówił krótką modlitwę. Usiadł i wskazując krzesło z prawej strony, rzekł do modlącego się wikarego:

— Twoje miejsce, księże Stanisławie.

Ten usiadł, ale nie dotknął łyżki, a proboszcz:

— Dlaczego nie jesz?

— Nie jadam nic mięsnego w czasie wielkiego postu.

Blińska poruszyła się niespokojnie i lękliwie spojrzała na brata.

— Jak sobie chcesz, — powiedział zgryźliwie, — ja stary i chory muszę mieć posilny pokarm.

Wikary milczał spuściwszy oczy, a proboszczowi się zdało, że młody ksiądz krytykuje go, co go drażniło i gniewało.

— Cóż ksiądz wikary będzie jadł, — odezwała się Blińska, — dla jegomości jest kotlet, a dla nas potrawka z kury... i co ja dam?

— Niech się pani nie kłopoce, — rzekł uprzejmie, — wystarczy mi chleb i szklanka wody.

Proboszcz skończył zupę, spojrzał na młodego złem okiem.

— Każda przesada jest niezdrowa, powiedziałbym grzeszna, — zaczął surowo, — co ci dają, to jedz. Jeśli ja, proboszcz, jem mięso, tem samem i ksiądz wikary ma dyspensę. Nie lubię takich fantazyi i psucia porządku domowego.

— Zanim dowiedziałem się o powołaniu mnie na wikarego, — usprawiedliwiał się Kęcki, — powziąłem intencyę postu i proszę księdza proboszcza o pozwolenie dotrzymania ślubu.

— To i dobrze, — rzekł proboszcz gniewnie, — jeśli będziesz głodny, to twoja wina.

— Nie umiera się z tego, uśmiechnął się wikary, — jestem młody i mogę pościć.

— No, zapewne, ale co innego w seminaryum, w czterech ścianach, a co innego na parafii. Tu roboty dużo, a kto chce pracować, musi mieć siły i bez należytego jedzenia osłabniesz. W parafii na próżnowanie niema czasu.

— Chyba każę zagrzać mleka, — odezwała się Blińska.

— I dobrze zrobisz, — skinął proboszcz głową, — bo wyobraź sobie siostro, że nasz wikary niemal całą dobę jechał. Przemókł, zziąbł...

— Już idę, — zerwała się z krzesła i szybko poszła do kuchni.

— Nic mi nie będzie, — uśmiechnął się wikary, — Pan Jezus doda mi sił.

— No, tak, ale kusić Pana Boga nie trzeba, — krajał kotlet proboszcz, — jak pożyjesz dłużej, poznasz, że zdrowie jest najpotrzebniejsze.

— To prawda, — rzekł wikary i posilał się suchym chlebem.

Weszła Blińska i mówiła:

— Zaraz podam mleko z kaszką, — a widząc chleb suchy w ręku księdza: — proszę wziąć masła przynajmniej i jest ser, — wyjęła krowi ser z kredensu.

Kasia, młoda dziewka, ospowata, z małemi oczkami, brzydka, gruba, przyniosła gorące mleko na talerzu i usiłując być zgrabną, wylała trochę mleka na stół.

— Ach, ty tłomoku, — zawołała Blińska — do stajni z tobą, nie do pokoju.

— I stajni nie warta, — dorzucił proboszcz, — dzisiaj wypuściła Łaciatą.

Kasia, zaczerwieniona aż po włosy, wybiegła z pokoju, stukając butami.

— Że też siostra może wytrzymać z taką klępą, — mówił proboszcz zgorszony, nabierając kompotu.

— Cóż mam robić? — westchnęła, — teraz każda leci na Saksy, doprosić się nie można, tak zhardziało to chłopstwo.

Jakiś czas jedli w milczeniu, wtem proboszcz syknął, twarz mu się wykrzywiła.

— Czy bardzo boli? — dopytywała się z czułością Blińska.

— Poco te pytania, — mówił gniewnie, — wiesz, że nie swędzi.

— Co księdzu proboszczowi dolega? — spytał wikary.

— Mało dolega, — rzekł z goryczą, — ale boli, strzyka, ledwie wytrzymać mogę... Tegom się doczekał po tyloletniej służbie, a wszystko przez tych nicponiów i drabów.

— Jakich? — spytał wikary zdziwiony.

— Jakich, pytasz? — uśmiechnął się gorzko, —

a moich parafian. Kościół wilgotny, w zakrystyi woda ze ścian płynie... tłómaczę, mówię, proszę, gniewam się, ażeby osuszyli przybytek boży, ale to zatwardziałe bydło ani pomyśli o naprawie.

— Czy to taki koszt znaczny? — spytał nieśmiało wikary.

— Ale gdzie tam!? Kilkaset rubli, niecały tysiąc. Był u mnie budowniczy, zrobił plan bezpłatnie, ale jak chłopi zaczęli jęczeć, piszczeć, narzekać, wstrzymał naczelnik powiatu poprawę do zjazdu komisyi... Kiedy komisya zjedzie, Bóg raczy wiedzieć, a ze mną coraz gorzej.

Zaczął się szczegółowy opis choroby i cierpień, wreszcie spytał wikary:

— A radził się ksiądz proboszcz doktora? Cóż powiedział?

— Doktor? — uśmiechnął się pogardliwie, — a cóż te osły wiedzą?... Plótł coś o naruszeniu ścięgna, o kwasach moczowych... głupiec! Nie wierzy mnie, kapłanowi. Zapisał jakieś proszki, zabronił pić.

— I ksiądz proboszcz zażywa te proszki?

— A połykam... zapłaciłem, to i używam, ale nic mi nie pomagają. Jak tylko się ociepli, pojadę do Buska, albo do Ciechocinka, muszę szukać ratunku i zdrowia.

Gdy Kasia wniosła herbatę po obiedzie, Blińska podreptała małymi kroczkami do pokoju proboszcza i przyniosła pudełko z papierosami.

Proboszcz zapalił i podsunął pudełko wikaremu.

— Dziękuję, nie palę.

— Nie palisz? — zdziwił się, — no, no, z ciebie, księże Stanisławie, istna panienka. Nie palisz, nie pijesz, a może i nie grasz?

— Nie.

— To się nauczysz, bo to na wsi konieczność. Powiedz mi proszę, co zrobisz, gdy zjadą do ciebie urzędnicy? Rozmawiać z nimi niema o czem, a tak, siądziesz do kart i czas minie.

— Alboteż w sąsiedztwie, — dorzuciła z uśmiechem Blińska.

— Masz słuszność, — skinął proboszcz głową, — jesteś na imieninach, czy coś takiego i co zrobisz ze sobą? No, powiedz, księże Stanisławie?

— Hm... zawsze znajdę kogoś do rozmowy. Zresztą, czy muszę bywać?

— Jako proboszcz musiałbyś. Nie mówię o zabawach, ale zaręczyny, ślub, chrzest i musisz być. Z kobietami nie możesz się zadawać, bo to rzecz niebezpieczna i zdrożna. Pić nie umiesz, zostają ci karty. Nie mówię o hazardzie, niech Bóg broni, ale kilka robrów nie zawadzi... Tak, tak, grać musisz.

— A co brat myśli o imieninach pana Horodelskiego? — wtrąciła Blińska.

Proboszcz spojrzał w okno, a widząc, że deszcz ustał i niebo poczęło się przecierać, rzekł zwolna:

— Hm... może się i wybiorę, bo Horodelski dobrodziej kościoła i należy go uczcić.

— Czy to właściciel Kościeńca?

— O, nie! — zawołał proboszcz z żywością, — ten, tutejszy, to Szybicki, niedowiarek, liberał, farmazon. Za życia Pan Bóg go pokarze... Ale Horodelski, to pan całą gębą, gorliwy katolik, że nie trzeba lepszego. Nie należy do mojej parafii, a pamięta o kościele, o plebanii i niczego nie pożałuje dla większej chwały kościoła katolickiego.

— Zacny człowiek, — dorzucił wikary z uznaniem.

— Mało, zacny! — rzekł proboszcz — obywatel wyjątkowy, niepospolity.

— No, przechwalasz go bracie dobrodzieju, — zrobiła cichą uwagę Blińska, — taki surowy.

— Co ty wiesz! — obruszył się proboszcz, — z chamami tylko surowością coś można zrobić. On pilnuje swego i sam naczelnik powiatu powiada, że on zawsze w porządku. Gdyby więcej takich obywateli, chłopi nauczyliby się poszanowania prawa i nie porywaliby się na cudzą własność... Zawołaj-no siostro Grzelę i przygotuj mi lepsze ubranie, niezdrów jestem, ale może pojadę, jak się wypogodzi.

— Pozwoli ksiądz proboszcz, że przejdę do swego pokoju, — wstał wikary.

— Idź, prześpij się, odpocznij, księże Stanisławie, bo jutro do roboty.

II.

Wszedł do pokoju oświetlonego jednem oknem, wychodzącem na podwórze plebanii. Był to pokój wązki, długi, z drzwiami na sień główną, do której wchodziło się przez ganek frontowy.

W pokoju czuć było chłód niezamieszkanego powietrza. Białe, nagie ściany były przykre, a ledwie wystarczające umeblowanie robiło wrażenie ubóstwa i tymczasowości izby zajezdnego domu.

Ksiądz Kęcki przypomniał sobie ładne i zaciszne mieszkanie swej matki, która będąc wdową, poświęciła się wychowaniu jedynaka i modlitwie. Zgodnie ze swem

pragnieniem, ukończywszy gimnazyum, wstąpił do seminaryum i został księdzem.

Wrażliwy, uczuciowy, entuzyasta, uległ urokowi urzędu kapłańskiego, który według ewangelii jest posłem prawdy, spokoju, miłości. W sercu nosił ideał kapłana, który z zaparciem siebie, nie dbając o dobra ziemskie, zaszczyty, rozkosze, spełnia swe powołanie pełne miłości i pokory. Pociesza strapionych, karmi zgłodniałych, leczy chorych, godzi zwaśnionych, a wszystko przez bezmierną miłość Chrystusa i dla miłości Chrystusa. Jeszcze jako subdyakon postanowił życie swoje prowadzić ściśle według przykazań i nauk ewangelii. Często w myśli powtarzał słowa Jezusa: jeśli kto chce iść za mną, niechajże samego siebie się zaprze, a weźmie krzyż swój i naśladuje mnie.

I jakże pragnął iść śladami umiłowanego Chrystusa! Z jakiem drżeniem rozkosznej niecierpliwości oczekiwał chwili, gdy zostanie powołany do czynu, gdy stanie wśród biednych, ułomnych, grzesznych i zatwardziałych i wszystkim im ogłosi szczęście, które znajdą w niezgłębionej miłości Chrystusa.

Wreszcie przyszedł ów dzień upragniony, stanął jako robotnik w winnicy pańskiej... Jednak w miejsce wesela czuje smutek, zamiast zapału, przygnębienie, zamiast radosnego upojenia, przygniata go zwątpienie.

Usiadł na krześle i patrząc na przesuwające się szaro-brudne chmury, badał troskliwie przyczynę swego smutku i zniechęcenia. Przywykły do codziennego rachunku sumienia zdziwił się trudnością rozwiązania swego stanu, gdyż zamiast analizy pobudek i przyczyn wewnętrznych, nieustannie wyłaniały się obrazy gniewliwego proboszcza, jego surowa i despotyczna wola; nie-

wolnicza usłużność Blińskiej i zawstydzona twarz zwymyślanej Kasi.

To fizyczne zmęczenie tak źle mnie usposobiło, pocieszał się wikary, a chcąc przerwać niemiłe romyślanie, zajął się rozpakowaniem kuferków.

Nad łóżkiem drewnianem ze siennikiem słomą wypchanym, zawiesił obraz Chrystusa ukrzyżowanego. Nad stołem, obraz Matki Boskiej bolesnej. Wyjął książki, rzeczy powiesił w szafie czarnej, olchowej, zasłał łóżko, a czując się zmęczonym, umyślił położyć się i przespać trochę.

Przedtem jednak ukląkł przed Chrystusem i jął się modlić żarliwie, prosząc o siłę i wytrwałość w swych zamysłach.

Gdy był tak pogrążony w modlitwie, uszu jego doleciał ostry i karcący głos proboszcza:

— Wynoś mi się z domu, ty oberwańcze jakiś! Twój ojciec żył jak poganin, niech ginie jak poganin.

— Jegomościu mój złoty, mój najlepszy, — przemówił ktoś płaczliwym głosem, — tatuś tak łakną ostatniej spowiedzi... Sąsiad ulitował się, dał konia i wózek, ulitujcie się.

— Co!? — zagrzmiał oburzony proboszcz, — ty durniu myślisz, że kapłan to twój kmotr czy kum, ażeby jeździł wywłoką!? Przywieź tutaj, to wyspowiadam. Spojrz jaki deszcz, zawierucha, chory jestem, nie mogę jechać.

— Jegomość, mam rubla, ja donajmę jeszcze konia, zlitujcie się nad tatusiem i jedźcie.

— Rychło wczas przyszło mu upamiętanie, — gniewał się proboszcz, — w kościele ani go poświecić przez trzy lata, u spowiedzi nie był przez pięć lat... dla

takiego grzesznika nie mam litości... Jutro, jak się wypogodzi, pojadę, a teraz wynoś się ty trutniu!

Wikary pobladły słuchał tych słów klęcząc, wpatrzony w bolesną twarz Chrystusa. Nagle wstał, szybko otworzył drzwi do sieni, gdzie stał proboszcz. We drzwiach ganku tulił się zapłakany, ubogo ubrany chłopak lat dwudziestu.

— Gdyby ksiądz proboszcz pozwolił, wyręczyłbym chętnie księdza proboszcza w oddaniu ostatniej posługi temu biedakowi.

— Ty!? — nachmurzył się proboszcz.

— Wiem, że ksiądz proboszcz jest cierpiący i nie może jechać w taką wietrzną słotę na chłopskim wózku, dlatego proszę o pozwolenie, — mówił słodko i pokornie.

— Ależ księże Stanisławie, cenię twą gorliwość kapłańską, zważ jednak na twe zmęczenie... jutro dam ci moje konie i pojedziesz.

— Chory czeka... może nie dożyje — powiedział łagodnie wikary.

— O mój złoty jegomościu, mój ojcze najmilszy, — rzucił się chłopak do rąk wikarego.

— Milcz durniu i czekaj, — zgromił go proboszcz i do wikarego łaskawie: — widzisz... nie wypada księdzu na tak lichym wózku...

— Ja tylko wikary.

— To prawda... ale nawet nie zabierzecie się, bo przecież Łukasz musi ci towarzyszyć.

Wikary widząc, że proboszcz ustępuje, powiedział z dobrym uśmiechem:

— Poradzimy sobie, księże proboszczu, a chociażby pieszo, to chyba nie tak daleko.

— Ho, ho, trzy wiorsty podłej drogi.

— To drobnostka, — zaśmiał się, — byle ksiądz proboszcz pozwolił.

— Jakże możesz przypuścić, ażebym się sprzeciwił obowiązkom kapłańskim, i owszem, jedź i nawróć tego grzesznika.

— A gdzie klucze, księże proboszczu?

— Wiszą w mej kancelaryi... Dam ci zaraz, a zajdź do Łukasza, kościelnego, bo sam nie znasz drogi, księże Stanisławie.

Po chwili wikary, narzuciwszy na siebie zwilgotniały płaszcz, wyszedł wraz z chłopakiem do kościoła.

Na dworze, jak to bywa w początkach wiosny, po chwilowej pogodzie powstała zadymka śnieżna. Śnieg tajał wprawdzie natychmiast, ale był tem przykrzejszy, gdyż spływał wodą z twarzy i ubrania.

Kościelny, Łukasz, nizki, barczysty blondyn, z przyciętym wąsem, niezmiernie się zdziwił wejściem wikarego, ale wiedząc, że ma przyjechać ksiądz do pomocy proboszcza, spytał pokornie:

— Czy ksiądz dobrodziej do nas?... na stałe?

— Tak jest... Oto są klucze od kościoła, ubierzcie się, pojedziemy do chorego.

Kościelny spojrzał przez małe szybki na gęsty śnieg i rzekł z niedowierzaniem:

— Na taką psotę? Toć lepiej chwilę przeczekać, niech się uspokoi.

— Spieszcie się, niema czasu na rozmowę — powiedział poważnie wikary.

— Ano, jechać, to jechać, — mruczał niechętnie i zwolna wdziewał kożuch, — a wolno zapytać do kogo?

— Nie wiem, chłopak stoi przed domem.

Wyjrzał kościelny przez okno i zawołał zgorszony:

— To Pietrek Gawińszczak... pewno jego ojciec zmiera... O, Jezu, ależ to grzesznik, bezbożnik, — oburzał się, — samemu księdzu proboszczowi wygrażał, w kościele go nie ujrzeć, do świętej spowiedzi nie chodził, i do takiego mamy jechać? w taki czas?

— Większe jest miłosierdzie Boga, aniżeli złość ludzka, — odpowiedział wikary poważnie, — czyście gotowi?

— Zaraz... zaraz... ale to chyba ksiądz proboszcz nie wiedział, że to do Gawińskiego, — mówił zapinając pas, — do takiego zgorszyciela jechać świat cały ze świętą usługą? I co powiedzą inni, pobożni, gdy to ujrzą?

— No, dosyć tej rozmowy, — rzekł wikary surowo, — chodźmy.

— Kiedy już taka wola księdza dobrodzieja, — mówił kościelny zniechęconym głosem, — to cóż robić?

Kościół murowany, obszerny, z wysoką wieżyczką, stał niedaleko, otoczony nizkim murem i licznemi drzewami. Sam wygląd kościoła był przyjemny, gdyż znać było troskliwość o utrzymanie go w całości i porządku.

— Sprowadź tu konie, — rozporządził kościelny, a sam z wikarym poszedł do zakrystyi.

Wchodzących owiało w niej powietrze chłodne i wilgotne, ale było tu bardzo czysto i znać było, iż dzisiaj pościerano kurze.

Wikary włożył na sutannę komżę, zawiesił stułę i spytał:

— Łukaszu, a gdzie bursa?

— Jest... jest, — i z jednej ze szuflad wyjął skó-

rzany futerał na wiatyk, po który poszedł wikary do kościoła, a wróciwszy spytał:

— A woda święcona? Oleje święte? czy gotowe?

— Co nie mają być? — wzruszył ramionami, — zęby zjadłem na posłudze kościelnej, wiem co się patrzy. Mnie ksiądz proboszcz nigdy nie pyta, bo sam wiem co i jak należy.

— To bardzo dobrze... chodźmy! — zarzucił płaszcz na siebie.

Wyszli przed kościół na drogę, a gdy kościelny dojrzał mały, odrapany wózek zaprzężony w jedną szkapę, przystanął, spojrzał ze zgrozą taką, że przez chwilę zaniemówił, wreszcie zawołał:

— To ty gamoniu, takim wózkiem po księdza dobrodzieja, po Przenajświętszy Sakrament przyjeżdżasz?... Nic z tego! nie pojedziemy! Słyszysz durniu!

— Kiedyż bo nasze konie w drodze, a ten koń z wózkiem od sąsiada — mówił pokornie chłopak.

— Ruszaj po inne! — rozkazał kościelny.

Chłopak spojrzał na księdza i już chciał jechać na poszukiwanie innego wozu, gdy wikary zawołał:

— Stój!... jedziemy; a wy, Łukaszu, uszanujcie Przenajświętszy Sakrament. Żadnych krzyków, łajań, wszak to sam Bóg utajony w eucharystyi.

Kościelny, ze zdziwienia, iż ksiądz decyduje się jechać, otworzył usta, a po chwili:

— Ależ, księże dobrodzieju, czy to się godzi, ażeby Przenajświętszy Sakrament i oleje święte przewozić na takim wózku!? To dobre dla żyda, dla pachciarza, ale nie dla księdza dobrodzieja.

— Jedziemy... zróbcie siedzenie.

— No, no, ani widziałem, ani słyszałem czegoś

podobnego, — mruczał idąc ku wozowi, — a to skaranie boskie!

Trochę ulgi sprawiło mu ciche wymyślanie na chłopca, że mało słomy, że płachta brudna, że wózek ciasny...

Wreszcie wsiadł wikary, a Łukasz wyjął dzwonek. Dźwięczny, przenikliwy głos dzwonka zabrzmiał wśród śniegu i deszczu, a co bliżsi sąsiedzi kościoła, którzy już dawniej zauważyli wózek, wyszli przed chaty i uklęknąwszy wzdychali pobożnie, bijąc się w piersi.

Wyjechali za wieś, w pola nagie i puste, tylko w bruzdach bielił się śnieg, a droga była pełna wybojów i głębokich kałuż.

Wiatr dął silny, niosąc ze sobą śnieg i deszcz smagający. Lichy koń z trudnością ciągnął wózek, który chwilami przy większem i gęstszem błocie ledwie się poruszał, mimo smagania konia.

— Nie bij chłopcze... przecież to stworzenie boskie, — napominał wikary.

— To chyba na wieczór dojedziemy, — mruczał niechętnie kościelny.

Przed zachodem słońca, wiatr ucichł, deszcz ustał i niebo poczęło się wypogadzać.

Wyjechali na mały, piaszczysty wzgórek, z którego widać było wioskę Rudniki, rozrzuconą nad rzeczką połyskującą w promieniach zachodzącego słońca.

— Tam nasza chałupa, — wskazał batem chłopak na jedną z drogi leżącą chatę.

Koń ruszył raźniej i wózek potoczył się z pagórka.

Gdy zbliżali się do wsi, kościelny otarł dłonią zmokłą twarz i wąsy, zdjął czapkę i z miną uroczystą począł dzwonić.

We wsi wiedziano nietylko o chorobie starego Gawińskiego, ale i o tem, że Pietrek Gawińszczak pojechał jednokonnym wózkiem po księdza proboszcza.

Gdy się o tem dowiedzieli poważniejsi gospodarze, mówili między sobą:

— Ten Pietrek, to chyba rozum mu się pomieszał. Gdzie po jegomości jechać jednokonką? Zekpa go, zesromoci i precz wygna.

— A nie mógł to zabiedz do którego po wóz i parę koni. Swoją drogą jegomość sierdziłby się, bo stary Gawiński zaniedbywał kościół, ale przyjechać przyjechałby, albo też kazałby starego do siebie przywieźć. A tak to próżna mitręga i chory może zemrzeć, niepojednawszy się z Panem Bogiem.

Te i podobne uwagi czyniono we wsi, a niewiastom usta się nie zamykały i ciągle wypatrywano powrotu Pietrka.

Aż tu na wzgórku pokazał się wózek. Poznano konia i Pietrka. Patrzą, aż oto siedzi na wózku osoba czarno odziana, a ktoś drugi obok Pietrka na przedniem siedzeniu.

Tego poznano po czapce i kożuchu i zaraz głos poszedł po wsi, że jedzie kościelny Łukasz.

— No, a ten drugi?

— Kto go wie!? Nie nasz jegomość, bo ani jego futro, ani czapka.

Wózek wjechał do wsi, a głosik dzwonka zdala posłyszano.

Wysypał się naród z chat, patrzą, słuchają, a gdy wózek przejeżdżał, każdy ukląkł i bijąc się w piersi, przypatrywał się nowemu księdzu.

Co ciekawsi, szli zwolna za wozem, ku chałupie Gawińskiego, stojącej na przykrym wzgórku.

Wikary, litując się nad zmęczonym koniem, kazał przystanąć, zeszedł z wózka i już pieszo szedł do chaty, poprzedzony przez Łukasza, dzwoniącego bez przerwy.

We wrotach stały dzieci, a między niemi dwie córki dorosłe, po przyklęknięciu cisnęły się do rąk księdza, ale sfukał je Łukasz i odpędził.

W progu chaty uklękła zapłakana żona i mówiła w głos:

— Boże bądź miłościw duszy mojej... o Jezu Nazareński, jakież to wielkie szczęście! — płakała rzewnie.

— Ustąpcież! — zawołał Łukasz surowo, — nie widzicie kto idzie? Oczu nie macie czy co?

Wikary wszedł do izby i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, — odpowiedziała wśród łkań gospodyni, która weszła z księdzem.

Część stołu nakryta była białym obrusem, a na nim stał krucyfiks z dwoma świecami i talerz czysty.

Ksiądz zrzucił płaszcz, zdjął bursę z wiatykiem, położył ją przed krucyfiksem, ukląkł i oddał cześć Przenajświętszemu Sakramentowi.

Łukasz nalał wody święconej do talerza, umaczał w niej kropidło i podał księdzu, za którym wsunęła się cała rodzina chorego. Wikary pokropił izbę, obecnych mówiąc:

— Pokój temu domowi i ludziom dobrej woli.

— Amen!... Amen!... — szepnęli obecni, żegnając się krzyżem świętym.

Pod ścianą, na szerokiem, drewnianem łóżku leżał chory, nakryty pierzyną. Na białej powłoczce poduszki

rysowała się pożółkła, zmarszczona twarz starcza, porosła krótkim, siwawym włosem. Leżał z oczami zamkniętemi, podsiniałemi, a ręka czarna, spracowana, namulona, leżała bezwładnie na pierzynie.

W izbie było mroczno, gdyż dwa okna z powodu dużego okapu przy dachu przepuszczały stosunkowo mało światła.

Ksiądz wziął krzesło, przysunął do łóżka u wezgłowia, usiadł i chłodną białą rękę położył na pomarszczonem czole chorego.

Ten drgnął, zwolna podniósł zmęczone powieki i wpatrując się przerażonemi oczyma w księdza, szepnął wyraźnie:

— Czy już śmierć?

— Nie, mój bracie, — przemówił dźwięcznym, łagodnym głosem, — dusza twoja nie umiera. Ona wraca na łono Tego, z którego wyszła. Dusza jest wieczna.

— Może i tak, — westchnął głęboko, — ale ja zemrę, na to nijakiej rady, a chociażem stary, żal mi życia.

— Dusza cię ożywia, przez nią żyjesz, myślisz. Oczyść mój bracie twoją duszę, powróć jej niewinność i zdrowie, a może Pan Bóg wysłucha twej prośby i wróci ci zdrowie ciała.

Twarz chorego ożywiła się na chwilę, ale wkrótce stała się znów obojętną i rzekł zwolna:

— Grzesznik wielki ze mnie... skarał mnie Bóg chorobą... źle mi, oj źle... niech to raz wszystko się skończy, bo objadam swoich i nie pracuję. Grzeszyłem ciężko i niema dla mnie łaski, ni przebaczenia, — ciche łzy polały mu się z oczu.

— Bracie, gdyby twoje grzechy były liczniejsze od

ziarn piasku, cięższe od skał granitowych, to zawsze większe miłosierdzie boskie. Wyznaj twe grzechy, żałuj za nie skruszony, a Bóg ci przebaczy. Czy chcesz się wyspowiadać?

— Ano, po to prosiłem dobrodzieja, — powiedział cicho.

Ksiądz zaczął słuchać spowiedzi.

Przed chałupą tymczasem zebrała się rodzina i trochę ciekawych i radzili o nowym księdzu.

Pietrek zdążył już był opowiedzieć, jako sam młody ksiądz ofiarował się pojechać z wiatykiem do chorego wbrew woli księdza proboszcza, który nie chciał jechać, tylko kazał przywieźć chorego.

— Ej, Pietrek, chyba ćmisz, — odezwał się jeden ze słuchaczy, — gdzieby zaś jegomość nie chciał jechać.

— A bez cóżbym łgał, — obruszył się Pietrek, — mówię wam rzetelnie, że nasz jegomość nie chciał, a to powiada, że psota okrutna, że chory jest...

— Bogać tam chory, — przemówił inny, — ma złość do starego Gawińskiego i dlatego nie chciał. Niechby sypnął pieniędzmi, a znalazłby ochotę i zdrowie.

Na te słowa Łukasz zrobił groźną minę i krzyknął:

— Wara wam od księdza proboszcza, nie pyskujcie! Widzisz, jaki mi mądrala! Ksiądz proboszcz powłóczy nogą, dziś ledwie ustał przy mszy świętej, a ten zaraz z pyskiem!

Wobec surowych słów kościelnego umilkli inni, tylko zganiony mruknął drwiąco:

— Wiadomo, swój ciągnie za swoim.

Wtem Gawińska zaczęła opowiadać o przemowie wikarego do męża. Słuchano jej z wielką uwagą.

— Powiadam wam rzetelnie, że gadał tak słodko,

iż niczem miód. Rękę położył na czole chorego, a tak czule mówił, żem się rozpłakała w głos.

— Powiedzcież co mówił? — spytała sąsiadka.

— Co?... ano różności... o miłosierdziu boskiem... o duszy... alboż to pieśń zasłyszaną zaraz powtórzycie.

— Prawda... rzetelna prawda. No, i jaki on?

— Nawet nie przypatrywałam się... poprostu wszedł jak anioł pocieszyciel, aż jaśniej się zrobiło w izbie.

Co poważniejsi otoczyli Łukasza, który, jako będący blizko ołtarza, powinien był wiedzieć coś bliższego o nowym księdzu.

— Ano, dziś przyjechał na plebanię, — odpowiedział, — i czas było, bo nasz ksiądz proboszcz niedomaga na nogę, a robota u nas teraz największa.

— Jakże to? — spytał ktoś.

— O, nierozumny narodzie! Alboż nie idzie Wielkanoc? Alboż nie każdy chce się pozbyć tego paskudztwa dusznego — swoich grzechów? A gdzież pasye? Kto zarządzi grobem świętym? A chociażby święcone? Co?

— Tak... tak... a jakiż ten młody dobrodziej? Znacie go?

— Co nie miałbym znać?... To wam powiem, że jeszcze za gorący... niedoświadczony; zmiłujcie się i powiedzcie sami, godziż się takiej godnej osobie i to z Przenajświętszym Sakramentem jechać na takim wózku?

Spojrzał dokoła, czekając uznania i potwierdzenia. Jeden z młodszych rzekł ze śmiechem:

— Lepiej na odrapanym wózku jechać, aniżeli piechtą drałować po błocie.

Jacy tacy w śmiech, a Łukasz:

— Mordo pogańska, to ty w wielkim poście będziesz się naigrawał z kapłana, jako żydowiny z Chry-

stusa! Poczekaj, przyjdzie ci na zły koniec i w piekle będziesz gorzał.

— Iii, co tam, Łukaszu, — odezwał się zgodliwie starszy gospodarz, — wiadomo, że u młodego wróbla pstro w głowie. Racya wasza, że nie godziło się wozić tak godnej osoby wózkiem odrapanym.

— Tak... tak, — potwierdzali inni.

Posłyszała te słowa Gawińska i zbliżywszy się, mówiła:

— Zlitujcie się kumie i choć w powrotną drogę dajcie wasze konie. Taki słodki pocieszyciel godzien tego, a Bóg wam nagrodzi i ja sama stanę wam w przygodzie.

— Racya, racya, — podchwycił Łukasz, — pismo święte mówi, co zrobisz jednemu z moich sług, jakbyś zrobił mnie samemu.

Gospodarz spojrzał na błotnistą drogę, na chmurne niebo i odpowiedział wymijająco:

— Pomyślę o tem... trzeba wóz zrychtować.

— Łukaszu! — krzyknął podrostek, stojący bliżej sieni, — dobrodziej was woła.

Kościelny szybko poszedł do izby, a za nim posunęli się inni.

Uklękli wszyscy, jedni w izbie, drudzy w sieniach, i wzdychając, modlili się. W chwili, gdy ksiądz po komunii odmawiał modlitwę za konających, gromnica wypadła z rąk chorego, westchnął głęboko i umarł.

Dopiero podniósł się okrutny lament żony i dzieci. Rozpacz ich była taka szczera, że wszystkich wzruszyła. Tedy ksiądz, pragnąc ich pocieszyć i utulić w żalu, przemówił kilka słów, chwaląc skruchę, pobożność i przykładną śmierć nieboszczyka.

— Nie jesteście sierotami, — kończył ksiądz, — bo prawdziwym sierotą jest tylko człowiek kamiennego serca, który nie miłuje drugich i dba tylko o siebie. Wy żyjecie wśród chrześcijan, a tym nie jest obce najwyższe przykazanie Chrystusa Pana: kochaj bliźniego, jak siebie samego, przebaczaj swym nieprzyjaciołom, nie sądź winy drugich, lecz czyń im tak, jak chcesz ażeby tobie czyniono. I toć jest jedyne najwyższe prawo Chrystusa, miłujcie się wzajemnie z całej duszy, ze wszystkich sił swoich, a nastanie spokój, szczęście, wróci raj na ziemi. Miłość was oczyści, miłość was uszczęśliwi, miłość was zbawi. Amen!

Ta przemowa księdza w mrocznej izbie, słabo oświetlonej dwoma świecami przy krucyfiksie, wobec trupa i zrozpaczonej rodziny, zrobiła wielkie wrażenie i naród obecny spłakał się, pamiętając, że każdemu umrzeć przyjdzie, a nie każdemu tak pobożnie i lekko, jak nieboszczykowi.

Wszyscy chwalili nowego księdza i Rudniczanie byli dumni, że oni pierwsi z pomiędzy parafian posłyszeli słowa boże z ust wikarego.

Rozczulona Gawińska rozwiązała supełek i wygładziwszy papierek trzyrublowy, posunęła się do księdza, chcąc mu dać na mszę świętą, ale wikary odsunął jej rękę mówiąc:

— Za usługę chrześcijańską nie płaćcie mi, matko, pieniędzmi, ale sercem.

Usłyszawszy te słowa, szybko wyszedł gospodarz, którego Gawińska prosiła o konie.

A gdy wikary, odprowadzany przez wszystkich, zeszedł ze wzgórka, na którym stała chata, zastał na dole wóz, zaprzężony w parę koni. Ksiądz z Łukaszem

usiadł na wygodnem, zadniem siedzeniu, a kościelny, gdy minęli wieś, przemówił tonem życzliwym:

— Szkoda było słów chrześcijańskich księdza dobrodzieja do tych zatwardziałych grzeszników, alboż chamy takie rozumieją się na tem?

— Zostawcie to Łukaszu memu uznaniu.

— Nie mogę, Pan Bóg by mnie pokarał, gdybym zataił co przed księdzem dobrodziejem, który nie zna tutejszego narodu. Z nim tylko ostro, surowo, tak jak ksiądz proboszcz. Wyczytać im ich nieprawości, grzechy, bluźnierstwa, dopiero zrozumieją. Po dobroci to tylko chamstwo się ośmieli, i będą mieli za nic wszystkie nauki.

— Czas to pokaże, Łukaszu, a teraz dajcie już spokój.

— Ano, jak nie, to nie, — mruknął z widocznem niezadowoleniem.

Nie mógł jednak długo milczeć i po pewnym czasie zaczął:

— Stary jestem, wyrosłem przy kościele, bo i mój ojciec był kościelnym, niechże to będzie niewymówione, ale ksiądz dobrodziej psuje naród i odciąga od ofiarności dla przybytku pańskiego.

— A to jakim sposobem? — zdziwił się wikary.

— Alboż nie widziałem na własne oczy? — obruszył się kościelny. — Gawińska tkała trzy ruble i należą się nam sprawiedliwie za fatygę w taką psotę, za jazdę na podłym wózku, za zbrukane komże, a ksiądz dobrodziej powiada: sercem płać!... Im w to graj, płaciliby sercem i za pogrzeb i za ślub. Ciekawa rzecz, co powie na to ksiądz proboszcz?

— No, dosyć Łukaszu, chcę się pomodlić, — po-

wiedział wikary, drażniła go bowiem ta rozmowa z kościelnym.

Przyjechawszy na plebanię dowiedział się wikary, że ksiądz proboszcz korzystając z pogody pojechał na imieniny pana Horodelskiego. Zapraszała wikarego Blińska na wieczerzę, ale wymówił się zmęczeniem i prosił tylko o szklankę herbaty.

W swoim pokoju zastał pewne zmiany. Podłoga była zamieciona, kurze starte, książki ułożone, łóżko zasłane materacami i świeżą pościelą, zaś jego poduszka, kołdra i prześcieradło złożone na kuferku.

Niemile dotknęło go to gospodarowanie w jego pokoju i usunięcie z łóżka jego pościeli. Zdjął tedy z łóżka świeżą pościel i zasłał je swoją. A gdy Kasia wniosła do pokoju herbatę, chleb, masło, ser i gorącą kaszkę z grzybami, rzekł do niej:

— Podziękuj pani Blińskiej za sutą wieczerzę, a tę pościel odnieś. Jestem przyzwyczajony do mej poduszki i nakrycia. Dobranoc ci Kasiu.

Nieprzyzwyczajona do podobnej uprzejmości, Kasia osłupiała na razie, następnie zaczerwieniła się jak piwonia i bez słowa odpowiedzi uciekła z pokoju.

Tymczasem Łukasz w kuchni opowiadał szczegółowo podróż do Rudnik, zachowanie się księdza wikarego w izbie Gawińskiego, jego przemowę, i kończył:

— Powiadam pani sumiennie, że ksiądz wikary psuje porządek księdza proboszcza i rozzuchwala chłopstwo. I tak te pogany skąpią na kościół, a jeśli zacznie się odmawiać przyjęcia pieniędzy należnych, Bóg wie na czem się to skończy.

Blińska niezadowolona z odesłania pościeli, w czem

widziała lekceważenie jej uprzejmości, przytakiwała kościelnemu i dodała:

— Ksiądz wikary zbłądził, to jasne, młody on, niedoświadczony, ale sąd nie do mnie należy, ja się nie wdaję w duchowne sprawy, niech sam ksiądz proboszcz rozstrzygnie.

III.

Ksiądz Stanisław Kęcki, który świeżo opuścił seminaryum, był przyzwyczajony do rannego wstawania. To też mimo zmęczenia poprzedniego dnia, wstał jak zwykle o godzinie szóstej rano, a uklęknąwszy przed obrazem Ukrzyżowanego, pogrążył się w modlitwie.

Wchodząca z oczyszczonymi butami Kasia zastała go w chwili, gdy podnosił się z klęczek.

— Ho, ho, a dobrodziej już wstali!? — zdziwiła się.

— Jak sama widzisz, — uśmiechnął się, — czy ksiądz proboszcz śpi?

— Pewno; przyjechali do dom po pierwszych kurach, to śpią... ino ja i pani na nogach.

— Czy kancelarya, gdzie są klucze od kościoła, otwarta?

— Pewno.

— Zaprowadź mnie, bo chcę wziąć klucze.

— Dlaczego nie?... tylko to za wcześnie, jeszcze Łukasz nie posprzątali zakrystyi, kościoła... bo nasz jegomość od czasu choroby późno wstają.

— Nic nie szkodzi... prowadź mnie.

Gdy wychodził z kluczami, powiedziała mu Kasia:

— A niech dobrodziej idą przez ogród do kościoła, bo droga błotnista, że utopić się można.

Owionęła go świeżość poranka wiosennego. Po wczorajszym deszczu i śniegu pozostały krople wody na ziemi, i w promieniach słońca mieniły się brylantowo. Pomiędzy zrudziałemi trawami wychylały się świeże, jasno-zielone, a wróble fruwając z drzew na strzechę stajni i na odwrót, podnosiły gwar wrzaskliwy a radosny. Czuć było w powietrzu, na ziemi, w ogrodzie, że wiosna czarodziejska już się zbliża i nowym cudem okryje ziemię. Na pogodnem niebie przesuwały się, jak gdyby igrając ze sobą, powiewne obłoki, które goniły się, spływały, to znów rozbiegały się swawolnie.

Wikary nie chciał nic z tego ani widzieć, ani słyszeć. Ze spuszczonymi oczyma, szepcąc pacierze, szedł przez ogród drożyną suto piaskiem wysypaną.

Wszedł do izby kościelnego, który wraz z rodziną śniadał, posilając się ziemniakami i żurem.

Zerwał się Łukasz, dwoje dzieci kilkuletnich skryło się szybko w ciemny kąt izby, a gospodyni, powstawszy, raz po raz kłaniała się, pochylając się nad misą, z łyżką w ręku.

Wikary, pozdrowiwszy ich słowem bożem, rzekł łagodnie:

— Po śniadaniu przyjdźcie Łukaszu do kościoła, chcę odprawić mszę świętą.

— Ja zaraz pójdę, — zawołał Łukasz z pospiechem, — czy ksiądz proboszcz także wstał?

— Nie.

Kościelny widocznie się uspokoił i rzekł zwykłym głosem:

— Jak tylko pośniadam, przyjdę.

Wikary wyszedł i przez krótką chwilę zastanawiał się nad popłochem, jaki wywołał w izbie kościelnego, ale wkrótce znów zaczął się modlić, idąc do kościoła osamotnionego i zamkniętego. Gdy podniósł oczy, wydał mu się kościół dziwnie surowym, poważnym i niedostępnym, a stał na wzgórku, skąd widać było wieś, z której dolatywały żywe odgłosy ludzkie i zwierzęce.

Na skraju wsi, w otoczeniu drzew widniał dwór biały, z gankiem kolumnowym, z wyżwirowaną drogą w koło dużego trawnika.

Przez chwilę patrzał na okolicę pagórkowatą, lesistą, przerzniętą połyskliwą rzeką, nad którą turkotały młyny i tartaki.

Otworzył zakrystyę, a po jasnym dniu wydała mu się dziwnie poważną, niewolniczo uporządkowaną i posępną mimo swej błyszczącej czystości.

Wszedł do kościoła. Owiał go chłód podziemia i głucha pustka. Ukląkł przed wielkim ołtarzem i wzniósł oczy w górę. W ołtarzu był umieszczony obraz, przedstawiający Przemienienie Pańskie.

Na szczycie góry leżeli przerażeni trzej apostołowie w jaskrawych sukniach, a nad nimi wznosił się Jezus Chrystus w powietrzu, w szacie białej, powiewnej, zaś z jednego boku Mojżesz płynął w powietrzu, a z drugiego Eliasz, obydwa w ciężkich, ciemnych, pofałdowanych togach.

Zdawało się wikaremu, że ten Chrystus, z bladą, sinawą twarzą, dygoce z zimna kościelnego i z wielkim smutkiem patrzy z góry na pusty, cichy kościół. A cisza była tak wielka, że trzaskanie knota w palącej się lampce zdawało się odbijać echem od białych, zimnych ścian.

Sztuczne kwiaty w wazonach, ustawione na ołtarzu podnosiły wrażenie martwoty.

I to ma być kościół Chrystusa, — rozmyślał wikary z bezwiedną goryczą, — Chrystusa, który sam był wcieloną miłością i nauczał wieść życie całe w miłości i poświęceniu siebie, a tu tak surowo, posępnie, odstręczająco...

Posłyszał ciężkie stukanie butów Łukasza i wrócił do zakrystyi, gdzie kościelny wyjął już ze szuflady albę, stułę, ornat i przygotowywał kielich.

— Należało wpierw zadzwonić, — zrobił wikary uwagę.

— Będzie dosyć czasu, — odpowiedział, nieprzerywając roboty, — i tak nikt nie przyjdzie do kościoła.

— Nikt? — zdziwił się.

— Ksiądz wikary nie zna tych zatwardziałych grzeszników. Bywało na pół godziny tłukę w dzwony i ledwie przywlecze się kilka starych bab i brudnych dzieciaków. Zapaprzą posadzkę, oplują, a niedorostkom figle w głowie nie nabożeństwo.

— To źle, — westchnął wikary — trzeba zmienić te brzydkie zwyczaje.

— Zmienić!? — powiedział głosem drwiącym, — alboż mało karci ksiądz proboszcz ich lenistwo, zaniedbanie, głupotę, ale naród głuchy na wołanie.

— A organista jest? — spytał wikary.

— Jakże nie byłoby w naszym kościele organisty? — oburzył się Łukasz, — jest, i gra, co prawda ślepy, ale gra lepiej, aniżeli taki co ma oczy.

— Jak się nazywa?

— Ignacy Białosiński, ma tu we wsi brata ciote-

cznego i u niego siedzi. W roboczy dzień nie przychodzi, ale każdej niedzieli wygrywa na organach.

— Idźcie dzwonić... już czas.

Wkrótce nad wsią popłynęły dźwięki rozgłośne z wieży kościoła. To ranne nawoływanie dzwonów zdziwiło mieszkańców. Pytano się, czy kto zmarł, czy zaszedł wypadek nadzwyczajny? aż rozniosło się domniemanie, iż zapewne nowy ksiądz odprawia mszę i do niej wzywa.

Jacy tacy, co nie mieli pilnej roboty w chałupie lub stodole, wiedzeni ciekawością szli do kościoła, ażeby ujrzeć nowego księdza.

Przykład ten podziałał na innych i ku wielkiemu zdziwieniu Łukasza zebrała się spora gromadka ludzi na mszę ranną.

— Sam dobrodziej zobaczą, jaki to naród pogański, — mówił do wikarego, ubierając się w komżę, ażeby godnie służyć do pierwszej mszy nowego księdza, — zeszli się jak na widowisko, a bywa, że dzwonię a dzwonię, a ledwie kto zajrzy. Świętą cierpliwość trzeba mieć z tymi grzesznikami.

Wikary puścił mimo uszu słowa kościelnego, a widząc go gotowym, dał znak, ażeby szedł.

Gdy ksiądz wchodził, poczuł na sobie ciekawe spojrzenia, usłyszał szepty, szorowanie nogami, kaszlanie, odchrząkiwanie, a wszystko ucichło, gdy wszedł po stopniach i zaczął odprawiać mszę świętą.

Gdy skończył nabożeństwo, a niecierpliwsi z wiernych gotowali się do wyjścia, wikary, odstawiwszy kielich, odwrócił się twarzą do kościoła i przemówił głosem dźwięcznym:

— Najmilsi bracia i siostry w Chrystusie! Wielki

post jest przeznaczony do rozpamiętywania męki i śmierci Chrystusa Pana. Dziś, w piątek, przed zachodem słońca odprawię z wami nabożeństwo drogi krzyżowej. Ktoby z was wiernych chciał przystąpić do świętego sakramentu pokuty, może przyjść dzisiaj przed południem i z południa do kościoła. Jutro będę w konfesyonale przed południem i popołudniu. Żaden post o chlebie i wodzie, żadne biczowanie do krwi, nie mają takiej zasługi, jak pobożne i serdeczne rozmyślanie męki Zbawiciela i przystępowanie ze skruszonem sercem do sakramentu pokuty. To wam zalecam, jako kapłan miłujący was szczerze i gorąco. Amen!

Wyszedł do zakrystyi.

Po pierwszem zdumieniu gromadka parafian ocknęła się, ruszono ku wyjściu i rozległy się szepty:

— Dobry księżyk... serdeczny!

— A jak słodko przemawia!

— Temu pilno do nabożeństw!

— Ale czy na długo?

— Pomiarkował się proboszcz i sprowadził dobrego księdza.

Te i podobne rozmowy prowadzili ludziska, a sporo ich przyostało przy kościele, ażeby lepiej się przyjrzeć wikaremu.

Wyszedł spokojny, z rozjaśnioną twarzą, na ukłony odpowiadał ukłonem uprzejmym, niemal pokornym i szybko znikł w ogrodzie plebańskim.

– Już po mszy? tak rano? — przywitała go Blińska uprzejmie, — może ksiądz wikary przyjdzie na śniadanie... zaraz podam, czekam tylko na księdza proboszcza.

— Wkrótce przyjdę.

— Pytał się też ksiądz proboszcz, dlaczego tak rano zerwał się ksiądz wikary. Czy może było niewygodnie?

— Dobrze było, ale zawsze wstaję rano.

— A ksiądz wikary pogardził naszą pościelą, — starała się zażartować.

— To nie... Jestem przyzwyczajony do mej seminaryjskiej pościeli i unikam wszelkich zmian, — skinął głową na pożegnanie i poszedł do swego pokoju.

Na śniadanie zawołała go Kasia, mówiąc w progu:

— Jegomość mnie przysłali, kawa stygnie na stole.

Po przywitaniu, gdy usiadł, podziękował za kawę i poprosił o szklankę herbaty.

— Cóż to, i kawy nie pijesz? — spochmurniał proboszcz.

— Pijam czasami, ale w piątki wielkopostne prócz herbaty nie jadam nic gotowanego.

— Hm... twoja wola... ale będę miał lichą wyrękę z ciebie, gdy będziesz się tak zawzięcie umartwiał. Zmarniejesz i siły stracisz.

— O tak źle nie będzie, — uśmiechnął się.

— No, jakże, księże Stanisławie, mój kościół? Podobał ci się?

— Czystość i staranność w utrzymaniu przyniosłyby chlubę każdemu proboszczowi, — mówił szczerze.

— A widzisz! — uśmiechnął się przyjaźnie, — ten kościół to oko w mej głowie. Zastałem ruderę zaniedbaną, brudną, stęchłą, a teraz nie powstydziłoby się go miasto powiatowe. Napracowałem się, oszczędzałem, ale kościół jest.

— Istotnie wielka to zasługa, stworzyć taki przybytek pański i gdyby...

— A tak, tak, — przerwał mu proboszcz z żywością, — gdyby usunąć tę wilgoć przeklętą... I to się zrobi.

— Nie myślałem o wilgoci, — mówił cicho wikary, — ale o wiernych... w ich sercu byłby najmilszy Chrystusowi przybytek.

— W ich sercu!? — zadrwił proboszcz, — tam gnój grzechów. Porubstwo, obłuda, kłamstwo, pijaństwo... no, wybrałeś też ładne miejsce, — śmiał się złośliwie. — Czy dużo zeszło się ludzi na mszę twoją?... Dzwoniłeś, że sam zerwałem się z łóżka, sądząc, że pożar wybuchł, słyszała dzwony cała wieś i pewno przyszło kilku dewotów, ze trzy baby i koniec. Co, czy nie tak?

— Zebrało się około czterdziestu ludzi w różnym wieku.

— Aż tylu!? — zdziwił się, a po chwili z miną wzgardliwą: — przyszli na widowisko... nowy ksiądz, więc gapią się, ale nie z pobożności, nie dla wysłuchania mszy świętej. Zobaczysz wkrótce, że przed ławkami pustemi będziesz odprawiał nabożeństwo. Ja mszę odprawiam tylko dla własnej pobożności, a inne nabożeństwa przez poczucie obowiązku i dla ćwiczenia się w cierpliwości.

— To smutne, — westchnął wikary. — Dziś zapowiedziałem spowiedź i drogę krzyżową.

— Na drogę zlecą się ciekawi, ale w konfesyonale możesz wyspać się i prócz starych bab, które plotą koszałki opałki, nikt się nie zgłosi, chyba pod przymusem moralnym.

Jakiś czas milczeli, ksiądz proboszcz kończył śniadanie, a gdy zapalił papierosa, spytał:

— No, jakże tam z tym grzesznikiem Gawińskim?

— Umarł, wyspowiadawszy się przykładnie.

— Mówili co o pogrzebie?

— Nie.

— Zwracam też księże wikary twoją uwagę na niewłaściwość zachowania się twego.

— Jaką? — zarumienił się.

— Jeśli ktoś ofiaruje ci pieniądze na mszę świętą, nie pogardzaj ofiarą. To odstręcza ludzi, bo co tanio przychodzi, to się lekceważy. Dawała ci trzy ruble, należało wziąć. Zawsze lepszy użytek z nich zrobisz, aniżeli ona. I na przyszłość proszę zaprzestać tego rodzaju szkodliwych eksperymentów, — kończył surowo.

To skarcenie wypowiedziane w przykrym tonie, rozdrażniło wikarego i odpowiedział dość porywczo:

— Daruje ksiądz proboszcz, ale w tej sprawie mam pogląd trochę odmienny.

— Jaki? — spytał zimno i dumnie.

— Wezmę pieniądze, jeśli ofiarujący daje mi na pobożną intencyę, z rozmysłem i ze szczerego serca. Nie mogę jednak korzystać z ofiary danej pod wpływem chwilowego wzruszenia, czego później ofiarodawca gorzko żałuje.

— No, no... mógłbyś księże wikary czekać do dnia sądnego, — dodał proboszcz, — a nie znajdziesz takiego, przynajmniej w mej parafii. A przecież jeść musisz, ubrać się i żyć stosownie do twej godności. To są młodzieńcze, niedowarzone pomysły i nie praktykuj ich w mojej parafii.

Wikary pobladł, ale zacisnął usta, dopiero po chwili rzekł przytłumionym głosem:

— O ile będę mógł i będzie to zgodne z mojem

sumieniem, zastosuję się do rozkazu księdza proboszcza, — wstał z krzesła.

— I dobrze zrobisz, — dorzucił proboszcz, — bo zważ, księże Stanisławie, że wszelkie nowinki w kościele katolickim pachną herezyą.

— Wiem o tem, — mruknął wikary i skłoniwszy się poszedł do kościoła.

Proboszcz zachmurzony patrzał za nim, a gdy znikł za drzwiami, westchnął.

Blińska, która weszła w czasie ostatnich słów proboszcza, spojrzała ze współczuciem na brata, westchnęła również i powiedziała z cicha:

— Niechże się brat nie martwi... zawsze jest z niego pomoc i wyręka.

— Et... co ty wiesz o tem, — zgromił ją, — pilnuj garnków... Czy zgodziłaś się z nim o śniadanie i wieczerzę?

— Nie, jeszcze... nie było sposobności.

— Hm... a jak myślisz siostro, ile mu policzyć za obiady?

— Ile?... Gdyby jadł tak jak my, wiedziałabym... ale te jego posty psują mi rachunek.

— Ano... zaczekajmy, nie ucieknie nam. Jeszcze jedno, dziś mi pójdziesz na nabożeństwo drogi krzyżowej.

— Ja?... mam tyle zajęcia, a na Kaśkę nie mogę się spuścić w niczem.

— Pójdziesz, mówię, — podniósł głos, — i dla nabożeństwa i dla przykładu.

— Dobrze, bracie dobrodzieju, — westchnęła.

Do obiadu wikary nie zasiadł, gdyż nie jadł nic

gotowanego, ale proboszcz zaciekawiony, czy dużo ludzi było u spowiedzi, rzekł do siostry:

— Niech też siostra dowie się od Łukasza ile penitentów miał wikary?

W czasie obiadu Kasia przyniosła wiadomość, że u spowiedzi było cztery osoby. Dwie stare niewiasty, jeden gospodarz i dziewka.

— A co, czy nie mówiłem? — powiedział proboszcz.

— O czem dobrodzieju? — spytała Blińska skwapliwie.

— Naszemu wikaremu, że naród to zatwardziały i jak nie napędzić, nie przyjdzie do spowiedzi.

— Święte słowa... niepoprawni to grzesznicy, — potakiwała.

— Dla czterech ludzi cały ranek przesiedział w zimnym kościele... I jemu jeszcze dobrze, co najwyżej nabawi się kataru, ale co byłoby ze mną? — westchnął żałośnie.

— Czy bratu dokucza noga?

— Wyobraź sobie siostro, że wczoraj u Horodelskiego prawie nie czułem bolu, chociaż piło się to i owo a dziś po marnym kieliszku nalewki raz po raz strzyknie

— Niechże brat nie wychodzi, — doradzała, — taka wilgoć i wiatr się zrywa.

— Ja też ani myślę narażać się na chorobę... muszę się zaszanować przez dziś i jutro, ażeby odprawić sumę z kazaniem w niedzielę.

— Sądziłam, że wikary zastąpi brata dobrodzieja w służbie bożej... młody jest, a brat sterał swe zdrowie z tymi bezbożnikami.

— Nie, nie uchodzi, — zrobił przeczący ruch gło

wą, — muszę młodemu dać przykład, jak się kieruje parafią.

— Brat święty człowiek, gdzież poszukać drugiego, któryby tak dbał o naukę i przykład!?

— Et, co siostra wie o obowiązkach kapłańskich! Nie twój rozum do tego... ale co to za hałas?

Blińska pobiegła i za chwilę wróciła mówiąc:

— To Gawińska o pogrzeb.

— Niech zaczeka.

Skończywszy herbatę i papierosa, wstał i podpierając się laską, poszedł do kancelaryi.

Gawińska z synem ucałowawszy rękę proboszcza stanęła przy drzwiach i czekała.

— Czegoś tu przyszła? — spytał surowo.

— A to względem pochowku mojego chłopa, — rozpłakała się.

— Nie becz tutaj, tem go nie wskrzesisz, a mnie nie rozczulisz... Świadectwo wójta o śmierci masz?

Wyjęła z zanadrza papier i podała księdzu. Odczytał, odłożył i mówił gniewnie:

— Grzesznik to był wielki, nie wart ziemi poświęconej... do spowiedzi nie chodził... wygrażał się kapłanowi.

— Spowiadał się w mieście.

— Kłamał! — zawołał ostro, — obowiązkiem jego było spowiadać się w parafialnym kościele.

— Tatuś nie kłamali, — odezwał się syn.

— Milcz trutniu!... Jeśli w mieście się spowiadał, niech go w mieście pochowają, rozumiesz!? — uderzył ręką w stół.

— Jegomość, ulitujcie się naszej biedy i żalu... gdzieżby zaś grzebać gospodarza w mieście, wśród obcych?! — ucałowała jego rękę.

— Jakiego chcesz pogrzebu? — spytał łagodniej, — czy tylko pokropienia trumny?

— Co zaś!? Gospodarz był i należy mu się pogrzeb chrześcijański.

— Czy mam iść aż na cmentarz? Ze śpiewem, czy bez?

— A juści ze śpiewem.

— Czy trumna wstąpi do kościoła?

— Tak się patrzy.

— Hm... taki pogrzeb kosztuje dwadzieścia pięć rubli, a pokładne, grób, kościelny w komży i dwóch wyrostków ze świecami razem pięć rubli. Dasz trzydzieści rubli, będzie pogrzeb gospodarski.

— O Jezu miłosierny! — załamała ręce, — taki grosz!? A skądże ja wezmę nieboga! A, mój jegomość złoty! dobrodzieju nasz, ulituj się sierot nieszczęśliwych!

— A ty co sobie myślisz!? — krzyknął groźnie, — czy przyszłaś do żydowskiego kramu targować się? Chcesz pogrzebu gospodarskiego, to płać co należy, a nie, to nie. Pochowaj go pod gruszą w polu. Ulitowałem się nad tobą i zezwoliłem na pogrzeb chrześcijański, na który on wcale nie zasłużył.

Gawińska jednak tak prosiła, płakała, kolana ściskała, że proboszcz dodał do pogrzebu jeszcze mowę wikarego nad grobem. Stanęło tedy na trzydziestu rublach płatnych przed pogrzebem.

Tegoż dnia Blińska, po skończeniu drogi krzyżowej, szybko poszła do plebanii, a chcąc zdać sprawę proboszczowi, weszła do jego pokoju.

Zastała go przy modlitwie, a spotkawszy się z surowem spojrzeniem cicho zamknęła drzwi i zajęła się przygotowaniem wieczerzy.

Po pewnym czasie zawołał ją proboszcz do siebie.

— Czego wpadłaś do mnie jak bomba? Co się stało?

— Wróciłam z kościoła i chciałam bratu opowiedzieć.

— Nie bardzom i ciekaw... ale mów kiedy chcesz. Jakież nabożeństwo?

— Bardzo ładne... On ma głos dobry i ślicznie śpiewa, ale za to chłopstwo wrzeszczało i piszczało, że aż uszy puchły.

— I dużo się zebrało?

— O, cała kupa narodu.

— Jak na widowisko, — mruknął, — to tak zawsze... Czy przypominasz sobie Marto, jak nastałem, to tak zapchali kościół, że z ciężką biedą przeciskałem się do ambony.

— Pamiętam dobrze... i dziedziczka z dziećmi była i rządca, ekonom, pisarz. Dobre to były czasy, — westchnęła.

— Głupia jesteś, złe czasy były.. kierowała nimi zdrożna ciekawość świecka, a jak zażądałem poprawy i pokuty za grzechy i występki, zaraz odpadły fałszywe owce.

— Prawda, święta prawda, — potakiwała; — czy brat na wieczerzę zje kluseczek ze serem?... Ale może lepiej francuskie, kładzione, bo lżejsze.

— Co mi tam... byle głód zaspokoić, ale daj francuskie, bo coś niezdrów się czuję.

— Zaraz zrobię — wyszła szybko z pokoju.

Przy wieczerzy kazał proboszcz poprosić wikarego i przemówił dość uprzejmie:

— Posil się księże wikary, spracowałeś się dzisiaj.

— Prosiłbym o pozwolenie dotrzymania mego ślubu... Wystarczy mi herbata i chleb.

— To źle, — ściągnął proboszcz brwi krzaczaste, — zważ, że z tytułu mej godności i wieku należy mi się twoja uległość.

— W sprawach kościelnych jestem, zdaje mi się, posłuszny, i będę zawsze... a jedzenie to taka drobnostka, — uśmiechnął się jak dziecko.

— Nie miałem tego na myśli, — nauczał proboszcz, — ale zwracam ci uwagę że zbyt się gorączkujesz... Musisz wiedzieć, że koń, który odrazu zrywa się do galopa, szybko ustaje i do celu nie dojedzie. Tak i z człowiekiem, wszystko w miarę, bo przed sobą masz długą i ciężką drogę.

— Postępuję, księże proboszczu, stosownie do mych sił i ufam Jezusowi Najmilszemu, że nie poskąpi mi swej opieki.

— Powiedz mi... ile miałeś dzisiaj penitentów?

— Sześciu.

— A widzisz... Straciłeś cały dzień w konfesyonale, było sześciu, i to dewotów spowiadających się nie z potrzeby duchowej, ale z grzesznego urojenia.

— Dziś było sześciu, a jutro może przyjść sześćdziesięciu, jeśli Panu Bogu się spoboba.

— No, no... zobaczymy, — uśmiechnął się z niedowierzaniem. — Daleki jestem od zniechęcania ciebie, i owszem, pracuj w winnicy pańskiej, ale w miarę, z rozwagą.

— Dobrze, księże proboszczu.

— Jutro poprowadzisz kondukt pogrzebowy Gawińskiego na cmentarz. Masz powiedzieć krótką mowę nad grobem.

— Rozumiem.

— Gawińska zapłaciła za pogrzeb dwadzieścia osiem rubli pięćdziesiąt kopiejek. Z tego przypada na ciebie według naszej umowy, siedem rubli dwanaście kopiejek, a oprócz tego należy ci się także rubel i pięćdziesiąt kopiejek za mowę pogrzebową. Razem zapiszę na twe dobro osiem rubli sześćdziesiąt dwie kopiejki. Rachunki będę regulował co miesiąc.

— Dziękuję księdzu proboszczowi.

— No, a jak tam Łukasz się sprawia?

— Trochę mrukliwy i zbyt czarno patrzy na świat i ludzi, — uśmiechnął się, — słowa: grzesznicy, obłudnicy, bezbożni, są ciągle na ustach, ale to obowiązkowy kościelny i utrzymuje czystość.

— W tem moja zasługa — rzekł proboszcz, — dużo pracy mnie to kosztowało, ale przyzwyczaiłem go do porządku i posłuszeństwa.

— Czy i do bezbożników? — zażartował wikary z uśmiechem.

— Wierz mi, księże Stanisławie, że człowiek prostego serca, jak kościelny, wcześniej i lepiej przejrzy prawdę, aniżeli przemędrkowani asceci.

IV.

I przyszła niedziela przedostatnia postu, niedziela Męki Pańskiej.

Dzień był jasny, pogodny, a drogi błotniste podeschły, osuszone wiatrem. Z rozległej parafii zjechali się liczni wierni na nabożeństwo. Przed kościołem zaroiło się od furmanek i ludzi, a Kościenieccy szeroko

i długo opowiadali o nowym księdzu, jego gorliwości i dobroci w spowiadaniu, o pięknem nabożeństwie drogi krzyżowej, a najbardziej chwalili mowę pogrzebową, na której nietylko rodzina i krewni, ale wszyscy obecni spłakali się, tak chwytała za serce.

Byli tacy, którzy niedowierzali tym pochwałom.

— Ano, sami posłyszycie, jeśli tylko dziś ten młody księżyk będzie kazał.

— Ale czy będzie? — dopytywano się.

W tej wątpliwości udali się do kościelnego, a on im na to:

— Pogański z was naród, nie idzie wam o nabożeństwo, o skruchę i pokajanie się przed Panem, ale włazicie do przybytku pańskiego dla grzesznej ciekawości, — i gniewny odwrócił się.

Co prawda sam nie wiedział, kto będzie kazał, ale nie chciał tego pokazać ludziom.

Wikary, odprawiwszy jak zwykle, mszę świętą o siódmej rano, miał asystować proboszczowi przy odprawianiu sumy. Wiedząc, że kazanie to miało być wskazówką i nauką dla niego, był ciekaw usłyszeć proboszcza.

Ewangelia na tę niedzielę przypadała ze św. Jana, rozdział ósmy, w którym Chrystus, gdy uczeni i faryzeusze przywiedli do niego grzeszną niewiastę, skazaną według praw Mojżesza na ukamienowanie, wyrzekł te piękne słowa: »kto z was jest bez grzechu, niech na nią pierwszy kamieniem rzuci«. Następnie nauczał w kościele, wytykając żydom ich zatwardziałość, czem rozgniewani chcieli go ukamienować.

Przed oczyma wikarego stanął jak żywy obraz Chrystusa pełnego miłości i przebaczenia. Widział słodką twarz Chrystusa, który otoczony sfanatyzowanymi ka-

płanami pragnącymi śmierci występnej niewiasty, pogodnie, z niebiańską miłością patrzy i przebacza grzesznicy. Ta niewysłowiona dobroć Chrystusa przejmowała go drżeniem miłości i współczucia dla grzesznych i cierpiących. W takim nastroju poszedł do kościoła, ażeby asystować przy sumie.

Nadeszła chwila kazania. Proboszcz szedł twardo i dumnie przez szpaler ludzi do ambony. Zwolna wstępował na schody patrząc badawczo na zgromadzonych. Stanął, rozejrzał się i rzekł głośno:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Odpowiedział mu głuchy pomruk w całym kościele.

»Porwali tedy kamienie, aby nań ciskali, lecz Jezus schronił się i wyszedł z kościoła, przechodząc przez pośrodek ich, i tak uszedł... Tyle słów ewangelii świętego Jana... Tak było za życia Jezusa Chrystusa według słów świętej ewangelii, a dzisiaj!? Czyż nie kamienujecie Chrystusa każdego dnia i godziny? Czy nie rzucacie na niego ostrymi kamieniami, które ranią boskie jego ciało i zmuszają do ucieczki przed wami, bezbożnikami! Rzucacie kamieniami stokroć cięższymi i bardziej raniącymi, aniżeli żydzi, bo kamienie te, to wasze grzechy, nieprawości, bezbożności! Dbacie tylko o wasze brzuchy, toniecie w porubstwie i nieczystości...«

A im dalej, tem bardziej sam się podniecał i krzyczał, wyzywał, karcił, groził karami bożemi, chorobami pomorkiem bydła, nieurodzajem. Zaś ci, którzy nie przystąpią do sakramentu pokuty w czasie wielkanocnym, będą gorzeli w piekle przez całą wieczność. I jaskrawemi słowy malował męki i cierpienia w piekle.

Wikaremu nie podobało się kazanie, czuł żal do proboszcza za zmarnowanie wzniosłych słów ewangelii,

a niesmak wobec ostrych nagan i brutalnych opisów mąk piekielnych.

Spojrzał na tłum pobożnych. Przy głośnych i surowych słowach podnosiły się z tłumu westchnienia i jęki, lecz milkły wkrótce, a na twarzach odbijała się obojętność. Wzdychania, jęczenia, bicie się w piersi, nosiły charakter odruchowy, bez udziału uczucia i rozumu.

To spostrzeżenie zniechęciło go trochę do parafian. Zatwardziali są, pomyślał, i kto wie, czy proboszcz i Łukasz nie mają racyi, narzekając na ich bezbożność.

Przypomniał sobie, że do spowiedzi przez sobotę i ranek niedzielny zgłosiło się mało penitentów i wierni stronili widocznie od kościoła.

Przy obiedzie proboszcz, nie mogąc się doczekać z ust wikarego pochwały swego kazania, do którego się starannie przygotował, rzekł:

— Czy słyszałeś, księże Stanisławie, to moje porównanie grzechu nieczystości z płomiennym kamieniem?

— Tak jest.

— No i cóż ty na to? Czy nie było ono słuszne i sprawiedliwe?

— Istotnie, nieczystość jest najwstrętniejszym grzechem i da się porównać chyba z kamieniem piekielnym. Samo dotknięcie zostawia na duszy niezatartą plamę.

— Masz słuszność, — przerwał mu zniecierpliwiony proboszcz, — ale co powiesz o mojem kazaniu?

— Kazanie? — zawahał się.

— Mów śmiało... zawsze cenię szczere zdanie.

— Wydało mi się zrazu zbyt ostre i surowe, ale widząc obojętność wiernych dorozumiewam się, iż było ono z konieczności tak karcące i jako takie było bardzo dobre.

— A widzisz? Nie chciałeś wierzyć mi, że ta parafia taka grzeszna i zatwardziała, a teraz sam się przekonałeś. I nie tyle winni ci ludzie, ile te pisma i książki ludowe, szerzące niedowiarstwo i herezyę. Tępię też bez litości takie rzeczy.

— Zabrania im ksiądz proboszcz uczyć się czytać i pisać? — zdziwił się szczerze wikary.

— To nie... szkołą zresztą nie zarządzam niestety,— westchnął, — i owszem, chłopak zdolny i sposobny niech idzie do szkoły, ale chłopu, gospodarzowi naco te nauki!? Wystarczy, jeśli umie modlić się z książki do nabożeństwa, ale poco mu te mędrkowania głupich gazet i książek świeckich?

— O, tak... złe książki i dzienniki działają jak trucizna, — potwierdził wikary, — są jednak książki podnoszące ducha...

— Tylko nie świeckie, — przerwał mu surowo proboszcz, — jeśli ja, ksiądz, nie potrzebuję żadnych książek i nauk świeckich, naco i poco one chłopom?

Na twarzy wikarego odbił się pewien niepokój, gdyż posiadał książki świeckie, i po chwili spytał:

— Czy ksiądz proboszcz nie trzyma jakiego dziennika?

— Ja!? — zawołał z oburzeniem, — jeszcze tego brakowało, ażebym płacił za żydowskie wymysły i pogańską truciznę!? Mam »Przegląd Katolicki« i to mi wystarcza najzupełniej.

— No, tak, — mówił wikary z wahaniem, — ale chociażby ze względu na obowiązki kapłańskie, na poznanie ducha czasu i oddziaływanie na złe wzrastające, jeden dziennik jest potrzebny.

— Czy ksiądz wikary zaprenumerował jaki? — spojrzał podejrzliwie.

— Tak jest... ale to dziennik katolicki, prawowierny, — zarumienił się.

— Baje! Jak może świecki człowiek znać dokładnie ducha chrześcijaństwa i religii katolickiej!? Raz napisze dobrze, a sto razy fałszywie, bo tylko jeden kapłan zna wszelkie odcienie ducha szczerze katolickiego... I jakkolwiek nie zakazuję księdzu wikaremu prenumerowania dziennika, ale żądam i proszę, ażebyś tej trucizny nie udzielał nikomu.

— Dobrze, księże proboszczu.

To przyrzeczenie nie umniejszyło jednak wzburzenia proboszcza, który zapaliwszy nowego papierosa rzekł z przekąsem:

— Musisz, księże Stanisławie, bardzo być pewnym siebie i swej świętości, skoro dobrowolnie, ba, nawet dopłacając, bierzesz w rękę taką zarazę i zgniliznę. Wiedz jednak, że prorok mówi: kto miłuje niebezpieczeństwo, w niem zginie. Zauważ, że tekst święty nie mówi, iż jest rzeczą możebną, że zginie, ale że zginie napewno, niechybnie.

— I ksiądz proboszcz nigdy nie czytał gazet? dzienników? — dziwił się wikary.

— Owszem, za młodu, nawet prenumerowałem, coś przez kwartał, ale gdym dojrzał dyabelskie sidła i chytrość jego pomiędzy wierszami, odwołałem prenumeratę. I wierz mnie staremu, ile razy zajrzę do dziennika, zawsze odnajduję szpony odwiecznego wroga kościoła katolickiego.

Nie podobała się ta surowa krytyka wikaremu,

który nawykł był od młodości do czytania swej gazety i rzekł z pewną nieśmiałością:

— Zapewne ksiądz proboszcz miał w ręku bezbożne dzienniki, gdyż ja nie spotkałem w mej gazecie nic przeciwnego kościołowi.

— Bo nie umiesz czytać, — wybuchnął proboszcz, — a czytając nie rozumiesz.. Znam ja te dzienniki katolickie, — mówił z ironią, — oto w jednej korespondencyi chwalą wikarego, a o proboszczu, ani słowa. Czy to nie jest sianie niezgody, nienawiści, czy nie robota dyabelska?... Tam znów skargi na opuszczenie kościoła, na zaniedbywanie się plebana, na częste wyjazdy; a co świeckim do kościołów i kapłanów? Od tego jest władza duchowna, a świeckim zasie, bo to sieje niewiarę, podaje w pogardę kapłanów. Tak czytaj, a zrozumiesz, gdzie są sidła szatańskie.

Wikary przypomniał sobie wmieszanie się naczelnika powiatu w sprawę osuszenia kościoła i bąknął:

— A naczelnik powiatu nie jest świecki?

— Nie! Ty mieszasz dwie różne rzeczy. Naczelnik to władza świecka, jak my duchowna. Pomyśl tylko coby się stało bez policyi? żandarmeryi? strażników ziemskich? Rozbój, anarchia, wszelkie łotrostwo... rozumiesz? Sam nawet Chrystus nakazał szanować władzę świecką. Oddajcie Bogu co boskie, a cesarzowi co cesarskie. I my musimy żyć zgodnie z władzą, tego wymaga spokój i bezpieczeństwo kościoła i kapłanów.

— Ależ!...

Proboszcz poczerwieniał z gniewu, oczy mu zabłysły, widać było, że stara się pohamować i po krótkiem milczeniu rzekł przytłumionym, głębokim głosem:

— Kapłan jest tylko kapłanem i dbać winien

o dusze powierzonej mu trzody. Wszystko co świeckie powinno mu być obce, a cóż dopiero propaganda polityczna!

— Ależ o propagandzie nie myślałem, — zaprzeczył wikary.

— Już samo twoje powiedzenie świadczy o duchu rewolucyjnym... Dość ażeby posłyszał strażnik te słowa, a stracę probostwo... Znam takie przykłady i kategorycznie zabraniam księdzu wikaremu odzywać się i myśleć w podobny sposób. Z powodu twych zgubnych przekonań nie myślę iść na żebry, bo nic innego nie pozostaje po stracie probostwa.

— Zastosuję się do żądania księdza proboszcza, — wstał wikary.

— A teraz gdzie idzie ksiądz Stanisław, — spytał nachmurzony, — nie podobała mu się moja nauka? Co?

— Idę słuchać penitentów... Czy mam odprawić nieszpory?

— Nie!... Tej niedzieli sam odprawiam nabożeństwa, a następną, palmową, oddam tobie.

— Dobrze, księże proboszczu.

Po jego wyjściu ksiądz Marski pokiwał smutnie głową, westchnął kilka razy i szepnął z goryczą:

— Zachciało mi się wikarego... no i mam gagatka.

Splunął z obrzydzeniem i pragnąc się pocieszyć zawołał:

— Marto!... Marto! — i do wchodzącej: — daj mi kieliszek zieleniaku. Wiesz, butelki w rogu piwnicy, z lakiem zielonym. Rozumiesz?

— Znam przecież. — Wyszła z pokoju.

Otóż to młodzież dzisiejsza, rozmyślał proboszcz z goryczą. Żadnego posłuszeństwa dla starszych, wszystko

robić swym niedowarzonym rozumem, zachciewa się im gazet, dzienników, chcą poznać ducha czasu, a w głowie fiu, fiu, sieczka, nic więcej.

Poruszył się niespokojnie na fotelu, ściągnął brwi i gniewnie patrzał przed siebie.

Weszła Blińska niosąc ostrożnie butelkę wina.

— Odkorkuj... ale ostrożnie; nie zmąć wina, a pilnuj korka...

Blińska otworzywszy butelkę, postawiła lampkę przed proboszczem i ostrożnie nalała wina.

Ksiądz wziął lampkę w dwa palce, spojrzał pod światło, skosztował smakując, skinął głową i nadpił połowę lampki.

— Niezłe!... Napij się i ty kieliszek przy niedzieli.

— Dziękuję bratu, — a wybrawszy mały kieliszek nalała sobie wina i stanęła przy stole.

— Spróbuj!... Jakże ci smakuje?

— Bardzo dobre, — a wiedząc, że zaproszenie na wino jest równoznaczne z pozwoleniem na rozmowę, usiadła i zaczęła po chwili: — Brat znów się frasuje... a kazanie było cudowne, spłakałam się jak bóbr.

Proboszcz popił wina, zapalił papierosa:

— Człowiek robi co może, chociaż wie, że to groch o ścianę... a co mi powiesz o wikarym?

Blińska nie wiedziała czy ma go zganić, czy pochwalić, wybrała tedy pośrednią drogę:

— Hm... wikary? Zdaje się niczego sobie... tylko mam kłopot z tym jego surowym postem, muszę oddzielnie gotować.

— To byłoby najmniejsze, — poruszył ręką obojętnie, — nie podoba mi się... napytałem sobie kłopotu.

— Bo też brat wszystko bierze sobie tak do serca.

Od czegóż rozkaz? Powiedzieć: nie chcę, nie pozwalam, i koniec.

— Zaraz, na samym wstępie, to nie uchodzi. Zresztą on gorliwy, ale po takiej gorączce bywa ostygnięcie raptowne i tego się boję.

— Łukasz mówił, że na wsi podśmiewają się już z tego siedzenia w kościele.

— Co tam wieś, nic mnie to nie obchodzi... hm... a co ludzie mówią?

— Że wikary przesiaduje w konfesyonale jak kokoszka na jajach.

— A łotry bezbożne! — oburzył się — i taka to nagroda dla kapłana pragnącego ich zbawienia! O zatwardziali i niepoprawni grzesznicy!

— Cóż dziwnego, że psuje się naród, — narzekała Blińska, — gdy mu się tka różne książki... gazety.

— Kto taki?

— A któżby, jeśli nie dwór.

— Szybicki? — zastanowił się przez chwilę, — chyba nie on. Zanadto ostrożny i wie czem to pachnie... chociaż taki wróg i bezbożnik na wszystko się waży, ażeby mi dokuczyć.

— Jeśli nie on, to ktoś z jego dworu, bo mówiła mi Marcinowa Dąbkowa, że u nich się schodzą na czytanie gazet i książek... A jeśli mają gazety, to przecież sami nie sprowadzili, ale ktoś im dał, zachęcił, a któż to zrobi, jeśli nie ze dworu.

— Do pewnego stopnia masz racyę, — zamyślił się. — Powiadasz Dąbek?... trzeba zbadać, czy to prawda?

— Sama nie wierzyłam, ale Dąbkowa zaprzysięgła się. Mają też cieliczkę...

— Po której?

— A z tej czarnej... mlecznej.

— Jakże nasza Łaciata? Powinna być na dniach, czy pilnują jej?

— Grzela sypia w stajni, a i ja też doglądam.

— To dobrze, a przypomnij mi jutro, ażeby Grzela poprowadził klacz siwą do odstanowienia.

— Czy do Horodelskiego?

— Tak jest, ma ślicznego ardena i może być ładny przychowek, bo i ona ma w sobie coś krwi.

— Nie zapomnę. A czy wie brat, że dziś na kazaniu był strażnik.

— Co mówisz? — zawołał, — strażnik!? To coś znaczy... od roku nie było żadnego.

— Może wstąpił po drodze?... może katolik? — mówiła uspokajająco.

— Także coś nowego, strażnik i katolik? Nie plotłabyś głupstw!

Nagle przypomniał sobie słowa wikarego, spochmurniał i rzekł surowo:

— Proszę cię, żadnych dysput z wikarym... książek też od niego nie pożyczaj, chociażby sam dawał, ani też gazet. Rozumiesz. Trzymaj się z daleka.

— Ja też nie myślę kwapić się do niego... a czy on trzyma gazety?

— Opowiedział mi się, gazeta niby to katolicka, ale od zarazy zawsze lepiej zdaleka.

— Że też brat pozwolił?

— Trudno... nie jest przecież w niewoli.

— O, będzie miał brat z nim kłopot.

— A tak, człowiek nigdy nie zazna spokoju, — narzekał, — źle bez pomocy, bo noga mi szwankuje,

a z pomocą też nie dobrze... Na stare lata muszę być nauczycielem.

— A gdyby tak o innego wikarego poprosić w konsystorzu? — bąknęła z nieśmiałością.

— Czy w głowie ci pstro!? — oburzył się, — czy myślisz, że konsystorz na moje usługi!?... A chociażby i zmienili, kto mi zaręczy, że nowy będzie lepszy? Dziś cała młodzież zepsuta, lekceważy starszych, przejęta głupiem nowatorstwem, niedorzecznemi mrzonkami... Czytałem coś o tem w Przeglądzie, ale myślałem, że to strachy na Lachy, tymczasem sam dostałem takiego ptaszka.

— Jeśli on drażni brata, możeby jadał w swym pokoju?

— O, nie! Muszę go wybadać, spenetrować jaki on? czego chce? To całe szczęście, że on, zdaje się, nie jest skryty obłudnik... takiego przejrzeć łatwo, — dokończył drugiej lampki wina, wstał i rzekł na odchodnem: — zdrzemnę się trochę, obudź mnie siostra na nieszpory.

— Czy sam jegomość odprawi?

— Tak jest, bo młodemu trzeba dać dobry przykład. Cierpiący jestem, a obowiązki kapłańskie spełniam.

Przy końcu nieszporów, gdy proboszcz schodził ze schodów i spojrzał w głąb kościoła, dostrzegł mundur strażnika.

To go zaniepokoiło, a gdy przyszedł do zakrystyi i Łukasz pomagał mu się rozbierać, spytał:

— Łukaszu, widziałeś strażnika w kościele?

— Widziałem, proszę księdza proboszcza, jest ich kilku we wsi.

— Kilku? Co to znaczy? Dlaczego przyjechali?

— Alboż to wiem... wiadomo, włóczą się, bo granica blizko.

— Ale poco byli w kościele?

— Pewno czegoś szukają.

— Dowiedz się coś pewnego i daj mi znać... ale ostrożnie.

— To się wie. Niech ksiądz proboszcz będzie spokojny, już ja się dowiem.

Właśnie usiadł do wieczerzy proboszcz skwaszony zjawieniem się strażnika w kościele, gdy od strony drogi posłyszał dzwonek.

— Byle tylko nie do nas, — zrobiła znak krzyża Blińska.

Proboszcz nasłuchując poruszył się niespokojnie i jakkolwiek nic widzieć nie mógł, patrzał w okna. Jeden tylko wikary jadł spokojnie kaszę.

Dzwonek zbliżał się, coraz głośniej odzywał się głos jego.

Proboszcz odłożył nóż i widelec, przestał krajać kotlet i mruknął niechętnie:

— To do nas... a bodaj go!

Przed gankiem plebanii, wśród ujadania psów, ustał dzwonek i turkot kół.

— Niech Kaśka poświeci, — rozkazał proboszcz, — a ty, Marto, przygotuj jedzenie jakie... to napewno urzędnik.

Po chwili z sieni doleciał do pokoju gruby głos:

— Ksiądz proboszcz w domu? Co?

— Jest — odpowiedziała Kasia.

— Nu, Semen, konie wyprzęgaj, owsa ci dadzą, a nie żałuj siana i ściółki — rozkazywał ktoś głośno.

Drzwi otworzyły się szeroko i do pokoju wszedł

blondyn łysawy, średniego wzrostu, z wielkim wąsem, w mundurze.

— A, pan naczelnik, — wstał proboszcz pospiesznie, — po głosie nie poznałem, byłbym wyszedł na spotkanie — ściskał rękę przybysza.

— Ot, po drodze ja zajechałem do księdza, po starej znajomości.

— Niechże pan naczelnik siada, bardzo mi przyjemnie, — wskazywał krzesło.

Naczelnik poruszył się zwolna, nie spuszczając oczu z wikarego, siedzącego spokojnie.

Dostrzegł to proboszcz i pospieszył:

— Ksiądz wikary Kęcki, — przedstawił, — pan naczelnik.

Uścisnęli sobie ręce, a naczelnik siadając przy stole, spytał wikarego:

— A ksiądz dawno przyjechał?

— Przed kilku dniami.

— Ot, dziwno, że nie wiadomo mi o tem. Dziś dopiero we dworze powiedziano mi o nowym księdzu.

— Ksiądz wikary, — objaśnił proboszcz, — przyjechał we czwartek wieczorem, a w piątek zameldowałem o tem wójtowi.

— Nu, dobrze... Ksiądz na stałe tutaj?

— Tak jest.

— Macie wyrękę proboszczu, możecie odpocząć. Nie wielka tam wasza praca, — zaśmiał się, — ale dobrze i od lekkiej odetchnąć.

— Może pan naczelnik pozwoli nalewki własnego wyrobu?

— Napić się nie zawadzi. Na obiedzie był ja we dworze, u pana Szybickiego, ale to człowiek niegrający.

Posłyszał ja, że u was wikary, tak do was na nocleg, złoży się partyjka i wieczór żywo przejdzie.

Proboszcz nalewał dwa kieliszki, a wikary się odezwał:

— Nie grywam w karty.

— Co!? — zdziwił się naczelnik — nie gracie!?

— Nie.

— Tak i jakiż z was ksiądz? — śmiał się, — żony u was niema, dzieci ślubnych także, to i czem zająć się u was wieczorami? Powiedzcie czem?

— Modlę się... czytam...

— Nu, na modlitwę jest u was kościół, a na czytanie dzień. Wam koniecznie trzeba grać w karty, dziś nauczymy was, a wy piśmienny człowiek, tak pojmiecie zaraz. Co, nieprawdaż proboszczu?

— Pan naczelnik ma racyę, — uśmiechnął się proboszcz, — ale przedtem napijmy się, — trącił kieliszek o kieliszek.

— Proboszczu, a gdzie trzeci kieliszek?... Ot, nie wiedział ja, że wy tacy skąpi, toż nie pożałujcie i wikaremu nalewki.

— Nie wina księdza proboszcza, że nie pijam alkoholów, — powiedział zaczerwieniony wikary.

Naczelnik wypił, zagryzł ogórkiem przygotowanym dla proboszcza i rzekł:

— Tak powiem prosto księdzu — patrzał na wikarego, — że wy niezwyczajny ksiądz. Mnie już czterdzieści lat, a piętnaście lat na służbie w tym kraju i jeszcze ja nie widział księdza, żeby on nie grał w karty i nie pił, co Bóg dał na stole.

— Złożyłem śluby i dotrzymam — rzekł wikary poważnie, gdy proboszcz i naczelnik śmiali się głośno.

— Śluby! — zawołał wesoło naczelnik, — tak wy prosto zakonnik! A czy wy wiecie, że u nas niema zakonów ani zakonników, tylko jeden klasztor Paulinów w Częstochowie.

Naczelnik miał twarz uśmiechniętą, kręcił wąs, ale oczy jego badawczo i podejrzliwie oglądały młodego księdza. Dostrzegł to proboszcz i zdjął go lęk tak o wikarego, jak i o siebie, i powiedział swobodnie:

— Panie naczelniku, u nas jest teraz wielki post i dużo jest takich, którzy w czasie postu umartwiają się, wstrzymując się od gry i picia.

— Nu, ja to rozumiem, że wielki grzesznik pokutę odprawia w poście, ale ksiądz może sobie odpuścić każdy grzech i umartwień nie potrzebuje, — śmiał się i wyjąwszy papierośnicę podał proboszczowi mówiąc: — u mnie doskonałe papierosy, spróbujcie! — następnie zwrócił się do wikarego: — zapalcie proszę.

— Dziękuję, nie palę.

— Oj, dziwo, nie człowiek — zawołał zdziwiony. — Ksiądz, i nie pali, nie pije, nie gra... tak wy tylko panienki lubicie, — śmiał się, — nu, wybrał sobie część najlepszą.

Proboszcz ukrył starannie swe niezadowolenie, uśmiechając się pobłażliwie, zaś wikary rozdrażniony tymi żartami i drwinami wstał i rzekł:

— Pozwoli ksiądz proboszcz, że przejdę do mego pokoju. Nic tu po mnie, bo nie palę, nie gram, nie piję, — kończył nie bez ironii.

Proboszcz przez chwilę był niezdecydowany, ale w końcu powiedział pospiesznie:

— Zostań, księże wikary... Po kolacyi, gdy zasiądziemy do pikiety, pójdziesz.

— Ja was nauczę grać w karty, — żartował naczelnik, — siadajcie!

— Księże proboszczu, — rzekł tonem stanowczym wikary, — dziś cały dzień słuchałem spowiedzi, jestem zmęczony, a jutro czeka mnie również praca... idę, — skłonił się i nie czekając odpowiedzi, wyszedł.

Proboszcz cokolwiek się zaniepokoił, wreszcie rzekł:

— Co tam, młody jeszcze... nieobyty w świecie, — uśmiechnął się, — prosto ze seminaryum, życia nie zna.., Wypijmy, panie naczelniku, czy zła moja nalewka?

— Hm... nalewka dobra, wypić takoż mogę, — wychylił kieliszek — ale powiem wam, że ten młody ksiądz nie podobał mi się. Mówicie, młody, toż i ja był. młody i wy też, no my szanowali starszych, słuchali i pilnowali zwyczajów... Wypić, to wypić, grać, to grać, a zapalić... Ot pomnę, że cygaretki w gębie nie miał a naczelnik powiada: pal cygaretkę! Tak i cóż, zakrztusił się człowiek, mało nie udusił, ale rozkaz był, to i palił.

— Życie go nauczy, będzie inny, — usprawiedliwiał proboszcz. — Mało go znam, ale dotychczas jest gorliwy i pobożny... daj Boże tak i nadal, westchnął.

Kasia wniosła befsztyki, ogórki, kompoty, ser, masło. Naczelnik jadł z apetytem, nie żałując ani nalewki, ani wina.

Proboszcz, upatrzywszy stosowną chwilę, spytał z niewinną miną:

— Czy pomiędzy strażnikami są i katolicy?

— Trafia się, ale rzadko, a wy dlaczego pytacie mnie o to?

— Dziś był w kościele strażnik.

— Nu, to nie na was proboszczu, wy prawo-

myślny człowiek, ja was znam, wy nie z tych, co naród buntują.

— To już napewno... sam ostrzegam ludzi.

— Dobrze robicie, bo znów rozdają chłopom pisma zakazane, jakieś odezwy, ot, szerzą bunt.

— Jakież to czasy! Jacy ludzie! — westchnął proboszcz z politowaniem.

— Nu, te agitatory myślą sobie, — uśmiechnął się złośliwie, — że my sił nie mamy...

— Powiem, — skinął proboszcz głową, — że to wprost zbrodnia zakłócać porządek państwowy w takiej ciężkiej chwili, Bóg jednak strzegł, że u nas cicho i spokojnie.

— Co wy wiecie, — zaśmiał się naczelnik, — czy myślicie, że ja dla obiadu u Szybickiego, albo dla waszej wieczerzy tłukł się po tych podłych drogach?

Proboszcz znów wspomniał strażnika w kościele i pełen niepokoju rzekł:

— Pan naczelnik żartuje chyba... Gdyby coś było w naszej okolicy, ja pierwszy wiedziałbym. Moi parafianie nie mają sekretów przedemną.

— Ot i mają! Z Prus dali mi znać, że na Rudniki i Kościeniec poszła kontrabanda zakazanych pism, książek i innych papierów. Nu, widać, mało wam było awantur!

— Co też pan naczelnik mówi!? A niechże nas Pan Bóg broni i zachowa! — przeżegnał się proboszcz.

— To wy mówicie, a inni inaczej. Ta kontrabanda jest gdzieś tutaj... i ja ją znajdę, z pod ziemi wydobędę, — uderzył ręką w stół, wypił lampkę wina i bacznie spojrzał na proboszcza.

— Daj Boże, bo złe w samym zarodzie należy niszczyć, — rzekł pobożnie.

— Nu, a może ona u wikarego? — rzucił naczelnik.

— A niechże Bóg broni! — zaprzeczył gwałtownie proboszcz. — To niemożliwe.

— Ot, posłuchajcie mnie spokojnie. Ten młody ksiądz przyjecbał tu, na plebanię, we czwartek. Czy tak?

— Tak jest, we czwartek przed obiadem.

— Nu, i zaraz tego dnia pojechał chłopskim wózkiem do Rudnik. Co? Tak i czego pojechał?

— Z wiatykiem do umierającego Gawińskiego, którego pogrzeb odbył się wczoraj.

— To wiem bez was... Nu, dziwno bardzo, że on z podróży naparł się jechać zaraz do Rudnik. A właśnie we czwartek przewieziono kontrabandę z Prus.

— Ja ręczę za wikarego, — upewniał proboszcz, — on nikogo tu nie zna, nikt u niego nie był.

— Wy ręczcie za siebie, nie za drugich, — powiedział szorstko, — mnie donieśli strażnicy wszystko. Ja muszę go wziąć do protokółu.

— Jeśli pan naczelnik żąda, to naturalnie on będzie posłuszny... ale jeszcze raz upewniam, że on niewinny.

— Zobaczymy... zobaczymy, — uśmiechnął się zagadkowo. — Tak wybierajcie proboszczu, albo on jutro stawi się u mnie w kancelaryi, albo go zaraz tutaj przesłucham i przekonam się o jego winie.

— To już lepiej zaraz, pójdę i sprowadzę go tuaj, — wstał od stołu.

— Nu, nie! — zatrzymał go za rękaw, — nie wy, ylko służąca.

— Dobrze!... Hej! Kaśka!

Weszła i stanęła zmieszana przy drzwiach, a proboszcz do niej:

— Pójdziesz do księdza wikarego, gdyby spał, obudzisz go i powiesz, że ja proszę i wzywam księdza wikarego do siebie, tutaj, sprawa ważna.. Idź!

Naczelnik uśmiechnął się tryumfująco. Obraziło go wyjście wikarego, a przy kieliszkach przyszła mu myśl zmusić wikarego do powrotu. No, i plan udał mu się.

Zadowolony nalał sobie i proboszczowi wina, trącił o kieliszek.

— Za wasze zdrowie, proboszczu!

— Za zdrowie pana naczelnika!

— Wy mnie znacie proboszczu, ja niezły człowiek i nie chcę wam zrobić przykrości. Wiem, że nie lubicie wysyłać koni w złą drogę, tak przesłucham na miejscu wikarego.

— Dziękuję bardzo panu naczelnikowi.

Wszedł wikary, obojętny, spokojny, przystąpił do siedzącego plebana i rzekł:

— Ksiądz proboszcz kazał mi przyjść, oto jestem i słucham, — patrzał zimno na zaczerwienione policzki obu pijących wino.

Proboszcza niemile dotknął brak pokory i usłużności, gdyż w jego przekonaniu wikary powinien się był poczuwać do wdzięczności za obronę przed władzą świecką. Powiedział też tonem szorstkim:

— Zawołałem, ponieważ pan naczelnik żąda pewnych wyjaśnień.

— I to ja mam je dać? — zdziwił się.

— Nu, tak ksiądz... Siadajcie, — wskazał naczelnik krzesło.

— Słucham, — usiadł naprzeciw naczelnika i patrzał na niego.

— Tak ksiądz jeździł do Rudnik we czwartek pod wieczór?

— Tak jest. Administrowałem na śmierć jednego z gospodarzy.

— Nie w tem rzecz... ja to wiem... ale czy na wóz nie włożyli paczki jakiejś, albo wy sam, albo chłopi?

— Nic o tem nie wiem.

— Nu, rozważcie dobrze... Przyjechaliście we czwartek, śnieg sypał, deszcz padał, wiatr silny, a wy po takiej pogodzie, zaraz jedziecie do Rudnik chłopskim koniem..

Wikary w czasie tej przemowy często spoglądał na proboszcza, oczekując, że on sam da najlepsze wyjaśnienie, ale proboszcz miał oczy utkwione w stół i zdawało się, że nic nie słyszy, ani widzi. Zachowywał się tak z rozmysłu, ażeby nie przeszkadzać w śledztwie.

— Pojechałem istotnie z wiatykiem, we czwartek, wózkiem jednokonnym do Rudnik, — odpowiedział tonem zimnym, — i zawsze to zrobię, o ile mnie, jako kapłana, ktoś wezwie. Jako wikary mam obowiązek wyręczania księdza proboszcza w sprawach kościelnych i parafialnych, zresztą, tego rodzaju kwestye nie należą do kompetencyi władzy świeckiej.

— Co wy powiedzieli? — oburzył się naczelnik.

— Że stosunki pomiędzy proboszczem a wikarym należą do prawa kanonicznego, o czem pan naczelnik jest tak dobrze poinformowany, jak i ja.

Wzmianka o prawie kanonicznem stropiła naczelnika.

— Nu, po części wasza racya... — odrzekł. — Tak wy nie widzieli żadnej paczki? nie była na wozie?

— Nie.

— Ja wam wierzę, wy honorowy człowiek, ksiądz przecież... tak niech będzie zgoda, — wyciągnął rękę przez stół.

Wikary uścisnął ją w milczeniu, a proboszcz, ucieszony załatwieniem sprawy, rzekł wesoło:

— A co, panie naczelniku? Nie mówiłem, że ksiądz wikary o niczem ani wie, ani słyszał.

— Trudno... ja człowiek obowiązkowy i musiałem przesłuchać księdza... I ja rad, że tak dobrze skończyła się sprawa. Nu, napijmy się i przygotujcie karty.

Proboszcz wstał i w przechodzie szepnął wikaremu:

— Zostań!

Grzela wniósł stolik, proboszcz wyjął karty. Wikary, gdy dwaj gracze zapomnieli o nim, poszedł do swego pokoju.

Gra przeciągnęła się późno w noc.

V.

Na drugi dzień, po wyjeździe naczelnika, proboszczowi tak dolegała noga, że wyszedł ze swego pokoju dopiero na obiad. Usiadł milczący i chmurny, dopiero po zupie spytał wikarego:

— Co tam w kościele?

— Penitentów było stosunkowo dosyć, przeważnie starszych.

— A widzisz, poskutkowało moje kazanie, bez tego ociągaliby się do ostatniego tygodnia.

— To możliwe, — szepnął wikary.

— Nietylko możliwe, ale pewne, — oświadczył proboszcz szorstko, — znam ich dobrze. A nie żałuj surowej pokuty, niech czują, że popełnili grzechy i obrazili Pana Boga.

— Dobrze, księże proboszczu. Stosunkowo do wielkości grzechu naznaczam pokutę.

— Ostrzegaj ich przed książkami, gazetami, bo podobno i ta zaraza grasuje pomiędzy nimi.

— Dotychczas nie spotkałem tego.

— Bo pewno nie badasz, nie roztrząsasz im sumienia... Trzeba ci wiedzieć, że naczelnik przyjechał był tutaj na śledztwo właśnie w sprawie książek, gazet i jakichś odezw podsuwanych chłopom przez złych i przewrotnych ludzi.

— Chryste Panie! Jeszcze tego trzeba było! — jęknęła Blińska.

— Pan Bóg doświadcza nas ciężko, — mówił proboszcz z żałością, — a wszystko na nas, na kapłanach się krupi. Jakieś łotry, socyaliści, buntują chłopów, a rząd czepia się nas i pociąga do odpowiedzialności.

— Boże! Boże! — westchnęła z boleścią Blińska, — to może i Dąbkowi socyaliści dali książki i gazety.

— To możliwe, — zamyślił się proboszcz, — i jak tylko polepszy się mój stan zdrowia, sam siądę w konfesyonale... trzeba ostrzedz ludzi.

— Byle tylko bratu nie zaszkodziła wilgoć w kościele, — ostrzegała Blińska.

— Trudno, trzeba spełnić obowiązek, — westchnął proboszcz.

— A może mógłbym zastąpić księdza proboszcza, — odezwał się wikary.

— Dobrzeby to było, ale za młody ksiądz z ciebie, nie rozumiesz obowiązków plebana w takiej parafii, jak ta. Z początku zdawało mi się, że jestem między poganami, tak zapuszczona była parafia, a grzechy rozpleniały się, jak chwasty na roli.

— Tak, tak... pamiętam te czasy, — westchnęła Blińska, — ileż to pracy kosztowało... pacierza nie umieli.

— Czyż tak dalece? — zdziwił się wikary.

— Powiadam, — zaczął proboszcz, — że co dziesiąty młokos mylił się w zmówieniu Wierzę w Boga, a ilu starszych nie umiało odpowiedzieć na podstawowe pytania z katechizmu. Dopiero jak zapowiedziałem rodzicom, że nie dopuszczę dzieci do pierwszej komunii bez wyuczenia ich pacierza, wypleniłem ich lenistwo ducha, — nagle syknął i począł trzeć nogę.

Po chwili, gdy strzykanie ustało, wstał zwolna i rzekł:

— Tu są jakieś przeciągi... pójdę do siebie, bo jeszcze mi nogi odejmie.

— Co też brat gada! — zawołała Blińska, — nie daj Boże w złej jeszcze godzinie!

Ból nogi dokuczał proboszczowi tak, że dopiero po trzech dniach, we czwartek, poszedł do kościoła.

Skrzyczał Łukasza za niedbalstwo, gdyż w jednym kącie znalazł śmieci, i ubrawszy się w komżę i stułę zasiadł w konfesyonale.

W drugiej, bocznej nawie, z przeciwnej strony, słuchał spowiedzi wikary jednego penitenta, zresztą kościół był pusty.

Gdy spowiadający się odszedł, nastała głucha cisza. Proboszcz z goryczą rozmyślał nad zatwardziałością

swych parafian i chmurny patrzał na wikarego, który czytał brewiarz.

Do kościoła weszło troje ludzi, dwie niewiasty młode i starszy gospodarz. Uklękli w środkowej nawie, zmówili krótki pacierz, wstali, a rozejrzawszy się obaczyli proboszcza i wikarego.

Widać było krótkie wahanie i dwie niewiasty szybko podeszły do konfesyonału, gdzie siedział wikary, uklękły do spowiedzi.

Chłop dłużej się namyślał, już zrobił krok w stronę proboszcza, ale zatrzymał się, podrapał się w głowę i usiadł w ławce. Po odmówieniu modlitwy wyniósł się chyłkiem z kościoła.

Proboszcz z miną gniewną śledził ruchy chłopa, a widząc go odchodzącego, poruszył się niespokojnie.

Otóż to wdzięczność parafian, rozmyślał z goryczą, kościół pusty, a przyszli wierni, to dwie baby pobiegły do wikarego, a chłop uciekł. I poco ma tu siedzieć w wilgoci? Czy on ma czekać, aż zlituje się jaki grzesznik i wyzna mu grzechy? Zadał sobie zasadnicze pytanie: czy on ma wyszukiwać penitentów, czy też obarczony grzechami ma sam szukać i pragnąć łaski kościoła?

Zanim na to pytanie dał sobie odpowiedź, skrzypnęły drzwi kościoła, wszedł chłop siwawy i baba.

Chłop nie bez żalu spojrzał w stronę konfesyonału z wikarym, lecz po chwili, stąpając ciężko, poszedł do proboszcza i ukląkł do spowiedzi.

Niewiasta przyklękła przy konfesyonale wikarego w miejsce odchodzącej penitentki.

W ciszy kościelnej słychać było surowy półgłos

napominającego proboszcza i głuchy pomruk chłopa spowiadającego się z grzechów.

Po daniu rozgrzeszenia, proboszcz, zadowolony ze spełnienia obowiązku, opuścił konfesyonał i poszedł do domu.

Przez służbę plebańską rozniosło się w parafii, że w niedzielę palmową będzie kazał nowy ksiądz.

Dzień był jasny, słoneczny, pogodny, a zaciekawienie pobożnych widać było już w tem, że na rannej mszy dużo ludzi było w kościele, a większość niewiast przyniosła rozwinięte wicie wierzbowe, ustrojone wstążkami, ażeby te palmy dać poświęcić na sumie.

Sam nawet proboszcz, który słyszał o udatnej mowie pogrzebowej wikarego, jakkolwiek udawał obojętnego, był ciekaw kazania.

Rozdział dwudziesty pierwszy Mateusza, przeznaczony na tę niedzielę, odczytał proboszcz uważnie. I teraz żałował, że odstąpił wikaremu to kazanie, gdyż tak doskonale nadawało się do surowego skarcenia grzechów i wezwania do pokuty.

Najpierw wjazd tryumfalny, potem wypędzenie przekupniów z kościoła, uschnięcie figowego drzewa nierodzącego owoców, karcenie faryzeuszów i celników i przypowieść o winnicy oddanej złym sługom, których pan surowo wytraci.

Z hołdem ludu rzucającego gałązki drzew przed Chrystusem wjeżdżającym, dałoby się tyle nauk związać ku poprawieniu grzeszników!

Blińska w odświętnej sukni, kręciła się po pokoju, niby to sprzątając niewidzialne kurze, a upatrzywszy stosowną chwilę, odezwała się:

— Ciekawość, jak się też wywiąże dzisiaj ksiądz wikary?

Proboszcz spojrzał na nią, skinął potakująco głową, jak gdyby na znak, że i on o tem myśli.

— To wiem, — mówiła dalej, — że tak cudnego i budującego kazania, jak brat dobrodziej, on nie powie.

— A daję mu pole do popisu, — westchnął proboszcz, — i jeśli on ma tylko krztynę daru krasomówczego, może zbudować wiernych, rozbudzić w nich żal i skruchę za popełnione grzechy.

— Wątpię jednak, czy on potrafi... ja nigdy nie mogłabym mówić kazania.

Proboszcz podniósł głowę i zawołał karcąco:

— Głupstwa pleciesz!... Cóż to znów nowego? Kazanie i kobieta!? Kościół święty mądrze zrobił, że was, kobiet, które skusi nawet podły wąż, nie dopuszcza do pełnienia obrzędów. Dopiero zakwitłoby zgorszenie i zaczęło się panowanie dyabła!

— Niech się już brat nie gniewa — powiedziała pokornie, — ot, wypsnęło się niepotrzebnie.

— Ale w twoim wieku, jak można pleść podobne androny?! Tego się nie spodziewałem po tobie.

— To z prędkości... przecież to mi nawet w głowie nie postało...

— Głowa!? — rzekł wzgardliwie, — alboż wy kobiety macie głowę. Coś siedzi wam na karku, ale rozumu ani krzty, — a widząc, że chce się usprawiedliwiać: — dość tego, czas już na sumę, — spojrzał na zegar.

Kościół był natłoczony. Jasne promienie słońca rozświetliły wszystkie zakątki i tem barwniej występo-

wały jaskrawe chusty niewiast, kolorowe wyszycia sukman i wicie, tak zwane palmy, ubrane wstążkami.

Wiosna w polu nastroiła pogodnie i wesoło ludzi. Widać to było z oczu błyszczących, z ruchów przyjemnych, z szeptu modlitw.

Sumę celebrował proboszcz i wkrótce po zaczęciu nabożeństwa, jakiś niezwykły szmer wśród ludzi w kościele zwrócił jego uwagę i wikarego, który mu asystował.

Proboszcz, gdy zwrócił się od ołtarza do ludu ze słowami:

— Dominus vobiscum — spojrzał baczniej po kościele i dostrzegł w ławce bocznej dwie panie.

Poznał je, były ze dworu obie córki Szybickiego.

Odprawiając z przejęciem sumę, zapomniał o nich, dopiero w chwili gdy usiadł na fotelu, a wikary szedł zwolna ku ambonie, przypomniał sobie ich obecność i w duchu zadawał sobie pytanie, co mogło skłonić te córki zatwardziałego bezbożnika i ateusza, że dziś przyszły do kościoła. Nie miał jednak czasu długo się nad tem zastanawiać, gdyż jeszcze bardziej zaciekawiało go na razie, jak wikary załatwi się z kazaniem palmowej niedzieli.

Lecz nietylko proboszcz był ciekawy kazania, gdyż na twarzach parafian malowało się zainteresowanie i wyczekiwanie.

Gdy wikary skierował się ku ambonie, pobożni utworzyli jak na komendę szpaler i wszystkich oczy padły na twarz młodego księdza.

Szedł blady, wzruszony, nie patrząc na nikogo. Dopiero na schodkach będąc spojrzał na przepełniony kościół. Oślepiły go promienie słońca na sekundę, a na-

stępnie rzuciły mu się w oczy barwne stroje niewiast i kolorowe palmy. Ciekawe, świdrujące spojrzenia ludzkie nie zrobiły na nim wrażenia.

W kościele słychać było tylko przyjazne dla kaznodziei szepty i lud cisnął się bliżej pod ambonę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Tłum wiernych odpowiedział cicho lecz wyraźnie. I zrobiła się wielka cisza w kościele.

»A rzesza bardzo wielka słała szaty swoje na drodze.

Tedy wszedł Jezus do kościoła Bożego i nauczał, mówiąc: I wszystko o cobyściekolwiek prosili w modlitwie wierząc, weźmiecie.«

— Tyle słów ewangelii świętego Mateusza, rozdział dwudziesty pierwszy.

Odetchnął, złożył książkę i zaczął dźwięcznym głosem:

— Najmilsi bracia i siostry w Chrystusie! Czytając te słowa Jezusa Chrystusa, Pana i Zbawiciela naszego, ludzie głębokiej wiary, ale małego serca i płytkiej duszy, są przekonania, że modląc się otrzymają wszystko o cokolwiek proszą. Uczęszczają tedy pilnie do kościoła, nie opuszczają żadnego nabożeństwa, odmawiają pacierze, litanie, koronki i czekają kiedy wysłuchane zostaną ich prośby i błagania zanoszone w modlitwie... Mijają dnie, tygodnie, miesiące, lata, ludzie podwajają pacierze i modlitwy, dodają umartwienia ciała, pielgrzymki do miejsc cudownych i nie widzą żadnego skutku swej żarliwości modlitewnej. I wkrada się do ich duszy niewiara. Jakto, mówią, tak gorąco i przykładnie modliliśmy się i Bóg nas nie wysłuchał!? Więc słowa Chrystusa są nieprawdziwe? nie spełniają danej obietnicy!? O, ludzie

małego serca, czyż Chrystus mówiąc o modlitwie skutecznej miał na myśli klepanie pacierzy, uczęszczanie na nabożeństwa, umartwienia ciała?

Chrystus powiada, nie wnijdzie do królestwa, który modli się: Panie! Panie! lecz że: o cobyście prosili wierząc, weźmiecie; a wiara powinna być czynem, nie słowem. Modlitwą Chrystusa była miłość, i sam powiedział: przykazanie nowe daję wam, żebyście się miłowali wzajemnie, jakom was umiłował. Potem poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu...

I rozwijając to przykazanie wskazywał na konieczność umiłowania drugich, na wyrozumiałość, na przebaczenie i win i urazy. Dawał przykłady blizkie, z codziennego życia, ze stosunków rodzinnych, sąsiedzkich, zawodowych.

— Miłość czynna zmieni ten smutny świat na raj, — kończył kazanie, — spróbujcie jeden dzień przeżyć w miłości, a zobaczycie jaki spokój, jaka radość wstąpi w serca wasze. Miłość, powiada apostoł, cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie wyrządza zła, nie nadyma się, nie jest czci pragnąca, nie szuka swego, nie wzrusza się do gniewu, nie myśli złego, nie raduje się w niesprawiedliwości, ale się weseli z prawdy. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystko wytrwa.

Tłum wiernych słuchał go z zapartym oddechem. Tajały serca, wzbierały uczucia, odzyskiwała prawa dobroć, serdeczność i przebaczenie. Niewiasty, rozczulone, łzy roniły, słychać było płacze, urywane szlochy. Przypomniały się ludziom krzywdy wyrządzane innym, obu-

dziły się pragnienia zadosyćuczynienia, żądze pogodzenia się.

Z kazalnicy, z której grzmiały dotychczas słowa karcenia, groźby kar za grzechy, wyklinania bezbożnych, obrazy surowego sądu i mąk piekielnych — spłynęły nagle gorące uczucia miłości, przebaczenia, współczucia. Zdawało się wiernym, że nagle otworzyły się drzwi kaźni ciemnej i ponurej, w której siedzieli, i zajaśniał przed nimi dzień wiosny słonecznej, jasnej, przepojonej zapachem pól, łąk i lasów.

Rozprostowały się ramiona, podniosły czoła, zajaśniały zamglone oczy, bo oto zstąpił na nich Bóg miłości i przebaczenia, tkliwy, słodki, wybaczający.

Gdy wikary schodził z ambony, kościół zabrzmiał westchnieniem miłości i ulgi w cierpieniu. Wszyscy patrzyli z przyjaźnią na rozjaśnioną, piękną twarz młodego księdza, który zdał się im posłannikiem spokoju, przebaczenia i szczęścia.

Sam proboszcz nawet jakkolwiek kazanie wikarego sprzeciwiało się jego systemowi kierowania duszami parafian, poczuł w głębi serca rozczulenie do Boga miłości i utajone uznanie dla wymowy i siły kazania usłyszanego. Wyraz jego twarzy jednak pozostał niezmieniony, surowy, posępny, sędziowski.

Po skończeniu sumy lud zaczął śpiewać z wielkiem przejęciem i zapałem suplikacye. I pieśń brzmiała dziwnie radośnie, niemal tryumfalnie, natchniona wiarą, że płynie do Boga miłości i przebaczenia.

Początek obiadu na plebanii upłynął w milczeniu. Blińska kilkakrotnie otwierała już usta, ażeby pochwalić kazanie, które się jej podobało, ale spojrzawszy na surową twarz brata połykała słowa.

Wreszcie proboszcz, uznając niewłaściwość przemilczania o wypadku dnia, odezwał się:

— Jeśli księże wikary myślisz, że twe kazanie wywrze jakiś skutek dodatni, to się grubo mylisz.

Wikary poczerwieniał i rzekł skromnie po dobrej chwili:

— Siejący ziarno nie pyta czy susza albo deszcz zniszczą zasiew, sieje z wiarą w dobre żniwa.

— Porównanie nieszczególne, — skrzywił się proboszcz, — siewca rzuca ziarno na rolę przygotowaną, zoraną, zbronowaną. Pracował, zanim zasiał.

— Ja też siałem na rolę przygotowaną przez księdza proboszcza, — uśmiechnął się, — i dlatego jestem pełen wiary.

— To prawda, i muszę sobie oddać sprawiedliwość, że uprawiałem rolę Pańską gorliwie, z zaparciem siebie, a że owoce nie odpowiadają wysiłkom pracy, to już wina ich zatwardziałości i rozmiłowania się w grzechach. Poprzednik mój tylko dorywczo bywał na plebanii i w kościele, to też dyabeł zbierał obfite żniwo.

Proboszcz umilkł i zajął się jedzeniem nowalii, kurczętami. Po pewnym czasie zaczął:

— Nie łudź się księże wikary wrażeniem, które wywołało twoje kazanie, to chwilowe, bardzo chwilowe.

— Nie liczę też na wrażenie, ale na wytrwałe nauczanie, — powiedział cichym głosem.

— I znów się mylisz, — spojrzał surowo, — tu nie przemawiasz do inteligencyi wrażliwej, do ludzi oczytanych i wykształconych. Jeśli chcesz, ażeby chłop ciebie poczuł i zrozumiał, to nie dość trącić go, ale uderzyć do krwi, dopiero zwróci uwagę na to, czego nauczasz.

Wikary zrobił głową ruch przeczący i milczał.

— Nie wierzysz mi!?... boś młody, a każdy młody jest zarozumiały i myśli, że od niego świat się zaczyna. Ty nie znasz chłopów i to ciebie usprawiedliwia, ale gdybyś ich znał...

Umilkł i zajął się jedzeniem słodkiej leguminy.

— Chłopi mają takie samo serce, — bąknął nieśmiało wikary.

— Ale w jakiej skorupie, — zadrwił proboszcz, — przecież i na moich kazaniach płaczą, jęczą, wzdychają... i co z tego? Dziś nie bardzo uważałem na tłum, bo słuchałem trochę kazania i modliłem się.

Blińska, która już dawno chciała wziąć udział w rozmowie, uznała tę chwilę za stosowną i odezwała się:

— Widziałam, że brat pogrążył się w modlitwie... ale sama patrzałam, jak naród płakał, nawet te córki Szybickiego, i nie ta starsza, mężatka, ale młodsza, Klara, panna, dwa razy obcierała oczy chusteczką.

— To jednak dziwne, — przemówił proboszcz, — że one były w kościele, albo raczej, że ojciec im pozwolił.

— Przecież dziś niedziela palmowa... wielki post, — zauważył wikary — i każdy chrześcijanin rad ukorzyć się przed Panem Jezusem.

— Każdy... ale nie Szybicki, — rzekł proboszcz twardym głosem.

— Mówiono mi, — wtrąciła Blińska, — że ta Klara, która niedawno przyjechała od ciotki, niepodobna do ojca, łagodna i uczynna.

— Nie wierzę ja, — zdecydował proboszcz, — ażeby z gniazda kruka wyleciał gołąb. Po prostu dowiedziały się, że nowy ksiądz zjechał i przyszły jak na dziwowisko.

— Kiedyż, proszę brata, na własne oczy widziałam, bo byłam blizko, jak ta Klara modliła się przykładnie, a w czasie kazania dwa razy płakała. Pewno ze skruchy i żalu, że ma takiego ojca, bezbożnika.

— Płakała! — oburzył się proboszcz, — co dla was łzy, zawsze macie je na zawołanie. Kobieta zła, płacze z gniewu; dobra, płacze z rozczulenia; płacze z radości, ze smutku, z żalu, z pychy i z pokory. Zawsze płaczecie i udajecie, i nigdy nie można wam wierzyć.

Wikary, który kochał swoją matkę, stanął w obronie kobiet:

— Są jednak niewiasty pobożne, cnotliwe, zacne...

— Jak postarzeją, — przerwał mu proboszcz gwałtownie, — gdy nic po nich na świecie, wtedy zwracają się do kościoła, ku utrapieniu i męce kapłanów... Młody jesteś, nie znasz świata i nie wiesz co to kobieta. To wróg chytry i zuchwały, i niema wieku, któryby dostatecznie był wolny od napaści.

— Brat niesprawiedliwy i uprzedzony względem nas, — odezwała się nieśmiało Blińska.

— Wiem to, wiem, — uśmiechnął się ironicznie, — każdy, kto wam prawdę mówi, jest w oczach waszych niesprawiedliwy, ale ja was znam.

Nagle popchnięte drzwi otworzyły się z trzaskiem, wbiegła Kasia zaczerwieniona i zawołała głosem uradowanym;

— Łaciata ma cieliczkę!

Równocześnie porwali się z krzesła proboszcz i Blińska, która biegła wprost w drzwi, a proboszcz gniewny zawołał:

— Czapka!?... Kaśka, gdzie moja czapka!? Daj mi czapkę!

Naturalnie ani Blińska, ani Kasia nie zwróciły uwagi na jego słowa i pobiegły do stajni.

Wikary z pewnem zdziwieniem patrzał na tę scenę, a ujrzawszy czapkę proboszcza w rogu pokoju na krześle, wstał i podał.

Proboszcz pochwycił ją i zapomniawszy o lasce szybko wyszedł.

Drzwi zostawione otworem zamknął wikary, usiadł na swem miejscu, kończąc rozpoczętą herbatę.

Po chwili usłyszał rozkazujący głos proboszcza na podwórzu:

— Kaśka! Dawaj pójło Łaciatej!... Grzela! nakryj cieliczkę kożuchem! Marznie małe biedactwo! Dawaj prędzej!

Wikary słuchając tych słów pomyślał z goryczą: gdyby proboszcz tak dbał o dusze parafian i otaczał je taką opieką, jakże byłoby tu inaczej!? Wnet jednak pożałował swej krytyki i szepnął z pokorą:

— Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni.

Po chwili wstał, odmówił krótką modlitwę i udał się do kościoła.

Zastał na placu przed wejściem dosyć ludzi, którzy przybywszy z dalszych stron parafii posilali się, czekając na nieszpory i na spowiedź wielkanocną.

Ujrzawszy go witali z przyjaźnią, a dzieci, dziewczęta, niewiasty, cisnęły się do ucałowania rąk. Bronił im tego mówiąc:

— Bogu cześć oddawajcie, nie mnie człowiekowi, — i szybko wszedł do kościoła.

Poszła za nim spora gromadka, a gdy wyszedł z zakrystyi i zasiadł w konfesyonale, z jednej i drugiej strony utworzył się długi szereg penitentów.

Gdy przyszedł czas nieszporów, proboszcz, dowiedziawszy się, że wikary w kościele, zaszedł tam, chcąc mu polecić odprawienie nabożeństwa. Zobaczył jednak tylu penitentów przy konfesyonale, że postanowił sam odprawić nieszpory.

Już dzwoniono na Anioł Pański i kościół pogrążył się w głębsze cienie, gdy wikary wstał z konfesyonału i wyszedł zmęczony.

W uszach brzmiały mu jeszcze posłyszane wyznania, a przed oczyma przewijały się obrazy grzesznych czynów. Czuł się zgnębionym i skalanym świadomością istnienia tylu występków i przewinień, a rozigrana wyobraźnia przyoblekała je w coraz inne postacie i szaty.

Dopiero gorąca modlitwa uwolniła go od natrętnych obrazów, ale czuł się tak zmęczonym i wyczerpanym, że podziękowawszy za wieczerzę udał się wprost na spoczynek.

Proboszcz dowiedziawszy się, że i w poniedziałek część penitentów odeszła, nie mogąc się docisnąć do spowiedzi, przyszedł we wtorek popołudniu i zasiadł w swym konfesyonale.

Po pewnym czasie wyspowiadali się u niego dwaj gospodarze, ale z tłumu oblegającego konfesyonał wikarego nikt się nie ruszył.

To rozdrażniło proboszcza i zawoławszy przechodzącego Łukasza rozkazał tonem surowym:

— Idź do tych grzeszników, niech część do mnie przyjdzie.

Kościelny podszedł do klęczących niewiast i rzekł gniewnie:

— Czego się tu tłoczycie, jak owce do soli... Ksiądz proboszcz siedzi sam, idźcie do niego.

Penitentki i penitenci udali tak zatopionych w modlitwie, że nie słyszeli tej zachęty, czem rozgniewany Łukasz wziął za ramię najbliższą niewiastę i mówił głośno:

— Nie pchajcie się jak bydło do jednych wrót... idźcie do księdza proboszcza.

— Nie dotykajcie mnie, — odtrąciła jego rękę, — tu nie karczma!

— Widzisz go, kościelny, a kusi do grzechu, — rzuciła inna.

— Złośniku, sam się spowiadaj — dorzuciła trzecia, — obraza boska i tyle.

Łukasz, widząc złe oczy zwrócone na siebie, rzekł półgłosem:

— A, pogańskie nasienie! Języki bluźniercze! — i poważnym krokiem odszedł w głąb kościoła.

Tę całą scenę widział proboszcz i wezbrała w nim gorycz. Dwadzieścia lat życia poświęcił tej parafii i oto nagroda jego pracy. Przyszedł młokos i wszyscy lecą do niego. Nie znają go, niczem się nie zasłużył, nie odznaczył, i nie jest to ani jego winą, ani zasługą, tylko już taka podła parafia. Nowe sitko na kołek i tylko to widzą. Po chwili nad rozżalonym człowiekiem wziął górę proboszcz i pomyślał: Dobrze, że naród tak się garnie do sakramentu pokuty, to już tylko moja zasługa, bo wikary nie uczył ich tego, ani zachęcał do spowiedzi.

To go uspokoiło zupełnie, a gdy idąc do zakrystyi spojrzał na długi szereg klęczących, westchnął współczując z wikarym. Namęczy się, nawącha smrodów, naplują mu w oczy, ale taka surowa szkoła wyjdzie na

dobre młodemu. Pozna on, jak ciężkie i trudne jest powołanie kapłańskie.

W zakrystyi rzekł ostro do Łukasza zdejmującego komżę z niego:

— Dlaczego błaźnie nie przyszedłeś do mnie z odpowiedzią ludzi?

— Nie było z czem, proszę księdza proboszcza, to i poco?

— Głupiś!... Co powiedzieli?

— Ot sobacze języki... skrzyczały mnie.

— Widziałem, że szarpałeś durniu kobietę jedną... a to kościół nie karczma.

Łukasz milczał składając komżę w te same fałdy. Dopiero gdy proboszcz wyszedł, zaklął i dodał:

— Bóg was pokarze, zatracone pogany!

VI.

Wieczorem, w Wielki piątek proboszcz rzekł do wikarego:

— Jutro przyjdą konie sołtysa z Rudnik i ksiądz wikary pojedzie tam poświęcić, w powrotnej drodze wstąpisz do Wierzbowa, i dopiero wrócisz do Kościeńca.

— Dobrze, księże proboszczu.

— Zapewne mnie nie zastaniesz, gdyż wyjadę do Horodelskiego i pewno zabawię tam do nocy... Tu, w Kościeńcu, co ubożsi, przynoszą w koszykach pod kościół do święcenia, a do zamożniejszych, jak wójt, pisarz, młynarz, trzeba pójść i poświęcić. Łukasz wie, do kogo iść należy i on wskaże księdzu wikaremu. Do dworu nie zachodź, ci tam gorzej pogan i ateuszów.

— Rozumiem.

— Jutro, w Wielką sobotę, po odprawieniu mszy świętej, sam poświęcę ogień i wodę. Jeszcze jedno, — dodał proboszcz po chwili, — jest tu zwyczajem, że ubożsi dają przy poświęceniu jaja, czasem ser lub masło. To odda ksiądz wikary do kuchni naszej, a pieniądze, które dają bogatsi, zatrzymasz dla siebie.

— Dziękuję księdzu proboszczowi.

— Już po zachodzie, może napijesz się ze mną herbaty? Nic ciepłego nie miałeś dzisiaj w ustach.

— Bardzo chętnie będę towarzyszył księdzu proboszczowi przy stole, ale zostanę przy chlebie i wodzie.

— Upartyś, jak kozioł — powiedział zirytowany proboszcz, — nie siadaj do stołu, bo nie lubię patrzeć na fanatyzm.

Wikary spojrzał z niechęcią na proboszcza, już miał odrzec coś ostrego, gdyż głosząc miłość Chrystusową, nie poczuwał się do żadnego fanatyzmu, ale zamilkł na razie.

Nazajutrz, po mszy, wikary pojechał na wozie sołtysa do Rudnik w towarzystwie Łukasza.

W drodze przypomniał sobie swą pierwszą podróż z wiatykiem do Gawińskich. Czuł do nich sympatyę ze względu na to wspomnienie i kazał furmance przystanąć pod pagórkiem, na którym stał dom Gawińskich.

Zeskoczył z wozu i zwrócił się do kościelnego, trzymającego wodę święconą i kropidło:

— Pójdziemy Łukaszu poświęcić, — wskazał na chatę.

— Tam!? Do Gawińskich!? — zawołał obrażony, — to bezbożnicy! niedowiarki! — i nie ruszył się z wozu, a chłopak, powożący końmi, ciekawie słuchał tej sceny.

— Łukaszu, zapewne dziś mówiliście: i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy, — powiedział łagodnie wikary, — przecież wy chrześcijanin... No, chodźmy!

Kościelny, zachmurzony, zwolna zlazł z wozu, spojrzał niechętnie na wikarego, na chatę, i mrucząc coś pod nosem, szedł za księdzem, z koszykiem w ręku.

Już i Gawińska i dzieci spostrzegły idącego wikarego; nie spodziewano się takiego gościa i widać było zamieszanie. Gawińska wyniosła ławę przed chatę, starła fartuchem i wydawszy rozkazy dzieciom, szybko podeszła do księdza, odpędzając psa.

Po przywitaniu, poprosiwszy księdza siedzieć, sama zafrasowana mówiła:

— Ksiądz dobrodziej taki na nas łaskaw, taki dobry... a tu jeszcze nie wszystko gotowe... baby w piecu, — poruszyła się niespokojnie, spojrzała w drzwi i zawołała: — hej, Maryś, a dojrzyj bab i sernika! — i zwykłym głosem: — O, bo to, proszę księdza dobrodzieja, raz do roku takie specyały, Boże uchowaj, spalą się! Zaraz przyjdę, — i skoczyła do chaty.

Widział wikary, że przyszedł w niewłaściwym czasie, ale i to rozumiał, że nie może się oddalić, bo sprawi tem przykrość gospodyni, zawołał tedy dwóch małych Gawińszczaków i swemi łagodnemi pytaniami tak ich ośmielił, że odpowiadali swobodnie i wesoło.

Łukasz z pochmurną powagą patrzał na to, wzruszał ramionami, widocznie ganił to zachowanie się księdza, wreszcie przemówił:

— Proszę księdza wikarego, nam czas do sołtysa, konie czekają.

— Jak odjadą, pójdziemy pieszo, — odpowiedział z uśmiechem.

Łukasz uśmiechnął się drwiąco, a zobaczywszy dziewczynę we drzwiach krzyknął:

— Hej!... Dawajcie raz, co macie do święcenia, nie będziem tu nocowali!

— Ciszej, Łukaszu! — upomniał go wikary, — ja tu rozporządzam.

— Wiem to i ja, ale niech ksiądz wikary zważy, że mamy sołtysa, powrotną drogę, no i Kościeniec.

— Będzie czas... nic nie nagli.

— Ksiądz proboszcz nie pozwoliłby na taką ujmę... nie czekałby na wyguzdranie gospodyni.

— Jeśli to was Łukaszu niecierpliwi, — powiedział spokojnie — zostawcie mi wodę i kropidło, dam sobie radę.

— Jeszcze czego! — mruknął, — przecież od tego służę przy kościele.

Wyszła Gawińska i pokornie prosiła księdza do izby.

Na stole nakrytym były jaja wielkanocne różnobarwne, wędliny świeżo gotowane, dwie baby, ser, masło, chleb, wódka, a w powietrzu unosiła się woń świeżego pieczywa, ostry zapach wędzonego mięsa i przypraw kuchennych.

Ksiądz odmówił krótką modlitwę, pokropił obecnych i stół zastawiony. Gawińska schyliwszy się do kolan, prosiła księdza o skosztowanie święconego.

— Nie mogę, moja dobra gosposiu, — uśmiechnął się, — wszystko ładne, zapewne smakowite, ale ja dziś poszczę.

Kilka złotych, które miała przygotowane, podsunęła księdzu, całując go w rękę.

— Schowajcie na czarną godzinę, — odsunął jej rękę z pieniędzmi, — macie dzieci i wydatki.

Jeszcze raz nalegała z nieśmiałością, lecz odmówił stanowczo, a odwróciwszy się, dostrzegł jak jedna z dziewcząt wkładała do koszyka jaja i masło, a kościelny bacznie liczył i oglądał.

Wikaremu ten datek zrobił przykrość, trzymał się bowiem ściśle rozkazu Chrystusa: — darmoście wzięli, darmo dawajcie. Rozumiał jednak, że na razie wobec polecenia proboszcza i przy Łukaszu, wyrzeczenie się datku jest prawie niemożliwe i pociągnęłoby za sobą gorszący spór.

Pożegnawszy gospodynię i dzieci, pojechał do sołtysa, gdzie zastał tłum niewiast, które w koszykach, w chustach, w niecułkach przyniosły wielkanocne jedzenie do poświęcenia.

Skończywszy obrzęd, uległ gorącym prośbom sołtysa i wszedł do jego chaty.

— Mam dla księdza dobrodzieja wino i nie pogardzi chyba ksiądz dobrodziej jednym kieliszkiem, — gotował się do otworzenia butelki.

— Dziękuję, sołtysie, nie używam napojów wyskokowych. Woda to najzdrowszy i najlepszy napitek... dajcie mi szklankę.

— Nie wypuszczę jegomości dobrodzieja, — upierał się sołtys, — to byłoby mi wstyd i hańba, ażebym księdza dobrodzieja puścił głodnego.

— Wystarczy mi dobre słowo, — uśmiechnął się, — dziś poszczę.

Sołtys spojrzał baczniej na wikarego i pomyślał: to chytry ksiądz, nie chce pić i jeść, tylko patrzy pie-

niędzy. Chwilę się wahał, wreszcie sięgnął do kieszeni po monetę.

Spostrzegł to wikary i uprzedzając wyjęcie pieniędzy, rzekł łagodnie:

— Nie róbcie mi przykrości, sołtysie, za poświęcenie nic mi się nie należy i nic nie wezmę.

Sołtys przez krótką chwilę stał zdumiony, wreszcie przemówił:

— Niech ksiądz dobrodziej przebaczy prostakowi, — skłonił się do kolan, — ale żadna to racya, ażeby nie brać kiedy dają. Od tego jest urząd, ażeby brać, nie bądźto ksiądz, czy urzędnik, komisarz, albo nieprzymierzając sołtys.

— No, tak, — zaśmiał się wikary, — ale co innego urząd świecki, a co innego duchowny. Za posługi duchowne płaci się duchem miłości, ofiary, przebaczenia, a nie pieniędzmi, — wstał z krzesła.

— Jeszcze słówko, — przytrzymał go za sutannę, — jakoś nie mogę zmiarkować... Na mój rozum, to przecież i ksiądz dobrodziej musi żyć, i jeść, i ubrać się.

— Prawda mój sołtysie... ale spojrzcie na ptaki, one ani orzą, ani sieją, patrzcie na rozliczne kwiaty tak piękne i różnobarwne po łąkach... jeśli Pan Bóg sam o nie się stara, czyż miałby opuścić ludzi, którzy go czczą i miłują!... Rozważcie to sobie... a teraz spieszno mi do Wierzbowa, czy są już konie?

Sołtys stropiony jego słowami, patrzał trochę zdziwiony, trochę niedowierzający. Wzruszył ramionami, wreszcie rzekł:

— Konie są... a powiem szczerą prawdę, że takiego księdza dobrodzieja jeszcze nie widziałem... to na dziw.

— A jednak bywają, — zaśmiał się wikary i wyszedł.

Po obrządku poświęcenia w Wierzbowie wracał wikary przed południem do Kościeńca.

Kościelny z wielką uwagą pilnował dwóch niemal pełnych koszyków. Jeden trzymał na kolanach, drugi ściskał nogami.

— Pan Bóg na nas łaskaw i poszczęścił nam, — powiedział pobożnym głosem, gdy wyjechali z Wierzbowa.

Wikary milczał, nie chcąc wszczynać rozmowy.

— Chyba wszystkiego nie zużyje ksiądz wikary, — przemówił po chwili, — teraz dobre ceny na jaja i masło... Moja po świętach jedzie do miasta, mogłaby sprzedać, a pieniądz zawsze się przyda, nie dziś, to jutro.

Wikary milczał. Kościelny spojrzał raz, drugi raz na niego i rzekł głosem zniecierpliwionym:

— Ksiądz wikary nie raczy mi nawet odpowiedzieć... bo i cóż znaczy sługa, chociaż wierny i pilny!... Ksiądz proboszcz bywało, gdy ludziska złożą ofiarę, mówił: weź dziesięcinę Łukaszu, pożyw się przy kościele.

— Te prowianty nie są moje, — odpowiedział wikary, — należą do kuchni księdza proboszcza, takie było polecenie, — kończył z mimowolną goryczą w głosie.

Dostrzegł to kościelny i mówił z udanem oburzeniem:

— No, no, nie wiedziałem, że ksiądz proboszcz pożałuje i takiej marności.

— Proszę was, Łukaszu, wyrażajcie się z czcią i szacunkiem o księdzu proboszczu.

— A któż go bardziej czci i szanuje, — zawołał gorąco kościelny, — ale za każdą pracę należy się płaca...

Czy też sołtys oddał księdzu wikaremu zebrane u ludzi pieniądze?

— To rzecz jego sumienia, nie nasza.

— Co? nie dał?! — zawołał oburzony, — a może wykpił się jakim rublem!? To bezbożnik, poganin, tego darować nie można... Oho, mówili mi przecież ludzie, że brał osobno za furmankę, a osobno na księdza.

Wikary, chcąc uniknąć zatargów z sołtysem, powiedział łagodnie:

— Mój Łukaszu, czy mówiłem, że on nie dał? Dajmy spokój tej sprawie.

Poczucie sprawiedliwości tak niepokoiło kościelnego, że znów zaczął po chwili milczenia:

— Powinien był dać co najmniej trzy ruble, według mego rachunku, a ten derus pewno połowę schował. I jak tu Pan Bóg nie ma karać takich bezbożników kradnących grosz kościelny? A niedoczekanie ich!

— Dał, nie dał, nie wasza rzecz, — rzekł wikary stanowczo.

— Bo też ksiądz wikary jest naprawdę za dobry, — rozgadał się kościelny, a tu naród twardy, chciwy, na rozpustę, łajdactwo, zawsze znajdzie pieniądze, ale jeśli idzie o kościół, o służbę bożą, to i grosza pożałuje... Widziałem i dziś, Gawińska dawała, a dobrodziej, myk z ręką... a przecież za ten honor, że dobrodziej wstąpił, należało się, tak mi daj Boże zdrowie.

— Dosyć tego Łukaszu, przerwał mu wikary, — każdy postępuje według swego sumienia... Otóż i plebania!

— A, widzę, — spojrzał Łukasz bacznie, — konie stoją... oho! ksiądz proboszcz jedzie do pana Horodelskiego.

Mijali się w drodze, proboszcz zatrzymał wóz i spytał:

— No, jakże tam?

— Wszystko w porządku, — odpowiedział wikary.

— Ludzie nie poskąpili chwała Bogu! — zawołał Łukasz, podnosząc dwa koszyki.

— Oddaj pani Blińskiej — rozporządził proboszcz,— a z księdzem wikarym pójdziesz na wieś... tam, gdzie zwykle chodziłem.

— Wiem, proszę księdza proboszcza, — a gdy wozy się rozjechały, mówił kościelny: — ksiądz proboszcz idzie tylko do bogatszych, czasem uprosi go też który z chłopów. Cała ceremonia trwa nie całą godzinę... Kiedy ksiądz wikary pójdzie?

— Spocznę trochę, odmówię modlitwy i pójdziemy.

— Pchnę chłopaka, to wójt przyszle konie, — doradzał kościelny.

— Nie trzeba... pójdziemy pieszo.

— Ano, wola księdza wikarego.

Łukasz oddał koszyki Blińskiej i poszedł do domu.

W godzinę później wikary, ku wielkiemu niezadowoleniu Łukasza, wezwał go, ażeby mu towarzyszył na wieś.

Gospodarze siedzący w chatach przy drodze, dość obojętnie patrzyli na wikarego, wiedziano z dawnych lat, że zaszczyt święcenia w izbie przypadał tylko kilku domom.

Jeden z gospodarzy jednak zbliżył się i z wielką pokorą poprosił, ażeby ksiądz raczył wstąpić do izby i poświęcić. Wikary chętnie to spełnił, mimo pomrukiwania Łukasza.

Za jego przykładem, podeszło do wikarego dwóch

innych z tą samą prośbą. Kościelny nie czekając słów wikarego, zawołał surowo:

— A to co nowego!? Tak szanujecie dobrodzieja!? A nie możecie przyjść pod kościół, jak zawsze! Nie do was idzie ksiądz wikary!

— My to wiemy, ale dopraszamy się tej łaski dobrodzieja, — kłaniali się pokornie.

— Bardzo chętnie wstąpię, — przemówił wikary, — gdzie wasz dom?

Łukasz nachylił się do wikarego i mówił głośnym szeptem:

— Księże wikary, tego nigdy nie bywało. I tak, co mają dać, dadzą przy kościele. Tylko naród się rozzuchwala.

— To moja rzecz, — oświadczył surowo wikary i wszedł do najbliższej chaty.

Nie pomijali żadnego gospodarza, który prosił o poświęcenie, a w Łukaszu rósł gniew, koszyk bowiem stawał się coraz cięższym, a wędrówka mogła się skończyć pod wieczór. Wreszcie nie wytrzymał i rzekł:

— Księże wikary, takie łażenie nie na moje stare nogi... ja już nie mogę i cięży mi koszyk.

— A pocóż tyle bierzecie?... Jeśli Łukasz zmęczony, zastąpi go byle jaki chłopak, — i spostrzegłszy wyrostka skinął na niego mówiąc: — poniesiesz za mną, mój kochany, wodę święconą i kropidło, zrobisz chrześcijańską posługę.

— Z ochotą dobrodzieju! — zawołał uradowany zaszczytem i do Łukasza: — ojciec, oddajcie wodę i kropidło, a sami z koszem do chałupy.

Kościelny wobec tej niesłychanej zuchwałości na

chwilę zaniemówił, patrzał możliwie najsurowiej, wreszcie niemal siny z gniewu bełkotał:

— Precz, pokrako! Ty niemrawcze, poganinie, chcesz dotykać świętych rzeczy!

Chłopak, onieśmielony, odstąpił na krok, a Łukasz z żalem wielkim:

— Otóżem się doczekał na moje stare lata! Czy ksiądz wikary myśli, że ja pozwolę byle komu wchodzić w moje obowiązki kościelne!? Toż to świętokradztwo! Sam poniosę, chociażbym ducha miał oddać, wszędzie pójdę... i taki wstyd zrobić mnie staremu, taką hańbę, — mówił ze łzami, — ażeby lada chłystek od gnoju mnie zastąpił!?

Wikaremu żal się zrobiło Łukasza i rzekł z dobrocią:

— Nie chciałem was obrazić, ani upokorzyć... Byliście zmęczeni, szukałem kogoś do wyręczenia.

— Tylko ksiądz proboszcz może wyznaczyć kogoś do mojej pomocy... jeśli, czego uchowaj Boże, stracę siły. A z takim zatwardziałym narodem można zdrowie i życie stracić. Nie zna ich ksiądz wikary.

— Mój Łukaszu, dosyć tej gawędy. Ty kochaneczku, — zwrócił się do wyrostka, — weź koszyk i pójdziesz z nami, dobrze?

— Dlaczegóżby nie? — podniósł koszyk z ziemi, — ależ ciężki, nie pożałowali dobrodziejowi, — zaśmiał się.

— Milcz smarkaczu, zgromił go Łukasz, — do dobrodzieja, do osoby mówisz.

W swej wędrówce po chatach zbliżyli się do dworu. W zajezdnych wrotach stało kilku parobków, przypatrujących się ciekawie idącemu księdzu.

Wikarego zainteresował stary dwór z gankiem ko-

lumnowym, park z wysokiemi drzewami i obszerny ogród.

Spostrzegł to Łukasz i rzekł tonem objaśnienia:

— To siedziba gorzej niż szatana, bo farmazona i bluźniercy.

— Cóż on zrobił takiego? — spytał obojętnie wikary.

— Nie chodzi do kościoła, ani do spowiedzi. Wymyśla i gdzie może, to szkodzi księdzu proboszczowi. Żonę własną pochował bez księdza; o, ten żywcem pójdzie do piekła.

Zbliżali się do wrót i nagle wyszedł z nich na drogę człowiek tęgi, przysadkowaty, z wielkim szpakowatym wąsem, skłonił się maciejówką nizko, mówiąc pokornie:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki, wieków! — przystanął wikary.

— Księże dobrodzieju, raczcie wstąpić do mnie i poświęcić, przecież ja katolik i chrześcijanin.

— Bardzo chętnie, — skinął wikary głową.

Kościelny zabiegł mu drogę i rzekł rozdrażnionym głosem:

— Ksiądz proboszcz zapowiedział, że jego noga nie postanie nigdy we dworze, i u tych, którzy służą u niego.

— Ale ja nie jestem księdzem proboszczem, ustąpcie z drogi.

— Dobrze, ale ja nie pójdę... ksiądz proboszcz będzie strasznie się gniewał.

Wikary wspomniał, że i jemu zakazał proboszcz wstępować do dworu, zawahał się sekundę, ale poczu-

cie obowiązku wzięło górę nad obawą i powiedział do Łukasza:

— Zaczekajcie na mnie w tamtej chacie — wskazał na obejście gospodarskie, — sam pójdę, dajcie mi kropidło i wodę.

Tyle stanowczej powagi było w jego głosie, że kościelny nie śmiał się sprzeciwić i mrucząc dał mu żądane przedmioty.

Parobcy we wrotach zdjęli czapki i z wielkiem zdumieniem patrzyli na księdza idącego z ekonomem, za którymi z obawą w oczach szedł wyrostek z pełnym koszykiem.

Wikary będąc blizko oficyn, w których mieszkał ekonom, dostrzegł chłopaka z koszem, przystanął i rzekł:

— Mój kochany, idź do kościelnego i tam zaczekaj na mnie.

Chłopak szybko się oddalił, a wikary ujrzał w otwartem oknie dworu, dwie postaci niewieście pilnie mu się przypatrujące.

Po spełnieniu obrządku, ulegając zaproszeniu usiadł, a ekonom mówił:

— Od pięciu lat jestem tu w obowiązku i pierwszy raz będę miał święcone jak się patrzy.

— Tak? — zdziwił się wikary.

— Co prawda, żona moja co roku posyła pod kościół poświęcić jaja, chleb i sól, ale gdzież mogła oddać w chłopskie ręce te baby, mazurki, placki, mięsiwo, — wskazał na stół zastawiony.

— Dlaczegóż pan nie poprosił księdza proboszcza? Jestem pewny, że nie odmówiłby panu.

— Ale!? — zaśmiał się, — proboszcz z panem dziedzicem drą koty, patrzeć na siebie nie mogą. I do

brze mówił kościelny, że noga księdza proboszcza tu nie postoi. Prawdę mówiąc, jeden zawzięty i drugi, a na tem, my, katolicy, cierpimy najwięcej.

— To źle... Chrystus kazał miłować nawet nieprzyjaciół i zgoda to rzecz święta i nakazana.

— Byli tacy, co próbowali nakłonić do zgody, ale skończyło się na próbach.

Wikary, który w ostatnich dniach rozmyślał nieustannie nad męką i śmiercią Zbawiciela i był do głębi wzruszony miłością Chrystusa, nie wątpił i chwili, że skoro przemówi w imię Chrystusa, tego najcudowniejszego kwiatu miłości wszechludzkiej, każdy się wzruszy, zapomni uraz, przebaczy winy i poda rękę do zgody.

Wstał i rzekł do ekonoma stanowczym głosem:

— Idę do dworu... czy pan Szybicki w domu?

— Jest, ale iść nie radzę.

— Spróbuję, — pożegnał się i wyszedł na obszerny dziedziniec.

Skierował się wprost na ganek podtrzymywany czterema kolumnami i nie spotkawszy nikogo w obszernym przedpokoju, zapukał lekko do drzwi z lewej strony.

— Proszę! — odezwał się ktoś.

Otworzył drzwi i ujrzał siedzącego przy biurku szpakowatego bruneta, który mierząc go bystremi, ciemnemi oczyma, spytał surowo, z odcieniem zdziwienia:

— A czego to?

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, — powiedział spokojnie wikary.

— Na wieki — odparł szybko, — czego ksiądz chce tutaj?

— Przyszedłem dopełnić ceremonii poświęcenia.

— Do mnie? U mnie? — uśmiechnął się z ironią, — jeśli w imieniu proboszcza, nie chcę i nie pozwalam.

— A w imieniu Chrystusa, który cierpiał i umarł, ażeby nas odkupić i stworzyć na ziemi królestwo miłości?

— U was zawsze na ustach słowa miłości i przebaczenia, a jesteście obłudnicy i zdziercy, — mówił z goryczą, — skąd ksiądz przychodzi?

— Jestem wikary tutejszej parafii.

— A, ten nowy, słyszałem coś o tem.. Nie zapraszam księdza bliżej, bo nic nie chcę mieć wspólnego z proboszczem i jeśli przychodzi ksiądz od niego z prośbą pojednania, to nie mamy potrzeby mówić ze sobą, — spojrzał dumnie i z góry na stojącego.

— Powtarzam, że przychodzę w imieniu Chrystusa do chrześcijanina i katolika.

— Uparty ksiądz jesteś, — uśmiechnął się z politowaniem, — no, proszę bliżej, siadaj ksiądz, — wskazał krzesło.

Wikary postąpił naprzód i zamknąwszy drzwi, rzekł:

— Przyszedłem dopełnić poświęcenia i przypomnieć panu, jako chrześcijaninowi, że w tym czasie obchodzimy smutną i bolesną pamiątkę. Jeśli Chrystus poniósł śmierć męczeńską i przebaczył swym katom, czyż my, wyznawcy i uczniowie Chrystusa mamy żyć w nienawiści i nie możemy wybaczyć drobnych krzywd?

Szybicki z pewnem zdziwieniem słuchał tych słów, podniósł głowę, przyjrzał się ciekawie wikaremu. Podobała mu się twarz jego, spokój i słodycz wyrazu, powiedział też znacznie uprzejmiej:

— Niechże ksiądz usiądzie... pogadamy trochę. Stół ze święconem pewno nie gotów jeszcze, tylko o jedno proszę, nie mówmy o pojednaniu mojem z proboszczem. Nie cierpię go i znać go nie chcę, — kończył stanowczo.

— Zgoda i na to, — mówił wikary łagodnie, — ale czy zbadał pan bezstronnie wszystkie przyczyny i powody? Czy obwiniając jego, nie doszukał się pan swojej winy?

— Nie poczuwam się do niczego, — zaczął szybko i z goryczą, — wyobraź sobie księże, że on zażądał trzysta rubli za pogrzeb mojej żony, że gdy moja córka wychodziła za mąż, wymagał ażeby zdawała egzamin z katechizmu, tylko dla dokuczenia mi. Odmawia mi służbę, buntuje chłopów, w najgorętszy czas roboty urządza jakieś nabożeństwa, pielgrzymki, i robi mi tysiące przykrości, ale ja nie z takich, ażebym się ugiął przed klechą. On wyklina mnie z ambony, a ja wyjaśniam chłopom jego zdzierstwo, egoizm, powierzchowną pobożność, bo to człowiek twardy, zimny, nieużyty i zarozumiały, — oddychał szybko, jak po zmęczeniu.

— Na to oskarżenie mam przypowieść ewangelii o źdźble w oku bliźniego, a o belce we własnem, — rzekł spokojnie wikary, — i drugą naukę Chrystusa: kto z was bez grzechu niech rzuci kamieniem. Czyż pana nie wzrusza bezmierna miłość Chrystusa modlącego się o przebaczenie jego oprawcom?

— Dosyć tego, — odparł zimnym i twardym głosem Szybicki, — przepraszam księdza, że się uniosłem... ale wzmianka o proboszczu zawsze mnie rozdrażnia... mniejsza o to. A jak nazwisko księdza?

— Stanisław Kęcki.

rękę, — szkoda tych pięknych myśli w takim parafialnym kościele.

Usiedli wszyscy, a wikary czerwieniąc się, rzekł skromnie:

— Za pochwały dziękuję... Wielkość i wspaniałość kościoła jest rzeczą poboczną, byle wierni byli, a ci są wszyscy równi wobec Boga.

— No, zapewne, — uśmiechnęła się Leśniowolska, — wobec Boga, to tak, ale nie wobec kaznodziei. Inaczej odczuwają ludzie wykształceni, a inaczej prości, mało inteligentni.

— Miałaby pani słuszność, — powiedział spokojnie, — gdybym z kazalnicy miał odczyt naukowy, ale ja głoszę miłość Chrystusa, a ta zawsze znajdzie oddźwięk w sercach prostych i szczerych.

— No, dosyć tych rozpraw teologicznych, — zawołał wesoło gospodarz, — Klarciu, a twe obowiązki!?

— Święcone na stole, — odpowiedziała rumieniąc się, — przygotowałyśmy z Wandzią.

— Więc poświęć księże wikary, a gospodyni da nam przekąskę.

Wikary wstał i idąc ku drzwiom, rzekł:

— Zostawiłem w gabinecie wodę i kropidło, zaraz wrócę.

Za chwilę udali się wszyscy do pokoju, gdzie na stole zastawione było święcone wielkanocne.

Po ceremonii powiedział Szybicki swobodnie i wesoło:

— Zastosowałem się do twej woli księże wikary i poświęciłeś. Teraz musisz zastosować się do mej woli i zjeść z nami podwieczorek.

— Dziękuję, ale dziś suszę.

— Suszysz?... więc napijemy się szklankę wody i przełamiemy się chlebem.

— Jeszcze chwilę mogę zostać.

— Dlaczego chwilę? — spytał gospodarz, przechodząc z córkami i gościem do przybocznego pokoju.

— Nie byłem jeszcze w chatach za dworem.

— Jakto? chodzisz po wszystkich chałupach? — zdziwił się, — tego ani ten, ani poprzedni proboszcz nigdy nie robił, — usiadł, wskazując obok siebie krzesło wikaremu, — przyniosą pod kościół i to im wystarcza.

— Prawda, że wystarcza, ale zrobi im większą przyjemność, gdy w chacie poświęcę.

— Wątpię... może nie odczują nawet.

— Chłop jest konserwatywny, — odezwała się Leśniowolska — i trzyma się dawnych zwyczajów.

— Radość i smutek wszyscy odczuwamy, — rzekł wikary, — różnimy się tylko stopniowaniem. A jeśli mnie do święcenia usilnie zapraszają, im biedniejszy tem goręcej, sądzę, że sprawia im to przyjemność.

— I napewno tak jest, — skinęła głową Klara.

— Może zapalisz? — podsunął papierośnicę.

— Dziękuję, nie palę.

— Nie? to już masz jedną zaletę w oczach Klarci, — uśmiechnął się gospodarz, — chciałem się ze względu na nią odzwyczaić, ale sama mnie zwolniła z tej dobrej intencyi.

— Bo widziałam, jak tatuś palił pokryjomu, — zaśmiała się.

— No, jakże się znosisz, księże wikary, z proboszczem?

— To sumienny i gorliwy ksiądz, żyjemy zgodnie.

rękę, — szkoda tych pięknych myśli w takim parafialnym kościele.

Usiedli wszyscy, a wikary czerwieniąc się, rzekł skromnie:

— Za pochwały dziękuję... Wielkość i wspaniałość kościoła jest rzeczą poboczną, byle wierni byli, a ci są wszyscy równi wobec Boga.

— No, zapewne, — uśmiechnęła się Leśniowolska, — wobec Boga, to tak, ale nie wobec kaznodziei. Inaczej odczuwają ludzie wykształceni, a inaczej prości, mało inteligentni.

— Miałaby pani słuszność, — powiedział spokojnie, — gdybym z kazalnicy miał odczyt naukowy, ale ja głoszę miłość Chrystusa, a ta zawsze znajdzie oddźwięk w sercach prostych i szczerych.

— No, dosyć tych rozpraw teologicznych, — zawołał wesoło gospodarz, — Klarciu, a twe obowiązki!?

— Święcone na stole, — odpowiedziała rumieniąc się, — przygotowałyśmy z Wandzią.

— Więc poświęć księże wikary, a gospodyni da nam przekąskę.

Wikary wstał i idąc ku drzwiom, rzekł:

— Zostawiłem w gabinecie wodę i kropidło, zaraz wrócę.

Za chwilę udali się wszyscy do pokoju, gdzie na stole zastawione było święcone wielkanocne.

Po ceremonii powiedział Szybicki swobodnie i wesoło:

— Zastosowałem się do twej woli księże wikary i poświęciłeś. Teraz musisz zastosować się do mej woli i zjeść z nami podwieczorek.

— Dziękuję, ale dziś suszę.

— Suszysz?... więc napijemy się szklankę wody i przełamiemy się chlebem.

— Jeszcze chwilę mogę zostać.

— Dlaczego chwilę? — spytał gospodarz, przechodząc z córkami i gościem do przybocznego pokoju.

— Nie byłem jeszcze w chatach za dworem.

— Jakto? chodzisz po wszystkich chałupach? — zdziwił się, — tego ani ten, ani poprzedni proboszcz nigdy nie robił, — usiadł, wskazując obok siebie krzesło wikaremu, — przyniosą pod kościół i to im wystarcza.

— Prawda, że wystarcza, ale zrobi im większą przyjemność, gdy w chacie poświęcę.

— Wątpię... może nie odczują nawet.

— Chłop jest konserwatywny, — odezwała się Leśniowolska — i trzyma się dawnych zwyczajów.

— Radość i smutek wszyscy odczuwamy, — rzekł wikary, — różnimy się tylko stopniowaniem. A jeśli mnie do święcenia usilnie zapraszają, im biedniejszy tem goręcej, sądzę, że sprawia im to przyjemność.

— I napewno tak jest, — skinęła głową Klara.

— Może zapalisz? — podsunął papierośnicę.

— Dziękuję, nie palę.

— Nie? to już masz jedną zaletę w oczach Klarci, — uśmiechnął się gospodarz, — chciałem się ze względu na nią odzwyczaić, ale sama mnie zwolniła z tej dobrej intencyi.

— Bo widziałam, jak tatuś palił pokryjomu, — zaśmiała się.

— No, jakże się znosisz, księże wikary, z proboszczem?

— To sumienny i gorliwy ksiądz, żyjemy zgodnie.

— Podziwiam, — wątpiąco uśmiechnął się Szybicki, — albo też nie znasz go jeszcze.

— Obcując z nim codziennie, przypuszczam, że go poznałem. O panu nic złego nie mówił, chociaż rozmawiał ze mną o panu.

— Za to w sąsiedztwie, gdzie może, to mnie ugryzie, ale mniejsza o to. Czy poznałeś kogo ze wsi?

— Nie miałem czasu i sposobności... Zdaje mi się, że ludzie tu dobrzy i szczerzy.

— Ho, ho, nie tacy, jak myślisz, lenie i lecą na lekkie zarobki.

— Któż z nas lubi ciężką i utrudzającą pracę na to, ażeby tylko żyć, — uśmiechnął się pogodnie, — co innego praca dla idei, wtedy każdy wysiłek jest lekki i przyjemny.

— Albo dla szczęścia drugich, — dodał gospodarz, patrząc na córki.

— Na mnie już czas, — wstał wikary z krzesła.

— Zaczekajże, księże Stanisławie... moje konie odwiozą ciebie.

— To będzie za uciążliwe i dla koni i dla mnie... wolę pieszo.

— Więc dowidzenia, — podał mu rękę, — zawsze będziesz miłym gościem, a wybacz, że cię nie odwiedzę, chcę uniknąć niemiłego spotkania. Jutro czekam cię ze święconem, poznasz Zygmunta.

— Jutro? chyba popołudniu, po nieszporach.

— Dobrze, czekamy. Daj słowo.

— Wystarczy przyrzeczenie.

Wikary skłonił się paniom z daleka i odprowadzony przez gospodarza wyszedł.

Na dziedzińcu pod oficyną dostrzegł ekonoma

z żoną i dziećmi; przypatrywali mu się z zajęciem, a ekonom ukłonił się nizko.

Również parobcy patrzyli na niego ciekawie, robiąc ciche uwagi.

Gdy wyszedł z bramy wjazdowej, ujrzał na drodze, nieopodal, Łukasza w otoczeniu pięciu chłopów.

— A, chwała Panu Bogu! — zawołał Łukasz ucieszonym głosem, podchodząc do księdza, — już szliśmy z pomocą, a tu ksiądz wikary wraca zdrów i cały.

— Co wy też Łukaszu wygadujecie? — powiedział wikary surowo.

— Świętą prawdę! Jak mi Bóg miły! Taki wróg kościoła, taki farmazon, mógł zabić, albo okaleczyć księdza katolickiego... on na to patrzy!

Chłopi obecni kiwali potakująco głowami, patrząc niechętnie na dwór.

— Łukaszu, cicho! — zawołał ostro wikary. — Pan Szybicki chrześcijanin i katolik, i czy godzi się mówić tak źle o bliźnim? Wstyd wam, służycie Panu Bogu, a grzeszycie obmową i nienawiścią.

Łukasz spojrzał gniewnie na księdza, ale milczał, a chłopi mruknęli:

— Sprawiedliwie dobrodziej mówi!... Co prawda, to prawda, a obmowa grzech... Gdzieżby zaś porwał się na księdza katolik!?

— Pójdziemy Łukaszu do dalszych chat, — powiedział uprzejmie wikary, — z Panem Bogiem dobrzy ludzie, — pożegnał chłopów stojących.

Łukasz chmurny i zły, pewien był bowiem pochwały za swą gorliwość o życie księdza, szedł milczący i obojętnie spełniał posługi.

Już słońce zachodziło, gdy wracali na plebanię.

Wikaremu było przykro, że stary kościelny idzie gniewny i milczący, zwrócił się do niego, mówiąc przyjaźnie:

— Zapomniałem wam podziękować Łukaszu za waszą troskliwość o moje życie, chociaż obawa była zbyteczna.

To uznanie udobruchało trochę starego, ale rzekł zgryźliwie:

— Młodzi za nic mają przestrogi doświadczonych... że księdzu wikaremu nic się nie stało we dworze, to cud i łaska boska. Już sam jego widok kusi człowieka do złego.

— Łukaszu, Łukaszu, czy tak uczył Chrystus? A gdzież miłość, gdzie przebaczenie?

— Co innego bratu wierzącemu, który pobłądzi, — bronił się Łukasz, — ale takiemu bezbożnikowi, który jest zgorszeniem całej parafii, obraża i bluźni Panu Bogu i księdzu proboszczowi, dla takiego niema przebaczenia, ani za życia, ani po śmierci.

— Jaki będzie wyrok Pana Boga, tego nikt z nas nie wie i pamiętajcie Łukaszu słowa ewangelii: nie sądźcie, nie będziecie sądzeni.

Kościelny jakiś czas milczał, wreszcie rzekł:

— Bo to ksiądz wikary nie wie, ani się domyśla, co ten bezbożnik wygaduje na księdza proboszcza. Naśmiewa się, wymyśla, dobrego słowa nie powie.

— To rzecz jego sumienia, nie nasza.

Znów szli w milczeniu, aż gdy Łukasz dojrzał plebanię, powiedział, nie bez intencyi dokuczenia:

— Ciekawość, co też ksiądz proboszcz powie na tę wędrówkę i odwiedziny dworu?

Wikary, sądząc, że myśli jego odgadł kościelny, poczerwieniał, gdyż i on w głębi duszy miał obawę

przed proboszczem, ale otrząsł się z tych myśli i rzekł pogodnie:

— Ksiądz proboszcz jest wzorem obowiązków i żąda, ażeby każdy je spełniał.

— Ho! ho! — zawołał kościelny, — już gromadzą się na rezurekcyę... O, i na poświęcenie znieśli.

Wikary spojrzał na zegarek i rzekł:

— Teraz poświęcę... a za pół godziny zacznijcie Łukaszu bić we wszystkie dzwony.

VII.

W niedzielę wielkanocną, po sumie, proboszcz, wikary i Blińska, po obdzieleniu się jajkiem, zasiedli do święconego. Proboszcz okiem znawcy spojrzał na pokrajaną szynkę, kiełbasę, głowiznę, na prosię pieczone i indyka.

Egzamin wypadł dobrze, bo proboszcz rozchmurzył się i siadając rzekł wesoło:

— No, spożywajmy dary boże, po wielkim poście należy się nam posiłek.

— A zwłaszcza księdzu wikaremu, — zaśmiała się Blińska, — po surowym poście i suszeniu.

- Jakżeż tam ze święceniem na wsi? — spytał proboszcz jedząc szynkę.

— Powiadam bratu, — pospieszyła Blińska, — że nie pamiętam roku, ażeby tyle uzbierano w Kościeńcu. Widać, że kury dobrze się niosą i krowy mają mleko.

— To chwała Panu Bogu, — skinął proboszcz głową, — a pamiętałaś siostro o Łukaszu?

— Naturalnie dałam i jemu, a i tak zostało do-

syć. Jaja trzeba będzie sprzedać, bo te chłopskie kury, karmione pośladem, nie niosą smacznych jaj. Nasze, na ziarnie, to co innego.

— No, a jak tam cieliczka? — spytał nabierając głowizny.

— Już pobrykuje, a Łaciata ma tyle mleka, że odbieram ze dwie kwarty.

— Uważaj, ażebyś nie ogłodziła cieliczki, bo trzeba ją odchować.

— O, wiem przecież, czy to mi pierwszy raz?... Niechże ksiądz wikary pozwoli więcej, — zapraszała, — to szynka z wieprza naszego chowu, czy nie smakuje?

— Owszem, bardzo dobra, ale już jadłem.

— To może kiełbasy i głowizny, co?

— Dziękuję.

— O, ksiądz wikary jak panienka, ledwie coś dziubnie, — zaśmiała się.

— Nie nalegaj siostro, — ostrzegł proboszcz, — po takim poście trzeba żołądek zwolna, stopniowo przyzwyczajać... A daj mi kawałek indyka z nadziewką... Czy tylko kruchy?

— W ustach się rozpływa, — mlasnęła językiem i nabierała na talerz proboszcza.

Jakiś czas milczeli.

— Jakże z pieniędzmi, księże wikary, — spytał proboszcz, — zebrałeś kilka rubli. Nieprawdaż?

Wikary, nie chcąc rozdrażniać proboszcza, odpowiedział wymijająco:

— A tak... dawano mi...

— Ileż wójt ci dał?

— Nie przyjąłem datku.

— Hm... — spojrzał na niego, — no, zrobiłeś do-

brze i źle... Dobrze, bo wójt ze względu na swój urząd bywa nam potrzebny... znów źle, bo ofiar się nie odmawia, a odrzucając, grzeszysz pychą, co nie przystoi kapłanowi... Dajno siostro wina, tego lepszego, z lakiem żółtym... dziś Wielkanoc, chyba wypijesz, księże wikary, kieliszek?

— Dziękuję uprzejmie... Wyrzekłem się alkoholu na całe życie.

— Nie bądź tak pochopny do przysiąg, — ostrzegł proboszcz, — dopiero rozpoczynasz życie, a już mówisz o całości. Na świecie różnie bywa.

— Święta prawda, — powiedziała Blińska, stawiając flaszkę na stole, — na ten przykład ja. Czy wychodząc za mego nieboszczyka męża wiedziałam, że będę u brata? — westchnęła.

— Czy ci źle u mnie?

— Uchowaj Boże, bardzo dobrze, trudno lepiej na świecie.

— No, to nalej mi wina... ostrożnie, szkoda kropli każdej. Wino droższe od złota, bo złoto zbierzesz, a wino nie, — uśmiechnął się.

Blińska słyszała ten frazes nie poraz pierwszy, ale zaśmiała się, mówiąc:

— Ksiądz proboszcz jak powie coś zabawnego, to śmiać się i śmiać.

Proboszcz próbował wina raz i drugi raz, i rzekł:

— Jednak moje wino jest lepsze, aniżeli to, które piłem u Horodelskiego.

— Bo też brat znawca i nikt go nie oszuka na winie, — chwaliła Blińska.

— Nalej sobie kieliszek siostro, po tłustem mięsie woda szkodzi... Dobrze, że sobie przypomniałem, —

zwrócił się do wikarego: — pan Horodelski chce poznać ciebie, księże Stanisławie.

— Mnie? — zdziwił się.

— Tak jest. On zna wszystkich księży w okolicy i jest szczególnym dobrodziejem naszego kościoła w Kościeńcu. Otóż w poniedziałek, po przewodach, ugaszcza duchowieństwo u siebie. Będzie tam i jego syn, proboszcz z Grodnik, dobra parafia, bogata... będą i inni księża. Zażądał, ażebyś i ty przyjechał, co też obiecałem.

— Czy to konieczne? — zaczerwienił się, — co ja tam będę robił?

— To co inni, — spojrzał surowo, — i pojedziesz, bo ja przyrzekłem.

Wikary, który miał na sumieniu bytność u Szybickiego i lada chwila oczekiwał burzy, dziwiąc się, że dotychczas jej niema, odpowiedział uprzejmie:

— Ponieważ ksiądz proboszcz przyrzekł, więc oczywiście pojadę.

— I nie pożałujesz tego, zabawisz się godziwie i przykładnie. Horodelski to wzór obywateli i katolików, chociaż bogaty i wielkiego rodu, szanuje i czci kapłanów, nie tak, jak ten Szybicki, wyzuty z religii, honoru, sumienia.

Wikarego męczyło oczekiwanie przykrej sceny z proboszczem i wstyd mu było, że pragnąc żyć prawdą, zataja ją z obawy przykrości. Prędzej, czy później, przyjdzie ta sprawa na stół, to już lepiej zaraz. Wprawdzie przybladł trochę i miał uczucie, jak gdyby zbliżał się do czegoś bolesnego, ale udając swobodę, rzekł pogodnie:

— Poznałem pana Szybickiego, i wcale nie jest straszny, ani bezbożnik.

Gdy spojrzał na proboszcza, pożałował swych słów. Właśnie podnosił kieliszek do ust, zatrzęsła mu się ręka i z kieliszka polało się wino na obrus. Na pomarszczonej, żółtawej twarzy wystąpiły czerwone plamy, które szybko rozszerzały się i przechodziły w siny kolor. Z ust otwartych nie mógł głosu wydobyć, wreszcie wybełkotał:

— Jak śmiałeś zbliżać się do tego łotra... zakazałem!

Przerażona Blińska podbiegła do proboszcza i składając ręce prosiła:

— Panie bracie, uspokój się! Zaszkodzi ci! Matko Boska, wszyscy święci pańscy, ratujcie!! Wody! wody!

— Milcz! — zawołał proboszcz, odetchnął głęboko, nadpił wody z podanej szklanki i rzekł do wikarego: — Znając twe buntownicze usposobienie, uprzedziłem, ażebyś się nie ważył iść do dworu. I to jest posłuszeństwo przełożonemu, na które przysięgałeś przed biskupem?

Ten ton ostry i surowy oburzył wikarego, rozumiał, że postąpił tak, jak mu nakazywał obowiązek kapłański i powiedział:

— Złożyłem ślub posłuszeństwa w sprawach duchownych, ale nie w prywatnych i czysto osobistych.

— Nie wyślizguj się jak wąż chytry! — zgromił go proboszcz, — czyż święcenie nie jest czynnością duchownych? Powiedz prawdę: kto cię namówił, ażebyś poszedł do tego wcielonego antychrysta i bluźniercy?

— Sam, z dobrej woli i poczucia obowiązku poszedłem do dworu, wbrew radom kościelnego.

— Czyż nie rozkazałem ci, ażebyś tylko tam po-

szedł, gdzie Łukasz ci wskaże, dlaczego więc polazłeś do dworu przeklętego?

— Postąpiłem stosownie do nauk Chrystusa, który sam wszedł do domu celnika.

— Nie kłam! Mnie nie oszukasz, — zawołał z pasyą, — nie zasłaniaj się świętokradzko Chrystusem! Wiem dobrze, co cię skłoniło do wstąpienia do dworu. Najpierw, ażeby mi na złość zrobić, a potem, chciałeś zobaczyć i poznać te grzesznice, które były na twojem kazaniu!

Wikary przestał być panem siebie, wstał blady z oburzenia i rzekł:

— Te niecne podejrzenia zasługują tylko na wzgardę! — obrócił się i skierował ku drzwiom.

— Stój! — wrzasnął proboszcz — jako twój przełożony każę ci zostać.

Wikary zawahał się na chwilę, przystanął i powiedział cicho:

— Jestem posłuszny!

— Marto, idź... rozmówię się sam z tym paniczem, — a gdy Blińska wahała się, krzyknął: — Idź natychmiast!

Blińska zniknęła, jak gdyby ją wiatr zwiał, a proboszcz surowo:

— Siadaj!... Nie zapominaj, że odpowiadasz przed przełożonym, któremu jesteś winien cześć i posłuszeństwo.

— Wiem, — usiadł wyczerpany.

— Daj mi słowo kapłańskie, że powiesz mi całą prawdę i nic nie ukryjesz.

— Zawsze mówię prawdę, słowa z zasady nie daję, wystarczy przyrzeczenie.

Proboszcz dość długo patrzył mu w oczy, a wi-

dząc w wyrazie jego twarzy zaciętość, powiedział zwolna:

— Kapłańskie przyrzeczenie równa się słowu, chcę wierzyć, że powiesz prawdę. Opowiedz mi tedy, jak się stało, że poszedłeś do dworu?

— Przechodząc drogą po pod dwór...

— Zaraz, — przerwał mu proboszcz, — poco szedłeś tą drogą? Za dworem stoją czworaki i kilkanaście chałup. Ci, do których posłałem ciebie, mieszkają we wsi.

— Święciłem po wszystkich chatach, o ile mnie proszono.

— Co mówisz, nieszczęsny! Czy nie rozumiesz, że w ten sposób jakbyś wołał do ludzi: — patrzcie, jaki ja dobry i dbały, nic mnie nie obchodzą różnice majątkowe i socyalne, nie tak, jak waszego proboszcza! — załamał ręce.

— Nawet na myśl mi nie przyszło coś podobnego. Wchodziłem do każdej chaty, bo Chrystus Pan za wszystkich cierpiał mękę i śmierć.

— No no... toś mi się przysłużył!? A czułem, że palniesz głupstwo i dlatego dodałem ci Łukasza... Cóż dalej?

— Z bramy wjazdowej wyszedł ekonom i prosił mnie o poświęcenie...

— A to podły, chytry człowiek. Dobrze wiedział, że ja nigdy nie chodzę do niego, skorzystał z twej niewiadomości.

— Wcale nie. Łukasz uprzedził mnie o tem, ale skoro parafianin żąda ceremonii kościelnej, moim obowiązkiem jest uczynić zadość jego prośbie.

— Głupstwo! Kościół wyklucza od tego dobrodziej-

stwa heretyków, odstępców, wyklętych... to powinieneś wiedzieć... Idźmy dalej, poszedłeś tedy do ekonoma...

— Dowiedziawszy się od niego, że próby pojednawcze pomiędzy księdzem proboszczem a panem Szybickim spełzły na niczem, postanowiłem pogodzić...

— Nigdy! Przenigdy! Ty nie masz pojęcia, co ten łotr mi zrobił i robi. Przy pogrzebie żony zachował się skandalicznie, wykluczył mnie z pogrzebu! Bredzi niestworzone rzeczy na mnie przed chłopami. Opisał mnie w gazetach jako zdziercę i krzywdziciela. Jawnie lekceważy kościół i święte obrządki. Dawno powinien wisieć lub być spalonym, i gdyby nie to, że rządowi w smak jego bluźnierstwa na katolicyzm, zgniłby dawno na Sachalinie.

Ten gwałtowny potok wymowy zrobił na wikarym przygnębiające wrażenie.

— Księże proboszczu, — przemówił łagodnie, — Chrystus przebaczył swoim katom na krzyżu.

— Dajże mi spokój! — uderzył ręką w stół, — ja nie Chrystus! Moim obowiązkiem jest tępić bluźnierców i bezbożników, ażeby innych nie zarażali.

Wikary posępny milczał. Proboszcz wlał kieliszek wina do wody pozostałej w szklance, wypił, otarł dłonią usta i zaczął spokojniej:

— Niema nic złego, coby na dobre nie wyszło. Źle, bardzo źle zrobiłeś, że wbrew zakazowi poszedłeś do tego gniazda bluźnierczego... ale z drugiej strony przekonałeś się, że ja mam racyę. Cóż tam było? Poświęciłeś?

— Tak jest. Stół był zastawiony, jak zwykle...

— A tak! tak! — zawołał drwiąco, — żre krzywdę ludzką! Ty nie wiesz, jak on wyzyskuje ludzi, robotni-

ków. Urządza jakieś wszeteczne zabawy, loterye, pijaństwo, byle ściągnąć ludzi i przeszkodzić nabożeństwu... Cóż dalej, mówił co o mnie? Jak cię przyjął?

— Pozdrowiłem go słowem bożem, odpowiedział po chrześcijańsku...

— Podły obłudnik, — zabłysły mu oczy złowrogo, — to bluźnierca! Do kościoła nie chodzi, ludzi odstręcza, kapłanów znieważa i wyśmiewa, i śmie odpowiadać na pozdrowienie boskie?! A o mnie?

— Skarżył się ogólnikowo, ale przy całej goryczy i żalu nie powiedział nic ubliżającego kościołowi i świętej nauce.

— Padalec podły, on skrycie kąsa, obawiał się, że powiesz mi o wszystkiem.

— Wątpię bardzo, ludzie w gniewie nie liczą się ze słowami, a on nic nie powiedział przeciw religii.

— Ale mnie obszczekiwał i rzucał na mnie oszczerstwa.

— Tego nie powiedziałem... skarżył się na krzywdy prawdziwe, czy urojone, tego nie rozsądzam, ale nic przeciw kościołowi, religii.

Proboszcz ściągnął brwi gniewnie i zawołał zgorszony:

— Otóż to młodzież dzisiejsza! I czego was uczą w tych seminaryach!? Czyż nie wiesz, co pisze święty Ignacy, uczeń świętego Jana, apostoła!? Ja pamiętam dobrze i posłuchaj: Kapłaństwo jest szczytem dóbr, jakiemi Bóg obdarzył ziemię, tak dalece, że ten co pogardza kapłanem, pogardza Bogiem samym. Tak stoi w liście do Smyrny.. A Szybicki sto razy gorzej robi, on przedrwiwa, kala, bluźni i złorzeczy kapłanowi, nienawidzi go, więc nienawidzi Boga! Rozumiesz!?

— Słyszę.

— I to ci zapowiadam, ażeby noga twoja nie postała u tego łotra i u jego domowników. To rozkazuję!

Wikary, dotychczas silący się na spokój, poczerwieniał, oczy mu zabłysły, nozdrza rozdęły i rzekł prawie chrypliwym głosem:

— A ja uprzedzam księdza proboszcza, że nie zastosuję się wcale do tego tak surowego rozkazu. W rzeczach wiary i kościelnych będę posłuszny, ale niewolnikiem kaprysów i przywidzeń, chociażby najwyższego przedstawiciela władzy, nie byłem, nie jestem i nie będę. Dosyć tej niesmacznej rozmowy, muszę się do nieszporów przygotować, — i szybko wyszedł.

— Błazen! — zawołał proboszcz czerwony z gniewu, — wypędzę! wyrzucę!

Lecz po chwili przyszło zastanowienie. Wszak konsystorz na żądanie jego własne przysłał mu księdza do pomocy. Zadzierać z konsystorzem nie chce i nie może, ale napisze skargę i poprosi o przeniesienie wikarego.

Trzeba zebrać fakta, świadczące przeciw wikaremu. Tak jest, fakta będą mówiły. Łukasz był z nim, on najlepiej objaśni i zawołał:

— Hej! Siostro!... Jest tam kto?

Wpadła Blińska i stanąwszy przed proboszczem mówiła:

— Jestem... jestem! Na Boga, jak dobrodziej źle wygląda!

— Nie twoja rzecz! — zgromił ją, — poszlij natychmiast po Łukasza, niech biegiem się stawi do mnie.

— Idę... Chryste Panie, co się tu dzieje? — znikła we drzwiach, wkrótce wróciła i stanęła przy bufecie, patrząc żałośnie na proboszcza.

— Czegoś oczy tak wybałuszyła?... Nalej mi wina, zaschło mi w gardle z powodu tego smarkacza.

Blińska szybko podeszła i nalewała do kieliszka, mówiąc:

— Brat straci zdrowie z tym młokosem, czy on wart tego?

— Głupiaś, tu idzie o honor kościoła, o religię, — nadpił i mówił cichszym głosem: — a swoją drogą czuję się niedobrze, jakoś mi niewyraźnie.

— Ba, taka irytacya przy jedzeniu, to choroba gotowa... Możeby filiżankę barszczu gorącego?

— Hm... barszcz, mówisz?... Ano, daj mi, tylko gorący.

Przyniosła, proboszcz zwolna popijał łyżeczką, a Blińska zaczęła:

— Jeszcze wczoraj dowiedziałam się, że on był we dworze, ale brat, wróciwszy, nie chciał mówić ze mną.

— A rano?... Czy miałaś usta zamurowane? Nie mogłaś?

— Brat zakazał odzywać się przed odprawieniem mszy świętej.

— Tak jest... ale tu zaszedł wypadek niezwykły.

— Nie wiedziałam, że wolno... Łukasz zebrał chłopów, żeby ratować wikarego.

— Także koncept... takiemu nic nie będzie, kołem nie dobijesz... aj, boli! boli! — schwycił się za nogę, — a wszystko przez niego!

— A bodaj go Bóg skarał! Jak mógł tak rozgniewać złote serce brata dobrodzieja. Jakżeż on zawinił! a niby taki pobożny, suszy, modli się.

— Tak, tak, a ma dyabła za skórą, dyabła pychy i uporu.

Wszedł Łukasz. Proboszcz rozpoczął systematyczne badanie, co, gdzie i kiedy wikary mówił i robił. Mimo krzyżowych pytań nie znalazł faktycznej winy w jego zachowaniu, oprócz tej, że odmawiał brania pieniędzy, co jest dowodem pychy i chęcią poniżenia proboszcza, a drugą winą było jawne nieposłuszeństwo i kaptowanie parafian, to owo chodzenie po chatach i wstąpienie do dworu.

Odesłał Łukasza i zaczął się zastanawiać nad napisaniem skargi na wikarego do konsystorza. Kolejno przechodził punkta oskarżenia i w końcu zwątpił, czy taka skarga odniesie pożądany skutek.

Wstał, przeszedł do swego pokoju, usiadł, gdyż ból nogi mu dokuczał i począł z goryczą rozmyślać nad tem, iż on, proboszcz, nie może się pozbyć niemiłego wikarego.

Gdyby nie ten konieczny wyjazd dla zdrowia, mógłby podziękować za pomoc, ale przecież tak licznej parafii nie można zostawić bez księdza i wikary na czas jego nieobecności jest nieodzownie potrzebny. Później, łatwo się go pozbędzie, ale teraz trzeba stworzyć znośne warunki współżycia, ażeby nie gorszyć parafian.

Ale jak to zrobić? Prawda, że te jego posty i przesiadywanie nieustanne w kościele są niemiłe, gdyż on robi to w celach ambitnych, ale niech sobie pości i modli się.

Natomiast to nieprzyjmowanie pieniędzy za obrządki religijne, jest wprost oburzające. Nietylko psuje parafian, podaje w pogardę proboszcza, biorącego opłatę za chrzty, śluby, pogrzeby i robi z niego księdza chciwego, han-

dlującego obrządkami religijnymi, ale przyczynia się do upadku świątyni pańskiej, bo przecież dobrowolnie nikt nie da na potrzeby kościelne, a potrzeby są tak liczne, tak kosztowne... Oto należałoby zmienić dzwon, bo głos ma jak czerep rozbity; ambona potrzebuje złocenia; obraz w głównym ołtarzu należałoby odnowić, bo przybladł z wilgoci, a gdzie światło, aparaty, bielizna kościelna, utrzymanie organisty, kościelnego, no i plebana z wikarym?

Tak jest, on jako proboszcz musi wymagać, ażeby wikary nie odrzucał ofiar i opłat należnych podług prawa kościelnego i cywilnego.

A ten Szybicki?... Zacisnął zęby i zwinął palce w kułak z gniewu i oburzenia. Ten głupiec wikary, chce ich pogodzić!? Sumienie mu szepnęło, że jednak do zgody powinien dążyć, mimowoli przypomniały mu się słowa wikarego o przebaczającym Chrystusie. No, ostatecznie może przebaczyłby Szybickiemu. Naturalnie, że pierwszy nie zrobi kroku do zgody, to ubliżałoby jemu, jako duchownemu, ale gdyby Szybicki koniecznie żądał i pragnął zgody, to cóż robić? On, jako kapłan, musiałby podać rękę...

Na tę myśl oburzyła się w nim duma i zadawniona złość... Tak, może zgodziłby się, ale Szybicki musi przyjechać powozem, uroczyście, w dzień, na plebanię; ucałować go w rękę, wyrazić swój żal i zakupić mszę uroczystą na intencyę przebłagania Boga za swe postępowanie. Prócz tego musi się wyspowiadać i każdej niedzieli bywać na sumie.

W takim razie nastąpi zgoda, i aż uśmiechnął się, rad z myśli upokorzenia swego przeciwnika.

A może wikary nakłoni Szybickiego? Może on

chory, czuje zbliżającą się śmierć i pragnie pojednania. Zgoda byłaby z wielką korzyścią dla parafian, podniosłaby jego znaczenie i wpływy jako proboszcza, i opieszali w nabożeństwie nie znaleźliby ani moralnego, ani materyalnego poparcia we dworze.

Pozwoli chyba wikaremu na odwiedzanie dworu w Kościeńcu, ale pod warunkiem, że będzie tam bywał tylko w intencyi nawrócenia grzesznika i zrobienia zgody... O swych warunkach powie mu przy sposobności, gdy wikary przygotuje grunt.

Ale jak teraz porozumieć się z wikarym? Sam przecież nie może zrobić pierwszego kroku po tem, co mu ten dureń powiedział o kaprysach, przywidzeniach, no i po jego wyjściu... Może przy wieczerzy będzie sposobność. I jak to trudno poznać człowieka. On taki pokorny, pobożny asceta, a jakiż inny w życiu! Ambitny, uparty, zazdrosny, ubiegający się o poklask tłumu chłopstwa!?

Z tych rozmyślań zbudziło go delikatne pukanie do drzwi. Kto to u licha?

— Proszę! — zawołał ostro.

Drzwi otworzyły się i wszedł wikary, blady, pokorny; podszedł do proboszcza i ucałował jego rękę.

— Bardzo żałuję, — przemówił drżącym głosem, — że uniosłem się wbrew pokorze i posłuszeństwu chrześcijańskiemu. Może ksiądz proboszcz raczy mi przebaczyć w imię miłości Chrystusowej.

Proboszcz ukrył swe zdziwienie i słuchał posępny jego słów, wreszcie rzekł z godnością:

— Z przyznania się do twej porywczości i niesprawiedliwości względem mnie jestem zadowolony. Jeśli

wymagam posłuszeństwa, to nie jako człowiek, ale jako kapłan, twój przełożony, czy przyrzekasz?

— Będę posłuszny, — mówił zaczerwieniony — we wszystkiem, co będzie zgodne z mojem sumieniem jako chrześcijanina i księdza.

— Hm... z sumieniem twojem powiadasz?... no, niech będzie... chociaż... ale o tem pogadamy... I ja chcę ci dać dowód, że nie jestem tak zatwardziały w swym gniewie na Szybickiego, i ceniąc twe dobre intencye nawrócenia grzesznika i doprowadzenia go do zgody z Kościołem, zezwalam na odwiedzanie dworu.

— Dziękuję księdzu proboszczowi i upewniam, że powodowany tylko tą intencyą, poszedłem do pana Szybickiego.

— Wierzę ci... Teraz przychodzi kwestya pieniędzy i ofiar składanych przez parafian. Ty żywisz niepotrzebne skrupuły pod tym względem. Pomnij, że sam apostoł Paweł pisze do Koryntyan: Azaż nie wiecie, iż którzy w świątnicy robią, z świątnicy żyją; a którzy ołtarzowi usługują, uczestnikami są ołtarza; - - a widząc z miny wikarego, że chce zrobić jakąś uwagę, dodał: — sam doktor anielski, św. Tomasz, pisze, że kapłan odbiera honoraryum nie jako cenę konsekracyi, lecz jako jałmużnę na swoje utrzymanie i na swoje potrzeby. I odmawianie jest z twej strony grzeszną pychą.

— Nie pychą, — mówił wikary pokornie, — ale sam Chrystus rozkazał apostołom: darmoście wzięli, darmo dawajcie.

Proboszcz spochmurniał i zaczął tonem surowego nauczyciela:

— Nie słów się trzymaj, ale ducha ewangelii i listów apostolskich. Darmo, to znaczy: nie żądajcie zapłaty

za głoszenie ewangelii, i tego żaden uczciwy kapłan nie wymaga; ale co innego zapłata za pracę, za trudy, albo też ofiara miłosierna, którą z głębi serca daje wierny kapłanowi, szukając pomocy w jego modłach. Gdyby wszyscy księża nie brali, z czegóżby żyli oni, i biskupi, i sam ojciec święty? Pomyśl tylko, nasze świątynie byłyby skazane na ruinę, nie byłoby żadnej wystawności w przybytku Pańskim... nie, aż dreszcze mnie przechodzą na taką myśl. Żądam tedy i wymagam, ażebyś nie odrzucał ofiar.

— O ile będą ofiary, przyjmę... ale...

— Żadnych ale! — zawołał, — władza duchowna określiła pewną, minimalną cenę za obrządki religijne, ceny wyższe zależne są od wymagań wiernych i te musisz pobierać.

— Będę posłuszny, — skłonił głowę, — muszę być jednak w zgodzie z mojem sumieniem.

— Jeśli ja ci nakazuję, to już sumienie twoje może być spokojne, — spojrzał na zegar, — już czas na nieszpory. Dzisiaj sam odprawisz, a przy kolacyi omówimy inne sprawy.

— Pozwoli ksiądz proboszcz, że dziś nie będę. Przyrzekłem panu Szybickiemu, że go odwiedzę po nieszporach.

— A dobrze... idź i staraj się go wyrozumieć w sprawie przeproszenia mnie za jego skandaliczne zachowanie.

— Rozumiem, — skłonił się i wyszedł.

VIII.

W przedpokoju dworu zastał wikary służącego, który widocznie był poinformowany o przyjściu księdza, gdyż z wielką uległością pomógł mu zdjąć płaszcz i otwierając drzwi do salonika, powiedział z ukłonem:

— Może ksiądz wikary zechce odpocząć, zaraz zawiadomię właściciela pana.

Znalazł się w tym samym zaciszným pokoju, pełnym woni kwiatów, które oglądał z przyjemnością, gdy wszedł gospodarz i witając się mówił:

— Sądziłem już, że skrewisz.

— Wszak przyrzekłem.

— Zastałeś nas przy herbacie, księże Stanisławie... chodźmy.

W jadalnym pokoju, prócz pań mu znanych, zastał rozwalonego Zygmunta, syna gospodarza, i jednego z sąsiadów, Mołęckiego Jana, blondyna, około trzydziestu lat.

Gdy wikary wszedł do pokoju, rozmowa ucichła, a czując ciekawe oczy na sobie, zarumienił się i chwilowo opuścił go zwykły spokój, poruszał się niezgrabnie, oczy spuścił i usiadł przy stole z uczuciem ulgi, że skończyła się forma przywitania.

Podano mu herbatę, a sąsiadujący z nim Zygmunt zapraszał na torty i ciasta.

Wziął na talerzyk, nie patrząc co bierze i czuł krępującą go nieśmiałość, a chcąc ją przezwyciężyć, spytał Zygmunta:

— Pan dawno przyjechał? — zarumienił się z powodu banalności zapytania i dodał: — jaką pan miał drogę?

Więcej czuł, aniżeli widział uśmiech Leśniowolskiej i nagle ochłonął, spojrzał dokoła jasnemi oczyma, a Zygmunt odpowiedział:

— Wczoraj nocą przyjechałem... Znam okolice pana... księdza wikarego, — poprawił się.

I zaczęła się ogólna rozmowa na temat pokrewieństwa rodzin i znajomych z Podlasia.

— Zygmuncie, długo bawiłeś w Warszawie? — spytała Leśniowolska.

— Kilka dni i żałuję, że tak krótko, teraz wre tam życie.

— Jest co nowego? — odezwał się ojciec.

— O, i bardzo wiele. Agitatorzy rozwinęli czynność ogromną i mimo czujności policyi urządzają wiece, zgromadzenia, rozrzucają pisma, odezwy, rozlepiają proklamacye.

— Naturalnie w duchu narodowym, — zauważył Molęcki.

— Niekoniecznie, przeważnie socyalistyczne, wzywające do strejków, do obchodu pierwszego maja.

— I znajdują oddźwięk u robotników? — spytał gospodarz.

— Zdaje się, że tak. Mówiono mi, że stawiają się hardo, żądają podwyżki płacy... Rozmawiałem z kilku przemysłowcami i nie ukrywają wcale swych obaw.

— Rząd zapewne rad, że my się zjadamy — rzekł gospodarz, — ale od czego kościół, księża, ażeby nie oddziałać na wzburzenie socyalistyczne.

Wszyscy spojrzeli na milczącego księdza, a Zygmunt powiedział:

— Podobno arcybiskup ma wydać odezwę, gromiącą socyalistów.

— Co tu gromy pomogą, — odezwał się Molęcki, — trzeba było przedtem zająć się ludem i robotnikami, ale nasz kler woli siedzieć na tłustych prebendach i używać.

— Uogólnianie pana, — przemówił wikary, — jest niesprawiedliwe. Dużo jest takich księży, którzy pracują w imię miłości chrześcijańskiej, i jeżeli dziś nie widać rezultatów ich pracy, to napewno będą w przyszłości, bo prędzej, czy później, miłość, którą głosił Chrystus, zapanuje na świecie.

— I ty, księże wikary, wierzysz w to szczerze? — wątpił gospodarz.

— Bez tej wiary nie umiałbym żyć, — mówił z przekonaniem, — gdy ludzkość chrześcijańska zrozumie, jaki skarb posiada w miłości bliźniego, głoszonej przez Chrystusa, wszyscy ją przyjmą. I wówczas ustaną walki socyalne, narodowościowe, państwowe, i życie ludzkości wejdzie na inne tory, doczeka się rozkwitu.

Gdy to mówił, wyraz jego twarzy był rozjaśniony, oczy błyszczały, a uśmiech szczęścia i pogody zawisł na ustach.

— No, tak, tak! — odezwał się ironicznie Molęcki, — i wróci inkwizycya, palenie na stosach, prześladowanie innowierców i wolnomyślnych. Nie pragnę wcale dożyć tych dni.

Wikary poczerwieniał, w oczach jego malowało się zdziwienie i rzekł z odcieniem żalu:

— Czy pan naprawdę nie rozumiałeś mych słów, czy rozmyślnie drwisz?

— Wcale nie. Powiedziałem szczerze, co myślę o zwycięstwie kościoła, a opieram się nie na przypuszczeniach, ale na faktach historycznych. Ksiądz wikary zna zapewne historyę kościoła i musi mi przyznać,

że prawdę mówię, — kończył z tryumfującym uśmiechem.

Ta ostra przymówka zrobiła pewną przykrość gospodarzowi i rzekł łagodząco:

— Poco wszczynać drażliwe kwestye? Już lepiej mówmy o pogodzie.

— Wcale nie! — niemal zawołał wikary, zmieszał się i do gospodarza zwykłym tonem: — jeżeli to nie robi panu różnicy, odpowiedziałbym panu Molęckiemu.

— Proszę!... Prosimy!... — odezwali się inni.

— Wcale nie przeczę, że była inkwizycya, że surowo, nawet krwawo prześladowano ludzi innych przekonań religijnych. Gdyby można, wydarłbym te smutne i bolesne karty z historyi kościoła Chrystusowego... ale tego uskutecznić nie można. Pozostaną jako objaw barbarzyństwa, tak samo, jak pozostanie i to, że chłop nasz był traktowany jako bydlę robocze, że sprzedawano na targu jego siłę, że żył w srogiej niewoli może u pradziada pana Molęckiego... Czy jednak obecny pan Molęcki odpowiada za winy dziada, za los chłopów, czy gdyby powstała Polska wolna, zapragnąłby niewoli chłopskiej? Napewno nie, i tak samo kościół Chrystusa.

— Obrona dobra, — uśmiechnął się Molęcki, — ale ustrój społeczny zmienił stanowisko chłopa i szlachcica, zaś ustrój kościelny pozostał ten sam.

— Ten sam? Myli się pan. Czy dziś prześladuje kościół ateistów, bezwyznaniowych, liberalnych, heretyków? Kościół idzie ku lepszej przyszłości, jaśniejszej. On wpoi miłość ewangeliczną w serce świata, a gdy jeden drugiemu będzie bratem kochającym i wybaczającym, gdy miłość zapanuje, padną socyalizmy, komunizmy, ustaną wszelkie walki. Czy wyobraża pan sobie,

jaki ten świat będzie piękny i rozkoszny, gdy znikną zawiści, spory, różnice majątkowe, hierarchiczne i społeczne?!

— Zapał cię unosi, księże Stanisławie, — zaśmiał się gospodarz, — to są marzenia młodości, poezye, łudzenie siebie.

— Ten ustrój idealny świata księdza wikarego, — odezwała się Leśniowolska, — jest uderzająco podobny do ustroju socyalistycznego. I tu i tam zrównanie, wyrzeczenie się przywilejów, majątków, równość i braterstwo.

— Zapominasz o różnicy, — przemówiła Klara nieśmiało.

— O jakiej? — spytał ojciec.

— Ksiądz wikary, o ile mogłam zrozumieć, ów świat przyszłości opiera na dobrowolnej miłości i współczuciu, czyli wierzy w doskonalenie się człowieka, gdy socyalizm chce walczyć przymusem, a ustrój społeczny oparty na przymusie, nie jest trwały, a może i niemożliwy.

Ojciec, słuchając jej, uśmiechał się zadowolony i patrzał z dumą po obecnych. Wikary słuchał uważnie i powiedział przyjaźnie:

— Dziękuję pani, to samo myślałem, możebym jednak nie umiał tak dobrze powiedzieć.

— Czy to ma być komplement? — zaśmiał się ojciec, rad z pochwały.

— Nie, to prawda.

— Gdzie, księże wikary, chodziłeś do szkół? — spytał gospodarz.

— Kończyłem gimnazyum prywatne i dużo zawdzięczam ojcu i matce.

— Ale że matka zgodziła się, abyś został księdzem, i to jedynak, — dziwił się Szybicki.

— Trochę była przeciwna, ale uprosiłem ją i zezwoliła.

— Tatusiu, — przemówiła Leśniowolska, — może przejdziemy do innego pokoju, tu gorąco.

— I duszno, — dodała Klara, wstając.

W saloniku rozmawiano o stosunkach wiejskich, cenach, gospodarstwie, aż Molęcki odezwał się głośno:

— Panie Szybicki, dobrodzieju, czy czytał pan odezwę do chłopów?

— Jaką?

— W sprawie polskiego języka w urzędowaniu gminnem.

— Opowiedz nam, — zachęcał Zygmunt.

— Wzywają chłopów, ażeby wprowadzili język polski do kancelaryi gminnej na mocy uchwały ogólnej. Chłopi są radzi temu, a naczelnik powiatu i naczelnik straży ziemskiej gonią za emisaryuszami. Naturalnie chłopi ich ukrywają.

— Jeśli mówisz, że chłopi chcą, to napewno zmuszą wójtów i pisarzów do przyjęcia polskiego języka, — rzekł Zygmunt.

Szybicki spojrzał czy drzwi zamknięte i zaczął przyciszonym głosem:

— Parę tygodni temu przyjechał do mnie naczelnik straży ziemskiej: szukał agitatora, gdyż policya pruska odfotografowała go, gdy zabierał pąpiery w pogranicznem mieście.

— Ah, te Prusaki, to łotry skończone! — syknął Zygmunt.

— Powiedział mi, że przetrząsł Rudniki szukając

go, że był w Kościeńcu, i jest u mnie. Szukaj go pan, odrzekłem, ja nie wiem o niczem. Rozpoczął poszukiwania, przepytywał służbę i nic nie znalazł.

— A gdzież się podział? —spytał Molęcki.

— Gdy naczelnik odjechał, poszedłem do stodoły, widzę przy wialni nieznanego mi parobka. Zapytałem o niego karbowego, a ten odpowiada z miną tajemniczą, że to ten pan, który przewiózł polskie pisma.

— I jak on wyglądał? — spytała Leśniowolska.

— Młody człowiek, zdradzały go sztucznie zabrudzone ręce i twarz.

— Dlaczego tatuś nie pokazał mi go? — powiedziała z żalem Klara.

— Nie było kiedy, bo wkrótce zniknął... Otóż wyobraźcie sobie, że naczelnik wszystkich parobków i robotników wzywał, dopytywał się nazwisk, on stanął także w szeregu. Wszyscy wiedzieli, że to obcy, i nikt niczem się nie zdradził.

— Ale że panu powiedzieli, — zrobił uwagę Molęcki.

— Niech się jednak tatuś wystrzega tych agitatorów, — prosiła Leśniowolska, — o nieszczęście nie trudno.

— I ja radzę to samo, — dodał Zygmunt, — to dopiero ferment.

— Ani myślę ich unikać, — zaśmiał się ojciec.

— Dobrze tatuś powiedział, — uśmiechnęła się Klara, — lubię odważnych i szczerych ludzi.

— Ja miałbym jednak pewne skrupuły, — odezwał się Molęcki, — mógłbym ukryć socyalistę zamiast narodowca.

— Czyż ty księdzem jesteś, żebyś odróżniał prawowiernych od heretyków? — zaśmiał się Zygmunt.

— Nie chcę osłaniać moich przeciwników, dziś go uratuję, a jutro on mi kark skręci. Czy nie tak, księże wikary?

— Nie! Jeśli prześladowany szuka u mnie ratunku, nie pytam kto on taki, ale ratuję według możności.

— To teorya, — zaśmiał się Molęcki niedowierzająco, — zobaczylibyśmy praktykę, gdyż jak to mówią, Sybir tylko w poezyi piękny.

— Księże wikary, — rzekł Zygmunt, — a gdyby tak jednego robra, partya gotowa.

— Nie grywam w karty.

— Zupełnie? — zdziwił się Szybicki, — no, jak posiedzisz na wsi, nauczysz się.

— Wątpię, nie mam do tego ani zamiłowania, ani chęci.

— Święty człowiek, — zaśmiał się ironicznie Molęcki, — nie gra, nie pije, nie pali. Cóż tedy robi ksiądz wikary? Nie można tak nudzić Pana Boga modlitwami, a spowiadać, zgodziłbym się, ale tylko piękne mężatki lub panny.

Zaśmiali się mężczyźni widząc zarumienioną twarz wikarego, a Zygmunt zażartował:

— No, przyznaj się księże Stanisławie, kogo wolisz spowiadać, mężatki czy panny?

— To dla mnie najzupełniej obojętne, mam przed sobą penitenta, a kto on jest, czem się zajmuje, nic mnie nie obchodzi. I to nawet nie z powodu złożonej przysięgi, ale mi nic innego na myśl nie przychodzi. W konfesyonale nie jestem człowiekiem, ale spowiednikiem.

— Zanim przygotują stolik do kart, możebyś Wandziu nam zagrała cokolwiek, — proponował ojciec.

— Nie dzisiaj tatusiu, nie jestem w usposobieniu.

Wikary wstał i począł się żegnać. Gospodarz zatrzymywał go i zapraszał, ksiądz wymówił się jednak jutrzejszem nabożeństwem. Ze względu na ciemną noc konie dworskie odwiozły go na plebanię.

Gdy gospodarz wracał do saloniku, usłyszał zdanie Molęckiego:

— Jeśli nie jest hipokrytą, to prawdziwy biały kruk pomiędzy księżmi.

— Ja mam wrażenie, że on tylko bardzo młody i wielki idealista — odezwał się Zygmunt.

— Podobny do ojca, — wmieszał się Szybicki do rozmowy — tylko tamten był trzeźwy i ogromnej energii.

— On mi się podoba, — mówiła Leśniowolska, — z tą panieńską skromnością, i gdyby wytrwał w swych zasadach i przekonaniach, byłby wzorem księży.

— A ty Klarciu, co o nim sądzisz? — spytał ojciec.

— Ja?... Widzę w nim nieszczęśliwego człowieka, — zarumieniła się.

— Skądże to proroctwo? — śmiał się ojciec.

— Zdaje mi się, że jego zasady i przekonania, o ile są szczere, muszą go doprowadzić do walki z całem otoczeniem, podda się z konieczności i to będzie jego nieszczęściem.

— Mylisz się Klarciu, — rzekł Zygmunt, — to nie dąb, ale łozina, którą każdy wiatr nagina w swoją stronę.

Wszedł służący, meldując:

— Stolik przygotowany.

IX.

Do Brzozowic, rezydencyi Horodelskiego, było ośmnaście wiorst drogi dość dobrej, tylko miejscami piaszczystej.

Proboszcz, szanując swe wypasione konie, wyjechał z wikarym dość wcześnie, ażeby trafić na obiad.

Na pola, łąki, lasy, spłynęła młoda, urocza wiosna. W promieniach słońca przebłyskiwały delikatne listeczki barwą żółtawo-zieloną, na szmaragdowych łąkach żółciły się kaczeńce, bieliły stokrotki, szumiały pszczoły, a na polach zoranych i zasianych wychylały się cieniutkie pióra zbóż.

Ptactwo rozśpiewane, zdawało się wzajemnie prześcigać w dobywaniu tonów słodkich i miłosnych. Pełno było świergotu i radości w krzach i po drzewach, a skowronki nad rolą wyśpiewywały swe słodkie i tęskne trele.

Wszędzie pełno uciechy i rozkoszy z nowego życia, a z ziemi, z drzew, z roli dobywało się tchnienie miłości i zdawało się, że jasne promienie słońca całowały rozkochaną ziemię, pieściły wody, szemrzące radośnie po pozbyciu się oków zimy.

Nawet proboszcz, zwykle chmurny i osowiały, rozjaśnił trochę swą twarz i rzekł do wikarego:

— Bóg dał sposobny czas na siejbę, — i do Grzeli, powożącego końmi: — Nie pędź!... Nie machaj batem!... Wolno!...

Wikaremu jął wyjaśniać, co zamierza zasiać na sześciu morgach roli, należących do plebanii.

Ksiądz Kęcki, który na wsi się wychowywał, a później wakacye spędzał, doradzał zasianie koniczyny.

— Nie, tego nie zrobię, — mówił proboszcz, — z Rudnik, należących do Horodelskiego, dostaję dwie fury dobrego siana i kartofle na całą zimę. Parafianie z dawien dawna dają po miarce owsa albo innego zboża, a jak dobry zbiór siana, przywożą także.

— Czy obowiązuje w parafii dziesięcina? — spytał wikary.

— Dawniej, to była obowiązkowa, ale teraz tak spoganieli, że ci i owi ociągają się, a zmusić niema sposobu. Stary zwyczaj utrzymuje się jednak moim wpływem, co Szybickiemu jest solą w oku. Nie mówił ci o tem?

— Nie.

— Ej, coś ty ukrywasz, — spojrzał mu proboszcz w oczy, — dlaczego przestałeś bywać u niego? Poznałeś sam, jaki łotr i bezbożnik, czy nie tak?

— Ależ nie, po prostu nie miałem czasu na wizyty... O zgodzie mogę mówić z nim bez gości, a Łukasz powiedział mi, że przyjechali tam krewni.

— No, no, poznasz ty jego i odechce ci się wszelkiej z nim znajomości.

— I to możliwe, ale na razie tak nie jest, — odpowiedział wikary.

W tej chwili bryczka uderzyła o wystający kamień, a proboszcz krzyknął gniewnie:

— A ty kanalio podły! Jak jedziesz? Jeszcze raz, a w kark tak grzmotnę, że nosem zaryjesz!

Grzela był widocznie do krzyków i łajań proboszcza przyzwyczajony, bo ani drgnął i jechał równo dalej.

Dojeżdżali do wielkiej wsi, Brzozowice, rozłożonej nad rzeczką Brzozówką.

Na wzgórku stał kościół murowany z wieżyczką pokrytą czerwoną dachówką, a na drugiem wzgórzu, wśród obszernego parku stał dwór piętrowy, z werandą i podjazdem kolumnowym.

— To rezydencya pańska! — wskazał proboszcz palcem na dwór, — czy nie jest wspaniała?

— Tak jest, — odpowiedział cicho wikary.

— Ale trzeba wewnątrz widzieć, — zachwalał proboszcz, — jakie dywany, srebra, meble! To pan całą gębą!

Spotkani w drodze chłopi kłaniali się nizko, z szacunkiem. Proboszcz pochylał lekko głowę na znak powitania, a wikary każdemu odkłaniał się kapeluszem.

— Dajże spokój! — strofował go proboszcz, — nie starczy ci kapelusza na ukłony. Tu niema tego zwyczaju, ażeby lada przechodzącemu się kłaniać.

Aleją, wysadzoną lipami, jechali w stronę dworu. W końcu drogi widać było dwa wysokie, murowane słupy, połączone ozdobnym, żelaznym łukiem, na którym widniała tarcza herbowa.

Odźwierny, w liberyi z guzikami herbowymi, otworzył bramę żelazną, sztachetową i nizko się skłonił.

— Dzień dobry, Michale, — pozdrowił go proboszcz łaskawie, — są już goście?

— Jest wielebny ksiądz dziekan, dwóch księży proboszczów i sąsiedzi.

— To dobrze, — skinął proboszcz głową, — zajeżdżaj Grzela pod ganek!

Na najwyższym stopniu werandy stało dwóch loka-

jów w liberyi, a młodszy z nich szybko się zbliżył do bryczki, ażeby pomódz wysiąść proboszczowi.

— Jak się masz Janku! — pogłaskał włosy lokaja, całującego go w rękę.

Poważny rozpromieniony, szedł proboszcz po pięciu schodach, a tuż za nim wikary.

Starszy lokaj, szpakowaty, z twarzą wygoloną, z krótkimi bokobrodami, skłonił się wpół, ucałował rękę proboszcza, który łagodnie powiedział:

— Jakże zdrowie Marcina?

— Dziękuję księdzu dobrodziejowi, chwała Panu Bogu nieźle.

— To mnie cieszy, — poklepał go łaskawie po ramieniu, — a w pałacu wszyscy zdrowi?

Marcin, rozbierając go z płaszcza, mówił:

— Jaśnie pan miał wczoraj chrypkę, ale dziś chwała Bogu, minęła. Jaśnie pan pytał o księdza dobrodzieja.

— Dużo gości, Marcinie?

— Dziś u nas zjazd... Czekamy też na jaśnie wielmożnego księdza proboszcza z Grodnik.

— A! to przyjedzie ksiądz Paweł?

— Lada chwila, — spojrzał na zegarek kieszonkowy, — za pół godziny najdalej. Może ksiądz proboszcz pozwoli do sali, — podszedł do drzwi z lewej strony, — goście już tam są.

Wikary słuchał w milczeniu tej rozmowy. Kamerdyner Marcin nie zwracał na niego uwagi, zostawiając obsłużenie go młodszemu lokajowi.

Przez otwarte drzwi wszedł proboszcz z wikarym do mniejszego salonu i rzekł po łacinie:

— Laudetur Jesus Christus! — uważał bowiem

łacińskie pozdrowienie za poważniejsze i bardziej stosowne.

Odpowiedziano mu chórem również po łacinie:

— In saecula saeculorum!

Z fotela wstał gospodarz, wysoki, szczupły, lekko pochylony, z twarzą długą. Na górnej wardze, dumnie wydętej, miał wąsy krótko przystrzyżone.

— Witam uprzejmie księdza proboszcza, — pochylił lekko siwawą głowę i postąpił jeden krok z ręką wyciągniętą.

Proboszcz szybko się zbliżył, pochwycił rękę, uścisnął, a pan Horodelski nachylił się i ucałował ramię proboszcza, ten zaś jego w rękaw czarnego surduta.

— Jesteś księże proboszczu wśród swoich, — zwrócił twarz do trzech siedzących księży.

Proboszcz skłonił się głęboko dziekanowi, siedzącemu na kanapie. Był to nizki, otyły staruszek, z twarzą pełną, rumianą, do której przylgnął słodki półuśmiech. Łaskawie skinął głową, podał rękę i spytał proboszcza:

— Jakże twoja noga, księże Piotrze?

— Dosyć dokucza i poboliwa, księże dziekanie... muszę wyjechać, chociaż czasy takie ciężkie, — westchnął.

— O, zdrowie, to rzecz najważniejsza, bez niego świat niemiły.

Proboszcz przywitał się z księdzem Dudzickim z Krynicznej i księdzem Wankiem ze Strzelczewa, usiadł, a dziekan, patrząc na wikarego onieśmielonego, rzekł:

— Masz już wyrękę, księże Piotrze, bo widzę twego wikarego.

— A tak, tak... Zapomniałem zaprezentować panu a dobrodziejowi memu, — patrzał na gospodarza, —

księdza wikarego Kęckiego, którego na życzenie przywiozłem ze sobą.

Wikary, zaczerwieniony, skłonił się, a gospodarz podał rękę, mówiąc:

— Miło mi poznać księdza wikarego. Kolegom z powołania nie potrzebuję księdza przedstawiać... a to moi sąsiedzi: pan Wrotnicki — wskazał na tęgiego, mocno szpakowatego mężczyznę, siedzącego przy dziekanie, — i pan Krzepowski, — nizki, ruchliwy, niespokojny szatyn.

Wikary przywitał się ze wszystkimi, a proboszcz ze Strzelczewa rzekł do niego:

— Słyszałem o księdzu wikarym od mego wikarego Orzelskiego, podobno jesteście koledzy.

— Tak jest, księże proboszczu, — rozjaśniła mu się twarz nadzieją spotkania przyjaciela, — czy będzie tutaj?

— Nawet jest, odniósł do biblioteki książkę, którą nam nasz przezacny gospodarz pokazywał.

W tej chwili wszedł ksiądz Orzelski, szczupły, młody blondyn, oczyma przywitał się z Kęckim i rzekł do gospodarza:

— Położyłem na wskazanem miejscu.

— Dziękuję.

Teraz dopiero uścisnęli sobie ręce gorąco i usunęli się w głąb salonu pod okno, wychodzące na wspaniały wjazd do dworu.

Najpierw oczyma badali się, doszukując zmian w twarzy, i pierwszy Kęcki spytał cicho:

— Władku, jakże tobie?

— Ciężko mi... pracy dużo, a skutki słabe.

— Dawnoś w parafii?

— Od jesieni... A tobie jak się powodzi?

— Smutno mi.

— To tak, jak mnie, — westchnął ksiądz Orzelski, — plebania zawsze otwarta dla gości, bo mój proboszcz, — wskazał oczyma na księdza Wanka, — dobry, wesoły, przyjemny, lubi gości i lubi bywać u innych.

— Więc masz zupełną swobodę działania, — zauważył ksiądz Kęcki.

— Swobodę? — uśmiechnął się gorzko, — takie życie wesołe dużo kosztuje i parafia musi dostarczyć pieniędzy.

— To smutne.

— Zrozumiej Stachu, że chociażbym miał złotoustą wymowę, na nic są słowa moje, gdy nie idą czyny za niemi.

— A na niego niemasz wpływu? — spytał Kęcki

— Żadnego, prędzej usłucha kościelnego, bo mu się przypochlebia, — mówił z goryczą, — a mnie traktuje jak nieszkodliwego maniaka.

Przy kanapie, gdzie starsi siedzieli, rozmawiano o pogodzie, siejbie, o cenach zboża, o nowinkach sąsiedzkich.

— Podobno syn pana dobrodzieja, ksiądz doktor Paweł, ma dziś przyjechać? — powiedział proboszcz Marski.

— Tak jest, — odrzekł wśród chwilowej ciszy gospodarz, — dawno go nie widziałem. W zimie nie było mnie w kraju, a gdy wróciłem, pisał mi, że zajęcia nie pozwalają mu przyjechać aż dopiero po świętach.

— A gdzie pan Jan? — spytał o drugiego syna sąsiad Wrotnicki.

— Wyjechał w Poznańskie, do krewnych, a Piotr w gimnazyum ojców Jezuitów w Chyrowie.

— To pan dobrodziej osamotniony, — westchnął dziekan, — musi być przykro i nudno, nieprawdaż?

— Przykro jest, ale nie nudzę się, bo mam dużo zajęcia z gospodarstwem, no, i ważne sprawy rozstrzygają się w kraju.

— Jakie?... Jakie?... — spytali ci i owi.

— Powiem później, — odpowiedział z miną dyplomaty.

Rozmowa, przerwana głośną przemową gospodarza, znów się zaczęła, a goście z pewnem zniecierpliwieniem spoglądali pokryjomu na zegarki, zbliżał się bowiem czas jedzenia.

Na drodze wjazdowej zjawiła się bryczka, a goście, posłyszawszy turkot, byli zaciekawieni.

— Kto przyjechał? — spytał proboszcz Marski swego wikarego.

— Ktoś bryczką, — odpowiedział, patrząc przez okno.

Bryczką nie mógł przyjechać syn Horodelskiego, na którego widocznie czekano z podaniem posiłku i zaczęto znów półgłośną rozmowę.

Do salonu wszedł nieśmiało, niemal trwożliwie, młody ksiądz, skłonił się, a proboszcz Dudzicki z Krynicznej rzekł głośno:

— Prosimy bliżej! — i do gospodarza: — mój wikary, ksiądz Grzywak.

Młody ksiądz witał się i prezentował świeżo poznanym.

Dwaj księża siedzący w głębi sali, zobaczywszy nowego gościa, rozjaśnili się. Był to ich starszy kolega

z seminaryum, wielkiej dobroci i pobożności, który zachęcał kolegów do cnotliwego życia i abstynencyi.

Dojrzał i on tych dwóch, poznał i podszedł do nich, witając się serdecznie.

— Nie spodziewałem się zastać was tutaj i jak to szczęśliwie, — ściskał ich ręce.

— A ja widziałem cię przez okno, — mówił wikary Kęcki, — i nie poznałem.

— Czy tak się zmieniłem? — uśmiechnął się, — no, powiedz!

— Trochę... wiesz, spoważniałeś, i nie trzymasz się tak prosto jak dawniej.

— Bo też nie miałem tych ciężarów, co teraz, — uśmiechnął się przyjemnie, — i cóż u was słychać? Trzy lata nie widzieliśmy się. Opowiadajcie!

Wtem zaturkotało na wjazdowej drodze. Najpierw jechał powóz zaprzężony w cztery konie i z niego wyskoczył ksiądz Paweł Horodelski. Za powozem dojeżdżała bryczka, a w niej siedział dość otyły proboszcz miejscowy, ksiądz Wiśnicki.

Wszyscy wpatrywali się w drzwi wejściowe, czekając zjawienia się gości.

Pierwszy wszedł ksiądz Wiśnicki, skłonił się, przystanął i puścił przed sobą księdza Horodelskiego.

Wysoki, szczupły, podobny z twarzy do ojca. Usta wązkie, zaciśnięte, miały rys uporu, z ciemnych oczu przebijała pewna łagodność i marzycielstwo.

Pokornie ucałował rękę ojca, który złożył pocałunek na jego czole, następnie witał się bardzo uprzejmie z gośćmi. Gdy podszedł do trzech wikarych, a ci powiedzieli mu swe nazwiska, serdeczniej uścisnął rękę każdego z nich i rzekł z twarzą rozjaśnioną:

— Znałem was przedtem, zanim poznałem. Witajcie mi jak bracia.

Zdziwieni spojrzeli po sobie i na niego, a on mówił z uśmiechem przyjaznym:

— Słyszałem o was od księdza Szyszkowskiego. Znacie go?

Skinęli w milczeniu głowami, a wikary Kęcki szepnął:

— Jeden dzień byłem z nim razem.

— Wiedząc, że jesteście w tej okolicy, prosiłem ojca, ażeby was zaprosił na dzisiaj. Czy mówił wam o tem?

— Nie... przynajmniej ja nie wiedziałem, — odpowiedział wikary Kęcki, — proboszcz Marski zażądał, ażebym tu przyjechał, więc jestem.

Drzwi otworzyły się szeroko, a lokaj Marcin zawołał:

— Proszę do stołu!

Ruszono się dość skwapliwie. Z wieku i godności pierwszy szedł dziekan, za nim inni, a gospodarz klepiąc po ramieniu księdza Wiśnickiego, plebana z Brzozowic, mówił z uśmiechem:

— Mam dla proboszcza nowalię.

Twarz księdza ożywiła się, małemi, żywemi oczami spojrzał badawczo na Horodelskiego i spytał:

— A jaka?

— Nie powiem.

— Może kurczęta?... jadłem już.

— Nie! Obaczysz sam proboszczu, — śmiał się idąc dalej.

Wikarym towarzyszył syn gospodarza, ksiądz Pa-

weł, pytając po drodze, kiedy który przybył do parafii, jak długo już jest księdzem i z jakiego seminaryum.

W obszernym pokoju jadalnym, stał na środku wielki stół owalny z nakryciami. Ozdabiały go trzy patery. Na środku największa napełniona była owocami, dwie boczne bakaliami i cukrami. Przed każdem nakryciem stały trzy odmienne kieliszki, do wina białego, czerwonego i szampana.

Pod ścianą pokoju pomiędzy oknami stał stół z wódkami, nalewkami i rozmaitemi przekąskami, jak kawior, siga, homary, sardynki, nowalie, ostre sery, i różne pudełka z ostremi rybkami.

Raczono się chętnie i wesoło przy tym stole, a gospodarz widząc, że młodzi księża stoją na uboczu, zawołał do syna:

— Księże Pawle, proś twoich gości.

Podeszli, wzięli po kawałeczku chleba z masłem, pokrajanego na talerzyku i stanęli na boku.

Wniesiono zupę i goście zasiedli do stołu. Gospodarz dla formy prosił na pierwsze miejsce dziekana, ale ten, znając zwyczaje domowe, wymówił się i gospodarz sam je zajął.

Po zupie, w oczekiwaniu drugiego dania, wszczęła się pogawędka.

Ksiądz Dudzicki opowiadał swemu sąsiadowi przy stole o ostatnim jarmarku na konie i zachwalał konia, którego dobrał dla siebie.

Ksiądz Wanek mówił z Wrotnickim o ostatniem swem polowaniu zeszłej jesieni i o swym celnym strzale do warchlaka.

Ksiądz Wiśnicki z proboszczem Marskim sprzeczali

się, jaki lin jest smaczniejszy, czy duszony w kapuście, czy też po nelsońsku.

Dziekan skarżył się Horodelskiemu na dolegliwości swoje i brak apetytu.

Wniesiono nowe danie, rozmowa trochę ucichła ale nie ustała.

Ksiądz Wanek tak się zapalił w swem opowiadaniu, że odłożywszy nóż i widelec, rękami zrobił gest mierzenia ze strzelby i głośno mówił:

— Widzę skrada się lis, staje, ogląda się za obławą, kładzie się, posuwa, już mierzę do niego!... Składam się... i paf! Lis trup! I w tej chwili pędzi wzdłuż linii zając. Składam się! Mierzę! Paf!

— A zając ogon pokazał, — zaśmiał się gospodarz.

— Nie, jak Boga kocham, kicnął ze dwa razy i trup!

— Wprawdzie to możliwe, ale bardzo rzadko się zdarza... o wiele częściej dwa pudła, — drażnił księdza Wrotnicki.

Spierali się jednak ciszej, gdyż proboszcz Dudzicki zirytowany podniósł głos:

— Jak pan może swoje szpaki porównywać z moim siwym. Szpak to koń ladajaki, wołowaty na starość i nikczemnieje. Jest nawet przysłowie: kto nie miał siwego, ten nie miał żadnego. I jeśli ja panu mówię, że szpak lichy, to musi mi pan wierzyć, znam się na tem.

— Więc ja nie mam żadnego konia, — zaśmiał się Horodelski, — bo mam i lubię tylko gniade.

Wszczęła się ogólna rozmowa o koniach, ich maści, o zaletach i wadach.

Wikarzy i ksiądz Paweł jedli mało i skromnie, mówili ze sobą z cicha, a gdy ktoś głos podnosił, słu-

chali, uśmiechając się ironicznie z zapału mowcy i jego gestykulacyi.

Ksiądz Paweł patrzał surowo na biesiadujących, a około ust miał wyraz goryczy.

Gdy służący nalewał wino w kieliszki, wszyscy czterej odmówili trunku. Spostrzegł to gospodarz i rzekł żartobliwie:

— Cóż doktorze kochany, — ksiądz Paweł bowiem był doktorem teologii, — nie w smak ci węgierskie, może wolisz reńskie? Każ sobie podać.

— Dziękuję ojcu, nie pijam żadnego.

— A to co nowego!? — zawołał zdziwiony, — ty nie pijasz!? Od kiedyż to, bo wiem, że dobrego wina nie odtrącałeś.

— Nie używam żadnych alkoholów. I tak dużo rozumu nie mamy, a pijąc tylko go umniejszamy.

Ta przymówka nie podobała się ojcu i rzekł z przekąsem:

— Nie wino psuje rozum, ale bezcelowe i szkodliwe reformowanie starych zwyczajów, uświęconych wiekami.

W czasie tej rozmowy ojca z synem zebrani goście zwrócili baczniejszą uwagę na wikarych. Spostrzegli ich puste kieliszki, a ksiądz Wanek, lubiący zabawę i rozmowę, powiedział zgorszony:

— Każda przesada jest szkodliwa i zdrożna. W złem prowadzi do zbrodni, a w dobrem do pychy i faryzeuszostwa.

— Bardzo słuszna twoja uwaga, — odezwał się cierpkim głosem proboszcz Marski, — dodałbym nawet, że taka przesada nie godna jest kapłana, bo szkodzi Kościołowi, który opiera się na żywem słowie i tradycyi.

Kto dla dogodzenia swej próżności podkopuje tradycyę, ten winien grzechu.

— Czyż ten, kto wstrzymuje się od picia i palenia, burzy świętą tradycyę Kościoła? — zaśmiał się ironicznie ksiądz Paweł.

— Proszę księdza doktora, — powiedział surowo proboszcz Marski, — nie przeistaczać mej myśli. Mówiłem o próżności, o pysze niegodnej kapłana, który według słów apostoła Pawła powinien być wzorem pokory i zgodności, gdyż mówi: i stałem się żydem, jak żyd, i mdłym jako mdły... Nie miałem zresztą na myśli księdza doktora, tak niepospolitego i słynnego kapłana, ale pewnych młodych księży, goniących za odróżnieniem się ze szkodą starszych.

— Otóż dobrze powiedziałeś, — zatarł ręce ksiądz Dudzicki i spojrzał tryumfująco na księdza Grzywaka.

Dziekan słuchał dość obojętnie tego sporu, przypomniał sobie jednak skargi proboszczów na wikarych i rzekł sentencyonalnie:

— Tak, tak, pokora i posłuszeństwo, to prawdziwe klejnoty tradycyi kapłanów katolickich.

Pan Horodelski zadzwonił nożem o kieliszek, nastała cisza, a on wstał, odchrząknął i przemówił:

— Gdy mowa o tradycyi, pozwólcie wielebni kapłani i szanowni panowie, że powiem kilka słów... Kościół był zawsze ostoją spokoju i zgody w kraju, był zawsze skarbem narodowych myśli i uczuć. Zrozumiał to cały naród i trwał niezłomnie przy jedności w Kościele, czerpiąc stąd siły i moc wytrwania. Polakiem był i jest tylko ten, który trwa w wierze Kościoła rzymsko-katolickiego i wszelką inną wiarę odrzuca. Z tem byliśmy i jesteśmy silni... W tych czasach grozi naszemu

krajowi burza ekonomiczna i moralna. Stroskani obywatele szukają ratunku i widzą go tylko w Kościele. Wy, kapłani, piastuni pokoju i zgody w narodzie, stańcie na czele i nie dopuśćcie do zagłady społeczeństwa.

Słuchacze wprawdzie nie rozumieli jeszcze, o co idzie panu Horodelskiemu, ale poważnie kiwali głowami, z minami współczucia wzdychali i dały się słyszeć krótkie słowa:

— Smutne czasy!... Zepsucie straszne... Otóż to brak religii i wiary!

Horodelski, odetchnąwszy, mówił dalej:

— Wspomniałem o burzy, która grozi zagładą społeczeństwu naszemu. Zważmy panowie, na czem opiera się społeczeństwo, państwo, ludzkość cała: tylko na Kościele i na roli. Kościół to chleb dla duszy, rola to chleb dla ciała, a bez chleba niema życia. A dziś grozi społeczeństwu naszemu zagłada szlachty, zagłada chleba... Spojrzcie dokoła. Chłopstwo całe ucieka do Prus, na Saksy, jak mówią. Niema komu chodzić koło roli, zasiać, zebrać, zwieźć zboże z pola. Inwentarz marnieje, ceny najmu niemożliwie wysokie, a i to robotnika znaleźć trudno, a często zgoła niepodobna. Szlachcie grozi ruina, krajowi brak chleba! Wy, kapłani, którzy tu reprezentujecie niemal cały powiat, radźcie co robić, ratujcie kraj z upadku.

Usiadł zmęczony i skinął na Marcina, ażeby nalał świeżego wina.

Goście przybrali miny poważne i zamyślone, a naprawdę byli zafrasowani i do pewnego stopnia niezadowoleni tą niespodzianką w czasie posiłku. Lecz Horodelski był nazbyt możnym dobroczyńcą, aby wolno było

przywołać go do porządku. Patrzyli też jeden na drugiego i czekali, kto przemówi.

Czuł dziekan, że z wieku i urzędu on pierwszy powinien coś powiedzieć, odchrząknął raz, drugi raz, powiódł oczyma po zgromadzonych, wreszcie rzekł, spuściwszy oczy:

— Nie przeczę, że to straszna klęska. Wielkie gospodarstwa upadają, chłopstwo zbałamucone leci na swą zgubę, styka się z protestantami, marnieją siły narodowe i mojem zdaniem należy się zwrócić do opieki rządu.

— Co!? — zawołał głośno Wrotnicki, — a kto zasiał niezgodę pomiędzy chłopstwem a nami? Kto wszędzie i zawsze proteguje chłopa!?

— Za ostro, panie sąsiedzie, — nachmurzył się Horodelski, — nie rząd winien, ale funkcyonaryusze, którzy nie rozumiejąc interesu rządu, popierają chłopstwo. I naturalnie na ich pomoc nie możemy liczyć.

— Tak! Tak! — mruknęli inni, wzdychając żałośnie.

— Pan Bóg nas karze i doświadcza, — powiedział tłuściutki ksiądz Wiśnicki i spojrzał w stronę drzwi, czy nie niosą nowego dania.

Istotnie wniesiono półmiski, a chłopiec usługujący niósł talerz nakryty i postawił go przed księdzem Wiśnickim.

— Nowalia! — zawołał gospodarz.

Ksiądz z wielką ostrożnością zdjął talerz wierzchni i rozjaśniony powiedział słodko:

— O!... Ślicznie dziękuję! Szparagi!

Nachylił się nad talerzem, wciągał woń i rozkoszował się nią.

— Prawdziwy specyał!... A jakie białe, jakie gru-

be!... I skąd pan dobrodziej dostał taką nowalijkę? — mlasnął językiem i połknął ślinę. Jego zadowolenie było takie szczere, że rozbrajało złośliwe uwagi.

— To moja tajemnica... sprowadziłem umyślnie na niespodziankę dla księdza proboszcza — odpowiedział Horodelski.

— Nie wiem, jak mam dziękować za łaskawą pamięć, — mówił zabierając się ostrożnie i z powagą do jedzenia.

— Niema o czem mówić, — uśmiechnął się, — przecież muszę dbać o swego proboszcza.

— Z tymi Saksami to skaranie boskie, — przemówił wśród jedzenia ksiądz Marski, — taki parobek czy dziewka może zarobić na miejscu, żyć w katolickim kraju, ale on leci do protestantów, nałyka się bezbożnej trucizny i wraca ażeby zarażać innych.

— Tak jest, — dorzucił ksiądz Wanek, — ich głupota przechodzi pojęcie ludzkie. Pamiętam, że z mojej parafii przed piętnastu laty zwerbował ajent ze dwudziestu ludzi. Na drugi rok bez werbowania poszło z pięćdziesięciu, a teraz, gdy przyjdzie do obławy jesienią, trudno ludzi znaleźć, bo wszystko powlokło się na Saksy.

— I u mnie to samo, — westchnął ksiądz Dudzicki, — pęd owczy, nic więcej, znoszą różne krzywdy, nie rozumieją języka, marnują się dziewczęta, a to bydło pcha się tam i pcha.

Wśród chwilowego milczenia odeżwał się Krzepowski:

— Niedawno czytałem artykuł jakiegoś pismaka, który zachwyca się miłością chłopa do ziemi ojczystej

i wygłasza taki nonsens, że tam Polska, gdzie chłop polski...

— A przyjdźże durniu tutaj! — podniósł głos Wrotnicki, — i przyjrzyj się tej miłości do ziemi u chłopów. Niemcom, wrogom idą służyć, a u nas chleb marnieje w polu.

Po skończonem daniu, gdy większa część gości odłożyła widelce i noże, a lokaje zmieniali talerze, Horodelski powiódł lekceważącem spojrzeniem po zgromadzonych i zaczął z ironicznym uśmiechem:

— Jak widzę, rady się nie doczekam; wysłuchajcież, wielebni duszpasterze i panowie, mego zdania, którego zresztą nikomu nie narzucam.

– Prosimy!... Prosimy!...

— Jest sposób, jeśli nie na wykorzenienie tej strasznej plagi, to w każdym razie na ukrócenie jej. I ten środek leczniczy jest w rękach kapłanów, — umilkł i spojrzał na księży.

— Jaki? — odezwał się dziekan, – czekamy wyjaśnienia.

— Rzecz prosta. Gdyby wielebni proboszcze i księża wikarzy potępiali jednogłośnie to nader szkodliwe wychodztwo do protestanckich krajów; piętnowali z ambony tych, którzy rzucają kraj i służbę na roli; zagrozili karą kościelną przy ślubach i pogrzebach, to mam nadzieję, że lud nasz jest jeszcze na tyle katolicki, iż usłuchałby swoich duszpasterzy.

Wśród krótkiego milczenia zabrał głos proboszcz Marski:

— Nawet bez wezwania pana a dobrodzieja mego, gromiłem już za to wychodztwo parafian. Teraz tem usilniej będę ostrzegał i zakazywał, ale niestety, mało

to pomoże. Naród teraz bezbożny i pogański. W kościele wzdycha, bije się w piersi, a wyjdzie ze świątyni, swoje robi.

— Święta to prawda, — potwierdził proboszcz Dudzicki, — u mnie to samo. Chłop tylko wtedy posłuszny i układny, kiedy mnie potrzebuje.

— A myślicie, że u mnie inaczej, — westchnął proboszcz Wanek, — kubek w kubek to, co i u was. A swoją drogą, w najbliższą niedzielę napiętnuję z ambony ten grzech przeciw krajowi i własnemu społeczeństwu.

— Co do mnie, — rzekł tłuściutki proboszcz Wiśnicki, — ja od dawna występuję przeciw wychodztwu, bo mojem zdaniem: masz chłopie co jeść? nie szastaj się! nawet kamień na miejscu porasta.

Lokaje roznosili leguminę, a Horodelski przemówił:

— Widząc taką budującą zgodność kapłanów, nie wątpię o pomyślnym skutku tych nawoływań; a swoją drogą, postarałem się u naczelników powiatu i straży ziemskiej, ażeby nie tak pochopnie wydawano karty, i zobaczę się jeszcze z kapitanem pogranicznej straży ażeby wzmocnił kordon graniczny, bo teraz za lada łapówkę przepuszczają naszych ludzi... Nie idzie mi o siebie, co chyba wszyscy wiedzą, ale o dobro całego kraju, o dobro obywateli... a teraz wznoszę toast na pomyślność naszych wspólnych usiłowań, oby Najwyższy pobłogosławił nasze starania!

— Daj Boże!... Daj Boże! — zawołano i wypróżniono kieliszki.

Tylko grupa młodych księży nie wzięła udziału, czem zgorszony gospodarz zawołał z przekąsem:

— Spełnijcie ten toast chociażby wodą, nie bądźcie odszczepieńcami.

Proboszcz Wiśnicki spojrzał z politowaniem na młodych i kiwając głową rzekł smutnym głosem:

— Nie jecie, nie pijecie, nie będzie z was pociechy. Dary Boże należy szanować, a wy pogardzacie nimi, — westchnął głęboko.

— Wspomniał sąsiad dobrodziej... — zaczął Wrotnicki zwolna, przerwał mu jednak dziekan, podnosząc się z fotela z kieliszkiem w ręku:

— Pozwólcie panowie, że wzniosę zdrowie najzacniejszego obywatela, prawdziwego chrześcijanina, dobrodzieja kościoła, który miłując kraj gorąco, nie szczędzi swych sił, pracy, czasu, ażeby nieszczęśliwy nasz kraj podźwignąć na duchu i zapewnić mu pomyślność. I napewno jestem teraz rzecznikiem nietylko tu obecnych, ale, że tak powiem, całego kraju, wznosząc zdrowie gospodarza. Niech żyje setne lata i niech mu Bóg we wszystkiem błogosławi! Wiwat, niech żyje!

— Niech żyje!... Niech żyje! — zawołano niemal jednogłośnie i młodzi księża napełniwszy kieliszki wodą podeszli do gospodarza, ażeby trącić o jego kieliszek.

Gdy się trochę uciszyło, rzekł Horodelski wzruszonym głosem:

— Może nie wszystkie pochwały, które usłyszałem z dostojnych ust księdza dziekana, należą mi się w tej mierze, jak były powiedziane, ale jedno muszę sobie przyznać. Jestem na wskróś katolikiem, uwielbiam jedność Kościoła z Ojcem Świętym na czele, i gdybym wiedział, że jedna żyłka we mnie nie jest katolicka, kazałbym ją wypruć, chociażbym życie miał postradać.

— Najzupełniej wierzę, — skinął dziekan głową,

i nie wątpię, że każdy z nas to samoby uczynił, nietylko z kapłanów, bo to jasne i zrozumiałe, ale i ze świeckich, o ile są katolikami.

— No, nie wszyscy, — odezwał się proboszcz Marski, — ja mam we wsi pana Szybickiego, właściciela, szlachcica, który drwi z Kościoła, a kapłanami pogardza.

— To nie szlachcic polski! — zawołał Horodelski, — to infamis! Ksiądz jest duchownym sługą Kościoła, a szlachcic polski świeckim. Tak ja pojmuję i dlatego nie zawahałem się oddać Kościołowi mego pierworodnego, — spojrzał na syna.

Ksiądz Paweł spuścił oczy, gdyż ojciec dopiero po dłuższej walce zgodził się na wybór duchownej karyery, w nadziei, że dostojeństwa duchowne uświetnią ród Horodelskich.

Wśród półgłośnej rozmowy spytał Horodelski Wrotnickiego:

— O czem szanowny sąsiad chciał mówić?

— O czem?... już wiem; wspomniał pan dobrodziej dziś rano o dwóch sprawach; o pierwszej słyszeliśmy, a druga?

— Druga?... Otóż moi panowie, druga sprawa jest równie niebezpieczna dla nas, jak pierwsza, z tą różnicą, że w drugiej nawet rząd nam pomaga.

Umilkli wszyscy i patrzyli z ciekawością na mowcę.

— Idzie o agitacyę socyalistyczną, która często podszywa się pod narodowe interesy, a szerzy się wśród ludu. Agitacyi tej musimy kres położyć. Ci wrogowie porządku społecznego rozrzucają odezwy, rozdają broszury i książki przepojone nienawiścią do Kościoła

i szlachty. Wzywają też chłopów do otwartego buntu przeciw wszelkiemu porządkowi społecznemu.

— Wielki Boże, — westchnął dziekan, — czyż nie dość pokarałeś nas rokiem sześćdziesiątym trzecim!?

— O ile wiem, — powiedział nieśmiało Krzepowski, — idzie o wprowadzenie języka polskiego do urzędów gminnych.

— To pozór! to oszustwo! — zawołał gniewnie Horodelski, — zaczyna się od niewinnych rzeczy, a kończy się na zbrodni. My, którzy znamy lud, żyjemy z nim, wiemy najlepiej, że jako dla niepiśmiennych wszystko jedno, czy papier pisany jest w urzędowym języku, czy w polskim. Ale im idzie o poduszczenie chłopów na nas, na właścicieli. Uda się im jedno, zechcą zabrać nam ziemię. Tylko żadnej polityki między chłopów nie wprowadzać. Chłop powinien się modlić, pracować, słuchać i milczeć.

— Tak było niegdyś, — westchnął stary pan Wrotnicki, — ale dziś inne czasy.

— Inne czasy!? — uśmiechnął się Horodelski ironicznie, — jeśli sąsiad szanowny ma na myśli pańszczyznę, to zapewne nie wrócą te czasy, ale bo też nikt nawet nie myśli o tem... lecz jest, że tak powiem, moralne przewodnictwo, i to nam się należy i wśród chłopów i w całym kraju. Kapłani i my, to jedyni przewodnicy i sternicy łodzi narodowej i społecznej. To też przeciw agitacyi musimy wszyscy jak najostrzej wystąpić. Książki, broszury, odezwy odbierać, niszczyć, palić, zaś agitatorów bez miłosierdzia oddawać pod sąd.

— Tak! Tak!... Słusznie! — odezwały się zmęczone głosy.

— Doktorze Pawle, — rzekł Horodelski, — i wy,

młodzi księża, dlaczego milczycie tak uporczywie? Czyżby was nie zajmowały sprawy religijne?

Wszyscy spojrzeli na księdza Pawła i wikarych. Nastała chwila przykrego milczenia i wyczekiwania.

— Nie chciałbym wszczynać sporów, — przemówił ksiądz Paweł, — gdyż, mojem zdaniem, sprawa wychodztwa z religią niema nic wspólnego.

— Jak to ksiądz rozumiesz? — zaczerwienił się ojciec, — mów otwarcie.

— Wychodztwo, to sprawa ekonomiczna, — zaczął spokojnie, — chłop potrzebuje żyć, a nie przymierać głodem. Dajcie mu lepsze warunki bytu i płacy, a zostanie w kraju.

— Nie rozumiesz się na tem, — rzekł ojciec gniewnie, — płacimy, i dobrze, a chłop ucieka. Smaruj chłopa miodem, on zawsze chłopem zostanie. Zaradzi temu tylko wpływ moralny kapłanów.

— Słowami chłop się nie pożywi. Idzie do Niemiec za chlebem i po chleb.

— Nie mówmy o tem, — hamował swój gniew, — może na teologii się rozumiesz, ale nie na sprawach krajowych. Lud prowadzą i kierują jego życiem kapłani i my, szlachta; kto wyrzeka się pracy nad ludem w tym kierunku, jest odszczepieńcem w sprawie służby obywatelskiej. Gdy życiem dojrzejesz, poznasz, że miałem słuszność, a teraz nie mówmy o tem.

— Dobrze mój ojcze, — odpowiedział cicho i pokornie, zasłoniwszy powiekami błyski oczu.

Horodelskiego jednak rozdrażniła ta niespodziewana opozycya syna, ściągnął brwi gniewnie, tak, że jego wązkie czoło stało się siecią zmarszczek i po chwili rzekł drwiąco:

— Czy ksiądz Paweł będzie bronił i socyalizmu wobec ojca? — zaśmiał się nerwowo.

— Nie, mój ojcze. Socyalizm sam przez się zginie i wygaśnie, gdy boska miłość Chrystusa zagości w sercach ludzkich. Gdy miłość bliźniego zapanuje, zginą wszelkie niedomagania ekonomiczne i polityczne.

— To już dobrze, bo i ja wierzę, że Chrystus i jego kościół jedyny, katolicki, prędzej czy później zapanuje na całym świecie... No, dość tych rozpraw, — wstał z kieliszkiem szampana w ręku: — zdrowie moich przezacnych i kochanych gości! — wychylił szampana, — gdyśmy wypełnili nasz obowiązek względem kraju, bądźmy dobrej myśli i weselmy się!

Marcin szybko nalewał w kieliszki pieniące się wino, roznoszono torty i ciasta. Sypały się toasty jeden za drugim, wreszcie gospodarz poprosił gości na czarną kawę i cygara do innego pokoju. Stały tam stoliki przygotowane do kart i goście podzielili się na partye wintowe. Do jednego stolika znalazło się czterech graczy, a do drugiego, wliczając już gospodarza, było trzech, gdyż pan Wrotnicki spieszył do domu i musiał zaraz się pożegnać.

— Siadaj na czwartego, — zachęcał księdza Pawła ojciec, — wiem, że nas ograsz, boś mistrz w wincie.

— Nie grywam ojcze wcale.

— Ty!? I od kiedy? — zdziwił się.

— Od pół roku zobowiązałem się nie brać kart do ręki.

— Czy miałeś nieszczęście? Przegrałeś?

— Nie, ale z zasady nie gram.

— Hm... dziwna zasada życia, pozbywanie się wszelkich przyjemności, — uśmiechnął się ironicznie, —

no, a może, który z młodych dobrodziejów? — zwrócił się do wikarych.

— Nie umiemy, — odpowiedział Kęcki za siebie i towarzyszów.

— Ha... trudno! Zagramy panowie, — zwrócił się do graczy, — z dziadkiem, — i zasiedli w trzech do zielonego stolika.

Ksiądz Paweł zwrócił się do młodych księży przyjaźnie:

— Nic tu po nas... chodźmy do biblioteki.

Był to niewielki pokój, w którym mieściły się dwie oszklone szafy z książkami. Stół wielki stał na środku z kilku gazetami, dwa fotele i kilka krzeseł obitych ciemną skórą, wreszcie szezlong wygodny.

Młody gospodarz kazał podać herbatę i w czterech zasiedli za stołem.

Najprzód ksiądz Paweł prosił wikarych, aby po bratersku byli z nim na »ty«, poczem przemówił bardzo uprzejmie:

— Wiecie, moi bracia, zanim wam powiem w jakim celu zjechaliśmy się w Brzozowicach, zechciejcie mi opowiedzieć wśród jakich warunków żyjecie w waszych parafiach. Dobrze?

— Ależ najchętniej, — pierwszy pospieszył ksiądz Kęcki.

— Mów bracie... słuchamy, — zachęcał go ksiądz Paweł.

— Mój proboszcz, zacny człowiek, gorliwie zajmuje się wyglądem kościoła, dostatkiem aparatów, porządkiem, ale z usposobienia chmurny, surowy, despotyczny, uważa karcenie parafian za jedyną drogę do poprawy i do wzbudzenia czci dla Kościoła i religii. Zo-

bowiązał mnie do brania pieniędzy za usługi kościelne i sam bierze dużo, chociaż lwią część wkłada w kościół.

— No, a względem ciebie, bracie? — spytał ksiądz Paweł.

— Stosunki nieszczególne, — mówił dalej wikary Kęcki, — gorszy go mój post, abstynencya, mój sposób traktowania ludzi, głoszenie miłości ewangelicznej w czynie. Zaledwie mnie znosi, a jedyną moją pociechą jest niekłamana, zdaje mi się, przychylność parafian. To wszystko.

— No, a ty bracie? — zwrócił się ksiądz Paweł do wikarego Orzelskiego.

— Ta sama historya, — uśmiechnął się, — co i Stacha, — wskazał oczyma na Kęckiego, — z tą odmianą, że proboszcz Wanek lubi gości, zabawy, polowania, a w kościelnych wydatkach oszczędza.

— A proboszcz Dudzicki, — zaczął wikary Grzywak, — musi się troszczyć o swą rodzinę, wyposaża siostry, utrzymuje brata, matka rządzi parafią, a prócz tego, on sam lubi konie i wolny czas im poświęca. Stosunek mój o tyle jest gorszy niż Stacha i Władka, że muszę znosić przykrości od matki proboszcza i tolerować jej rządy w parafii.

Po chwili milczenia zaczął ksiądz Paweł:

— Nie powiedzieliście mi nic nowego o proboszczach, — uśmiechnął się, — znałem ich dawniej, zresztą wystarczyłoby dla mnie i dla was ich dzisiejszej rozmowy przy stole w jadalnym pokoju. Są to ludzie z przeciętną dobrocią, przeciętną uczciwością, przeciętną pracowitością. Jakże dalekim od nich jest ideał miłości i poświęcenia, który nam Chrystus Pan w ewangelii zostawił! Religia miłości zeszła do form zimnych, suchych,

bez treści i ducha. I nam młodym przypadło w udziale zaszczytne posłannictwo poprawienia i zreformowania stanu kapłańskiego. Czy rozumiecie mnie?

Najbliżej siedział wikary Orzelski i do niego zwrócił się ksiądz Paweł.

Ten, jakiś czas milczał zasępiony, wreszcie rzekł:

— O jakiejś reformie, o poprawieniu ogółu księży, nigdy nie myślałem. To nie moja rzecz, od tego jest władza duchowna... Pragnę, ażeby mi nie stawiano przeszkód w pełnieniu obowiązków kapłańskich... nic więcej.

Na jasnem, wązkiem czole księdza Pawła pojawiły się zmarszczki niezadowolenia, ale wkrótce wypogodził czoło i spytał Kęckiego:

— A ty, bracie, czy nie uznajesz potrzeby pewnych zmian w duszpasterstwie dzisiejszych proboszczów i wogóle księży?

Wikary Kęcki ożywił się i zaczął mówić gorąco:

— Zmian, to mało powiedzieć i niedostatecznie. Nie moja rzecz sądzić proboszczów, poprawiać ich, usuwać ze stanowiska. Trzeba zmienić nie ludzi, ale samą ideę służby w kościele Chrystusowym. Dopiero wówczas, gdy sami księża przejmą się miłością ewangeliczną i będą ją w czyn wprowadzali, nastanie czas królestwa bożego na ziemi.

— Nie rozumiem dobrze twej myśli, — przemówił ksiądz Paweł, — zważ nietylko na cel, ale i na środki. W jaki sposób księża mają się przejąć czystą ewangeliczną miłością? Jak myślisz?

— Jak? Przecież to rzecz tak prosta, — uśmiechnął się dobrotliwie, — ludzi przekonywa się nie słowami, ale przykładem. Gdy zobaczą inni owoce naszej

działalności, sami wstąpią na naszą drogę. Mam to głębokie przekonanie, że każdy z tych proboszczów obecnych tutaj, troszczy się o dusze swych parafian, dba o cześć Kościoła, ale dążąc do tego celu, weszli na błędną drogę, a gdy my wskażemy prawdziwą naszem życiem i czynami, oni stopniowo się zmienią.

— Zazdroszczę i twej wiary i różowych nadziei, — zaśmiał się ksiądz Paweł, — ja ich nie posiadam. A wy, — spojrzał na dwóch wikarych, — czy podzielacie zdanie księdza Stanisława?

— Co do mnie, — odezwał się ksiądz Grzywak, — pragnę jak najusilniej wprowadzenia w życie prawdziwej i jedynej religii Chrystusowej. I moich przekonań pod tym względem nie zmienię, ale daleki jestem od walki z proboszczami i biskupem. Całe życie moje poświęcę głoszeniu prawdziwej miłości ewangelicznej i chętnie zniosę dla niej wszelkie przykrości i upokorzenia.

— Proszę was, pijcie herbatę, — zapraszał ksiądz Paweł i sam mieszał łyżeczką w szklance, ale myśli jego były gdzieindziej.

Wpatrywał się w jakiś punkt daleki a niewyraźny, bo aż ciemne oczy przymrużył, a na czole zjawiły się dwie prostopadłe zmarszczki, i po dobrej chwili przemówił:

— Spodziewałem się zastać was — patrzał po ich twarzach, — innymi trochę, bardziej przejętymi świętem posłannictwem. A widzę w was tylko chęć niesienia naszego krzyża w cichości, bez skargi i protestu. Nie wątpię ani chwili, że ożywieni jesteście boskim ogniem miłości Chrystusowej, że ewangelię niesiecie ochotnie biednym i opuszczonym, ale brak wam wiary w zwycięstwo

nasze, w zwycięstwo prawdziwej miłości bliźniego wszędzie, od krańca do krańca świata.

Spojrzał na nich badawczo i przenikliwie. Wikary Kęcki poruszył się niespokojnie na krześle i rzekł:

— Czynisz nam księże Pawle zarzut, niezupełnie sprawiedliwy... Gdybyśmy nie wierzyli w zupełne zwycięstwo miłości ewangelicznej, czy służylibyśmy tej sprawie z takiem poświęceniem i zaparciem się siebie? Zrozumiej, że nasze współżycie z proboszczami jest szeregiem przykrości i zgryzot. Zobowiązani do posłuszeństwa, jesteśmy częstokroć zmuszeni postępować wbrew głoszonym zasadom... Moje miejsce jako kapłana miłości Chrystusowej powinno być przy biednych, opuszczonych, cierpiących, aby pocieszać ich, wspomagać radą i czynem, nawracać grzesznych i zatwardziałych, a nie tu, w pałacu, aby popijać herbatę, dawać folgę słabościom ciała; a jednak musiałem tu przyjechać, bo kazał proboszcz... muszę brać pieniądze od biednych... bo tego wymaga proboszcz, — kończył z goryczą.

— Dobrze tobie, księże Pawle, — zaczął Orzelski, — gdy sam siedzisz na probostwie i nikt cię nie kontroluje, nie gani, nie zmusza do czynności przeciwnych twym zasadom...

— To bardzo się mylisz, — przerwał mu z żywością ksiądz Paweł, — moi sąsiedzi, plebani, nie szczędzą mi nagan, przykrości, lekceważenia, skarg przed dziekanem. Na odpust Matki Boskiej Gromnicznej mimo zaproszenia nie przyjechali wcale, i gdyby nie inni księża, pokrewni mi duchem, nie mógłbym był obsłużyć wiernych... Doszły mnie też wieści, że z probostwa tego będę musiał ustąpić.

— A to dlaczego? — zdziwił się szczerze wikary Grzywak, — czyż ksiądz nie jesteś dość gorliwy?

— Nie, — uśmiechnął się z ironią, — tylko probostwo w Grodnikach było dla dawnych plebanów intratne, są więc tacy, którzy pragną otrzymać je od biskupa, a że okoliczni plebani tracą, gdyż ich parafianie wskazując na mnie nie pozwalają się wyzyskiwać, umyślono pozbawić mnie tego probostwa.

— I co ksiądz zrobisz? - spytał wikary Orzelski.

— Będę posłuszny, — odpowiedział chmurny.

— A gdyby w konsystorzu, albo też samemu biskupowi przedstawić całą sprawę, — doradzał Kęcki, — jestem pewny, że machinacye niechętnych nie odniosłyby żadnego skutku.

— Byłem w konsystorzu, szukając tam rady i pomocy, — odparł z goryczą, — i powiedziano mi, ażebym się niczem nie wyróżniał od moich kolegów proboszczów i nie dążył do odznaczenia się, bo to grzeszna pycha z mej strony. Jeśli się poprawię, to prawdopodobnie zostawią mię nadal na tem probostwie. Wiem, że jestem człowiek grzeszny i ułomny, ale obowiązki proboszcza spełniam uczciwie, parafianie dają mi nieustanne dowody swego przywiązania i widzę dobre rezultaty. Gdy za mego poprzednika na trzy tysiące pięćset parafian, przystępowało do stołu pańskiego około sześciuset w czasie wielkanocnym, obecnie doprowadziłem do tego, że większość odprawia spowiedź wielkanocną. Jednak moją główną winą i zbrodnią jest to, że nie biorę pieniędzy od parafian, i że jestem abstynentem.

— Jakież to bolesne, — westchnął szczerze ksiądz Kęcki.

— Powiedz raczej jakie to upokarzające dla Ko-

ścioła Chrystusa, — wybuchnął ksiądz Paweł, — toleruje się proboszczów niedbałych, złych, dla świętego spokoju, a każdą skargę na nich traktuje się jako świętokradztwo.

— Chryste Panie, i jak to się skończy? — załamał ręce Grzywak.

— I gdyby nas chociaż więcej było, — rzekł smutnym głosem wikary Orzelski, — byłaby nadzieja zmiany ku lepszemu, ale nas taka garsteczka znikoma.

— Źle mówisz, mój bracie, — uśmiechnął się ksiądz Paweł, — żywi nie powinni nigdy tracić nadziei, mówi poeta, a my jesteśmy żywi miłością Chrystusa, ona doda nam sił i jej nie zmogą nawet bramy piekielne... Nie możemy jednak iść tak samopas, rozproszeni, bez wzajemnej zachęty i pomocy duchowej. Odosobnieni, wyczerpiemy nasz zapał, napoimy się goryczą i padniemy na placówkach nic nie zdziaławszy. A przecież my nie dla karyery, nie dla własnego dobrobytu i szczęścia ziemskiego pracujemy, lecz aby przyspieszyć chwilę zjawienia się królestwa bożego na ziemi i utrwalić je w sercach ludzi.

Wikarzy milczeli zamyśleni i trochę zaniepokojeni. Dotychczas pracowali szczerze i wytrwale wśród parafian, tak w poczuciu spełniania swych obowiązków kapłańskich, jako też powodowani troską o poprawę i zbawienie wiernych, powierzonych ich pieczy duchownej. Teraz ten młody proboszcz, doktor teologii, wzywa ich do pracy zreformowania proboszczów i dawnych zwyczajów. Czego on chce? dokąd dąży? jaki ma cel w ganieniu pracy odosobnionej?

Wreszcie wikary Kęcki, swobodniejszy w swem zachowaniu się od kolegów, powiedział zwolna:

— Poruszyłeś księże Pawle sprawę wielkiej wagi,

która wymaga dłuższego namysłu i pilnego rozważenia. Przyznajemy, że zachęta braterska, uczucie, że nie jest się samotnym, lecz ma się dusze bratnie, dużo dobrego zdziałać może, ale nie powiedziałeś nam o drogach i sposobach. Walczyć z przełożonymi, przynajmniej co do mnie, ani chcę, ani mogę...

— Ani ja! — mruknął wikary Orzelski, co powtórzył i wikary Grzywak:

— Przysiągłem posłuszeństwo i będę zawsze posłuszny.

— Ależ na miłość Chrystusa! — zawołał ksiądz Paweł, — co tobie Stanisławie? Nie powstało mi w myśli, ażeby wszczynać jakąkolwiek walkę nielegalną. Czyż i ja nie złożyłem przysięgi posłuszeństwa!? Kościół Chrystusa jest dla mnie uosobieniem miłości i spokoju, i ja wnosiłbym jakieś spory? kłótnie? walki?... Tego sądu nie spodziewałem się usłyszeć od was, od braci moich, — mówił z żalem. — Pragnąłem was pokrzepić, wzmocnić energię waszą, dodać wam otuchy!

— Źle ciebie zrozumiałem, — zaczerwienił się wikary Kęcki, — daruj mi, ale powiedz nam otwarcie i szczerze o swoich zamysłach; przecież my bratnie dusze.

— Nie mam już żadnego żalu, — rozjaśnił twarz i uścisnął ręce wikarych, — i w odpowiedzi powiem wam, że my, młodzi księża, ożywieni tym samym duchem miłości ewangelicznej mamy zjechać się wspólnie na naradę czysto duchowną.

— Gdzie?... Kiedy? — spytali z żywością.

— O dniu wam napiszę, a spotkamy się w tutejszej dyecezyi, w stolicy biskupa. Trzeba się policzyć.

— I dużo jest naszych? — spytał wikary Orzelski.

— Nie wiem dokładnej liczby. Ksiądz Szyszkowski, który objeżdżał Królestwo i przyległe gubernie, wspominał mi o kilkudziesięciu.

Wszczęła się ożywiona rozmowa o przyszłym zjeździe i pracy w parafiach.

— Założyłem, — opowiadał ksiądz Paweł — towarzystwo nieustającej adoracyi Przenajświętszego Sakramentu i osiągnąłem nadzwyczajne skutki, a za poradą księdza Szyszkowskiego, mam zamiar wprowadzić cześć Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.

— Jaki to obraz? — spytał wikary Grzywak.

— Bizantyjski, malowany na drzewie, a przywieziony w piętnastym wieku z Krety do Rzymu. Zasłynął cudami rozlicznymi i jest niejako uzupełnieniem nieustającej adoracyi eucharystyi. Jeśli nie widzieliście, mogę wam pokazać, gdyż przywiozłem go ze sobą.

Wrócił po pewnym czasie trzymając w ręku oprawną w ramy i zawiniętą w papier kolorowaną kopię obrazu cudownego, odsłonił z wielkim szacunkiem i położył na stole. Wszyscy z wielkiem skupieniem i uwagą przypatrywali się obrazowi.

Na złotem tle był umieszczony obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. Nad głową otuloną ciemnobłękitną chustą umieścił malarz gwiazdę, a powyżej napis grecki: Matka Boska. Ażeby nie powstała jakakolwiek wątpliwość co do osób na obrazie, napisał malarz na lewem ramieniu dziecka słowo: Jezus. Z prawej strony osób głównych namalował archanioła Gabryela, z lewej archanioła Michała i obaj trzymają w ręku narzędzia męki Chrystusa.

— Słynie ten obraz, — mówił z przejęciem ksiądz Paweł, — niezliczonymi cudami i łaskami. Kto tylko

pełen wiary i miłości odprawi nowennę do Najświętszej Maryi Panny Nieustającej Pomocy, doznaje ukojenia duszy i uzdrowienia ciała. Ile dzieci uzdrowiła! ile niemocy ludzkich! ile grzeszników nawróciła!... Radzę wam szczerze moi bracia, rozprzestrzeniajcie cześć dla tej cudownej Matki Boskiej, zdrój łask spływa na jej czcicieli.

— Nie masz historyi tego cudownego obrazu? — spytał wikary Orzelski, — bardzo mało, prawie nic o nim nie słyszałem.

— Mam w domu nowennę napisaną przez redemptorystę Saint-Omer'a i przyszlę ci, — mówił ksiądz Paweł, — ale siadajcie, opowiem wam niektóre cuda.

— W czasie procesyi w roku 1866, w Rzymie, w jednym domu była chora ośmioletnia dziewczynka. Matka słysząc śpiewy westchnęła gorąco do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Dziecko drgnęło i polepszyło mu się znacznie, a matka zaniosła je przed obraz cudowny mówiąc: teraz, o Maryo, dokończ tego coś rozpoczęła!... I dziewczynka zaczęła sama chodzić.

— O, tak, — mówił rozmarzonym głosem wikary Orzelski, — niewinne dzieci dostępują łatwo łaski.

— A wiecie, — opowiadał ksiądz Paweł dalej, — w Liège uzdrowiła chłopca z konwulsyi w roku 1879. W Huet powróciła dziecku wzrok... I nietylko przynosi Ona pomoc w chorobie, ale i materyalną. W Liège pomogła kupcowi do zapłacenia wekslu i w tem samem mieście uchroniła od bankructwa dwie zacne panny, posiadające sklep z koronkami, a stało się to po odprawieniu nowenny i wotywie.

— Nieprzebrane są skarby łaski Najświętszej Panny, — westchnął pobożnie wikary Kęcki.

— I co jest najcudowniejszego w tym obrazie, że

temu, który modli się żarliwie przed tym wizerunkiem Matki Boskiej i odprawia nowenny, Ona w swej nieskończonej łaskawości zjawia się w snach i udziela swych boskich rad i pomocy.

— Ja wprowadzę jej cześć w mojej parafii, — rzekł stanowczym głosem wikary Grzywak, — gdzie dostanę taki obraz?

Ksiądz Paweł podał adres firmy warszawskiej który sobie wikarzy zapisali.

— Wiecie bracia, ja sam doznałem już łaski Przenajświętszej Panny, chociaż nie jestem jej godzien.

— Jakiej?... Jakiej? — spytali wikarzy.

— Gdy złożyłem ślub powstrzymania się od kart, alkoholu i palenia, począł mnie dyabeł kusić... — mówił tajemniczo, — podsuwał mi rozumowania, że ślub obowiązuje tylko wobec ludzi, nie w samotności... a dalej, że jeśli Bóg zezwolił na istnienie kart, wina i tytoniu, więc niema grzechu w używaniu tych darów... że nie to grzechem, co wchodzi przez usta, ale co z ust wychodzi... rosły pokusy, a ja, prawie zupełnie osłabły, postanowiłem złamać śluby nazajutrz. Przed ułożeniem się do snu, jak zwykle westchnąłem do Najświętszej Panny Maryi Nieustającej Pomocy, której obraz mam nad łóżkiem, i oto w nocy... — umilkł przejęty wzruszeniem.

Wikarzy, którzy zresztą sami doznali także tego rodzaju pokus, słuchali go z oddechem zapartym, a gdy umilkł, zawołali niemal równocześnie:

— I co?... Co się stało?... I co było?

— We śnie ujrzałem, jak mój pokój napełnia się dziwną światłością, barwy nieuchwytnej i gdy patrzę zdumiony, zjawia się cudownie piękna niewiasta... pa-

trzę, aż oto rysy stają się podobne do twarzy Najświętszej Panny, — spojrzał na obraz leżący na stole, — trzyma Dzieciątko Jezus, i wpatrując się we mnie... powiedziała, a raczej posłyszałem głos anielski: Wytrwaj, a będziesz szczęśliwy... i wszystko rozpłynęło się w opalowej mgle... Zbudziłem się, pomodliłem się gorąco do Najświętszej Panny i wiecie, od owej nocy szatan przestał mnie kusić.

Wikarzy z wielkim szacunkiem spojrzeli na księdza Pawła i z niezmierną czcią wpatrywali się w obraz.

— Bracia moi, — wstał ksiądz Paweł, — padnijmy na kolana i pomódlmy się gorąco do Przenajświętszej Panny przed tym jej obrazem, prosząc o wytrwałość i gorliwość w oddawaniu jej czci.

Obraz ustawił na stole, podparł książkami i ukląkł wraz z wikarymi. Zachodzące słońce rzucało blaski na pokój i oświetliło promieniami obraz, a złote tło tem silniej zabłysło.

W czasie modlitwy otworzyły się drzwi i w progu stanęli: gospodarz, ksiądz dziekan i proboszcz Marski.

Horodelski otworzył już był usta, ażeby przemówić, lecz na ten widok umilkł i przeżegnawszy się zmówił modlitwę.

Młodzi księża podnieśli się z klęczek, a dziekan wskazując na obraz spytał:

— Jaki to obraz i skąd?

— Najświętsza Marya Panna Nieustającej Pomocy, słynąca cudami.

— Gdzie?

— W Rzymie, w kościele świętego Alfonsa, i przywiozłem tę kopię ojcu memu na pamiątkę.

— Hm... to bardzo ładnie, — rzekł dziekan, —

ale i u nas w Polsce nie braknie świętych obrazów, cudami słynących.

— Wiem o tem, księże dziekanie, ale ten obraz jest uprzywilejowany pomiędzy uprzywilejowanymi.

— A to jakim sposobem? — zdziwił się proboszcz Marski.

— Zwyczajnie bowiem wierni otrzymują łaski modląc się przed obrazami cudownymi tylko w tych miejscach, w których się te obrazy znajdują, a nie przed każdą ich kopią i przed każdym wizerunkiem tych obrazów.

— No, a ten obraz? — spytał dziekan.

— Ten stanowi wyjątek z ogólnej reguły, nawet kopie są pośredniemi źródłami, z których spływają obficie Jej łaski na wiernych, a Jej najlitościwsza potęga dosięga wszystkich krajów i narodów... Z tego powodu przywiozłem tę kopię do Brzozowic dla ojca.

— Dziękuję ci z pełnego serca, — uścisnął rękę syna, — zawieszę ten obraz w sypialni, jako miłą pamiątkę.

— Ja zaś gorąco proszę ojca, ażeby codziennie westchnął pobożnie, a Najświętsza Panna nie poskąpi łaski.

— Dobrze, mój synu, wprawdzie ja mam szczególne nabożeństwo do Matki Boskiej Częstochowskiej i doznałem jej łaski, ale będę się modlił i przed tym obrazem.

— Nie zawadzi jedno drugiemu, — uśmiechnął się proboszcz Marski.

— No, moi mili goście, — rzekł gospodarz, — teraz przejdźmy do jadalnego pokoju na krótki posiłek.

Nie pomogły wymawiania się wikarych i musieli iść na podwieczorek.

Dopiero nocą po sutej wieczerzy wyjechali goście z Brzozowic. Proboszcz Marski usadowiwszy się wygodnie na bryczce, wkrótce zasnął, a wikary począł odmawiać pacierze, opuszczone z powodu wizyty.

Dziś jednak nie odmawiał ich tak spokojnie skupiony, jak zwykle, przeszkadzały mu wspomnienia rozmów z księdzem Pawłem, przyszły zjazd młodych księży i obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, który postanowił sprowadzić dla kościoła w Kościeńcu i dla siebie.

X.

Proboszcz Marski tak narzekał przed Horodelskim, że ze swoich sześciu morgów nie może wyżywić krów i koni, aż wreszcie na jeden zasiew otrzymał od niego w Rudnikach dwanaście morgów.

Zaraz nazajutrz po wizycie pojechał obejrzeć to pole, które trzeba było zorać i przygotować pod zasiew. Swoich koni żałował do pługa, liczył jednak, że parafianie pomogą mu, wyorzą i zbronują.

Wrócił przed obiadem chmurny i zły, skrzyczał dwóch najemników w ogrodzie kopiących za powolną robotę i trzaskając drzwiami przyszedł na obiad.

Wikary zwykle milczał przy stole, siostra widząc chmurną minę brata nie odzywała się i słowa, to też pierwsza połowa obiadu upłynęła w ciszy przerywanej szczękiem łyżek, noży i widelców.

Pierwszy proboszcz odsuwając gwałtownie sosierkę rzekł:

— Sos przydymiony... nawet tego dobrze nie przypilnujesz.

— Dozorowałam w ogrodzie robotników, — usprawiedliwiała się cicho.

— No, już ten twój dozór, — powiedział drwiąco, — byłem i widziałem, ile zrobili za pół dnia.

— Cóż ja poradzę z takimi próżniakami, tylko się odwrócę, już rozmawiają, — westchnęła smutnie.

— To niegodziwy naród, — oburzył się proboszcz, — wyobraźcie sobie, że w Rudnikach, nietylko, że mi żaden nie chciał pomódz, chociaż żądałem od kilku, ale nie chcą orać za pieniądze.

— I jaką znaleźli wymówkę? — mówiła zgorszona Blińska, — przecież ze świecą szukać takiego drugiego proboszcza i nawet głupiego wyorania pożałują. I co brat zrobił?

— Wróciłem z niczem, może tu znajdę pług jaki. Wysłałem Łukasza do Wierzbowa, a chyba sam pójdę do wójta, — spojrzał na wikarego w nadziei, że może go wyręczy, a widząc, że milczy, dodał: — ciężkie czasy nastały, nieprawdaż, księże wikary?

— Pod jakim względem? — podniósł oczy na proboszcza.

— Alboż nie słyszałeś, co mi ci poganie zrobili? i to jest wdzięczność po tylu latach pracy!

— Teraz czas gorący, każdy zajęty siejbą i robotą w polu, — bronił chłopów nieśmiało.

— Alboż mnie nie pilno!? — oburzył się, — i chyba tę ziemię zostawię ugorem, jeśli mi wójt albo młynarz nie pomogą... Czy nie mógłby się przejść ksiądz wikary do nich? Zawołałbym ich do siebie, ale pewno obaj zajęci dzisiaj, a tu czas nagli.

— Mogę pójść dzisiaj, mam trochę wolnego czasu... Od pojutrza rozpoczynam przygotowywać młodzież do pierwszej komunii.

— Od pojutrza? Czy nie zawcześnie? Póki się nie obsieją, nikt nie przyjdzie.

— Kto czeka deszczu, ten nie będzie siał, — uśmiechnął się wikary.

— Młody jesteś, nie znasz chłopów, a w szczególności tutejszych, — mówił proboszcz jedząc leguminę łyżeczką, — i chcesz poprawiać mnie starego. Nie oni stosują się do wymagań kapłańskich, ale my musimy do nich się zniżać... I mówię ci, że nie przyjdą, skompromitujesz siebie, to mniejsza, ale naukę kościelną.

— Pozwoli jednak ksiądz proboszcz, że zacznę naukę.. już ogłosiłem.

— Jeśli się upierasz, to próbuj... i proszę księdza, — mówił surowo, — pilnie zważać, ażeby dzieci i młodzież była umyta, zaczesana, ubrana odświętnie. Wymaga tego godność kapłana i nauki kościelnej.

Wikary poczerwieniał wspomniawszy na ewangelię, gdzie sam nawet Chrystus nie żądał okazywania tego rodzaju szacunku i powiedział wymijająco:

— Dzieci, jak dzieci... bawią się... babrzą... ale czystości będę pilnował.

— A gdzie ksiądz wikary będzie ich przygotowywał i nauczał? — spytała Blińska.

— W czasie pogody, to pod drzewami przy kościele.

— A w razie deszczu? — dopytywała się.

— Hm... sam nie wiem, możeby na ganku plebanii, albo w sieniach... — mówił niepewnym głosem.

— O, co to, to nie! — zawołała zaczerwieniona, —

naniosą mi błota, gnoju, pcheł albo co gorszego... Będą deptały kwietniki, niszczyły kwiaty... nie, nie mogę.

Wikary spojrzał pytająco na proboszcza, który zwolna powiedział:

— Czystość na plebanii, to wydział siostry i w to się nie mieszam... Ja uczyłem w zakrystyi, a już Łukasz pilnował, ażeby czyste mieli buty i głowy wyczesane. Radzę to samo księdzu wikaremu.

Gdy ksiądz Kęcki przypomniał sobie zimną i posępną zakrystyę, a w dodatku zrzędzącego i gniewnego Łukasza jako dozorcę dzieci, odrzekł się zakrystyi i mówił z cicha:

— W kościele czy też zakrystyi dzieci byłyby nadto skrępowane... na czas słotny może wynajdę jakie pomieszczenie.

— Tylko nie w żadnej szopie lub stodole, — zawołał proboszcz, — bo to nie uchodzi, a nawet uchybia.

— Dobrze, księże proboszczu, — westchnął.

— Słyszałam, że nie bardzo daleko od kościoła jest chata pusta, możeby użył jej ksiądz wikary.

— To dobra myśl, — uśmiechnął się.

— A któraż to? — spojrzał proboszcz na Blińską, — chyba nie gospodarska?

— Ta, za Walczakiem... to bieda tylko, że chata dworska, ale może księdzu wikaremu, ten farmazon ustąpi, — kończyła z ukrytą złośliwością.

— Jestem pewny, że on na cel nauki chrześcijańskiej nigdy nie odda pustej chaty... to zakamieniały ateusz, — rzekł proboszcz, — i szkoda czasu na propozycyę, już lepsza zakrystya.

— Jeśli ksiądz proboszcz pozwoli, spytam pana Szybickiego.

— A idź, wiem, że spotkasz się z odmową i nareszcie otworzą ci się oczy, — i zwracając się do siostry: — dlaczego ta chata pusta?

— Mieszkał tam starszy parobek, ale że w czworaku blizko dworu opróżniło się miejsce, przeprowadził się.

— Otóż, księże wikary, pójdziesz do wójta i powiesz mu w mojem imieniu, że na jutro potrzebuję koniecznie dwóch pługów. Niech wójt rozmówi się z bogatszymi gospodarzami i niech mi da znać, co uradzili.

— Dobrze, księże proboszczu.

— Po drodze możesz zajść do młynarza, pobożny to człowiek, i powiedz mu o moim kłopocie. Jeśli ja staram się o ich dobro duchowne, nie powinni i oni uchylać się od pomocy.

— Święta prawda! — dodała Blińska z wielkiem uznaniem, — ksiądz proboszcz i tak od nich nigdy nic nie wymaga, mogliby chociaż jeden raz odsłużyć.

Wikary zaraz po obiedzie poszedł na wieś i wstąpił do chaty wójta, wybielonej, czystej, pokrytej gontami. Właśnie gospodyni z cebrem w ręku wracała od chlewa, skąd wyrywały się kwiki i rechotania świń. Zobaczywszy księdza postawiła cebrzyk, otarła rękę fartuchem i odpowiedziawszy na pozdrowienie ucałowała jego rękę.

— Czy zastałem wójta w domu?

— A dobrodzieju, gdzieżby w taki czas siedział w izbie!? — załamała ręce, — toż byłaby obraza boska.

— Gdzież on?

— Skoro świt wyjechał w pole, obiad wysłałam mu przez dziewuchę.

— A daleko to pole?

— Iii, niedaleko i nieblizko, tam, hań, za tą wydmą, na lewo po pod gaj, — wskazywała ręką, — a potem prosto przed siebie.

Wikary zamyślił się; nie bardzo uśmiechała mu się daleka droga, że jednak przyrzekł proboszczowi, iż rozmówi się z wójtem, powiedział z westchnieniem:

— Wskażcie mi najkrótszą drogę, pójdę do wójta.

— Ano, wola księdza dobrodzieja, — skłoniła się, — a czy to taki pilny interes? a może urzędowy?

— Nie! Ksiądz proboszcz potrzebuje dwóch pługów na jutro i z wójtem mam się rozmówić.

— O, mój dobrodzieju, ciężka to będzie sprawa... Dziś każdy sobie robi, a chociażby i płacić, żaden nie zechce.

— Może i tak, — skinął wikary głową, — ale zawsze rozmówię się z wójtem, przecież nie zostawią swego proboszcza w kłopocie.

— Hm... to i nie wiem, a może coniebądź obradzą.

Dowiedziawszy się o drodze, poszedł wikary w pole i odszukał wójta, który kończył siać, a chłopakowi kazał bronować.

Powiedział wójtowi sprawę proboszcza i poprosił o pomoc.

— Alboż to nasz dobrodziej dzisiejszy, — odpowiedział chmurny, — czy nie wie, że w taki czas trudno o furmankę, a cóż dopiero dwa pługi?

— Ksiądz proboszcz w wielkim kłopocie, — mówił wikary, — w Rudnikach nie mógł dostać.

— To się wie, każdy sobie wpierw.

— Więc pługów nie będzie?

— Hm... alboż wiem, — podrapał się za uchem, —

radbym wygodzić, ale sam dobrodziej widzą, jakie mam zmitrężone konie, nie uciągną, — wskazał na parę dobrych koni, — chyba żeby się gospodarze złożyli na jeden pług, — spojrzał niepewnie dokoła.

Właśnie niedaleko kończył orkę jeden z gospodarzy i na niego zawołał wójt:

— Kasprze!... Kasprze! Chodźcie na słówko!

— Albo co? — odkrzyknął, — zaraz, ino skończę skibę.

Wójt i ksiądz to zbyt wpływowe osoby we wsi, ażeby ich nie słuchać, to też wołany Kasper Sas dojechawszy pługiem do miedzy, już nie zawracał koni, ale zostawiwszy je pod nadzorem poganiacza, sam zwolna, poważnie zbliżył się do stojących i pozdrowiwszy, spytał:

— Co mi powiecie panie wójcie?

Wójt opowiedział o kłopotach proboszcza i kończył:

— Sam wszystkiego zrobić nie mogę, ale zawsze wyszlę parę koni z bronami na jeden dzień. Godzi się jednak pomódz duchownej osobie i macie sposobność po temu, to i dajcie pług.

Bystre, siwe oczy Kaspra patrzyły spokojnie to na wójta, to na księdza i po chwili musnąwszy wąs spytał z niewinną miną:

— A ile da ksiądz proboszcz za pług? bo teraz każdy potrzebuje i każdy się prosi.

— Jakto da? — oburzył się wójt, — czy mielibyście brać od naszego dobrodzieja za wygodzenie mu w potrzebie?

Na surowej twarzy Kaspra zabłysł uśmiech drwiący i musnąwszy wąs rzekł:

— Co tam gadacie o sumieniu, jak mnie nauczono, tak powiadam.

— Jakże to? — zdziwił się wójt.

— Jak chowałem łońskiego roku córkę, prosiłem, ażeby ksiądz proboszcz dobrodziej opuścił coś z dwudziestu rubli, a dobrodziej ofuknął mnie i mówi: możesz zapłacić, nie co roku grzebiesz córkę... no i zapłaciłem.

— Czy chcieliście, Kasprze, darmo pochować? przecież i dobrodziej żyć musi.

— Ja to wiem, — skinął głową, — ale też nie każdego roku potrzeba dobrodziejowi pługa... chce mieć, to dlaczego nie, ale niech mi zapłaci.

— Ileż chcecie? — wmieszał się wikary.

Kasper zamyślił się na chwilę, poprawił kaszkiet i rzekł:

— Za jeden dzień z pługiem pięć rubli.

— Bójcie się Boga, Kasprze, co wy gadacie!? Pięć rubli!? — zawołał wójt zgorszony, — a cóż zostanie dobrodziejowi z morgi, jak tyle zapłaci!?

— Alboż mnie kto pytał, co mi zostanie na przednówku, kiedym zapłacił dwadzieścia rubli? — spojrzał chmurny na obu.

— Cóż będzie wójcie? — spytał cicho wikary, chciał bowiem skończyć rozmowę, czując w głębi duszy, że Kasper Sas ma racyę.

— Wiem, że ksiądz proboszcz nie zgodzą się zapłacić... popytam innych, może nie będą tak zatwardziali, — spojrzał niechętnie na Kaspra.

— A szukajcie, może znajdziecie miękkiego, a ja idę do roboty, — i pożegnawszy się, poszedł do swego pługa.

— Wieczorem przyjdźcie wójcie na plebanię i dajcie znać księdzu proboszczowi o pługach.

— Jak trzeba, to i będę.

— Niech będzie pochwalony! — uchylił wikary kapelusza, — z Bogiem was zostawiam.

— Na wieki! — Idźcie z Bogiem dobrodzieju!

Drożyną polną skierował się wikary do dworu. Nie patrzał, nie widział, i zdaje się nawet nie czuł uroku wiosny w rozkwicie, gdzie z pod każdej grudki ziemi, wychylały się świeże źdźbła trawy, gdzie z każdego załomu miedzy, z każdego pąkowia na gałązkach krzewów wystrzelały listeczki, a ptactwo czyniło gwar świegotliwy. On szedł pogrążony w smutnych rozmyślaniach nad słowami Kaspra. Bolał go ten głęboki żal chłopa do księdza za pieniądze pogrzebowe. I czy tak powinien postępować ksiądz, wysłannik Chrystusa!? Kto sieje chciwość, ten zbiera chciwość.

Jakże inny byłby stosunek do księdza i Kościoła, gdyby parafianie widzieli, że ksiądz nie bierze pieniędzy większych nad te, które mu są konieczne do skromnego utrzymania... I naco te morgi pola proboszczowi? Zamiast troszczyć się o życie duchowe swych parafian, troszczy się o pługi, zasiewy, o swe gospodarstwo.

On będzie inny! W jego parafii nie znajdzie się taki Kasper Sas, nie bluźnie na niego takiemi słowami. I teraz jako wikary nie będzie brał bezpośredniego udziału w ściąganiu należności z parafian. Chce proboszcz brać, niech bierze, na to niema rady, ale on umywa ręce. Ma dość pieniędzy na swe utrzymanie za msze, których mu odstąpili koledzy i znajomi księża, no i z pensyi rządowej.

To postanowienie uspokoiło go, odzyskał swobodę umysłu i raźniejszym krokiem wszedł na dziedziniec dworu Szybickiego.

— Czy pan w domu? — spytał lokaja w przedpokoju.

— Wyjechał w pole, wkrótce wróci, — odpowiedział, a widząc zmęczenie wikarego dodał: — może ksiądz dobrodziej spocznie i zaczeka... a może poprosić panienkę?

Wikary zawahał się, lecz przyszło mu na myśl, że Klara może poprzeć jego prośbę o chatę i rzekł:

— Proszę zawiadomić pannę Klarę, że przyszedłem w sprawie ważnej.

Wszedł do saloniku i z przyjemnością usiadł na wygodnym fotelu.

Patrzał na obrazy. Jeden z nich przedstawiał wędrowca idącego wydmą piaszczystą. Wiatr rozwiewał ubranie, niósł tumany piasku, a na widnokręgu widać było zbliżającą się burzę. Drugi obraz wzbudzał nastrój samotności i smutku beznadziejnego. Pod drzewami, niemal ogołoconymi z jesiennych liści, stała niewiasta młoda, otulona szalem, z twarzą cierpiącą i znękaną. Przed nią smutne, czarne, leniwe jezioro; nad nią ołowiane, ciężkie chmury. Wokoło ani jednej jaśniejszej barwy, ani jednego promyka światła. Smutne, szare, jednostajne południe jesiennego dnia czy życia.

Treść i nastrój obrazów kłóciły się z jasnym, pogodnym dniem wiosennym, z tym salonikiem miękkim, rozkosznym, przepojonym zapachem świeżych kwiatów.

Narzuciło się wikaremu bezwiedne pytanie, kto i dlaczego umieścił te obrazy tutaj? Był to li przypadek, czy też symbol nastroju?

Zapatrzony w obrazy nie zauważył, że drzwi uchyliły się bez szelestu, weszła Klara i powiedziała cichym, harmonijnym głosem:

— Dzień dobry! — podała rękę.

Lekko zmieszany uścisnął jej rękę, a gdy usiadł, spojrzał w smutne, marzące oczy dziewczyny. Zdawało mu się, że w jej ładnej, młodej twarzy widzi jakieś bolesne zniechęcenie, dziwne w tak urodziwej i otoczonej wygodami życia dziewczynie.

— Przyszedłem z prośbą do ojca pani, — zaczął cichym głosem.

— Ojciec wkrótce wróci.

— Obawiając się możliwej odmowy ojca, prosiłbym o pośrednictwo pani, — zarumienił się pod jej spokojnem, badawczem spojrzeniem.

— Nie wiem o co idzie, ale jestem przekonana, że jeśli ojciec może to zrobić, zrobi napewno.

— Idzie o chatę dworską, na razie stojącą pustką we wsi, obok Walczaków. Mam dzieci i młodzież uczyć katechizmu i przygotować do pierwszej komunii. Nie mam stosownego miejsca i chcę ojca pani prosić o pozwolenie zużytkowania tej chaty na naukę.

— A chata niezamieszkana? — spytała.

— Tak jest.

— Jeśli ojciec nie oddał jej któremu z parobków, jestem pewna, że chętnie użyczy jej księdzu na ten cel. Nie mogę sama powiedzieć nic stanowczego, ale może ksiądz wikary zechce się zatrzymać do powrotu ojca.

— Bardzo chętnie.

Nastało kłopotliwe milczenie. Wikary szukał tematu do rozmowy, a Klara spojrzała raz i drugi raz na księdza, widać było, że waha się, wreszcie rumieniąc się powiedziała:

— Nie dla zaspokojenia próżnej ciekawości... ale chciałam o coś spytać księdza wikarego.

— Proszę tylko pytać, nie mam żadnych tajemnic.

— Żadnych!? — zdziwiła się, — to niemożliwe. Nie mówię o życiu zewnętrznem, które nas toczy ze sobą z naszą wolą lub wbrew woli, ale w życiu wewnętrznem są wahania, wątpliwości, burze, z których często nie chcemy się nawet przed sobą spowiadać.

— Rozumiem panią... Miewam i ja takie chwile męczące, ale są one bardzo rzadkie i albo je odsuwam siłą woli, albo też odnajduję spokój w pracy.

— Szczęśliwy człowiek, — uśmiechnęła się ironicznie, — ale nie każdy ma na sobie czy też w sobie taki pancerz, o który wszystko się rozbija.

— Moim puklerzem są przekonania wewnętrzne, a kto je posiadł, ten jest spokojny.

— To brzmi ładnie, jako frazes kaznodziejski, ale w życiu inaczej.

— To nie frazes... to życie, — powiedział tonem szczerości.

— Dobrze... Wie ksiądz, chwilami zdaje mi się, że jestem widzem w teatrze życia, stoję spokojnie na uboczu i patrzę, jak jedni gonią za majątkiem, inni za godnością, za sławą, tamci pracują z zaparciem siebie w imię urojonej idei, a owi bawią się, szaleją, trwonią siebie i życie... a wszystko kończy się jednakowym grobem i dla zbrodniarzy i dla świętych.

— Pani mówi tylko o życiu ziemskiem, ale jest drugie, doskonalsze...

— Wiem, wiem, — przerwała mu, — nie zastawiaj się księże wikary swym puklerzem, — uśmiechnęła się, — ale wejdź w moją myśl... postaw sobie ksiądz, tak proste pytanie: jaki tedy jest cel tego życia, tych walk i wysiłków, — a widząc, że wikary chce przemó-

wić, dodała szybko: — nie mówmy tylko o niebie i piekle, te kwestye zostawmy przekonaniom osobistym.

— Zastosuję się do woli pani, chociaż czynię to z przykrością... Pyta pani o cel życia ziemskiego, a przecież odpowiedź taka łatwa, prosta, widoczna.

— A więc jaka? — spojrzała badawczo.

— Być szczęśliwym i widzieć dokoła szczęśliwych.

— Znów frazes ogólnikowy, — powiedziała zniechęcona, — każdy inaczej pojmuje szczęście, i najczęściej bywa tak, że szczęście jednego człowieka jest połączone z nieszczęściem drugiego.

— Można w takim razie wzbudzić w sobie uczucie szczęścia przez poświęcenie swego ja.

— Można!? — ironizowała, — jeśli się ma naturę bierną, niewolniczą, ciastowatą; ale co robić, gdy powstaje bunt duszy, gdy wszystko rwie się, szarpie, krzyczy, boli... i ja mam marnieć, gnić, zginąć, ażeby drugi był szczęśliwy!? — kończyła oburzona.

Wikary patrzał na nią zdziwiony tem wyznaniem, ale gorący ton jej słów wzbudził w nim szczere współczucie i po chwili rzekł łagodnie:

— Trochę spokoju, pani... wypadek, o którym pani mówi, jest wyjątkowy...

— Wyjątkowy!? — zadrwiła, — a zdarza się codziennie... zwłaszcza u niewiast. Oto ktoś kocha niewiastę, ona ma pewne obowiązki względem niego... jeśli ona nie odpłaci mu miłością, unieszczęśliwi jego, a jeśli odpłaci, jest ona nieszczęśliwa.

— To się tylko tak pani wydaje, bo zamyka pani życie w malutkiem kółeczku, ale wychyl się pani z tej swojej skrytki, a ujrzysz świat szczęścia.

— Jak to ksiądz rozumie? — patrzała zaciekawiona.

— Szczęście i nieszczęście jest w nas samych. Fakta są zewnętrzne, a sposób odczuwania naszego stanowi o ich szczęściu lub nieszczęściu dla nas. To jest przecież jasne i pewne.

— No, tak, — powiedziała z lekkiem wahaniem.

— Rozszerzmy tylko naszą wewnętrzną indywidualność na świat szeroki, a wówczas to, co nazywaliśmy naszem szczęściem lub nieszczęściem, będzie znikomo małem, drobnem, ledwie dostrzegalnem.

— To jest logiczne rozumowanie, — mówiła z namysłem, — idzie tylko o tę drobnostkę wydobycia się na świat szeroki.

— I to nie jest trudne, — zapalał się wikary, — trzeba mieć tylko oczy i serce otwarte. Na świecie jedna, jedyna rzecz jest bezcenna i najgodniejsza człowieka, to miłość. Nie ta egoistyczna, spięta obręczą rodzinną, czy małżeńską, ale ta wielka, czysta miłość do ludzi i dla ludzi. Mieć współczucie i okazywać je nie w słowach, ale w czynie. Otrzeć łzę i umieć wywołać uśmiech, to najwyższe szczęście, i wówczas życie wyda nam się cennem, pełnem kwiatów i woni, prawdziwym rajem ziemskim. I jak wówczas odpadną od nas wszystkie nasze bole i troski, jak zmaleją. Człowiek dostaje skrzydeł białych, przeczystych, których nie może dotknąć żaden brud ziemski, a miłość tak go uszlachetni, że stopniowo odpadnie wszystko co ziemskie, i na skrzydłach miłości spłynie duch.

Słuchała uważnie, ze skupieniem i po chwili powiedziała z pewnem wahaniem:

— Jednak to tak trudno wyjść ze siebie...

— Tylko na razie tak się zdaje, — mówił gorąco, — trzeba mieć odwagę zacząć nowe życie. Spojrzeć jasno, bez uprzedzeń wokoło i nigdy celu życia nie tracić z oczu... I pewnego dnia łuski spadną z oczu, człowiek robi się jasnowidzącym, i tam, gdzie dawniej widział rozkosz, spokój, szczęście, odkrywa tyle tajonych smutków, goryczy, boleści... i wówczas wie, gdzie nieść ukojenie, pociechę, słodycz, bo nie ten ból jest największy, który krzyczy, płacze, rozpacza, ale ten cichy, dojmujący do żywego, z którym kryć się człowiek musi, a on nas żre i toczy żywcem.

— To prawda, — szepnęła zamyślona, — zastanowię się nad tem, a za szczerą życzliwość dziękuję.

W przedpokoju dały się słyszeć kroki i Klara dodała:

— Otóż i ojciec.

Za chwilę drzwi się otwarły i wszedł Szybicki w kurtce, w butach wysokich i zdejmując rękawiczkę rzekł żartobliwie:

— Cóż to za konferencya duchowna? Witam księdza wikarego, — podał rękę, — zmęczyłem się, — usiadł ciężko na fotelu — mamy czas prześliczny do siejby. Na polu roi się od robotników, orzą, sieją, bronują... lubię patrzeć na to życie czynne. Widziałeś to, księże?

— Tak jest... Szedłem przez pola do dworu i cieszyłem się jak pan pracą ludzką.

— Wieś ominąłeś? — zdziwił się.

— Miałem interes do wójta, nie zastałem go w domu, więc poszedłem do niego, w pole.

— To kawał drogi do dworu... pewno ksiądz zmęczony i głodny... Klarciu, a pomyślałaś o podwieczorku?

— Kazałam przygotować... przejdźmy do jadalnego pokoju.

Istotnie stół był nakryty i na talerzach były przygotowane wędliny, zimne mięsiwo, ciastka, a w rogu na małym stoliku szumiał samowar.

— Dawno nie byłeś u nas, księże Stanisławie, siadaj, proszę, i jedz bez proszenia, jak w swoim domu. Co u ciebie nowego?

— Jak zwykle jestem zajęty moimi obowiązkami... a starsza córka pana wyjechała?

— O, dość dawno... może w lecie przyjedzie na czas dłuższy.

Pili herbatę, rozmawiali o potocznych sprawach, wreszcie wikary rzekł z pewną nieśmiałością:

— Mam prośbę do szanownego pana.

— Prośbę? — spojrzał na niego, — mów!

— Mam przygotowywać dzieci i młodzież do pierwszej komunii, uczyć katechizmu, a niema budynku szkolnego.

— Cóż ja ci poradzę!? — zaśmiał się, — chętnie zbudowałbym szkołę, ale jak wiesz, polskiej szkoły nie wolno, a innej nie chcę.

— To wiem, ale nam księżom wolno uczyć katechizmu, jestto zresztą naszym obowiązkiem. Chętni się znajdą, ale nie mam stosownego miejsca do nauki.

— Miejsca? — zdziwił się, — no, a plebania?

— Są pewne niedogodności... przeszkody, — mówił zarumieniony, — ale dowiedziawszy się, że chata obok Walczaków stoi pustką, chciałbym w niej uczyć.

— Do tej chaty sprowadza się jutro lub pojutrze świeżo zgodzony parobek, więc nie mogę jej odstąpić.

— Bardzo żałuję, że pana trudziłem moją prośbą, — powiedział zmieszany szorstkością odpowiedzi.

— Proboszcz ma cztery czy pięć pokoi, — mówił podrażniony Szybicki, — i nie może odstąpić jednego? I pewno na czas krótki? Co?

— Na trzy, cztery tygodnie.

— A co, widzisz, jaki to nieużyteczny egoista! Nie mówię już, że sam nie uczy, a jeśli uczy, to więcej tam łajania, krzyków, wymysłów niż nauki, ale nawet tobie wzdraga się pomódz, — kończył ze złośliwem zadowoleniem.

Na twarzy wikarego odbiła się przykrość, co dostrzegła Klara i rzekła dość porywczo:

— Jak można dokuczać swemu gościowi!? Nie chce tatuś zrobić tej drobnostki, to nie, ale poco poruszać sprawę proboszcza? Czy ksiądz wikary temu co winien? — kończyła zarumieniona.

Wikary spojrzał z wdzięcznością na dziewczynę, a Szybicki powiedział z powstrzymaną niechęcią:

— Najpierw, źle mówisz Klarciu, że nie chcę odstąpić chaty, tylko nie mogę, bo ma już ją parobek... Jeśli mówiłem o plebanii, to dlatego, że wchodzę w kłopotliwe położenie wikarego.

— To prawda, tatusiu, — uśmiechnęła się przyjemnie, — niepotrzebnie się uniosłam... Jeśli tatuś współczuje z księdzem Stanisławem, to jestem pewna, że znajdzie sposób zaradzenia... Niech tylko tatuś pomyśli, — prosiła.

Zmarszczył czoło, chmurnie spojrzał na wikarego i nie patrząc na córkę, mówił:

— Wiesz, Klarciu, nie rozumiem, dlaczego ja mam

być lepszy od proboszcza w sprawie, która tylko jego interesować powinna.

— W tem jest zasługa tatusia, — zaśmiała się swobodnie, — no, a chata?

— Widzę, że zrobiłem panu przykrość moją prośbą, — odezwał się wikary, — niech się pan nie kłopoce, poradzę sobie.

— Ten znów z przykrością wyjeżdża! — zawołał zniecierpliwiony, — jako syn mego przyjaciela masz prawo żądać... zaraz... no, mam dla ciebie izbę, — odetchnął i spojrzał na córkę.

— A co!? Czy nie mówiłam? — zaśmiała się wesoło, — tatuś zawsze taki, nie! nie!... a potem tak i tak.

— Klarciu, nie zdradzaj tajemnic, — żartował, — wracając do chaty, przypomniałem sobie, że w pobliżu dworu mam izbę i kuchnię wolną, z oddzielnem wejściem.

— Która to, tatusiu?

— Ku wsi, za ogrodem. Mieszkał tam pachciarz, sadownik.

— A, wiem... marna chata.

— Lepsza ta, niż żadna, — uśmiechnął się wikary, — i serdecznie dziękuję panu i pani.

— A mnie za co? — zawołała, — to tatuś wyszukał i pozwolił, ja tylko przypomniałam tatusiowi.

— Chata nieszczególna, — skrzywił się Szybicki, — opuszczona...

— Na to się poradzi, — przerwała mu córka, — kiedy rozpoczyna się nauka?

— Pojutrze popołudniu.

— O, to aż nadto czasu! Zatem rzecz ułożona. I dużo będzie uczniów?

— Nie wiem... będą chłopcy i dziewczęta od ośmiu, dziesięciu lat i wyżej.

— To musi być ciekawe, — zabłysły jej oczy, — jak dzieciaki odpowiadają. Pozwoli ksiądz wikary, że posłucham.

— I owszem, bardzo proszę, — odpowiedział spokojnie.

Szybicki spojrzał z pod oka podejrzliwie na córkę wikarego, i rzekł tonem niechętnym:

— Przeszkodzisz dzieciom w uwadze, a to nie żadna zabawa, ale nauka.

— Ja też tylko chwilę posłucham i pójdę... Jeśli to księdzu wikaremu nie przeszkadza, nie rozumiem, co może mieć tatuś przeciw temu?

— Ja, nic! Zwróciłem tylko twoją uwagę, że możesz być niedogodnym widzem... Czy byłeś księże wikary w sąsiedztwie?

— Tak jest... u pana Horodelskiego.

— A, prawda, on zawsze otacza się księżmi, ale wątpię, czy mu to ułatwi drogę do nieba, — uśmiechnął się, — poznałeś tam kogo?

— Syna jego, księdza i doktora teologii, bardzo zacny i dzielny człowiek.

— Słyszałem o nim, podobno bigot i pobożniś, tylko nie dmie się jak jego ojciec.

— O, nie, to szczery człowiek.

— Ojciec, czy syn?

— Syn, ten ksiądz, a pana Horodelskiego znam zamało, ażeby go sądzić.

— Był tam kto więcej prócz księży?

Jakiś czas trwała rozmowa, wreszcie wikary wstał i pożegnał się.

Po jego wyjściu, ojciec zapalając papierosa powiedział:

— Klarciu, proszę cię, bądź z nim ostrożna, nie ośmielaj go.

— Czy tatuś o mnie się obawia? — spojrzała mu spokojnie w oczy.

— Nie! Ciebie jestem pewny... ale poco ta wizyta na naukę dzieci?

— Jeśli tatuś nie życzy sobie, nie pójdę wcale... chciałam iść przez ciekawość.

— Zrobisz Klarciu, jak zechcesz, wolałbym jednak, ażebyś się zdala trzymała od niego. On, widzisz, młody chłopak, a ty piękna dziewczyna.

— W oczach tatusia, — zaśmiała się nieszczerze. — Ja go uważam za dzieciaka przyjemnego, któremu się zachciewa gwiazdki z nieba i ciekawa jestem, co zrobi, gdy jej nie otrzyma.

— No, już dobrze, mój filozofie, — uśmiechnął się przyjaźnie, — a każ Marysi uprzątnąć i oporządzić tę izbę w chacie, tam pewno dużo śmiecia i brudu po sadowniku.

— O, sama już dopilnuję, — zerwała się z krzesła, — jeśli tatuś pozwolił mu tę izbę, niech wie, że to ze szczerej chęci, a nie dla pozbycia się kłopotu.

Proboszcz oczekiwał wikarego z niecierpliwością i z ogrodu wychodził aż pod kościół wypatrując jego powrotu. Zobaczywszy go, zgryzł munsztuk papierosa, wypluł i zawołał zdaleka:

— Czekam i czekam!... Z krańca świata byłbym się już wrócił!... No, cóż powiedział wójt?

Wikary przyspieszył kroku i zbliżywszy się zaczął:

— Nie zastałem wójta w domu...

— Co mnie to obchodzi, — przerwał szorstko, — zastałeś? nie zastałeś? Mów, czy pługi będą, czy nie?

— Wójt przyjdzie wieczorem i powie.

— Widzicie go, jaki pan z niego, — gniewał się idąc ku plebanii, — nie mógł taki cham zaraz pójść, pogadać, namówić... on dopiero wieczorem... a poganin!

— Zasiewał swą rolę, — powiedział cicho wikary, — a wszyscy w polu.

— Już widzę, że się łasił do ciebie, bo go bronisz... a nie miał sąsiadów w polu? co?

— Był jeden, ale żądał zapłaty.

— Kto taki? — spytał proboszcz.

— Nie dobrze pamiętam.

— Ile chciał?

— Pięć rubli.

Proboszcz przystanął, poczerwieniał i wykrztusił z trudnością:

— Łotr!!... Pięć rubli!? Żywcem chce mnie obedrzeć ze skóry! I kto on taki?... Tutejszy?... Gadajże!

— Prawdopodobnie.

— No, nauczę ja go rozumu! Cóż dalej?

— Obiecał wójt dać konie z bronami...

— A łajdak! Chce mu się lekkiej roboty, a do pługa nie łaska!? Konie ma jak hamany, ale proboszczowi brony na odczepne. No, przyjdziesz ty na moje podwórko, — złościł się, — cóż młynarz?

— Sam zajęty... obiecał na drugi tydzień.

— A podlec! A bigot chytry! — wymyślał proboszcz, — niby to nie odmawia, ale po szabasie. Tu aż się pali pod nogami, ziemia prosi orki... a ten nicpoń mówi: na przyszły tydzień!

Sapał z gniewu, szedł nierównym krokiem i narzekał:

— Gdybyś był wcześniej wrócił do domu, byłbym sam poszedł... a tak, co ja teraz poczne?... Tak, tak, przez posłów wilk nie będzie syty!... Sam się przekonałeś, jaki ten naród zatwardziały, samolubny, sobkowaty. Taki jeden z drugim poganin ma ziemię dziedziczną, a udało mi się raz wyprosić kawałek pola, każdy się wymawia od pomocy, a jakiś łotr z pod ciemnej gwiazdy żąda pięć rubli! Słyszałeś? Pięć rubli!

— Tak, słyszałem, — mruknął wikary.

— A ty nie chcesz brać od nich pieniędzy! Drzeć z nich, bo ci wody, ognia pożałują!

Szedł przez chwilę w milczeniu, trochę uspokojony wyładowaniem gniewu, wreszcie spytał:

— Cóż? Byłeś u Szybickiego? Pewno jak ten łotr, zażądał pięć rubli za pustą chatę?

— Nie. Oddał mi do rozporządzenia na cały czas nauki bez żadnych pretensyi.

— To niemożliwe! — stanął, — żartujesz?

— Prawdę mówię.

— No, koniec świata! Ten bezbożnik, farmazon daje chatę na uczenie religii!... Nie! w tem musi być jakiś podstęp szatański! chytrość!

— Nic o tem nie wiem.

— I która to chata? Czy ta od Walczaków?

— Nie. Tę chatę zamieszka jutro czy pojutrze świeżo zgodzony parobek, ale oddał mi chatę inną bliżej dworu.

— No, no, tegom się nie spodziewał, — szedł dalej zamyślony i po chwili: — słuchajno, powiedz prawdę, czy on nie chory?

— Nie, wyjeżdżał konno w pole.

Hm... dałby Bóg, ażeby ten jawno-grzesznik się nawrócił, ale ja o tem wątpię.

XI.

Po tygodniu zachodów, kłopotów i narzekań, nareszcie proboszcz obsiał dwanaście morgów i późnym wieczorem wrócił z Rudnik.

Głodny i spragniony, ale i zadowolony z ukończonej roboty, zasiadł do wieczerzy i spytał o wikarego.

— Nie wiem gdzie jest, — odpowiedziała Blińska z uśmiechem dwuznacznym, — mało go kiedy w domu poświeci, dobrze, że przynajmniej nocuje.

Proboszcz pokiwał głową na prawo i na lewo, przełknął kawałek mięsa, spojrzał bystro na siostrę i rzekł twardo:

— Albo gadaj, jeśli masz co, albo milcz i nie miel językiem, — i jadł dalej.

— Ja nic nie wiem, tyle co mi ludzie powiedzieli, — odparła cicho.

— Cóż takiego?

— Już mówiłam bratu, że z poczty przyszły dwa obrazy większe i paczka małych.

— Aha.. przypominam coś sobie, ale byłem tak zajęty, że nie pomnę dobrze... Jakież to obrazy?

— Widziałam... Matka Boska Nieustającej Pomocy, ładny obraz, ale ja wolę naszą Częstochowską.

— Co wolisz, to twoja rzecz, co dalej?

— Jeden obraz powiesił u siebie nad łóżkiem, a drugi w kościele.

— Co? w kościele?! — przestał jeść i patrzał groźnie na Blińską.

— Tak jest... w kościele. Sam Łukasz mi mówił i zwracał wikaremu uwagę na brak pozwolenia księdza proboszcza.

— No, no, tego jeszcze brakowało, — mruknął gniewnie, a po chwili: — czy to wszystko?

— Ale gdzie tam, — westchnęła żałośnie, — od czasu tej nauki z dziećmi tyle go widzę, co przy obiedzie, a i to spieszy się jak po ogień. W tej chacie przed dworem istny jarmark i zbiegowisko.

— Cóż znowu?! — oburzył się, — przecież to ani zabawa, ani tańce i muzyka!

— Wiem, przecież pamiętam dobrze, jak katechizmowanie księdza proboszcza było spokojne, pobożne, przykładne... a tam... Sodoma i Gomora, — złożyła ręce pobożnie.

— No, tak znów, to nie... gadaj wreszcie!

— On rozdaje obrazki dzieciom, a ona całymi koszami różne przysmaki.

— Jaka znów ona? — przestał jeść, oparł plecy o fotel i patrząc surowo, dodał: — mów mi zaraz co za ona? tylko prawdę!

— A czy to ja bajczarka? czy co? To powtarzam, o czem cała wieś mówi i aż się trzęsie od zgrozy.

— Gadaj! — rozkazał chmurny.

— Ta młodsza córka, tego antychrysta Szybickiego, zajęła się sama przystrojeniem chaty, kazała wybielić, wyszorować, pownosić ławy, a dla wikarego stół i fotel, kwiaty w oknach... jednem słowem salon urządziła.

— Jakaż to dziewczyna? — spytał z miną inkwizytora.

— Ano, tak sobie... szczupłe to, marne, ale pewno wdała się w ojca i chce usidlić duszę kapłańską, bo to i sama przyłazi, niby to dla dzieci, które obdarowuje, a właściwie strzela do niego oczyma... Zgorszenie, kara Boża, nic więcej!

— O, źle! Bardzo źle! — mówił zwolna z chmurą na czole, — dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

— Ksiądz proboszcz był tak zajęty, spracowany, zmęczony...

— Dla tak ważnej sprawy zawsze mam czas, — powiedział stanowczo.

— Zresztą myślałam, że to plotki ludzkie, a tych nigdy nie powtarzam. Dopiero, jak mi dzisiaj powiedziano wszystko... oznajmiłam, bo to przecież obowiązek chrześcijański ratować duszę od zatracenia.

— No, tak, tak, — skinął smutnie głową, — przeczuwałem, że ta jego gorliwość, abstynencya, posty, źle się skończą... Zobacz, czy nie wrócił?

Wstała i pospiesznie opuściła pokój, za chwilę wróciła, mówiąc:

— Gdzie tam... on teraz pewno we dworze, u niej... plebania mu śmierdzi.

— Zgorszenie! Publiczne zgorszenie! — uderzył gniewnie ręką o stół. — Zapowiedz mu rano, ażeby po odprawieniu mszy przyszedł do mnie... Muszę się z nim rozmówić!

— Tylko spokojnie... i tak brat schorowany, a zdrowia szkoda, — prosiła ze słodkim uśmiechem.

— Już ty mnie nie ucz, — wstał od stołu, — co

obowiązek, to obowiązek... Zmęczony jestem, coś... ta kolacya cięży mi, — dotknął żołądka.

— A może ziółek? Zaraz przyniosę.

— Także coś! Daj mi spokój!

Stosownie do polecenia proboszcza, wikary nazajutrz wrócił z kościoła do plebanii, a dowiedziawszy się, że proboszcz w kancelaryi parafialnej, wszedł tam i zastał prócz siedzącego za stołem plebana, dwóch gospodarzy i dwie gospodynie umawiających się o ślub dzieci.

— Jeśli przed wielkim ołtarzem ze światłem i muzyką, to piętnaście rubli, taniej nie będzie.

— Aj, dobrodzieju, — drapał się chłop w głowę, — gdzież taki pieniądz straszny!? Sto złotych przecież!... Nie! Nie poradzę! — ściskał kolana księdza.

Proboszcz odsunął go gwałtownie i zawołał:

— Jak masz interes, to skamlesz, liżesz się, a jak potrzeba coś dla mnie, to uciekasz... ruszaj! Chcesz ślubu paradnego, to płać, a nie, to niech żyją i parzą się jak bydlęta.

— To niech już będzie przed bocznym ołtarzem Matki Boskiej, — odezwał się drugi gospodarz, — bo to na przednówku. Ileż dobrodzieju będzie?

— Jeśli przed bocznym, to osiem rubli.

— O rety! Osiem! I za co?

— Głupia głowo! — krzyknął proboszcz, — czy Matka Boska będzie bez świec? a gdzie cześć dla Niej? Czy nie trzeba dywanu? Policz ośle!

— Niech już ta będzie przed wielkim ołtarzem, — przemówił pierwszy gospodarz, — bo mi się dziewucha zapłacze. Damy już piętnaście rubli, ale niech ksiądz proboszcz dobrodziej, — pokłonił się nizko, — doda mowę ślubną, zawsze to będzie pięknie i nie taki kusy ślub.

— Ja słaby jestem. Ceremonii dopełni ksiądz wikary, — wskazał oczyma na siedzącego pod oknem, — ale za mowę należy się dwa ruble.

— Jezu Miłosierny! Panno Najświętsza! — zawołała gospodyni, — za kilka słów tyle pieniędzy! Przecież dajemy całych piętnaście rubli! Zmiłujcie się dobrodzieju, — zwróciła się do wikarego.

— Inaczej być nie może! — rzekł surowo proboszcz, a równocześnie powiedział wikary:

— Nie wezmę nic, matko, i powiem.

W powietrzu skrzyżowały się dwa spojrzenia, gniewne i oburzone proboszcza, a zaniepokojone wikarego.

Chłopi, umówiwszy się o dzień i godzinę, odeszli. Proboszcz palił papierosa wyrzucając kłęby dymu i milczał mierząc surowemi oczyma wikarego.

Drażniły te śledcze spojrzenia młodego księdza i patrząc spokojnie w oczy plebana powiedział:

— Ksiądz proboszcz kazał mi przyjść.

— A tak, bo trudno teraz spotkać księdza wikarego na plebanii, — rzekł z goryczą, — zawsze za domem! I gdzie?

Wprawdzie wikary mógłby powiedzieć może z większą słusznością to samo o proboszczu, ale wolał przemilczeć.

— Zresztą o tem później, — mówił proboszcz dalej, — a teraz powiem księdzu, że zachowanie się jego przy mnie, wobec ludzi, jest nietylko głupie, ale karygodne... Jak śmiałeś zrzec się należności za mowę ślubną, skoro ja kazałem zapłacić?

— Moje sumienie nie pozwala mi na wyzysk ludzi, — odpowiedział blady z oburzenia.

— Schowaj sobie do kieszeni to twoje sumienie, —

zawołał proboszcz zaczerwieniony, — więc niby ja wyzyskuję ludzi! Co!? Powtórz!

— Nie mówiłem, że ksiądz proboszcz wyzyskuje, tylko że moje sumienie zabrania mi brać zapłatę.

— A mnie co do twego sumienia! — krzyczał rozgniewany. — Zapowiedziałem ci i ty przyrzekłeś, że będziesz się stosował do zwyczajów. I jak dotrzymałeś słowa? Co zrobiłeś próżny i ambitny człowiecze!?

— Postąpiłem, jak uważałem za właściwe, z mojemi pieniędzmi wolno mi zrobić cokolwiek zechcę, — a zacięte usta świadczyły o uporze.

— Tak powiadasz, — zaczął proboszcz grobowym głosem, — dobrze... Za takiego pomocnika, który gorszy parafian i plami suknię kapłańską, ja dziękuję. Możesz dzisiaj opuścić mój dom.

Wikary, który nie poczuwał się do żadnej winy, pobladł jak chusta posłyszawszy to wypędzenie z domu. Po dobrej chwili, gdy nieco ochłonął, rzekł przytłumionym głosem:

— Nie ksiądz proboszcz mnie mianował, nie ksiądz proboszcz mnie wydali. Zostanę tu, póki od mej władzy wyższej nie otrzymam rozkazu... Czy już wszystko?

— Chcesz czekać rozkazu konsystorza, dobrze, zaczekaj... ale zabraniam ci najsurowiej szerzyć zgorszenie wśród parafian i hańbić suknię kapłana.

— Czy dlatego, że nie wziąłem dwóch rubli za mowę ślubną? — uśmiechnął się nerwowo, — brać jest gorzej, aniżeli nie brać.

— Milczeć! — krzyknął proboszcz, — tu nie o pieniądzach mowa! — Gdzie ty siedzisz po dniach całych i wieczorach? Z kim się wdajesz? Co robisz?

— Mógłbym wcale nie odpowiedzieć księdzu pro-

boszczowi, — odrzekł zaczerwieniony z gniewu, — bo nie jestem fagasem księdza proboszcza, ale odpowiem. Oto spełniam obowiązki kapłańskie względem zaniedbanych parafian.

— I uganiasz się za zbłąkaną owieczką, — zawołał urągliwie, — poznałem cię na wskróś, ty hipokryto bezbożny.

— Ja, uganiam się? — wstał z krzesła i blady, z płonącemi oczyma podszedł do siedzącego za stołem proboszcza, — za jaką to owieczką? — kończył drżącym głosem.

Naprawdę uląkł się go proboszcz, ale wnet wspomniał na swą powagę i wiek, uspokoił się i odrzekł:

— Mówią na wsi głośno, że pod pozorem katechizmowania dzieci miewasz schadzki. Jako proboszcz i odpowiedzialny kierownik parafii muszę ci to wytknąć.

— Z kim schadzki? Jakie schadzki? — spytał wikary spokojniejszym głosem.

— Do swej grzesznej zdrożności nie dodawaj kłamstwa, — zgromił go proboszcz, — wiesz dobrze, że mówię o tej dziewce Szybickiego.

— Takie potwarcze oskarżenie nie mnie kala, ale księdza proboszcza. I ostrzegam, ażeby ksiądz proboszcz wyrażał się z szacunkiem o pannie Szybickiej, zacnej niewieście.

— Ty mi zabraniasz! — krzyknął proboszcz, — ty młokosie, wara ci od tego. Powiem o niej, co mi się żywnie podoba, niech nie bałamuci księży!

— Jeśli ksiądz proboszcz powie coś ubliżającego jej czci... zrobię z tego stosowny użytek i nie ja odpowiem za skutki.

Proboszczowi błysnęło podejrzenie, że wikary po-

wie o tem Szybickiemu, a ten nie daruje mu tego, zaskarży do sądu, może go uwięzą? Zrozumiał, że zadaleko się posunął i powiedział łagodniej:

— Siądź księże wikary pod oknem, pogadajmy spokojnie, nie cierpię hałasów i krzyków.

Gdy wikary usiadł, proboszcz odchrząknął i rzekł:

— Powiedz mi szczerze, jakie stosunki wiążą cię z tą dziewczyną?

— Żadne.

— Jednak ona bywa na lekcyach,

— Raz jeden. Przyniosła trochę łakoci dla dzieci, które pilnie się uczą.

— Hm... a ile razy byłeś we dworze?

— Od czasu, gdy prosiłem o chatę, nie byłem ani razu.

— Więc gdzie się schodzicie?

— Nigdzie, i wcale jej nie widuję.

— A jednak tę izbę podobno ona tak wspaniale przyozdobiła.

— Bardzo skromnie, ale i za to jestem jej wdzięczny.

— Hm... hm... cóż tam za jarmarki, zbiegowisko przy chacie?

— O tem nie wiem, bawią się dzieci po lekcyi, trochę hałasują.

— No, widzisz, a zrobiono z tego jakieś romanse, awantury i wieś trzęsie się od plotek. Na to zezwolić nie mogę, kapłana lud powinien czcić i szanować, on musi być wyższy... Od dzisiaj katechizmowania nie będziesz miał w tej chacie, nie chcę i zabraniam.

Wikary zmienił barwę twarzy, ale powiedział spokojnie:

— Dziś dzieci zbiorą się w chacie. Nagłe odwołanie nauki utwierdzi plotki wiejskie, jeśli one wogóle istnieją. Z tego powodu prosiłbym księdza proboszcza o pozostawienie nadal tego miejsca nauki.

— Nie, to niemożebne.

Wikary spojrzał złem okiem na proboszcza i rzekł:

— Dziś będę miał tam lekcyę, od tego ja nie ustąpię, idzie mi o nieprzerwalność nauki. Jutro, jeśli ksiądz proboszcz każe, przeniosę się z dziećmi na plebanię, jako właściwe miejsce nauki.

— Co? Na plebanię? O, nie. Ani myślę kłócić się z moją siostrą. To niemożliwe. Dziś jeszcze pod pozorem jakiegoś nabożeństwa wyprowadzisz dzieci z chaty, i na przyszłość nauka będzie się odbywała w zakrystyi.

— To niemożliwe, — odpowiedział podrażniony wikary, — nie będę okłamywał dzieci wymysłem nabożeństwa, gdy zapowiedziałem egzamin... W zakrystyi nie pomieści się ta znaczna ilość dzieci, jaka uczęszcza, gdyż dwie izby i sień są pełne.

— Więc część odpraw.

— Tego zabrania mi moje sumienie.

— Ucz więc w kościele.

— Kościół dla wiernych jest miejscem skupienia, powagi, ciszy, a nie mogę dzieciom zabraniać śmiechu, żartu niewinnego. Kościół nie jest miejscem na zabawy dla dzieci.

— Więc ty bawisz się z dziećmi? A gdzież nauka? powaga?

— Uczę dzieci, ale pewną swobodę muszę im zostawić. Krzykiem i surowością zraziłbym do nauki.

— A jednak w tej chacie nie będziesz uczył, rozumiesz?

— Dziś będzie lekcya, to trudno, a od jutra, jeśli ksiądz proboszcz pozwoli, dzieci przyjdą do mego pokoju.

— Nie... Mamy czas, powiem ci moją decyzyę przy obiedzie.

— Dobrze.

— To, o czem tu z tobą mówiłem, zachowaj dla siebie, ludzie nie powinni się wcale domyślać, że się różnimy. Zastanów się dobrze nad swem postępowaniem i poczuj skruchę. Najpierw w sprawie opłat kościelnych, a następnie z tą chatą. Kapłan musi unikać cienia podejrzeń... a teraz jeszcze jedna sprawa bardzo ważna.

— Słucham.

— Jak myślisz, kto jest gospodarzem na plebanii i w kościele, a i w całej parafii?

— Naturalnie, ksiądz proboszcz.

— Więc jakiem prawem rozporządzasz się w kościele? — zawołał surowo, — dlaczego powiesiłeś obraz, nie zapytawszy się o pozwolenie?

— Księdza proboszcza nie było w domu, a nie chciałem, ażeby poniewierał się cudowny obraz.

— Było zaczekać na mnie, — mówił proboszcz surowo.

— Tak, przyznaję się do winy, źle zrobiłem, chociaż w najlepszej intencyi.

— Na ten raz obraz zostawię w kościele, ale na przyszłość raz na zawsze zabraniam wtrącania się do kościoła bez mego pozwolenia.

— Będę posłuszny, — wstał z krzesła.

— Namyśl się dobrze, księże wikary, nad tem co ci mówiłem o jura stolae i o tej oddalonej chacie. To twój pierwszy wikaryat i będzie mnie i tobie niemiło, gdy będę zmuszony poskarżyć się na ciebie.

— Rozumiem.

Gdy wikary wyszedł, proboszcz zaczął się zastanawiać nad przyszłością parafii, gdy zostawi ją na opiece wikarego na czas swego leczenia się w zdrojowisku.

Przyszłość ta przedstawiała mu się w barwach ciemnych i smutnych. Już mniejsza z tem, że dochody w czasie jego nieobecności będą bardzo skromne, bo ten wikary niema pojęcia o warunkach i odrzuca pieniądze, ale to zdemoralizuje i zniechęci do niego parafian. Gdy wróci zdrów i wikary będzie niepotrzebny, zaczną się krytyki, kwasy, nieporozumienia pomiędzy nim a parafianami. Ci są i tak zatwardziali i bezbożni, cóż będzie później?

Może wprawdzie poprosić konsystorz o zabranie wikarego, ale w takim razie nie będzie mógł wyjechać dla leczenia się, a z nogą coraz gorzej. Pozostaje jeden, jedyny sposób: przedstawić sprawę konsystorzowi do rozstrzygnięcia. Napewno konsystorz wezwie wikarego i pouczy, że musi być posłuszny żądaniom proboszcza.

Nie namyślając się dłużej, napisał doniesienie na wikarego, że buntuje parafian, kaptuje dla siebie, obniża w ich oczach proboszcza, którego rad nie słucha i sprzeciwia się poleceniom. Naturalnie wspomniał o bywaniu w domu ateusza i podejrzeniach ludu, co do jego stosunku z pewną młodą niewiastą.

Nad ostatniem zdaniem namyślał się i z obawy procesu z Szybickim ten ustęp skreślił.

Napisawszy tę skargę, kazał ją niezwłocznie oddać na pocztę przez umyślnego posłańca.

To go uspokoiło, gdyż wikary napewno otrzyma surową naganę w konsystorzu, a obecnie należało załagodzić spór z wikarym i wyjść z niego z honorem. Po

namyśle zawołał siostrę do swego pokoju i przemówił surowo:

— Kto ci nagadał tych bajek o wikarym?

— Bajek!? — zawołała i zoryentowawszy się szybko, załamała ręce i zaczęła smutnym, zdziwionym głosem:

— No, moi ludzie! i ktoby się spodziewał, że takie zamożne, porządne gospodynie puszczają się na bajki!?

— Kto taki? — spytał krótko.

— Mówiłam bratu w jak najlepszej wierze i intencyi pobożnej. Najpierw przyszła Kądzielicka, potem sama młynarzowa, a i Łukasz potwierdził, że sam słyszał o tem na wsi.

— Wszystko plotki i kłamstwo. Ta Szybicka raz jeden była w chacie, on wcale nie bywa we dworze. Dzieciom pilnym rozdał święte obrazki.

A czyż ja mówiłam co innego? Wiem, że to ksiądz wielkiej pobożności i zacności. Skromny, litościwy...

— No, no, dość tych pochwał, nie taki on, jak się ślepym zdaje, — zgromił ją proboszcz, — nie chwal go, ale też nie baj byle co. Te ozory niewieście zatruwają mi życie. Wam byle pleść bez końca, obszczekałybyście i świętego; o znam was dobrze! Chytre, głupie, a zawsze węszycie grzech i porubstwo.

— Tyle mojej winy, — odpowiedziała z godnością, — że zawierzyłam bajczarkom, ale czyż mogłam przypuścić, że one wyssały to sobie z palca.

— Od kobiet należy się zawsze wszystkiego spodziewać, jesteście naczyniem grzechu, pokusy i zatracenia, — mówił twardym głosem, — już wczoraj, jak

plotłaś te androny, nie dowierzałem i zaprzeczałem, a dziś wiem, że to wszystko kłamstwo.

Te słowa rozdrażniły Blińską i powiedziała z przekąsem:

— Czy i obrazu nie zawiesił?

— Źle zrobił.

— Czy siedzi przykładnie w domu, nie włóczy się po wsi? Nie schlebia ludziom?

— Dosyć, nie twoja rzecz go sądzić. Bierz przykład ze mnie, wiem o nim znacznie więcej, a czy mówię?... No, idź do swej roboty, — spojrzał na wiszący zegar, — wkrótce powinien być obiad.

— Może podać zaraz? — pospieszyła, trzymając rękę na klamce.

— Cóż to nowego? — zdziwił się, — podasz o zwykłej godzinie, ani wcześniej, ani później.

W końcu obiadu, gdy Blińska wyszła do kuchni, spytał proboszcz obojętnie:

— Cóż? Namyślił się ksiądz wikary?

— Tak jest, księże proboszczu, — odpowiedział pokornym głosem.

— I co?

— Teraz jest pogoda, będę uczył dzieci pod drzewami przy kościele. W razie niepogody w kruchcie kościelnej. Zresztą zacznie się wkrótce nabożeństwo majowe i dzieci będą śpiewały.

— Postąpiłeś słusznie i na drugi raz usłuchaj bez szemrania mojej rady. Dziś nie przyprowadzaj dzieci, a nawet, ze względu na plotki, słusznie zrobisz, gdy przez kilka dni zostaniesz w chacie, to będzie lepiej... No, a w sprawie opłat?

— To rzecz osobistych przekonań, — zaczerwienił

się, — jeśli ksiądz proboszcz wyraźnie mi rozkaże, będę brał pieniądze w imieniu księdza proboszcza. Co do mego udziału, prosiłbym o swobodę działania.

— Czy nie rozumiesz, księże wikary, — nachmurzył się, — że w ten sposób obniżasz mnie w oczach parafian i stwarzasz niechętnych dla mnie, czy taki twój cel?

— Wcale nie, ale święty Bernard pisze, że cokolwiekbądź dla siebie z ołtarza nad potrzeby twego życia i ubrania zaoszczędzasz, jest rabunkiem i świętokradztwem. Mnie wystarcza pensya i opłata za msze, bo nie mam odpowiedzialności za kościół, świece, szaty liturgiczne i dlatego nie biorę i brać nie będę.

— Uparty jesteś, — krzyknął, — to sensu niema za trzy grosze... ale niech i tak będzie do czasu, tylko jednego żądam koniecznie, parafianie nie mają i nie powinni wiedzieć o twem zrzeczeniu się zapłaty.

— Sam nie powiem, to przyrzekam, lecz zapytany nie będę kłamał, na to nie pozwala mi moje sumienie. Jestem prawie pewny, że nikt mnie o to nie spyta, bo i co to kogo obchodzi?

— Muszę się zgodzić, — westchnął proboszcz, — ale pamiętaj, że robię to pod przymusem. No, jakże tam z nauką katechizmu? Ciężko ci, bo to naród nieokrzesany, głupi i zatwardziały.

— Nie powiem; ta nauka dzieci, to odpoczynek dla mnie i pociecha. Starają się na wyprzódki o dobre odpowiedzi.

— Hm... mnie to dziwi. Przy wolnym czasie sam ich wyegzaminuję.

Nastały dni wietrzne i słotne, lekcye tedy katechi-

zmu odbywały się nadal w chacie, naco proboszcz dał zezwolenie ze względu na czystość w kościele.

Pewnego dnia przyszły pocztą trzy listy do wikarego, a ponieważ proboszcz sam odbierał pocztę, łatwo dojrzał, że jeden z tych listów pochodził z konsystorza. Uśmiechnął się zadowolony, że jego skarga odniosła tak szybki skutek, i przy obiedzie wręczył osobiście listy wikaremu. Ten spojrzał na koperty, zaciekawił go również list z konsystorza, ale przez dobre wychowanie odłożył listy na bok i jadł dalej obiad. Proboszcz, który był ciekaw wrażenia, jakie zrobi na wikarym wezwanie do posłuszeństwa, nalegał:

— Czytaj... to mi nie przeszkadza.

Wikary najpierw otworzył list z konsystorza, szybko odczytał, włożył w kopertę i schował. Dwóch innych listów nie otwierał i spokojnie nabierał z półmiska na talerz.

Nie wytrzymał proboszcz i spytał:

— Cóż ci piszą z konsystorza? — utkwił w niego badawcze spojrzenie.

— Mam stawić się jutro, i proszę księdza proboszcza o pozwolenie wyjazdu.

— Naturalnie, skoro konsystorz cię wzywa, jest moim obowiązkiem nietylko puścić, ale dopomódz do wyjazdu.

— Dziękuję księdzu proboszczowi.

— Koni moich nie mogę ci dać... wiesz, mam klacze, a te nie są pewne w drodze, ale znajdziesz na wsi. Co do pieniędzy, rozliczymy się dzisiaj i co ci się należy, wypłacę uczciwie.

— O tem nie wątpię, — uśmiechnął się; — a możeby wyjechać na noc, bo o godzinie dziewiątej mam się stawić.

— O dziewiątej? Hm... widocznie list gdzieś zaległ na poczcie, u nas to nie nowina... Radzę jechać dzisiaj, ażeby się nie spóźnić na termin.

— Posłucham księdza proboszcza, dziś pojadę, tylko muszę uprzedzić wpierw moich małych uczniów i uczennice, że nie będę miał lekcyi katechizmu.

— Możesz wysłać Łukasza, — doradzał proboszcz łaskawie.

— Wolę sam to zrobić, będzie dzieciom przyjemniej...

— Jak chcesz, — wstał od stołu i do wikarego: — chodź ze mną do kancelaryi, policzymy się.

Po ukończeniu obrachunku, na żądanie wikarego, tylko do dnia w którym był oświadczył, że żadnych pieniędzy z jura stolae nie weźmie, Kęcki poszedł na wieś i uwiadamiał to tych, to owych ze spotkanych uczniów, że nie będzie lekcyi. W ten sposób zaszedł do chaty sadownika, chcąc oznajmić najbliższym sąsiadom, że z powodu jego chwilowego wyjazdu, nauki nie będzie ani dziś, ani jutro.

Już wracał i właśnie zamierzał wstąpić do jednego z gospodarzy, ażeby rozmówić się o konie, gdy spotkał się z Szybickim.

— Co ksiądz porabia w naszej stronie o tej porze? — spytał, spoglądając podejrzliwie, — czy byłeś u mnie?

— Nie, zaszedłem do chaty sadownika, ażeby powiedzieć sąsiadom, że dziś i jutro nauki nie będzie.

— Cóż się stało?

— Jadę do miasta, otrzymałem wezwanie.

— Czy końmi proboszcza?

— Nie, i właśnie szukam furmanki.

— A wiesz, księże, dobrze się składa. Wysyłam

dziś pisarza po zakupy do miasta; masz jechać na wózku, jedź na bryczce z pisarzem.

— Chętnie, jeśli to tylko nie zrobi różnicy panu.

— Żadnej. Przyjdź księże wikary do nas na herbatę i stąd wyjedziesz, bo plebania leży z drogi. Po twój kuferek poszlę z dworu chłopaka.

— Dziękuję panu, ale pojadę jak stoję, co najwyżej wezmę od wypadku drugą sutannę.

— Zatem dowidzenia, — podał mu rękę i skierował się w stronę dworu.

Po herbacie Szybicki poszedł do swego gabinetu, ażeby wygotować spis sprawunków do miasta i poinformować pisarza. Klara i wikary milczeli czas jakiś, wreszcie odezwał się wikary:

— Mówił mi dziś Jaś Skory, że pani uczy go czytać.

— A tak, zarumieniła się, — próbuję uczyć dzieci, zachęcona przykładem księdza wikarego.

— To mnie bardzo cieszy, — uśmiechnął się zadowolony.

— Że ksiądz wpłynął na mnie? — zaśmiała się wesoło.

— Ależ nie, tylko że pani stara się zaradzić potrzebie tych dzieci.

— Muszę wyznać, że na razie przystąpiłam z pewną obawą do uczenia ich, bałam się, że znudzą mnie, zmęczą i że rzucę to zajęcie.

— A teraz? — spytał rozjaśniony.

— Znalazłam przyjemność w rozbudzaniu inteligencyi dzieci.

— Tylko przyjemność!? — powiedział tonem przykrego zdziwienia.

— A co sądził ksiądz wikary?

— Myślałem, że prócz osobistej przyjemności, znalazłaś pani zadowolenie wewnętrzne, że spełniasz obowiązek człowieka rozumnego wobec małych i upośledzonych przez los. A i tak bardzo się cieszę, żeś pani z malutkiego kółeczka osobistego wyjrzała w świat inny.

— I to naprawdę cieszy księdza?

— Tak jest. Każde odrodzenie się i postęp w udoskonaleniu ducha napełnia mnie radością, gdyż przybliża chwilę panowania miłości ewangelicznej.

— Zazdroszczę księdzu tej wiary i znalezienia celu życia... ja nie posiadam ani jednego, ani drugiego, — westchnęła.

— Nie wątpię, że odszuka pani, tylko chcieć trzeba... Początek już zrobiony, — mówił zachęcająco, — uczy pani dzieci, z konieczności doprowadzi to panią do zainteresowania się ich życiem pozaszkolnem i uczucie pani będzie zataczało kręgi coraz szersze.

— Może... nie wiem. Kiedy wraca ksiądz wikary z miasta?

— Zapewne jutro wieczorem, nie mogę ściśle oznaczyć, bo sprawa jest bardzo ważna i wymaga dużo czasu.

— Tak? — spojrzała ciekawie na niego, ale milczała.

— Jeśli pani chce, mogę powiedzieć.

— To zależy od księdza, a jako niewiasta należę do ciekawych, — zaśmiała się.

— Otrzymałem dziś list z konsystorza do stawienia się, to mnie zdziwiło, ale dopiero drugi list wyjaśnił mi, że idzie o zjazd księży, którzy żyją według zasad ewangelii.

— Cóż to znaczy? Nie rozumiem.

— Widzi pani... jeszcze w seminaryum słyszałem, że istnieje grupa księży, którzy w życie wprowadzają zasady ewangelicznej miłości. Zetknąłem się kilka razy z nimi i z radością przyjąłem ich zasady. Niedawno dowiedziałem się, że takich księży nie jest kilku czy kilkunastu, ale dużo. Jutro zbieramy się na wiec, nie wiem co uradzą, ale to wiem, że czując w sobie miłość ewangeliczną, tylko coś dobrego uradzić mogą.

— Więc takich księży, jak ksiądz wikary, jest więcej? — spytała zdziwiona.

— O, dużo... ja znam sześciu, a może ośmiu, i jestem uradowany, że dzieło odrodzenia życia ewangelicznego tak szybko zbliża się do urzeczywistnienia.

— I tak jest naprawdę? — powiedziała w zamyśleniu.

— Nie dowierza pani, a jednak tak jest rzeczywiście.

— W czem to moja panna nie dowierza? — zawołał Szybicki, który wszedł przy ostatnich słowach księdza.

— W odrodzenie społeczeństwa, — odpowiedział wikary.

— W jakie odrodzenie?

— Na zasadach ewangelii Chrystusa.

— Ach tak? — uśmiechnął się, — nie dowierzam i ja temu. Jeśli dziewiętnaście wieków minęło bezskutecznie, nie odrodzi się społeczeństwo i w dwudziestym. To utopia, ładna, piękna, ale utopia.

XII.

Późną nocą przyjechał wikary do miasta, a gdy nazajutrz rankiem wracał z kościoła, spotkał się z księdzem Orzelskim na ulicy.

Po przywitaniu spytał wikary Orzelski:

— Stachu, widziałeś może Horodelskiego?

— Ciebie pierwszego spotykam i sądziłem, że ty mnie objaśnisz, co robić? gdzie iść?

— Tyle wiem, co i ty, — uśmiechnął się, — pilnujmy kościoła, może spotkamy znajomych.

Na skręcie ulicy zjawił się ksiądz, nizki, barczysty. Szedł prędkim krokiem, a zobaczywszy dwóch wikarych, spojrzał bystremi, szaremi oczyma, ukłonił się i zawołał wesoło:

— Witajcie bracia!

— Ksiądz Szyszkowski, — szepnął Kęcki z rozjaśnioną twarzą i przyspieszył kroku na przywitanie.

— Jak to szczęśliwie, że ciebie, bracie Antoni, spotykam, — podał rękę do uścisku wikary, — błądzimy bez celu.

— Witam was, moi drodzy, — przemówił ksiądz Szyszkowski, — dziś jest dzień uroczysty dla nas. Zjazd będzie liczny, chociaż nie taki, jakiego się spodziewałem.

— A gdzie się schodzimy? — spytał wikary Orzelski.

— Chodźcie ze mną, — skręcił w boczną ulicę, — wiecie dobrze, że na nas, księży, władza ma pilne oko, a oprócz tego śledzi nas duchowieństwo nam przeciwne. Z tego powodu nie możemy publicznie, w jakiejś sali gromadzić się, ale w prywatnem mieszkaniu.

— To rzecz obojętna, — odezwał się Kęcki.

— A u kogo? — spytał Orzelski.

— Jest tu zacna i pobożna niewiasta, u niej zwykle się zgromadzamy i naradzamy.

— Czy można jej zaufać? — rzekł Kęcki.

— Najzupełniej... Powierzę wam tajemnicę... — mówił ciszej, — gdyby ją wykryto, zniknęłoby schronienie pobożne.

— Dobrze, a o co idzie? — spytał Kęcki.

— Jej dom, to zakon tajny, których jest dużo w Królestwie. Matka Bronisława, do której idziemy, jest świętą i błogosławioną niewiastą. Zdaje się, patrząc na nią, że żaden brud ziemski nie ma i nie miał do niej przystępu. Całą duszą oddana jest tylko Bogu i zbożnej pracy, — kończył tonem szczerego przekonania,

— Wierzę ci, — powiedział wikary Kęcki, — ale ostatecznie jesteśmy ludźmi i mylić się możemy. Czy znasz ją oddawna?

— O, dawno! przeszło dziesięć lat... i zawsze ta sama. Gorliwa, dobra, przejęta myślą odrodzenia życia ewangelicznego. Zresztą poznacie ją sami.

Przez bramę w murze oddzielającym dom od ulicy weszli na dziedziniec, upiększony rabatami kwiatowemi przed domem dość obszernym, murowanym, parterowym.

Na ganku wspartym na kolumnach znajdowało się w tej chwili trzech księży, a wśród nich poznał wikary Kęcki księdza Pawła Horodelskiego. Ten, zobaczywszy wchodzących, szybko podszedł do nich witając się serdecznie i rzekł do księdza Szyszkowskiego:

— Czekaliśmy na ciebie, mój Antoni... jest nas już dosyć, ciebie nam brakowało.

— No i jestem, — zaśmiał się, — i nie sam, bo

przyprowadziłem dwóch ze sobą, — szli ku gankowi, — obleciałem wszystkie hotele i zajazdy, zjechali się ci i owi, ale już ich nie zastałem... pewno są tutaj. Jak zdrowie matki Bronisławy?

— Dzięki Bogu, zdrowa i czynna jak zawsze. Pytała o ciebie.

Weszli do dość obszernego, jasnego pokoju, w którym najpierw rzucały się w oczy dwa święte obrazy: Chrystusa nauczającego w kościele i Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.

Było do trzydziestu księży, prawie wszyscy nie wyżej czterdziestu lat, a przeważnie młodsi. Rozmawiali swobodnie, grupami, i nie było widać ani w tonie, ani w obejściu się różnicy wieku i godności.

Gdy wszedł ksiądz Szyszkowski, ze swoją szczerą, pogodną twarzą, wielu pospieszyło uścisnąć jego rękę. Lubiano go ogólnie i szanowano za jego niezmordowaną gorliwość w pozyskiwaniu księży dla nowego kierunku i życia. Żartobliwie nazywano go apostołem, dla tego gorliwego szerzenia idei odrodzenia kapłanów.

Ksiądz Horodelski, przewyższający innych wzrostem, powiódł okiem po zebranych i zawołał głośno:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Odpowiedziano mu niemal chórem i wśród względnej ciszy zaczął:

— Najmilsi i najukochańsi bracia! Witam was imieniem miłości Chrystusowej, którą w czyn przeprowadzamy. Martwe dotychczas i drewniane formy chcemy natchnąć życiem płynącem z ewangelii. Jest nas już spora gromadka, a wszystkich zespala jedno uczucie miłości Chrystusa, tej boskiej, nieprzebranej miłości, która obejmuje wszystkich i tuli do swego łona. W pierw-

szym rzędzie oddajmy bracia cześć tej, która nas w dniach smutku i zwątpienia krzepiła, umacniała, zachęcała do wytrwania. Zaprośmy ją do naszego grona, ażeby widziała jak dzieci jej ducha myślą, czują, działają.

Liczne głosy zawołały:

— Prosimy! Prosimy!

Ksiądz Horodelski otworzył drzwi do dalszych pokojów i za chwilę weszła niewiasta, niemłoda, bladawa, w ubraniu zakonnem i pochyliwszy głowę powitała gości Imieniem Pańskiem. Podsunięto jej fotel do stołu, usiadła swobodnie i spojrzała po obecnych.

Wikary Kęcki przyglądał się jej bacznie i najbardziej uderzył go wyraz dobroci i łagodności, któremi tchnęła jej twarz, ruchy, cała postać. Pięćdziesiąt lat życia nie zostawiły żadnego śladu goryczy, nawet zmarszczki układały się dziwnie spokojnie, a około ust miała uśmiech łagodny i współczujący.

— Najdroższy nasz Zbawiciel i Matka Boska Nieustającej Pomocy, — zaczęła cichym, dość jeszcze dźwięcznym głosem, — udzielili mi tej niewymownej radości, że mogę oglądać was, moi bracia w Chrystusie, tak licznie zgromadzonych, co jest dowodem, że dzieło odrodzenia miłosierdzia rośnie i postępuje dzięki pomocy Boga miłosiernego, za przyczyną Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy, ku zbawieniu kapłanów i całego Kościoła.

— Matko Bronisławo, — przemówił wesoło ksiądz Szyszkowski, — tu nas zaledwie trzecia część, a reszta naszych braci przesyła ci przezemnie wyrazy czci i wdzięczności, gdyż wszczęte przez Ducha świętego, a przez

ciebie urzeczywistnione dzieło odrodzenia miłosierdzia rośnie i rozwija się wspaniale.

— Dziękuję, bracie Antoni, — spojrzała z przyjaźnią na niego. — To nasze zgromadzenie nie powinno minąć jednak bez widocznych następstw. Zanim zaczniecie radzić, wzywam was najmilsi bracia do modlitwy o uproszenie łaski przed cudownym obrazem Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy, — spojrzała na wiszący obraz i uklękła składając białe ręce do modlitwy, którą szeptać poczęła.

Na to wezwanie wszyscy zgromadzeni uklękli i modlili się z przejęciem.

Gdy zasiedli, pierwszy przemówił ksiądz Horodelski:

— Moi bracia, jest nas do stu młodszych księży, przejętych duchem miłości ewangelicznej i dążących do odrodzenia miłosierdzia bożego na ziemi. Jesteśmy wśród swoich, możemy mówić otwarcie, że kler nasz najzupełniej wypaczył religię Chrystusową. Zostały z niej bezduszne formy, obojętne wysłuchanie mszy, klepanie pacierzy, spowiedź wielkanocna. Wierny idzie do kościoła jak do cyrkułu, melduje się, oddaje cześć przepisaną formułkami, zanosi prośby...

— Ostemplowane przez proboszcza, — odezwał się ktoś z zebranych.

— A tak, — uśmiechnął się Horodelski, — składa w ręce opatentowane, za co osobno płaci, i wraca do domu. Żadnej żarliwości w modlitwie, żadnej miłości Chrystusa i bliźnich, żadnego poczucia obowiązku stosowania w życiu prawd ewangelicznych. Czy nie jest tak? Powiedz, bracie Antoni, który objechałeś tyle parafii?

— Bywa tak, ale bywa i gorzej, — zaczął ksiądz Szyszkowski, — a cała wina spada na duszpasterzy, gdyż z nich biorą wierni przykład, na nich się wzorują. Zacnego kapłana, przejętego miłością ewangeliczną, trzeba szukać ze świecą, większość dba tylko o siebie, o własny dostatek i wygody. A wielu jest takich, co grają, piją, bawią się i zaspokajają żądze cielesne. I jaki kapłan, tacy i wierni.

Matka Bronisława przy ostatnich słowach westchnęła i spojrzała z wyrazem prośby na obraz Matki Boskiej.

— Bóg nas doświadcza i karze, — odezwał się ksiądz Redolski, blady, z ascetyczną twarzą, z błyszczącemi oczyma, — ale i pociesza. W najcięższych chwilach Kościoła, grożących upadkiem wiary i rozprzężeniem obyczajów duchowieństwa, zsyła Bóg pomoc. I w naszych oczach stał się ten cud. Przez usta pobożnej niewiasty, jak niegdyś przez usta świętej Brygidy, wskazał nam Pan Bóg drogę ratunku dla Swego Kościoła. Ona to, widząc zepsucie kleru, tak długo nawoływała, prosiła i modliła się, aż póki jej błagania nie zostały wysłuchane. Zasiała zdrowe ziarno, a my jesteśmy kłosami z jej siejby.

— Niech będzie chwała Chrystusowi i Najświętszej Pannie! — matka Bronisława zwróciła oczy ku obrazom.

— Praca staje się owocną i pożyteczną, — zaczął ksiądz Horodelski, — gdy rozporządza siłą odpowiednią i śmiało dąży do celu. My, młodzi, jesteśmy jak owe źródła na puszczy jałowej i bezwodnej, z których każde użyźnia i odświeża tylko malutkie miejsce. Teraz należy połączyć ze sobą te oddzielne źródełka, a utworzą one rzekę, która zmyje brud i hańbę ze świątyń Pańskich

i pustynię zamieni na ziemię żyzną i kwitnącą. Czy uznajecie bracia słuszność mych słów?

— Tak!... Tak!... Uznajemy! — odezwały się liczne głosy.

— Musimy się zjednoczyć, zespolić, związać w jedno zgromadzenie, którego hasłem będzie miłość Chrystusa i wprowadzenie w życie jego wzniosłej i boskiej nauki. Gdy władza duchowna zobaczy nas silnymi, zjednoczonymi, przejętymi tym samym duchem, zacznie dopiero liczyć się z nami. Czy nie tak, bracia moi?

Wśród licznych głosów potakujących wstał drobny blondyn, z twarzą młodą, dobrą, słodką, i rzekł:

— Bracie Pawle, — spojrzał na księdza Horodelskiego, — nie dobrze rozumiem twe słowa. Przecież my już należymy do zgromadzenia księży, czyli do duchowieństwa; przysięgliśmy władzy naszej uległość i posłuszeństwo, a ten związek, który proponujesz, rozerwałby jedność duchowieństwa, a przynajmniej osłabił. Zamiast utwierdzić Kościół, zjednoczyć, mamyż go rozrywać? Czy taki nasz cel?

— Bracie Franciszku, — odpowiedział łagodnym tonem Horodelski, — fałszywie mnie zrozumiałeś, a raczej ja sam źle się wyraziłem. My wcale się nie odłączamy od duchowieństwa, lecz umacniamy je miłością i poświęceniem. Widzimy, że stan kapłański staje się nazbyt świeckim, oddala się od swego powołania, odstępuje od wzoru zostawionego nam w ewangelii, więc chcemy weń tchnąć nowe życie, nowe siły i w łączności z nim, tworzymy tylko nowe ogniwo. Różne zakony noszą różne nazwy, a wszystkie dążą do jednego celu. My i nadal zostaniemy na usługach parafii, tylko chcemy nasz Kościół skostniały ożywić tchnieniem miłości ewan-

gelicznej, nie wprowadzając żadnych, najdrobniejszych zmian, tylko czynem stwierdzając słowa padające martwo z ambony. Czy chcesz, bracie Franciszku, należeć do tego ewangelicznego Kościoła?

— Chcę i będę, — powiedział zarumieniony, — i daruj mi bracie moje zwątpienie chwilowe.

— Do darowania nic nie mam — uśmiechnął się, — pomiędzy braćmi jest najzupełniejsza równość i swoboda. Teraz do was się zwracam najmłodsi nasi bracia, którzy z własnego przekonania i chęci doskonalenia się duchownego, postanowiliście słowa świętej ewangelii wprowadzić w życie wśród parafian. Nikt was nie namawiał, nie zmuszał, a na pierwsze słowo, iż są tacy kapłani, dla których wzorem jest życie ewangeliczne, podjęliście się ochotnie pracy w myśl miłości Chrystusa. Otóż dziś przyszedł czas, ażeby wam powierzyć naszą tajemnicę.

Umilkł i spojrzał po zgromadzonych. Znaczna większość nie wiedziała, co mają oznaczać te słowa i czekała z widoczną ciekawością zapowiedzianego odkrycia. Matka Bronisława, ksiądz Szyszkowski i kilku innych wtajemniczonych, milczeli, a na twarzach ich nie było śladu niepokoju.

— Zachęcani i umacniani przez naszą najzacniejszą matkę Bronisławę, pragnącą jaknajusilniej położyć kres zepsuciu kleru, zawiązaliśmy zgromadzenie kapłańskie, rodzaj zakonu w zupełnej tajemnicy. Każdy z nas zaprzysiągł pierwsze śluby świętego Franciszka z Assyżu, które dadzą się streścić w czterech paragrafach, a mianowicie: ubóstwo dobrowolne, a zatrzymywanie z jałmużny tylko na niezbędne potrzeby życia; drugi paragraf, czynne miłosierdzie i litość ewangeliczna; trzeci, to

pokora i praca, a czwarty, dochowanie i ścisłe przestrzeganie trzech pierwszych paragrafów. Doznawszy tylokrotnie pomocy, pociechy i łaski Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy, dla zaznaczenia naszej gorącej czci i ufności ku Niej, nazwaliśmy nasze zgromadzenie maryawickiem, a siebie Maryawitami.

Umilkł i spojrzał na młodych księży, którzy przeważnie mieli wyraz wahania i zaniepokojenia.

— My, Maryawici, — zaczął ksiądz Szyszkowski, — w niczem a w niczem nie naruszamy nauk naszego świętego Kościoła katolickiego, lecz przeciwnie, chcemy je umocnić i rozkrzewić nietylko wśród naszego narodu, ale na całym świecie, w myśl zasady: jeden pasterz, Chrystus Pan i jego zastępca Ojciec święty i jedna owczarnia.

— Dziś też postanowiliśmy nasze statuty maryawickie podać do aprobaty jego ekscelencyi księdza biskupa naszego i wystąpić jawnie, jako szermierze sponiewieranej ewangelii i Kościoła Chrystusa. Gdyby ksiądz biskup kazał nam się rozwiązać, usłuchamy bez żadnego wahania i szemrania, — mówił dalej ksiądz Horodelski, — i zwracam się do was nasi najmłodsi bracia: jeśli który z was nie czuje się na siłach do sprostania złożonym ślubom, lęka się trudów wprowadzenia prawd ewangelicznych w życie, boi się walki z proboszczami i woli prowadzić ich wygodne życie z wielką krzywdą moralną i materyalną parafian, niech nie składa ślubów i opuści zgromadzenie nasze.

Słowa te pobudzające ambicyę młodych, podające w wątpliwość szczerość i siłę ich przekonań, podziałały podniecająco i wszyscy byli gotowi natychmiast przystąpić do związku, tylko wikary Kęcki miał pewne skru-

puły i wśród półgłośnych oznak zgody i radości zaczął głośno:

— Słowa brata Pawła uradowały mnie i pokrzepiły w moich przekonaniach, ale niemile dotknęło mnie to zachowanie tajemnicy, o której wiedział ksiądz Szyszkowski, rozmawiając ze mną jako klerykiem, a później księdzem. Sprawa jest tak zbożna, tak święta, że zasługiwała na rozgłos jaknajwiększy, a nie na tajemnicę. Stało się jednak i uradowany jestem, że statuty będą przedłożone do aprobaty księdza biskupa. Pozwolę sobie zrobić to jedno zastrzeżenie, że gdyby władza kościelna sprzeciwiła się naszemu zgromadzeniu, wolno mi będzie wystąpić.

— I my... i my!... — odezwały się liczne głosy.

— Zarazem prosiłbym o pozwolenie przeczytania statutów, — kończył wikary, — o ile one są spisane.

— Zachowanie w tajemnicy istnienia Maryawitów, — zabrał głos ksiądz Szyszkowski, — co do którego ma może i słuszną pretensyę brat Stanisław, wydało się nam koniecznem. Pierwotnie było nas tylko trzech wiernych dążeniom i przekonaniom matki Bronisławy, streszczonym w naszych statutach. Widząc dokoła kler pogrążony w używaniu, często zdrożnem i grzesznem, nie mieliśmy żadnej nadziei powodzenia. Dopiero usilne zachęcania matki, jej silna wiara i gorliwość, nakłoniły nas do rozpowszechniania naszych zasad, ale ostrożność była konieczna z obawy przed rządem i klerem. Dziś skończył się okres przygotowawczy i wstępujemy w nowy, świetlany, jasny, rokujący zwycięstwo zasadom świętej ewangelii. Statuty są napisane i każdy może je przejrzeć.

— Zaraz przyniosę, — odezwała się matka Bronisława i wkrótce wróciła z paczką kopii statutów.

Księża wzięli kartki, odczytywali, komentowali i naradzali się półgłosem. Widać było z min i tonu rozmowy, że się zgadzali.

— Statuty te, — zaczął ascetyczny ksiądz Redolski, podnosząc zapisaną kartkę, — są zgodne z duchem nauki naszego Zbawiciela według świętej ewangelii. Przyjmuję i przysięgam, że ich dotrzymam.

— My, kapłani, — zaczął ksiądz Horodelski, — przysiąg składać nie potrzebujemy. Kto z księży chce należeć do naszego związku, wystarczy, gdy poda swą rękę matce Bronisławie na znak przyjęcia i dotrzymania naszych ustaw.

Kolejno przystępowali księża do stojącej matki Bronisławy, podawali jej rękę, a ona każdego błogosławiła znakiem krzyża świętego.

Ceremonia ta, bez żadnych przyborów, przygotowań, ostentacyi, zrobiła na młodych księżach wielkie wrażenie swoją prostotą ewangeliczną.

Usiedli, a w twarzach było widać pewne skupienie i jakby oczekiwanie czegoś niezwykłego.

— Moi bracia najmilsi i najukochańsi, — przemówiła matka Bronisława, — od tej chwili tworzymy jedną rodzinę ewangeliczną i na znak ślubów, na znak braterstwa, każdy z nas niech nosi i w dzień i w nocy pierścionek stalowy, symbol stałości i niezłomności zasad. Jeśli zgadzacie się moi bracia, .zechciejcie sobie wybrać odpowiednie.

Wysypała na tackę pierścionki przygotowane.

Rozebrali je zgromadzeni księża w mgnieniu oka,

a gdy powrócili na swe miejsca, ksiądz Szyszkowski, porozumiawszy się z matką Bronisławą, zabrał głos:

— Moi bracia, każda wątpliwość osłabia energię ducha, i jakkolwiek sądzimy, że ksiądz biskup zechce udzielić swej aprobaty statutom naszego zgromadzenia Maryawitów, jednak wskazaną jest rzeczą, co doradza i matka Bronisława, ażebyśmy niezwłocznie udali się do pałacu księdza biskupa, poprosili go o posłuchanie, przedstawili nasz statut i zyskali jego zezwolenie, gdyż w żadnym razie nie możemy, naturalnie, iść wbrew woli i rozkazom naszej władzy. Proszę was tedy moi bracia o wyznaczenie z pośród nas trzech delegatów.

Po krótkiej naradzie zgodzili się księża na wybór i wikary Kęcki przemówił:

— Porozumiawszy się z obecnymi tu braćmi, prosimy na delegatów do księdza biskupa braci: księdza Horodelskiego, księdza Szyszkowskiego i księdza Redolskiego. Czy zgadzacie się?

— Waszemu żądaniu, bracia, będziemy posłuszni, — odezwał się ksiądz Horodelski, — i wszyscy trzej opuścili zebranie.

Po ich wyjściu matka Bronisława rzekła tonem uprzejmym i serdecznym:

— Moi bracia kochani, zechciejcie pójść ze mną do refektarza, posilcie się i odpocznijcie po pracy ducha.

Powiodła ich do obszernej sali w suterenach umieszczonej, a dwie niewiasty służebne wniosły skromne potrawy jarskie.

Po nasyceniu pierwszego głodu zaczęła się ożywiona i wesoła rozmowa młodych księży, z których każdy miał dużo do opowiadania o swych przejściach z plebanami i parafianami.

Wikary Kęcki trochę rozmyślnie, a trochę z przypadku, usiadł obok matki Bronisławy i zawiązał z nią rozmowę, dopytując się o jej zakon.

— Żyjemy według reguły świętej Klary, — mówiła matka Bronisława, — i staramy się ściśle wypełniać jej pierwsze śluby, podyktowane jej przez św. Franciszka z Assyżu.

— A one polegają na czem? — spytał.

— Jestto to samo co pierwsza reguła Franciszkanów. Ubóstwo, czystość, miłosierdzie, pokora i praca własnoręczna, którą zarabiamy na nasze życie, a co oszczędzamy, oddajemy biednym.

— Jako jałmużnę?

— Nie. Mamy ochronkę dla dzieci, szkołę, uczymy rzemiosł, jak szycia, haftu, pończosznictwa.

— To bardzo piękne, — zabłysły mu oczy, — to prawdziwie według ewangelicznej miłości bliźniego. I dużo jest zakonnic?

— Mamy sióstr i nowicyuszek razem dwadzieścia.

— Czy jednak opłaca się wasza praca? Starczy na tak wielkie potrzeby? — wątpił.

— Z naszej pracy, — mówiła z odcieniem dumy, — kupiłyśmy ten dom z ogrodem, mamy warsztaty i wykonywamy artystycznie szaty liturgiczne. Obstalunków nam nie brak, tylko rąk zamało, — westchnęła, — musimy ukrywać nasz zakon z obawy rozwiązania.

— To słuszna obawa, — potwierdził, — a działalność wasza tak pożyteczna, że nie można jej narażać.

— Tylko łasce Najświętszej Panny Maryi Nieustającej Pomocy zawdzięczamy, że żyjemy w spokoju.

Do rozmowy wmieszał się jeden z sąsiadów, dopytując się o stosunki parafii miejskiej.

Po skończonym obiedzie księża poszli na parter i jedni rozmawiali w sali, inni przechadzali się po ogrodzie, wyczekując powrotu delegatów.

Zabrzmiał dzwonek u bramy i wszyscy pospieszyli na spotkanie, z wyjątkiem kilku, którzy zostali w sali z matką Bronisławą.

Ksiądz Szyszkowski z udanym smutkiem odpowiadał na pytania, że biskup nie przyjął ich, tylko kazał wręczyć sobie statut; ale rozjaśniona jego twarz mówiła co innego i wszyscy szli do sali, w której ksiądz Horodelski, stanąwszy opodal siedzącej przełożonej, zdawał sprawę z audyencyi.

— Jego ekscelencya po niedługich staraniach przyjął nas. Przemówiłem, przedkładając naszą prośbę o zatwierdzenie statutu. Kazał sobie odczytać, wysłuchał i zawahał się. Spytał ilu nas należy, i polecił, ażebyśmy wszyscy podpisali statut własnoręcznie. Przyrzekłem, że dziś jeszcze statut opatrzony podpisami doręczę i prosiłem o decyzyę. W zasadzie zgadzam się na założenie podobnego zgromadzenia pobożnego, — są jego słowa, — jakkolwiek śluby wasze wydają mi się zbyt surowe na nasze stosunki, ale z aprobatą wstrzymam się jeszcze. Muszę zasięgnąć zdania kapituły i poradzić się naszego arcybiskupa. — Czy wolno nam głosić publicznie, że zawiązaliśmy zgromadzenie Maryawitów, — spytałem z kolei. — Ukrywać się nie widzę potrzeby, ale póki aprobaty nie otrzymacie, zgromadzenie to nie jest ukonstytuowane. — Czy wolno nam żyć według statutów? — Nie widzę przeszkody, — odpowiedział ksiądz biskup, — ale z proboszczami żyjcie w zgodzie i bądźcie im ulegli, — jak tego wymaga prawo kanoniczne i sumienie kapłańskie, dodał brat Antoni, co też ksiądz biskup po-

twierdził. Otóż i główna treść rozmowy, — kończył Horodelski, — ksiądz biskup nie jest nam przeciwny, lecz ze względów formalnych wstrzymuje się z aprobatą natychmiastową. Możemy głośno przyznawać się, że jesteśmy Maryawitami, a w stosunku do przełożonych rozstrzyga prawo kanoniczne i sumienie. W ten sposób ostatnie zapory zniknęły, witam was bracia Maryawici sercem radością przepełnionem i oby Najwyższy udzielił nam siły i hartu do spełnienia naszych obowiązków ewangelicznych.

W szczerem rozczuleniu ucałował swego sąsiada i szedł do następnego. W sali powstał gwar radosny, wszyscy się cieszyli, ściskali, a następnie, za przykładem matki Bronisławy, wszyscy padli na kolana i zmówili dziękczynną modlitwę przed obrazem Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy.

Ksiądz Horodelski zajął się przepisaniem statutu na arkuszu, ażeby obecni mogli się podpisać. Z sali dolatywały go wesołe rozmowy księży, którym opowiadał ksiądz Szyszkowski szczegóły audyencyi w tonie żartobliwym.

Wreszcie skończył przepisywanie i wszedł z arkuszem w jednej ręce, a kałamarzem i piórem w drugiej.

— Bracia Maryawici, zechciejcie podpisać statuty w myśl rozkazu jego ekscelencyi, księdza biskupa.

Podpisywano, a gdy przyszła kolej na wikarego Kęckiego, zawahał się i z pewną obawą patrzał na papier. Przez mgnienie oka doznał wrażenia, że podpisuje cyrograf i wyrok na całe swoje życie. Już chciał odłożyć pióro i zasłonić się potrzebą namysłu dłuższego, gdy wspomniał swe głośne zastrzeżenie co do możliwo-

ści wystąpienia i posłyszał przyjazny głos księdza Horodelskiego:

— Bracie Stanisławie, dlaczego nie podpisujesz?

Wikary zarumienił się i szybko napisał swe imię i nazwisko.

Gdy podpisany arkusz schnął na stole, przemówił ksiądz Redolski:

— Słuchajcie mnie bracia moi! — uciszyli się wszyscy, a on ze zwykłą sobie surową powagą ascety zaczął: — Wszyscy pamiętamy słowa Chrystusa: nie miejcie ani stroju w drodze, ani dwóch sukien, ani butów, ani laski. Albowiem godzien jest robotnik strawy swojej... Św. Franciszek z Assyżu, zanim założył zakon, rzucił swój strój świecki, a wziął twardy habit na nagie ciało, ażeby nie doznawało żadnych pokus i rozkoszy. A my, jego uczniowie i naśladowcy, jakże my wykwintnie ubrani! Jaka bielizna na nas, drogie sutanny, płaszcze, błyszczące buty!? Czy to jest godne słów Chrystusa i czynów św. Franciszka!? Pytam was? — i umilkł, wodząc gorejącemi oczyma po zebraniu.

Nastała głucha cisza, wtem odezwała się matka Bronisława:

— Z ciebie bracie Auguście przemawia gorliwość i pokora ewangeliczna, powiedz tedy myśl swoją.

— Zdaje mi się, że my, bracia Maryawici, powinniśmy porzucić te niegodne nas stroje świeckie. Dla nas wystarczy habit, spodnie ubranie, sandały, a ze względu na panujące u nas mrozy i wiatry, peleryna. To będzie strój godny Maryawitów. Żadnych błyskotek, batystów, jedwabiów, safianów. Ile razy dotkniemy naszych habitów, przypomnimy sobie złożone śluby i zagrzani miło-

ścią Chrystusa i Najświętszej Panny, pełni pokory będziemy spełniali nasze obowiązki.

Nastało milczenie chwilowe, poruszona sprawa zaskoczyła zebranych, spoglądano po sobie, — i znów przemówiła matka Bronisława:

— Bracie Auguście, podzielam najzupełniej myśl twoją, gdyż i ja przejęta ślubem pokory i ubóstwa, a widząc panujący zbytek wśród kleru świeckiego, jeśli marzyłam o braciach Maryawitach, oczyma duszy widziałam ich w habitach szarych, skromnych, z jedynem godłem ich miłości na piersiach, z monstrancyą eucharystyczną. Te obrazy nawiedzały mnie tak silnie, że wraz ze siostrami uszyłyśmy jeden habit i jeśli, bracia kochani, uznacie go za odpowiedni, ten pierwszy, sercem macierzyńskiem ofiaruję tobie, bracie Auguście, bo ty pierwszy, natchniony pokorą, zażądałeś zewnętrznej oznaki ubóstwa zaślubionego.

Wzruszony brat August podszedł do siedzącej, ucałował jej rękę, mówiąc:

— Z twoich rąk matko, wszystko przyjmę, co rozkażesz.

Ta przypadkowa zgodność pomysłu księdza Redolskiego z faktem gotowego habitu zdumiała księży i widzieli w tem palec Boży, działanie Opatrzności.

— Cztery habity mogłyby być gotowe na pojutrze, — powiedziała z dobrym uśmiechem, — kto z was bracia chce, temu poszlę.

Spojrzeli po sobie niepewni, każdy pragnął, ale powodowany przyjaźnią, nie chciał zrobić innym przykrości. Na propozycyę matki Bronisławy odpowiedział ksiądz Szyszkowski:

— Ta zadziwiająca harmonia pomiędzy żądaniem

uzewnętrznienia pokory i ubóstwa, a jego wykonaniem, jest widoczną wskazówką woli Boga, objawionej najgodniejszym wśród nas, a obowiązującej nas wszystkich. Słusznie zaszczycony został pierwszym habitem brat August, my zaś wówczas przywdziejemy, gdy dla nas wszystkich będą gotowe.

— Tak! Tak!... Bardzo słusznie, — odezwały się liczne głosy.

— Zastosuję się do waszych życzeń, moi bracia drodzy, a jeśli bracie Auguście chcesz wziąć habit, idź do przyległego pokoju, a w szafie go znajdziesz.

Rozmawiano półgłosem o tym dziwnym przypadku i komentowano go jako rzecz niezwykłą, niemal cudowną. Wszyscy spoglądali jednak na drzwi, za któremi zniknął ksiądz Redolski, ciekawi jego przyjścia.

Drzwi się otworzyły i wszedł oczekiwany. Na sobie miał ciemno-szary habit, w rodzaju sutanny, ze stojącym kołnierzem ściśle przylegającym do szyi i mankietami tak samo przylegającymi w kostkach u rąk. Na piersiach błyszczała haftowana monstrancya, a na barkach miał narzuconą pelerynę.

— Bardzo ładnie pomyślany i wykonany habit, — powiedział po chwili Horodelski.

Chwalili i inni, prosząc matkę Bronisławę, ażeby przygotowała i dla nich w możliwie krótkim czasie.

Ksiądz Szyszkowski poszedł do kancelaryi biskupiej, ażeby wręczyć statut podpisany przez zgromadzonych. Z nim wyszła większość księży, upewniwszy się wprzód, że ksiądz Horodelski odbierze odpowiedź biskupa i zawiadomi wszystkich o zapadłej decyzyi, a nie wątpiono i chwili, że biskup udzieli swej aprobaty.

Po pewnym czasie wyszli inni księża, a w wiel-

kiej sali pozostali z przełożoną księża Horodelski i Redolski.

— Przejdźmy na herbatę do innego pokoju, — wstała przełożona i zaprowadziła gości do małego pokoiku, którego okno wychodziło na ogród owocowy, pełen światła i zieleni rozkwitającej wiosny.

Przez otwarte okno płynęły zapachy rozkwitających bzów i wiśni.

Wniesiono herbatę, chleb, masło, ser i ciastka, na które przełożona, jako uprzejma gospodyni zapraszała.

W tym czasie wrócił ksiądz Szyszkowski z kancelaryi biskupiej i przyłączył się do towarzystwa.

— Dzisiejszy dzień, matko, — przemówił ksiądz Horodelski, — zapisze się złotemi zgłoskami w dziejach Kościoła katolickiego w Polsce.

— Nietylko w Polsce, — powiedziała z uśmiechem radosnym, — ale w całym świecie katolickim.

— Tak, matko, — dodał ksiądz Szyszkowski, — dzięki twej wytrwałości i gorliwości, Kościół katolicki, pogrążony w zimnej formalistyce, rozgorzeje ogniem miłości Chrystusowej.

— To wasze dzieło, nie moje, — spuściła oczy skromnie.

— O nie! — zaprzeczył gorąco ksiądz Horodelski, — ileż razy ustawaliśmy w drodze zwątpiali i zrozpaczeni, a tyś nas podtrzymywała, dodawałaś sił, prorokowałaś zwycięstwo i jeśli kto zasługuje na miano założycielki Maryawitów, jeśli kto zapoczątkował nową erę w Kościele katolickim, to tylko ty jedna, matko Bronisławo.

— Bracie Pawle, — zachmurzyła się lekko, — chwalisz mnie niesprawiedliwie i przeceniasz zasługi.

Wiesz dobrze, że co zrobiłam w tej świętej sprawie, to tylko z rozkazu Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy. Ja byłam tylko pośredniczką, gdyż Ona w niezmiernej swej łasce mnie niegodną służebnicę obrała za swe narzędzie.

— Wiem o tem, matko, bardzo dobrze, ale i o tem wiem, że bez ciebie, bez twego pośrednictwa, nie byłoby Maryawitów, czcicieli Najświętszej Panny Maryi Nieustającej Pomocy, ani też odrodzenia Kościoła Chrystusa.

— Tak, matko, to twoja zasługa, — dodał ksiądz Redolski, — a jeśli przez pokorę chrześcijańską zmniejszasz wartość twoją na ziemi, tem wyższą chwałę pozyskasz w niebie.

— Jam służebnica niegodna, — rzekła z wielką pobożnością, — ale Bóg wszechmogący widzi szczere moje intencye i z nich będzie mnie sądził.

Po krótkiem milczeniu spytał ksiądz Horodelski:

— Bracie Antoni, ilu naprawdę liczysz członków naszego zgromadzenia?

— Nie licząc wątpliwych i tych, którzy z nami tylko sympatyzują i współczują, mamy osiemdziesięciu. Wkrótce jednak ta liczba wzrośnie bardzo znacznie, gdy posiądziem zgromadzenie jawne, strój odrębny i ściśle określone statuty. Pojadę na Litwę, na Ruś i zrobimy taki ruch ewangeliczny w Kościele katolickim, że zginie noc nieprawości, nadużyć i zgorszenia, a Chrystus Pan w całym blasku swej miłości zmartwychwstanie wśród nas.

— Wszystko w ręku Boga Najwyższego, — podniósł w górę oczy ksiądz Redolski, — i Pan zawsze błogosławi pobożnemu dziełu.

Wśród chwilowego milczenia matka Bronisława,

wpatrzona gdzieś daleko zachwyconemi oczyma, z rękami złożonemi jak do modlitwy, zaczęła mówić cichym, przejmującym głosem:

— Widzę tryumf Maryawitów, a przed ich skromnym habitem korzą się mitry, bledną purpury, a całe to robactwo, które obsiadło świątynie Pańskie i tuczy się na nich, ginie, przepada, niszczeje, a Maryawici prowadzą miliony i miliony ludu w procesyi tryumfalnej ku czci Najświętszej Panny Maryi Nieustającej Pomocy... O, Panie Wszechmogący, daj dożyć mnie niegodnej służebnicy tej chwili przyjścia Twego Królestwa na ziemię... Módlmy się bracia!

Padła na kolana i blada ze wzruszenia, ze wzniesionemi oczyma szeptała modlitwę. Księża za jej przykładem modlili się żarliwie.

Gdy się uspokoili i usiedli na swych miejscach, przemówił ksiądz Horodelski:

— Matko najdroższa, jestem pewny, że twoje proroctwo się spełni, gdyż nie ty mówiłaś, ale przez ciebie przemawiał Duch święty, utwierdzając nas w naszych pobożnych zamiarach.

Matka Bronisława wyczerpana z sił, ale z twarzą rozpromienioną, siedziała milcząca.

— Gdybym mógł przelać mój zapał, a przynajmniej część jego, — odezwał się ksiądz Szyszkowski, — w świecki kler naszego Kościoła, za pół roku cała Polska rozbrzmiewałaby czcią i chwałą naszej szczególnej patronki Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i Jej Boskiego Syna.

— I stanie się tak, jak mówisz bracie, — rzekł Horodelski, — jeśli nie za pół roku, to za rok, za dwa... Obejmiemy rząd dusz w całej Polsce, a ci, którzy nam

dziś rozkazują, będą nas słuchali! — kończył z błyszczącemi oczyma.

— Czy uważaliście bracia, — przemówił ksiądz Redolski, — jak biskup skrzywił się niechętnie i gorzko słuchając czytania naszych statutów?...

— To naturalne, — uśmiechnął się Horodelski ironicznie, — przecież my, Maryawici, ślubując ubóstwo, nie będziemy płacili tych danin wysokich na utrzymanie pałacu, cugów, kuchni, służby biskupa. On wie, że będzie musiał zadowolić się tylko jałmużną wiernych, a ta na szalone zbytki księcia Kościoła nie wystarczy.

— Jestem szczęśliwy, — uśmiechnął się ksiądz Szyszkowski, — że Pan Bóg pozwolił mi żyć właśnie w tych czasach, gdy zejdzie słońce miłości ewangelicznej i Pan wypędzi ze swych świątyń sługi niegodne, obłudne i grzeszne, a często kalające ołtarze.

— I jaki szalony przewrót sprawimy, — zawołał gorąco ksiądz Horodelski, — w ziemskiem, hulaszczem życiu proboszczów! Jak się wić będą, skomleć i prosić, ażeby im chociaż część dochodów zostawić na wina i karty! — zaśmiał się wesoło.

— Rzecz w tem, — odezwał się zamyślony ksiądz Redolski, — ażeby biskup aprobował nasz związek. Ja nie mam stosunków z dworem biskupim, a trzeba dopilnować naszej sprawy.

— To już ja załatwię, — rzekł ksiądz Horodelski, — mam kolegę przy boku biskupa, i on nam dopomoże.

— Chodźmy pożegnać naszych braci, — wstał Szyszkowski, — i umocnić w nich ducha gorliwości.

Pokłonili się matce, którą nazajutrz mieli odwiedzić i wyszli.

Na ulicy habit księdza Redolskiego zwrócił uwagę publiczności. Ci i owi przystawali, bacznie oglądając nieznany im strój.

Rozeszli się, a ksiądz Horodelski, idąc główną ulicą, natknął się na dwóch wikarych, Kęckiego i Grzywaka. Po przywitaniu rzekł tajemniczo:

— Wiecie bracia, matka Bronisława, wobec nas trzech, księdza Szyszkowskiego, księdza Redolskiego i mnie, miała widzenie i prorokowała.

Aż przystanęli z wielkiego zdumienia i dopiero po chwili przemówił wikary Kęcki:

— Jak to było? Opowiedz, bracie Pawle.

Szli obok skweru, a ksiądz Horodelski wskazując na ławkę powiedział:

— Usiądźmy na chwilę, — a gdy usiedli, zaczął przyciszonym głosem: — byliśmy w małym pokoju obok sali, powiedziałem matce szczerą prawdę, że nie my, bracia, ale ona jest istotną założycielką naszego zgromadzenia. Zgromiła mnie, bo to niewiasta nadzwyczajnej pokory, a po chwili, gdyśmy mówili, że nas tylko osiemdziesięciu braci... matka, w zachwyceniu niebiańskiem przepowiedziała tryumf Maryawitów, przed którymi ukorzą się mitry, zbledną purpury, zniknie pasożytniczy kler, i za nami w procesyi uroczystej pójdą miliony milionów, oddając cześć Najświętszej Pannie Nieustającej Pomocy.

— O Boże, daj doczekać tego cudu! — złożył pobożnie ręce wikary Grzywak.

— Dzięki ci Chryste Panie, twoja miłość odrodzi świat! — rzekł rozpromieniony wikary Kęcki.

— Teraz bracia, gdy jesteśmy pewni zwycięstwa, pracujmy wytrwale i gorliwie, — zachęcał Horodelski, —

nie zrażajmy się przeszkodami, głośmy odrodzenie Kościoła i tryumf ewangelii świętej. A jak stoicie z waszymi proboszczami?

— U mnie nic się nie zmieniło, — westchnął wikary Grzywak, — ale będę pracował gorliwie i ofiarnie.

— Wiesz, bracie Janie, na twojem miejscu, — mówił Horodelski, — ja z całym winnym szacunkiem, ale powiedziałbym proboszczowi Dudzickiemu verba veritatis.

— Nie uchodzi, bracie Pawle, nie uchodzi, — poruszył przecząco głową, — niech fakta za mnie mówią.

— Lecz jeśli on głuchy i ślepy, — rzekł z naciskiem Horodelski, — trzeba mu sprawę wyjaśnić, wykazać jego opieszałość i wyzyskiwanie parafian.

— Nie wiem... namyślę się, — mówił wymijająco, — może będzie sposobność.

— No, a ty, bracie Stanisławie? — zwrócił się do wikarego.

— Jestem o tyle szczęśliwy, że proboszcz Marski jedzie na kuracyę, ale nawet gdyby nie wyjechał, to opierając się na słowach biskupa o prawie kanonicznem i sumieniu kapłańskiem, będę gorliwie pełnił moje obowiązki.

— Powiedziałeś to zacnie i odważnie, jak przystało na Maryawitę, — pochwalił Horodelski. — Sprawę aprobaty przypilnuję i dam wam znać.

— Dziękuję bracie Pawle za uznanie. A nie wiesz, kiedy habity będą gotowe?

— Mówiła mi matka, że za dwa tygodnie.

— To bardzo dobrze, — rzekł rozpromieniony wikary Kęcki, — z największą radością przywdzieję ten strój pokory i wieczystych ślubów naszych.

XIII.

Proboszcz Marski był pewny, że wikary Kęcki wróci skruszony, przeprosi go za okazany upór, i posłuszny, będzie wszystko spełniał, co on mu rozkaże i poleci. Z powrotem przyjechał wikary późnym wieczorem i wymówiwszy się zmęczeniem, nie przyszedł na wieczerzę.

Rano, po odprawieniu mszy, poszedł na wieś, ażeby uwiadomić uczniów o swym powrocie i zapowiedzieć lekcyę katechizmową.

Dzięki dzieciom poznał już trochę wieś, a że był uprzejmy i łagodny, garnęli się ludzie do niego, zwłaszcza niewiasty i starsze i młodsze.

— Cóż Antoniowo u was słychać? — spytał młodej, dość ładnej mężatki, którą spotkał przed chatą, — jak zdrowie malutkiej córeczki?

— Dziękuję księdzu dobrodziejowi, — skłoniła się nizko, — Maryś, chwalić Boga, zdrowa, ale srokata nam zasłabła.

— Cóż jej brakuje?

— Nieme bydlę nie powie, ale stęka, kładzie się, wstaje. Już i krew puściliśmy i nacieraliśmy, niby się trochę polepszyło, ale zawsze strach.

— Prawda, Antoniowo, — westchnął, — pomodlę się na waszą intencyę, a może Pan Bóg miłosierny odwróci od was szkodę.

— O, mój słodki dobrodzieju, o pocieszycielu, — rzuciła mu się do rąk, — czemże się wywdzięczę za tyle dobroci? I to dla mnie, dla prostej baby.

— Chrystus Pan wszystkich kocha i wszyscyśmy

równi wobec Niego... a przyjdźcie Antoniowo na majowe nabożeństwo przed cudownym obrazem Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy.

Naturalnie Antoniowa przyrzekła, a wikary poszedł dalej. Z gospodarzami mówił o roli, o siejbie; z gospodyniami o dzieciach, o drobiu, o krowach, dla każdego miał przyjazne słowo i uśmiech.

To też kościenieccy dumni byli, że posiadają takiego wikarego i sławę jego głosili po innych parafiach.

Dopiero na obiad wrócił wikary ze swej wędrówki po wsi.

Proboszcz, który go niecierpliwie wyczekiwał, spytał szorstko:

— A gdzie to bywał ksiądz wikary? Wczoraj nie pokazałeś się po powrocie, dzisiaj uciekłeś raniutko... Czy mnie rozmyślnie unikasz?

— Wcale nie! Nie mam obowiązku siedzieć w czterech ścianach, gdy mogę ludziom być użytecznym, — odpowiedział z zimnym spokojem.

— Chciałem ci pokazać, jak prowadzę książki parafialne; a gdy wyjadę, proszę księdza w niczem a w niczem nie zmieniać zaprowadzonego porządku.

— Zastosuję się do żądania księdza proboszcza, a kiedy mam przyjść do kancelaryi?

— Dziś przed wieczorem.

— Dziś?... Nie mogę. Mam lekcyę katechizmu z dziećmi.

— Gdzie? — spojrzał surowo.

— Pod drzewami, przy kościele.

— To dobrze, — skinął głową, — przyjdź jutro przed obiadem.

Jakiś czas jedli w milczeniu. Blińska, której zwie-

rzył się proboszcz ze swej skargi do konsystorza, była na równi z proboszczem ciekawa, co spotkało wikarego i jaki był rezultat powołania go do konsystorza, spytała też z miną niewinną:

— Jakże księdzu wikaremu podobało się nasze miasto?

— Znałem je dawniej, — odpowiedział obojętnie.

— A nowy skwer przed konsystorzem, ładny?

— Nie uważałem, byłem zbyt zajęty.

— Jak to być może, — wmieszał się do rozmowy proboszcz, — byłeś w konsystorzu i skweru nie widziałeś?

— Wcale nie byłem w konsystorzu.

Proboszcz tak się zdumiał tą nieoczekiwaną odpowiedzią, że przestał jeść, podniósł głowę, wpatrzył się w wikarego i spytał niedowierzająco:

— Jakto nie byłeś? Cóż znaczyło to wezwanie?

— Do konsystorza wysłaliśmy trzech delegatów, a właściwie do jego ekscelencyi księdza biskupa.

Teraz proboszcz nie mógł zupełnie znaleźć związku pomiędzy swoją skargą na wikarego, a wysłaniem delegatów. Odłożył nóż i widelec, otarł usta, oparł się o fotel i patrząc inkwizycyjnie, spytał surowym tonem:

— Co tu ksiądz gada mi o delegatach. Znam przecież prawo i przepisy kanoniczne. Zostałeś wezwany do konsystorza, ażeby cię pouczono, jak się masz zachować wobec mnie. Zatem nie było żadnych delegatów i koniec.

— Zdaje się, że ja wiem lepiej, — uśmiechnął się Kęcki, — skoro sam wybierałem trzech delegatów do księdza biskupa.

— Jakich delegatów? Co za delegatów? — pytał niedowierzająco.

— Trzech księży, a mianowicie Horodelskiego, Szyszkowskiego i Redolskiego.

— Hm... hm... i w jakiej sprawie?

— Z prośbą o aprobatę statutów zgromadzenia Maryawitów.

— Zgromadzenia?... Tu w Królestwie? Czyż rząd pozwolił?

— Sprawa to czysto duchowna i dotyczy tylko księży już wyświęconych. Maryawitą, czyli czcicielem Najświętszej Maryi Panny, może zostać tylko ksiądz rzymsko-katolickiego Kościoła.

— A cóż to za jedni ci Maryawici?

— Księża, którzy złożyli śluby bezwzględnego ubóstwa, pokory, czynnego spełniania miłosierdzia i miłości ewangelicznej.

— Zakon nowy tworzycie? — dopytywał się coraz bardziej zdziwiony.

— Nie, przecież Rosya nie uznaje żadnych zakonów. My jesteśmy świeccy księża i służymy w parafiach.

— W parafiach!?... Wy, z takiemi zasadami? To niemożliwe! Cóż na to powiedział ksiądz biskup?

— Pochwalił cel, ale aprobaty ze względów formalnych na razie nie dał, stanie się to jednak wkrótce.

— A ja ci powiadam, że takiego zgromadzenia nie zaaprobuje. Co innego zakon w zamkniętych murach, a co innego ksiądz w parafii. Rozumiesz?

— Rozumiem, że co innego jest klauzura zakonna, a co innego ksiądz świecki.

— To zapamiętaj sobie moje słowa, żaden z biskupów na to się nie zgodzi.

— Przyszłość pokaże, — uśmiechnął się wikary pewny siebie, — a jeśli ksiądz biskup pochwalił ten związek i pozwolił do niego należeć, tem samem uznał Maryawitów i zgadza się na ich działalność.

Ta pewność wikarego stropiła trochę proboszcza i spytał łagodniej:

— Iluż was takich fanatyków?

— O, dużo! Cyfry dokładnej nie wiem.

— A owe śluby, jak pojmujecie? Naprzykład ubóstwo?

— Żadnej osobistej własności, a z jałmużny tyle tylko zatrzymujemy, ile potrzeba na nieodzowne potrzeby skromnego życia.

— No, no, ładnie będzie wyglądał kościół i plebania, — zaśmiał się ironicznie, — ale na szczęście są to urojenia fanatyków. Tylko młode, przewrócone głowy, nieznające życia i historyi Kościoła mogą roić coś podobnego i nie warto o tem mówić, — zrobił lekceważący ruch ręką.

Wikary poczerwieniał rozdrażniony, dla niego ubóstwo to było jego chwałą, zaszczytem. On przecież dobrowolnie przynosił tę ofiarę Bogu i spotyka się z lekceważeniem jej ze strony księdza, kapłana, który pierwszy powinien zrozumieć jego ślub ubóstwa. Po chwili milczenia powiedział łagodnym głosem:

— Księże proboszczu, wszak sam Chrystus ubogi był w narodzeniu, uboższy w życiu, najuboższy w śmierci, a my, jego wyznawcy i czciciele, czyż mamy opływać w dostatki, trwonić na zbytki i marności?

Proboszcz uczuł się srodze dotkniętym, zdawało mu się bowiem, że wikary mówiąc to miał jego na myśli i zawołał gwałtownie:

— Naco ja tracę?! Gdzie moje dostatki? Co mi tu będziesz dogadywał? Jeśli i złożyłem cokolwiek, to na ułomną starość, rozumiesz? A i to w testamencie zapiszę na pobożne cele. Zobacz mój kościół, porządki, aparaty, szaty liturgiczne, a wtedy porachuj moje zbytki i wydatki!

Zasapał się z gniewu i chmurny patrzał na wikarego, który widząc rozdrażnienie proboszcza, milczał. Blińska, słysząc o zapisie pieniędzy na cele pobożne, rzuciła złem okiem na proboszcza, a po chwili spłynęły łzy po jej zawiędłych policzkach. Ocierała je ostentacyjnie, aż wreszcie proboszcz burknął:

— A ty czego beczysz?

— Serce mnie boli od niesprawiedliwości ludzkiej. Całe życie brat się męczył, mordował, kłopotał i oto jaka zapłata, — spojrzała gniewna i obrażona na milczącego wikarego.

— Tak to bywa... tak, — mruknął proboszcz popijając herbatę.

— Albo i ja, — mówiła dalej płaczliwym głosem, — całe życie oszczędzałam, pilnowałam, nie dojadłam, nie dospałam, a na starość pójdę o żebranym chlebie.

— Nie pleć głupstw, — rzekł surowo, — nie zapomnę twej wiernej służby.

— Ja znam złote serce brata, ale ludzka niewdzięczność boli, — znów spojrzała na wikarego wymownie.

— Niech cię nie boli... nie twoja rzecz, — powiedział ostro i do wikarego: — dziś wyegzaminuję dzieci, zobaczę, jakie postępy zrobiły w nauce świętej religii.

— Dobrze, księże proboszczu, a od jutra rozpoczyna się majowe nabożeństwo. Czy pozwoli ksiądz proboszcz, że zajmę się przystrojeniem cudownego obrazu?

— Jakiego?

— Najświętszej Panny Maryi Nieustającej Pomocy w kościele.

— U mnie zawsze odbywało się nabożeństwo majowe przed bocznym ołtarzem Maryi Panny. Tak samo będzie i w tym roku. Wszelkie nowinki gubią Kościół i nie pozwalam na zmiany.

Wikary zmienił kolor twarzy, ale powściągnął się i rzekł spokojnie:

— Przystroję ołtarz na żądanie księdza proboszcza... Sądzę jednak, że parafianie z Rudnik i z Wierzbowa będą mieli daleko na codzienne nabożeństwo majowe.

— Więc cóż z tego? — zawołał proboszcz marszcząc brwi, — kto szczerze pobożny i gorliwy, ten nie ulęknie się kawałka drogi i odda należną cześć Bogu.

— Ja z mej strony ułatwiłbym im chętnie bywanie na nabożeństwie.

— A to jakim sposobem, zadrwił proboszcz, — poszlesz furmanki po nich?

— Nie, ale przy figurze przydrożnej urządziłbym dla nich co drugi dzień nabożeństwo.

— Za dużo gorliwości niezdrowo, ale jeśli sam się tem zajmiesz i dopilnujesz, ażeby nie schodzili się na zabawę, — podkreślił to słowo, — ale przykładnie się modlili, możesz to zrobić, — wstał od stołu i bez słowa pożegnania wyszedł.

Wikary podniósł się, wstrzymały go słowa Blińskiej:

— Mam do księdza wikarego wielką prośbę... — powiedziała słodkim głosem.

— Słucham.

— Mój brat, ksiądz proboszcz, jest za delikatny, ażeby się upomnieć o swe zdrowie, ale każda sprzeczka

mu szkodzi. Ksiądz wikary go nie zna, a jednak to anielski człowiek, nietylko jako kapłan, lecz i w domowem pożyciu, byle z nim się nie sprzeczać i nie sprzeciwiać.

— Pod tym względem nie mam sobie nic do zarzucenia, postępuję zawsze zgodnie z mojem sumieniem, — i nie czekając na dalsze uwagi wyszedł.

— Pożałujesz ty tego, świętoszku, — mruknęła gniewnie i zaczęła sprzątać ze stołu, ofuknąwszy Kasię za niezręczność.

Dzień wiosenny był pogodny, jasny, ciepły, to też zaroiło się od dzieciaków, bawiących się na placyku przed ogrodzeniem kościoła.

Do tych dzieci udał się wikary i zwoławszy je, rzekł:

— Moje kochane dzieci, jutro zaczynamy w kościele nabożeństwo majowe na cześć Najświętszej Panny. Otóż trzeba nam ubrać ołtarz kwiatami, ażeby okazać Jej naszą miłość i przywiązanie. Weźcie się tedy gorliwie, nazbierajcie kwiatów, zielonych gałązek i razem ubierzemy ołtarz Maryi Panny.

— A jakie kwiaty? — spytała dorastająca dziewczynka, — u nas jeszcze nie kwitną.

— Przynieście polnych: jaskry, fiołki, stokrotki, tarninę...

— Ale czy Łukasz pozwoli zaśmiecić kościół? — spojrzał chłopak w stronę domu kościelnego.

— Pozwoli... pozwoli, — uśmiechnął się wikary, — a teraz idźcie zbierać. Ciekaw jestem, kto z was najładniejsze przyniesie kwiaty?

Wikary poszedł do domu Łukasza, którego żona

obudziła z drzemki poobiedniej, a on, przeciągając się ze snu i ziewając, wyszedł przed dom.

— Czego to, proszę księdza dobrodzieja? — spytał niezadowolony.

— Otwórzcie Łukaszu kościół, jutro zaczynamy nabożeństwo majowe.

— A do jutra mało czasu?

— Dziś ubierzemy ołtarz Matki Boskiej i dzieci zaśpiewają.

W tem przybiegła dziewczynka zziajana i zaczerwieniona, wołając:

— U nas śliczności kwiatek w doniczce, matusia pytają, czy przynieść?

— I owszem, moje dziecko, przynieś, — pogłaskał ją po płowych włosach.

Łukasz bardziej się nachmurzył i rzekł opryskliwie:

— Naco to ze wsi ściągać chłopskie kwiaty, czy nie mamy dość w kościele po ołtarzach pięknych wazonów?

— Zostawcie to memu uznaniu. Bierzcie klucze i chodźmy.

— Zaraz, tylko się ogarnę.

W kościele Łukasz pomrukując, począł znosić wazony sztucznych kwiatów przed ołtarz Matki Boskiej. Gdy przyniósł dwa pierwsze, wikary przerwał modlitwę i rzekł:

— Niepotrzebnie znosicie, Łukaszu, ubierzemy ołtarz świeżymi kwiatami.

— Świeżymi?... Chyba ze dworu panna przyszle księdzu wikaremu, — mówił z pozorną obojętnością, — bo na wsi i na ćwierć ołtarza nie wystarczy.

Zrozumiał przytyk wikary, poczerwieniał, ale powiedział spokojnie:

— Dzieci przyniosą polne kwiaty.

— To znów zaśmiecą, zababrają ołtarz, poplamią obrus.. a ksiądz proboszcz wie o tem? U nas zawsze tak bywało, że ołtarz ubierze się wazonami, zapali światło i było czysto, a to nowe jakieś mody nastają.

— To już musicie się pogodzić z tą nową modą, — uśmiechnął się wikary.

— Ha, jeśli ksiądz proboszcz pozwolił, to już niech będzie, — odniósł wazony i z trzaskiem otworzył drzwi główne.

Stopniowo nadbiegały dzieci z pękami polnych kwiatów, gałązek zielonych i osypanych kwieciem. Naniosły z łąk trochę błota, z drogi kurzu, a że małe ręce niezręcznie obejmowały wielkie pęki, rozrzuciły rośliny, kwiaty, liście po kościele, a już najwięcej przed ołtarzem.

Łukasz zgorszony i nachmurzony, od czasu do czasu krzyczał surowo przy babińcu:

- Podnieś to ziele, ty zatracony!... Chwasty znosi bachór taki!... Za wami kijem gnać, takie to brudne, umorusane, i do Pana Boga pcha się!... Nogi powycieraj, jak pies, włazi zababrany!

Dzieci ufne w obecność wikarego nie robiły sobie dużo z tego fukania, a do księdza niewyraźnie dochodziły słowa łającego Łukasza.

Spostrzegł jednak sam wikary, że dzieci zaśmiecą kościół i ku uspokojeniu Łukasza wyprowadził chętnych do ubierania ołtarza z kościoła na dziedziniec ocieniony drzewami.

Tu dopiero rozpoczęła się wesoła robota z wiąza-

niem równianek, wieńców i wianuszków. Wikary sam przy pomocy dzieci ozdobił ołtarz i gdy mu się przyglądał, rzucił przypadkowo okiem na obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, który wisiał na nagiej ścianie kościoła.

Porównał ustrojony ołtarz z opuszczonym obrazem i żal mu się zrobiło. Zdawało mu się, że on sam skrzywdził ten cudowny obraz, z którego spłynęło tyle łask na Maryawitów i do którego miał sam szczególne nabożeństwo.

Przed kościołem pozostało jeszcze dość dużo kwiatów, zachęcił dzieci do uwicia z nich równianek i wieńców, a sam poszedł do kościelnego:

— Nie macie Łukaszu drabinki?

— Albo co?

— Potrzebuję do obrazu cudownego.

— Zdjąć?

— Nie, tylko przyozdobić.

— Czy nie dosyć tych chwastów w ołtarzu, jeszcze tu, w głównej nawie?

To sprzeciwianie się podrażniło wikarego i powiedział:

— Ważniejsza cześć Matki Boskiej od wszystkich naw i porządków... Macie drabinkę, to przynieście.

— Jeśli żona komu nie użyczyła, to przyniosę, — i odszedł wolnym krokiem.

Domyślił się wikary, że był to wybieg, ażeby mu nie dać drabinki; zawołał tedy kilku starszych chłopaków, wraz z nimi przysunął ławkę pod obraz i ubrał go jak mógł bogato kwiatami i wieńcami.

Właśnie przytwierdzał równiankę nad obrazem

i stał na palcach, ażeby dostać ręką nad ramę, gdy posłyszał surowy głos proboszcza:

— W Imię Ojca i Syna. A to co nowego? Jakieś chwaściska, trawy, gałęzie!?

Przestraszone dzieci pochowały się po kątach, sam wikary omal że nie spadł z ławki, z ręki wyleciał mu bukiet, a proboszcz gromił dalej:

— Tego nie spodziewałem się po księdzu wikarym. Te głupie kwiatki zwiędną do wieczora, liście opadną... i co za sens przysuwać ławkę, psuć porządek...

Wikary zeskoczył z ławki i odpowiedział pokornie:

— Nie było drabinki, a chciałem przyozdobić cudowny obraz.

— Czy nie dość ołtarza? — zrobił wymówkę, — wazonów kupiłem dosyć i piękne w nich kwiaty, a ten obraz poco ubierać? Nie dość, że naśmiecili przed ołtarzem, zbabrali dywan, obrus, jeszcze tu w nawie głównej... i tak przed tym obrazem nie będzie nabożeństwa.

— Nie wiedziałem, że uczczenie obrazu cudownego będzie źle przyjęte, — zmuszał się wikary do spokoju.

— Źle czy nie źle, to do rzeczy nie należy, — krzyczał rozgniewany, — żadnych nowinek w kościele moim!

— Czy mam zdjąć kwiaty z Matki Boskiej? — spytał, patrząc w oczy proboszcza.

Ten zmiarkował, że za daleko się posunął, siłą woli pohamował się i rzekł głuchym głosem:

— Na ten raz niech zostaną... Proszę ławkę przysunąć na właściwe miejsce, — a zobaczywszy kościelnego zawołał: — jak tylko zwiędną te chwasty, — wskazał na obraz wiszący, — zdejmiesz i wyrzucisz.

— Rozumiem, proszę łaski księdza proboszcza, —

spojrzał tryumfująco na wikarego, — a względem ołtarza, co mam zrobić? bo i tam zwiędnie, skruszeje i zanieczyści nam kościół.

— Nie twoja rzecz błaźnie! — zgromił go proboszcz i zwracając się do wikarego rzekł łagodniej: — jak zwiędną te kwiaty, każesz odrzucić... przed obrazem wystarczy jeden bukiet większy, no, dwa, ale żadnych wieńców, girland, festonów, to nie uchodzi.

— Rozumiem, — skłonił się.

— No, kiedyż lekcya?

— Za godzinę zejdą się dzieci.

— Dobrze... zobaczymy postępy, — i poważnym, sunącym krokiem opuścił kościół.

Gdy wikary został sam w pustym kościele, rozżalony i rozgoryczony padł na kolana przed obrazem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i począł się modlić z wielką żarliwością.

Powierzał Matce Boskiej wszystkie swe smutki, upokorzenia i boleści. Najbardziej dotknął go rozkaz proboszcza, ażeby zdjęto kwiaty, którymi ozdobił obraz i że nie wolno mu będzie otoczyć go świeżymi. Uważał to za obrazę i ujmę Matki Boskiej i cierpiał, że nie może temu zaradzić. Wyobraził sobie ten obraz odarty z kwiatów, wiszący samotnie na nagiej, zimnej ścianie kościoła.

— O, Najświętsza Panno! — modlił się, — kocham Cię i wielbię ze wszystkich sił mojej duszy, Tyś najpiękniejsza, najlepsza, najłaskawsza i najmiłościwsza. Patrz w serce moje.

I modlił się dalej:

— Zdobiłbym Twój wizerunek najcudowniejszymi kwiatami ziemi, obsypałbym go brylantami, perłami

i klejnotami, ażeby jaśniał i był świadectwem mej czci i miłości... Ale i to wiem, że najważniejszym i najpiękniejszym kwiatem dla Ciebie, jest miłujące i wielbiące serce, którego nie zastąpią żadne klejnoty... I ja Ci przyprowadzę te serca gorejące miłością, one w Tobie znajdą nieustającą pomoc i pociechę, Ty będziesz ich orędowniczką! Ale wspomóż mię, o Panno najmożniejsza, Pani nasza, która nikogo nie opuszczasz i nikim nie gardzisz, nie odrzucaj mojej ubogiej modlitwy i udziel mi świętej pomocy w tych zamiarach moich.

Zatopił się w rozmyślaniu nie spuszczając oczu z obrazu, a nad nim unosiło się pragnienie, ażeby do stóp Maryi Panny przyprowadzić serca gorące, pełne czci i uwielbienia. Nagle błysnęła mu myśl, że może obraz cudowny umieścić gdzieś w miejscu odkrytem, a tam przybędą tłumy pobożnych.

Pogrążony w modlitwie zatracił poczucie z jakiego wątku wysnuł tę myśl, był przekonany, że promień łaski spłynął na niego i wskazał mu drogę osiągnięcia jego pragnienia.

Z rozpromienionemi oczyma, z rozjaśnioną twarzą zmówił modlitwę dziękczynną i uspokojony, szczęśliwy, wyszedł z kościoła.

Zastał już gromadkę dzieci, które przyszły na lekcyę katechizmu. Witały go radośnie i rozmawiały z nim swobodnie, a gdy zeszły się wszystkie, rozpoczęła się nauka.

W przewidywaniu egzaminu powtórzył z niemi o Bogu, o Trójcy świętej, stworzeniu świata i przystąpił do pytań dalszych.

— Z czego składa się człowiek? — zadał pytanie jednemu z wyrostków.

Chłopak się zmieszał, któryś mu podszepnął odpowiedź, a ten powtórzył:

— Z głowy, rąk...

Dzieci, znające odpowiedź właściwą, zaśmiały się głośno i zawołały na wyprzódki:

— Z ciała i duszy nieśmiertelnej.

Po uspokojeniu i stosownem upomnieniu spytał dziewczynkę:

— Czy jesteś człowiekiem?

Dziecko się zawahało, wreszcie zaczerwienione zawołało:

— Tatuś to człowiek, ale ja dziewczyna.

Nastąpił nowy wybuch śmiechu i w tej chwili w otwartej furtce od ogrodu stanął proboszcz i zawołał zgorszony:

— Co to za śmiechy!? Przyszliście tu gzić się? A gdzie szacunek? gdzie cześć?... Nie widzicie błazny kościoła? nie stoi przed wami kapłan?

Dzieci zwarzone umilkły, pospuszczały oczy, zerkając nieznacznie ku wikaremu, który lekko zmieszany podszedł do proboszcza usprawiedliwiając się:

— Jedno z dzieci niewłaściwie odpowiedziało i to spowodowało śmiech innych.

— Wszystko jedno, — mówił surowo proboszcz, — tu nauka, nie zabawa.

Podszedł do stojących dzieci, a widząc dziewczynkę, może dwunastoletnią, bosą, w brudnym fartuszku, zawołał:

— A, ty małpo jakaś, to tak przychodzisz na naukę katechizmu!? Kulasy brudne, bose! Fartuch jak ścierka. Jak ty się wabisz, co?

— Hanka Sasówna, — odpowiedziała czerwona po białka oczu.

— Aha, to ty Kaspra Sasa!?... Ruszaj do domu natychmiast, a jeśli jeszcze raz pokażesz się taka brudna jak prosię, kijem cię przepędzę!

Dziewczyna z płaczem uciekła jaknajprędzej, a proboszcz mruczał:

— To pięć rubli zachciewa mu się, a dziewczynę przysyła jak tłumok cygański.

Przeglądał surowo inne dzieci i ośmioro odesłał do domu za ubranie nie dość czyste.

— Do Boga i kapłana, — nauczał dzieci, — ubieraj się odświętnie, czysto, znaj szacunek. Tu idzie o duszę twoją, o zbawienie wieczne.

Stanął przed gromadką dzieci i jednemu z wyrostków rozkazał:

— Mów skład apostolski!

Chłopak poczerwieniał, miął czapkę w ręku i milczał.

— Wierzę w Boga, powiedz! — wmieszał się z cicha wikary.

Proboszcz zwrócił twarz w stronę młodego księdza i rzekł:

— Nie lubię podpowiadania!... — i do chłopca: — mów skład apostolski.

Chłopak zaczął trzepać słowa, ale pomylił się przy Piłacie i już końca nie umiał skleić.

— Osioł jesteś, — zgromił go proboszcz, — ruszaj do domu, niech cię matka wyuczy pacierza.

Następnie zwrócił się do małej dziewczynki i spytał:

— Co to jest Bóg?

Odpowiedziała dość dobrze, poprawił słowa i zadał pytanie:

— Czy jest więcej, niż jeden Bóg?

— Jest jeden, który nas stworzył.

— A czy Chrystus Pan nie jest Bogiem? — spytał podstępnie.

— Jest Bogiem, — odparła zmieszana.

— Więc więcej jest, niż jeden.

Po dłuższem wahaniu odpowiedziała z miną nieszczęśliwą:

— Jest dwa.

— A ty błaźnico! — do pogan należysz, do bałwochwalców, a nie do katolików, bo my wierzymy tylko w jednego Boga. Powiedz skład apostolski.

Dziewczyna stropiona, skrzyczana, zaczęła cichym głosem mówić: Wierzę w Boga, i dość płynnie.

— Głośniej! — upomniał proboszcz i po chwili znów: — głośniej! Grzechu się wstydź, przekleństw, plotkarstwa, którem się zajmujesz, obmowy bliźnich, ale nie modlitwy. Głośno i wyraźnie!

Mała utknęła na słowach zstąpił i wstąpił, pomieszały się jej te dwa dźwięki i już z nich nie wybrnęła.

— Otóż to tak! — gniewał się proboszcz, — wyrosłaś jak kąkol, jak chwast szkodliwy, nawet pacierza nie umiesz, poganko jakaś, ale grzeszysz, obrażasz Pana Boga swem życiem rozpustnem. Póki nie nauczysz się składu apostolskiego, nie pokazuj się, nie dopuszczę cię do sakramentów świętych. Ruszaj do domu!

Inne dzieci, przerażone surowością, odpowiadały źle, bez związku, plątały się przy najłatwiejszych pytaniach. Rozgniewany proboszcz krzyczał:

— Gnój wam wyrzucać, gęsi paść, świń pilnować,

a nie słuchać słowa Bożego!... Do jutra niech każdy nauczy się pacierza, bo bez tego nikogo nie dopuszczę do świętej komunii. Ruszajcie!

Dzieci, jak ptactwo spłoszone i zalęknione, biegły jak na wyprzódki, byle uciec od surowych spojrzeń proboszcza.

— Słyszał ksiądz wikary ich odpowiedzi? — patrzał mu w oczy z wyrzutem, — nawet pacierza nie umieją. A jednak uprzedzałem, że póki nie umieją wyrecytować pacierza, nie przyjmować na naukę, nie przygotowywać do pierwszej komunii.

— Gdybym sam przepytywał, umiałyby, — bronił się wikary.

— Podpowiadając im każde słowo, — zadrwił proboszcz idąc ku plebanii, — ale gdy będzie modlił się sam, kto mu podpowie? Pacierz musi każdy umieć na wyrywki, doskonale. Tego musi ksiądz wymagać, bez tego niema nauki.

Za wiele było wikaremu tego przepytywania dzieci, i tych uwag i docinków, powiedział tedy dość spokojnie, ale głosem stanowczym:

— Recytowanie pacierzy nie zrobi ich pobożnymi i miłującymi Boga. Bezmyślne klepanie modlitw prowadzi tylko do oschłości, do bezdusznych form, do wypaczenia religii miłości.

— Co? — przystanął proboszcz, zabłysły mu oczy gniewnie. — Ucz rozumu sobie równych, nie mnie! To moja parafia, rozumiesz? i ja chcę, ażeby naukę w ten sposób prowadzono. Tu wikary niema nic do gadania, a jeśli mu się to niepodoba, wolna droga!

Twarz wikarego zmieniła barwę i głosem drżącym odpowiedział:

— Prawo kanoniczne broni mnie przed despotycznemi zachciankami księdza proboszcza, a poza prawem obowiązuje mnie jedynie moje sumienie kapłańskie.

— Tak ksiądz śpiewa, — zaśmiał się z przymusem proboszcz, — zobaczymy, co powie na to władza duchowna.

— Władzy mojej będę posłuszny, tak samo jak jestem posłuszny księdzu proboszczowi, o ile rozkazy jego nie sprzeciwiają się memu sumieniu... Daruje ksiądz proboszcz, że się oddalę, muszę zgromadzić dzieci, ażeby odśpiewać z niemi litanię przed jutrzejszem nabożeństwem.

— A idź sobie! idź!

Proboszcz ochłonął już z pierwszego gniewu, poszedł obejrzeć rolę zasianą, grzędy w ogrodzie i rozmyślał nad wikarym. Konsystorz na jego skargę milczy, może nawet nie odpowie, gdyż przy wysyłaniu ominął dziekana. A stosunki z wikarym stają się niemożliwe. W kościele rozporządza się samowolnie, dzieci źle uczy, jemu daje nauki moralne i grozi prawem kanonicznem, w dodatku jest Maryawitą.

Czyżby się tak dalece zmieniły stosunki w konsystorzu? Co znaczy to protegowanie młodych wobec zasłużonych proboszczów? Prawda, że biskup jest stary, niedołężny, ulega podszeptom rozmaitym, ale jak może pochwalać jakieś nowe zgromadzenie, tak przeciwne zwyczajom, obyczajom i tradycyi Kościoła! Dobra ta ich pokora, a na każdym kroku sprzeciwia mi się, buntuje i taki zarozumialec, że nauki daje...

Albo to ich ubóstwo!? Skąd taki Maryawita weźmie pieniędzy na różne opłaty, jeśli sam nic nie ma. Dobrze póki są wikarymi, bo proboszcz wszystko płaci,

ale co będzie, gdy taki otrzyma parafię? Tych Maryawitów stworzył biskup chyba tylko na udrękę proboszczów, westchnął żałośnie. I tylu się ich namnożyło! Skarżył się na wikarych i Dudzicki i Wanek...

Sam nie poradzę, namyślił się, napiszę do tych kolegów, może wezwiemy i dziekana, trzeba coś postanowić... Że też Pan Bóg dopuścił na mnie tę chorobę i wziąłem wikarego; więcej on mi zdrowia zepsuł, aniżeli naprawię leczeniem.

Myśl jednak porozumienia się z innymi proboszczami i wspólnego działania, uspokoiła go i pokrzepiła. Doszedł nawet do postanowienia, że do czasu będzie patrzał przez palce na czynności wikarego, a może ten się zbłaźni i konsystorz odwoła go wcześnie, a innego, rozsądniejszego przyszle na czas tego leczenia się w zdrojowisku.

Wikary tegoż wieczora, porządkując w swym pokoju, otworzył szufladę stołu i stanął olśniony zobaczywszy obrazek Panny Maryi Nieustającej Pomocy, dany mu przez jednego z kolegów, a o którym był zapomniał. Patrzał zachwycony pięknością i dobrocią twarzy Maryi następnie ukląkł, modląc się żarliwie.

Umysł jego skłonny do mistycyzmu, odnalazł natychmiast cudowny związek pomiędzy czcią oddaną dzisiaj cudownemu obrazowi w kościele, a objawieniem mu, ażeby ten wizerunek Maryi umieścił w miejscu otwartem, i odnalezieniem tegoż dnia zapomnianego obrazu, wreszcie i w tem, że olśniewające te łaski spłynęły na niego w przeddzień rozpoczęcia nabożeństwa miesiąca Maryi.

Teraz nie wątpił, że Matka Boska użyła go za

pośrednika swego rozkazu, ażeby w tej parafii oddawano należną cześć Jej cudownemu obrazowi.

Upojony radością modlił się długo, wpatrując się nieustannie w rysy obrazu i odnajdując w nich boską miłość, bezgraniczne miłosierdzie i łaskawość przyjścia z pomocą wszystkim grzesznym i nieszczęśliwym.

XIV.

Jadąc kiedyś do Rudnik, niedaleko za Kościeńcem, zauważył wikary przy drodze zrujnowaną, pustą kapliczkę, pod cieniem rozłożystej lipy. Powziął był już wtedy zamiar odnowienia jej, a teraz, gdy rozmyślał o godnem umieszczeniu cudownego obrazu, przypomniała mu się ta kapliczka opuszczona.

I czy nie jest to cud oczywisty, zastanawiał się wikary, że tam, gdzie Najświętsza Panna chce czci doznawać, znalazła się właśnie pusta kapliczka.

Po odprawieniu mszy poszedł na wieś chcąc uprosić pomocy w odbudowaniu kaplicy. We wsi miał prócz życzliwych gospodarzy, także dwóch bliżej znajomych, Kaspra Sasa i Piotra Słodownika, którzy z niechęci ku proboszczowi sławili cnoty wikarego. W drodze do nich spotkał jadącą konno na spacer Klarę. Po przywitaniu powiedziała Klara z wymówką:

— Nie był u nas ksiądz wikary, a taka jestem ciekawa, co uradzono w mieście?

— Bardzo dużo, — rozjaśnił się, — nastaje nowa era w życiu Kościoła.

— Cóż takiego?

— Tu na drodze trudno opowiedzieć, ale jeśli pani

sobie życzy, przyjdę do dworu wolnym czasem, — szedł dalej, a ona jechała obok niego.

— Bardzo proszę. I czem ksiądz wikary taki zajęty? — uśmiechnęła się.

— Niezmiernie ważną sprawą, — mówił z przejęciem, — idzie o cześć i honor Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy w miesiącu Jej poświęconym.

— Gdzież Jej wizerunek? Nie zauważyłam w kościele.

— Jest... ale dość opuszczony. Jednak Najświętsza Panna będzie miała swoją własną kaplicę, — uśmiechnął się radośnie, — idę właśnie do mych przyjaciół gospodarzy, ażeby mi pomogli i sam, o ile mi czas pozwoli, przyłożę rękę, ażeby odbudować kapliczkę. Tam umieszczę cudowny obraz i będę odprawiał nabożeństwo majowe na Jej cześć i chwałę.

Słuchała go z zajęciem, podziwiając jego entuzyazm i spytała zaciekawiona:

— Gdzież stoi ta kapliczka?

— Zapewne pani nie zauważyła. Stoi na drodze do Rudnik, taka opuszczona, zrujnowana, — westchnął.

— To zapewne pod lipą, znam ją dobrze, bo często jeżdżę w tę stronę. I to tę chce ksiądz wikary odnowić?

— Tę. Z pomocą Najświętszej Panny i dobrych ludzi, może mi się uda... Trzeba ją pobielić, dach połatać, dorobić drzwiczki i będzie gotowa.

— W tem pobożnem przedsięwzięciu pomogę trochę księdzu wikaremu, — powiedziała z uprzejmym uśmiechem, — pojadę i obaczę czego tam brakuje.

— I stokrotnie nagrodzi to Najświętsza Panna Nieustającej Pomocy. Cuda Jej są bardzo liczne, — mó-

wił z zapałem, — i ja sam niegodny doznałem już Jej łaski.

— Ksiądz wikary? — zdziwiła się.

— Tak jest... może kiedyś opowiem pani.

— Może teraz?

— O nie! Wpierw wykończę kaplicę, — stanął przed wrotami i dodał: — tu mieszka mój przyjaciel, gospodarz Kasper Sas.

— A cóż z lekcyą katechizmu? — spytała.

— Dziś będzie pod kościołem, ale pewno wrócę do chaty sadownika, bo w niej spokojniej.

Klara pożegnała go i pojechała wprost do opuszczonej kaplicy. Rozmyślała o dziwnym, a dla niej obcym entuzyazmie młodego księdza. Zastanawiała ją silna wiara jego i gorliwość, a ten entuzyazm religijny pociągał ją, widziała w nim jakiś objaw nieznanej, mistycznej siły. Przypomniały się jej słowa jego o miłości ewangelicznej, o współżyciu braterskiem wszystkich ludzi, a rozbudzona w tym kierunku jej wyobraźnia snuła nieskończone obrazy doskonałego szczęścia na ziemi. Chwilami czuła konieczną potrzebę wzięcia udziału w tem dziele odrodzenia ludzkości, ale ogarniało ją zwątpienie, czy potrafi coś zdziałać i czy wogóle praca ta przyda się naco na świecie.

Wikary pozyskał pomoc Sasa, który już wiedział, że proboszcz niechętnie widział nowy ten obraz w kościele. Również Piotr Słodownik chętnie przyrzekł zająć się poprawą kaplicy, a pomoc jego była tem cenniejsza, że w chwilach wolnych od gospodarstwa zajmował się mularką.

Przy wydatnej pomocy dworu, Kasper Sas uszczęśliwił wikarego wieczorem wiadomością, że kaplica jutro

do południa będzie gotowa do przyjęcia cudownego obrazu.

Z wielkiej radości wikary spał nieszczególnie tej nocy i po odprawieniu mszy udał się zaraz do kapliczki. Zadziwił się przyjemnie ujrzawszy, że szczerby i załamania murów zostały wyrównane, dach świecił nowymi gontami, a gotowano się do pobielenia jej zewnątrz i wewnątrz.

Rozczulony zaczął opowiadać o cudach Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy i w tym czasie nadjechała konno Klara. Wikary przerwał swe opowiadanie, a wiedząc od Kaspra, jak dużo przyczyniła się do odrestaurowania, serdecznie jej dziękował.

— Dlaczego nie bielicie kaplicy? — spytała po pewnym czasie.

— A bo ksiądz dobrodziej opowiadał nam ślicznie o cudach Najświętszej Panny i jeszcze nie skończył, — odpowiedział Piotr Słodownik.

— Niechże ksiądz wikary mówi, posłucham i ja chętnie.

Wikary, dbały o rozszerzenie czci cudownego obrazu, nie dał się prosić i z wielkiem przejęciem, barwnie i z uczuciem odmalował uzdrowienie dzieci w Rzymie, Hiszpanii, Belgii.

Mówił z prostotą, szczerze, z głęboką wiarą w prawdę cudów, używając zwrotów ewangelicznych, wysławiając niezmierną dobroć i łaskawość Królowej niebios.

— Przed Jej obrazem cudownym grzesznik poczuje skruchę, zwątpiały znajdzie wiarę, — mówił wzruszony, — nieszczęśliwy pociechę, a wszyscy, którzy szczerze i z ufnością uciekają się do Niej, doznają pomocy.

Klara słuchała go z wielkiem zajęciem, rozczulało

ją cierpienie matek przy chorobie dzieci i radość z uzdrowienia. Uczuwała dotychczas pustkę w życiu, brak celu, niemożność przejęcia się głębokiego jakimś przedmiotem czy ideą, i słuchając wikarego, poczuła głuchą, napół uświadomioną nadzieję, że może ta cudowna Matka Boska sprawi cud i wróci jej spokój wewnętrzny.

— Kiedyż ksiądz wikary przyniesie tu cudowny obraz? — spytała po chwili.

— Dziś, po skończonej lekcyi, pójdę z obrazem w towarzystwie dzieci, które tak ukochała Najświętsza Panna, a od jutra tu będzie codzienne nabożeństwo majowe przed zachodem słońca z nauką o bezmiernej miłości ku nam Najświętszej Panny.

— To już w kościele nie będzie nabożeństwa majowego? — zdziwił się Kasper.

— Będzie, ale po rannej mszy.

Wszczęto rozmowę o potrzebnych uzupełnieniach dla kaplicy, jak oszklenia, ogrodzenia, zasadzenia kwiatów i Klara odjechała, obiecując sobie uczęszczać na te nabożeństwa popołudniowe.

— Podobno restaurujesz księże wikary kaplicę pod lipą, — powiedział przy obiedzie proboszcz, — cóż to za tajemnica przedemną?

— Chciałem się pochwalić po skończeniu, — odparł wikary z rozjaśnioną twarzą.

— I ja miałem zamiar przyprowadzić tę kaplicę do porządku, — mówił proboszcz, — ale czy w czemkolwiek pójdzie mi na rękę ten pogański naród; o poprawę kościoła nie mogę się doprosić. Ciekaw jestem ile cię to kosztowało?

— Dobre słowo, nic więcej.

— To dziwne, a któż ci pomógł?

— Kasper Sas, Piotr Słodownik i dwór tutejszy, — powiedział trochę niepewnie.

— Tak!? — nachmurzył się proboszcz, — sami moi nieprzyjaciele. To zrobili umyślnie, na złość mnie, i jak mogłeś to przyjąć?

— W najzwyklejszy sposób, — odpowiedział spokojnie, — trzeba mi było mularza, więc poprosiłem Słodownika; trzeba mi było dach naprawić, zgodził się bezpłatnie Sas, materyał dał dwór, a ja to wszystko z wielką wdzięcznością przyjąłem.

— No, zapewne, ale zawsze należy mieć wzgląd na intencyę ofiary, tu napewno była zła intencya dokuczenia mi.

— Jeśli kto darmo daje swoją pracę i czas dla większej chwały Pana Boga, odrzucić nie godzi się.

— Hm... to prawda. Ci głupcy myśleli, że mi na złość zrobią, a ja rad jestem, że ta rudera naprawiona, bo takie rumowisko wstyd przynosiło parafii.

Jakiś czas trwało milczenie, aż odezwała się Blińska słodkim głosem:

— Już to niezwykłe szczęście ma ksiądz wikary u nas.

— A to jak rozumiesz? — zapytał proboszcz.

— Bo to proszę brata dobrodzieja, taki Szybicki, znany bezbożnik i ateusz, nietylko daje łaty, gonty, drzewo na ogrodzenie kaplicy, ale pozwala nawet córce dozorować tę robotę.

— Jakto? — zawołał proboszcz, — ona tam była? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Dopiero tuż przed obiadem doniosła mi o tem jedna gospodyni.

— Cóż ksiądz wikary na to? — spytał proboszcz.

— Jestem bardzo wdzięczny pannie Szybickiej, że przyczyniła się do chwały Maryi Panny.

— Hm... pilnuj się księże, pilnuj, — upominał go pleban, — już kaznodzieja Pański powiada: Nie dawaj niewieście mocy nad twą duszą, aby nie wstąpiła na siłę twoją i byłbyś zawstydzony. Z kobietą najlepiej z daleka, o sto mil, bo ona skusi najpobożniejszego.

— Wiem o tem, księże proboszczu, ale co do panny Szybickiej, to jesteśmy tak daleko od siebie, że ani jej, ani mnie nic nie grozi.

— To zarozumiałość, — upominał proboszcz surowo, — ty nie znasz przewrotności niewiast. Każda z nich przemyśliwa tylko nad tem, jak przyprowadzić mężczyznę do grzechu, a zwłaszcza kapłanów, bo wiadomo, że im tylko owoce zakazane smakują.

— Ogólnie nie można potępiać, — bronił łagodnie wikary. — Ileżto w Kościele mamy świętych patronek, które już w ziemskiem swem życiu wzorem były dla wiernych.

— To wyjątki wśród wyjątków, — upierał się proboszcz, — zważ, że sam Pan Bóg wypędzając z raju, daleko srożej ukarał Ewę, aniżeli Adama. Ten pracować ma w pocie czoła, a ona w bolach życie przepędzi, i sprawiedliwie, bo każda z nich chytra, zła i podstępna.

Blińska, dotknięta jak zwykle tą pogardą niewiast w jej obecności, nieśmiało wprawdzie, ale powiedziała:

— I Matka Boska była kobietą...

— Bluźnisz! — krzyknął proboszcz, — ona bez zmazy poczęta i prócz ziemskiego ciała nic kobiecego nie miała.

— Ale karmiła Jezusa, — szepnęła.

— Głupstwa pleciesz, — zgromił ją proboszcz, —

nie mieszaj się do kapłańskiej rozmowy, — i odsapnąwszy, spytał wikarego: — a kaplica komu będzie poświęcona?

— To miesiąc Maryi Panny, więc godzi się poświęcić tylko Jej tę kaplicę.

— No, tak... a skąd figura?

— Na razie nie mam. Będzie tylko obraz cudowny Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy.

— Czy ten z kościoła? — skrzywił się proboszcz.

— Gdzieżbym się ośmielił zrobić coś podobnego, — zawołał wikary, — mam inny.

— To dobrze, — skinął proboszcz głową i wszczął z siostrą rozmowę o sprawach gospodarskich.

Wikary poszedł przyozdobić kapliczkę, a gdy po lekcyi katechizmu, ubrany w komżę i stułę, wyruszył z obrazem w ręku, towarzyszyły mu nietylko dzieci z nauki, ale dosyć gospodyń i gospodarzy. Śpiewając znaną pieśń »Serdeczna Matko«, szli procesyonalnie do kapliczki, której wnętrze pełne zieloności i kwiatów, stanowiło prawdziwie majowe i odświętne tło dla obrazu, a silna, wytworna woń mnóstwa narcyzów, niby kadzidło, nastrajała uroczyście a radośnie.

Wierni zaczęli śpiewać litanię, w czasie której polną drogą przyszła Klara i niedostrzeżona przez wikarego stanęła na uboczu.

Po litanii zaczął wikary naukę od przypomnienia, że Pan Bóg w czwartem przykazaniu rozkazuje dzieciom czcić ojca i matkę swoją, ale nie nakazuje rodzicom miłości dla dzieci, gdyż oni, a zwłaszcza matki, zawsze je kochają. I jeśli matka ziemska o setki, o tysiące mil odczuwa i słyszy prawie płacz i krzywdę swego dziecka, cóż dopiero Matka Boska, matka Chrystusa, który jest

sam najdoskonalszą miłością, a Matkę swą uczynił matką wszystkich wiernych. I powołując się na ziemskie uczucia macierzyńskie, sławił miłość, współczucie i miłosierdzie Matki Boskiej.

Nauka ta rozczuliła dzieci barwnymi obrazami troskliwości matek, a oczarowała liczne niewiasty, które wspominając swe dzieci płakały i gorąco wzdychały.

Na Klarze, pamiętającej swą zmarłą matkę, nauka wikarego zrobiła silne wrażenie. Uczuła dziwną miłość i ufność do Matki Boskiej i skruszona, rozrzewniona, postanowiła oddać się w Jej opiekę i naśladować Jej miłość dla biednych i opuszczonych. W wikarym widziała tylko czciciela Maryi i rzecznika Jej miłości dla ludzi. Zniknął człowiek, został apostoł boskiej miłości wśród grzesznych i smutnych ludzi.

Minęło kilka dni, a wikary tak był zajęty nauką dzieci, przyozdabianiem kapliczki świeżymi kwiatami i nabożeństwem majowem, że nie miał czasu na odwiedziny dworu, a jakkolwiek Klarę widywał przy kapliczce, lecz ta po skończonej nauce szybko się oddalała.

Jednego dnia w południe, proboszcz wręczył mu przesyłkę pocztową dość znacznej objętości. Otworzył ją w swym pokoju zaciekawiony i zobaczył strój Maryawitów, przysłany mu przez matkę Bronisławę. Uradowany natychmiast się przebrał, a wyszedłszy z domu spotkał w ogrodzie proboszcza.

Obaczywszy go w tem przebraniu, proboszcz przystanął, jakiś czas patrzał oburzony, wreszcie splunął i zawołał:

— — A to co za maskarada!? Żadnych komedyi, księże wikary! Trzeba szanować urząd kapłański i nosić przepisany ubiór!

— To jest habit Maryawitów, — odpowiedział trochę zmieszany.

— A co mnie obchodzą jacyś tam Maryawici!? Jesteś wikarym na probostwie i masz nosić sutannę, ubierać się jak każdy ksiądz przyzwoity.

— Czyż ten habit jest gorszący? Skrojony jest jak sutanna, a że nie z tak drogiego sukna, to rzecz podrzędna.

— Nie zawracaj mi głowy suknem, idzie o sukienkę kapłańską. Wyglądasz jak czupiradło z budy jarmarcznej, ani w tem powagi, ani dostojności, — krzyczał na cały głos; wybiegły też Blińska i Kasia, a i Grzela zaglądał przez płot, — zaraz mi się przebierz po ludzku!

Wikary poczerwieniał z gniewu, wstyd mu było świadków, drażnił go rozkaz proboszcza i bolało go, że ten strój, który uważał za najpiękniejszy, został tak sponiewierany. Odpowiedział też z powstrzymywanym gniewem:

— To jest strój Maryawitów, a należąc do nich wolno mi go nosić.

— Ależ obacz się w lustrze, człowieku, jak wyglądasz, zapuść tylko brodę i włosy, a każdy weźmie cię...

Tego było za wiele wikaremu, pobladł i rzekł drżącym głosem:

— Drwiny księdza proboszcza mnie nie dotkną. Tak noszą się księża rzymscy, czciciele eucharystyi, — wskazał na monstrancyę wyhaftowaną na piersiach.

— Kościół katolicki nie uznaje żadnej mody... Wolno im w Rzymie, ale nie tu w Polsce, w mojej parafii. Rozumiesz? — i z wielkiej pasyi ścinał laską trawy i kwiaty przydrożne.

— A ja muszę i będę się tak ubierał! — zawołał wikary.

— A ja nie puszczę cię do kościoła! — krzyknął siny z gniewu proboszcz, a dostrzegłszy Grzelę rozkazał: — wołaj tu Łukasza!

Wikary, drżący z oburzenia, przeszedł dziedziniec i udał się w stronę kapliczki.

Do rozsierdzonego i zasapanego proboszcza podbiegła Blińska mówiąc płaczliwie:

— Jezus! Marya! jak brat dobrodziej wygląda! Uchowaj Boże nieszczęścia! A wszystko przez tego draba wikarego! Jakiż to niegodziwy człowiek!

— Mało, człowiek! — wybuchnął proboszcz, — ale to niegodny kapłan! Widziałaś jak się przebrał?! To wstyd! to hańba! to zakałę przynosi naszemu stanowi, który dotychczas był tak czczony i szanowany!

— Widziałam, widziałam, — jęknęła, — do czego to podobne! Jakaś peleryna, sznur z boku i rękawy ściśnięte w kostce, że mankietów nie sposób włożyć... Cały zakutany, jak baba w spódnicy.

— Co mi tam pleciesz!? Sam przecież widziałem, mam jeszcze oczy... Nie pozwolę na takie sromocenie kapłańskiego stanu i koniec... Przygotuj mi wody z winem. Alem się zirytował! — odetchnął głęboko.

— Boże! Boże! Odwróć od nas nieszczęście! — zapłakała Blińska.

— Nie kracz! — rozgniewał się proboszcz, — przygotuj wody z winem... tak, w połowie! — i do odchodzącej: — jedna trzecia wody!

Nadbiegł Łukasz i ciężko oddychając stanął bez czapki przed proboszczem:

— Słuchaj! Gdyby ksiądz wikary przyszedł do ko-

ścioła w swojem cudacznem przebraniu, nie puść do zakrystyi! Rozumiesz?

— Tak, proszę łaski księdza proboszcza.

— Jeśli puścisz, stracisz miejsce! Ruszaj!

Łukasz pokłonił się nizko, a na twarzy jego widać było zadowolenie. Wprawdzie nie miał wyraźnego powodu niechęci do wikarego, ale nie lubił go za zmiany, które wprowadził, za zbyt ranną mszę, za częste nabożeństwa i nawet za uprzejmość, gdyż Kęcki nigdy go nie skrzyczał i nie wyzywał.

Wikary w gorących promieniach słońca szedł ku kaplicy wielkimi krokami, pogrążony w gorzkich i smutnych rozmyślaniach. Uczuł cały ciężar swego położenia w plebanii. Docinki za posty, za gorliwość, za naukę dzieci, za wizyty we dworze, za stosunki z parafianami, za niepobieranie pieniędzy i opłat, wyrastały teraz na obelgi i pogardę. Zaś ostatnie zajście o strój maryawicki napełniło go niezmierną goryczą i oburzeniem.

Skrzyczał go proboszcz publicznie, wobec świadków, zabronił jak dzieciakowi ubrania; groził niewpuszczeniem do kościoła. I co teraz robić?

Czyż dla dogodzenia fantazyi proboszcza ma rzucić obowiązujący go już a ukochany strój? Ten symbol jego przynależności nietylko do Kościoła, ale do pracujących nad odrodzeniem całego świata? Czy ma się wyrzec słów świętej ewangelii i głoszenia przykazań czynnego miłosierdzia i miłości braterskiej?

Nie! Tego zabrania mu jego sumienie kapłańskie! Nie zgodzi się, chociażby proboszcz zamknął kościół i nie dozwolił mu wstępu.

Czuł wzrastającą w sobie już nie niechęć do pro-

boszcza, ale nienawiść, a poczucie to czyniło go nieszczęśliwym nad wszelki wyraz.

— Zatruł mi serce! — szepnął zrozpaczony — i już nie odnajdę spokoju!

Rozżalony, zbolały, znękany, dotarł do samotnej kapliczki. Spojrzał na cudowny obraz i padł na kolana modląc się gorąco o pomoc, o zlitowanie, o pociechę w tem wielkiem strapieniu.

Bezwiednie popłynęły mu z oczu łzy gorące, znacząc różowawo swe ślady na jego przybladłej twarzy. Modlił się coraz żarliwiej, szepcząc przy zniżeniu głowy niemal do ziemi:

— Zmiłuj się nademną!... Pociesz Maryo!... Wspomóż mnie!... Ulituj się Maryo!

Zatopiony w modlitwie nie posłyszał cichych kroków Klary, która drogą polną zbliżała się do kapliczki. I ona również nie dostrzegła wikarego, bo go zasłaniała kapliczka i lipa. Zamyślona, w jasnej sukni, z bukietem polnych kwiatów w ręce, szła zwolna, a natknąwszy się niemal na pochylonego i klęczącego wikarego, stanęła jak wryta.

On odczuł, że ktoś obcy się zbliżył, skończywszy modlitwę obejrzał się i spostrzegł Klarę.

Podniósł się zwolna, jak chorobą złamany człowiek i siląc się na uśmiech, rzekł cicho:

— Dobry dzień pani.

Zdziwiona patrzała na twarz jego zbolałą, zmiętą, na zmącone oczy i spytała ze współczuciem:

— Co księdzu wikaremu? Może chory?

— Tak, mam chorą duszę i upadam pod krzyżem, który dźwigam.

— Cóż się stało? Jeszcze wczoraj ksiądz wikary

był dzielny, dobrej myśli i otuchy. Słyszałam wczorajszą naukę, była bardzo ładna, a dziś skąd zmiana?

Wikarego wzruszyło współczucie Klary, wypowiedziane głosem dźwięcznym i słodkim. Oparł się o słup ogrodzenia i błądząc oczyma po polach i łąkach mówił złamanym głosem:

— Człowiek jest grzeszny i ułomny. Zdawało mi się, że żadna krzywda ziemska nie może zmącić tej miłości Chrystusa i Maryi, która przepełnia moje serce... I upadłem przy pierwszem starciu ze światem!

— To chwilowe, przeminie, i jak zwykle po burzy słońce zaświeci.

— O nie! Czuję gorycz, żal, buntuje się mój duch i znikąd pomocy... Stoję bezradny i nie wiem co czynić?

— Wie ksiądz, czworo oczu lepiej widzi aniżeli dwoje. Opowie mi ksiądz swoje smutki i wspólnie coś uradzimy.

Usiadła pod lipą na ławce, którą kazała zrobić dla wygody przechodniów i powiedziała uprzejmie:

— Niech ksiądz usiądzie... będzie lepiej.

Wikary jednak nie ruszył się i patrzał posępnie przed siebie.

— Jeśli księdzu trudno się zwierzyć, to przynajmniej proszę mi powiedzieć o zjeździe w mieście, to mam obiecane.

Klara z przyjemnością zobaczyła, że udało się jej rozruszać wikarego, który ożywił się wspomnieniem chwil radośnie przeżytych i zaczął:

— Ten zjazd to jedyne słońce w mem dotychczasowem życiu. Zgromadzili się bracia ożywieni wszyscy jednaką miłością i gorliwością dla Kościoła Jezusa Chrystusa. Wszyscy przepełnieni duchem miłości ewangeli-

cznej i miłosierdzia. Był to jeden chór harmonii, zgody i pewności odrodzenia Kościoła i świata...

— Tak, to musiało być podniosłe i piękne, — mówiła rozmarzona Klara.

— Cudowne! — zachwycał się wikary. — Wszyscy ożywieni jedną myślą, jedną duszą, jednem sercem. Zdawało mi się, że jestem przeniesiony w inny świat, jasny, dobry, szlachetny. Nic nie było tam ziemskiego, brudnego, egoistycznego, a nad nami czułem opiekę Chrystusa, osłaniała nas swym płaszczem Matka Boska Nieustającej Pomocy.

Umilkł z twarzą rozpromienioną, z oczyma jasnemi, a ona głosem cichym jak szmer strumyka, spytała:

— I co dalej? Słucham!

— Zawiązaliśmy zgromadzenie Maryawitów, ku czci Najświętszej Panny Maryi Nieustającej Pomocy i złożyliśmy śluby ubóstwa, pokory, miłości i miłosierdzia ewangelicznego w czynie.

— Tak, to odrodzenie, — szepnęła.

— Odrodzenie! Odrodzenie świata, — mówił zapalając się. — Nas osiemdziesięciu, na razie tylko tak mało, idziemy pomiędzy lud z ewangelią i szerzymy czynną miłość bliźniego, miłosierdzie i współczucie ewangeliczne, przeczyste. Czy nie zmieni to z gruntu stosunków ludzkich? czy nie wypleni grzechów, które przeważnie płyną z egoizmu, zazdrości, nienawiści!? Gdy biedny znajdzie chleb, nieszczęśliwy pociechę, opuszczony opiekę, jakże inny będzie ten świat!

— To prawda... gdyby dożyć tej chwili, — westchnęła uniesiona tym obrazem przyszłości.

— Dla poznania braci i jako symbol naszych ślu-

bów przywdziejemy habit ubóstwa i pokory, — spojrzał po sobie.

— Prawda, — patrzała zdziwiona, — nie zauważyłam... To bardzo ładny i skromny strój... i jaki piękny symbol z tą monstrancyą... Kto go obmyślił?

— Wzór podobno z Rzymu.

— I tak będzie chodził ksiądz wikary?

— Nie wiem czy zaraz, — sposępniał.

Odczuła Klara, że dotknęła przykrej sprawy i powiedziała przyjaźnie:

— Strój jest tylko symbolem, jak się sam ksiądz wyraził, może są chwilowe przeszkody ze strony rządu, ale one dadzą się usunąć z czasem... tylko cierpliwości.

— Nie rząd! — wybuchnął wikary, — ale przełożony, który powinien zachęcić, umocnić, utrwalić, radować się!

— Któż taki?

— Proboszcz, — odpowiedział ciszej, — on mi zabronił, grozi niewpuszczeniem do kościoła i pewno wydał już ten rozkaz swemu zausznikowi kościelnemu.

Tak wzburzonego Kęckiego nie widziała jeszcze, zdziwiła się i rzekła łagodnie:

— Kto ludzi miłuje, ten im przebacza każdą przykrość i krzywdę.

Patrzał na nią przez chwilę, westchnął i rzekł cichym głosem:

— Przez panią przemówiło sumienie szczerej chrześcijanki. Zawiniłem i postaram się o poprawę.

W tej chwili przeszły drogą dwie wiejskie niewiasty, wracające z pola do wsi, i pozdrowiwszy księdza, pilnie przypatrzyły się Klarze.

— Czas mi na naukę katechizmu, widzę, że idą

dzieci, a muszę się przebrać, — pożegnał się i szybko odszedł.

Klara długo patrzyła za nim, póki nie znikł na zakręcie, a na usta jej cisnęły się słowa: jaki ten ksiądz dobry i szczery!

Wikary ujrzał zdaleka proboszcza siedzącego na ganku. Pił herbatę, palił papierosa i gniewnie patrzał na młodego Maryawitę.

Wikary zbliżył się, wszedł na ganek i stanąwszy pokornie rzekł:

— Księże proboszczu, zawiniłem porywczością i szczerze proszę o przebaczenie.

Proboszcz gotował się do dalszej uporczywej walki, tymczasem zachowanie się wikarego zaskoczyło go i nie znalazł stosownego frazesu, tylko puszczając kłąb dymu powiedział:

— No, tak... hm... a widzisz. No, przyszedłeś do rozumu, to dobrze.

— Czy mam koniecznie się przebrać?

— Naturalnie, kapłan to żołnierz Chrystusowy i ma swój mundur.

Wikary skłonił się i ze ściśniętem sercem poszedł przebrać się do swego pokoju.

XV.

Proboszcz Marski miał wyjechać do zdrojowiska za pięć dni i niepokoił się, że dotychczas nie otrzymał od zaproszonych na naradę kolegów proboszczów żadnej wiadomości.

Nareszcie wieczorem przyniesiono z poczty list,

w którym ksiądz Wanek, proboszcz ze Strzelczewa, donosił, że przyjedzie w dniu jutrzejszym na obiad. Co zaś do proboszcza Dudzickiego i jego przyjazdu, pisał, że ten wyjechał na jarmark koński i na swe miejsce przyszle proboszcza księdza Orawskiego, a co uchwalimy, on zgodzi się na to.

Po przeczytaniu listu proboszcz zawołał siostrę i uwiadomiwszy ją o pożądanych gościach mówił:

— Trzeba, Marto, przygotować dobry obiad, bo Wanek smakosz i zna się na kuchni. Nie chciałbym, ażeby mnie obmówił po okolicy. Sądzę, że dasz zupę rakową...

— Kiedy nie mam raków, — powiedziała zafrasowana, — ostatnie dałam bratu onegdaj.

— To się postaraj, od czego głowa? — podniósł głos, — zupa rakowa musi być, ale dobra, bo ty lubisz czasem spartolić. Skorupki z nadziewką, szyjki i większe łapki obrać, resztę całą utłuc w moździerzu... pamiętasz przepis?

— Czy mi to pierwszy raz!? Tylko te raki...

— No, ja nie pójdę łapać, — rozłożył ręce. — niech zresztą Kaśka skoczy do Łukasza i niech mu powie, że raki muszą być i to rano.

— Dobrze, powiem, — chciała odejść.

— Zaczekaj! Gdzie lecisz?... Jeśli teraz tracisz głowę, co będzie jutro? Miejże rozum i zastanowienie.. Otóż zupa rakowa, a do wódki paszteciki, kruche, z mózgiem, albo mięsem... Postaraj się o rybę, dostaniesz u młynarza... Po rybie dasz polędwicę, albo dobrą cielęcinę z kompotem i sałatą...

— Dobrze, ale co dam do kurcząt, jeśli sałatę do cielęciny?

— W tem twoja głowa, nie dość, że ci radzę? Po kurczętach budyń, albo tort hiszpański, no i kawa. Trunki sam przygotuję.

— Czy to już wszystko?

— No, przydałyby się owoce, ale niema, dajże sera... a nadzianie kurcząt, ażeby było pulchne, smaczne...

— Boże! Boże! Dlaczegóż nie dał znać proboszcz Wanek wcześniej!? — narzekała, — a teraz wszystko łap! cap! i wszystko na mnie. Już wiem, że brat będzie niekontent.

— Jeśli źle zrobisz, to któż winien?... Idź, co się da przygotować dzisiaj, to zrób. Kurczęta dziś pobić, skruszeją... — już była przy drzwiach, gdy zawołał: — Marto! a nie możnaby dostać szparagów? co?

— Myślałam o tem, ale szparagarnia u Szybickiego, jakże dostać?

— O, od niego nie chcę! Nic!

— Bracie, a gdyby tak przez wikarego? On dobrze z nią... widziano ich razem przy kaplicy...

— Kiedy? — spytał z żywością.

— Ano, w ten dzień, kiedy się przebrał jak pajac jaki... ale czy to raz jeden?

— Jakto?

— Raz złapali ich razem, a Bóg jeden wie, ile razy spotkali się.

— To źle!... To bardzo źle! No, rozmówię się z nim... A co do tych szparagów, zrób sama jak uważasz, ja o niczem nie wiem i nie chcę wiedzieć. Rozumiesz?

— Słyszę przecież.

— A swoją drogą byłoby to nieźle.

— Spróbuję, może się uda.

— Pamiętaj, że ja nic nie wiem.

— Dobrze.

Gdy wyszła od proboszcza, schwyciła się rękami za głowę i jęknęła:

— Boże! Boże! Co tu kłopotu! A wszystko na mojej biednej głowie!

Przez okno zajrzała, czy u wikarego świeci się, a przekonawszy się o tem, zapukała delikatnie.

— Kto tam?

— To ja... księże wikary. Czy nie przeszkadzam? Może ksiądz wikary śpi?

— Nie... a czego? Proszę wejść.

— O nie!... Nie wypada! Może ksiądz wikary zechce pofatygować się do jadalnego pokoju na małą chwileczkę.

— Dobrze! — usłyszała stuk odsuwanego krzesła i szybko pobiegła do drzwi jadalnego pokoju.

— Czego, proszę pani? — spytał wchodząc, — może kto zachorował?

— A uchowaj Boże!... Niechże ksiądz wikary siada... może herbatki? zaraz przyniosę, trochę chłodno dzisiaj.

— Nie, dziękuję. Co się stało? — nie usiadł na krześle.

— To sprawa taka... Jutro zjedzie do nas ksiądz proboszcz Wanek...

— Może z wikarym Orzelskim? — przerwał jej z żywością.

— Nie wiem... może, — odpowiedziała rozmyślnie niepewnie, — i ksiądz proboszcz Orawski. Trzeba ich przyjąć obiadem... a u nas bieda, żadnych jarzyn... no, nic, — westchnęła i smutnie spojrzała na wikarego.

— Więc daj pani, co jest w domu, przecież nie przyjeżdżają na jedzenie.

— Gdzieżby zaś — zaprzeczyła, — ale trzeba przyjąć gościnnie, uczciwie, niech widzą, że my ich radośnie witamy.

— Dobrze, niech i tak będzie — niecierpliwił się, — ale co ja na to poradzę?

— O, tylko ksiądz wikary.

— Jakim sposobem?

— Na obiad potrzeba nam szparagów, a te są tylko u pana Szybickiego. Ksiądz wikary jest z nim w dobrych stosunkach i wystarczy jedno słowo, a szparagi będą.

— Jakże mogę wymagać? Nie prowadzę domu, nie mam kucharki... to byłoby dziwne i niewłaściwe.

— Jakaż to szkoda, — westchnęła. — a tak się cieszyłam, że dogodzę wszystkim.

Wikaremu przyszła myśl, że te szparagi mogą stać się zawiązkiem porozumienia dwóch przeciwników i spytał:

— Czy ksiądz proboszcz wie o szparagach pana Szybickiego?

— O szparagarni wie, sama mu wspominałam przy układaniu obiadu... ale o posyłaniu po szparagi nie wie.

— To źle... gdyby sam zażądał, postarałbym się.

— Pewno już śpi... a brat źle sypia, nie mogę go budzić, lecz jeśli o to idzie, powiem jutro sama, ale sama, nie ksiądz wikary.

— Czy napewno powie pani?

— Jak Bozię kocham, czy ja kłamię kiedy?

— Więc dobrze... szparagi będą, ale że one są od pana Szybickiego musi ksiądz proboszcz wiedzieć.

— I będzie, — upewniła stanowczo.

— Ileż trzeba i na kiedy?

— Ze dwie... trzy kopy, i jutro na godzinę dziesiątą, bo trzeba oczyścić i przygotować.

— Dobrze, postaram się. Dobranoc pani, — i odszedł.

Nazajutrz udał się do dworu, nie zastał pana Szybickiego, przyjęła go jednak Klara.

— Przyszedłem do ojca pani z prośbą.

— Żałuję, że ksiądz wikary nie zastał go w domu. Wyjechał do sąsiada, gdzie odbywa się próba pługa nowej konstrukcyi. Na obiad wróci... ale może ja mogłabym sprawę załatwić?

— Nie wiem.. idzie o szparagi. Do proboszcza zjadą dziś goście na obiad, brakuje mu szparagów, więc przysyła mnie z prośbą, ażeby mu odstąpił pan Szybicki jedną lub dwie kopy szparagów.

— O, to rzecz najmniejsza, — uśmiechnęła się, — jestem pewna, że na żądanie księdza wikarego ojciec dałby chętnie. Zaraz każę wyciąć i odesłać. Ile trzeba?

— Kopę lub dwie.

Natychmiast podniosła się z fotelika, wyszła i wkrótce wróciła mówiąc:

— Już rozporządziłam i szparagi odeszlą... i cieszy mnie, że przy tej sposobności ksiądz wikary musiał nas odwiedzić.

— Naprawdę jestem bardzo zajęty, — usprawiedliwiał się, — nie miałem chwili swobodnej.

Umilkli, ona raz i drugi raz bacznie spojrzała na niego i rzekła:

— Bardzo często myślę teraz o Maryawitach... czy niema nic nowego?

— Nie, pani, to okres przygotowawczy, pracujemy i przygotowujemy rolę pod zasiew ewangeliczny.

— Jaka szkoda, — westchnęła, — że kobiety nie mogą brać udziału w pracy około tego odrodzenia.

— I owszem, biorą... Nawet jedna pobożna i zacna kobieta jest moralną założycielką Maryawitów.

— Kobieta? — zdziwiła się szczerze, — zdawało mi się, że tylko sami księża rozpoczęli ten nowy ruch.

— Tak jest, ale ona dała inicyatywę, ona chwiejnych podtrzymywała, zachęcała, utrwalała ich wiarę w powodzenie tej zbożnej pracy. Bez niej ruch ten cudowny byłby zanikł i spełzł na niczem.

— I jak się nazywa ona?

— Nie wolno mi nic na razie powiedzieć, bo gdyby się rząd dowiedział, mogłoby to doprowadzić do ruiny jej zakład.

Milczała przez chwilę, wreszcie odetchnęła jak po ciężkiej pracy i rzekła z uśmiechem:

— Ksiądz wikary myśli, że my, kobiety, nie wiemy co się dzieje w świecie, a zwłaszcza w naszym, niewieścim.

— Tego nie twierdziłem, — zaprzeczył.

— A jednak ksiądz otacza tajemnicą tak dobrze znany mi fakt, jak istnienie tajnych zakonów kobiecych.

— Przecież nie mówiliśmy o tem, — poczerwieniał wbrew woli.

— Owszem, mówiliśmy. Ksiądz wikary opowiadał, że niewiasta zachęcała księży do utworzenia związku, i że zakład jej byłby narażony na zgubę. Wnioskując logicznie, musi się przyjść do przekonania, że niewiasta owa jest przełożoną zakonu. Czy to jasne?

— No, tak... zgadła pani, — przyznał z pewnem wahaniem.

— Nie zgadłam, — zaśmiała się, — lecz wyrozumiałam... Więc to ona, ta przełożona bez nazwiska, jest współzałożycielką Maryawitów? to dobrze, ale nie bierze czynnego udziału w dalszej pracy, tylko księża?

— W swym zakresie pracuje owocnie i usilnie, — zapalał się wikary, — zakon utrzymuje się własną pracą ręczną, a wszelkie oszczędności idą na ochronkę, na szkołę, na fachowe kształcenie ubogich dziewcząt. I gdyby pani widziała jak tam cicho, spokojnie, rozkosznie, to prawdziwy zakątek raju.

— A jej przekonania? — spytała zaciekawiona.

— Te same co Maryawitów, przecież ona jest założycielką.

— Dziękuję księdzu za tę wiadomość... może mi się przyda kiedyś.

— Ale pani będzie pamiętała, że to tajemnica, — zastrzegł się z żywością.

— Nic mi przecież ksiądz wikary nie powiedział, ani kto ona, ani gdzie? Może i domyślam się... a w każdym razie sekretu dochowam.

— Dziękuję pani, — wstał z krzesła.

— Już ksiądz wikary odchodzi? — powiedziała z żalem, — a miał mi ksiądz opowiedzieć, jakiej łaski doznał od Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy.

— Nie teraz... innym razem. Mam do załatwienia sprawę na wsi.

— Czy nie może ta sprawa poczekać?

— Nie, bo to chory, zgnębiony człowiek czeka na mnie, — skłonił się i wyszedł.

To odejście jego mimo zaproszenia, ażeby pozo-

stał, wzbudziło w niej szacunek. Każdy inny byłby został, a on poszedł za głosem obowiązku do człowieka chorego, który leży zapewne w brudnej chacie. To człowiek niezwykły, i byłby takim na każdem stanowisku, a już księdzem jest wyjątkowym, niemal świętym... I takie ma dobre, marzące oczy, które znów błyszczą i promienieją, gdy mówi o ewangelii i kreśli obrazy przyszłości świata. Taki niezwykły, takiej siły i energii, a przytem pokorny i szczery, naiwny jak dziecko i wszystkich kocha.

No, a mnie? nasunęło jej się pytanie. Zapewne kocha, jak Marysię, Basię, Jędrka czy Jaśka, i mimowoli westchnęła... lecz gdyby... gdyby mnie mógł więcej niż innych, nie kochać, ale lubić? To możliwemby było, gdybym na to zasługiwała, ale jaka ja marna, słaba, chwiejna, wobec niego!

Po obiedzie zaprosił proboszcz gości do swego pokoju na kawę czarną i cygara.

— Doskonały był twój obiad, zazdroszczę ci twej siostry, — mówił wesoło ksiądz Wanek z twarzą opaloną, z oczyma błyszczącemi, — ale nigdzie nie smakuje tak jedzenie, jak w lesie po polowaniu... to prawdziwa rozkosz, — i usiadł na fotelu przy stole, przyciągając ku sobie pudełko z cygarami, — a jakże ci smakowała zupa rakowa? — zwrócił się do księdza Orawskiego, siedzącego przy stole i popijającego kawę.

— Bardzo dobra była, — uśmiechnął się jakby zawstydzony i spuścił swe łagodne, ciemne oczy.

— To mało! Wyśmienita! — śmiał się wesoło ksiądz Wanek.

— Wiesz, tak mało znam się na jedzeniu, że często nie rozróżniam potraw.

— Toś upośledzony! — zawołał Wanek, — brakuje ci zmysłu smaku. Może nie rozróżniasz koniaku od likieru? No, spróbuj i powiedz, co ci nalał kochany nasz gospodarz, — podsunął mu kieliszek.

Ksiądz Orawski ostrożnie podniósł kieliszek, skosztował i gdy proboszcz i Wanek patrzyli z oczekiwaniem na niego, powiedział nieśmiało:

— Zdaje mi się, że to... likier, bo słodki.

Dwaj księża wybuchnęli śmiechem, a Wanek zawołał:

— No, i daj tu takiemu barbarzyńcy coś dobrego do wypicia czy jedzenia!... No, a umiesz odróżnić szparagi od kapusty? — śmiał się.

— O, to potrafię, — odpowiedział śmiejąc się, — i niech cię to nie zraża do mnie, Piotrze, — patrzał na gospodarza, nalewającego z maszynki spirytusowej kawę, — że nie znam się na dobrym stole, u mnie taka bieda, że zadawalniam się byle czem, to i sposobności nie mam do nauczenia się czegoś pod tym względem.

— Tak!? — zaciągnął się dymem z cygara gospodarz i rozkoszował się zapachem, — nie bardzo ci wierzę. Masz doskonałą parafię, chłopi bogaci... i wszyscy ci zazdrościli... a ten mówi o braku pieniędzy! Bajki!

— Wierz mi, że nie mam.

— Ja ci wyjawię całą tajemnicę, — odezwał się ksiądz Wanek, wyciągając się w fotelu, — Orawski jest za dobry, nigdy nie targuje się, bierze co dają, no, a wiadomo jakie te nasze baranki skąpe, — zaśmiał się, — i zawsze ma rękę otwartą, to też drą z niego, co tylko się da.

— No, no, tak źle nie jest, — uśmiechnął się dobrotliwie ksiądz Orawski, — ostatecznie mam wszystko, co mi potrzeba, i czy to nie dosyć?

— Pal, proszę cię, wcale dobre cygara, — podsunął mu pudełko gospodarz.

— Dziękuję ci, nie palę od roku, to zbyteczny wydatek. Czasem miewam pokusę, ale wstrzymuję się i dobrze mi z tem.

— Więc to przez oszczędność? — spytał gospodarz.

— Wiesz, czułem zawsze wyrzuty sumienia, że palę za pieniądze parafian, ale nie zrywałem z nałogiem, dopiero gdy przybył do mnie wikary, ksiądz Szklarek, a ten nie pali, ani pije, zbudowany tem, postanowiłem przemódz się, no i udało mi się przy pomocy boskiej.

— A więc i ty masz takiego ptaszka, — zawołał proboszcz Marski, — ten napewno Maryawita! Co, zgadłem?

— Tak jest, on należy do związku.

— No, i co? Jak sobie z nim radzisz?

— Żyjemy w przyjaźni; dlaczego się pytasz, czy znasz księdza Szklarka?

— Znam... znam, — zaśmiał się złośliwie, — to pewno rodzony braciszek mego wikarego.

— Brat? — zdziwił się, — nie wspomniał mi o tem ksiądz Szklarek.

— Jakiś ty naiwny, — powiedział marszcząc brwi gospodarz, — mój wikary Kęcki jest także Maryawitą i stąd ich braterstwo.

— A ja mam trzeciego, — zaśmiał się proboszcz Wanek, — dobry człowiek, ale narwany na punkcie po-

bożności, postów, posług religijnych bezpłatnych, trzymam go jednak ostro i jakoś się wlecze.

— Takiego jak mój wikary, chyba nie macie, — zaczął gospodarz, nalewając koniak w kieliszki, — pal go kaci, że nie pali, nie pije, pości jak waryat, ale wtrąca mi się do kościoła...

— No, dałeś mu bobu, — zaśmiał się ksiądz Wanek, — bo kościół to twoja słaba strona.

— I nietylko chce gospodarować w moim kościele, — oburzał się proboszcz, — ale daje mi nauki moralne, podkopuje mój wpływ na parafian, niżej krytyki przygotowuje dzieci do pierwszej komunii, a na ukoronowanie wszystkiego, wyłazi jednego dnia cudacznie przebrany!

— Czy za kobietę? — śmiał się Wanek.

— Nie kpij! — zgromił go proboszcz, — ja naprawdę mam z nim wielkie zmartwienie i nie wiem co począć.

— Jakże się przebrał? — dopytywał się ksiądz Orawski, — a może on tego, — dotknął palcem czoła.

— Jeśli nie jest, to będzie, — rzekł stanowczym głosem proboszcz, — przebrał się w jakiś habit, jak powiada, maryawicki.

— Głupstwo, — zaśmiał się swobodnie ksiądz Wanek i po wypiciu koniaku kończył: — przebrał się i mój Orzelski, złapałem go, aż tu dziekan przyjeżdża...

— Kiedyż był dziekan u ciebie? — przerwał mu ksiądz Orawski, — czy to objazd, czy wizyta?

— Nie przeszkadzaj, — niecierpliwił się gospodarz, — później spytasz... no, i co dalej?... przyjeżdża dziekan... mów!

— Wytoczyła się sprawa przed jego forum, a dzie-

kan, jak dziekan, — opowiadał dalej ksiądz Wanek, — ciepłe kluski, znacie go; obejrzał habit, pochwalił i powiada, że jeśli ksiądz biskup przyjął statut i obiecał aprobatę zgromadzenia, to on nie widzi żadnej racyi, aby sprzeciwiać się noszeniu tego pobożnego stroju.

— Co ty mówisz!? — uderzył w stół ręką proboszcz Marski, — biskup przyjął statut ich i obiecał aprobatę!? Więc to prawda?

— Tak mówił Orzelski i dziekan.

— I mnie mówił ksiądz Szklarek, — dodał Orawski.

— To niemożliwe! — zawołał proboszcz, — i póki nie ujrzę podpisu, nie uwierzę. Zważcie tylko, nie biorą nic za posługi kościelne, z czego zapłaci czwartą część pogrzebowego biskupowi? czem zapłaci kancelaryę konsystorską? — podniecał się proboszcz, — czy zapomnieliście o »jus cathedraticum«, »jus caritativum«, »quarta decimationum«, »quarta mortuariorum«, »procurationes«, »taxa cancellariae«, dalej różne łapówki dla świętego spokoju; no, a życie, a podejmowanie sąsiadów, różnych dygnitarzy... Nie zapłacimy my, upadnie biskupstwo, a za niem arcybiskupstwo, i odbije się nawet na Rzymie.

— No, tak... prawdę mówisz, — rzekł lekko znudzonym głosem ksiądz Wanek, — ale nie nasza w tem głowa, nie nasz kłopot, od tego jest władza duchowna.

— Wiesz, Piotrze, — przemówił łagodnym głosem ksiądz Orawski, — ślubu ubóstwa nie można znów tak bardzo potępiać. Młodzi są, nie znają życia, potrzeb i nędzy jego. Czy to nie jest pięknie z ich strony, że marzą o idylli ewangelicznej, zamiast o kartach, rozpuście, pijaństwie? Samo życie ich nauczy, że co innego ideał wymarzony, a co innego życie. Ja zawsze to mó-

wię Szklarkowi i powstrzymuję go w zapędach reformowania życia księży.

— E, co z tobą gadać! — grzmiał proboszcz, — nie rozumiesz, czy nie chcesz rozumieć, czem grożą Maryawici.

— No, czem? przecież nie odszczepieństwem? — uśmiechnął się.

— Gorzej jeszcze! — rzekł surowo proboszcz, — Kościół nasz to wspaniała piramida z Ojcem Świętym u szczytu; jeśli podstawa tej piramidy, czyli my, proboszczowie, zaczniemy się wyłamywać od naszych obowiązków względem władzy, lekceważyć nałożone na nas ofiary i ciężary, czyli to, co postanowiły koncylia, sobory, i rozporządzenia papieskie, cała piramida się zachwieje.

— Przesada, Piotrze, przesada! — zaśmiał się ksiądz Wanek, — kilkunastu czy kilkudziesięciu zwaryowanych dewotów, nic nie zrobi Kościołowi.

— I ja to powiadam, — dorzucił Orawski, — niema żadnej racyi potępiać kogoś za to, że chce żyć inaczej aniżeli ja; a niech sobie żyje, byle nie obrażał Pana Boga, a przecież ich pobożności nic zarzucić nie można.

— Gadajcie sobie co chcecie, ja uważam ich za ludzi niebezpiecznych, — mówił trochę już spokojniej proboszcz, — wy nie wiecie, jak oni odstręczają naród od nas, a sami wkupują się w łaski. Mój łazi po wsi cały boży dzień, przymila się, uśmiecha, przyjaźni, zawsze nimi zajęty, baby szaleją za nim, dzieci biegną za nim, jak cielęta za krową. I czy to godzi się, mnie, proboszcza kompromitować? bo moja zasada, to trzymać chłopów zdaleka, żadnej poufałości, bo chłop traci zaraz szacunek.

— No, skończcie raz tę rozumną naradę, — ziewnął ksiądz Wanek.

— Zaraz! — ofuknął proboszcz, — właśnie chciałem was zapytać o zdanie. Co myślicie, gdyby tak który z nas pojechał do biskupa i wybadał, jak stoją sprawy?

— Pojechałbym, ale to znaczny koszt, — powiedział ksiądz Wanek, — a zresztą, czego się tam dowiemy? Powiedzą nam, że biskup namyśli się, że się porozumie z arcybiskupem, a tymczasem każą nam cierpliwie czekać, żyć zgodnie z Maryawitami i koniec.

— To prawda, — rzekł proboszcz zniechęconym tonem, — syty głodnemu nie wierzy. Co ich to obchodzi, że my po parafiach ujadamy się z chłopami, że każdy buntuje ich przeciw nam.

— Tak źle nie jest, — uśmiechnął się ksiądz Orawski, — lud pobożny, przywiązany do Kościoła, dobry...

— Może u ciebie, — nachmurzył się proboszcz, — ale nie u mnie.

— Ty, Piotrze, zbyt czarno widzisz, — zaśmiał się ksiądz Wanek, — trochę w tem winy i twej choroby.... no, kiedy jedziesz na kuracyę?

— Za kilka dni... ale jeszcze jedno: jak sobie radzisz z opłatami kościelnemi? Ty wyjeżdżasz dość często, a wikary nie chce pobierać, cóż robisz?

— Rzecz prosta, — uśmiechnął się, — napisałem cennik dla użytku wikarego i tej taksy się trzymam przy rachunkach, o ile wyjadę.

— To dobry sposób, — mruknął proboszcz, — może jeszcze kawy pozwolicie?

— Dziękuję, ale jeśli masz, a wiem, że masz dobre wino, daj go i przygotuj stolik, — powiedział Wa-

nek, — ale co zagramy? Winta? Dobrze? — spojrzał na księdza Orawskiego.

— Za słaby gracz ze mnie... nie mogę.

— No, to stukułkę? co?

— Za drogo kosztuje; jeśli już koniecznie chcecie, to taniego preferansa, ale jedną pulę... muszę spieszyć do domu.

— Dom ci nie ucieknie, — zaśmiał się ksiądz Marski, — masz zresztą wikarego.

— Tak... ale wolę być na miejscu, bo parafia liczna i rozrzucona, — tłómaczył się ksiądz Orawski.

— Zgoda na jedną pulę, — zawołał ksiądz Wanek, — bo obiecałem Krzepowskiemu, że będę wieczorem u niego.

— Czy tam imieniny? — spytał gospodarz tasując karty.

— Nie, ale ma z miasta gości i zaprosił mnie do siebie.

Nazajutrz proboszcz zasiadł w kancelaryi i pilnie układał cennik opłat za posługi kościelne. Po obiedzie wezwał wikarego do siebie i przemówił tonem uroczystym:

— Wyjeżdżam, księże wikary, za dwa dni na kuracyę. Nie będę w domu ze dwa miesiące, może nawet dłużej, zależy to od porady doktorskiej, bo chcę się pozbyć przeklętej choroby.

— Jestem przekonany, że Bóg Najwyższy wróci zdrowie księdzu proboszczowi.

— I ja mam tę nadzieję i chociaż koszt to wielki, jadę. Zostawiam parafię i kościół na twej opiece. Nie potrzebuję ci zalecać pełnienia obowiązków kapłańskich, bo wiem, że jesteś gorliwy, ale muszę się zastrzedz

przeciw rozpuszczaniu ludzi i przeciw uszczuplaniu dochodów moich. Porozumiałem się z proboszczem Wankiem, u którego jest wikarym ksiądz Orzelski i poszedłem za jego radą. Jego wikary stosuje się do poleceń, a ty? — patrzał mu w oczy surowo.

— Nie wiem, co radził ksiądz proboszcz Wanek?

— Jego wikary należy do Maryawitów i odmawia przyjęcia opłat, otóż proboszcz Wanek napisał mu cennik za posługi kościelne i do tego stosuje się ksiądz Orzelski. Sam bowiem rozumiesz, że inna jest cena za pokropienie trumny przed kościołem, a inna gdy wprowadza się trumnę do kościoła i prowadzi się kondukt. Czy nie tak?

— Rozumiem.

— I ja sporządziłem cennik dla ciebie na czas mej nieobecności, do niego będziesz się stosował i według niego będę żądał rachunków od ciebie według ksiąg parafialnych. Czy przyrzekasz mi zastosować się do mego polecenia?

— Jeśli to rozkaz księdza proboszcza, ja muszę być posłuszny.

— Tak, to rozkaz mój.

— Będę posłuszny.

— Wierzę, że dotrzymasz, — skinął proboszcz głową. Ty wychodzisz często, pokój zostawiasz otwarty, a pieniądz łakoma rzecz, więc będziesz co tydzień oddawał pieniądze mej siostrze, za jej własnoręcznymi kwitami.

— Dobrze, księże proboszczu.

— Gdyby zaszły wydatki na kościół, na służbę, na konie i t. d., to proszę zapisać osobno i wymienić szczegółowo kiedy? gdzie? dlaczego?

— Rozumiem.

— A teraz jeszcze jedno. Opowiadali mi moi koledzy, że ksiądz biskup wziął istotnie statuty Maryawitów do przejrzenia. Jeśli ksiądz biskup wie o waszem zgromadzeniu i nie kazał wam natychmiast się rozwiązać, to widocznie zezwolił milcząco na wasz strój. Otóż jeśli ci tak bardzo na tem zależy, noś go. Oddaję ci piękne za nadobne, — dodał łaskawie, — ty dotrzymasz przyrzeczenia co do cennika, a ja zezwalam na habit, chociaż go nie lubię.

— Bardzo dziękuję księdzu proboszczowi, — mówił uradowany, — ale ja mam również prośbę do księdza proboszcza.

— Jaką? — nachmurzył się.

— Łukasz od pewnego czasu jest względem mnie zbyt hardy. Czy nie poleciłby mu ksiądz proboszcz, ażeby był bardziej uprzejmy i posłuszny.

— A łajdak! — zawołał, — on nie szanuje duchownej osoby? kapłana?... Dobrze, że mi powiedziałeś o tem, natrę mu uszu, a to zbrodniarz!

— Znów nic złego mi nie zrobił, usprawiedliwiał wikary kościelnego, — tyle tylko, że nie zawsze bywa chętny.

— Jeszcze jedno... składki w puszce, tak jak to zawsze robię, każesz odliczać pod swoim dozorem Łukaszowi i te są przeznaczone tylko na potrzeby kościoła. Zdasz mi z nich rachunek... I jeszcze rzecz ważna: żadnych zmian w kościele, nowych obrazów, przestawiania ławek, lichtarzy. Jak jest, tak niech zostanie.

— Ksiądz proboszcz zobaczy go takim, jak teraz, zapewniam.

Przez otwarte okna doleciał do pokoju śpiew

dzieci przed kościołem, wikary poruszył się niespokojnie i rzekł:

— Zeszły się na naukę.

— To już idź!

Tego samego dnia rozmówił się proboszcz z Łukaszem, a skrzyczawszy go za brak uszanowania dla kapłana, kończył:

— We wszystkiem masz słuchać księdza wikarego, on mnie zastępuje, rozumiesz, bałwanie?

— Słucham... no, a gdyby przyszedł przebrany, to puścić?

— Tak jest! Wolno mu jako kapłanowi, a tobie zasie!... Powiedziałem mu zresztą, że obliczasz puszki i żeby nic nie zmieniał w kościele, a gdyby coś przeciwnego rozkazał, przypomnij mu, że ja się sprzeciwiam wszelkim nowinkom.

— Dobrze, proszę łaski księdza proboszcza.

— Nie zaszkodzi, ażebyś pamiętał, ile było wotyw, egzekwi, mszy wystawnych, będzie to dla mnie dowodem, że nie opuszczasz się i pilnujesz kościoła.

XVI.

Proboszcz odjechał i zaczęły się dla wikarego dni swobody. Pracował od rana do wieczora niestrudzenie, głosząc po chatach miłość i braterstwo, łagodził gniewy, poważnionych doprowadzał do zgody, wzbudzał współczucie dla biednych i opuszczonych. W skromnym, ciemnym habicie, zawsze łagodny i wyrozumiały, chętny do każdej posługi, stał się ulubieńcem wszystkich parafian z wyjątkiem kilku bogatszych gospodarzy. Ci, do-

znając szczególnych względów u proboszcza, cieszyli się szacunkiem i powagą u współobywateli, proszących ich często o pośrednictwo, ale wikary nie robił żadnej różnicy, wszyscy byli mu równi, tem samem znaczenie bogatszych malało, co wzbudzało w nich gorycz.

Dzień pierwszej komunii dzieci, przygotowanych przez wikarego, był dniem wielkiej uroczystości dla całej parafii.

Nabożeństwo odbyło się z wielką wystawnością, a kazanie swoje, ponieważ był to miesiąc Maryi, poświęcił miłości i cudom Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy i tegoż dnia, na popołudniowe nabożeństwo majowe, zarządził uroczystą procesyę do kaplicy z cudownym obrazem.

Dworscy przybyli licznie na ceremonię pierwszej komunii, naturalnie była i Klara, a nawet ku zdumieniu wsi, sam pan Szybicki wysłuchał kazania wikarego.

Po tem uroczystem nabożeństwie w kaplicy, rozeszły się wieści po wsi, że Matka Boska uzdrowiła chorą niewiastę; że inna znów gospodyni, odprawiwszy nowennę przed obrazem w kaplicy, na intencyę otrzymania wieści od syna wziętego do wojska, dostała list w sam dzień ukończenia nowenny. Pobożne niewiasty zaczęły ogłaszać cuda, którymi darzyła Matka Boska Nieustającej Pomocy tych, którzy z całą wiarą i ufnością udawali się do Niej.

Na wikarym te wieści zrobiły bardzo wielkie wrażenie, utrwaliły w nim dawniej powzięte przekonanie, że spłynęła na niego łaska Matki Boskiej, żądającej, ażeby Jej cześć oddawano w tem miejscu, a teraz darzącej swemi łaskami szczególnie oddanych Jej czcicieli. Zapałał też gorącą, pobożną miłością do Najświętszej

Panny Nieustającej Pomocy i do Niej zwracał swe najżarliwsze modlitwy.

Już od dawna bolało go, że wizerunek Matki Boskiej wisi zapomniany, opuszczony, bez żadnej adoracyi w kościele. Cierpiał nad tem niemal fizycznie, gdyż zdawało mu się, że wyrządza tem krzywdę cudownemu obrazowi.

Zbliżało się zakończenie nabożeństwa majowego, które wikary zamierzył obchodzić bardzo uroczyście, i gdy rozmyślał nad tem w kościele, wzrok jego, jak zwykle, padł na cudowny obraz. Bardziej niż kiedykolwiek, zdawał mu się zaniedbanym i osieroconym. Rzekł tedy do Łukasza:

— Ten cudowny obraz wisi tu w miejscu niewłaściwem, należałoby go przenieść.

— A gdzie? — podniósł Łukasz oczy.

— Jest framuga w bocznej nawie, blizko ołtarza świętego Jana, tam byłoby godniej.

— Może i byłoby, — odpowiedział zwolna, — ale ja mam wyraźny rozkaz księdza proboszcza, ażeby w kościele nic nie zmieniać.

— To przecież rzecz małej wagi, czy obraz tu wisi, czy tam, — mówił wikary niepewnym głosem.

— Może w innym kościele, ale nie u nas, nawet lont na kiju musi być na swojem miejscu, cóż dopiero obraz święty. Ksiądz proboszcz odjeżdżając powiedział mi, ażebym przypomniał księdzu wikaremu, że nie wolno nic zmieniać.

— Prawda, — westchnął wikary i smutnemi oczyma spojrzał na obraz.

Następnie modlił się żarliwie, błagając o przebaczenie, że cudowny wizerunek jest tak skrzywdzony.

W kaplicy na majowem nabożeństwie znów miał gorącą przemowę o czci dla Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy, która sama obrała sobie siedzibę tutaj, ażeby darzyć licznemi łaskami swych czcicieli.

Wśród pobożnych spostrzegł Klarę, która po kazaniu długo i żarliwie modliła się przed cudownym obrazem, a promienie zachodzącego słońca otoczyły jej wytworną postać świetlaną aureolą.

W nocy miał wikary sen. Widział zaniedbany obraz w ołtarzu jaśniejącym światłami. Cudowne kwiaty w przeróżnych wieńcach i girlandach zdobiły ten ołtarz, stojący niby to w kapliczce pod lipą, ale kapliczka rosła, rozszerzała się, stała się ogromną, przepełnioną pobożnymi. Wtem, Klara z obrazu... nie Klara, ale Matka Boska zeszła i powiedziała do niego:

— Dziękuję ci sługo wierny, — i wskazując na Klarę w stroju zakonnym, dodała: — oto służebnica moja.

Wikary ocknął się, ale złudzenie snu było tak silne, że zostawał przez chwilę pod jego wrażeniem, wreszcie zerwał się z pościeli, ukląkł przed obrazem i począł się modlić.

Właśnie pierwsze promienie wschodzącego słońca rozświetliły pokój, a wikary, wpatrując się w obraz, znalazł pod wrażeniem snu pewne podobieństwo wizerunku z rysami Klary.

Zakrył oczy rękami, bo to podobieństwo poczytał za dowód prawdziwości snu i objawienie woli Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy.

Gdy szedł na ranną mszę, czuł się dziwnie rzeźkim i silnym, jako posłannik rozkazu Tej, która go obdarzyła widomą swą łaską. Przechodząc przez kościół,

uśmiechnął się do obrazu, pewny był bowiem, że wizerunek cudowny znajdzie godne pomieszczenie.

Jedyną chmurą w tem pogodnem i pracowitem życiu wikarego była konieczność brania pieniędzy za posługi kościelne. Doskonale wiedział, że pod tym względem był bardzo starannie śledzony przez Blińską i Łukasza.

Właśnie kojarzyły się dwa małżeństwa w rodzinach dotychczas zwaśnionych, a które pogodził wikary. Gospodarze obiecywali sobie, że ślub nie będzie ich drogo kosztował, nawet przymówili się o to delikatnie, a i wikary rozumiał, że dwa te śluby, jako ukoronowanie zgody, powinny być bezpłatne, a przynajmniej nie zbyt drogie.

Tymczasem Blińska, powiadomiona również o ślubach, odezwała się z miną niewinną przy obiedzie:

— Chwała Bogu, że ludziska się żenią, rada jestem bardzo.

Wikary spojrzał na nią i jadł dalej zupę, udając obojętnego.

— Pisał mi brat proboszcz, że sama porada doktorska kosztowała bardzo dużo, to też ucieszy się biedaczek, gdy mu poszlę ze czterdzieści a może i pięćdziesiąt rubli.

— A niech pani poszle, — powiedział zimno.

— I poszlę, — mówiła twardo, — jak tylko zapłacą za śluby... To bogaci gospodarze, mają z czego zapłacić, — i z łagodnym uśmiechem dodała: — czy nie tak, księże wikary?

— Kościół udziela sakramentów nie pytając, czy kto ma kieskę pełną, czy pustą i nic mnie to nie obchodzi, jaki majątek mają ci lub owi.

Pobladła z oburzenia i spytała drżącym głosem:

— Więc jakże będzie? Ksiądz wikary nie może przecież dać im ślubu z łaski, bez żadnej opłaty.

— Prosiłbym panią, — rzekł z chłodną uprzejmością, — nie wtrącać się w sprawy kościelne.

— Ja się też nie wtrącam, — mówiła szybko, — a jeśli zrobiłam uwagę, to tylko ze względu na mego biednego brata, księdza proboszcza, który zdrowie stracił w tej okropnej parafii.

Wikary nic nie odpowiedział, skończył obiad, ukłonił się i wyszedł.

Blińską dusił gniew i oburzenie, z trudnością wyrzuciła ze siebie słowa:

— Głupiec!... Kradnie!... Złodziej!

Następnie część gniewu wyzwoliła skrzyczawszy Kasię i Grzelę, ale uspokoiła się trochę dopiero wówczas, gdy swe żale i skargi zwierzyła Łukaszowi, który przemówił do strapionej:

— Jeśli on tak strasznie krzywdzi księdza proboszcza, to dlaczego je chleb jego?

— Święta prawda! — westchnęła Blińska, — nietylko je, ale ciągłe wymysły, a mięsa nie chcę, ryby także! Czy mam cię karmić marcypanami za krzywdę brata?

— Bo też ja na miejscu pani powiedziałbym mu w oczy: nie smakuje ci moje jedzenie, szukaj sobie lepszego.

— Racya, — skinęła głową, — i tak nie wiadomo czy zapłaci, bo tego miesiąca nie dostał z poczty pieniędzy.

— Darmo karmić takiego zdziercę księdza probo-

szcza to grzech, — zawyrokował surowo Łukasz, — spróbuj własnego chleba.

— Tak, tak, niech spróbuje... No, a jak tam Łukaszu w kościele, dużo mszy?

— O, dużo! Ludziska pchają się z pieniędzmi. Było już w tym tygodniu dwie wotywy, a słyszałem, jak znowu zamówili jedną mszę śpiewaną i egzekwie.

— No, patrzajcie! — klasnęła w ręce ze zdziwienia, — inny ksiądz żyłby sobie spokojnie, wygodnie, miałby pieniądze, a ten nie doje, nie dośpi i coraz coś nowego wymyśla.

— Jemu coś brakuje, — stuknął się palcem w czoło Łukasz, — byle z kim się wdaje, łazi po chałupach, a nie, to w kaplicy, albo w kościele. Zmizerniał, wychudł, a swoje robi.

— I ja myślę, że on coś ma w nieporządku, ale niechby sobie, byle nie krzywdził księdza proboszcza, — westchnęła żałośnie.

Wikary w tym czasie siedział w kancelaryi parafialnej, oczekując przybycia ojców młodej pary. Posępny patrzał na cennik zostawiony mu przez proboszcza, który jak gdyby przeczuwał te śluby, zaznaczył w cenniku, że ślub gospodarzy siedzących na roli dziesięcio lub piętnasto-morgowej kosztuje piętnaście rubli prócz mowy i datku dla kościelnego. I jak tu żądać od świeżo pogodzonych takiej sumy na przednówku?

— A jednak muszę ściągnąć ten podatek proboszczowski, — szepnął z goryczą.

Wyraz podatek nasunął mu obraz ściągania go przez gminę i rozdzielenia należności na poszczególnych obywateli.

Nagle rozjaśnił twarz; znalazł sposób bezpłatnej

posługi kościelnej z uiszczeniem należności proboszczowi. Sam będzie zbierał jałmużnę, ta nikogo tak dalece nie obciąży, a posługi w myśl słów Zbawiciela »darmo wzięliście, darmo dawajcie« wypełni według słów ewangelii.

Weszli narzeczeni i ich ojcowie, a po spisaniu aktu, umówieniu się o terminie i zapłaceniu należności kancelaryjnej, przyszła kwestya opłaty ślubu.

— Ileż to, proszę łaski księdza dobrodzieja, będzie kosztował ślub, przed głównym ołtarzem, z mową księdza dobrodzieja? — schylił się do kolan szpakowaty gospodarz, Stefan Płoszajski, — teraz przednówek, o pieniądz trudno, ale pogodził nas ksiądz dobrodziej, niechże już będzie dokumentna zgoda.

— Moi drodzy, — wstał wikary z krzesła, — należność kancelaryjną uiściliście już, a małżeństwo jest świętym sakramentem. Kościół nie handluje świętościami; za oba śluby nic się nie należy.

Chłopi zdziwieni spojrzeli po sobie, na księdza, a Płoszajski rzekł:

— Tego u nas nigdy nie bywało. Za ślub zawsze się płaciło... niechże się ksiądz dobrodziej rozmyśli, bo to nijako!

— Moi kochani, czy handlowalibyście ojcem, matką, albo dziećmi? Z wszelką pewnością nie! A sakrament jest droższy od ojca, matki i dzieci, bo jest święty i sam Chrystus go ustanowił. Czy mogę nim handlować?

— Ksiądz dobrodziej prawdę mówi, ale my gospodarze rolni i nie godzi się nam brać ślubu darmo.

— Więc co wasza łaska dajcie biednym, opuszczonym... Stara Białosińska leży chora i ma przy sobie

małą sierotę, wspomóżcie ją na podziękę Bogu, że dzieci wasze dostąpią świętego sakramentu.

— Ha, jeśli taka wola księdza dobrodzieja, niech już będzie.

Gdy wychodzili z plebanii, zabiegła im drogę Blińska pytając ciekawie:

— Gospodarze kochani, a ile daliście za ślub?

— Według taksy, proszę pani.

— Ileż? — niecierpliwiła się.

— Tyle co na kancelaryę, — odezwał się drugi gospodarz, a za ślub nie wziął. Sprawiedliwy to dobrodziej i takiego nie było jeszcze.

— Co!? — zawołała przerażona, — oba śluby darmo!? Ależ on krzywdzi księdza proboszcza, zaprzepaszcza dochody!

— A czy to ksiądz proboszcz daje te śluby? — uśmiechnął się Płoszajski, — pojechał na wywczasy, naco mu pieniędzy?

— Ach, wy grzesznicy! poganie! Bóg was pokarze za wasze złe ozory! — krzyczała rozżalona za odchodzącymi.

Weszła do swego pokoju z czerwonymi wypiekami na policzkach i zasiadła do napisania listu do brata, którego tak krwawo krzywdzi ten łotr wikary. Już napisała nagłówek, a chcąc mu odpowiedzieć na pytania jego, wyjęła list proboszcza otrzymany wczoraj. Odczytała półgłosem: »Doktorzy zabronili mi wszelkiej irytacyi, gdyż z tego powstała moja ciężka choroba. Jeśli masz jakie ciężkie kłopoty, to sama je załatwij i poradź się przyjaciół, ale do mnie nie pisz...

Załamała ręce, obfite łzy puściły się jej z oczu i poczęła narzekać:

— Biednyś ty, biedny!... Tu ciebie obdzierają, łupią, kradną!... I co ja poczne nieszczęśliwa!?... Ten drab nawet ze mną mówić nie chce!

Gdy oczy obeschły, wróciła jej energia. Postanowiła rozmówić się stanowczo z wikarym. Bezczynnie nie może patrzeć na krzywdę swego brata.

Wikary śniadania i kolacye jadał w swym pokoju i tylko w czasie obiadu mogła się z nim rozmówić, gdyż w innym czasie zbywał ją zawsze wymówką, że jest bardzo zajęty.

Do jutra miała czasu dosyć na uspokojenie swego wzburzenia, ale też ułożyła sobie cały plan rozmowy.

Gdy nazajutrz zjawił się wikary w jadalnym pokoju i po krótkiej modlitwie zasiadł do stołu, Blińska po zupie przemówiła uprzejmie:

— Chciałabym się z księdzem wikarym rozmówić szczerze i otwarcie.

— Słucham.

— Mój brat, ksiądz proboszcz, wyjeżdżając poruczył księdzu wikaremu parafię, czy tak?

Wikary milcząco skinął głową.

— Nie potrzebuję chyba mówić księdzu wikaremu, jak ciężko musiał brat pracować, zanim dochrapał się tego probostwa. A gdy wreszcie je otrzymał, pracował gorliwie, nieustannie, i w dzień i w nocy. Nie dojadł, nie dospał, póki zaniedbanego kościoła nie doprowadził do świetności, nie posprawiał aparatów, szat liturgicznych, nie odnowił ołtarzy. Sama na to patrzałam własnemi oczyma, ile trudów, zabiegów, kłopotów miał mój brat, zanim przyprowadził parafię do tego stanu w jakim jest dzisiaj, a raczej w jakim zostawił ją księdzu wikaremu. Pamiętam, kiedy brat nastał tu proboszczem...

— O cóż idzie? proszę pani, — przerwał potok jej wymowy, — o tem co i jak tu było, słyszałem od księdza proboszcza.

— Pozwólże mi ksiądz skończyć, — powiedziała kwaśno, — mój brat, ksiądz proboszcz, jest tak skromny i pokorny, że nigdy nie mówi o swoich wielkich zasługach, o swej niezmiernej pracy i poświęceniu. To prawdziwy kapłan Chrystusowy! Ile on dobrego robi, to tylko ja jedna wiem.

— Ależ i ja znam księdza proboszcza, — uśmiechnął się wikary.

— Nikt go tak nie zna jak ja, która od tylu lat patrzę codziennie, własnemi oczyma, na jego pracę. To złote serce! Prawda, że bywa chwilami porywczy, ale to z dobroci serca, bo on nie może znieść fałszu, intrygi, plotek...

— Dobrze, proszę pani, zgoda i na to. Czy pani o tem miała pomówić ze mną?

— To dopiero wstęp, — zawołała podrażniona, — chciałam wykazać księdzu wikaremu, jakie wielkie zasługi położył mój brat, ksiądz proboszcz, i to w takiej parafii bezbożnej, pogańskiej, zatwardziałej w grzechach...

— To wiem, — rzekł znudzonym głosem, a spojrzawszy na zegarek: — mam bardzo niewiele czasu...

— O, dla mnie ksiądz wikary nigdy nie ma czasu, — powiedziała z goryczą, — ale teraz musi znaleźć się czas, to sprawa bardzo ważna.

— Jaka?

— Zaraz powiem. Otóż mój brat, ksiądz proboszcz, nie na to stracił zdrowie, ażeby... źle mówię, — zawołała gniewnie, — bo też ksiądz wikary ciągle mi przerywa...

Powiem więc odrazu... Ile ksiądz wikary wziął za śluby Płoszajskich i Góralczyków?

— Rachunek zdam księdzu proboszczowi, — odpowiedział zimno.

— O, ze mną tak nie idzie! — zawołała surowo, — przecież Płoszajski nie taki głupi, ażeby po ślubie i weselu płacił. Co z tego, że ksiądz wikary zda rachunek? Mój brat, ksiądz proboszcz, gdy się dowie o tem gospodarstwie, zgniewa się, zirytuje, a każda irytacya mu szkodzi. Pisze mi i teraz, że doktorzy powiedzieli...

— Czy to wszystko, o czem pani miała ze mną mówić? — wstał wikary od stołu.

— O nie! Jeszcze rzecz najważniejsza!

— Mów pani, — stanął przy drzwiach.

— Proszę usiąść, zaraz powiem... Co to za moda, żeby mi ksiądz wikary nie dał przyjść do słowa, gdy idzie o mego brata, księdza proboszcza! Kto ujmie się za nim?

— Nie mam czasu, muszę iść, — położył rękę na klamce.

— Jeśli ksiądz wikary pójdzie, — zerwała się z krzesła, — to może wcale już nie przychodzić, ani na śniadanie, ani na obiad, ani na kolacyę. Ja mego brata, księdza proboszcza, nie pozwolę krzywdzić, o, nie!

— Zgadzam się, proszę pani, — powiedział z ukłonem i wyszedł.

— A łotr! A łajdak!... Za kogo on mnie ma!? Czy ja jego służąca? — rozpłakała się z bezsilnej złości.

Wikary na razie był wzburzony, ale gdy wspomniał gadatliwość, ruchy, wyraz twarzy Blińskiej, uśmiechnął się z politowaniem i poszedł na wieś.

Po namyśle wybrał ze znanych sobie gospodarzy

Kaspra Sasa, gdyż mieszkał bliżej kościoła aniżeli Słodownik, a od czasu ich pomocy w odrestaurowaniu kapliczki, żył z nimi na stopie przyjacielskiej.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — wszedł wikary do izby obwieszonej obrazami, wśród których wyróżniał się wielkością i zawieszoną przed nim lampką, obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.

— Na wieki wieków! — porwał się z ławy Kasper Sas, chłop krępy, barczysty, z rozumnemi, siwemi oczyma, — a, dobrodzieju ukochany, siadajcie, proszę pokornie, — podawał krzesło.

— Dziękuję... przyszedłem do was, Kasprze, z prośbą wielką.

— Księże dobrodzieju, rozkazujcie.

— Dobrzeby było, gdyby i wasza żona była przy tem obecna, bo sprawa o której chcę pomówić, bardziej jej dotyczy, aniżeli was. Czy gospodyni w domu?

— Piele grządki w ogrodzie, — otworzył drzwi i zawołał: — Jędrek, biegaj do mamy, niech tu zaraz przyjdzie do księdza dobrodzieja... a w mig się spraw!

— Cóż tam Kasprze w polu? — spytał wikary.

— Chwalić Boga, żyto śliczne się wysypało i byle Bóg w ręku utrzymał, będą żniwa dobre.

— Daj wam Boże i innym. Byliście na jarmarku zeszłego tygodnia?

— A jakże... poprowadziłem tego źrebaka, dwulatka, po karej kobyle i sprzedałem.

— Któż go kupił?

— A Niemcy, i dobrze zapłacili. Targował go ksiądz proboszcz z Krynicznej, ale do zgody nie przyszło, o co bardzo się sierdził. Wyzywał mnie strasznie

jako nie szanuję osoby duchownej i swojej wiary, skoro heretykom sprzedaję konia.

— No, zapewne, bo zawsze lepiej swoim sprzedać aniżeli obcym, jeśli cena równa.

— W tem i sęk, — zaśmiał się Kasper, — to samo i ja powiedziałem, że ochotniej sprzedam księdzu proboszczowi, ale niech mi da te same pieniądze. A on nie i nie, tylko o pięć rubli taniej, no i sprzedałem Niemcom, i jeszcze jednego rubla dostałem za uzdę, co ją miał na sobie.

— Ha! trudno... widocznie dla niego nie był wart tych pieniędzy.

— Gdzie zaś, — uśmiechnął się, — ten proboszcz z Krynicznej handluje końmi i chciał zarobić.

Weszła gospodyni, dość młoda blondynka, ucałowała rękę księdza i szybko zawinęła się, ażeby uprzątnąć izbę. Schowała ścierkę, nóż leżący na ławie i usunęła w kąt cebrzyk.

— Przyszedłem do was obojga z prośbą, — zaczął wikary, — siostra księdza proboszcza widocznie potrzebuje odpoczynku, niechętnie zajmuje się kuchnią i widzę, że jej ciężę. Umyśliłem tedy stołować się u gospodarzy na wsi i przyszedłem do was, czy nie wzięlibyście mnie na stołownika?

Kasper podrapał się w głowę i zakłopotany spojrzał na żonę, która spuściwszy oczy, wyrównywała rąbek fartuszka i po chwili powiedziała:

— Gdzieżbym ja zaś mogła dogodzić księdzu dobrodziejowi; ja nienauczona po miejsku, tylko warzę po naszemu. Juści, że byłby to honor dla nas wielki i bardzo żałuję, że nas ominie, cóż, kiedy nie podołam.

— Moja matko, — uśmiechnął się wikary, — toż

i ja wiem, że wy gospodyni, nie żadna kucharka. Będę jadł co i wy, bo mięsa wyrzekłem się, tak jak palenia i picia wódki. Rano dacie mi mleka gorącego z chlebem, na obiad zjem, co i wy; jakieś kluski, kaszę, ziemniaki, a wieczorem mleko słodkie albo zsiadłe z chlebem. Jak widzicie sami, kłopotu nie będzie, tylko o jedno proszę, nie gotujcie dla mnie nic oddzielnego, bo pogniewam się i pójdę do innych. Więc jakże będzie?

— Alboż wiem, — spojrzała na księdza, potem na męża i dodała: — no, a ty Kasprze!? Odezwij się, przecież ty gospodarz i mąż.

— A czy ja warzę? — uśmiechnął się, — czy wtrącam się do twoich garnków?... Prawda, że honor dla nas okrutny, ale widzi mi się, że ksiądz dobrodziej na chłopskiem jedzeniu nie zdzierżą długo.

— Więc spróbujmy, — rzekł wikary tonem zachęcającym, — będzie nam niedogodnie ze sobą, to się rozstaniemy, jak przystało na przyjaciół, szczerze i zawsze życzliwie.

— Cóż ty Maryś na to? — spytał mąż.

— Kiedy już taka wola księdza dobrodzieja, niech i tak będzie, ale nie bądźcie mi krzywi, jeśli nie dogodzę.

— Dziękuję wam serdecznie, — powiedział wikary szczerze i wesoło, — za to całodzienne pożywienie będę wam płacił...

— O, co to, to nie! — przerwała mu gospodyni.

— Nijakim sposobem, — dodał Kasper, — to zdziebko jedzenia w niczem nas nie uszczupli. Toż ludziom nie śmiałbym się na oczy pokazać, ażebym brał pieniądze od takiego naszego dobrodzieja.

— Od prawdziwego ojca i krzepiciela dusz na-

szych, — mówiła gospodyni, — Pan Bóg by nas pokarał za taki grosz.

— No, trudna rada z wami, — rozczulił się wikary, — ale zważcie, że nasza święta ewangelia, sam Chrystus Pan mówił, posyłając apostołów: nie bierzcie z sobą złota ani srebra, ani miedzi w trzosy wasze, albowiem godzien jest robotnik strawy swojej. Nakazał tedy Chrystus apostołom pracować, ażeby żywność otrzymali. Nie umiem ja robić siekierą, ani żąć, ani kosić, ażebym wam pomagał, ale potrafię nauczyć Jędrka czytać i pisać, niechże wam to starczy za opłatę. Cóż, dobrze?

— Wiem ci ja, że darmo brać, ciężko, — powiedział Kasper po chwili, — ale uczyć takiego chłopczyska ciężka to rzecz, i jak myślisz, matko, czy nie będzie to z krzywdą księdza dobrodzieja?

— Oj, i z jaką! — zawołała, — namorduje się strasznie nasz dobrodziej.

— To już moja rzecz, moi mili gospodarze, — uśmiechnął się przyjaźnie, — zatem ugoda zawarta. Wy, gosposiu, nie gotujecie nic oddzielnego dla mnie, chyba za wspólną umową. Ja jadam z wami i uczę waszego Jędrka czytać i pisać. Teraz powiedzcie mi, w którym czasie mam przychodzić na posiłek do was?

Umówiono się o godziny i wikary miał zaraz pierwszą lekcyę z dziesięcioletnim Jędrkiem, żywym i rozgarniętym blondynem, z oczami szaremi i bystremi.

Wieść o tem niezwykłem zdarzeniu obiegła wkrótce wieś całą. Chłopi kręcili głowami i mówili:

— Niedługo popasie on na naszej strawie.

Inne pobożne gospodynie, a zwłaszcza starsze i do-

świadczeńsze w gotowaniu potraw, zajrząc Kasprowej, głośno mówiły:

— Nie wyjrzała ze wsi, we dworze nie była i zachciało się jej stołownika! Nie daj Boże tego, ale struje się, albo rozchoruje nasz dobrodziej po jej warzy.

Naturalnie i do dworu dotarła ta wiadomość. Ekonomowa aż ręce załamała i zawołała z żalem:

— Czy jest w tem sens jaki? rozum? Alboż nie mógł przyjść do nas, zjadłby przynajmniej czysto i zdrowo!

Klara była bardzo zdziwiona tym niespodziewanym krokiem i miała głuchy żal do wikarego, że nie stołuje się we dworze. Gdy uwiadomiła o tem ojca przy kolacyi, ten ani się zdziwił, ani zgorszył, tylko powiedział spokojnie:

— Musiała mu porządnie dokuczyć stara baba, kiedy uciekł od niej na wieś. Nic nie szkodzi, niech spróbuje, jak chłopi żyją.

Klara spojrzała niechętnie na ojca, gdyż jej zdaniem ojciec powinien był dziś jeszcze zaproponować wikaremu, ażeby stołował się u nich. Nie chciała jednak otwarcie wypowiedzieć swej myśli i rzekła:

— To dziwne jednak, że on wybrał stół u chłopa, dlaczego nie udał się gdzieindziej.

Ojciec z pod oka spojrzał na Klarę i powiedział spokojnie:

— Zrobił rozsądnie, gdyby do nas przyszedł, byłbym zmuszony odmówić mu.

— A to dlaczego? — zawołała zaczerwieniona.

— Dla dobra twego i jego... Wzięłoby was na języki, posypałyby się podejrzenia, plotki, a tego nie chcę.

— Ach, zawsze te pozory, opinia, — ironizowała, —

co mnie świat obchodzi ze swoją głupotą i plotkami?! To robię, co uważam za dobre i uczciwe, a o resztę nie myślę dbać. I gdzie jest ta odwaga własnych przekonań, którą ktoś tak ceni?

— Mieszasz moje dziecko dwie różne rzeczy. Co innego jest postępowanie według przekonań, a co innego rozmyślne stawianie siebie w dwuznacznem położeniu, które w gruncie rzeczy może być najuczciwsze, ale ma pozory wątpliwe.

— Nigdy na to się nie zgodzę, — powiedziała nachmurzona, — te wieczne kompromisy ze światem są wstrętne i obrzydliwe.

Kolacya skończyła się w milczeniu i Klara rozżalona na ojca poszła do swego pokoju.

Najbardziej zaniepokojona, ale i zaciekawiona była Blińska.

Nie żałowała wcale swego kroku i wymówienia stołowania, uważała bowiem, że wikary swem zachowaniem się ubliżył jej jako siostrze proboszcza, a tem samem ubliżył proboszczowi.

Była też przekonana, że wikary przeszedłszy się po wsi, przekona się, iż lepszego i tańszego wiktu od tego, który ma na probostwie, nie znajdzie, skruszony wróci, przeprosi ją i zrozumie, że bezkarnie nie może obrażać siostry proboszcza.

Niepokoiło ją jedno przypuszczenie i to bardzo możliwe, że wikary będzie się stołował we dworze. Ta córka Szybickiego widocznie zadurzyła się w młodym księdzu, bo lata na wszystkie nabożeństwa, czego dawniej nigdy nie robiła, mimo że nabożeństwo odprawiał sam proboszcz, nie jakiś wikary. Więc nie robi tego z pobożności, tylko oszukuje ludzi, okłamuje Pana Boga,

ale prędzej czy później przekonają się wszyscy, że ona taka sama bezbożnica, jak jej ojciec.

Z ganku plebanii widziała, że na drodze w stronę kapliczki idzie dosyć pobożnych, było to bowiem zakończenie nabożeństwa majowego; poszła tedy do kuchni i powiedziała do Kasi zmywającej stół:

— Ty nigdy na nic nie masz czasu, takaś leniwa i nicpotem. Inne wszystko zrobią w domu i w polu, a jeszcze mają czas iść na nabożeństwo, pomodlić się Bogu.

— Oj, radabym i ja pójść, rada, — westchnęła, — tylko że na mnie tyle roboty, i posprzątać, i z obiadem się porać, i krowę udoić...

— Głupia! — ofuknęła ją Blińska, — nie narzekaj, bo obrażasz Pana Boga! Puszczę cię dziś na nabożeństwo.

— Pani złota, tożem rada, — ucałowała jej ręce.

— Idź, a dowiedz się, tylko mądrze, tak sobie od niechcenia, co robił dzisiaj ksiądz wikary na wsi popołudniu. Rozumiesz?

— O jej! — zaśmiała się, — wywiem się zaraz.

— I rozpytaj się, czy nie chodził do dworu. Tylko ostrożnie, niby nic.

— Dobrze, proszę pani. Przebiorę się po ludzku i polecę.

— A wracaj wcześnie! Nie rajcuj, wiesz, że robota na ciebie czeka.

— Wrócę migiem, proszę pani.

Blińska w oczekiwaniu na powrót Kasi nudziła się. Już przejrzała książki parafialne, starła kurze w pokoju proboszcza, wreszcie poszła do ogrodu, ażeby obejrzeć warzywa.

Właśnie wróciła do domu i myła ręce po zerwaniu chwastów na grządce, gdy wpadła do pokoju zdyszana i zaczerwieniona Kasia wołając:

— Jezusie Nazareński! Czy wie pani, co się stało? Okropność!

— Cóż takiego? Pali się czy co?

— To pani nic nie wie? Toć nasz ksiądz wikary nie chce u nas się stołować.

— Tak? I mówisz, że nie chce? — ukryła swój uśmiech.

— Pani mi nie wierzy, a ja prawdę mówię, jak Boga kocham, — uderzyła się ręką w piersi.

— Wierzę, wierzę! Mów dalej, co się stało? Czy był we dworze? — ocierała ręce po umyciu.

— Tego nie wiem, nawet zabaczyłam o tem, jak mi ludzie powiedzieli, że był u Sasów i zgodził się na ich wikt.

— U Sasów? — zdziwiła się, — a u których?

— U Kaspra, a u któregożby... Taki delikatny, takie chudziątko, taki nieboraczek, toż on zmarnieje na prostej strawie, — mówiła po przez łzy.

— Więc to u Kaspra, swego przyjaciela, a wroga księdza proboszcza, — uśmiechnęła się złośliwie. — No, wybrał sobie kuchnię, wybrał. Już nawet ty, chociaż do niczego, a zgotowałabyś lepiej, aniżeli ona. I nie wiesz ile płaci?

— Gdzieżby znów kto brał pieniądze od takiego księdza!? — zgorszyła się, — pewnikiem nic nie biorą. I co to będzie, proszę pani? On się przecież rozchoruje!

— Nic mu nie będzie, — powiedziała obojętnie.

— A możeby pani uprosiła księdza wikarego, ażeby nas nie rzucał, — prosiła szczerze, — toż to wstyd dla nas!

— Jaki wstyd! — zawołała gniewnie, — głupia jesteś. Idź do swej roboty! Także coś! Wstyd? Jeśli nie chce, to nie! Prosić go nie będę i koniec!

— Ale co powie ksiądz proboszcz, jak wróci do domu, a tu takie brewerye, — spróbowała Kasia ostatniego ataku.

— Nie twoja rzecz, — rozkrzyczała się Blińska, — patrzcie ją, taki tłuk będzie mi tu nauki dawał. Ruszaj!

Blińska po wyjściu Kasi przeszła się kilka razy po pokoju włożywszy obie ręce w kieszenie fartucha, i od czasu do czasu dzwoniła kluczykami. Rozmyślała naturalnie o wikarym.

Błazen jakiś, młokos uparty, chce ją zastraszyć, że u prostego chłopa będzie się stołował. Niech tylko spróbuje tego jedzenia, a zaraz spokornieje.

Ta głupia Kaśka powiada, że on się rozchoruje, a takiemu nic nie będzie, to tak jak kot fałszywy, rzuć go z dachu, on zawsze padnie na cztery nogi. Zresztą jak go brzuch rozboli, niewielkie rzeczy, zrozumie, że głupstwo zrobił.

Jednak słowa Kasi o proboszczu najbardziej ją zaniepokoiły. Odsuwała usilnie obraz proboszcza, ale ten stawał przed nią coraz natrętniej, wyraźnie widziała jego chmurną, gniewną minę, słyszała ostry ton nagany. Stanęła przy oknie, czoło oparła o szybę i odpowiadając swym myślom szepnęła:

— Wielkie rzeczy! Przecież skrzywdził ciężko brata, cóż innego mi pozostawało?

Obawa jednak powiedziała jej, że nie należało sprawy posuwać aż do wypowiedzenia stołowania. Lecz ona pogroziła tylko tak sobie, w rozdrażnieniu, bez żadnej złej myśli. Sądziła, że tym sposobem nakłoni go

do szanowania woli proboszcza. A ten umyślnie, ażeby skompromitować plebanię, wystawić ją na plotki i obmowy, poszedł do wroga proboszcza i z nim się pokumał.

Przecież brat to zrozumie, że ona jest niewinna i działała w dobrej myśli. I jak poczęła przypominać sobie wszystkie szczegóły, doszła do przekonania, że zerwanie to rozmyślnie sprowadził wikary, tylko w tym celu, ażeby skompromitować proboszcza i jego siostrę. Zresztą jest pewna, że za dzień, za dwa, gdy spróbuje tego wiktu, wróci i będzie się stołował na plebanii.

Gdy na drugi dzień wikary w czasie obiadowym poszedł na wieś i Blińska sama jedna usiadła do stołu, poczuła wielki żal do wikarego za jego upór. Mógł przecież przyjść i niechby już nie przepraszał, ale udał, że nic nie zaszło i wszystko byłoby dobrze.

Jednak jakim sposobem ona, taka uprzejma i dobrze wychowana osoba, mogła mu wypowiedzieć tak gorzkie słowa? Teraz przypomniała sobie, że to właściwie Łukasz, niechętny wikaremu, podniecił ją, rozbudził jej słuszne oburzenie i podsunął myśl wypowiedzenia stołowania.

Ona zupełnie niewinna, tylko z jednej strony Łukasz ją namówił, a wikary, zamiast rzecz w żart obrócić, skorzystał ze sposobności, ażeby dokuczyć jej i proboszczowi.

Zaledwie skończyła samotny obiad, gdy ujrzała przez okno nadchodzącego Łukasza. Za chwilę wszedł, pokłonił się i zaczął:

— Proszę pani, cała wieś się trzęsie.

Blińska przygryzła wargi, żeby nie wybuchnąć i spytała obojętnie:

— Dlaczego się trzęsie?

— Alboż pani nie wie? — ukrył uśmiech drwiący, — przecież ksiądz wikary nie stołuje się na plebanii, ale u tego bezbożnika Kaspra... Miał też kogo wybrać sobie.

— I czyjaż w tem wina, — siliła się na spokój, — że niema tu wikarego?

— Alboż wiem? Może sprzykrzył sobie tu jedzenie, może poszedł na udry? To wiem, że teraz we wsi jak we młynie, wszyscy terkoczą, huczą, mielą ozorami, a wszystko na plebanię, a za wikarym.

— Teraz ja wam powiem, — zaczęła na razie lodowatym tonem, — kto winien, że stał się taki skandal i ludzie wzięli plebanię na języki.

Spostrzegł Łukasz tający się gniew i rzekł tonem szczerości:

— Pewnikiem nie pani, tylko musiał ksiądz wikary przebierać w jedzeniu, a to mu źle, a to mu nie w smak...

— Nie mydlcie mi oczu! — zawołała nagle prostując się, i wpatrując się w twarz Łukasza płonącemi oczyma mówiła: — a kto zawsze kopał dołki pod księdzem wikarym i przed księdzem proboszczem i przedemną?! Kto go podglądał? Kto donosił?

Łukasz miał na sumieniu różne nie bardzo czyste sprawki kościelne, ale co do wikarego nie poczuwał się do winy, jeśli co i mówił, to tylko ze względu na dobro proboszcza. Słysząc ten zarzut podniósł spuszczoną głowę i rzekł:

— Odpowiadałem zawsze tylko na pytania księdza proboszcza i pani. Sam nie biegałem z plotkami, bo się brzydzę pustą gadaniną i obmową.

— Tak?! — zawołała z gryzącą złośliwością, — a kto mnie podmawiał i namawiał, ażebym wypowiedziała obiady księdzu wikaremu? Uległam waszym radom i naleganiom, a teraz wy ośmielacie się wypierać tego z miną niewiniątka!? O, znam was dobrze, intrygujecie wiecznie. Szerzycie kłótnie i spory, to wasz fach! Już ja opowiem wszystko księdzu proboszczowi!

Łukasz w pierwszej chwili chciał stanąć okoniem, ale słysząc groźbę, zmiarkował, że lepiej uderzyć w pokorę.

— Jeśli i zawiniłem złota pani, to tylko z dobrego serca. Widzę, że się tak marnuje krwawica księdza proboszcza, serce mnie zabolało, to i coś niecoś powiedziało się za wiele. Niech mi już pani przebaczy, ot do końca życia musi się człowiek uczyć, — posunął się i ucałował jej rękę.

Przyjęła to dość łaskawie, ale powiedziała surowo:

— Teraz to przepraszacie, a co kwasu nawarzyliście waszem postępowaniem?

— Hm... różnie się zdarza, — rzekł z filozoficznym spokojem.

— Trzeba jednak złe naprawić, — mówiła tonem nauczycielskim, — i tak zrobić, ażeby ksiądz wikary stołował się tutaj.

— Ano, mogę powiedzieć, że pani prosi księdza wikarego...

— Ani się ważcie! — zawołała gniewnie, — tego brakowało!? Ani myślę prosić!

— To i co zrobię? — spytał zdziwiony.

— Przemówcie do jego rozsądku... powiedzcie, że ksiądz proboszcz się zmartwi, że będzie na was się gnie-

wał, że go przepraszacie za wtrącanie się do jego obiadów, alboż to nie wiecie sami? Czy wy dziecko?

— Ano... pójdę za radą pani, spróbuję, a może mu już dokuczyło chłopskie jedzenie i przyjdzie do rozumu.

— Jak zrobicie, to wasza rzecz, tylko to jedno pamiętajcie, o mnie ani słowa, ja o niczem nie wiem. Rozumiecie?

— Toć słyszę, — i ucałowawszy rękę Blińskiej poszedł klnąc ją w duszy.

W niedzielę, gdy skończył kazanie, przemówił wikary z ambony:

— Moi bracia i siostry w Chrystusie, kościół nasz ma swoje potrzeby i wydatki, jednemu lub kilku ponosić je i zapłacić byłoby ciężko, zwracam się do was o jałmużnę dobrowolną, która nikogo nie zuboży, a przyniesie pożytek kościołowi. Prócz tej niedzieli będę zbierał sam jałmużnę jeszcze przez dwie, a mam w Bogu nadzieję i w waszem dobrem sercu, że uzbieram potrzebną sumę.

Z tacą w ręku obszedł kościół, a pobożni sypali dziesiątki i złotówki tak, że po obliczeniu pokazała się stosunkowo dość znaczna suma. Wikary był przekonany, że tak pomysł zbierania jałmużny, jak i szczodrość jej, dowodzą szczególnej łaski Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy i w czasie nieszpornej nauki wezwał wiernych do założenia bractwa nieustającej czci tej cudownej Maryi Panny, na wzór założonego już przez niego bractwa nieustającej adoracyi Przenajświętszego Sakramentu.

Znaczna ilość niewiast i młodzieży wpisała się do

bractwa i tegoż samego dnia udali się procesyonalnie do kapliczki.

Wieczorem, gdy rozmyślał nad zdarzeniami tej niedzieli, szepnął zadowolony:

— Nie straciłem dnia!

W tej chwili spojrzał na obraz Matki Boskiej zawieszony nad łóżkiem i poczuł wstyd i skruchę, zrozumiał, że wszystko dobre co się stało, było tylko nieprzebraną łaską Najświętszej Panny. Rzucił się na kolana, modlił się żarliwie, kajał się i z oczyma załzawionemi błagał o przebaczenie za swą pychę i samochwalstwo.

Łukasz w zakrystyi pomagając wikaremu rozbierać się po odprawieniu mszy przemówił z powagą:

— A wie ksiądz dobrodziej, że to stołowanie się u Sasów, to zgorszenie dla całej parafii.

— Tak?... i dlaczego? — spytał spokojnie zdejmując albę.

— Czyż kto słyszał, ażeby ksiądz, kapłan, tak blizki Pana Boga, jadł u chłopa z jednej miski?! A gdzież powaga? gdzie szacunek?

Spojrzał na wikarego, słuchającego z uśmiechem zagadkowym i dodał z naciskiem:

— Toż to wstyd dla plebanii! zakała. Już ludzie przebąkują, że była jakowaś kłótnia, a pani Blińska oczy wypłakuje, taki ma żal do księdza wikarego.

— Nic o tem nie wiem... i poco Łukasz miesza się w nieswoje sprawy?

— Jakto w nieswoje? — oburzył się, — alboż mnie serce nie boli, gdy patrzę na takie zgorszenie? I co powie ksiądz proboszcz, gdy przyjedzie? Czy nie lepiej po chrześcijańsku żyć w zgodzie? Od takiej chłopskiej strawy choroba gotowa, a od plotek wieś się trzę-

sie. Niechże ksiądz wikary stołuje się na plebanii, już ja pomówię z panią Blińską i wszystko będzie dobrze.

Wikary rozumiał, że to nagłe zerwanie z plebanią musiało wywołać plotki we wsi, ale znów zrobić przykrość dobrym i gościnnym Sasom wzdragał się, a równie nieprzyjemna mu była myśl jadania z Blińską i po namyśle rzekł:

— Dziękuję wam Łukaszu za wasze dobre chęci, ale u Sasów mi dobrze i żadnej zmiany nie chcę, — wziął kapelusz i wyszedł.

— Uparty kozioł! — zaklął Łukasz, — ale przytrze ci rogów proboszcz, niech tylko przyjedzie!

Po namyśle postanowił jeszcze raz nakłaniać wikarego do stołowania się na plebanii, a gdy i ta próba wypadła niepomyślnie, poszedł pewnego dnia z relacyą do Blińskiej.

— Na nic moje prośby i błagania, ażeby zgorszenia nie robił, — mówił Łukasz z udanym żalem, — uparł się i pewno go judzą wrogi księdza proboszcza.

— I ja tak myślę, — westchnęła Blińska, — ta panna ze dworu pierwsza do tego, bo taki skandal cieszy tych farmazonów. Jednak coś trzeba zrobić, bo jak dowie się ksiądz proboszcz, — wtem spojrzała przez okno i obaczyła dwóch włościan zdążających do plebanii, — Łukaszu! a kto to taki?

Kościelny zbliżył się do okna i po chwili odpowiedział:

— Maciej Kos z Wierzbowa, któremu żona wczoraj umarła... pewno o pogrzeb... To bogacz, ten może zapłacić ze trzydzieści rubli, a może i więcej...

— No, i trzeba nieszczęścia, że właśnie ksiądz pro-

boszcz wyjechał, — narzekała Blińska, — jak myślicie, Łukaszu, ile weźmie wikary?

— Kto go wie? — wzruszył ramionami, — nie jego interes, to weźmie byle co.

— To niemożliwe, przecież ksiądz proboszcz wypisał mu cenę i tę musi wziąć, — starała się Blińska usunąć swą obawę.

— Ono to tak, — pokiwał Łukasz głową, — alboż on dba o pismo? A co wziął za ślub?

— Prawda, — westchnęła żałośnie, — idźcież Łukaszu, wywiedzcie się co zapłacili i dajcie mi znać.

Po pewnym czasie wrócił kościelny, a chmurna, zgryźliwa twarz jego nie wróżyła pomyślnych wieści.

— No, i co? — spytała gorączkowo Blińska.

— Pogrzeb będzie paradny, — zaczął miarowym głosem, — ksiądz wikary od samej granicy Kościeńca prowadzi kondukt do kościoła. Trumnę ustawią na katafalku, a po mszy żałobnej odprowadzi na cmentarz... będzie nawet mowa pogrzebowa.

— Dobrze... ile dali? — niecierpliwiła się Blińska, gadajcież!

— Ano... za kancelaryjne, za pokładne, za katafalk, za podzwonne, — mówił chmurny, ale z błyskiem zadowolenia w oczach, — razem niecałe dwa ruble.

— No, a za kondukt, światło, za odprowadzenie, mowę... nie marudźcie! — zawołała gniewnie — ile?

— Nic!

— Głupie żarty! — zatchnęła się.

— Prawda... jak mi Bóg miły.

— Ależ to rozbój! To kradzież! — syknęła z pasyą. — On musi sam zapłacić księdzu proboszczowi...

— I z czego? — uśmiechnął się Łukasz drwiąco, —

czy z tej marnej pensyi? Prawda, że zebrał jałmużnę w kościele, ale pewno wysłał ją do rodziny, bo w kościele nie widzę żadnego przybytku.

— Okropny człowiek! — załamała ręce, — i co ja nieszczęśliwa z nim pocznę? Co mi powie ksiądz proboszcz?

— A niema to pani pióra i papieru? Wypisać księdzu proboszczowi, jaka tu Sodoma i Gomora. Po prostu zgorszenie, pogaństwo, obłuda i pycha.

— Nie mogę nic pisać, — mówiła głosem zrozpaczonym, — mój brat, ksiądz proboszcz, chory, i zabroniono mu wszelkiej irytacyi. Gdyby dowiedział się o tym skandalu z obiadami i jak go ten łotr obdziera ze skóry żywcem, rozchorowałby się gorzej i Bóg wie, kiedyby wrócił.

— To i cóż poradzę, — rozłożył Łukasz ręce, — wszystko idzie do zguby, od kiedy on tu nastał. Ludzie zhardzieli i ci grzesznicy przedrwiwają sobie z księdza proboszcza, z pani i ze mnie.

— A co mówią o mnie? — ożywiła się.

Łukasz wprawdzie niewiele słyszał, ale korzystał ze sposobności, ażeby swe dawne rachunki z nią załatwić i rzekł po namyśle z miną współczucia:

— Ech, proszę pani, co tam zważać na takie psie gadanie i wymysły.

— Powiedzcie mi jednak, — a widząc wahanie, — chcę wiedzieć koniecznie.

— Ano, kiedy pani każe, to powiem, co ludzie szczekają... A to, że pani skąpa, że z obrazu zdarłaby, ażeby tylko grosz uciułać, że rachunki z księdzem proboszczem pisze pani podwójną kredą...

— Dosyć! Dosyć! — krzyknęła zatykając sobie

uszy, — a to podłe bydło, a psy wściekłe, a pogańskie nasienie!... Powiedzcie sami Łukaszu, czy w tem chociaż jedno słówko prawdy? Wy przecie widzicie moje życie ciężkie.

— Iii, co tam słuchać ujadania psiego, — tłómaczył spokojnie, — różni różnie wydrwiwają na panią.

— To tym psim ozorom i tego jeszcze mało! — zawołała rozżalona, — cóż więcej mówią?

— Nie wiem, czy mam powiedzieć, — zawahał się.

— Niech już wypiję cały ten kielich goryczy... mówcie!

— Chwalą sobie okrutnie księdza wikarego, a na panią bij zabij za niego, że poniewierać się musi po chłopach... że prócz Kaśki i Grzeli nikt w plebanii nie wytrzyma, bo pani go wygryzie, a z plotkami chodzi pani jak kokoszka z jajem.

— A łotry! A zbóje! — zawołała zduszonym przez gniew głosem, — powiedzcie mi zaraz, kto to tak ujadał?

— Któżby śmiał przedemną złe słowo powiedzieć o pani? Wszyscy wiedzą, że łeb rozbiłbym każdemu... ale jak to na wsi... to mojej przyniesie kumoszka, to dzieci posłyszą... Złe jak chwast pleni się szybko.

— No, już ja dojdę kto szczekał, — powiedziała z zawziętością, — i pożałuje tego... nie zapomnę do śmierci... I wszystko to przez wikarego... no, niech tylko mój brat proboszcz przyjedzie, już ja mu dam, albo on z plebanii, albo ja, tak mi Panie Boże dopomóż! Tyle czasu było cicho, spokojnie, przykładnie, aż przyjechał ten buntownik, obłudnik, świętoszek... skandalu mu się zachciewa, no, będzie go miał, jakem Blińska, nie daruję.

— I słusznie, po sprawiedliwości, — potakiwał jej

kościelny. — Przy takiem jego gospodarstwie cała plebania pójdzie na żebry. Czy kto słyszał, darmo śluby, darmo pogrzeby, darmo egzekwie... co za wiele, to za wiele.

— No, zapłaci on za to grubo, — mówiła z pasyą, — niech tylko brat przyjedzie, — usiadła na krześle i spojrzała badawczo na stojącego Łukasza.

Od chwili posprzeczania się z wikarym przemyśliwała nad sposobem dokuczenia mu i zemszczenia się za urojoną krzywdę i lekceważenie.

— Mój Łukaszu, — zniżyła głos, — obawiam się, że nasza parafia doczeka się wkrótce takiego zgorszenia, jakiego nigdy nie było tutaj.

Kościelny podniósł spuszczoną głowę i spojrzał z zapytaniem.

— Mówię o tej dziewce ze dworu i o wikarym... podobno schadzki miewają, a od schadzki do grzechu bardzo blizko.

— Iii, — machnął ręką obojętnie, — o tem wróble śpiewają... Ona goni za nim, nie opuści nabożeństwa, gorszą się ludzie.

— My oboje, Łukaszu, nie możemy dopuścić do pohańbienia plebanii przez te skandaliczne romanse, — mówiła ciszej, — a gdy raz będziemy mieli dowód, że on sprzągł się z tą dziewką, ani chwili nie pozostanie tu w plebanii, bo ksiądz proboszcz ziemię i niebo poruszy, ażeby go zaraz zabrali.

— Ja to wiem, — skinął Łukasz głową, — ale samemu będzie mi trudno ich złapać... gdyby to pani tej lub owej słówko powiedziała, już one wyśledziłyby ich napewno i byłby koniec.

— Hm... pomyślę nad tem, a swoją drogą pilnujcie ich i trzeba mieć oczy otwarte.

— To się wie, — i porozmawiawszy jeszcze chwilę poszedł.

XVII.

Rozniosło się nietylko w Kościeńcu, ale w Rudnikach i w Wierzbowie, że wikary i śluby daje, i grzebie bezpłatnie a z wystawną ceremonią, to też gdy w niedzielę poszedł z tacą po kościele przepełnionym pobożnymi, posypały się pieniądze.

Po obliczeniu pokazało się, że po zapłaceniu proboszczowi należnych mu pieniędzy, zostaje dość pokaźna sumka, nad użyciem której począł rozmyślać.

W poniedziałek przed zachodem słońca poszedł z brewiarzem w ręku do ulubionej kapliczki.

Przed nim, jak okiem sięgnąć, rozciągały się łany wykłoszonego zboża, falujące pod lekkim powiewem wiatru. Różnobarwne kwiaty tworzyły na łąkach wzorzysty dywan, a ta pogoda i harmonia natury odbiły się w jego duszy, przepełniając go niezmierną dobrocią dla ludzi, a uwielbieniem dla Boga.

Po wspaniałym krajobrazie, lśniącym barwami i bogactwem światła, dziwnie ubogą i posępną wydała mu się kapliczka z cudownym obrazem.

Wspomniał na swe senne widzenie, w którem obraz jaśniał wśród świateł, a liczni pobożni schylali kornie swe czoła. Ukląkł i modlił się gorąco, prosząc o dożycie chwili tego tryumfu Najświętszej Panny.

Polną drożyną zbliżyła się do kapliczki Klara,

w jasnej sukience, w pasterce na bujnych, ciemnych włosach. Zobaczywszy wikarego, który powstawał z klęczek, zarumieniła się i powiedziała cichym a dźwięcznym głosem:

— Dobry wieczór... dawno nie spotkaliśmy się, nie odwiedza nas ksiądz wikary.

— Jestem bardzo zajęty, — uścisnął podaną rękę, — i na wizyty brak mi czasu.

— Kto chce, ten zawsze czas znajdzie, — mówiła swobodnie, — a chciałam zapytać księdza o różne rzeczy, — usiadła na ławeczce pod lipą.

— Jeśli pani ma czas i ochotę, możemy teraz porozmawiać, — odparł uprzejmie.

— Wiem, że ksiądz wikary stołuje się na wsi... dlaczego nie u nas? we dworze?

— Najmilej mi z ludźmi prostego ducha, — tłómaczył się zaczerwieniony, — i chciałem uniknąć podejrzenia, że szukam lepszej strawy.

— I zostanie ksiądz u Sasów?

— Jeszcze czas jakiś... a pani odzyskała spokój ducha? — spojrzał w jej oczy.

— Prawie... zdaje mi się, że znalazłam cel w życiu...

— Jaki?

— Chcę w moim zakresie pracować nad urzeczywistnieniem ideału, o którym mówił ksiądz wikary, — zarumieniła się, — wprowadzić miłość ewangeliczną w życie codzienne. Współczucie dla innych i pomoc czynna sprowadzają pogodę i harmonię w życiu.

— To jedyna prawdziwa droga do szczęścia, — zapalał się, — wszystkie inne prowadzą do goryczy i rozczarowania. Pani wybrałaś najlepszą cząstkę, ale

najdoskonalszą rozkosz znajdziesz pani dopiero w modlitwie jednoczącej nas z Bogiem.

— Być może, ale ja nie doznaję rozkoszy w modlitwie, tylko ulgę i spokój.

— Bo trzeba wierzyć gorąco, bez żadnych zastrzeżeń, bez żadnego wahania, — mówił z zapałem, — trzeba zapomnieć najzupełniej o sobie, o swoich troskach i bolach, i zjednoczyć się w duchu z Najświętszą Panną, — wskazał na obraz w głębi kaplicy, — a wówczas spłynie zdrój łaski i dozna się niewypowiedzianego szczęścia.

Umilkli, a po chwili spytała Klara cichym głosem:

— Czy ksiądz wikary doznał łaski?

— Jestem niegodny, a jednak doznałem... Z rozkazu Najświętszej Panny tu umieściłem Jej obraz i miałem widzenie, że w kaplicy tej z panią i tłumem wiernych oddawaliśmy Jej cześć, a z ołtarza patrzała na nas ta cudowna Najświętsza Marya.

Klara spojrzała na ubogą, ciasną kapliczkę i nie mogła uwierzyć, ażeby w jej wnętrzu znalazło się dosyć miejsca dla księdza i kilku wiernych. Nie chcąc go jednak martwić swą wątpliwością zmieniła temat rozmowy i rzekła:

— Ludzie tej niedzieli dawali chętnie jałmużnę, czy ksiądz zadowolony?

— Bardzo, — uśmiechnął się przyjemnie, — teraz mogę dopełnić posług religijnych ściśle według słów ewangelii: darmo wzięliście, darmo dawajcie.

— Więc to na opłaty kościelne!? — i w głosie jej i w oczach znać było pewne rozczarowanie.

— Powiem pani pod sekretem, że ksiądz proboszcz zobowiązał mnie do pobierania opłat w jego imieniu. Była to dla mnie wielka przykrość; postanowiłem za-

płacić mu zbierając jałmużnę. I Najświętsza Panna błogosławiła memu zamiarowi, bo zebrałem więcej aniżeli potrzebuję.

— A gdyby za tę nadwyżkę rozszerzyć kapliczkę ubogą, — powiedziała Klara nawiązując odruchowo poprzednie swe myśli do wiadomości o składkowych pieniądzach.

— To Najświętsza Panna natchnęła panią, — zawołał z uniesieniem, — módlmy się siostro, i dziękujmy za łaskę, — wziął ją za rękę i oboje uklękli przed cudownym obrazem.

Pogrążyli się w modlitwie i nie zauważyli, że przy samotnej gruszy na miedzy stanęła brzydka baba, świdrującemi oczyma, z uśmiechem złośliwym, patrzała na dwoje modlących się i szepnęła zgryźliwie:

— Pobożna panienka od modlitwy zaczyna, — zaśmiała się bezdźwięcznie.

Pierwsza powstała Klara, a za nią podniósł się z klęczek wikary.

— Zdaje mi się, — odezwała się Klara słodkim głosem, — że powiedziałam o rozszerzeniu tej kaplicy pod wpływem wyższej siły, a w każdym razie bezwiednie.

— Jestem pewny, — rzekł tonem szczerego przekonania, — że gorące pragnienie rozszerzenia czci tego cudownego obrazu, natchnęło cię, siostro, tą myślą. Zakrzątniemy się zaraz około tej pracy i przy pomocy Najświętszej Panny spełnimy to dzieło.

— I ja mam tę pewność, — uśmiechnęła się radośnie, — niechże ksiądz wikary przyjdzie jutro do nas, omówimy tę sprawę. Jestem pewna, że ojciec da nam praktyczne wskazówki.

— Przyjdę, a swoją drogą rozmówię się z moimi przyjaciółmi na wsi.

Na drodze zjawili się ludzie wracający z pola, turkotały wozy, a z cienia drzew i krzewów począł zmierzch wysuwać swe macki.

Po chwili rozstali się. Klara polną drożyną poszła do dworu, a wikary przyłączył się do robotników wracających do wsi.

Klara idąc do domu czuła się dziwnie uradowaną. Zdawało się jej, że nie idzie, lecz płynie w powietrzu. W sobie miała kojący spokój i wszystko dokoła wydawało się jej pięknem, harmonijnem, cudnem. I te łany zboża, samotnie stojące grusze, granatowy las w oddali, odgłosy fujarki z pastwiska, świegot ptactwa przed nocnym spoczynkiem, i kwiaty, i trawy, wszystko nabrało nowego uroku, nowej, nieznanej przedtem piękności i wdzięku.

W uszach dzwonił jej wyraz wypowiedziany dziwnie słodko i melodyjnie: »siostro«. Powtórzyła go, ciesząc się i rozkoszując jego dźwiękiem.

Tak, będę ci siostrą kochającą i wierną, razem będziemy pracowali nad odrodzeniem ludzkości, nad usunięciem krzywd, cierpień, nienawiści i złości. Przed rozpromienionemi oczyma przesuwały się obrazy przyszłości, jeden piękniejszy od drugiego, jasne, pogodne, przecudowne miłością braterską, bez cienia krzywdy, zazdrości, przepojone powszechnem szczęściem.

A w tych wszystkich obrazach widziała jego i siebie pracujących wspólnie, dążących razem do słonecznej przyszłości.

Jak zgrzytliwy ton w muzyce, tak dotknął ją niemile widok Łukasza, który wracając z pola szedł na-

przeciw niej tą samą drożyną. Zgarbiony, chmurny, stąpał ciężko i nie ustępując z drogi mierzył ją wzgardliwem spojrzeniem.

Gdy go minęła, wydało się jej wszystko szarem, smutnem, brzydkiem. Odczuła nienawiść tego człowieka do niej, co ją tem bardziej zabolało, że przed chwilą ogarniała cały świat swoją miłością.

I co ja mu złego zrobiłam? pytała siebie, a nie znajdując przyczyny, poczuła żal nietylko do Łukasza, ale i do innych, którzy niedowierzali jej nawróceniu religijnemu i wyrażali się z przekąsem o jej pobożności.

Na ganku spotkała ojca widocznie czekającego na nią.

— Gdzie byłaś Klarciu? — spytał zniecierpliwionym głosem.

Ton tego zapytania podrażnił ją i odparła zimno:

— Na spacerze, — wstępowała zwolna na schody.

— Czy znów w kaplicy? — w głosie można było wyczuć wyrzut.

— A chociażby... nie jestem dzieciakiem, ażebym zdawała sprawę z każdego kroku.

— Więc byłaś tam?...

— Byłam, — rzekła z hamowanym gniewem.

— A prosiłem cię, ażebyś tam sama nie chodziła, — mówił z żalem, — jeśli chcesz się modlić, urządzę ci kaplicę w domu.

— Dziękuję, — zarumieniła się, — a zakaz chodzenia do kaplicy ubliża mnie i zapowiadam, że nie myślę go słuchać, — powiedziawszy to szła w stronę pokojów.

— Klarciu! — zawołał ojciec.

— Czy nowy zakaz? — spytała drwiąco i zniknęła w otwartych drzwiach.

Wymówiła się bolem głowy od kolacyi i spotkała się z ojcem dopiero nazajutrz przy obiedzie, a chcąc go dobrze usposobić była wesoła i uprzejma. Wśród rozmowy powiedziała:

— Wie tatuś, że w miejsce tej kapliczki ma stanąć inna, większa.

— Tak?... a kto zbuduje? — spojrzał badawczo na córkę, która zarumieniła się wbrew woli mówiąc:

— Kosztem parafian.

— Pewno z inicyatywy wikarego, — dodał spokojnie.

— Tak jest... i chciałam prosić tatusia o radę i pomoc... tatuś jako technik zna się na budownictwie.

Ojciec milczał, a na wyrazistej jego twarzy odmalowała się przykrość.

— Dlaczego tatuś milczy? — spytała trochę zaniepokojona.

— Dziwi mnie ta twoja propozycya, — odparł obojętnie i jadł dalej.

— Dlaczego? — zawołała popędliwie, nie podnosząc jednak głosu, bo nigdy tego nie czyniła. — Czy tatuś nie chce mi zrobić tej małej przyjemności, ażeby narysować plan, obliczyć koszta i przyczynić się do budowy?

— Budowanie nowej kaplicy, gdy we wsi jest wielki kościół, uważam za rzecz zbyteczną a nawet szkodliwą.

Zarumieniła się, oczy jej zabłysły i rzekła tonem suchym:

— Prosiłam już raz i tatuś mi przyrzekł, że nie

będziemy dotykali spraw religijnych. Tatuś ma swoje przekonania, a ja swoje, od których nie odstąpię.

— Moje dziecko, — mówił spokojnie, — cóż mają przekonania nasze wspólnego z kaplicą i jej budową?

— O, ja wiem dobrze, — patrzała z cichą pasyą na ojca, — rzecz idzie o kaplicę, a kaplica łączy się ściśle z mojem przekonaniem religijnem, więc tatuś nie mogąc mnie zmienić, rozmyślnie usuwa się od wszelkiej pomocy. Znam się na tej polityce, — uśmiechnęła się gorzko, — wszystko ci wolno Klarciu... wszystko zrobię dla ciebie... niema rzeczy, którejbym ci odmówił, — przedrzeźniała ojca, — ale gdy o co poproszę, zapomina się o wszelkich przyrzeczeniach, obietnicach...

— Jeśli chcesz tak koniecznie i upierasz się, dobrze, zrobię plan wbrew mej woli.

— Dziękuję... nie potrzeba mi planu, — oświadczyła energicznie, — nikogo nie zmuszam, ani nie narzucam się z prośbami. Byłam pewna, że tatusiowi zrobię przyjemność moją prośbą, bo ileż to razy tatuś mi mówił: dlaczego nie powiesz czego chcesz? co ci się podoba?... Teraz powiedziałam i usłyszałam, że dla świętego spokoju, na odczepne, wbrew woli... nie, nic nie chcę, — wstała od stołu.

— Klarciu, uspokój się, — prosił ojciec, — już zrobię z chęcią, pomogę... no, usiądź, pogadamy o kaplicy.

— I co teraz jest prawdą? — patrzała w twarz ojca, — czy wbrew woli, czy z chęcią?

— I jedno i drugie, — zaśmiał się swobodnie, — zrobię plan wbrew memu przekonaniu, a naprawdę chętnie, ażeby ci zrobić przyjemność.

— To wykręcanie się, — usiadła za stołem, —

bo co ma wspólnego plan techniczny na budowę kaplicy z przekonaniem? Dobry ład byłby na świecie, gdyby technik zrobił plan domu, ale bez kuchni, bo ona sprzeciwia się jego przekonaniom stołowania się w restauracyi nie w domu, — zaśmiała się wesoło, - cóż tatusiu, czy to mądre?

— No, dajmy temu spokój... Zatem kaplicę budują... najpierw muszę obejrzeć miejsce, na którem ma stanąć, następnie z jakiego materyału, no, i ile ma kosztować?

— Niech tylko tatuś najpierw plan zrobi, a o innych kwestyach pogadamy później.

— Hm... narysować mogę, ale czy się ten plan przyda, wątpię.

— Już będzie dobry, — uśmiechnęła się, — jak tatuś zechce, to wiem, że kaplica będzie piękna. Tylko nie odkładać do jutra, bo jak ktoś mnie pouczał, co możesz zrobić, rób dzisiaj.

— Dzisiaj? tak mi się nie chce jechać do tej kapliczki...

— Pojedziemy razem, dobrze? — wstała.

— Nie, Klarciu, taki upał... już sam pojadę, — westchnął.

— Czy znów wbrew woli? — zaśmiała się, — poco te wzdychania?

— No, już z chęcią, — uśmiechnął się i do wchodzącego lokaja: — Każ osiodłać mego konia i niech zaraz przyprowadzą.

— Tak, to dobrze, — zbliżyła się do ojca, — lubię taką energię, — ucałowała leciutko jego czoło.

— Klarciu i ja mam prośbę do ciebie, — przemówił łagodnie.

— Jaką? — odstąpiła od ojca.

— Nie chodź sama do kapliczki.

— Najpierw niech mi tatuś powie szczerze dlaczego?

— Tam możesz spotkać wikarego... a to źle. Nie myślę nic złego o tobie, — mówił szybko widząc jej nachmurzenie, — nic a nic... ale ludzie wezmą ciebie na języki...

— To mnie nic nie obchodzi, — przerwała mu.

— I on zawróci sobie głowę tobą. To źle, to brzydko, i bardzo cię proszę...

— Czy tatuś co słyszał o nim?

— Raz, niechcący... W ogrodzie pełły dziewczęta, a ja czytałem w altanie... w rozmowie wspominały wikarego i łączyły jego nazwisko z twojem.

— No, tego zabronić nikomu nie mogę, — zaśmiała się z przymusem, — a obawa, że on zawróci sobie głowę, jest najzupełniej fałszywa. Jestem pewna, że nie wie jak ja wyglądam, zdaje się, że nie wie nawet gdzie jest, taki przejęty swą ideą... ale jeśli to potrzebne dla spokoju tatusia, dobrze, nie będę chodziła sama do kapliczki, tylko z ludźmi.

— I nie będziesz się spotykała z wikarym?

— O, tego nie myślę obiecywać, — poczerwieniała, — nie jestem niewolnicą haremową, ażebym uciekała od kogoś dlatego tylko, że jest mężczyzną. Nie będę go szukała, to może mi tatuś wierzyć, ale gdy spotkam przypadkowo i zechcę z nim pomówić, zawsze to zrobię.

— Ależ Klarciu, nie miałem na myśli przypadkowego spotkania, — bronił się.

— Więc tatuś myśli, że ja go szukam? — spytała zapalczywie.

— Nie!... Szło mi o kapliczkę, do której i on chodzi modlić się.

— Już powiedziałam raz, że sama nie będę chodziła, czy jeszcze mało? — ściągnęła brwi gniewnie.

— Dosyć i dziękuję ci, — spojrzał w okno i dodał: — konia prowadzą, dowidzenia Klarciu!

— Czekam powrotu tatusia, — uśmiechnęła się.

Poszła do swego pokoju i z miną znudzoną wzięła do ręki powieść rozpoczętą. Usiadła na ładnym, miękkim szezlongu i spojrzała na pokój jasny, obszerny, wykwintnie umeblowany. Z wyjątkiem zawieszonego nad łóżkiem wizerunku Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, lichej roboty litograficznej, rażącej swą brutalną jaskrawością, z każdego przedmiotu, sprzętu, obrazu, widać było niezmierną troskliwość i staranność, ażeby mieszkanka tego pokoju miała wszystko możliwie najwygodniejsze i najpiękniejsze. Klara, przyzwyczajona do dbałości ojca, patrzyła na to obojętnie, a chwilami drażnił ją ten zbytek i nadmiar, jak mawiała, opieki rodzicielskiej.

Czytała czas jakiś, ale z pewnym niepokojem, czy wszystko należycie przygotowano na przyjęcie gościa.

Wstała wreszcie, odłożyła książkę i poszła najpierw do kuchni, ażeby dowiedzieć się czy ciastka gotowe, następnie konferowała z klucznicą co do konfitur i świeżych owoców, sama dojrzała nakrycia, sreber, wreszcie sama zrobiła bukiety do stołowego pokoju i saloniku. Przeczesała swe bujne włosy, włożyła świeżą sukienkę i czekała niecierpliwie na zjawienie się wikarego.

Ojciec, narysowawszy szkic kapliczki, przechodząc

przez pokoje, zauważył te niezwykłe, jak na Klarcię, przygotowania i spytał mimochodem:

— Czy spodziewasz się dziś gości?

— Tak jest. Obiecał ksiądz Kęcki, że przyjdzie w sprawie kaplicy.

— Więc to dla niego te przygotowania? — uśmiechnął się z przymusem.

— Nie robię żadnych, — zarumieniła się, — zwykłe przyjęcie.

— A tak, widzę to po bukietach, — powiedział z odcieniem goryczy.

— Tatuś wie, że lubię kwiaty... a co z planem? czy gotów?

— Zaraz dokończę, — odszedł do swego gabinetu.

Uzupełnił kilku liniami plan, odłożył go, rozmyślając o Klarze.

Opanowały go myśli niemiłe i niepokojące. Nie wątpił już, że Klarcia, ta ukochana i wypieszczona córka, zajęła się wikarym. Stanął przed nim szereg faktów, które teraz powiązał logicznie. Więc to zainteresowanie się ideą ewangeliczną; uczenie dzieci; troskliwość o chatę sadownika; częste uczęszczanie na nabożeństwa; pomoc w odrestaurowaniu kaplicy; a potem te spotykania się kilkakrotne; przejęcie się religią wbrew dawnej obojętności; nagłe rumieńce przy wzmiance o wikarym; częste powroty nastroju cichego, spokojnego, marzycielskiego; wreszcie to uporczywe żądanie planu kaplicy, niezwykła staranność w przyjęciu wikarego i przybranie się w świeżą sukienkę... wszystko to dowodzi, że Klara jeśli go już nie kocha, jest w drodze do zakochania się i to nieszczęśliwego, bo on jest księdzem.

Te myśli tak go wzburzyły, że gabinet wydał mu

się dusznym, gniotły go ściany, dławiło go powietrze. Wstał, wyszedł do ogrodu i przechadzał się w cieniu alei grabowej.

Przeklinał chwilę wprowadzenia wikarego do domu i rozmyślał jak zapobiedz nieszczęściu, które groziło Klarze i jemu, jako ojcu.

W tym czasie wikary przyszedł do dworu i został przyjęty przez Klarę w saloniku. Twarz miał uradowaną i uśmiechniętą, a po przywitaniu rzekł:

— Moi przyjaciele na wsi, Kasper Sas i Piotr Słodownik, obiecali mi swą pomoc. Widoczna w tem łaska Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy, gdyż dawniej, jak mi mówiono, parafianie byli obojętni na sprawy religijne.

— Zmiana na lepsze, — zauważyła Klara z powagą, — jest tylko zasługą księdza wikarego.

— O, nie mów tak, siostro! Człowiek ułomny i grzeszny sam przez się nic nie może zdziałać. Wszystko dzieje się za łaską Chrystusa i Najświętszej Panny.

— No, tak; ale człowiek, jako narzędzie tej łaski, musi być godny tego.

— Każdy staje się godnym, o ile jest pokorny i pełen miłości ewangelicznej. To są podstawy doskonalenia się w życiu duchownem, moja siostro, — spojrzał na nią, a widząc ją zarumienioną dodał: — daruje pani, że chwilami nazywam ją siostrą, ale jestem pod wpływem widzenia.

— Jakiego? — spytała z żywością.

— Opowiadałem już, że w kaplicy naszej widziałem tłum wiernych, panią i siebie.

— Tak jest... pamiętam.

— Otóż pani była ubrana w habit, podobny do

mego, z monstrancyą jaśniejącą na piersiach. Twarz pani wyrażała zachwycenie i przepełniona była miłością anielską do Najświętszej Panny, spoglądającej łaskawie na nas z ołtarza. Widzenie to było tak silne, że chwilami zdaje mi się, że mam przed sobą nie panią, lecz siostrę Klarę, Maryawitkę.

— Kto wie, czy nie jest to prorocze widzenie przyszłości, — powiedziała ze smutną powagą.

— Wszystko w ręku Boga, — rzekł cichym, przejmującym głosem:

Milczeli czas jakiś, wreszcie spytał:

— Czy mówiła pani z ojcem o kaplicy?

Klara podniosła na niego oczy. Miała wielką pokusę powiedzieć mu, ażeby do niej mówił: siostro, ale wspomniawszy ojca nie poruszyła tej sprawy i odpowiedziała:

— Tak jest. Ojciec zrobił nawet plan kaplicy.

— Czy mogę zobaczyć? — poruszył się zaciekawiony.

— I owszem, — wstała i wyszedłszy do przedpokoju, kazała służącemu poprosić ojca.

Wszedł z twarzą zmartwioną, spojrzał podejrzliwie na oboje i maskując smutek uśmiechem, przywitał się z wikarym.

— Podobno pan był tak dobry i zrobił plan kaplicy dla Najświętszej Panny?

— A tak, na prośbę córki... Przynieś Klarciu, jest na stole w gabinecie.

Klara spojrzała podejrzliwie na ojca, nie spodobał się jej jego wygląd i to wysłanie jej po plan, gdy zwykle ojciec uprzedzał jej życzenia. Wróciła szybko i wszystko troje zaczęli się przypatrywać planowi.

— Bardzo ładna kaplica, — pochwaliła Klara, patrząc z wdzięcznością na ojca.

— Istotnie piękna, — potwierdził wikary, — tylko obawiam się, że nie starczą fundusze.

— Ileż ksiądz ma? — spytał Szybicki.

— Niewiele, — odpowiedział czerwieniejąc, — kilkadziesiąt rubli, ale mam w Bogu nadzieję, że składki powiększą znacznie mój kapitalik.

— Liczyć na składki tylko, — rzekł spokojnie Szybicki, — to rzecz niepewna, i sądzę, że ksiądz zrobiłby lepiej, gdyby poczekał czas jakiś i dopiero gdy powiększy się kapitał, wziął się do budowy kaplicy.

Słowa te były zimną wodą na gorące ich pragnienia i nadzieje. Spojrzeli na siebie i wikary przemówił:

— Ani chwili nie wątpię, że kaplica stanie w krótkim czasie. Szanowny pan mierzy te rzeczy po ludzku i według zwykłego rachunku bardzo sprawiedliwie, ale inna sprawa z kaplicą, poświęconą czci Najświętszej Panny. Jej nieprzebrana łaska sprawi, że przybytek dla Niej stanie w krótkim czasie.

— Skądże ta pewność? — uśmiechnął się niedowierzająco.

— Mam pewność, — zarumienił się, — dla pana może to nie jest wystarczające, ale dla mnie najzupełniej. Miałem widzenie, że obszerna kaplica stanęła i widziałem w niej licznych czcicieli cudownego obrazu.

— Tak? — patrzał badawczo na księdza, — to zwykły objaw, że gorące pragnienie przechodzi w halucynacyę.

— Rozum ludzki błądzi, ale nie łudzi nigdy silna wiara.

— To frazes, nic więcej; — rzekł lekceważąco, —

ale dajmy temu spokój... Mówmy o kaplicy... Czy zwrócił ksiądz uwagę na to, że kaplica nowa wobec istniejącego kościoła jest nie bardzo potrzebna.

— Kaplica ma być poświęcona tylko czci Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy.

— Można cześć Jej oddawać i w kościele, — uśmiechnął się, — a zamiast kaplicy zbudować naprzykład ochronkę. Tem zasłużyłby sobie ksiądz na wdzięczność całej wsi. Już w tym roku było kilka nieszczęśliwych wypadków z dziećmi.

— Dlaczegóż tatuś nie zbuduje ochronki? — wmieszała się Klara do rozmowy.

— Najpierw bardzo wątpię, czy rząd udzieliłby pozwolenia. Co innego gmina, ta może budować ochronki. Następnie chłopi, nie dowierzając dworowi, nie posyłaliby dzieci, a do swojej poszlą. Wogóle wydaje mi się polityka wikarego w stosunku do chłopów zbyt ideową.

— Nie rozumiem tego, — szepnął wikary.

— Chłopów nie podniosą i nie zrobią kulturalnymi modlitwy, nabożeństwa, bractwa, ale poprawa ekonomiczna ich bytu. I jeśli zależy księdzu na ludzie, agituj za spółkami ekonomicznemi, na przykład rolnictwa, mleczarstwa, przemysłu domowego, to droga jedyna do rozkwitu kraju. Nam, szlachcie, chłop nie wierzy, mniejsza z tem słusznie czy niesłusznie, ale wy, księża, macie jeszcze trochę wpływu na lud i powinniście użyć go w tym kierunku.

— Może pan ma racyę, ale to nie jest rola kapłana, duchownego kierownika parafian. Najpierw musimy w czyn wprowadzić miłość ewangeliczną, a reszta sama przez się przyjdzie.

— Złudzenie, nic więcej, — uśmiechnął się, —

najpierw trzeba lud podnieść kulturalnie i ekonomicznie, a dopiero szerzyć ideę miłości bliźniego, bardzo nawet piękną w teoryi, ale niemożliwą w zastosowaniu do naszego życia.

— A ja wierzę w przyjście Królestwa Bożego na ziemi i miłosierdzia w czynie, — zawołał wikary surowo, — i maluczko, a przejrzą ślepi i ujrzą drogę właściwą do szczęścia i zbawienia ludzkości.

— I ja jestem tego samego zdania, co ksiądz wikary, — dodała Klara stanowczym głosem, — odpowiednio do siły napięcia ducha układają się stosunki ludzkie, więc najpierw trzeba ducha budzić, a przyjdą lepsze stosunki pożycia.

— Pani ma zupełną słuszność, — pospieszył wikary z uznaniem.

Szybicki spojrzał na nich kolejno i rzekł ze smutnym uśmiechem:

— To marzycielstwo, a doświadczenie nauczy was czego innego; tylko to smutne, że młody nie wierzy starszym i sam musi opalić sobie skrzydła... Taki porządek świata, cóż robić! — westchnął.

— Może przejdziemy do jadalnego pokoju, — wstała Klara.

Rozmowa na razie toczyła się obojętna, o gospodarstwie, spodziewanych urodzajach, o plotkach wiejskich, wreszcie Szybicki patrząc na wikarego spytał żartobliwie:

— Co to za nowy krój sutanny ma ksiądz na sobie, czy zmieniła się moda?

Klarę podrażnił ton pytania i spojrzała niechętnie na ojca, wikary zaś odpowiedział z godnością:

— My, bracia Maryawici, przyjęliśmy ten habit,

jako oznakę naszego zgromadzenia. Ślubowaliśmy bezwzględne ubóstwo, nie przystoi nam tedy stroić się w kosztowne sutanny i płaszcze.

— Jakto, rząd wam pozwolił na zakon? — zdziwił się Szybicki.

— Nie tworzymy wcale zakonu, jesteśmy świeckimi księżmi.

— Więc to tylko strój odróżniający jak u cyklistów lub wioślarzy, — zaśmiał się.

Te słowa oburzyły Klarę i rzekła z niesmakiem:

— Jak można suknię kapłańską porównywać ze strojem sportowym.

Ojciec spojrzał na nią bardziej zdziwiony, aniżeli niezadowolony i odparł spokojnie:

— Moje dziecko, każda suknia ma swój początek świecki nie duchowny, czy to będzie sutanna czy habit, a dopiero z biegiem czasu staje się symbolem zajęcia. To przecież w niczem nie ubliża księżom, których niepotrzebnie bronisz... I dużo was jest księży Maryawitów? — zwrócił się do wikarego.

— Dosyć, a wkrótce będzie nas kilkuset, może i więcej.

Szybicki, który rozmyślnie prowadził tę rozmowę z wikarym, chcąc usposobić Klarę krytycznie, rzekł z odcieniem rozczarowania:

— Więc to ruch czysto księżowski, a ja sądziłem, że chcecie wprowadzić pierwiastek racyonalny do religii.

— O nie! — zaprzeczył gorąco wikary, — my trzymamy się jaknajściślej nauki rzymsko-katolickiego Kościoła i jedynie pragniemy przywrócić ewangelii jej prawdziwe znaczenie i wprowadzić w życie miłość i miłosierdzie według słów Chrystusa.

— No, takich usiłowań było dużo na świecie i wszystkie spełzły na niczem.

— Ale nie nasze! — zawołał wikary.

— Hm... życzę wam powodzenia, — uśmiechnął się, — ale bardzo wątpię, czy dokonacie jakichkolwiek zmian w duchowieństwie.

— O, napewno, nawet biskup nasz przyjął nas przychylnie.

— Biskup może godzić się z wami, ale cały tłum księży, żyjących z ludu wygodnie, potępi was... i zapewne wkrótce i wy się zmienicie na tłustych proboszczów.

— Nie zna nas pan, — zaczerwienił się wikary, — złożyliśmy śluby i dotrzymamy. Pokaże to zresztą blizka przyszłość, — mówił spokojniej, — a na razie chciałbym pogadać o kaplicy.

— I owszem... zatem z jakiego materyału ma być budowana?

— Sas i Słodownik radzili mi zbudować kaplicę z drzewa. Będzie taniej i prędzej, gdyż o drzewo łatwiej i o majstrów.

— No, zapewne... Jeżeli będzie z drzewa, w takim razie trzeba zburzyć tę kapliczkę, która jest obecnie.

— A nie możnaby jej zachować? - odezwała się Klara, — przyzwyczaiłam się do niej.

— I ja pragnę tego, — poparł jej zdanie wikary, — mam bardzo ważne powody, ażeby tę kapliczkę, w której po raz pierwszy oddano cześć cudownemu obrazowi, zostawić nietkniętą.

— Hm... namyślę się, może da się to zrobić.

— A jaki koszt? — spytał wikary.

— Muszę obliczyć z ołówkiem w ręku, — rzekł Szybicki, — a jeśli ksiądz chce dziś wiedzieć, proszę ze

mną do gabinetu, naradzimy się, a Klarcia przygotuje dla nas kolacyę, — wstał od stołu i wraz z wikarym przeszli do gabinetu.

Usiadł za biurkiem, a wikary na krześle obok, jak to było za pierwszą bytnością przed Wielkanocą. Nie bez goryczy wspomniał Szybicki tę pierwszą chwilę poznania i niechętnie spojrzał na wikarego siedzącego z zupełnym spokojem ducha i niemal z obojętnością.

Szybicki wziął się do obliczenia materyału i kosztów gorączkowo, a skończywszy część roboty, mówił:

— Ścianę kapliczki, na której wisi obraz, zostawię, trzeba ją będzie podnieść i umieścić pod wspólnym dachem. W ten sposób stanie się zadość życzeniu mej córki.

— Jestem pewny, że bardzo się ucieszy, — dodał wikary, — gdyż ma szczególne nabożeństwo do Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy.

Szybicki rzucił złem okiem na wikarego i pracował dalej. Obliczył wreszcie ilość potrzebnego budulcu, łat, krokwi i gontów na pokrycie dachu. Odczytał wikaremu, który rzekł:

— Może szanowny pan pozwoli mi ten rachunek, będzie mi wskazówką.

— To brulion, nie zdoła się ksiądz zoryentować.

— W takim razie przyjdę jutro, a pan mi podyktuje cyfry.

— Nie! — powiedział twardo Szybicki, — sam przepiszę i odeszlę.

Ton tych słów zwrócił uwagę wikarego i baczniej spojrzał na gospodarza, który zapaliwszy papierosa rzekł spokojnie, patrząc w oczy gościa:

— Korzystam ze sposobności, ażeby z księdzem wikarym rozmówić się szczerze i otwarcie.

— I owszem... słucham.

— Będę mówił nie do księdza, nie do wikarego, ale do syna mego przyjaciela, a jeśli powiem coś nieprzyjemnego, daruje mi pan po starej znajomości z ojcem. Dobrze?

— Bardzo chętnie posłuchám, tylko muszę zrobić jedno zastrzeżenie: niema we mnie dwóch ludzi, tylko jeden jedyny, a tym jest ksiądz... A teraz słucham.

— Wszystko mi jedno, — nachmurzył się Szybicki, — mówię do uczciwego człowieka, czy będzie nim syn przyjaciela, czy też ksiądz, — umilkł i dopiero po dłuższej chwili zaczął:

— Z trudnością przychodzi mi wtajemniczać pana w moje domowe stosunki, ale uznaję konieczność, — zawahał się i mówił: — od czasu pierwszej wizyty pana, zauważyłem pewną zmianę w mej córce... Zaprzątnęła sobie głowę niepotrzebnie ideą głoszoną przez pana o wprowadzeniu w życie zasad ewangelicznych... Zaniedbuje swe zwykłe zajęcia, zbyt często uczęszcza na nabożeństwa, zajmuje się kaplicą... jednem słowem jest na najlepszej drodze do zostania bigotką, czego nie chcę i czem się brzydzę.

— Nie bardzo rozumiem pana, — odezwał się wikary, — nie zauważyłem, ażeby panna Klara miała skłonność do bigoteryi, przeciwnie, ona jest szczerze pobożna.

— Ale ta pobożność przekracza zwykłe granice, — przemówił goręcej Szybicki, — co mnie bardzo martwi... Otóż prosiłbym pana, ażebyś nie wpływał na nią w duchu tej pobożności, nie wskazywał jej celów zaziemskich

lub niedających się osiągnąć... jednem słowem, unikaj spotkania z nią i rozpraw religijnych, bardzo o to proszę pana.

Wikary słuchał go zasępiony, od czasu do czasu podnosił na mówiącego spuszczone oczy i odpowiedział cichym, miarowym głosem:

— Bardzo żałuję, że nie mogę zastosować się do życzenia pana, ale mi nie wolno tego zrobić, jako księdzu. Nie mogę odtrącić nikogo, kto w ucisku duszy szuka pociechy i ratunku w religii.

— Ależ Klara nie jest w ucisku! — zawołał gniewnie Szybicki.

— Nie znasz pan jej tedy, — mówił wikary spokojnie. — Sama mi wyznała, że znajduje się w nieustannej rozterce ducha, że brak jej celu w życiu, że wokoło niej pustka i smutek. Wskazałem jej wówczas na wiarę, na cnoty ewangeliczne, na miłość do Chrystusa i Maryi Panny, i oto odnalazła spokój, harmonię, szczęście... Jestem pewny, że tego rodzaju niepokoje pana i obawy ustąpiłyby zupełnie, gdyby pan nawrócił się do religii ewangelicznej... i nie wątpię, że to się stanie prędzej czy później.

— Szkoda słów moich, — wstał Szybicki, — jesteś pan zaślepiony fanatyk i to najgorszego gatunku, bo szczery. Zrobiłeś mi wielką, bardzo wielką krzywdę. Odwiodłeś odemnie córkę ukochaną, jedyną która mi pozostała i wtrąciłeś ją w maniactwa religijne.

Wikary, pobladły, wstał również, a patrząc na gospodarza zaiskrzonemi oczyma rzekł z namaszczeniem:

— Chrystus powiada: kto miłuje ojca albo matkę nad Mię, nie jest Mię godzien...

...A dalej mówi: każdy, ktoby opuścił ojca albo

matkę, albo żonę... stokroć więcej weźmie i żywot wieczny odziedziczy... I pan, ojciec, chcesz zgubić jej duszę?

Szybicki sponsowiał z gniewu i oburzenia, chciał wybuchnąć, już usta otworzył, ale wstrzymał się i rzekł siląc się na spokój:

— Nie sądź pan, że oddam ją na łup twych przesądów religijnych. Mam prawo wymagać i wymagam, ażebyś się z nią nie widywał ani tu, ani gdzieindziej.

— Sam nie będę jej szukał, ale gdy zechce mówić ze mną, nie odtrącę jej, — odparł wikary z powagą.

— Jesteś pan maniak, mówiąc grzecznie... Dajmy spokój tej rozmowie, bo mogę zapomnieć, że jesteś moim gościem...

— Będę się modlił, ażeby Chrystus Pan i Najświętsza Panna ulitowali się i oświecili pana.

— To później, po mojej śmierci... a teraz chodźmy na kolacyę.

— Ja idę do domu, — skłonił się wikary, — nie mogę korzystać z gościnności pana.

Szybicki ujrzał przed sobą gniewną i chmurną minę Klarci, gdy jej oznajmi o odejściu wikarego. Zacznie go pytać, dochodzić przyczyny... to go stropiło i zawołał:

— Bądźże ksiądz na tyle uprzejmy i zjedz dzisiaj kolacyę, którą córka przygotowała... proszę cię o to, nie dolewaj goryczy do goryczy.

— Nie... nie mogę usiąść przy stole pana.

— A jeśli ja cię o to proszę...

Wikary spojrzał w oczy gospodarza, a widząc w nich szczerą prośbę, rzekł łagodnie:

— Ustąpię i idę z panem.

— Dziękuję... a rozmowa nasza poprzednia zostanie tylko między nami. Czy tak, księże wikary?

— O ile nie będę zmuszony do odpowiedzi.

— No, zmuszać księdza nikt nie będzie, — zaśmiał się nieszczerze.

Klara bacznie przyglądała się ojcu i wikaremu, a widząc chmurną minę ojca i pewne zakłopotanie księdza, zaczęła przypuszczać, że była pomiędzy nimi jakaś nieprzyjemna rozmowa. Na razie nie chciała się dopytywać i uprzejmie zapraszała do stołu, błyszczącego nakryciem, srebrem, kwiatami i różnymi przysmakami.

— Jakiż koszt kaplicy? — spojrzała na wikarego.

— Dość znaczny, ale mam nadzieję, że pomoże mi Najświętsza Panna.

— Czy ksiądz wikary ma plan przy sobie?

— Nie... jutro obiecał mi pan Szybicki przysłać na plebanię.

Spojrzała z odcieniem niezadowolenia na ojca, który usprawiedliwiał się:

— Zrobiłem dopiero szkic, a rachunki są w brulionie, jutro przepiszę.

— O, to ja mogę zrobić, — ofiarowała się Klara, — nawet dzisiaj.

— Prosiłem o to samo pana Szybickiego, ale mi odmówił.

— Dziś nie mogę, — powiedział gospodarz, — muszę uzupełnić, a i tak po nocy nie będzie się ksiądz wikary umawiał o robotę.

— To prawda, ale jutro rano poszedłbym na wieś i uradziłbym coś ze Sasem.

— Jutro odeszlę, — powiedział stanowczym głosem Szybicki.

Klara, widząc niezadowoloną minę wikarego, dodała:

— Jutro ja sama dopilnuję rychłego odesłania planu i obliczeń.

— Dziękuję pani.

Służący wniósł francuskie kluseczki z parmezanem, ze względu na post wikarego. Szybicki odsunął półmisek i spytał lokaja:

— Jest gorące mięso na kolacyę?

— Niema.

— Przynieś mi zimne z obiadu.

— Przepraszam, zapomniałam, — zmieszała się trochę Klara.

— Nic nie szkodzi, — odmruknął ojciec nachmurzony, zabolało go bowiem zapomnienie córki.

Po pewnym czasie rozmowa wróciła znów do budowy kapliczki, a wikary mówił zadowolony:

— Kasper Sas obiecał zwieźć potrzebnę drzewo z lasu, a Słodownik przyrzekł przypilnować roboty w tartaku.

— To dużo z ich strony, — dorzucił Szybicki.

— A tatuś da drzewo z lasu, — spojrzała z prośbą na ojca.

— Tego nie śmiem wymagać, — pospieszył wikary.

— Cóż tatusiu? — spytała z miłym uśmiechem.

Szybicki niezmiernie dbał o drzewostan w lesie, do tego stopnia, że gdy potrzebował na własny użytek, raczej kupił, aniżeli ciął w swym lesie. I teraz przemogła w nim chęć nieruszenia lasu, to też odpowiedział:

— Wiesz Klarciu, jak niechętnie biorę drzewo z lasu, — a widząc ją chmurną, — jeśli chcesz koniecznie, to dam pieniądze, ale nie drzewo.

Ubodło to Klarę, że ojciec w obecności wikarego odmówił jej prośbie o taką drobnostkę, jak kilka czy kilkanaście drzew.

— Pieniądze przydadzą się na robotę, i przyjmuję je w imieniu księdza wikarego, — siliła się na wesołość, — ale dla mnie proszę o drzewo.

— O, nie, pieniądze są na drzewo, którego żądasz, — rzekł ojciec spokojnie.

— Więc kwituję z pieniędzy, — poczerwieniała, — i bardzo proszę o drzewo, — w tonie czuć było nie tyle prośbę, jak rozdrażnienie.

— Niema o czem mówić, — powiedział ojciec z udaną obojętnością, — dostawię kilka belek i słupów do budowy.

— Jestem panu bardzo wdzięczny, — wmieszał się do rozmowy wikary.

— Ale nie ja! — zabłysły jej oczy, — jeszcze raz proszę tatusia o drzewo z lasu.

— Pomówimy później, — nabierał mięsa z półmiska.

— Tylko ser odkładany dobry, — uśmiechnęła się powierzchownie, — cóż tatusiu, tak, czy nie?

Zapewne ojciec zrozumiał, co znaczy to kategoryczne pytanie, gdyż uśmiechnął się z przymusem:

— Cóż mam robić z tak upartą dziewczyną... już dam, — westchnął.

— Nareszcie, — zaśmiała się. Klara ucieszona swem zwycięstwem, — pieniądze i drzewo z lasu; bo to widzi ksiądz wikary, tatuś jest bardzo dobry, tylko jak się zatnie, muszę go zmęczyć, zanim ustąpi.

— O, widzę, że pani ma wielki wpływ na ojca, — przyznał wikary z uśmiechem.

— Ustępuję tylko w drobnostkach, — rzekł Szybicki z godnością, — bo lubię harmonię w domu.

— No, tatusiu, to drzewo z lasu nie było drobnostką, — mówiła wesoło, — i dużo mnie pracy kosztowało.

Wikary spojrzał na córkę, na ojca i zabłysła mu myśl nawrócenia ojca do religii przez córkę i pogodzenia go z proboszczem.

— Jestem przekonany, — przemówił uprzejmie, — że pani tylko w zacnych celach prosisz o ustępstwo, i nietylko w materyalnych, ale i w wyższych, moralnych, dotyczących duszy.

— U nas, księże wikary, — rzekł Szybicki, — panuje zupełna swoboda przekonań, o ile one nie wykraczają przeciw etyce.

— Są jednak przekonania, które Kościół potępia, — zauważył poważnie wikary.

— Ach Kościół!? — uśmiechnął się ironicznie Szybicki. — Kościół posiada cały legion przeżytków chaldejskich, żydowskich, greckich, rzymskich, średniowiecznych i innych, z którymi może się liczyć tylko fanatyk lub zainteresowany pieniężnie.

Wikary pobladł słysząc te lekceważące słowa i zabierał się do surowej odpowiedzi, gdy uprzedziła go Klara:

— Tatuś znów zaczyna dysputę, a prosiłam tyle razy... W naszym domu, księże wikary, — uśmiechnęła się, — wykluczone są dysputy religijne... tyle jest innych przedmiotów do rozmowy, muzyka, sztuka, literatura... Czy czytał ksiądz wikary najnowszą powieść? — wymieniła tytuł i autora.

— Nie czytuję powieści wcale, — zaznaczył wi-

kary surowo, — to karmienie wyobraźni fałszywymi obrazami, jest niewłaściwe i grzeszne wogóle, a cóż dopiero dla kapłana, którego jedyną lekturą powinna być ewangelia i Pismo święte.

— No, a gazety? — zaśmiał się Szybicki.

— Sam prenumeruję, ażeby wiedzieć co się dzieje na szerokim świecie, czytam z obowiązku, a na powieść nie spojrzę.

Ojciec, który wiedział, jak chętnie Klara czyta powieści, rad był tym słowom wikarego i podjął skwapliwie:

— Są różne zamiłowania... ja nie umiałbym się wyrzec historyi, powieści, sztuki...

— A pani? — zwrócił się wikary do Klary.

— I ja bardzo lubię czytać, uczyć się, słuchać muzyki...

— Nie rozumiem, — dodał Szybicki, — jak można nie lubić poezyi, teatru, sztuki, to przecież sól życia.

— Jak dla kogo, — uśmiechnął się z wyższością wikary, — najpiękniejszą poezyą jest życie w miłości ewangelicznej, a największą sztuką przeżyć dzień bez grzechu.

— Gdyby mi poezya i sztuka miały przeszkodzić w doskonaleniu się duchowem, — odezwała się Klara surowym głosem, — wyrzekłabym się ich bez wahania.

— Mówi pani jak prawdziwa chrześcijanka, — pochwalił wikary.

Szybicki spojrzał z widoczną niechęcią na księdza i składając serwetę zwrócił się do córki:

— Wiesz, Klarciu, jutro przyjeżdża do nas pan Molęcki z matką.

— Czy na obiad? — spytała z odcieniem niechęci.

— Nie, przyjadą na herbatę.

— Czy to ten młody człowiek, którego poznałem u państwa? — spytał wikary.

— Tak jest, nasz sąsiad.

Wikary spojrzał z pod oka na Klarę, która to zauważyła, westchnął i umilkł. Klara miała za złe ojcu rozmowę o religii i wzmiankę o Molęckim, siedziała też chmurna i małomówna.

Przez jakiś czas Szybicki starał się podtrzymać kulejącą rozmowę, wreszcie wikary wstał i pożegnał się.

— O czem tatuś rozmawiał z nim w gabinecie? — patrzała mu w oczy śledczo.

— O kaplicy... dlaczego pytasz?

— I tatuś i on przyszliście zwarzeni do jadalnego pokoju. Czy tylko o kaplicy była mowa?

— Potrącaliśmy o inne sprawy... ale bez znaczenia. Dobranoc Klarciu, dziś skończę plan i obliczenia, bo jutro od rana jestem zajęty.

— Ale tatuś wyszle plan rano?

— Napewno.

XVIII.

Zwózka drzewa budulcowego na kaplicę poszła tak raźnie, że w końcu tygodnia większa część drzewa, obrobionego w tartaku i kamień potrzebny na podmurowanie, były złożone przy kapliczce.

W następną niedzielę wikary przemówił gorąco do parafian w tej sprawie, przedstawiając im w żywych obrazach ile łask spłynie na nich, gdy cudowny wizerunek Matki Boskiej będzie miał godną siebie kaplicę.

Posypały się też obfite datki na tacę obnoszoną przez wikarego w kościele, a do zakrystyi zgłosili się chętni do pomocy mężczyźni i kobiety.

I wikaremu i ludziom dużo zależało na tem, ażeby przed rozpoczęciem żniw nietylko stanął zrąb kaplicy, ale został nakryty dachem.

Pracowano też usilnie, a robotnicy od czasu do czasu śpiewali pod przewodnictwem wikarego pieśni pobożne i litanię do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. I robota przy pieśni szła żwawo i ochoczo.

Klara dość często przychodziła do kaplicy ze służącą dźwigającą kosz z posiłkiem dla robotników. Wikary tak był zajęty, że zaledwie kilka słów mógł zamienić z Klarą, ale pewnego razu, gdy zrąb był niemal gotów, usiadł przy Klarze i wdał się w dłuższą rozmowę.

Mówiąc o swych zajęciach codziennych dodała łagodnym głosem:

— Wieczorami modlę się gorąco przed cudownym obrazem, błagając o łaskę, ażebym stała się godną zostać Jej służebnicą.

— Tę łaskę zdobywa się dobrocią i miłością ewangeliczną dla ludzi, — mówił z głębokiem przekonaniem.

— Staram się być taką, ale pragnęłabym ponieść dla Niej ofiarę, zasłużyć się Najświętszej Pannie, a nie wiem jak?

— Jak? — zamyślił się i wspomniał na brak religii jej ojca: — najmilszą ofiarą jest pozyskanie duszy błądzącej i zostającej w grzechu... To prawdziwa zasługa.

— Pozyskać duszę? — zdziwiła się lekko.

— Tak jest... Jestem pewny, że ojciec pani przy swoich zaletach jest niereligijny i obojętny w rzeczach wiary. Pomyśl siostro, że gdyby, czego uchowaj Panie

Boże, zmarł w tym strasznym grzechu, cierpiałby przez wszystkie wieki, bo on grzeszy przeciw Duchowi Świętemu, a tacy nie zasługują na miłosierdzie Boga.

— Będę próbowała, ale bardzo wątpię, czy zdołam go nawrócić, — mówiła cicho, smutnym głosem.

— Brak wiary i zaufania w pomoc Najświętszej Panny jest już klęską przy tej wzniosłej pracy nawrócenia. Chciej siostro i miej ufność w pomoc Maryi, a napewno zwyciężysz złego ducha, który obrał sobie siedlisko w ułomnym rozumie ludzkim.

— Postaram się.

— Sam widziałem twój wpływ, siostro, na niego, gdy szło o drzewo na kaplicę... użyj swych sił, uśmiechu, dobroci, poświęcenia, i ratuj tę drogą dla ciebie duszę od wiecznego potępienia.

— Dobrze, mój bracie, — szepnęła i zarumieniła się przy ostatniem słowie.

— Pracuj szczerze i wytrwale, módl się przed cudownym obrazem o pomoc, której nigdy Najświętsza Panna nie odmawia proszącym ją szczerze i gorąco... A gdy miłość ewangeliczna wstąpi w jego serce, napewno dla imienia Maryi Panny pogodzi się z księdzem proboszczem ku zbudowaniu całej parafii. Czy pójdziesz za moją radą?

— Pójdę, — powiedziała stanowczym głosem i rozpromienionemi oczyma spojrzała na niego.

— Niechże Najświętsza Panna stanie ci pomocą, moja siostro, w tej zbożnej pracy, — mówił rozczulony.

— Chciałabym się też zapytać brata, — zaczęła z pewnem ociąganiem się, — jak zapatrują się Maryawici na sprawę małżeństwa?

— Małżeństwa? — podniósł na nią oczy, — czy masz zamiar, siostro, wyjść za mąż?

— Ja, wcale nie, — zarumieniła się, — tylko ojciec ma pewne projekta.

— Hm... co do małżeństwa, odpowiem ci siostro słowami apostoła Pawła: I białogłowa nie mężatka i panna myśli o tem co Pańskiego jest, aby była święta ciałem i duchem. A która wyszła za mąż, myśli co światu należy, jakoby podobała się mężowi swemu... Z tego wniosek prosty, że jeśli chcesz siostro Bogu służyć i Najświętszej Pannie, nie idź za mąż, tak radzi apostoł i Kościół święty... Gdybyś siostro widziała życie i pracę sióstr Maryawitek, byłoby jedynem twem pragnieniem dostać się do tego zakątka ziemskiego raju.

— Gdyby nie ojciec, — szepnęła zamyślona.

— Kto miłuje ojca nad Mię, nie jest Mnie godzien, mówi Chrystus, — spojrzał na nią surowo, ale zaraz dodał łagodnie: — kto wie jednak, czy nie dlatego Bóg zesłał wahanie na ciebie, ażebyś nawróciła twego ojca.

Jeden z majstrów podszedł do wikarego prosząc o wskazówki, pożegnał tedy Klarę udając się do robotników.

We dwa dni później wikary z wielką niecierpliwością wyczekiwał przyjścia Klary do kapliczki, a gdy nadeszła, zbliżył się do niej mówiąc:

— Wypatrywałem cię siostro wczoraj i gdybyś nie przyszła przed południem dzisiaj, byłbym list napisał.

— Dlaczegóż bracie nie przyszedłeś do nas, do dworu? — spytała zdziwiona, — nie lubię pisania listów.

Wikary rozdrażniony oczekiwaniem nie obliczył się ze słowami i rzekł:

— Do dworu zabroniono mi przychodzić.

Klara pobladła, co widząc, wikary pożałował swych słów, ale już było zapóźno, gdyż spytała:

— Kto zabronił? — patrzyła mu w oczy.

— Miałem z panem Szybickim niemiłą rozmowę i postanowiłem nie bywać w jego domu, chyba że mnie sam będzie prosił o to.

— Kiedy to było? — badała z pozornym spokojem.

— W gabinecie, gdy mi plan pokazywał, ale to rzecz podrzędna, mam ważniejszą prośbę do siostry.

— I owszem... słucham.

— Usiądźmy, — wskazał na leżące belki, — pogadamy. Otóż wczoraj popołudniu, — mówił siadając obok Klary, — otrzymałem smutną wiadomość, którą podzielę się z tobą siostro, bo jakkolwiek formalnie nie należysz do Maryawitek, ale jesteś z nami duchem i pobożnością, — wyjął list i czytał:

— Niech będzie pochwalona Przenajświętsza Eucharystya! Drogi bracie! Z niezbadanych wyroków Opatrzności nadeszła dla nas, Maryawitów, chwila ciężka i okrutna. Bóg doświadcza nas, azali jesteśmy godni głosić słowo ewangelicznej miłości. Biskup nietylko odmówił zatwierdzenia konstytucyi naszego zgromadzenia kapłańskiego, ale nakazał natychmiastowe rozwiązanie tegoż. W tem naszem nieszczęściu i utrapieniu znajdziemy jedyną pociechę we wspólnej modlitwie i miłości wzajemnej. Przybywaj tedy najukochańszy bracie do klasztoru naszej nalepszej i nieocenionej mateczki Bronisławy...

Złożył list i smutnemi oczyma spojrzał na zamyśloną Klarę.

— Biskup nasz, — mówił po chwili, — człowiek

zacny i dobry, ale stary, słabowity, uległy otoczeniu. To tylko źli doradcy winni, nie on.

— Nie rozumiem zupełnie tej sprawy rozwiązania, — zaczęła Klara na razie spokojnie, — jak może biskup sprzeciwiać się odrodzeniu Kościoła, wprowadzeniu w czyn miłości i miłosierdzia chrześcijańskiego? To są chyba fałszywe wieści, jakieś intrygi, plotki.

— O nie! Brat Horodelski, który pisał ten list do mnie, jest doktorem świętej teologii; rozumny, ostrożny, cały oddany sprawie naszej. Jeśli tak napisał do mnie, musiał mieć dowody w ręku.

— A co brat myśli o tem? — spojrzała mu w oczy.

— Przyjmuję to jako wyrok Opatrzności, — westchnął smutnie.

— Tego się nie spodziewałam, — oburzyła się cała zarumieniona. — Czyż wasze poświęcenie, wasza praca ma iść na marne? Ustępujecie bez walki, bez sprzeciwiania się? Wy chcecie odrodzić Kościół, ludzkość całą wprowadzić na nowe tory zgody i miłości, i lada kaprys biskupa was zgniecie, złamie! zgubi?! To niemożliwe!

— Siostro, — przemówił łagodnie, — ty nie znasz praw i przepisów Kościoła. Przysiągłem posłuszeństwo i muszę go dotrzymać. Biskupa muszę słuchać.

— Nawet wbrew sumieniu! — spojrzała z wyrzutem na niego.

Milczał czas jakiś, na twarzy widać było że cierpi i powiedział cicho:

— Siostro, nie mogę ci nic stanowczego powiedzieć... Zbierzemy się, naradzimy, są mądrzejsi odemnie.

— I ty bracie, zaparłbyś się twych przekonań!? —

mówiła oburzona, — a ja tak wierzyłam, tak ufałam sile twego charakteru, prawdzie twych przekonań!

— Nigdy nie zaprę się Chrystusa i Jego ewangelii... ale posłuszeństwo przysiągłem.

— We wszystkiem są granice i tych przekroczyć nie wolno, bo z człowieka robi się manekin, — pałały jej oczy, — i gorzej jeszcze, bo staje się on samobójcą swych zasad, swojej duszy!

— Dosyć siostro, — zawołał pobladły, — dlaczegóż powiększasz moje zmartwienie!?

— Prawda, przepraszam cię bracie, — mówiła z czułością, — ale tak byłam wzburzona myślą, iż praca twoja, taka błoga i pełna miłości ustanie, a owoce jej zgorkną.

— Nie mówmy o tem, — rzekł zmęczonym głosem, — dziś popołudniu wyjeżdżam do miasta i chciałem cię prosić siostro, ażebyś dopilnowała budowy kaplicy, bo ty jedna potrafisz mnie zastąpić.

— Dobrze, mój bracie... kiedy nastąpi wasz zjazd?

— Jutro mamy się zgromadzić.

— A kiedy zamyślasz wrócić, bracie?

— Sam nie wiem... za dwa, trzy dni. W każdym razie będę w sobotę w domu, — wstał z miejsca, — niech Chrystus i Najświętsza Panna mają cię w opiece!

— Już brat idzie? — rzekła z odcieniem żalu.

— Nie mam jeszcze koni, bo u Sasa dzisiaj klacz zachorowała. Bogu cię polecam!

— Z Bogiem mój bracie i wracaj dobrej myśli.

— Wszystko w ręku Boga! — skłonił się kapeluszem i poszedł.

Klara patrzała za nim tak długo, póki nie zniknął na zakręcie drogi. Następnie poszła do robotników,

z których prawie połowa pracowała z pobożnej intencyi bezpłatnie.

Dla każdego z nich znalazła dobre słowo i pochwałę na wzór wikarego i gorąco ich zachęcała do pospiechu, ażeby zrobić niespodziankę księdzu przy jego powrocie.

Zbliżała się pora południowego odpoczynku i ze wsi niesiono obiady w garnkach i dwojakach.

Obowiązek gospodyni domu szeptał Klarze, że powinna iść do dworu, że ojciec czeka na nią z obiadem, kilkakrotnie powstawała z ławeczki pod lipą, ażeby iść i chmurna siadała znów na swem dawnem miejscu.

Prócz przykrości rozstania się z wikarym, niemiłej wiadomości o decyzyi biskupa, uczuwała głęboką niechęć do ojca i dręczyła ją myśl, że zobaczy go, że będzie musiała słuchać jego głosu, że zobaczy oczy jego śledzące każde jej poruszenie, starające się uprzedzić jej życzenia.

Rósł w niej żal do ojca, gdy wspomniała, że on ją okłamał. Wszak pytała go, o czem rozmawiał z wikarym w gabinecie? On zbył ją ni tem, ni owem; ukrył przed nią, że wymówił mu dom! A gdy onegdaj dziwiła się, iż wikary nie przyszedł uwiadomić ojca o otrzymaniu drzewa, znów zbył ją ojciec frazesem, że pewno ksiądz nie ma czasu, zajęty budową kaplicy... jednak doskonale znał przyczynę, gdyż sam zabronił mu przychodzić do dworu, więc znów skłamał.

Aż pobladła z gniewnego oburzenia i szepnęła pogardliwie:

— On zawsze kłamie... we wszystkiem, nawet w tem, że mnie kocha!

Odgrzebywała w pamięci bardzo usilnie różne

winy ojca... Obiecał, że nie będzie palił papierosów, i palił ukrywając się przed nią... przyrzekł wyjazd zagranicę i nie dotrzymał... i te inne podróże obiecywane, wycieczki, suknie, książki, trudno zliczyć...

A teraz świeży fakt, gdy go prosiła, ażeby się nawrócił do Boga, żeby zastanowił się nad ewangelią i życiem przyszłem... on zbył ją drwiąco i powiedział: nawrócę się, jeśli ty się nawrócisz i będziesz taką jak dawniej. Czyli innemi słowy, ona ma porzucić zdobyty spokój, cel życia, zbawienie duszy i zostać znów pieszczonem zwierzątkiem w menażeryi ludzkiej.

To przecież wstrętne! Ohydne! I żal do ojca przemieniał się w głuchą nienawiść.

Teraz nie może wrócić do dworu, nie umiałaby zapanować nad sobą, nie mogłaby bez odrazy widocznej spojrzeć na niego! Zaczeka do wieczora, uspokoi nerwy i dopiero wówczas może się z nim spotkać.

Jeden z pracujących gospodarzy, widząc ją tak siedzącą, zbliżył się i rzekł:

— A panienka nie pójdą do dworu na obiad?

— Nie, Grzegorzu.

— To może przyniosą? — a na jej przeczący ruch głową: — to jakże będzie? panienka zgłodnieją, zesłabną...

— Nic mi nie będzie, — uśmiechnęła się przyjemnie.

— Tak nie może być! — zawołał Grzegorz i zwracając się do swego kmotra: — hej! Wincenty! Słuchajcie się!

— Albo co? — odkrzyknął, jakkolwiek w pobliżu ćmił fajkę.

— Panienka bez obiadu!

Wincenty wstał zwolna, wziął koszyk i zbliżywszy się do Klary, zdjął czapkę i przemówił serdecznie:

— Zostawiła mi moja kęs chleba ze serem na podwieczerz, nie pogardźcie proszę, zjedzcie, niech wam pójdzie na zdrowie! — podał ćwierć bochenka i kawał twaroga.

Ta troskliwość o nią rozbroiła Klarę, przypomniała sobie, że przecież i wikary stołuje się u chłopa i rzekła z przyjaźnią:

— Bóg wam zapłać Wincenty za wasze dobre serce. Trochę zgłodniałam, dajcież mi noża, zjem.

— Ho, ho, zaraz poznać, żeście gospodarska córka, — powiedział z uznaniem, wyciągając nóż z kieszeni, — chleba nie godzi się odtrącać. Każdą strawę można, ale chleb jest święty.

— To też jem, — zaśmiała się wesoło, a ponieważ była głodna, smakował jej chleb i ser, i zachwalała szczerze, co miłe było chłopom, a zwłaszcza Wincentemu.

Zaledwie skończył się południowy odpoczynek, gdy zajechał przed kaplicę wolant, zeskoczył lokaj i meldował Klarze służbistym tonem:

— Wielmożny pan dziedzic czeka z obiadem na wielmożną panienkę i przysyła po nią konie.

— Niech Jan powie panu, że obiad zjadłam tutaj... Przyjdę wieczorem na kolacyę, bo jestem bardzo zajęta.

Wszyscy robotnicy z wielkiem zaciekawieniem przysłuchiwali się tej rozmowie, co Klarę drażniło i rada byłaby pozbyć się posłańca od ojca.

— Jakże to? — rzekł zdziwiony, — wielmożny pan dziedzic przecież konie przysłał.

— Podziękujcie Janie panu za pamięć o mnie, ale nie pojadę... i dosyć! — kończyła ostrym tonem.

Jan spojrzał po ludziach, jak gdyby ich wzywał na świadków, że polecenie spełnił, stał chwilę, wreszcie skłonił się, wskoczył na kozioł i pojechał.

Klara była zadowolona ze siebie. Tyle jej złego zrobił ojciec, niech i on raz jeden dozna przykrości z jej strony.

Stosownie do zwyczaju wikarego zaintonowała pieśń na cześć Maryi Panny:

Matko Pomocy Nieustającej
Wysłuchaj w niebie,
Głos duszy nędznej i błagającej
O pomoc Ciebie...

Dźwięcznemu jej sopranowi wtórowały szorstkie i surowe głosy robotników. Po skończeniu dość długiego hymnu zawezwała Klara dwóch pracujących przy kaplicy gospodarzy, Sasa i Słodownika, na naradę.

— Jak myślicie, kiedy skończymy budowę kaplicy?

— Hm... kiedy? — spojrzał Sas na kaplicę, gdzie dopiero przybijano łaty do krokwi, następnie popatrzył na Klarę i rzekł zwolna: — da Bóg, to za dwie niedziele będzie już gotowa.

— Za dwa tygodnie!? — powiedziała rozczarowana, — tak długo?

— Bo to panienko, jutro zaczniemy dach pobijać gontami, a gdzie podłoga? gdzie drzwi? okna?

— I nie może być wcześniej? — spytała.

— No, Kasprze, — odezwał się Słodownik, — możnaby skończyć wcześniej, tylko brak nam robotnika, bo dziedzic zabrał na buraki.

— Dlaczegóż nie idą do kaplicy? — mówiła Klara, — buraki nie uciekną.

— Ani też kaplica, — zaśmiał się Sas, — a w polu pilniejsza robota i dziedzic dobrze płacą dziewuchom i babom.

— I ja zapłacę dobrze, — oświadczyła Klara, — a przecież pilniejsza robota dla Najświętszej Panny, aniżeli przy burakach.

— Ano, jak panienka dadzą taki pieniądz, ludzie się znajdą i robota w mig pójdzie, — uśmiechnął się Słodownik, — tylko że szkodować będzie pan dziedzic.

— Ileż ludzi pracuje przy burakach?

— Jak czasem; bywa pięćdziesiąt, sześćdziesiąt i więcej; a do kaplicy trzeba do gliny, wody, noszenia, mieszania, jakich dwunastu, piętnastu.

— Bez tych kilku czy kilkunastu buraki nie ucierpią, — uśmiechnęła się, — a chyba wam i mnie dużo zależy na tem, ażeby księdzu wikaremu zrobić niespodziankę i posunąć szybko budowę kaplicy.

— To się wie, — zawołał Kasper, — wart on nietylko kaplicy, ale kościoła, taki to dobry i ludzki ksiądz.

— A taki miłosierny, — chwalił Słodownik, — że i robakowi krzywdy nie zrobi.

— Prawdę mówicie, — mówiła Klara ucieszona temi pochwałami.

— Alboż to wszystko!? — zapalał się Kasper, — od kiedy on u nas, ustały swary, kłótnie, pijaństwo, bo i któżby się sprzeciwił i ostał w gniewie, kiedy prosi tak słodko a dobrze.

Byliby obaj rozwodzili się dłużej nad zaletami wikarego, lecz inni odwołali ich, przyzywając do pomocy.

On ma słuszność, rozmyślała Klara, że proste serca są najlepsze; tacy chłopi nieokrzesani, grubi, a po-

znali się na jego wartości, ale inni, którzy mają pretensyę do inteligencyi, jak proboszcz, Molęcki, mój brat, lekceważą go, a ojciec nie chce go znać... dom mu wymówił!...

I fala goryczy wezbrała. Bolała ją ta niesprawiedliwość, oburzała niechęć i obojętność dla sprawy tak olbrzymiej doniosłości etycznej i społecznej, która wkrótce zmieni wszystkie stosunki szpetne, dolegliwe, nieszczęsne, na jasne, promienne, szczęśliwe.

Dopiero po zachodzie słońca i odśpiewaniu hymnu wróciła Klara do domu, a korzystając z tego, że ojciec był zajęty raportami ekonoma i pisarza, wsunęła się do swego pokoju.

Do kolacyi zasiadł ojciec chmurny i jadł w milczeniu. Klara nie odzywała się i słowem, wreszcie Szybicki przemówił z ironią:

— Możebyś raczyła mi powiedzieć, gdzie byłaś przez cały dzień?

— Powiedziałam przez Jana, że do wieczora będę przy budowie... a na uspokojenie nerwów dodam, że ksiądz wikary przed południem wyjechał do miasta.

— I ty sama dozorowałaś? — zdziwił się.

— Sama... przyrzekłam to księdzu.

— To dziwne, bo uprosić cię nie mogłem na chwilę, ażebyś dozorowała dziewek w ogrodzie, a tam cały dzień...

— Co innego jest praca na chwałę Maryi Panny, a co innego dozór dla wstrętnego zarobku pieniężnego.

— Ależ bez tego wstrętnego zarobku nie miałabyś się w co ubrać i co jeść, — uśmiechnął się ironicznie.

— Dziwne uprzedzenie, — zaśmiała się drwiąco, — każdej chwili mogę zapracować na życie i ubranie.

Pójdę w służbę, a chociażby przy burakach zarobię na życie, i przynajmniej nie będę słyszała wymówek. Jeśli o to idzie, od jutra najmę się za robotnicę u pierwszego lepszego chłopa.

— Ależ Klarciu, co tobie się stało? — spytał z żalem, — kto cię tak odmienił?

— Kto? — powiedziała drwiąco, — napewno nie ksiądz wikary, tylko samo życie; przejrzałam w jakiem bagnie dotychczas przebywałam. Wieczne kręcenie się w kółko w pogoni za rublem, za ubraniem, za jedzeniem; nic, tylko żłób; żadnej idei, myśli przestronnej, żadnego dążenia do światła, do poprawy losu biednych, do ulżenia innym.

— Ależ ja ci nie bronię iść twoją drogą!

— Nie bronię!? — ironizowała, — najpierw jestem już dojrzałym człowiekiem i mam prawo sobą rozporządzać, a następnie, poco ta obłuda: »ja nie bronię«, a kto złości się, że byłam przy budowie?

— Zważ Klarciu, nie było cię cały dzień, niepokoiłem się o ciebie.

— Bez potrzeby; i uprzedzając jutrzejszy niepokój, zapowiadam, że jutro od świtu do wieczora będę przy budowie.

— Dobrze, Klarciu, każę ci zanieść jedzenie.

— Nie trzeba. Jadłam dzisiaj z chłopami i smakowało mi bardzo.

Nastało chwilowe milczenie. Szybicki mieszał łyżeczką herbatę w filiżance i zastanawiał się, czy ma teraz rozmówić się z Klarą w sprawie wikarego. Chciał wskazać jej niebezpieczeństwo, na jakie się sama naraża, poddając się tak bezkrytycznie swym uczuciom i fantazyi. Te nabożeństwa, kaplica, częste widywanie wika-

rego, przyjmowanie jego zleceń, ta jej nadmierna uprzejmość i usłużność zagraża przecież jej dobrej sławie.

Już się zdecydował, lecz spojrzawszy na Klarę, zmęczoną wrażeniami dnia tego i dozorem, nie chciał dodawać przykrości i odłożył rozmowę na czas sposobniejszy; przecież i tak wikary jest obecnie w mieście i nie spotka się z Klarą.

— Kiedyż skończy się ta utrapiona kaplica? — spytał z westchnieniem.

Klara zawahała się z odpowiedzią i dopiero po chwili przemówiła:

— Skończyłaby się w krótkim czasie, gdybym miała pieniądze na zapłacenie robotników, ponieważ jednak nie mam ani grosza własnego, potrwa dość długo.

— Dlaczego mówisz z taką goryczą, czy odmówiłem ci kiedy? — rzekł z żalem, — ileż ci trzeba?

— Nie wiem, przypuszczam, że trzydzieści rubli wystarczy.

— To dużo, — pokręcił głową, — ale dam ci, tylko się rozchmurz, bądź dobra.

— Za pieniądze bardzo dziękuję, ale jestem taka zmęczona, że padam.

— Idźże spać moje dziecko, już późno i nie zrywaj się rano.

— Muszę, — ziewnęła, — a pieniądze?

— Przyniosę ci do twego pokoju.

XIX.

W wielkiej sali domu matki Bronisławy zebrali się bracia Maryawici w znacznie większej liczbie, aniżeli

poprzednio; było ich do osiemdziesięciu. Przybyli z różnych stron Polski, z różnych dyecezyi. Byli pomiędzy nimi i z Litwy i z przyległej Rusi. Przeważali w zgromadzeniu młodzi księża, nie brakło wszakże i starszych.

Odmienni od innych księży świeckich, albo wesołych, rubasznych, krzykliwych, albo też strojących się w sztuczną powagę i nietykalność, Maryawici byli uprzejmi, grzeczni, ustępliwi, a na wszystkich twarzach malowała się pogodna życzliwość z domieszką niemal chorobliwego napięcia pobożności i pokory religijnej.

Twarze zmęczone i wymizerowane długim postem nabrały wyrazu uduchowionego, a w oczach drzemał fanatyzm, który każdej chwili mógł zapłonąć ogniem. Nieustający uśmiech około ust niezupełnie pokrywał niepokój wewnętrzny niektórych braci, ale przeważnie panował nastrój swobodny, ufny, pełen wzajemnej życzliwości.

W sali panował półgwar rozmów, jedni witali się, drudzy się poznawali, inni zwierzali swe przejścia, ale wśród zebranych wysuwał się na czoło i rzucał w oczy brat Paweł Horodelski.

Zdawało się, że ten człowiek podwajał się i potrajał. Niemal z każdym się witał po imieniu i znał jego stosunki z parafią, proboszczem, sąsiedztwem, tak, że witany miał wrażenie, iż ksiądz Horodelski zajmuje się nim ze szczególną przyjaźnią.

— Jak się miewasz kochany bracie Stanisławie! — zawołał uradowanym głosem Horodelski do wikarego Kęckiego, — użyłeś trochę swobody po wyjeździe księdza Marskiego?

— Zajęcia miałem dużo, ale zyskałem istotnie swobodę działania.

— Słyszałem, słyszałem, — mówił z przyjaźnią, — utrwaliłeś cześć Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy, budujesz kaplicę... szczęść ci Boże w tej zacnej pracy.

— To zasługa mych parafian, — powiedział skromnie.

— Prawda, ale ty byłeś prochem, a oni kulą, — zaśmiał się, — a jakże z Szybickim? Nie zjadł cię, jak widzę.

— Dał nawet pieniądze i drzewo.

— Jakże ci smakuje wikt chłopski?

— Dobrze mi z nim.

— To bardzo szczęśliwie, boś ty nietylko wyznawcą idei Chrystusa, ale wprowadzasz ją w czyn. Zacnie i godnie pracujesz w winnicy Pańskiej.

— Przechwalasz mnie bracie.

— Nam tylko prawdą żyć wolno i prawdę ci mówię. Na ciebie liczymy, bo wszedłeś do ubogich i łamiesz się z nimi ich chlebem.

— Bracie Pawle, — zagadnął go sąsiad, — czy jest odpowiedź biskupa?

— Jest, bracie Andrzeju. Przyszła na ręce matki Bronisławy i ona ją nam przyniesie.

Od jednej grupy do drugiej przechodził brat Antoni Szyszkowski, zawsze pogodny i wesoły, dla swej niestrudzonej pracy w nawracaniu księży do maryawityzmu zwany powszechnie apostołem. I dzisiejsze zebranie tak licznych członków było jego zasługą. Znał wszystkich i wszyscy go znali, a ponieważ wiedziano, że miał bliskie stosunki z konsystorzem, dopytywano go się pilnie o powody nieprzyjaznego wystąpienia biskupa przeciw Maryawitom.

— Arcybiskup i biskupi, — odpowiedział — wi-

dząc zepsucie duchowieństwa i zgorszenie jakie sieją po parafiach, przyjęli bardzo przychylnie wiadomość o założeniu naszego zgromadzenia.

— Czy naprawdę? — wątpił jeden ze słuchaczów.

— Zaraz opowiem, — uśmiechnął się brat Antoni, — otóż biskupi byli nam chętni, natomiast cały kler, widząc zagrożonymi swe dochody, podniósł lament i gwałt. Proboszcze wysłali delegacyę do biskupa ze skargą na nas, że zmarnieje Kościół, rozprzęgnie się karność, upadnie religia... i wiecie jak ich przyjął?

— Jak? mów bracie! — zachęcano go.

— Biskup zasiadł na swej stolicy, i całowali kolejno jego rękę, a on zawołał: Co powiecie, wy, pasibrzuchy, opoje, zdziercy ludu!? — śmiał się, a słuchacze szczerze mu wtórowali, mówiąc:

— Dał im!

— Prawdę powiedział!

— Dobrze im tak!

— Gdy przedłożyli tę skargę, — opowiadał dalej, — przepędził ich z miejsca.

— A jednak kazał nam się rozwiązać, — zauważył wikary Orzelski.

— Bo przyszły inne wpływy, — objaśniał brat Antoni, — znacie kanonika Brynkiewicza?

— Ten stary? suchy? — spytał wikary Grzywak.

— Ten sam, chodzący paragraf prawa kanonicznego, który poza kodeksem nic nie widzi, nie słyszy, nie czuje, — mówił brat Antoni, — a jest doradcą biskupa. Ten mu wytłómaczył, że działamy wbrew dekretom papieskim i uchwałom soboru, no i biskup się zawahał.

— A któż go zdecydował?

— Kanonik Hencel, który bawi się polityką i udaje wielkiego dyplomatę.

— On?! Ten komedyant? a to jakim sposobem? — spytał jeden ze słuchaczów.

— Wytłómaczył biskupowi, że Kościół katolicki tak długo ma znaczenie i wpływ, jak długo jest bogaty i może płacić za każdą przysługę; że sama powaga Kościoła wymaga okazałości dostojników; wreszcie, że sam rząd będzie krzywo patrzał na taką rewolucyę kleru. I stało się, biskup uległ...

— Ależ tu nie idzie o rząd, o dostojników, o pompę, — zawołał zgorszony wikary Kęcki, — tu idzie o Chrystusa i ewangelię.

— O te drobnostki, — zaśmiał się ironicznie ksiądz Szyszkowski, — biskup nie dba, a tem mniej doradcy jego.

— To smutne! — westchnął wikary Grzywak.

— Bolesne dla nas, — dodał blady, nizki, chłopięco wyglądający wikary Szklarek.

— Przez własnych kapłanów ginie Kościół, — powiedział posępnie ksiądz Redolski.

Wśród cichego gwaru rozmów otworzyły się drzwi boczne i w stroju zakonnym stanęła w nich matka Bronisława. Na twarzy jej widać było ślady zmartwienia i cierpień. Oczy miała podkrążone, a na ustach osiadł wyraz goryczy. Spojrzała na obecnych i pozdrowiła ich imieniem Pańskiem.

Odpowiedzieli chórem, a ona poważnie zbliżyła się do stołu, wsparła się o niego jedną ręką, trzymając w drugiej list. Wśród wielkiej ciszy przemówiła:

— Najmilsi bracia! Pan Bóg nas ciężko doświadcza, snać nie jesteśmy jeszcze godni, ażeby za Jego łaską

i pomocą sprowadzić na ziemię w drodze miłości i spokoju odrodzenie Kościoła świętego i panowanie Królestwa Chrystusowego. W czasie nieobecności brata Pawła Horodelskiego przyszedł do mnie pod jego adresem list z kancelaryi biskupa w odpowiedzi na waszą pokorną prośbę. O treści rozkazu wiecie wszyscy, a teraz posłuchajcie wyroku.

Usiadła na fotelu i wręczyła list księdzu Horodelskiemu, który stanąwszy obok niej zaczął:

— Bracia! Ksiądz biskup na nasze podanie odpowiedział kategorycznym rozkazem, ażebyśmy natychmiast rozwiązali nasz związek pobożny i powrócili do kadrów duchowieństwa katolickiego, nie różniąc się w niczem od innych, ani w ubiorze, ani w zwyczajach i obyczajach, i zastosowali się z całą ścisłością do tradycyi duchowieństwa w Polsce pod względem życia, poboru opłat, i nabożeństw przyjętych w parafiach.

Szmer niezadowolenia przebiegł salę, a gorętsi odezwali się:

— Chce z nas zrobić chlebojadów!

— Pasibrzuchów! — dodał inny.

— Opojów i graczy! — zawołał ktoś z boku.

— Rozpustników! — rzekł głośno ascetyczny ksiądz Redolski.

— W uzupełnieniu swego rozkazu, — mówił dalej ksiądz Horodelski, — podaje trzy przyczyny usprawiedliwiające jego postanowienie.

— To ciekawe! — zadrwił ktoś.

— Jakiż to wykręt?

— Pierwsza i najgłówniejsza przyczyna, — rozwinął list trzymany i czytał: — »Duchowieństwo rzymsko-katolickie tworzyło zawsze i tworzy zamkniętą w so-

bie całość hierarchiczną, od kleryka do najwyższego pasterza. Jest to związek ścisły, nieustający i żywy, ustanowiony przez Chrystusa Pana, a potwierdzony przez Ojca świętego. Zamierzony wasz związek Maryawitów jest zatem nietylko zupełnie zbyteczny, ale wprowadziłby rozdźwięk w dotychczasowej harmonii i byłby rodzajem państwa w państwie, ropiącą raną w ogólnym związku duchowieństwa katolickiego«.

— To robota księdza Brynkiewicza, — zauważył głośno Szyszkowski.

— Jak widzicie bracia, — mówił brat Paweł, — ten powód naszego rozwiązania nie wytrzymuje najlżejszej krytyki. Znaczna, bardzo znaczna ilość istniejących kongregacyi zakonnych została założona przez kapłanów, żądnych usunięcia się z koła używającego i nadużywającego kleru. Zazwyczaj biskupi byli przeciwni związkom pobożnym, zakładanym przez księży, uszczuplało to bowiem dochody biskupa i kapituły. Jednak ci pobożni kapłani nie zniechęcali się przeszkodami, nie dawali się odstraszyć od raz powziętego zamiaru biskupom, szukali drogi do Ojca Świętego, który widząc ich gorliwość i pobożność zatwierdzał ich zgromadzenie... Moi bracia, jesteśmy tu sobie równi, złączeni duchem miłości i zgody, jeśli który z was ma co do pochwalenia lub zganienia w argumentacyi księdza biskupa, niech mówi!

Wśród chwilowej ciszy odezwał się młody, dźwięczny głos:

— Ja, bracie Pawle!

— Zbliż się do matki, bracie Franciszku, — powiedział przyjaźnie Horodelski.

Przez utworzony szpaler szedł drobny, ładny blondyn, z twarzą słodką, zarumienioną wzruszeniem.

— Bracia! — zaczął niepewnym głosem, — rozkaz księdza biskupa, któremu przysięgliśmy posłuszeństwo, jest jasny i wyraźny. Powinniśmy mu być posłuszni, chociażby dużo to nas kosztowało przezwyciężenia. Argumentacya księdza biskupa może być mylna, ale rozkaz jest prawdziwy. Nie widzę na razie innej drogi, tylko posłuszeństwo.

Szmer niezadowolenia rósł, padały słowa przykre:

— Zląkł się!... Zachciewa mu się tłustej prebendy!... Sprzykrzył się post!

A brat Franciszek pobladł, patrzał z żalem, załzawionemi oczyma, gdy zawołał ksiądz Horodelski:

— Bracia, czy szyderstwem przekonaliście kogo, że myli się i błądzi!? Pocóż te gorzkie słowa!? Znam brata Franciszka, wzór cnoty i pokory, który oby dużo znalazł naśladowców. Przysiągł posłuszeństwo i chce go dotrzymać, czy to nie jest zacnie i uczciwie? Brat Franciszek mówi pod pierwszem wrażeniem, może zbyt pospiesznie, ale zawsze szlachetnie. Dziękuję ci bracie, — spojrzał na młodego księdza, — że poruszyłeś tę sprawę... My wszyscy przysięgliśmy posłuszeństwo księdzu biskupowi i jego rozkazom, o ile one nie gwałcą naszego sumienia kapłańskiego. Ślepego posłuszeństwa nie wymaga nasza przysięga i bardzo słusznie, gdyż biskup, jak każdy człowiek, może się mylić, błądzić, uprzedzać. Jestem przekonany, że ty bracie Franciszku, nie mógłbyś żyć w nałogach, rozpuście, lenistwie, jak większa część naszego kleru, i niema takiego rozkazu, któryby cię zmusił do tego, czy nie tak?

— Masz słuszność, bracie Pawle, — odpowiedział skruszonym głosem, — nie zastanowiłem się dobrze.

— Wiedziałem o tem, kochany bracie, — uśmie-

chnął się przyjaźnie Horodelski, — wszyscy wiemy, że jesteś jednym z najlepszych braci Maryawitów. My nikogo nie krępujemy i nie zmuszamy: jeśli tylko twoje sumienie pozwoli ci iść do kleru używającego, pójdziesz, bo przecież każdy z nas jest wolny i odpowiada tylko przed swojem sumieniem.

— Uspokoiłeś bracie me skrupuły, — powiedział dźwięcznym głosem brat Franciszek, — czekam, co uradzicie.

— A drugi powód rozwiązania? — spytał wikary Grzywak.

— Właśnie odczytam, — odpowiedział Horodelski i znów rozwinął list:

»Wbrew woli i rozkazom waszych przełożonych wprowadzacie nowe nabożeństwa po kościołach parafialnych, co grozi herezyą. Zalecacie modlitwy, nowenny, litanie do Przenajświętszej Panny Nieustającej Pomocy, a obrazy Jej głosicie cudownymi. To sprzeciwia się nauce Kościoła, który nie obraz czcić każe, ale tajemnicę wiary przedstawioną przez obraz lub świętego, którego mamy naśladować. Zawiązywane przez was towarzystwa i bractwa Adoracyi Przenajświętszego Sakramentu i Miłosierdzia odrywają ludzi świeckich od ich zajęć, a tem samem są szkodliwe«.

— To wykręt godny pokątnego adwokata, — zawołał gniewnie ksiądz Redolski, — tłustemu klerowi nie chce się zająć duszpasterstwem, więc nasza gorliwość sprzeciwia się nauce Kościoła!

— Obłudnicy!... Faryzeusze!... I jak dbają o chlebodajną pracę, a gubią dusze! — te i podobne głosy oburzenia dały się słyszeć wśród zgromadzonych.

— Posłuchajcie dalej! — uśmiechnął się ksiądz

Horodelski i czytał: — »Powodowani grzeszną pychą i chęcią wyróżnienia się od reszty kapłanów, ślubowaliście surowe posty, zarzuciliście przez fałszywe ubóstwo strój kapłański i ostentacyjnie odrzucacie ofiary składane przez wiernych na zabezpieczenie bytu kapłanów. Tego rodzaju nowinki rozluźniają węzły braterstwa kapłańskiego; dają pole do szkodliwej rywalizacyi, wprowadzają w błąd wiernych i ośmielają tychże do ferowania wyroków na kapłanów, którzy sami są sędziami wiernych. Wreszcie, wbrew wszelkim kanonom i przepisom Kościoła dopuszczacie niewiastę, którą mianujecie matką Bronisławą, do waszych praktyk i narad, co jest przez Kościół surowo zabronione, gdyż »mała jest każda złość przeciw złości niewieściej, i wszelki stosunek z nią prowadzi w końcu zawsze na manowce cielesności«.

Gorętsi zwolennicy matki Bronisławy podnieśli głosy oburzenia, a gdy się uciszono, kończył ksiądz Horodelski czytanie:

»Z powyższych powodów rozkazujemy wam rozwiązać natychmiast wasze zgromadzenie, ażeby po niem żadnego śladu nie zostało, a to pod grozą najsurowszych kar kościelnych, jak również nakazujemy zerwanie wszelkich stosunków i znajomości z niewiastą wyżej wymienioną...«

— Skończyłem bracia, a teraz radźmy!

Pierwszy zabrał głos brat August Redolski. Na bladej jego twarzy zjawiły się różowe plamy, z oczu sypały się iskry:

— Nie mogę bracia znaleźć innych słów na określenie zarzutu stawianego nam przez księdza biskupa co do naszych nabożeństw, jak gdy nazwę go bezecną, samodzielną herezyą i bluźnierstwem!

W sali się uciszyło. Tak ostrych i dosadnych słów nie spodziewano się. Z pewną obawą ci i owi spojrzeli po zgromadzonych i spuścili oczy.

— Ksiądz biskup, — mówił dalej brat August, — gani nam naszą cześć dla Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy, gani nam, że głosimy Jej obraz cudownym. A przecież obraz ten cudami słynący koronował papież Pius IX w r. 1867, przywiązane są odpusty do Jej wezwania, osobne nowenny, osobne hymny, a niema na świecie miejsca, gdzie osiedli lub mieli misyę OO. Redemptoryści, ażeby nie wprowadzili tam czci szczególnej dla Jej cudownego obrazu. Sławi Ją cały świat chrześcijański, a tylko jednemu księdzu biskupowi nie podobał się Jej cudowny obraz. Czyż to nie bluźnierstwo? nie herezya? nie pogarda Najświętszej Pannie wyświadczona?

— Słusznie!... Prawda! — zamruczały liczne głosy, w których drżało oburzenie i gniew.

— Zabrania nam ksiądz biskup, — mówił po chwili Redolski, — zawiązywania bractw adoracyi i miłosierdzia, tak gorąco zalecanych przez mnóstwo znakomitych papieży, a zabrania pod obłudnym pozorem, że nabożeństwa i bractwa odrywają ludzi od zajęć praktycznego życia!?... O, bracia moi, czy widzicie tę hypokryzyę!? On, dostojnik Kościoła, bardziej dba o zarobek pieniężny wiernych, aniżeli troszczy się o ich dusze, a czyni to, ażeby wzmocnić siłę proboszczów, a pośrednio, dla siebie!

Nastąpiła gorąca filipika, oskarżająca biskupa o świętokradztwo, herezyę, obłudę.

Ksiądz Szyszkowski dał folgę swemu oburzeniu na rzucone w dekrecie podejrzenie, iż Maryawici, powodo-

wani pychą i ambicyą, dążą do odznaczenia się przez swe abnegacyjne życie i odmawianie wziątek pieniężnych za posługi kościelne.

— Jakąż nagrodę chcemy osiągnąć, — mówił on, — przez nasze ubóstwo i życie pełne umartwień? Nie żądamy tłustych probostw, bo nic nie bierzemy; nie ubiegamy się o dostojeństwa, bo dla nas one byłyby tylko zwiększeniem pracy i odpowiedzialności. Zarzut ten jest oszczerstwem rzuconem na nas w braku innych argumentów.

Wystąpienie księdza Szyszkowskiego przyjęli wszyscy gorąco i przyjaźnie, żaden z nich bowiem nie poczuwał się, ażeby przez pychę i ambicyę pozbawiał się wszelkich przyjemności użycia i rozkoszy cielesnych.

Powstał ksiądz Horodelski, a gdy się uciszyło, zaczął:

— Jeszcze jeden zarzut musimy my wszyscy, bracia, stanowczo odeprzeć i napiętnować. Ksiądz biskup pozwolił sobie dotknąć naszej najukochańszej matki w sposób bolesny i niesprawiedliwy...

Przerwała mu dalszą mowę matka Bronisława głosem smutnym i przejmującym:

— Zaprzestań, bracie Pawle, — spojrzała na Horodelskiego, — najprzewielebniejszy nasz pasterz, ksiądz biskup, uległ chwilowo złym doradcom. Wy, bracia, znacie moje życie i dążenia, to mi wystarcza najzupełniej; a walczyć z obmową mej osoby wobec tylu spraw pierwszej wagi, gdy idzie o śmierć lub życie naszego zgromadzenia, uważam za niewłaściwe. Mam w Bogu nadzieję, że przyjdzie czas, gdy ci sami źli ludzie odwołają swe niesłuszne zarzuty.

— Matko ukochana, — przemówił rozczulony brat

Franciszek, — dałaś nam nowy dowód twej dobroci i pokory.

— Bez pochwał, bracie, — uśmiechnęła się przyjaźnie do niego, — a teraz radźcie, co mamy czynić.

Zawahali się i spoglądali po sobie, nikt nie chciał być pierwszym do rady, większość patrzała na księdza Horodelskiego, który przemówił:

— Moi mili bracia, słyszeliście dekret księdza biskupa i przyczyny, które go skłoniły do rozwiązania naszego zgromadzenia. O bezpodstawności przytoczonych powodów mówiliśmy, teraz musimy rozstrzygnąć bardzo ważne pytanie: Co godzi się nam zrobić wobec dekretu. Poradźcie się waszego sumienia kapłańskiego, ono was nie omyli.

Znów zapanowało milczenie i odezwała się matka Bronisława:

— W tak ciężkiej chwili jak obecna, potrzebna nam szczególniej łaska oświecenia przez Jezusa Chrystusa, ukrytego w przenajświętszej eucharystyi i pomoc nieustająca Najświętszej Panny... Módlmy się bracia! — uklękła, złożyła ręce i zwróciła oczy na obraz święty.

Wszyscy poszli za jej przykładem i w wielkiej sali, jasno oświetlonej przedpołudniowem słońcem, zaczął się szept modlitw, ciche westchnienia i głuche uderzenia w piersi. Przez otwarte okna płynęły wonie kwiatów, świegot wesołego ptactwa, brzęczenie pszczół pracowitych.

Gdy zasiedli po skończeniu modlitwy, przemówił ksiądz Mikołaj Ratajczyk z Litwy, dobrze już szpakowaty blondyn średniego wzrostu, z twarzą mizerną, zapadniętą, tylko oczy gorzały z pod brwi krzaczastych. Rozpogodził zmarszczone czoło i zaczął:

— Ot, najmilejsi bracia moi, gołąbki, serca ukochane, po prawdzie stała się nam ciężka krzywda, że nie daj Boże. Toż my Chrystusa synowie i ucznie, chcieliśmy nieść Jego słowo między lud, ano, nie pozwalają. Ot i kto nie pozwala? Sam książę Kościoła, onże biskup, a jemu należy się posłuszeństwo, niema co i gadać. Tak po mojej myśli, idźmy z pokłonem do księdza biskupa i powiedzmy: każesz ojcze rozwiązać się nam, cóż robić, z bolem serca my tobie posłuszni, bo na to przysięgaliśmy... A ja sobie tak układam, że zobaczyż on nas tak posłusznymi, zmięknie serce jego i powie: synkowie moi, ja was doświadczał tylko, a widzę, że wy sprawiedliwi, miejcie już wasze zgromadzenie.

Ci i owi uśmiechnęli się niedowierzająco, a ksiądz Ratajczyk:

— Bracia mileńkie, nie śmiejcie się, toż i u biskupa jest serce z lewego boku, jako u nas, i wie on dobrze, że nie godzi się jemu przeszkadzać sługom Chrystusa, głoszącym ewangelię miłości... Ot, taka moja rada, a wy gadajcie waszą, — usiadł na krześle.

Wikary Kęcki niechętnie, z rozczarowaną miną słuchał rady księdza Ratajczyka, a zdawało mu się, że większość pójdzie za tą radą i zgromadzenie Maryawitów zostanie rozwiązane.

Przed oczyma jego stanął obraz oburzonej Klary, jej pałający wzrok, zadźwięczały mu w uszach jej słowa pełne żalu i skargi, że ta zbożna, ewangeliczna praca ustanie, a dotychczasowe jej owoce zgorzkną.

Chciał zaprotestować, wahał się, wreszcie mimowolnie uległ swemu nastrojowi.

— Bracia! — zawołał głośno.

Zebrani, trochę zdziwieni, zwrócili się w stronę

głosu. Stał Kęcki w szarym końcu, przy ścianie, i nikt nie spodziewał się, że on weźmie udział w dyskusyi. Co bliżsi sąsiedzi rozsunęli się, a on, widząc oczy wszystkich skierowane na niego, pobladł, poczerwieniał i zaczął niepewnym głosem:

— Brat Mikołaj radzi poddać się biernie i bezwzględnie dekretowi najprzewielebniejszego księdza biskupa. Nie wątpię, że czyni to z serca pełnego pokory i uległości dla przełożonego... Są jednak granice, których nie wolno nikomu przekroczyć... Są też granice posłuszeństwa wobec starszych i przełożonych. Jakiż węzeł ziemski, — ożywił się wikary, — jest silniejszy, aniżeli ten, który wiąże dzieci z rodzicami? A jednak sam Chrystus Pan rozkazuje nieposłuszeństwo, mówiąc: porzuć ojca, matkę, żonę, brata i siostrę, gdyż więcej weźmiesz i odziedziczysz żywot wieczny... Cóż jest miarą do której sięga nawet zaprzysiężone posłuszeństwo? Miarą tą jest dla mnie głos sumienia. Jeśli sumienie moje milczy i poddaje się bez szemrania rozkazowi, snać rozkaz jest sprawiedliwy. Lecz jeśli ono burzy się, cierpi i rozpacza, rozkaz był niesprawiedliwy. A jaki skutek z poddania się niesłusznemu rozkazowi? Z człowieka robi się manekin, gorzej jeszcze, bo staje się on samobójcą swoich przekonań, swego sumienia. I my, bracia, nie możemy ślepo poddać się dekretowi, musimy walczyć i wyczerpać wszystkie środki obrony. Zważcie bracia, że my nie stajemy w obronie naszych osób, ale w obronie świętych słów Jezusa Chrystusa, w obronie czci Najświętszej Panny pod wezwaniem Nieustającej Pomocy. W jaki sposób to się stanie, nie wiem, ja powiedziałem tylko to, co mi dyktuje moje sumienie.

Ogólny szmer uznania towarzyszył jego słowom, a ksiądz Horodelski zawołał:

— Z pełnego serca usta twe mówiły, bracie Stanisławie. Ty dodałeś nam odwagi, poruszyłeś nasze sumienie, zamroczone kategorycznym rozkazem księdza biskupa.

Matka Bronisława szepnęła słów kilka Horodelskiemu, który dodał:

— Od ranka wczesnego naradzamy się bracia, i chociaż duch ochotny, ale ciało mdłe... Posilmy się bracia, odpocznijmy, ażeby ze świeżą myślą wziąć się do roboty. Mateczka nasza przygotowała nam posiłek, — spojrzał na zegarek wskazujący trzecią godzinę. — Zbierzemy się bracia o piątej znowu w tej sali, zaś o tem cośmy radzili, zachowajcie najgłębsze milczenie ze względu na dobro naszego zgromadzenia.

Horodelski porozumiał się z matką Bronisławą, księdzem Szyszkowskim i księdzem Redolskim, ażeby przed ogólnem zebraniem rozważyć całą sprawę w tem ściślejszem ich kółku, do którego postanowili wezwać i księdza Kęckiego, pełni uznania dla odwagi z jaką wystąpił przeciw dekretowi biskupa.

Po obiedzie zasiedli w małym gabinecie skromnie umeblowanym i Horodelski zaczął:

— Z jasnego nieba padł na nas piorun. Ksiądz biskup był tak przyjaźnie usposobiony dla naszego zgromadzenia, i ktoby się spodziewał, że wyda taki surowy dekret na nas?

Wszyscy milczeli z minami strapionemi, a matka Bronisława westchnęła głęboko i z oczu jej spłynęły łzy.

— Co się stało mateczce? — spytał z troskliwością Horodelski, — skąd te łzy?

Dopiero teraz inni zauważyli zmianę w twarzy matki Bronisławy i z niepokojem patrzyli na nią.

— Wiedziałam bracia od dawna o tym dekrecie, — mówiła cicho i żałośnie, — ten piorun nie padł z jasnego nieba... chmury gromadziły się i gromadzą coraz czarniejsze nad naszemi głowami... ten dekret biskupi to zaledwie echo dalekiego grzmotu, ale idzie straszna burza, — pobladła silnie i wpatrzona przed siebie kończyła przerażonym głosem: — antychryst wychodzi z czeluści piekielnych, odwala kamień, zrywa pieczęć anioła... bracia, módlmy się! — padła na kolana i szlochając wzywała opieki Jezusa Chrystusa, pomocy Maryi Panny.

Obecni księża, znając niezwykłą pobożność matki Bronisławy i surowość jej życia zakonnego, wiedzieli także, iż miewa ona widzenia prorocze, o których niechętnie mówi.

Widząc teraz jej bladość, wzrok przerażony, ruchy sztywne, słysząc ją przemawiającą jakby obcym głosem dobywającym się z głębi, i wydającą od czasu do czasu przytłumione jęki, patrzyli na nią z pewnym lękiem i wielkim szacunkiem. Stosownie do jej rozkazu modlili się żarliwie.

Po pewnym czasie uspokoiła się matka Bronisława o tyle, że klęcząc mówiła zgnębionym głosem:

— Idzie antychryst w świat.... kościoły zmieniają się w świątynie ku czci Beliala. W sercach książąt Kościoła zamieszka szatan z siedmiu łbami swymi grzechów głównych. Wyznawcy Chrystusa będą prześladowani, męczeni, poniewierani, oplwani... i nie masz sprawiedliwości dla nich, a jedyny ratunek świata w sługach Chrystusa Maryawitach, głoszących adoracyę przenaj-

świętszej eucharystyi i niezmierzoną, wszechpotężną pomoc Maryi Panny. Módlmy się bracia!

Tym razem modlitwa jej i księży była spokojna, chociaż równie żarliwa.

Po pewnym czasie ustąpiło naprężenie nerwowe, podniosła się z klęczek, usiadła i swym zwykłym, dobrym głosem przemówiła:

— Bracia, bywają chwile takie, że zatopiona w samotnej modlitwie słyszę wyraźnie dane mi rozkazy. Zrazu sądziłam, że to złudzenie, że szatan mnie kusi, i zatykając uszy, modliłam się tem żarliwiej... głos jednak stawał się wyraźniejszy, rozkazy surowsze i musiałam uledz. W jednej z takich chwil miałam widzenie tej burzy, która zatrzęsie całym światem... ale my ją przetrwamy.

— Mateczko kochana, — zaczął nieśmiało Horodelski, — co nam radzisz w sprawie dekretu biskupa?

— Dlaczego bracie pytasz mnie o to? Jestem niewiastą słabą, niegodną służebnicą Chrystusa... idźcie za głosem sumienia i obowiązku.

— Obowiązek nakazuje nam posłuszeństwo biskupowi, — przemówił ksiądz Szyszkowski, — a sumienie, jak słusznie powiedział brat Stanisław, — spojrzał na Kęckiego, — burzy się i cierpi.

— Mamy jeszcze jedną drogę, — rzekł Horodelski, — od postanowienia biskupa możemy odwołać się do arcybiskupa.

— Słyszałem, że ksiądz arcybiskup, zmartwiony licznymi występkami kleru, pragnie poprawy duchowieństwa i z tego powodu sprzyja naszemu zgromadzeniu, — mówił Szyszkowski, — uważam więc odwołanie się od wyroku biskupa do arcybiskupa jako drogę najwłaściwszą.

— Mówił mi brat Grzywak, — odezwał się wikary, — że od jednego z kolegów otrzymał list potwierdzający zdanie brata Antoniego, — spojrzał na Szyszkowskiego. — donosi on, że ksiądz arcybiskup publicznie chwali Maryawitów.

— Bądźmy tedy bracia dobrej myśli, — rzekł Redolski, — i miejmy ufność, że nasz arcypasterz nie dozwoli na krzywdę Kościoła i naszą.

Ksiądz Horodelski milczał zasępiony i rzekł po dobrej chwili:

— Słyszeliście bracia słowa naszej mateczki, — spojrzał z wielkim szacunkiem na zakonnicę, — wierzę, iż one są wieszcze... Jeśli siedmiogłowy szatan obrał sobie mieszkanie w sercach książąt Kościoła, ksiądz arcybiskup usłucha jego poduszczeń i zgodzi się na nieszczęsny dekret.

— Nasza mateczka, — zaczął ksiądz Szyszkowski, — mówiła, że szatan dopiero wówczas znajdzie siedlisko w sercach książąt Kościoła, gdy antychryst wyjdzie z czeluści piekielnych, odwali kamień, i zerwie pieczęć anioła. Nie wiemy jednak, czy antychryst już wyszedł, — spojrzał na milczącą zakonnicę.

Wszyscy patrzyli na nią, która z prostotą powiedziała:

— Bracia moi, któż z was może powiedzieć: ja mędrszy... ja znam tajemnicę Boga Najwyższego? Tyle tylko mogę wam powiedzieć, że po owocach jego poznacie go.

— Sprawiedliwe są słowa twoje, nasza matko, — przemówił Horodelski, — nie znając wyroków Pańskich, idźmy bracia za głosem wiary i zaufania do naszego arcypasterza. Teraz musimy się zastanowić, jaką drogę

obrać, ażeby nie obrażać księdza biskupa, kierując naszą sprawę do księdza arcybiskupa.

Zaczęły się dość długie narady, wreszcie stanęło na tem, że zgromadzeni Maryawici wybiorą delegatów, a ci udadzą się z memoryałem do arcybiskupa, zarazem delegaci mają uprosić biskupa, ażeby z wykonaniem dekretu wstrzymał się do chwili rozstrzygnięcia sprawy przez arcybiskupa.

Gdy w sali wielkiej zgromadzili się księża Maryawici, przemówił Horodelski, zalecając zebranym, ażeby od wyroku biskupa odwołali się do arcybiskupa. Po krótkiej dyskusyi zgodzono się i właśnie miano przystąpić do wyboru delegatów, gdy w bramie muru, oddzielającego dom od ulicy, odezwał się ostry, przeciągły głos dzwonka.

Matka Bronisława pobladła i zrobiła znak krzyża świętego, mówiąc półgłosem:

— Od niespodziewanego nieszczęścia zachowaj nas Panie!

Zebrani z pewnym niepokojem patrzyli przez okna wychodzące na bramę, którą otworzono i wszedł posługacz telegraficzny z depeszą w ręku. Spytał otwierającego i skierował się wprost do ganku domu.

Po chwili do sali weszła niewiasta niemłoda, będąca dziś na służbie i powiedziała wśród panującej ciszy:

— Depesza do księdza Horodelskiego.

Ten wyszedł szybko do przedpokoju, wrócił pobladły po pewnym czasie i wśród naprężonego oczekiwania przemówił:

— Otrzymałem smutną wiadomość od przyjaciela sprzyjającego naszemu zgromadzeniu, — rozwinął depeszę i czytał: — »Dziś ogłosił arcybiskup rozkaz roz-

wiązania związku Maryawitów pod surowemi karami kościelnemi«.

Umilkł, a w pokoju słychać było smutne westchnienia, lekkie okrzyki zdziwienia i ciche szlochanie matki Bronisławy, która powstała i rzekła uroczyście:

— Spodziewałam się tego!... Módlmy się bracia, błagając o siły do wytrwania.

Wszyscy przyklękli, a po odmówieniu modlitwy, gdy powstawali z klęczek, czterech kapłanów: Horodelski, Szyszkowski, Redolski i Kęcki, mimowolnie zbliżyli się ku sobie i Horodelski szepnął:

— Proroctwo mateczki spełnia się.

— Antychryst idzie, — powiedział grobowym głosem ksiądz Redolski.

Wikarego przeszły ciarki z obawy i wstrętu, szybko się przeżegnał i szepnął:

— Chryste Panie, w Tobie moja nadzieja! Najświętsza Panno, udziel nam pomocy!

— Amen! — dodał poważnie Szyszkowski.

Od tej chwili Kęcki patrzał na matkę Bronisławę innym wzrokiem. Widział w niej narzędzie woli boskiej, prorokinię, niewiastę, na którą spłynęła łaska Chrystusa litującego się nad nieszczęściem ludzkiem.

Na wszystkich zgromadzonych zrobiła depesza przygnębiające wrażenie. Jak pszczoły, którym odebrano matkę, patrzyli wokoło trwożni i zaniepokojeni. Na ustach i w oczach każdego było wypisane pytanie bolesne: co teraz będzie?

Poczęto się naradzać grupami i wkrótce rozeszła się pomiędzy nimi wieść, że antychryst wstąpił na świat i zaczyna swe rządy. Wierząc głęboko i szczerze w istnienie nieba i piekła, byli pewni zjawienia się onej bestyi

apokaliptycznej, opisanej przez świętego Jana, podobnej rysiowi z nogami jako niedźwiedzie, z gębą lwią, i moc miała wielką i stolicę swoją.

— Zbliża się koniec świata! — szeptali pobladłemi ustami.

Nieszczęsna depesza przechodziła z rąk do rąk, każdy chciał ją sam odczytać, nie dowierzając, ażeby arcypasterz wystąpił przeciwko nim, Maryawitom, dążącym do odnowienia i oczyszczenia Kościoła Chrystusowego.

Wpajane i tradycyą uświęcone posłuszeństwo księży rozkazom biskupa i arcybiskupa wzięło górę nad przywiązaniem do zgromadzenia maryawickiego. Rozległy się szepty o rozwiązaniu, wreszcie przemówił ksiądz Orzelski:

— Bracia, nie było nam sądzone z woli Opatrzności, ażeby nasze zgromadzenie rozwijało się i żyło ku pożytkowi Kościoła. Wobec wyraźnych rozkazów księdza biskupa i arcypasterza musimy się rozwiązać, tak każe nam honor kapłański i zaprzysiężone posłuszeństwo. Jednak każdy z nas może żyć i pracować zachowując pierwsze reguły świętego Franciszka. Od dziś powinno zgromadzenie nasze przestać istnieć, nie widzę bowiem innej drogi wyjścia.

Wysłuchano go w głuchem milczeniu, jak to bywa w czasie mowy pogrzebowej, a z twarzy większości można było wyczytać, że poddają się biernie rozkazowi przełożonych. Część księży uczuła pewną ulgę, że walka z biskupem ustała i grupami zaczęli się naradzać w jaki sposób pogodzić swe przekonania z wymaganiem przełożonych.

Wikary Kęcki, posępny i chmurny, usiadł w kącie sali. Nie mógł się pogodzić z myślą, że dostojnicy Ko-

ścioła potępili czystość życia Maryawitów, że sprzeciwiają się adoracyi eucharystyi i Matki Boskiej, głoszeniu zasad ewangelicznych czynem, i zmuszają do brania pieniędzy za posługi kościelne.

Matka Bronisława w natchnieniu prorokowała prawdę. Nastają czasy antychrysta. Przypomniały mu się proroctwa z objawienia św. Jana, gdy zapanuje antychryst. Przed oczyma ujrzał obraz siedmiu aniołów, z których każdy wylewa czaszę nieszczęść, chorób, umęczenia i śmierci na ludzkość.

I jest sposób uratowania się przed antychrystem, wskazała go matka Bronisława, posłuszna rozkazowi Chrystusa. Od strasznej plagi i zagłady uratują się ci, którzy adorują eucharystyę i oddają cześć Najświętszej Pannie Nieustającej Pomocy.

Spojrzał po obecnych, a widząc ich spokój, zdumiał się. Czyż są tak zaślepieni, że nie widzą, iż rozwiązując zgromadzenie, wstępują na drogę zagłady i potępienia wiecznego? Może zresztą oni sami się uratują, ale co będzie z ludem? co z ludzkością całą? Czyż można oddawać wszystkich na pastwę antychrysta, i jego panowania pełnego wszeteczeństwa, rozpusty i zbrodni?!

Przerazili się gróźb biskupa i arcybiskupa i dla wygody życia doczesnego poświęcają wszystkich wiernych, oddają ich na pastwę piekła!

Nagle błysnęła mu myśl, że wyższym od biskupów i arcybiskupów jest przecież Ojciec Święty, namiestnik Chrystusa, jego zastępca i widoma głowa Kościoła. I uważając tę myśl za promień łaski Jezusa Chrystusa, zawołał:

— Bracia! Nie traćmy nadziei, wytrwajmy w nie-

doli! Od surowego i niesumiennego dekretu możemy apelować do Rzymu!

Wśród zgromadzonych powstał gwar. Jedni pochwalali ten pomysł, inni wątpili w skuteczność apelacyi, a byli i tacy, którzy niechętnie przyjęli te słowa, gdyż apelacya przedłużała walkę z wyższą hierarchią.

Radę wikarego Kęckiego poparł gorąco ksiądz Horodelski. Byli jednak przeciwnicy i dyskusya przeciągnęła się do wieczora.

W końcu zgodzono się, iż nazajutrz ma zapaść postanowienie, czy rozwiązać związek maryawicki, czy odwołać się do stolicy apostolskiej.

Gdy nazajutrz zebrano się w sali, wniosek apelacyi przeszedł znaczną większością głosów i jako delegatów do Rzymu wybrano Horodelskiego, Szyszkowskiego i Redolskiego, którym miała towarzyszyć matka Bronisława.

Zaledwie dokonano wyboru, gdy zadzwoniono do furty i weszli dwaj kanonicy katedralni, Brynkiewicz i Hencel.

Pozdrowiwszy zebranych, szli wśród ogromnej ciszy przez salę, a zająwszy miejsca przy stole, oczyma zwierzchników surowych powiedli po zgromadzonych.

Pierwszy przemówił kanonik Brynkiewicz, nizki, stary, szczupły, wyjął arkusz papieru, rozłożył na stole, i głosem drewnianym, suchym, zaczął:

— Doszło do wiadomości najprzewielebniejszego pasterza, księdza biskupa, że wy, bez wiedzy i zezwolenia waszych przełożonych, zgromadziliście się na naradę w domu tej niewiasty, — spojrzał na stojącą z boku matkę Bronisławę. — Najdostojniejszy pasterz przysłał nas z rozkazem, ażebyście natychmiast rozwią-

zali wasze zgromadzenie, przeciwne kanonom, jak to wyjaśnił dekret; abyście opuścili dom ten i podpisali deklaracyę, że wracacie do związku ogólnego, kapłańskiego, nie wyróżniając się niczem od reszty podwładnego kleru, ani ubiorem, ani sposobem życia codziennego i duchownego. Zabrania się wam wprowadzania nowych nabożeństw, bractw adoracyi, a za posługi kościelne macie pobierać ofiary wiernych według istniejącej normy. Jako widomy znak przyjęcia tych rozkazów macie podpisać tę oto deklaracyę, — położył dłoń na arkuszu przyniesionym.

Umilkł, w sali panowała głucha cisza i żaden z księży się nie ruszył.

— Słyszeliście! — zawołał surowo kanonik Hencel, — podpisujcie! — i podał pióro obok stojącemu Horodelskiemu.

Ten lekko poczerwieniał, wziął pióro do ręki, położył na stole i rzekł:

— Wyrok najdostojniejszego naszego pasterza przyjmujemy w pokorze, pamiętni naszej przysięgi posłuszeństwa, i zastosujemy się do rozkazu... Jednak prosimy najpokorniej księży kanoników o umieszczenie jednego zastrzeżenia.

— Co!? — zawołał groźnie kanonik Hencel, marszcząc brwi, — rozkaz jest rozkazem. Dziękujcie niebu, że nie jesteście karani za wasze zuchwalstwo, niesłychane w dziejach Kościoła. Jego ekscelencya ulitował się waszej głupoty i zaślepienia, poprzestaje tylko na podpisaniu deklaracyi... Podpisujcie!

— Zaraz! — rzekł Horodelski pobladły z gniewu i oburzenia. — Od wyroku naszego najdostojniejszego

pasterza przysługuje nam prawo odwołania się do łaski i miłosierdzia najwyższego pasterza, Ojca Świętego.

— Co! Ty śmiesz... — krzyknął wzburzony kanonik Hencel, lecz kolega jego położył mu rękę na ramieniu i rzekł z naciskiem:

— Pozwól... to kwestya prawna, — gdyż kanonik Brynkiewicz uważał siebie za wyrocznię w sprawach prawnych, — istotnie przysługuje ci to prawo, — patrzał surowo na Horodelskiego, — zapomniałeś jednak, że wpierw musisz spełnić rozkaz przełożonego, a dopiero założyć apelacyę.

— My też zastosujemy się w zupełności do dekretu najdostojniejszego pasterza, — rzekł spokojnie Horodelski, — deklaracyę podpiszemy, prosimy tylko o zastrzeżenie, iż rozkaz ten obowiązuje nas do czasu rozstrzygnięcia sprawy przez stolicę apostolską.

Po dłuższym namyśle powiedział kanonik Brynkiewicz:

— Jestto wprawdzie niesłychanem zuchwalstwem ze strony niższego kleru, iż rozkazu nie słucha bezwzględnie i bez szemrania, wszelako prawo jest za wami.

— Może i istnieje takie prawo, — wybuchnął kanonik Hencel, — ale nie było i nie będzie przykładu, ażeby kler niższy ośmielił się sprzeciwić rozkazowi przełożonego, a cóż dopiero księcia Kościoła.

— Najpierw żadne: »może«, — odparł surowo kanonik Brynkiewicz, — jeśli ja mówię, że istnieje takie prawo, to napewno tak jest; a swoją drogą, sam pomysł odwołania się do stolicy apostolskiej, jest zbrodniczą pychą i zarozumiałością z waszej strony. Radzę też wam dobrze się zastanowić, zanim postawicie ten krok niebezpieczny.

Ochłonął już też kanonik Hencel z pierwszego oburzenia i przemówił:

— Jesteście młodzi księża, żarliwość wasza zamiast iść na pożytek Kościołowi, szkodzi mu. Wznieca zawiść, liczne skargi, rozzuchwala wiernych. Radzę wam szczerze przyjąć rozkaz najdostojniejszego pasterza bez żadnego, grzesznego zastrzeżenia, a ręczę wam, że pozyskacie tym sposobem łaskę ekscelencyi.

Wśród ciszy odezwała się matka Bronisława stanowczym głosem:

— Łaska Chrystusa Pana jest nam droższą i świętszą.

Kanonik Brynkiewicz obrócił się ku zakonnicy i patrzył na nią niemy ze zgrozy.

— Jak śmiesz niewiasto mieszać się do narad kapłanów! — zawołał po chwili. — Czy nie dość ci grzechu wołającego o pomstę, że zbałamuciłaś duchownych?! Milcz i nie odzywaj się... Podpisujcie!

— Dobrze... ale tylko z zastrzeżeniem, — odpowiedział Horodelski stanowczo.

— A wy!? — zwrócił się kanonik Hencel do innych, — pomnijcie, że przez nieposłuszeństwo grzeszycie przeciw Duchowi Świętemu!

Z księży nikt się nie ruszył, więc kanonik Brynkiewicz wpisał zwolna i z uwagą żądane zastrzeżenie, a gdy skończył, odczytał głośno i rzekł:

— Jeśli ta wasza pycha i upor ściągnie na was słuszny gniew najprzewielebniejszego księdza biskupa, nie moja w tem wina. Teraz podpisujcie!

Kolejno przystępowali wszyscy i podpisywali, a gdy skończyli, kanonik Brynkiewicz wyjął inny arkusz papieru i zwrócił się surowo do matki Bronisławy:

— Niewiasto! Jeśli chcesz należeć do wiernych Kościoła świętego i przystępować do świętych sakramentów, podpisz tę deklaracyę...

Odczytał głośno zobowiązanie, iż zrzeka się ona wszelkich stosunków z kapłanami Maryawitami, nigdy nie będzie przyjmowała ich u siebie, ani znosiła się z nimi listownie.

— Podpiszę, — rzekła matka Bronisława, — ale z zastrzeżeniem odwołania się do stolicy apostolskiej.

— Mogę dodać, — uśmiechnął się kanonik ironicznie, — gdyż pewny jestem, że Ojciec Święty, dowiedziawszy się o twej zbrodniczej zuchwałości kierowania kapłanami, surowo ukarze twoją pychę szatańską, — wziął pióro w rękę, napisał zastrzeżenie i rozkazał surowym głosem:

— Podpisz! — co też ona bez wahania zrobiła.

— Teraz wychodźcie z tego domu, — wstali z krzeseł kanonicy, — i niechaj nigdy wasza noga tu nie postoi!... Tobie zaś niewiasto, pod grozą najsurowszych kar kościelnych zakazujemy wszelkiego znoszenia się tak osobistego, jakoteż piśmiennego z tymi kapłanami.

Księża Maryawici zebrali się w kącie sali, umówili się o spotkanie dzisiaj i po krótkiej naradzie odezwał się Horodelski do Brynkiewicza:

— Księże kanoniku, prosilibyśmy o wyznaczenie terminu zmiany naszego habitu.

— Natychmiast!

— Nie mamy potrzebnych funduszów, a nago zabrania policya, — uśmiechnął się.

— Daję wam termin trzydniowy, a kto ma sutannę kapłańską, niech natychmiast włoży.

— Za mało, prosilibyśmy o termin miesięczny.

— Nie może być; tylko tydzień... idźcie, — i kanonicy stanęli pomiędzy odchodzącymi księżmi a matką Bronisławą, pilnując, ażeby się nie zbliżyli.

Obrzucając matkę Bronisławę pogardliwym wzrokiem, wyszli na końcu, nie zaszczyciwszy jej słowem pożegnania.

Wikary Kęcki, bez powziętego zamiaru i wbrew swej woli, wysunął się na czoło Maryawitów i wszedł do grona tych ludzi, którzy dzięki zasługom czy talentowi stanęli u steru reformy Kościoła, a właściwie duchowieństwa.

Był obecny przy dość burzliwej naradzie, na której rozstrzygano sprawę, czy wobec podpisanej deklaracyi zerwania wszelkich stosunków z matką Bronisławą, godzi się trzem wybranym delegatom do Rzymu jechać z nią razem?

Ostatecznie znaleziono formułę, że bez naruszenia zobowiązania podpisanego, wolno trzem księżom z nią jechać, gdyż wszyscy wraz z matką Bronisławą zrobili zastrzeżenie apelacyi do Rzymu, a nie było mowy, czy swe odwołanie się złożą Ojcu Świętemu listownie, czy też osobiście.

Wikary Kęcki miał wprawdzie pewne wątpliwości pod tym względem, gdyż w duchu deklaracyi wspólna podróż była wzbroniona, ale dał się przekonać brakiem formalnego zakazu wspólnej apelacyi do stolicy świętej.

Wrażenie z całego pobytu w mieście było przykre, zwłaszcza to nieprzyjazne usposobienie kanoników kapituły i podpisanie deklaracyi.

W podróży do Kościeńca nieustannie nasuwało mu się pytanie, dla niego tragiczne: a co będzie, jeśli Ojciec Święty potwierdzi dekret biskupa i arcybiskupa? Wpra-

wdzie papież, jako zastępca Chrystusa, nie powinien się sprzeciwiać adoracyi Jezusa Chrystusa, utajonego w eucharystyi, ani też czci Najświętszej Maryi Panny pod wezwaniem Nieustającej Pomocy, której cudowny obraz jego poprzednik koronował; ale z drugiej strony nasuwały mu się poważne wątpliwości. Jeśli zaczęło się panowanie antychrysta, jak prorokuje matka Bronisława, szatan napewno wysilił się, ażeby zawładnąć i najwyższą głową Kościoła, i papież, ulegając mu, zakaże oddawania czci przenajświętszej eucharystyi. A nawet i w takim razie, gdyby szatan nie usidlił jeszcze Ojca Świętego, to może on uledz podszeptom dostojników i książąt Kościoła, będących w mocy antychrysta.

I wracały obrazy strasznego zamętu i nieszczęść całej ludzkości. Śmiertelne wrzody, przemiana wody w krew cuchnącą, zniszczenie wszystkiego co żyje i rośnie, upadek gwiazd, trzęsienie ziemi, a przerażone i zastraszone dusze zagarnia antychryst dla siebie.

Smutny, zgnębiony, pełen wątpliwości, przyjechał późną nocą do Kościeńca.

XX.

Nazajutrz, w niedzielę, wygłosił płomienne kazanie na temat blizkiego panowania antychrysta, którego początek zaznaczy się upadkiem moralnym duchowieństwa pogrążającego się w użyciu, rozpuście, chciwości, a zaniedbującego naukę ewangeliczną i świątynie Pańskie. Obrazy pełne grozy nadchodzących cierpień i mąk wywołały płacz niewiast i obawę u chłopów.

Suma i nieszpory tak pochłonęły czas jego, że dopiero przy zachodzie słońca poszedł do kaplicy.

Zastał tam grupę ludzi przypatrujących się nowej budowli, a pomiędzy nimi i Kaspra Sasa.

Gdy wikary zobaczył kaplicę, zdziwił się przyjemnie postępem roboty. Nad dachem wznosiła się wieżyczka przeznaczona na umieszczenie dzwonka, a gdy zajrzał przez okno, zobaczył podłogę ułożoną i sufit gotowy.

— Dziękuję wam Kasprze za waszą gorliwość, — powiedział z przyjaźnią.

— Ano, starałem się, ale nieporadaby było tyle zrobić, gdyby nie pomoc panienki ze dworu.

— Przecież nie pracowała, — uśmiechnął się wikary.

— To prawda, nie na jej siły robota, ale dawała pieniądze i po dwadzieścia ludzi bywało dziennie.

— Aż tylu!? — zdziwił się.

— Płaciła dobrze, to i dlaczego nie mieli przyjść, — uśmiechnął się, — pewno dziedzicowi musiało być markotno, bo na burakach brakowało, ale ona swoje zrobiła.

— Zacnie i pobożnie z jej strony, — pochwalił wikary.

— A cięgiem powtarzała, że chce dobrodziejowi niespodziankę zrobić, — spojrzał na twarz wikarego, który się mimowolnie zarumienił, — drzwi są w robocie, okna jutro będą, tylko nie wiemy, jaki ma być ołtarz dla Najświętszej Panny.

Przyszedł Słodownik i we trzech naradzali się nad ołtarzem.

Wikary wracał sam; rozmyślał, że owo szybkie wykończenie kaplicy to istny cud Najświętszej Panny,

która pragnie swych czcicieli uratować od nadchodzącej zagłady, ale mimo tego rosły w nim wątpliwości, czy godzi się jemu, kapłanowi, wznawiać nabożeństwo wzbronione przez biskupa i arcybiskupa...

Postanowił odprawić nowennę do Maryi Panny, a może Ona raczy w swej łaskawości oświecić go.

Gdy rano, stosownie do rozkazu kanonika, odłożył habit ażeby przywdziać sutannę, rozpłakał się, ucałował habit przyciskając go do serca, a ofiarując swoją boleść Najświętszej Pannie, ubrał się w zwykły strój księży.

Kasia, która pierwsza to spostrzegła, dała znać Blińskiej. Ta aż wybiegła z plebanii, pragnąc przekonać się o tem. Plasnęła w ręce mówiąc:

— Chwała ci Panie, zaczyna przychodzić do rozumu... może teraz się będzie u nas stołował.

Nie mniejsze zdziwienie okazał Łukasz i ci, którzy spotkali wikarego, a on smutny, zgnębiony, z oczami spuszczonemi, szedł jak przez rózgi do kościoła.

Gdy szedł na obiad do Sasa, ludzie wyzierali z chat, przypatrując mu się ciekawie, gdyż dawniej mówił im, że ślubując ubóstwo i pokorę, przywdział habit.

— A może on teraz będzie taki jak inni księża, — mówili chłopi, wzdychając.

— Odmienili go, czy co? — szeptały baby, — nawet się tak nie wita serdecznie, jak bywało dawniej.

Zdziwili się Sasowie, ale przez uprzejmość wrodzoną nie dopytywali się, natomiast Jędrek przy lekcyi nie wytrzymał i spytał:

— A dobrodziej porzucili dawne ubranie?

— Czyż to złe? — uśmiechnął się do dziecka.

— Nie, ale tamto było sposobniejsze.

— Może Pan Bóg się ulituje i znów wezmę habit, — westchnął.

Kasper, który się przysłuchiwał tej rozmowie, przemówił:

— To ksiądz dobrodziej nie z własnej ochoty przebrali się?

— Z rozkazu księdza biskupa.

— Biskupa!? — zdziwił się.

— Niesumienni doradcy namówili go i zabronił nam habitu, ale w Bogu nadzieja, że to się odmieni.

— No, no, to dziwne... a my już nawykli widzieć dobrodzieja w habicie. Szkoda!

Po skończonej lekcyi udał się do kaplicy i jak dawniej dozorował roboty i śpiewał z robotnikami hymn na cześć Maryi Panny.

Nadeszła Klara, w oczach jej malowało się zdziwienie na widok sutanny, a już niemile dotknął ją ceremonialny ton przemówienia:

— Bóg zapłać i Matka Przenajświętsza za gorliwą i owocną pracę w kaplicy, — podał rękę.

— Pragnęłam skończyć, ale było to niemożliwe.

— Dobre chęci pani będą jej policzone jako zasługa.

Słysząc słowo: pani, zarumieniła się i szybko przebiegła w myśli, czem mogła go urazić. Nie znajdując nic, spytała z niepokojem:

— Co się stało? Czy może bezwiednie zrobiłam coś złego?

— Nie!... Przeciwnie nawet, jestem pani bardzo wdzięczny.

— Dlaczego pani? — spytała z wyrzutem.

— Spojrz pani na moją suknię, — mówił z ża-

lem, — nie wolno mi nosić habitu brata Maryawity... Jakżeś pani szczęśliwa, gdy każdej chwili możesz zostać siostrą Maryawitką i być w pobliżu tej niemal świętej osoby, matki Bronisławy.

— Usiądźmy, — wskazała na deski złożone, — niech mi ksiądz wikary wszystko opowie.

— Same smutne wieści, — zajął miejsce obok niej, — biskup i arcybiskup rozwiązali nasze zgromadzenie... Zabronili nam widywać się z matką Bronisławą, prowadzić życie w umartwieniu, urządzać nabożeństwa adoracyi, oddawać cześć Najświętszej Pannie Nieustającej Pomocy, odmawiać zapłaty...

— I wy posłuchaliście!? — zawołała zarumieniona z oburzenia.

— Tak, — odpowiedział cicho, — przecież zrzuciłem habit... i podpisaliśmy zobowiązanie zażądane.

— Wszyscy?

— Wszyscy, nawet matka Bronisława.

— I to bez walki!? bez oporu! — zgorszyła się szczerze.

— Opór na nic się nie przyda, byłby nas biskup zasuspendował.

— To jednak okropne! Nie miałam pojęcia o podobnym despotyzmie... Czy biskup podał przyczyny?

— Same wykręty i gołosłowne zarzuty.

— Więc dlaczego to zrobił?

— Dlaczego? — zniżył głos niemal do szeptu pełnego grozy: — zaczęło się panowanie antychrysta i w sercu książąt Kościoła zamieszkał szatan ze siedmiu rogami grzechów głównych... Chrystus już ich opuścił.

Tyle szczerego przekonania było w jego głosie, że i jej udzieliła się ta wiara.

— Czyż ulegniemy wszyscy antychrystowi? — spytała z obawą w głosie.

— Ci będą uratowani, którzy należą do adoracyi przenajświętszej eucharystyi i oddadzą się w opiekę Maryi Panny Nieustającej Pomocy.

— Ależ wam wzbroniono tych nabożeństw! — zawołała z niepokojem.

— Tak jest, i to jest moją męczarnią. Widzę ratunek wiernych i nie mogę go użyć... Jedyna nasza nadzieja w Ojcu Świętym.

— A więc odwołaliście się od tego niesumiennego i niesprawiedliwego wyroku?!

— Tak jest. Wybraliśmy delegacyę i ta złoży u stóp Ojca Świętego naszą gorącą prośbę.

— Więc nic straconego, — powiedziała weselszym głosem, — i póki papież nie rozstrzygnie, możecie głosić słowo świętej ewangelii. To jasne!

— Takby się zdawało, — rzekł po krótkim namyśle, — ale nas obowiązuje prawo, wpierw usłuchać, a dopiero założyć apelacyę.

— Głupie prawo! — zawołała gniewnie, — niema w niem sensu i logiki. Jeśli odwołuję się od wyroku, znaczy, że nie uznaję go, że uważam go za niesprawiedliwy. Nie mogę więc iść drogą niesprawiedliwą i wszystko zostaje po dawnemu aż do rozstrzygnięcia.

— To pozory, ale inaczej z nami.

— Ach Boże, zrozumiejże brat, — zapaliła się, — jeśli kogoś skazują na śmierć, a on apeluje, czyż pierwszy wyrok ma być wykonany? czy mają mu ściąć głowę? Cóż mu przyjdzie z apelacyi, gdy będzie już bez głowy? — uśmiechnęła się.

— Hm... no, tak... niby to racya, — patrzył przed siebie z namysłem.

— Ale to żadne niby! — zawołała, — to jest jasne, logiczne i każdy nieuprzedzony przyzna mi słuszność.

— Zapewne... ale ta deklaracya... — powiedział z wahaniem.

— Co do deklaracyi... — zaczęła, wtem nadjechał kabryoletem ojciec i zawołał głosem zniecierpliwionym:

— Klarciu!

Na widok i głos ojca zerwała się z miejsca zaczerwieniona. Wstał i wikary, kłaniając się z pewną nieśmiałością.

Szybicki udał, że nie widzi tego ukłonu i powiedział po francusku do zbliżającej się córki, przyciszonym głosem, ażeby nie dosłyszał wikary:

— Proszę cię, siądź ze mną i jedźmy do domu.

Klara widziała dobrze rozdrażnienie ojca; ale jakże mogła odjechać nie dokończywszy rozmowy tak ważnej w jej mniemaniu?

— Za chwilę przyjdę, proszę jechać, a ja pójdę polami, — powiedziała niepewnie.

— Nie! siadaj, dość tej kompromitacyi, — patrzył na nią surowo.

— Nie rozumiem tych słów, — pobladła z gniewu.

— Więc dość mam tych schadzek, — szepnął, drżąc z oburzenia.

— A, jeśli tak?... więc ja mam już zanadto ubliżających mi podejrzeń. Nie pojadę wcale.

— Klaro, pożałujesz tego.

— Wszystko mi jedno, — odwróciła się i nie patrząc na odjeżdżającego ojca, szła w kierunku, gdzie stał wikary. Oddychała ciężko, a z oczu jej sypały się iskry.

Usiadła w milczeniu, a na współczujące wejrzenie wikarego, który domyślał się niemiłego zajścia, powiedziała:

— Przepraszam bardzo za tę komedyę troskliwości ojcowskiej.

— Zdaje się, że pan Szybicki gniewa się na mnie... nie przywitał się nawet, — mówił podrażniony, miał bowiem wrażenie, że wszyscy go lekceważą z powodu sutanny, — niech mu Bóg przebaczy, ja nie poczuwam się do żadnej winy.

— Swój gniew na mnie wyładował na księdza wikarego, — uśmiechnęła się z przymusem, — przepraszam w jego imieniu.

— Ach, nie o to idzie, — rzekł z żywością, — ale ta jego popędliwość musi być przykra.

— Przykra!? — spojrzała mu w twarz i wbrew woli załzawiły się jej oczy, — współżycie z nim jest jedną męką i upokorzeniem... ale i to się skończy, a im prędzej, tem lepiej... Nie mówmy o tem, to zbyt smutne... Zdaje mi się, że mowa była o deklaracyi...

— A tak... podobno...

— Już wiem, — uśmiechnęła się, — otóż deklaracya została podpisana pod przymusem, pod grozą suspensy, a jako taka niema znaczenia i nie obowiązuje. Jak sam ksiądz wikary widzi, apelacya zawiesza wykonanie wyroku biskupa do chwili rozstrzygnięcia przez papieża, zaś deklaracya pod przymusem jest nieważna, a w każdym razie traci swą moc do czasu decyzyi papieża.

Wikary, który z całego serca pragnął być przekonanym, uznał jej rozumowanie za najsprawiedliwsze i najmędrsze. Był nawet skłonny przypuścić, że przez

usta jej przemówiła wola Najświętszej Panny, ażeby uratować od zguby wiernych swych czcicieli.

— Dzięki ci siostro, — mówił uradowany, — za słowa pełne otuchy i wiary. Masz słuszność, do chwili wyroku Ojca Świętego, zobowiązują mnie złożone śluby.

I Klara była ucieszona, że potrafiła usunąć skrupuły wikarego, patrzała rozpromieniona na niego i dodała:

— Czyż dla kaprysu i rady złych ludzi, godzi się porzucać dzieło odkupienia ludzkości? Oddalać chwilę szczęścia i spokoju?

— Tak, to prawda, — powiedział przekonany, — zwłaszcza, że zbliża się ten straszny czas i wszyscy potrzebują opieki Jezusa Chrystusa i pomocy Maryi Panny.

— Bracie... — zawahała się i po chwili: — a skąd wiesz o antychryście?

— Skąd? — spojrzał na nią badawczo, — tylko tobie jednej, siostro, mogę powiedzieć... Matka Bronisława dostąpiła tej nadzwyczajnej łaski... ona nam przepowiedziała... sam byłem świadkiem.

— Sam?! — zdziwiła się.

— Tak jest, — mówił tajemniczo, — gdy przyszedł ku naszemu wielkiemu zdziwieniu i zmartwieniu wyrok biskupa, matka Bronisława oznajmiła nam, że wiedziała dawno o tem... a gdy cieszono się nadzieją przychylnego wyroku arcybiskupa, ona przepowiedziała, że i on także rozwiąże nas... i tuż prawie przyszła depesza, że arcybiskup potwierdza wyrok biskupa. Czy to nie cud? nie proroctwo? bo przecież ta niewiasta nie opuszcza prawie nigdy swego domu.

— Tak... to istotnie cudowne.

— Świątobliwa to niewiasta, — mówił z wielkiem uznaniem, — i szczęśliwe te, które w niej mają codzienny wzór cnoty i pobożności.

— Tak, — westchnęła zamyślona i smutna, — szczęśliwe, które są zdala od brudu, podejrzeń, plotek... Wyzbyły się więzów upokarzających...

— I w nieskalanej czystości służą Bogu i Najświętszej Pannie, — dodał pobożnie wikary.

Słońce schylało się ku zachodowi, robotnicy gotowali się do odejścia. Wstała Klara i podając rękę na pożegnanie:

— Jutro ksiądz wikary przywdzieje habit brata Maryawity, — uśmiechnęła się, — jako do brata mam większe zaufanie i zdaje mi się, że królestwo miłosierdzia bliższe jest na ziemi.

— Wiesz siostro, tak bolałem nad zmianą ubioru, że dla umartwienia postanowiłem wziąć habit dopiero po odprawieniu nowenny do Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy. Ona, ta najłaskawsza, może usunie moje wątpliwości i wskaże prawdziwą drogę.

— Jakież wątpliwości masz bracie? — patrzała mu w oczy zaciekawiona.

— Jestem jako więzień w ciemnej celi z rozkazu biskupa, — odpowiedział cierpiącym głosem, — zgasło mi nawet światło płynące z adoracyi i uwielbienia Maryi Panny... i błądzę omackiem... może jednak Bóg się ulituje i zabłyśnie mi słońce prawdy.

— Mam i ja ciężkie wątpliwości, — westchnęła, — mój stosunek rodzinny jest pełen goryczy i bolu... odprawię nowennę.

— Dobrze uczynisz siostro... czy starałaś się nawrócić ojca twego?

— Bardzo usilnie... ale dotychczas bezskutecznie. Niewiara zapuściła zbyt głębokie korzenie w jego sercu.

— Wytrwaj siostro w pracy, przecież tu idzie o zbawienie duszy.

— Dobrze bracie, — a widząc zbliżających się robotników, podała znów rękę, mówiąc: — z Bogiem bracie!

— Niech cię Chrystus i Matka Najświętsza prowadzą i wspierają!

Do wikarego podszedł Słodownik z robotnikami i rzekł:

— Księże dobrodzieju, cośmy mogli zrobić, tośmy zrobili, a jutro nie przyjdziemy na robotę.

— Cóż się stało? — zaniepokoił się.

— Chleb dojrzał, — zrobił szeroki ruch ręką wskazując na pola, — i od jutra żniwa. Zaniedbać zbiórki byłoby obrazą Pana Boga i ciężkim grzechem.

— To prawda, — skinął ksiądz głową, — niech wam Bóg pomaga... Na intencyę szczęśliwego zbioru odprawię jutro skoro świt mszę świętą i zapraszam was wszystkich.

— Bóg zapłać dobrodzieju, — pokłonił się, — kaplica prawie gotowa, ołtarz tylko złożyć, okna oszklić, a wolnym czasem uprzątnie się to śmiecie, — wskazał na heblowiny, resztki drzewa, rozrzuconą glinę, piasek.

— Najświętsza Panna wynagrodzi wam stokrotnie waszą pracę, — powiedział wzruszonym głosem, — westchnijcie do Jej pomocy. Ona was nigdy nie zawiedzie.

— A może dobrodziej zobaczą robotę, — odezwał się jeden z pracujących.

Poszli gromadnie do kaplicy, a wikary chwalił do-

pasowanie okien, gładkość ścian, wyheblowaną podłogę, ku wielkiemu zadowoleniu robotników.

Zaczęły się żniwa. Spostrzegł wikary, że do pewnego stopnia cięży Sasom jego stołowanie się u nich, gospodyni bowiem musiała wcześniej wracać z pola, ażeby mu zgotować posiłek.

W myśli przechodził innych gospodarzy, ale wszyscy byli bardzo zajęci. Teraz przypomniały mu się rady Szybickiego o ochronce i szkole, w których bez żadnego kłopotu mógłby się stołować i postanowił zaraz po żniwach przystąpić do budowy ochronki, zwłaszcza, że widział dużo dzieci wałęsających się po wsi z braku opieki w gorący czas roboczy.

Ostatecznie postanowił w czasie żniw stołować się w karczmie, lecz gdy oznajmił o tem Sasom, gospodyni podniosła taki lament, że pozostał u nich.

Nareszcie po pierwszych żniwach wykończono kaplicę, a dzięki staraniom Klary i wikarego, ołtarz nakryty był pięknym obrusem i zdobiły go cztery lichtarze, dzwon zawieszono w wieżyczce, a placyk przed kaplicą oczyszczono i wyrównano.

Gdy Słodownik, zamknąwszy drzwi okratowane, oddał mu klucz od kaplicy, uradowany i wzruszony wikary ukląkł wraz z Klarą i oboje gorąco dziękowali Bogu i Najświętszej Pannie, że za Ich łaską i pomocą dokończyli budowy.

Klara, niegdyś, poza chwilami pesymizmu, wesoła, ze zdrową, zarumienioną twarzyczką, patrząca tak bystro i śmiało, odznaczająca się ruchami miękkimi, harmonijnymi i żywością młodości, zmieniła się do niepoznania. Teraz na jej przybladłej, zmizerowanej twarzy gościł stale wyraz bolesnej powagi, w oczach przymglo-

nych od czasu do czasu zapalały się błyski gorączkowe, cała zeszczuplała, zwiotczała, a ruchy jej były poważne, odmierzone, do pewnego stopnia automatyczne. Do swego nastroju wewnętrznego zastosowała i swe ubranie. Unikała starannie jasnych, żywych kolorów, chodząc najczęściej w ciemnej sukni nie ożywionej nawet kołnierzykiem ani barwną krawatką.

Gdy po skończeniu modlitwy stanęli razem, uderzało patrzących dziwne ich podobieństwo do siebie. Ta sama bladość, ta sama pokorna postawa i gotowość do ekstazy religijnej, ten sam wzrok błądzący, zapatrzony w jakieś wizye wewnętrzne. Brakowało tylko wyhaftowanej monstrancyi na piersiach Klary, ażeby i ich strój stał się podobnym.

— Kiedy brat poświęci kaplicę? — spytała Klara cichym głosem.

— W niedzielę po świętej Annie... Będzie to jedna z najsłodszych chwil mego życia.

— I mego, — ożywiła się trochę Klara, — gdyż Najświętsza Panna udzieliła mi swej łaski.

— Tobie, siostro? I w czem?

— Nieustanna walka z otoczeniem najbliższem bardzo mnie męczyła... Odprawiłam nowennę błagając Matki Przenajświętszej o spokój... I wiesz bracie, doznałam Jej łaski.

— Panna Przenajświętsza, — powiedział wikary spoglądając rozjaśnionemi oczyma na obraz w kaplicy, — nigdy nie odmawia proszącym swej pomocy.

— Nie odmówiła i mnie, niegodnej służebnicy, — spuściła oczy z pokorą, — dzięki Jej łasce spłynęła na mnie słodka rezygnacya i nic nie mąci spokoju mej duszy.

— A jak jesteś siostro z ojcem?

— Z ojcem? — zarumieniła się leciutko, — chwilami żal mi go, i wówczas staram się go pocieszyć, zachęcając do poddania się woli Opatrzności i tłómaczę mu dobrodziejstwa szczerej modlitwy...

— Cóż on na to? — dopytywał się.

— Najczęściej milczy wzgardliwie, a czasem złorzeczy religii, fanatyzmowi, praktykom pobożnym.

— I niema sposobu zmiękczenia jego duszy? Nakłonienia do przyjęcia prawd świętych?

— Nie znajduję, — westchnęła smutnie.

— A ja nie tracę nadziei, — powiedział z głębokiem przekonaniem, — gdy Pan Bóg położy na niego karzącą rękę, ugnie się pod nią i nawróci.

— Daj to Panie Boże, — szepnęła pobożnie. — Czy nie miał brat wiadomości z Rzymu?

— Miałem... Najwyższy pasterz raczył przyjąć łaskawie naszą prośbę i polecił świętej kongregacyi rozpatrzeć naszą sprawę.

— Widzisz bracie, jak dobrze zrobiłeś, nie stosując się do wyroku biskupa, — mówiła ze słodyczą, — mam nadzieję w łasce Chrystusa Pana i pomocy Najświętszej Panny, że Ojciec Święty dla dobra cierpiącej ludzkości pozwoli wam głosić adoracyę przenajświętszej eucharystyi i miłosierdzia ewangelicznego... a ty, bracie?

— I ja byłbym gotów uwierzyć, gdyby nie smutne przeczucia, — westchnął.

— Jakie?

— Zapomniałaś siostro, — odparł z wyrzutem w głosie, — o proroctwie matki Bronisławy.

— Prawda, — szepnęła pokornie.

— Szatan, ten odwieczny wróg Boga i dusz pobożnych, czuwa i krąży nieustannie... jeśli nie Chrystus i Najświętsza Panna, któż mu sprosta?

XXI.

Przed dniem poświęcenia kaplicy, w sobotę, nocą, przyjechał niespodziewanie proboszcz, ksiądz Marski. Nietylko Blińska z wielkiej obawy nie mogła usnąć do samego rana, ale i wikary był pełen niepokoju i troski o jutrzejszą uroczystość i nie zmrużył oka od chwili przybycia proboszcza.

Nie wątpił, że ksiądz Marski wie o wyroku biskupa i arcybiskupa w sprawie Maryawitów, który to wyrok nieprzyjaźni im księża odczytywali wiernym z ambony.

Tymczasem on, licząc na dłuższą nieobecność proboszcza, zarządził bardzo solenne nabożeństwo do Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy z powodu poświęcenia kaplicy, a nabożeństwo to było wzbronione dekretem biskupa; prócz tego, zakazane tymże dekretem bractwa miały wystąpić uroczyście na procesyi z kościoła do kaplicy.

Trawiony niepokojem wstał skoro świt i z brewiarzem w ręku poszedł do kaplicy.

W promieniach wschodzącego słońca kaplica, świeża białością drzewa, zdobna w girlandy i festony z zieleni, z pozłacanym krzyżem na wieżyczce, wydała się wikaremu arką zbawienia na wzburzonem morzu grzechów i złości ludzkich.

Czyż tak piękny przybytek Maryi, zbudowany pracą

i ofiarnością wiernych, ośmieliłby się kto zniszczyć? skazać na zapomnienie i opuszczenie?

I ufność wstąpiła w serce wikarego, a po żarliwej modlitwie wstał spokojny, cichy, zdecydowany wszystko przecierpieć dla imienia Chrystusa i Najświętszej Panny.

Jak zwykle zasiadł w konfesyonale słuchając spowiedzi licznych penitentów i cieszył się, że w ten sposób uniknie spotkania z proboszczem do czasu poświęcenia kaplicy po nieszporach.

Tymczasem proboszcz wypoczywał po trudach podróży. Wreszcie się ubrał i w zwykłej godzinie wszedł do jadalnego pokoju na śniadanie. Zmienił się mało, trochę tylko zeszczuplał, zwłaszcza na twarzy, której ostre rysy stały się tem surowsze.

Już wczoraj przywitał się z Blińską, teraz przelotnie spojrzał na nią, przeżegnał się i usiadł na fotelu.

— Kawy czy herbaty pozwoli brat dobrodziej? — spytała nieśmiało.

— Poco pytasz? — rzekł zniecierpliwiony, — dawaj kawę.

— Natychmiast, — podreptała do kuchni.

Wniosła na tacy imbryk i garnuszek śmietanki z kożuszkiem.

— Nalej, — powiedział, i osłodziwszy wypił w milczeniu pierwszą szklankę.

— Może brat dobrodziej pozwoli jeszcze? — spytała słodko.

— Hm... czy nie będzie za wiele? — dotknął się brzucha delikatnie.

— Ale, po takiej męczącej podróży nie powinno zaszkodzić.

— Tylko nie baw się w doktora, — zgromił ją, — nalej i przynieś papierosy. Czy przygotowałaś?

— Tak jest... pamiętałam przecież, — szybko wyszła i przyniosła pudełko pełne papierosów, podała zapałki i popielniczkę.

— Siadaj! — wskazał krzesło i zapaliwszy papierosa, spytał: — co tu słychać?

— Dzięki Bogu wszystko dobrze... Żyto zebrane i zwiezione...

— Czekaj! — przerwał jej, — nie mogę cię nauczyć porządku, przed żytem był zbiór siana.

— Prawda... w pogodę skoszono i zwieziono dwie fury...

— Mało... a Horodelski przysłał?

— Jedną furę koniczyny i furkę siana nieszczególnego.

— Tyle tylko!? — zgorszył się, — a to skąpiec! Przyrzeka, obiecuje, a przyjdzie co do czego, zbywa byle czem. Cóż więcej? Konie?

— Zdrowe, chwała Bogu, Grzela przeprowadzał, ażeby się nie zastały. Zwiozły siano i żyto.

— Moje konie?! — obruszył się. — Dlaczego nie zwiózł ktoś ze wsi?

— Posyłałam... nie chcieli. Strasznie zhardzieli, rozpuścił ich wikary na nic.

— A to jakim sposobem? — wpatrzył się badawczo w twarz Blińskiej.

— Niech się tylko brat dobrodziej nie irytuje... może zdrowiu zaszkodzić, — zrobiła minę proszącą.

— Głupia! — ofuknął ją, i odsunąwszy próżne naczynia, wziął w zęby nowego papierosa.

— Mów prawdę, ostrzegam... Co zmalował nowego ten postrzelony wikary?

— Wyrządził bratu dobrodziejowi straszną krzywdę.

Proboszcz wyjął papierosa, patrzał surowo i zawołał:

— Gadaj... nic nie ukrywaj! Czy romansuje? Gorszy ludzi?

— Gorzej, — jęknęła, — po prostu obdziera brata ze skóry żywcem. Rozbój, nic więcej!

— Powiesz raz, czy nie? — uderzył dłonią o stół.

— Niech tylko brat dobrodziej wysłucha spokojnie... Otóż były dwa śluby u Płoszajskich i Góralczyków...

— Co?... Pogodzili się!?

— Tak jest i na przypieczętowanie zgody wydali córkę... tę Rózię zyzowatą...

— Wiem, cóż dalej?

— Śluby dał im bezpłatnie, — powiedziała jednym tchem.

Proboszcz poczerwieniał i krzyknął:

— Kłamiesz!

— Jak mi Boga przy skonaniu, — uderzyła się w piersi, — sam Płoszajski mi mówił i jeszcze kpinkował.

— No... tego nie daruję!... Co dalej? Mów!

— Umarła żona Kosa...

— Czy Macieja z Wierzbowa?

— Tego samego, bogacza. Pochował ją wystawnie, jak dziedziczkę, światła, dzwony, egzekwie, mowa pogrzebowa i ani grosza nie wziął.

Z czerwonego zrobił się proboszcz buraczkowy, oparł się plecami na fotelu, oddychał ciężko i syknął:

— Błazen! Łajdak!... Dlaczego nie pisałaś mi o tem?

— Brat dobrodziej zakazał, mam list.

— Nie chciałem twych babskich plotek, ale co innego takie ważne rzeczy... Dlaczego nie upominałaś go? Dlaczego nie wzięłaś pieniędzy? Kazałem przecież i tobie i jemu, mów!

— Ja zrobiłam swoje... powiedziałam mu bardzo delikatnie, że to jedyny dochód brata dobrodzieja, że kuracya kosztuje, że nie godzi się korzystać z nieobecności brata dobrodzieja... — mówiła szybko.

— Cóż on na to? — przerwał potok słów.

— Skrzyczał mnie brutal, mówił, że zasie mi od spraw duchownych, że on sam wie, co robi...

— Tego już za wiele! — uderzył pięścią w stół, że zabrzęczały szklanki i naczynia, — nauczę ja ciebie! chłystku jakiś!

— Na zakończenie, gdy mu powiedziałam bardzo delikatnie, że jeśli nie będzie brał za posługi, nie będzie co jeść... on z wielkiej pasyi wypowiedział mi stół i żywi się teraz na wsi.

— We dworze? — spytał głucho.

— Nie, tylko u Kaspra Sasa...

— A, u tego łotra, co to chciał mnie zedrzeć.

— Tak jest, u niego.

— I dużo było pogrzebów? ślubów? — dopytywał się niespokojnie.

— Bardzo dużo...

— Przynieś mi książki parafialne, — rzekł złamanym głosem.

— Czy wszystkie? — była przy drzwiach.

— Albo nie... sam pójdę do kancelaryi... opowiadaj dalej, cóż więcej?

— Czyż to mało?... Na wołowej skórze nie spisać, co on tu wyprawiał.

— Hm... czy chodzi w habicie?

— Po powrocie z miasta... — zaczęła.

— Jeździł tedy?

— Tak jest, był prawie cztery dni. Otóż po powrocie z miasta coś z dziesięć dni chodził w sutannie, myślałam że się nawrócił... ale gdzie tam! Znów przywdział habit i udaje świętego.

Proboszczowi zabłysły oczy złą radością i bębniąc palcami po stole mruknął:

— To dobrze... no, a jak nabożeństwa?

— Odprawia raz po raz, a co chwila nowe Wszyscy się skarżą, bo baby i dziewki ciągle biegają do kościoła, zaniedbują dom, robotę, a już co do kaplicy, to tłum cały pracuje.

— Do jakiej kaplicy?

— A prawda!... Brat dobrodziej nie wie nic, a on zbudował nową kaplicę w miejsce starej...

— Zbudował? A za jakie pieniądze, kiedy nic nie brał?

— To cała komedya! — zaczęła z gorliwością, — ta dziewka ze dworu, córka tego farmazona, zadurzyła się w nim bez pamięci. Raz wraz przesiaduje w kaplicy, mówią, że z ojcem ząb za ząb się kłóci, przyjeżdżał po nią, ale ona wolała z wikarym...

— Co z kaplicą? Nie pytluj językiem, — zgromił surowo.

— Z kaplicą?... Dała drzewo, pieniądze, sama pilnowała roboty, ale to nie dla chwały bożej, ale dla przypodobania się wikaremu. No, i postawiła, a dziś ma być poświęcenie.

— Dziś!? — zsunął brwi krzaczaste, — dziś!? hm... a jaki tam obraz? czy dawny?

— Kaplica ma być pod wezwaniem Maryi Panny Nieustającej Pomocy.

— Tak?... — powiedział przeciągle i na surowej twarzy zamajaczył złośliwy uśmiech, — idź, zobacz, czy jest w pokoju, niech natychmiast przyjdzie.

— On! w domu? — zawołała, — tyle że przenocuje, ani go poświecić.

— Idź! — krzyknął.

Pobiegła i za chwilę wróciła mówiąc:

— Niema go... wiedziałam.

— Idę do kancelaryi... zawołaj mi Łukasza.

— Zaraz.

Usiadł za stołem w kancelaryi i rozłożywszy książki, pilnie notował wszystkie chrzty, śluby, pogrzeby. Porównywał notatki z cennikiem zostawionym wikaremu i wpisywał kwoty należności.

Tę pracę przerwało wejście Łukasza, który z miną uradowaną całował ręce proboszcza mówiąc:

— Chwała Panu Bogu, że ksiądz proboszcz zdrów przyjechał... co tu się dzieje i wyprawia, niech ręka boska broni!

— Cóż takiego? — odłożył pióro i złożył ręce.

— Sodoma i Gomora! — westchnął, — żadnego porządku, karności, uszanowania... chłopstwo rozzuchwalone, drwią z księdza proboszcza, odgrażają się...

— O tem potem... ale są jakie zmiany w kościele?

— A niechże Bóg broni! — zaprzeczył gwałtownie, — był przecież rozkaz! Chciał wprawdzie ksiądz wikary zmienić, przestawić, ale nie pozwoliłem.

— To dobrze... gdzie ksiądz wikary?

— W kościele.

— Idź do niego, powiedz mu, ażeby natychmiast do mnie się stawił.

Łukasz zawahał się i bąknął nieśmiało:

— On słucha spowiedzi.

— Błaźnie! — zawołał surowo, — słyszałeś mój rozkaz? Spowiedzi może wysłuchać i później. Rozumiesz?

— Już idę!

Z uśmiechem zadowolenia na swej grubej twarzy wszedł Łukasz do kościoła i zbliżywszy się do konfesyonału powiedział półgłosem:

— Ksiądz proboszcz kazał księdzu wikaremu natychmiast stawić się w kancelaryi.

Liczni penitenci spojrzeli zgorszeni na Łukasza przerywającego spowiedź, a wikary przesłoniwszy usta stułą dawał w dalszym ciągu nauki spowiadającemu się, udając, że nie słyszy wezwania.

Kościelny, w poczuciu swej powagi jako poseł proboszcza, dotknął rękawa wikarego i powtórzył rozkaz głośniej, tak że i modlący się w nawie posłyszeli.

— Łukaszu, nie przeszkadzajcie, — powiedział pobladły wikary, — widzicie, że słucham spowiedzi.

— Mówiłem to księdzu proboszczowi, ale kazał zawołać dobrodzieja... penitenci mogą zaczekać.

— Ważniejszy jest święty sakrament od księdza proboszcza.

— I nie pójdzie ksiądz dobrodziej?

Wikary zrobił przeczący ruch głową, a Łukasz ruszył ramionami i szybko opuścił kościół.

— Sam przyszedłeś? — zachmurzył się proboszcz zobaczywszy Łukasza.

— Ksiądz wikary powiedział, że nie przyjdzie na rozkaz księdza proboszcza.

— On powiedział! — zawołał zgorszony.

— A jakże, i dodał, że ważniejszy sakrament od księdza proboszcza... ani chciał słuchać.

Proboszcz poczerwieniał z gniewu i krzyknął do Łukasza:

— Precz, błaźnie!

Chwilę się namyślał. Widocznie wikary przeciąga spowiedź rozmyślnie, ażeby uniknąć spotkania. A jednak musi go zobaczyć, bo przecież nosi on habit wbrew zakazowi biskupa... zarządza uroczyste a wzbronione nabożeństwo pod wezwaniem Nieustającej Pomocy, na to nie może on, jako proboszcz, pozwolić, a jeśli zaraz nie zabroni wikaremu, może być zapóźno.

Wstał, wziął kapelusz, laskę i poszedł do kościoła. Wszedł główną bramą, przyklęknął i stukając laską i butami skierował się ciężkimi krokami w stronę konfesyonału, gdzie z jednej i drugiej strony klęczeli liczni penitenci.

Patrzał chmurno, surowo, mrożąco, a wszyscy obecni śledzili każdy ruch jego. Zbliżył się do konfesyonału w chwili, gdy wikary zwrócony do kratek udzielał rad i napomnień grzesznikowi.

Nauka trwała długo, proboszcz stał na miejscu jak przykuty, z twarzą posępną, surową, groźną, a w oczach widać było tajony gniew i niecierpliwość.

Nareszcie wikary odmówił formułkę rozgrzeszenia i zapukał.

Tej chwili oczekiwał proboszcz i rzekł głuchym głosem:

— Księże wikary, proszę ze mną.

Wikary pobladł, poczerwieniał i nie ruszając się, odpowiedział:

— Wobec tylu dusz pragnących świętego sakramentu, prywatne rozmowy muszą ustąpić.

— Mam ważne duchowne powody, — rzekł głosem drżącym z gniewu proboszcz.

— Zbawienie dusz i ich oczyszczenie wyższe jest nad wszelkie powody, — i nachylił ucho do słuchania spowiedzi następnego penitenta.

— Więc proszę przyjść zaraz po sumie, — podniósł głos proboszcz.

— Dobrze; przyjdę skoro tylko będę wolny, — odpowiedział pokornie.

Proboszcz stukając głośniej poszedł do zakrystyi, rozejrzał się, czy panuje zwykły porządek i czystość, następnie zwrócił się z chmurną twarzą do Łukasza:

— Po sumie zawołasz do mnie młynarza, sołtysa, dziesiętnika, gospodarzy Toporskiego i Bruzdę.

— Słucham księdza proboszcza.

— Jeszcze jedno, — powiedział proboszcz po krótkim namyśle, — ten obraz, co go dał ksiądz wikary, wiesz, Matkę Boską wiszącą w nawie?

— Znam... Nieustającej Pomocy.

— Gdy po sumie kościół się opróżni, zdejmiesz obraz i schowasz.

— A gdzie?

— Na strych kościelny.

— Rozumiem, proszę łaski księdza proboszcza.

Zarządziwszy to, co uważał za swój obowiązek posłuszeństwa względem biskupa, sapiąc z gniewu, poszedł na plebanię i najpierw zaszedł do stajni. Obejrzał konie, zekpał Grzelę, że za krótko uwiązał konie, że

gnoju nie wymiótł, następnie rzucił okiem na pustą oborę, zajrzał do chlewu, policzył indyki i gęsi wracające z wody i udał się znów do kancelaryi.

Już się był trochę uspokoił, ale gdy w rękę wziął rachunki z niepobranych należności i zobaczył sumę dwustu dziesięciu rubli, nadpłynęła fala gniewu i oburzenia na wikarego.

— Dam ja ci habit!... Dam ja ci te nowe nabożeństwa! — mruczał zawzięty i krążył po kancelaryi jak zwierz zamknięty. Ciasno mu było wśród ścian, wyszedł do ogrodu, obejrzał drzewa owocowe, grządki warzyw i znudzony miał iść w pole, gdy rozbrzmiały dzwony, wzywające wiernych na sumę. Podszedł do parkanu graniczącego z placem kościelnym i zobaczył tłumy ludu do kościoła spieszące. Poczuł zazdrość i gniew na wikarego, dawniej bowiem, gdy on odprawiał nabożeństwo, schodzono się nielicznie; porwała go też pasya na chłopów i baby garnących się na sumę i mruknął:

— Bydło! Ten im pochlebia, głaszcze, ćmi ich, a ci lezą jak muchy do miodu, — splunął pogardliwie, a wspomniawszy kaplicę, poszedł w tę stronę.

Dojrzał ją zdaleka i nachmurzył się niezadowolony, że zbudował ją wikary. On tyle razy wzywał parafian, ażeby podtrzymali starą kapliczkę i napróżno, a ten smarkacz nową zbudował.

Gdy obejrzał, uśmiechnął się wzgardliwie, drewniana, pastuchy rozpalą pod lipą ognisko i spłonie. Dotknął drzewa: mokre, spęka się, spaczy i zwali się kaplica. Po przez kraty drzwi ujrzał ołtarz, obrus, lichtarze i z politowaniem pokiwał głową.

— To pewno dary tej waryatki z dworu, — mru-

knął i pomyślał, że nie zbawi to jej duszy, gdyż ofiarowała w grzechu śmiertelnym, w nieczystości.

Wizerunek Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy najbardziej go dotknął. I biskup, i arcybiskup, wzbronili urządzania nabożeństw pod Jej wezwaniem, a ten waryat poświęca Jej kaplicę. I co oni widzą w tym obrazie zamorskim?

Na nabożeństwa pozwolić nie może, to sprzeciwiałoby się zaprzysiężonemu przez niego posłuszeństwu wobec biskupa.

Od samego początku patrzał on na ten obraz z niedowierzaniem, no, i miał słuszność. Dziś każe usunąć ten obraz, a w miejsce jego da inny wizerunek, ma nawet u siebie obraz świętego Piotra, ofiarowany mu na imieniny, ten każe umieścić w kaplicy.

Idąc do plebanii, rozmyślał z goryczą nad zepsuciem młodych księży; jaka to hardość, zarozumiałość, lekceważenie starszych, a nawet biskupa.

Zasiadł do stołu i w milczeniu zjadł zupę, co jednak spojrzał na opróżnione miejsce wikarego, chwytał go gniew.

— Czy wiesz, na ile mnie skrzywdził? — rzekł, nie spojrzawszy na siostrę.

— Pewno na jakie siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt rubli.

— Nawet cielę dałoby mądrzejszą odpowiedź, — powiedział pogardliwie, — beknęłoby, że nie wie, a ty? ot, baba, włosy długie, a rozumu i zastanowienia ani za trzy grosze. Zlituj się, przecież to dwa miesiące!

— Prawda, — szepnęła, — to pewno ze sto rubli.

— Już milcz lepiej... powinienem dostać dwieście dziesięć rubli, bo trafiło na samych bogaczy.

— Jezus Marya! — załamała ręce, — tyle pieniędzy! I brat dobrodziej nic nie dostanie?

— Z czegóż wezmę!? — mówił chmurny, — ma pensyi dziesięć rubli miesięcznie, a jego łachy nie są warte dwudziestu, skądże wezmę? — odłożył z trzaskiem nóż i widelec.

— Mój Boże, taki pieniądz! — zalała się łzami, — obdarł brata ten łotr! — płakała.

— Nie becz!... To mi nie pomoże!

— Byle się brat pozbył tego świętoszka i obłudnika, co rozbija w jasny dzień.

— No, długo nie będzie tu popasał, — rzekł groźnie, — sam pojadę do konsystorza i rzecz przedstawię należycie.

— A listownie nie można? Zawsze to oszczędniej, — doradzała.

— Głupiaś, — powiedział lekceważąco, — list rzucą do kosza, radzi, że mi wpakowali na kark takiego gagatka, mankietnika...

— To ich zowią mankietnikami? — zawołała.

— No, tak, bo nie noszą mankietów przy habicie, nie zauważyłaś?

— Wiem!... Wiem!...

Wtem posłyszeli lekkie pukanie do drzwi, a proboszcz mruknął:

— A to co za licho? — i głośniej: — proszę!

W otwartych drzwiach stanął wikary i pozdrowił słowem bożem, naco proboszcz odpowiedział mruknięciem, a wikary rzekł spokojnie i uprzejmie:

— Przepraszam, że przeszkodziłem... sądziłem, że już po obiedzie.

— Właśnie kończę, — spojrzał zabójczo na wika-

rego, — proszę iść do kancelaryi, zaraz przyjdę i rozmówimy się ze sobą.

— Bardzo chętnie, — ukłonił się i wyszedł.

— Ach, jaki on bezwstydny, — powiedziała z obrzydzeniem Blińska, — tyle pieniędzy zmarnował i śmie się witać.

— Nie zmarnował, ale oszukał mnie, bo dał kapłańskie słowo, — wstał proboszcz i poszedł do kancelaryi.

Zastał wikarego stojącego przy oknie, zmierzył go złemi oczyma, usiadł za stołem, sapał gniewny, wreszcie rzekł tonem surowego sędziego:

— Ładnych rzeczy dowiedziałem się o księdzu... Jedno przestępstwo gorsze od drugiego... złamanie słowa kapłańskiego, nieposłuszeństwo biskupowi... opór i otwarty bunt! Takie postępowanie przyniosłoby wstyd i hańbę osobie świeckiej, cóż dopiero kapłanowi?

— Księże proboszczu, — zaczął wikary łagodnym głosem, — trochę spokoju i równowagi nie zawadzi... o co idzie?

— Ty mnie nie ucz! — wybuchnął proboszcz, — święty straciłby cierpliwość patrząc na wstrętne twoje postępki.

— Jeśli mam słuchać wymyślania, to raczej wyjdę i zaczekam, póki się ksiądz proboszcz nie uspokoi, — wziął kapelusz i zrobił krok ku drzwiom.

— Ani się waż! — krzyknął oburzony, — jestem twoim przełożonym, winieneś mi posłuszeństwo.

— W rzeczach duchownych...

— Właśnie o nich chcę mówić.

— I o ile na to pozwoli moje sumienie.

— Nie zawracaj mi głowy sumieniem, — rzekł

drwiąco, — on o sumieniu będzie mi gadał?!... a ten habit wstrętny?!

— To strój braci Maryawitów.

— Czyż biskup nie zakazał? czy arcybiskup nie rozwiązał zgromadzenia tego, tak szkodliwego? Nie mnie brać na kawał, nasłuchałem się dosyć o waszych wstrętnych praktykach... Dziś zrzucisz habit!

— Jeszcze nie!... Wprawdzie ksiądz biskup fałszywie poinformowany, wydał wyrok niesprawiedliwy, ale my założyliśmy apelacyę do stolicy świętej.

— Co!? Wy ośmieliliście się apelować? — zawołał zdziwiony.

— Tak jest. Nasi delegaci złożyli u stóp Ojca Świętego naszą prośbę i czekamy rozstrzygnięcia sprawy.

— Powaryowali! Jak Boga kocham, powaryowali! — załamał ręce, — i ty sądzisz, że papież zniesie dekret arcybiskupa i biskupów!?... Zresztą, wszystko jedno, możecie sobie apelować, ale wpierw musicie usłuchać biskupa i dziś zrzucisz ten przebrzydły, buntowniczy strój!

Wikary przypomniał sobie dowodzenie Klary i mówił z uśmiechem:

— Jeżeli ktoś został wyrokiem skazany na ścięcie i podał apelacyę, czy ma być ścięty przed nadejściem odpowiedzi na apelacyę? Czy tak?

Proboszcz stropił się, ale nie stracił miny i rzekł stanowczo:

— Przykłady zachowaj dla siebie... ja wiem i ty wiesz, że biskupa musisz ślepo słuchać. Kazał wam się rozwiązać, rzucić habit, żyć przykładnie jak inni kapłani, tu niema żadnego ale, żadnych kruczków i wybiegów.

— To jest zdanie księdza proboszcza, a moje inne... każdy niech zostanie przy swojem.

— A to co nowego!? — zawołał zaczerwieniony, — jako twój zwierzchnik rozkazuję ci zrzucić habit!

— Na razie nie posłucham.

— Zabronię ci wstępu do kościoła.

— To wbrew prawu, ksiądz proboszcz nie może mnie suspendować.

— Co mi tam prawo, mój kościół i kwita.

— Zobaczymy, — uśmiechnął się.

Proboszcz spojrzał nienawistnie na niego, jakiś czas milczał, wreszcie zdobył się na względny spokój i rzekł:

— Zakazuję ci też w imieniu biskupa wprowadzania jakichś nowych nabożeństw.

— Żadnych nie wprowadziłem.

— A do Nieustającej Pomocy!? Nawet kaplicę zbudowałeś!

— Kościół katolicki zawsze czcił Najświętszą Pannę pod wezwaniem Nieustającej Pomocy, ja czynię to samo.

— Ale biskup zakazał w swej dyecezyi i nie masz prawa.

— Królowa niebios jest wyższa od śmiertelnego biskupa.

Proboszcz wstał z krzesła, uderzył w stół pięścią i krzyknął:

— Ja tu na dysputę nie przyszedłem! Rozkazuję ci w imieniu swojem i biskupa, a teraz pytam: czy będziesz posłuszny? czy rzucisz habit? czy zaprzestaniesz pogańskiej czci obrazu?

— Nie!... Jeśli stolica apostolska zatwierdzi wyrok biskupa, ulegnę.

— Żadne jeśli, tak albo nie?

— Na razie, nie!

— Więc nie? — zadrwił, — już ja cię zmuszę! — usiadł na krześle i po chwili przemówił siląc się na spokój: — Niech ksiądz zda mi rachunek z przychodów i rozchodów kościelnych, — patrzał uporczywie na niego.

Zapukano do drzwi, a proboszcz porywczo:

— Kto tam?

— Łukasz z gospodarzami, — powiedziała Blińska uchylając drzwi i ciekawie spojrzała na wikarego.

— Idź! niech zaczekają, — a następnie zwrócił się do wikarego ironicznie: — może przypomnieć mam cyfrę?

— Dziękuję... wiem, — z kieszeni habitu wyjął zwitek banknotów i położył przed proboszczem, mówiąc: — według cennika należy się księdzu proboszczowi za usługi kościelne, które spełniłem, dwieście dziesięć rubli... oto są. Proszę przeliczyć.

Proboszcz osłupiał, nie wierzył własnym oczom i uszom. Dotknął pieniędzy, cofnął rękę, patrzał na wikarego, na pieniądze i bąkał bardzo zdziwiony:

— Jak to... hm... dajesz?

Wikary uśmiechnął się i powtórzył:

— Proszę przeliczyć.

— Zrobię to później, — schował trochę zbyt pospiesznie pieniądze, — a mnie mówiono... — zaciął się i skończył: — dlaczego nie oddawał ksiądz pieniędzy mej siostrze?

— Z panią Blińską stosunki były cokolwiek naprężone.

— A dlaczego nie stołujesz się u mnie?

— Pani Blińska wymówiła mi stół.

— Hm... od jutra będziesz się u mnie stołował, nie mogę pozwolić na taki skandal.

— Pozwoli ksiądz proboszcz, że zostanę u Sasów... moje posty robią dużo kłopotu pani Blińskiej.

— Głupstwo! Będziesz się u mnie stołował, biskup zwolnił was od tych niemądrych ślubów... możesz jeść mięso.

— Ale ja się nie zwolniłem z moich dobrowolnych ślubów i mięsa nie jadam.

— To źle! — zaczął łagodniejszym głosem, — radzę ci po dobroci, usłuchaj biskupa, bo może być źle z tobą.

— Przecierpię. Większe jest miłosierdzie boskie, niż gniew ludzki.

— Nie bluźnij, to nie gniew, to rozkaz... Radzę ci i proszę, rzuć habit, nie zarządzaj nowych nabożeństw, nie twórz bractw adoracyi, a przedewszystkiem nie poświęcaj kaplicy. Jako proboszcz, mam tylko ja jeden prawo zarządzania parafią, a ja w myśl dekretu biskupa nie chcę i nie pozwalam na oddanie kaplicy temu obrazowi.

— Parafianie zbudowali ją tylko w tym celu i intencya ich jest święta.

— Wszystko mi jedno! Zabraniam i koniec.

— Ustąpię tylko przed siłą, — rzekł wikary z naciskiem, — i nie odpowiadam za następstwa.

— Ano, zobaczymy, kto ma tu, w mojej parafii, większą powagę, — zawołał oburzony uporem proboszcz, — a jeśli ci to wstyd przyniesie, nie moja wina.

— Przecierpię dla imienia Chrystusa i Maryi Panny, — westchnął, — czy mogę już odejść?

— A idź sobie! — mruknął zły.

Po jego wyjściu proboszcz zamyślił się. Zapłacenie należności zmniejszyło trochę jego gniew i zawziętość, ale drażnił go upor wikarego. Nie mógł wprost zrozumieć, ażeby taki wikary jawnie sprzeciwiał się biskupowi, nie słuchał rozkazu. I on, jako proboszcz, miał święty obowiązek utrzymać powagę biskupa i nie dozwolić na noszenie habitu, na nowe nabożeństwa i bractwa. Zaś poświęcenie kaplicy i umieszczenie tam tego obrazu poczytywał za ujmę biskupa i swoją.

Wstał, podszedł do drzwi i otworzywszy zawołał:

— Hej! Łukaszu! Łukaszu!

Przybiegł zdyszany, a proboszcz:

— Przyprowadź do kancelaryi tych ludzi.

— Zaraz.

Proboszcz zasiadł za stołem i surowy, poważny, czekał. Szli przez sień, ciężko stąpając, jak ludzie spracowani i zmęczeni. Łukasz otworzył drzwi i pierwszy wszedł młynarz, jako najbogatszy; drugi sołtys, ze względu na urząd, a za nim dwóch gospodarzy i dziesiętnik.

Wszyscy ucałowali rękę księdza na przywitanie i ustawili się w rząd.

— Wezwałem tu was, jako najpierwszych gospodarzy w Kościeńcu, liczę na wasze wpływy i powagę.

Chłopi z pewną obawą spojrzeli na siebie, ta łagodna przemowa mogła kosztować, może zechce usunąć wilgoć z kościoła? Młynarz, najśmielszy, nerwowo obciągnął tanią, pruską marynarkę i bąknął nieśmiało:

— My zawsze ochotni, ino teraz ciężko, dopiero po żniwach pierwszych, a jarzyną jeszcze w polu.

— Nie idzie tu wcale o pieniądze! — zawołał pro-

boszcz surowo, — zwracam się do was, jako do gorliwych katolików, dbałych o czystość wiary i sławę Kościoła.

Chłopi odetchnęli, a jeden z gospodarzy rzekł:

— My katolicy są!

— Otóż w czasie mojej nieobecności wkradły się tu pewne niewłaściwości, o których dowiedział się najprzewielebniejszy nasz pasterz, sam ksiądz biskup, i nakazał mi je usunąć przy pomocy wiernych parafian. Was uważam za prawdziwych synów i obrońców Kościoła świętego i od was żądam pomocy i poparcia...

Słuchacze, dowiedziawszy się, że tu nie idzie o żadną ofiarę pieniężną, rozjaśnili się, a sołtys dodał z powagą:

— Co ksiądz proboszcz dobrodziej każe, zrobimy, porządek być musi i posłuszeństwo.

Zbudowaliście kaplicę, bardzo to pięknie i dobrze, a wy, jako najbogatsi, przyczyniliście się najwięcej i macie prawo nią rozporządzać, zasięgnąwszy wprzód mej rady duchownej.

Co prawda obecni dali kilka razy jałmużnę na kaplicę wikaremu, ale nadto zajęci swem gospodarstwem nie brali udziału przy budowie, nie wypadało jednak im, których sam proboszcz chwalił, przyznać się do małego udziału i młynarz rzekł dyplomatycznie:

— Dało się to i owo nie wymawiając, ale to na chwałę bożą.

— Wiem o tem, — bębnił palcami po stole proboszcz, — bo i któż ma dać, jeśli nie bogaty?... Ksiądz biskup, nasz pasterz, nie życzy sobie, ażeby ta kaplica była poświęcona Matce Boskiej Nieustającej Pomocy, wybrał innego patrona, największego z apostołów, świę-

tego Piotra, i dał wizerunek jego dla kaplicy. Wzywam was tedy, ażebyście umieścili w kaplicy wizerunek dany naszej parafii przez najprzewielebniejszego pasterza, a usunęli obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.

Chłopi zdziwieni i zaniepokojeni pozierali po sobie, kręcili głowami, chrząkali, wreszcie spytał jeden z gospodarzy:

— Jakże to, proszę łaski księdza proboszcza dobrodzieja, mamy usunąć Najświętszą Pannę dla świętego Piotra?

— Tak rozkazał ksiądz biskup, — rzekł stanowczo proboszcz.

— Widzi mi się dobrodzieju, — drapał się w głowę drugi gospodarz, — że tu zaszło jakoweś pomylenie... Toć przecież, jak to mówią, i w piekle starszego szanują, jakże ma ustąpić Najświętsza Panienka, matka Chrystusa Pana, swego miejsca świętemu Piotrowi, który był jej sługą?

— Prawda... Racya!... — potwierdzili inni.

Nie spodziewał się proboszcz opozycyi przeciw biskupowi i zawołał zgorszony:

— Głupcy bezbożni! Grzesznicy zatwardziali! Jak śmiecie wy, takie podłe prochy, roztrząsać wolę i rozkaz najprzewielebniejszego pasterza!? Wam zasie od tego, ksiądz biskup kazał, a wasz obowiązek, jako prawdziwych katolików usłuchać i wypełniać. Rozumiecie?

Chłopi pospuszczali głowy, milczeli, wreszcie szeptali, trącając się:

— Nie nasza kaplica.

Po chwili odezwał się młynarz z ukłonem:

— A to proszę łaski księdza dobrodzieja, prawdę powiemy, jako na świętej spowiedzi. Nie bez tego, że

każdy z nas przyłożył się do kaplicy, ale składał się na nią cały naród i nietylko nasz z Kościeńca, ale i z Rudnik i z Wierzbowa... Wszyscy dawali na intencyę kaplicy pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Radzibyśmy z duszy usłuchali rozkazu księdza biskupa, ale my nie w prawie zmieniać wolę parafian.

— Jeśli jednak ksiądz biskup kazał, — patrzał na nich surowo.

— Hm... u nas taki porządek, — zaczął sołtys, — każe naczelnik wójtowi, albo mnie coś wykonać, posłuszny być muszę, idę i zrobię. Ano, kazał ksiądz biskup zmienić obraz księdzu dobrodziejowi, to niech ksiądz dobrodziej zmieni. My nie w prawie, bo to duchowna rzecz.

Tego za wiele było proboszczowi. Zerwał się z krzesła, uderzył w stół ręką i zawołał wzburzony:

— Milcz, ty poganinie! Żmijo, który kąsasz pierś matki, Kościoła! Wyrzutku chrześcijański! Więc taki masz szacunek dla kapłana!? Takie posłuszeństwo dla biskupa, pasterza!?... Obłudnicy, faryzeusze, pobielane groby! To póki doznajecie łask i dobrodziejstw Kościoła świętego, stoicie przy nim, ale gdy idzie o obronę honoru, uciekacie, kryjecie się w mysie dziury! Więcej wart łotr wiszący na krzyżu, aniżeli wy, bo wy codziennie po kilka razy krzyżujecie Chrystusa Pana przez zatwardziałość waszych grzechów!... Wzywam was po raz ostatni do posłuszeństwa rozkazowi najprzewielebniejszego pasterza!

Chłopi, chmurni, słuchali z oczami spuszczonemi, wzdychali, mięli kaszkiety, ale milczeli.

— Albo usłuchacie, albo wynoście się precz!

Zakołysali się, obejrzeli na drzwi, i pierwszy sołtys pokłonił się nizko i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — wziął za klamkę, otworzył drzwi i wyszedł, a za nim inni.

W kancelaryi został zagniewany proboszcz i zgorszony Łukasz.

— Czego się gapisz skurczybyku? — wrzasnął proboszcz, — ruszaj!

Łukasz znikł, a proboszcz z goryczą rozmyślał, jacy ci parafianie bezbożni, nieusłuchani i chytrzy. Niby to pokorni, cisi, zda się skinienia czekają, a przyjdzie co do czego, ani słyszeć chcą o obronie Kościoła. I gdyby to jego tylko nie usłuchali, przyzwyczaił się do ich łajdactwa przez tyle lat, ale mówił im o rozkazie biskupa, a oni wykręcili się sianem; podły naród.

Jednak, bądź co bądź, musi utrzymać powagę biskupa i nie dopuścić do wzbronionego nabożeństwa, do poświęcenia kaplicy. Z habitem, z obiadami, poradzi sobie później, ostatecznie wikary musi go posłuchać.

Po dłuższym namyśle postanowił sam przemówić z ambony do parafian. Znają go przecież, wiedzą, że żartów nie lubi i nie rzuca słów na wiatr.

Przeszedł do swego pokoju i przeliczył pieniądze, obejrzał, czy niema fałszywej trzyrublówki, i schował starannie. Następnie zadzwonił i zażądał kawy czarnej.

Przyniosła sama Blińska, postawiła ostrożnie na stole i spytała słodkim głosem:

— Cóż powiedział ten świętoszek?

Spostrzegłszy surowy wzrok proboszcza przeraziła się swego pytania, ale już było zapóźno.

— Jesteś bajczarka, — krzyknął proboszcz, — całe

szczęście, że znając twój psi język, nie dowierzałem twemu gadaniu.

— Jezus Marya! — zawołała szczerze przerażona, — ażebym tak stąd nie wyszła, jeśli słówko skłamałam.

— To nie wyjdziesz! — zadrwił proboszcz, — on dał mi był kapłańskie słowo, a to święte, zapłacił mi też wszystko co do grosza.

— Zapłacił? — zdziwiła się ogromnie, — to chyba okradł kogo, albo skarb znalazł. Przecież Płoszajski, Kos i inni, sami mi mówili, że nie zapłacili grosza! To jakieś czary, czy co?

— Głupia jesteś! Czary!? Także wymyśliłaś!? Mieszasz się zawsze w nieswoje sprawy, wszędzie wścibiasz swój nos, i zakpili z ciebie. Ja nie złapałem się na twoje złośliwe plotki, bo znam cię dobrze.

— Otóż to zapłata za moje dobre serce, — rozpłakała się, — za pilnowanie dobra księdza brata.

— Nie znoszę beków, ruszaj sobie!

Wyszła, zanosząc się od płaczu, trochę szczerego, a trochę dla dokuczenia proboszczowi.

— Zawsze to samo z babami, — mruczał gniewny, — naczynia złości i grzechu. Naplotła, nakłamała i ryczy!

Popijając kawę, paląc papierosa, wziął brewiarz do ręki. Odczytał jedną, drugą modlitwę przepisaną, ale nie mógł skupić myśli. Niepokoiło go to poświęcenie kaplicy. Odłożył książkę, spacerował po pokoju, wtem zadzwoniono na nieszpory.

Zwolna poszedł do zakrystyi i zdumionemu Łukaszowi kazał podać sobie komżę i stułę.

— Zapowiedz księdzu wikaremu, — rzekł do Łukasza, — że dzisiaj ja będę miał naukę.

Wszedł do przepełnionego kościoła, usiadł na swym fotelu przy wielkim ołtarzu i śledził przebieg nabożeństwa.

W kościele na widok proboszcza wszczęły się szepty. Już wiedziano, że namawiał ludzi do usunięcia cudownego obrazu z kaplicy, chociaż tylu doznało szczególnych łask i pomocy Najświętszej Panny, a wszystko to czyni przez zazdrość, że nie on, nie biskup, ale że dobry, słodki, kochany wikary, chcąc naród uratować od zagłady, od antychrysta, sprowadził cudowny obraz Nieustającej Pomocy.

Byli i tacy, którzy opowiadali wiernym, że biskupi i proboszcze ukrywali przed narodem cudowny obraz, ażeby ludzi pogubić, a sami modlili się skrycie pragnąc ujść pewnej zagłady.

W czasie właściwym wstał proboszcz i z miną surową skierował się ku ambonie. Pobożni utworzyli szpaler, a on szedł dumny, z podniesioną głową, nie patrząc na nikogo.

Wszedł na ambonę, a po zwykłym wstępie zaczął surowym głosem:

— W czasie mojej nieobecności zaszły w parafii pewne niewłaściwości w nabożeństwie, o których dowiedział się najprzewielebniejszy nasz ksiądz biskup i rozkazał usunąć je, zniszczyć z korzeniem, a nieposłusznych ukarać. Z jego rozkazu rozwiązuję bractwo adoracyi przenajświętszej eucharystyi, bractwo miłosierdzia ewangelicznego, bractwo szczególnej czci Przenajświętszej Panny pod wezwaniem Nieustającej Pomocy. Wzywam wszystkich wiernych i gorliwych katolików, ażeby wypisali się natychmiast z tych bractw, a szkaplerze i medaliki oddali w zakrystyi.

W kościele panowała głucha cisza, nie było zwykłych chrząkań, potakiwań, westchnień. Słuchali chmurni, a co chwila spoglądali na wikarego przy ołtarzu stojącego, który z bladą, spokojną twarzą patrzył nieprzerwanie na każącego proboszcza.

— Kościół święty sam umieszcza i dozwala umieszczać obrazy w ołtarzach, ale nie czyni tego dla obrazu, lecz dla świętej tajemnicy wiary, którą obraz przedstawia... A wy, jak poganie bezbożni, modlicie się do obrazu przedstawiającego Najświętszą Pannę Nieustającej Pomocy. Nie czcicie Matki Boskiej, lecz wierzycie w cudowny Jej obraz, malowany przez grzesznego człowieka. To bałwochwalstwo, to grzech wołający o pomstę i ażeby was uchronić od tego śmiertelnego grzechu, rozkazał ksiądz biskup usunąć z kościoła te obrazy. Dbały o wasze dusze, jeden już usunąłem z kościoła.

Wszyscy spojrzeli na miejsce w nawie, gdzie wisiał obraz, a spostrzegłszy pustkę, jęknęli z wielkiej żałości. Nawet spokojny wikary drgnął i kilka łez potoczyło mu się po bladej twarzy, co tak rozczuliło baby, że niektóre w głos się rozpłakały, a inne z hałasem nos wycierały.

— Kto jest szczery i prawdziwy katolik, ten bez szemrania usłucha rozkazu najprzewielebniejszego pasterza i mego, proboszcza, odpowiedzialnego za wasze dusze przed Panem Bogiem i przed biskupem. Zbudowaliście kaplicę, to pobożnie i zacnie, ale będący tam obraz musi być usunięty, a ksiądz biskup, w miejsce tamtego, daje wam wizerunek apostoła Piotra świętego. Sam poświęcę kaplicę i w uroczystej procesyi zaniesiemy do niej obraz świętego Piotra... Wiem, że mało

w was pobożności, a dużo zatwardziałości i bezbożności, dlatego zapowiadam, że ktoby z was nie usłuchał rady i rozkazu Kościoła świętego, ten będzie pozbawiony sakramentu pokuty i nie przystąpi do komunii świętej tak długo, póki nie spełni rozkazu. A znacie mnie dobrze, że słów nie rzucam na wiatr, i chociażby kto konał, nie wyspowiadam, nie dam ostatniego pomazania, bo kto żył po łotrowsku, nie słuchał kapłana, niech ginie jak łotr i idzie na wieczne męki piekielne. Amen!

Opuścił ambonę i przeszedł dumny i zadowolony ze siebie po przez tłum ludzi do głównego ołtarza. Usiadł na fotelu i oddychał ciężko, jak po uciążliwej pracy.

Wikary kończył nabożeństwo, a gdy wierni odśpiewali hymn, wziął krucyfiks w rękę i w swym uroczystym, liturgicznym stroju szedł wprost przez nawę główną, ku szeroko otwartym drzwiom kościoła. Bractwa zabrały chorągwie, tłum ruszył się i falował, cisnąc się zwolna ku wyjściu.

Proboszcz, gdy wszyscy niemal obrócili się do niego plecami, spiesząc za wikarym, powstał zły i chmurny. Domyślił się, że to procesya do kaplicy i zdjął go gniew niepohamowany. Jakto? on w imieniu biskupa zakazał poświęcenia kaplicy, zagroził surową karą, obiecał sam prowadzić procesyę, a ci bezbożni idą do kaplicy? Dusiła go pasya i nagle krzyknął powstawszy z fotela:

— Stójcie!... Idziecie na zgubę wieczną! Wspomnijcie na wasze niewinne dzieci!

Te ostatnie słowa zrobiły pewne wrażenie, niektóre baby odwróciły się i stanęły, bo zawsze mówi to kapłan i proboszcz, ale gdy wspomniały jego bluźnier-

stwo przeciw cudownemu obrazowi, pozwoliły się porwać tłumowi i szły dalej.

W kościele zostało z dziesięciu bogatszych włościan z żonami, a i ci wahali się, czy iść z gromadą, czy też usłuchać proboszcza.

— Kto z was ma szkaplerz lub medalik, niech zostawi w zakrystyi, — zawołał proboszcz ochrypłym głosem.

Z obecnych nikt się nie ruszył, snać żaden nie należał do bractwa.

Z placu przed kościołem zabrzmiała pieśń pobożna, która jeszcze bardziej rozdrażniła proboszcza. Poczuł ogromny żal do parafian. Tyle lat kierował nimi, uczył, napominał i nadeszła chwila próby, a oto pozostał sam z kilku gospodarzami w kościele. Rosła w nim znowu gorycz i niechęć do wikarego, ze zwykłą u niego szybkością przemieniając się prawie w nienawiść. Nagle zabrzmiały dzwony kościelne, jak gdyby na uczczenie procesyi. Szybko poszedł do zakrystyi, a widząc Łukasza zawołał:

— Przepędź tych łajdaków, którzy dzwonią, tego jeszcze brakowało!

Smutny, zgnębiony, z goryczą w sercu, poszedł na plebanię i zamknął się w swym pokoju.

Napróżno Blińska pukała, odpowiedział gniewny, że nie chce wieczerzy, położył się do łóżka.

Po dobrze przespanej nocy przyszedł proboszcz do przekonania, że swój obowiązek spełnił sumiennie, a że wikary i parafianie nie usłuchali jego rad i rozkazów, to nie jego wina. Cały przebieg sprawy przedstawi konsystorzowi osobiście, a tego wikarego muszą zabrać.

Śniadał w milczeniu i dopiero po wypiciu kawy i zapaleniu papierosa spytał:

— Czy byłaś w Rudnikach? Widziałaś owies i tatarkę?

— Byłam raz... ładnie zeszło.

— Otóż to babskie gospodarstwo, — zadrwił, — nie zaorze, nie zasieje i nawet nie zajrzy, czy niema szkody.

— Nie chciałam koni męczyć, — usprawiedliwiała się nieśmiało.

— Już nie gadaj, — upominał ją, — nie dbasz o moje dobro, a jeść, to jesz... Zawołaj mi Łukasza... podaj zapałki.

Kościelny stanął pokornie przy drzwiach i czekał.

— Czy ksiądz wikary w kościele?

— Poszedł na śniadanie.

— Zamknij kościół, klucze przynieś do mnie, idź!

Łukasz szybko pobiegł i dzwoniąc kluczami, oznajmiał pobożnym, że czas opuścić kościół. Wywołało to pewne zdziwienie, dotychczas bowiem, za rządów wikarego, kościół był otwarty od rana do zachodu słońca.

— Co się stało? — spytał kum Łukasza przechodząc obok kościoła.

— Odetchnie człowiek, — uśmiechnął się zadowolony kościelny, — a to byłem ciągle jak pies na uwięzi przez cały dzień.

— Proboszcz kazał zamknąć?

— Ma przecież prawo, — objaśnił kościelny z powagą i zaniósł klucze.

— Od dziś, — rozkazał proboszcz, — w każdy roboczy dzień zamkniesz kościół zaraz po odprawieniu mszy rannej i klucze przyniesiesz do mnie. W niedziele

i święta kościół otwarty do wieczora, ale żadnych nocnych nabożeństw.

— Rozumiem, — skłonił się.

— Teraz pojedziesz ze mną do Rudnik, może będę cię potrzebował.

Wikary widząc kościół zamknięty, począł się dopytywać o Łukasza i dowiedział się, iż wyjechał do Rudnik. Przypuszczał, że ten wyjazd był powodem zamknięcia kościoła i wyrzucał sobie, że poszedł na śniadanie w niewłaściwym czasie, zwłaszcza, że w południe mieli się zejść członkowie bractwa adoracyi, a wieczorem bractwo miłosierdzia dla odprawienia modlitw.

W południe zebrała się spora gromadka ludzi przed kościołem, przyszedł i wikary. Czekano z niecierpliwością na kościelnego, który nareszcie przyjechał i szedł do domu przez plac kościelny.

— Łukaszu, otwórzcie przybytek Pański, — zatrzymał go wikary.

— Klucze są u księdza proboszcza.

— Dlaczego?

— Kazał sobie przynieść i kościół zamknąć.

Wikary poczerwieniał. Dorozumiał się, że było to zrobione z rozmysłu, ażeby przeszkodzić nabożeństwu, widząc jednak zasmuconych, postanowił poprosić o klucze.

— Zaczekajcie mili bracia i siostry, zaraz wrócę do was.

Widząc wchodzącego wikarego proboszcz, nie przerywając jedzenia zupy, spytał szorstkim głosem:

— Czego tam?

— Prosiłbym o klucze do kościoła... czekają pobożni otwarcia.

— Niech idą pracować, — rzekł surowo, — ko-

ściół nie do zabawy i klepania pacierzy. Kluczów nie dam.

— Zapowiedziałem nabożeństwo, — pobladł wikary, — zeszli się.

— Na księdza nowe nabożeństwo niech psy chodzą, nie moi parafianie.

Wikary bez słowa odpowiedzi wyszedł i oznajmił ludziom, że proboszcz zamknął kościół.

— To i wieczorem nic nie będzie? — westchnęła jedna z niewiast.

— Nie wiem... to zależy od księdza proboszcza, — odpowiedział niepewnie, chociaż bardzo wątpił w otwarcie.

Łukasz z miną tryumfującą rozpowiedział znajomym tegoż dnia, że kościół, prócz na mszę ranną, będzie zamknięty. Rozgoryczyło to nietylko wikarego, ale wieś całą i jacy tacy usiłowali podburzyć dozór kościelny przeciw rozporządzeniu proboszcza i skłonili dwóch, że poszli i prosili o otwarcie. Proboszcz ani słuchać nie chciał i kazał im iść precz mówiąc:

— Ja gospodarz kościoła i zasie wam do niego. Rudera to była, za własne pieniądze odbudowałem, a teraz chcecie rządzić. Wynoście się.

Wikary zgnębiony i zmartwiony tą niespodziewaną przeszkodą, nie przypuszczał bowiem, ażeby proboszcz zamknął kościół przed wiernymi, szukał pociechy i pomocy jak zwykle w modlitwie i po obiedzie poszedł do kaplicy, którą otworzył, klucz bowiem miał u siebie.

Modlił się żarliwie, często napływały mu łzy do oczu i z głębi serca wyrywały się słowa prośby serdecznej o litość i zmiłowanie.

Nie tyle błagał za sobą i dla siebie, ile dla wiernych czcicieli Maryi, którzy bez adoracyi eucharystyi

i bez nieustającej pomocy Najświętszej Panny, narażeni są na wieczną zgubę wobec zbliżającego się panowania antychrysta i końca świata.

Pogrążony w modłach nie zauważył, że do kaplicy weszła Klara, która również uklękła i modliła się.

Wyszli oboje, a usiadłszy na ławce pod lipą, przez chwilę milczeli, wreszcie Klara spytała z troskliwością:

— Co ciebie bracie tak smuci?

— Przyjechał proboszcz, — zaczął cichym głosem, — zabronił mi habitu, nabożeństw, adoracyi, bractw. Nie usłuchałem go, bo nie pozwala mi na to sumienie kapłańskie. Chcąc mnie zmusić do posłuszeństwa, zamknął kościół i dla wiernych jest to strata i krzywda niepowetowana.

— Ależ on nie ma prawa do tego, — zarumieniła się z oburzenia.

— Zrobił to prawem silniejszego, — rozgoryczył się, — a przedstawicielom dozoru kościelnego kazał iść precz!

— Cóż teraz będzie, mój bracie? — zasmuciła się niemal do łez, — zniknie chwała Boża, zmarnieje twój posiew.

— Wszystko w ręku Boga, — westchnął żałośnie.

Po chwilowem milczeniu ożywiła się twarz Klary i zawołała:

— Bracie, pocóż ten smutek? Najświętsza Panna wiedziała, co czeka jej wyznawców i kazała ci zbudować tę oto kaplicę. Czyż nabożeństwo tutaj będzie mniej miłe Bogu, aniżeli tam, w murowanym kościele?

— Zapewne... ale brak mi szat liturgicznych...

— A misyonarze w dzikich krajach, czyż mają to

wszystko? Ileż razy widziałam ryciny, przedstawiające mszę świętą, odprawianą pod drzewem, w lasach.

— No, tak, ale oni mają na to pozwolenie, którego ja nie otrzymam.

— I dla tak marnej formalności mają być wierni pozbawieni słowa bożego? pociechy w utrapieniu? umocnienia w zasadach ewangelicznych?

— Może masz słuszność siostro, — zabłysły mu oczy, — i gdybym miał komżę i stułę, albę, pasek i kapę, mógłbym tu odprawiać niektóre nabożeństwa... Mam nawet jeszcze składkowe pieniądze wystarczające na zakupno, ale proboszcz nie pozwoli mi wyjechać.

— Czy w naszem mieście dostanie tych rzeczy? — dopytywała się.

— I jak piękne! Matka Bronisława i jej klasztor zajmują się wyrobem.

— Więc jadę dziś jeszcze... Z przykrością muszę ci wyznać bracie, że sama nie mam pieniędzy, a ojca nie mogę i nie chcę prosić.

— Ależ ja ci dam; i tak nie przyjąłbym pod żadnym warunkiem darowizny... ale pamiętaj, siostro, prosić matkę Bronisławę, aby dała to wszystko już poświęcane... to jest absolutnie konieczne. Zaczekaj chwilę, przyniosę pieniądze.

Wkrótce powrócił z plebanii, wręczył potrzebną kwotę i rzekł:

— Pomódlmy się siostro, bo nowy to dowód łaski Najświętszej Panny, że nas pocieszyła i pomogła w nieszczęściu naszem.

Proboszcz zawziął się i mimo próśb parafian, nie otworzył kościoła, chcąc w ten sposób przeszkodzić wzbronionym nabożeństwom. Obiecywał też sobie, że

skoro upora się ze zbiorem owsa i tatarki, pojedzie do konsystorza i postara się o usunięcie wikarego, który tak jawnie trwa w nieposłuszeństwie.

Na drugi dzień pod wieczór wróciła Klara i przez zaufaną służącę odesłała zakupione rzeczy do kaplicy. Uradowany wikary zapowiedział po rannej mszy odprawienie nabożeństwa w kaplicy.

Gdy Łukasz zawiadomił o tem proboszcza, ten zerwał się z krzesła i krzyknął:

— Bałwanie, ośle, dlaczego pozwoliłeś na zabranie szat liturgicznych?

— Sam przeliczyłem, wszystko w porządku.

— Kłamiesz, łajdaku! Chodź!

Szybko poszli do zakrystyi, sumiennie przeliczyli komże, alby, stuły, ornaty, kapy; niczego nie brakowało.

— Hm... nie zabrał... musisz się dowiedzieć skąd dostał... Wiem, że z poczty nie otrzymał paczki.

— A może odprawi w habicie, — zrobił uwagę Łukasz, — u takiego nie kupić.

— Tak... i to możliwe, — zamyślił się proboszcz, — chociaż nie, przecież zna przepisy liturgiczne... no, i jakby to wyglądało wobec ludu... Pójdziesz do kaplicy, przypatrzysz się jak ubrany, dowiesz się skąd dostał i dzisiaj daj mi znać.

— Słucham księdza proboszcza dobrodzieja, a co będzie z kosiarzami?

— Prawda, — zachmurzył się, — ano, ważniejsza służba Boża, pójdziesz jutro do Rudnik i Wierzbowa, i tak dopiero za trzy dni przyjść mają.

Proboszcz tak był zaciekawiony tą sprawą, że nietylko przed plebanią wyczekiwał powrotu Łukasza z kaplicy, ale wyszedł nawet na drogę, na jego spo-

tkanie. A gdy go spostrzegł, zwolnił kroku i jął się uważnie przypatrywać świeżym ścierniskom na zagonach przy drodze.

Łukasz, zasapany, zrównał się z proboszczem i szybko oddychając mówił:

— Wikary ma albę i kapę, i co potrzeba... Wszystko nowe, z pod igły, aż blask bije, takie to złote i piękne.

— Skąd dostał? — spytał głosem, który miał być obojętny.

— Różnie mówią... jedni, że Matka Boska sama go obdarowała, ale to bajdy, nie miałaby dawać komu, to takiemu...

— Nie rozwódź się! Gadaj!

— Inni, że biskup przysłał mu na przeprosiny.

— Głupstwo! — zawołał proboszcz surowo.

— Ale mówią tak, że sama panna ze dworu jeździła do biskupa i za nim się wstawiała.

— Kłamstwo! Żaden biskup nie dopuści do takich spraw niewiasty, a cóż dopiero takiej kozy.

— Ja to wiem, ale głupi naród wierzy temu i powtarza, że to dar księdza biskupa.

— A i ty głupi, że powtarzasz. Czy dużo ludzi przyszło?

— Chmara... jest i ta ze dworu... Ona wciąż upędza się za księdzem wikarym, wstydu nie ma. Dziwno, że ojciec na to pozwala.

— Ojciec!? — zawołał pogardliwie, — taki farmazon rad, że ona bałamuci kapłana katolickiego, ale już ja temu zrobię koniec.

— I po sprawiedliwości, — przytakiwał Łukasz, —

cała wieś zgorszona i szarpie stan kapłański, babom usta się nie zamykają.

— To najmniejsza, bo to babskie przyrodzenie, — powiedział z obrzydzeniem, — a jutro po rannej mszy ruszaj po kosiarzy.

— Ja to wiem.

Proboszcz zwolna wracał do domu, paląc papierosa jednego po drugim, wielce zafrasowany, skąd i jakim sposobem wikary dostał szaty liturgiczne. Teraz mając je, może najswobodniej w kaplicy odprawiać niektóre wzbronione nabożeństwa i w ten sposób jawnie drwić sobie z rozkazu biskupa i jego.

W pierwszym rzędzie, prócz wikarego, ten zawinił, kto dostarczył mu środków do urągania jego przełożonym. Ale kto taki? Ktoś z parafii, bo obcego posłańca nie ten, to tamten byłby zauważył. Ubogi nie zdobyłby się na tak znaczny wydatek, zatem ktoś bogaty. Chłopi są zbyt skąpi na kościelne sprawy, zatem baba, ale tej nie pozwoliłby mąż. Ze wszystkich parafian pozostaje tylko jedna niewiasta dość na to zamożna, tylko córka Szybickiego, zadurzona w wikarym.

— O, przebrzydłe naczynie grzechu i nieczystości! — mruknął gniewny, — kapłana ci się zachciewa, ale zetnę cię, zniszczę jak ten oset, — i laską trzymaną w ręku ścinał łodygi ostów i chwastów przydrożnych, wyzwalając swą pasyę.

XXII.

Wikary pragnął szczerze rozmówić się z Klarą, dowiedzieć się o szczegóły jej pobytu w mieście, roz-

mowy i spotkania z matką Bronisławą i po wyjściu z kaplicy zwracał wzrok na nią, lecz pobożni, uradowani odnowieniem nabożeństwa, otoczyli go szczelnie kołem i w tryumfie prowadzili go ku wsi. Niepodobieństwem więc było, bez narażenia jej i siebie na podejrzenia i plotki, porzucić wiernych i rozmówić się na osobności z Klarą.

Ona odczuła to pragnienie wikarego, gdyż sama chciała zwierzyć mu się ze szczegółów tej podróży. Trochę rozczarowana i zasmucona poszła polną drogą do domu, widząc go tak oblężonym przez pobożnych. Obiecywała sobie jednak, że nazajutrz znajdzie sposobność pomówienia z wikarym.

Znając mniej więcej rozkład czynności wikarego, spodziewała się, że około dziesiątej rano będzie z brewiarzem w kaplicy i przyszła o tej porze.

Zastała kilka niewiast modlących się żarliwie przed kaplicą, której kraciaste drzwi dozwalały widzieć cudowny obraz i lampkę płonącą przed nim.

Uklękła i poczęła się modlić, wtem posłyszała kroki na drodze od plebanii, odwróciła się, a poznawszy proboszcza, modliła się dalej przykładnie.

Spostrzegły go i baby, a znając jego surowość, popędliwość i zakaz modlenia się przed obrazem cudownym, strwożyły się i zbiły się w kupkę, jak owce przestraszone. Klara, widząc to, patrzała na nie z uśmiechem politowania.

Kroki zbliżały się i nagle ustały tuż za Klarą.

— Co wy tu robicie bałwochwalcy, poganie, heretyki, — zagrzmiał głos proboszcza, — to wy, katoliczki, będziecie cześć oddawały bałwanom!? Szelmy podłe, gorsze gadzin i żmij, to na to was uczyłem, na to

męczyłem się, ażebyście jak te świnie i maciory zapomniały o prawdziwym Bogu i jego Kościele!

Za dużo tego było Klarze, a współczując z przerażeniem kobiet, wstała i zwracając się do księdza, powiedziała:

— Niech ksiądz proboszcz nie zapomina, że mówi przed cudownym obrazem.

On poczerwieniał, zabłysły mu oczy gniewem i krzyknął:

— Milcz, ty suko grzeszna! Zachciewa ci się kapłana, szelmo jakaś! Zastawiasz sieci na niego! Usidlić go chcesz twą nieczystością! Znam cię dobrze, ty przebrzydłe naczynie nieprawości i rozpusty! tłuku! a jeśli jeszcze raz spotkam cię przy kaplicy, albo w kościele, to kijem cię przepędzę, psami wyszczuję! Ruszaj do twego ojca farmazona, z dyabłem twoim braciszkiem się wdawaj i romansuj, ale nie z kapłanem katolickim! Precz! bo poznasz się z moją laską!

Klara przy pierwszych słowach proboszcza nie przypuszczała wcale, że one odnoszą się do niej, lecz widząc roziskrzony wzrok jego na sobie, zrozumiała obelgę. Pobladła, serce w niej zamierało ze wstydu i żalu. Nie o słowa jej chodziło, których całkowite znaczenie na razie nie dostawało się do jej świadomości, lecz poczuła gwałtowny ból przy tak brutalnem dotknięciu i odsłonięciu tajemnicy, o której tylko ona i Bóg wiedział, że kiedyś istniała, ale dziś zapanowała nad nią zupełnie.

Wymyślania księdza odbijały się od niej, jak dalekie echa, dopiero podniesiona laska podziałała na instynkt samozachowawczy i automatycznie usunęła się,

kierując się na drożynę polną, a za nią rozbrzmiewały słowa:

— Ciekasz się suko! Z parobkami tłucz się po rowach, a nie zwódź kapłana!

Kobiety wiejskie, korzystając z gniewu proboszcza na Klarę, rozbiegły się po polu i jaka taka przykucnęła za krzakiem, albo legła w bruździe, byle zejść z oczu zagniewanemu księdzu.

Pozostał sam przed kaplicą, podszedł do drzwi, szarpnął raz i drugi raz, ale zawarte silnie i opatrzone sztabą nie puściły. Postał chwilę, splunął z pogardą i zawrócił do plebanii.

Klara, zgnębiona, sponiewierana tymi wrzaskliwymi wymysłami, zasłyszanymi po raz pierwszy w życiu, szła oszołomiona i instynktownie przyspieszała kroku, ażeby nie słyszeć, ażeby uciec jak najdalej.

Na razie nie zdawała sobie jasno sprawy ze znaczenia tych słów brutalnych, tylko miała poczucie, że stała się jej ogromna krzywda. Miała wrażenie, że ktoś ją brutalnie obnażył i napiętnował. Że z raju jej marzeń i zachwytów świętych zepchnął w cuchnące błoto i w niem ją zanurzył.

Cierpiała i szła w jakiemś odrętwieniu mózgu, tyle tylko wiedziała, że została skrzyczana i że zagrożono jej biciem laską.

Stopniowo wracała pamięć i wrażliwość. Posłyszane, plugawe słowa poczęły około niej krążyć jak rój os i szerszeni, aż wpadły do jej świadomości, dotknęły jej zjadliwie i trucizna zaczęła działać. Aż przystanęła, taki mocny ból poczuła.

Nazwał ją publicznie kochanką księdza, suką, zrównał z kobietami najgorszej moralności. Splugawił ją,

podeptał, skopał, wysmagał i przepędził... I za co? Co ona złego zrobiła?

Nie poczuwała się do żadnej winy, nic nie miała sobie do wyrzucenia. Wtem nagle zamajaczył przed nią obraz jej ojca, który tak często prosił ją i błagał, ażeby nie narażała się na podejrzenia i plotki, ażeby unikała spotykania się z wikarym, i tak usilnie nalegał na jej wyjazd z Kościeńca. Nie usłuchałaś, szepnęło sumienie. Lecz ona natychmiast znalazła odpowiedź: szło o zbawienie duszy, o żywot wieczny.

Przygnębienie wzrastało, czuła się zhańbioną, zbezczeszczoną, sponiewieraną, oplutą. Nie będzie mogła na nikogo oczu podnieść, nie może być w towarzystwie osób czystych i szlachetnych, bo sama jej obecność plami innych. To, co ten ksiądz z tak ohydną otwartością jej powiedział, wszyscy inni szepcą sobie do ucha i tylko z litości dla niej udają, że nie wiedzą.

W podrażnionej pamięci, zaczęła usilnie wyszukiwać spojrzeń i szeptów podejrzanych, obelżywych dla niej, i naturalnie znalazła ich podostatkiem, podobnie jak człowiek zastraszony wszędzie widzi grożące nieszczęście.

Zdawało się jej, że teraz dopiero poznała i zrozumiała swoje otoczenie, które nią pomiatało, pogardzało i piętnowało ją jako kobietę niecną, pragnącą zostać miłośnicą księdza, komedyantkę udającą pobożność i czystość.

Z oczami suchemi, które ją piekły, z plamami czerwonemi na twarzy, zgarbiona pod ciężarem obelg, spotkała na ganku ojca, który zobaczywszy ją, podszedł szybko mówiąc z czułością:

— Klarciu, co tobie, moje dziecko?

Podniosła na niego napół przytomne oczy, jak gdyby z głębokiego snu się zbudziła, i poznawszy znaną sobie postać, przytuliła się do niego i wybuchnęła gwałtownym płaczem.

— Klarciu, Klareczko, uspokój się, — przycisnął ją do siebie, a gdy gwałtowniejszy atak płaczu minął, poprowadził ją do pokoju, posadził na kanapce i rzekł z troskliwością:

— Napij się wody, — podał jej szklankę, — może dać ci bromu?

— Nie, dziękuję, — tłumiła łkanie.

— Zaprowadzę cię do twego pokoju, połóż się... odpocznij.

— Sama pójdę, — wstała, chwiejąc się.

Objął ją i prowadził. Idąc, przyszła do siebie, odsunęła się od ojca, a gdy usiadła na kozetce, powiedziała siląc się na uprzejmość:

— Przepraszam za tę niesmaczną scenę... to się nie powtórzy... byłam zdenerwowana, ale już przeszło.

— Co się stało Klarciu? Powiedz mi.

— Proszę tylko o nic nie pytać... nie chcę... nie mogę mówić...

— Jednak Klarciu... może po doktora?

— Nie!... nie chcę, proszę zostawić mnie samą... Głowa mnie boli i nie przyjdę na obiad do stołu.

— Każę przynieść lodu, zrób sobie okład.

— Nie! Dziękuję, — oparła głowę na brzegu kanapki i przymknęła oczy.

Ojciec stroskany, niespokojny, spojrzał na nią, wysunął się i cicho przymknął drzwi. Klara wstała, umyła sobie oczy, poprawiła włosy i przechadzając się po po-

koju, poczęła rozmyślać spokojniej nad dzisiejszem zajściem.

Przyszła do przekonania, że dla niej, jako dziewczyny, świat jest zamknięty. Nie uważała tego za nieszczęście, gdyż i dawniej nie miała wcale zamiaru wychodzić za mąż, a odkąd przejęła się religią i zapatrywaniami wikarego, ze wstrętem i grozą odsuwała wszelką myśl o zamążpójściu.

Tu, w Kościeńcu, nie może pozostać pod żadnym warunkiem. Jeśli i byli na wsi ludzie, którzy jej nie podejrzywali o romansowanie z księdzem, to teraz, gdy proboszcz przy tylu kobietach zwymyślał ją od ostatnich i publicznie zarzucił nierząd, wszyscy uwierzą w jej winę.

Musi wyjechać, ale gdzie? Czy ma po świecie rozwozić swe smutki i upokorzenia? I stracić na zawsze zdobyty z takim trudem spokój duszy? cel życia w pracy dla zbawienia i uszczęśliwienia ludzkości? Ma wmieszać się do tego świata próżnego, grzesznego, zbrodniczego, bez wiary i religii? I nigdy, już nigdy nie brać udziału w świętej i zaszczytnej działalności wikarego Kęckiego?

Jedno, jedyne miejsce, pozostało dla niej na świecie, to w klasztorze matki Bronisławy. Tam, za tymi murami, znajdzie spokój i ciszę, tam jest prawdziwy zakątek raju na ziemi, jak mówił wikary...

Ale czy ją przyjmą? Ją, taką skalaną, sponiewieraną, z opinią zaszarganą?! Jeden tylko człowiek może jej pomódz i umożliwić wejście do tych cichych, czystych, pracowitych niewiast, wikary Kęcki. Wyprosi u niego, wybłaga, ażeby ułatwił jej przyjęcie do zakonu. On, taki dobry, taki szlachetny, taki anielski człowiek,

wysłucha jej prośby, a słowo jego otworzy przed nią bramy raju.

A ojciec? przemknęło jej w myśli. Ojcu będzie lepiej samemu. Teraz gryzł się, zamartwiał jej postępowaniem, nieustannie troszczył się jej przyszłością; bolał, że zostawi ją tak samotną w życiu; a z chwilą wstąpienia jej do zakonu skończą się wszystkie jego troski. Nie będzie go krępowała, martwiła, nie będzie dla niego żyjącym wyrzutem, że nie umiał pokierować jej życiem, nie potrafił stworzyć jej szczęścia.

Może jednak oprzeć się jej zamiarom, szepnęła obawa, może zakazać jako ojciec i zmusić matkę Bronisławę, aby jej nieprzyjęła, albo przyjętą wydaliła z zakonu.

A jeśli uda się o pomoc do rządu?... On taki porywczy, może i to zrobić pod wpływem gniewu, a wtedy klasztor jest zgubiony, zamknięty, rozpędzony, a matka Bronisława ukarana, może zostanie na Sybir wywieziona.

Do tego ona nie może dopuścić pod żadnym warunkiem. Co pomyślałby o niej wikary? Raczej umrzeć! zabije się!

Usiadła i rozmyślała spokojnie nad sposobami wykonania swego planu, co ją tak pochłonęło i tak się przejęła życiem swem w niedalekiej przyszłości, że zapomniała prawie o zajściu z proboszczem i swej rozpaczy z tego powodu.

Posłyszała, a raczej zobaczyła drzwi lekko się uchylające, zajrzał ojciec i spytał bardzo łagodnie:

— Klarciu, może co zjesz?

— Pójdę na obiad, — odpowiedziała swobodnie, wstała i jak zwykle szła krokiem lekkim, elastycznym.

Przy obiedzie rozmawiała o bieżących sprawach

gospodarskich, o młockarni, o wydajności kóp żyta i pszenicy, o cenach i urodzajach. Dopiero przy czarnej kawie zwróciła się do ojca tonem prośby:

— Chciałabym z tatusiem pomówić w sprawie bardzo ważnej dla mnie. Tu przeszkadza nam służba, może przejdziemy do ogrodu, tam nikt nie podsłucha.

— I owszem Klarciu, jestem zawsze gotów do pomówienia z tobą.

Gdy byli w ogrodzie, Klara, wskazując kamienną ławkę w alei grabowej, rzekła:

— Siądźmy tutaj... zawsze ją lubiłam i mam miłe wspomnienia.

— A masz i niemiłe? — uśmiechnął się.

— Zaraz się przekonam, — usiadła i oparłszy rękę na stole kamiennym, patrzała w oczy ojcu, — tatuś miał słuszność, jak zwykle zresztą, przestrzegając mnie, ażebym unikała podejrzeń i plotek. Dziś doświadczyłam na sobie, jakie okropne skutki sprowadziła moja nieuwaga, — na wspomnienie sceny przy kaplicy łzy zakręciły się w jej oczach, — nie chcę i nie powiem, co się stało, dość, że tu dłużej żyć nie mogę.

— Nie chcesz powiedzieć powodu, nie mów, a masz ochotę wyjechać, jedź, chociażby dzisiaj, wiesz przecież, że ci zawsze to doradzałem i doradzam.

— Nie idzie wcale o wyjazd... tatuś mnie nie rozumie... ja czuję się bardzo nieszczęśliwą i to nieszczęście noszę w sobie i ze sobą... Nie chcę ani Włoch, ani Francyi, ani Norwegii, bo wszędzie będę nieszczęśliwa, i albo tatuś da mi zupełną swobodę postąpienia według mej woli i przekonania, albo jedna śmierć tylko mi pomoże.

— Śmierć! — zawołał niedowierzająco, — co się też tobie śni, dziewczyno!

— Tatuś myśli, że to fantazya moja, chwilowe rozgoryczenie, przemijająca rozpacz... wcale nie! Ja nad tem długo myślałam, rozważałam, i nie widziałam innego wyjścia prócz samobójstwa, przygotowałam się do tego najspokojniej.

— Ależ Klarciu, moje dziecko kochane, wiesz przecież, że w niczem cię nie krępuję, jesteś panią swej woli... powiedz mi jednak, skąd tobie, takiej młodej, pięknej, przyszło na myśl samobójstwo? Zaledwie rozpoczęłaś życie, nie zaznałaś jeszcze goryczy, bolu, sieroctwa...

— Czy zaznałam lub nie, to rzecz inna, ale może mi tatuś wierzyć, że z radości i rozkoszy nikt się nie zabija... Nie mówmy o tem, dość, że chciałam umrzeć i chcę, ale żal mi się zrobiło tatusia i postanowiłam zrobić próbę. Jeśli tatuś zgodzi się bez zastrzeżeń, że mam najzupełniejszą swobodę rozporządzania sobą, będę żyła, a nie, to nie.

Ojciec spojrzał badawczo na nią, zastanowił się chwilę i prosił:

— Moja Klarciu jedyna, pozwól mi się namyśleć, zostaw mi dwa, trzy dni czasu.

— O, nie! Ja proszę bardzo usilnie o natychmiastową odpowiedź... dość mam tej męki i niepewności.

— Hm... więc dobrze... — westchnął żałośnie.

— Co dobrze? Niech tatuś wyraźnie powie, że zostawia mi najzupełniejszą swobodę rozporządzania sobą, bez żadnych zastrzeżeń ze swej strony.

Ojciec powtórzył dosłownie, a Klara dodała:

— Daje mi tatuś na to słowo uczciwego człowieka? — patrzała mu w oczy.

— Daję, — podał rękę, — a teraz powiedz, co zamyślasz uczynić?

— Mówiłam już, że tu nie mogę pozostać, że czuję się nieszczęśliwą, chcę się zamknąć przed światem i jego oszczerstwami, odzyskać spokój.

— Bardzo dobrze... ale gdzie?

— W mieście jest rodzaj świeckiego zakonu, zajmuje się wychowaniem dzieci, ma ochronkę, szkółkę, inne szyją, haftują, tam zamieszkam.

— Czy składa się tam jakie śluby zakonne?

— Nie wiem... U nas są przecież wszelkie zakony wzbronione, nie przypuszczam, ażeby wstępujące składały wieczyste śluby.

Po dłuższym namyśle zaczął ze szczerym żalem:

— I dlaczego Klarciu chcesz mnie porzucić?

— Niechże tatuś nie będzie egoistą. Jeśli tu jest moje nieszczęście i śmierć, a tam spokój i życie, dlaczego tatuś się sprzeciwia?

— Wcale nie! Chcesz koniecznie, to dobrze; odwiozę cię, dowiem się, spytam co trzeba płacić, a wiedząc, że jesteś wśród uczciwych ludzi, będę spokojniejszy.

— Tatuś chce mnie odwieźć? — powiedziała niechętnie, — hm... namyślę się.

— Inaczej cię nie puszczę.

— A słowo? — spojrzała surowo.

— Prawda! — więc proszę cię, miej na tyle serca i pozwól się odprowadzić.

— Dobrze... pogadamy o tem... A teraz jeszcze jedna i ostatnia prośba do tatusia.

— Jaka? Słucham, moje dziecko.

— Wyjeżdżam z Kościeńca i prawdopodobnie już nigdy nie spotkam się... — zawahała się na sekundę, — z księdzem Kęckim... Chciałabym się z nim pożegnać, — a widząc zachmurzonego ojca: — nie chcę go szukać, spotykać się gdzieś na ustroniu, ale tu, w domu, bo nic nie mam sobie do wyrzucenia.

— No, jeśli chcesz... chociaż uważam to za rzecz niewłaściwą... rozdrażnisz się niepotrzebnie... rozżalisz.

— Ale co tatuś mówi! — zaprzeczyła energicznie, — czy tatuś myśli, że on stoi w jakimkolwiek związku z mojem postanowieniem?! Wcale a wcale. Chcę się pożegnać, prosta forma grzeczności, i nie chcę, ażeby przypuszczał, że unikam go, kryję się, uciekam.

— No, dobrze, — westchnął.

— Niechże go tatuś dziś zaprosi.

— Dziś? — zdziwił się.

— Tak jest, bo jutro, najdalej pojutrze, wyjeżdżam.

— Dobrze... zaproszę.

— To już wszystko, — wstała, ucałowała ojca lekko w czoło, — dziękuję, tatuś jest dobry człowiek.

— A jednak mnie porzucasz.

— Bo muszę... i nie mówmy o tem. Teraz pójdę trochę spocząć, bo zmęczyła mnie ta rozmowa... A tatuś napisze zaraz zaproszenie i niech mu posłaniec odda do własnych rąk koniecznie.

— Dobrze, moje dziecko.

Szybicki zaprosił wikarego na oznaczoną godzinę i tak się urządził, że spotkał wchodzącego gościa na podwórzu. Po przywitaniu rzekł tonem prośby:

— Czy wiesz, księże wikary, jakiego rodzaju jest ten klasztor, w którym córka moja chce zamieszkać?

— Nic mi o tym swoim zamiarze nie mówiła.

— Ponieważ ona widzi w tem swój spokój, nie chcę się sprzeciwiać, ale to jej postanowienie napełnia mnie wielkim smutkiem i niepokojem. Chciałbym przynajmniej wiedzieć cokolwiek o tym zakonie. Ona niechętnie ze mną mówi o tem, księdzu zapewne powie więcej. Zechciej księże, udzielić mi tych wiadomości.

— Dobrze, szanowny panie, postaram się.

Weszli do gabinetu, gdzie oczekiwała ich Klara. Zawiązała się banalna, żmudna rozmowa, czuł Szybicki, że przeszkadza Klarze i pod pozorem zajęć gospodarskich wyszedł.

— Wiesz bracie, — ożywiła się Klara, — wczoraj nie mogłam z zakupów zdać rachunku, a dzisiaj szukakałam cię napróżno.

— Ksiądz proboszcz mi przeszkodził, przechadzał się cały ranek po drodze do kaplicy. Jakże matka Bronisława?

— Nadzwyczajnej dobroci i serca. Mówiła o tobie, bracie, z niezwykłą serdecznością, miłuje cię jak syna rodzonego.

— A jakże podobał ci się, siostro, klasztor? — zarumienił się, zadowolony z pochwał matki.

— Mówiłeś prawdę, bracie, to zakątek raju... I postanowiłam wstąpić do sióstr Maryawitek.

— Spodziewałem się tego, — rozjaśniła mu się twarz, — tam znajdziesz prawdziwe szczęście, spokój i pracę...

— Ojciec zgodził się... tylko dla jego spokoju popełniłam małe kłamstwo, — zarumieniła się, — pytał, czy są tam śluby zakonne, nie dałam wyraźnej odpowiedzi. Z czasem, gdy przywyknie do mej nieobecności, sama mu napiszę.

— Dobrze... i naprawdę, siostro, nie czujesz żalu porzucając dotychczasowy tryb życia, dostatki, swobodę?

— Żalu żadnego... żal mi trochę tej pracy twojej, iż jej nie obaczę... żal kaplicy... żal dobrych ludzi, — zarumieniła się.

— Tam znajdziesz wszystko lepsze i doskonalsze. I gdybym mógł i umiał, zazdrościłbym ci spokoju, ciszy i niezmąconego szczęścia.

— Prosiłabym cię, bracie, o kilka słów polecenia do łaski matki Bronisławy.

— Nie potrzebujesz tego, siostro. Twoje życie daje ci najlepsze świadectwo.

— Tak, ale matka Bronisława nie zna mnie, a twoje słowo otworzy mi drzwi do przybytku spokoju.

— Jeśli tylko chcesz, siostro, napiszę.

Przyniosła mu przybory do pisania i wkrótce list był gotów.

— Kiedy jedziesz siostro?

— Najdalej pojutrze.

— Niechże cię Chrystus Pan i Matka Najświętsza błogosławią na tej nowej drodze życia.

Klarze, wbrew jej woli, było przykro, że on ani słowem nie zdradził żalu z powodu jej wyjazdu, lecz przeciwnie, ucieszył się jej wstąpieniem do zakonu.

— Czy są nowe wieści, mój bracie?

— Otrzymałem listy, — westchnął, — nasi bracia są srodze prześladowani przez biskupa. Odebrano im probostwa, przerzucają z miejsca na miejsce, część zasuspendowano, i ci tułają się bez kawałka chleba... rządy antychrysta już się zaczęły.

— No, a ze stolicy apostolskiej?

— Nie wiadomo. Wyjechał tam nasz biskup i za-

chodzi obawa, że zechce wpłynąć na kongregacyę ujemnie dla nas.

— To smutne, — westchnęła.

— Doświadcza nas Pan, ale my nie ustaniemy w pracy, chociaż nam ciężko. Ja dotychczas, prócz wiernych, miałem twoje poparcie siostro, a teraz i to ubędzie, — westchnął szczerze.

— Bracie, — zarumieniła się ucieszona, — jeśli uważasz, że mogę ci być pomocną, zostanę tutaj.

— O, nie, siostro; tej ofiary przyjąć nie mogę. Jeśli masz powołanie służyć Chrystusowi i Najświętszej Pannie, ja mogę cię tylko zachęcać i utwierdzać w twych pobożnych intencyach. Moje modły będą ci towarzyszyły, a i ty westchnij kiedy do Najświętszej Panny na moją intencyę, ażebym godzien był nazywać się Maryawitą.

Wszedł Szybicki, a wkrótce Klara poprosiła ich na podwieczorek.

Gdy wikary opuszczał dwór, towarzyszył mu przez dziedziniec gospodarz i spytał z niepokojem:

— Czy wiesz, księże, dokąd wyjeżdża?

— Wiem.

— Czy to zakon prawdziwy?

— To jest zgromadzenie bardzo zacnych, świeckich panien, poświęcających się pobożnej pracy.

— Więc żadnych ślubów nie składają?

— O ile wiem, to nie!

— Dziękuję ci, — uścisnął mu rękę, — uspokoiłeś mnie, bo ostatecznie jestto tylko jej fantazya i po pewnym czasie wróci.

— Wszystko w ręku Boga! — podniósł oczy pobożnie wikary.

XXIII.

Proboszcz Marski, po kilku nieudałych próbach namówienia parafian, ażeby w miejsce cudownego obrazu zawiesili wizerunek świętego Piotra, sam pilnował drogi do kaplicy i zawracał pobożnych. Zmiarkowali to ludzie i szli przez pola, okrężnie, byle nie spotkać proboszcza, a uczestniczyć w różańcu i litanii pod przewodnictwem wikarego.

Rozgniewany tem nieposłuszeństwem, wybrał się proboszcz jednego przedwieczerza do kaplicy. Zastał tłum ludu klęczącego i przejętego modlitwą. Szedł prosto do kaplicy, chcąc tam nakłonić swych parafian do opamiętania się. Dorozumieli się tego pobożni i tak zbitą masą zalegli przede drzwiami, że nie miał sposobu przedrzeć się do wnętrza.

— Milczcie bezbożnicy! — krzyknął do śpiewających litanię, — chcę do was przemówić, nie do rozumu, bo go nie macie...

Wierni jednak, tak usilnie i głośno poczęli śpiewać, że głos proboszcza ginął zupełnie i ledwie sam siebie mógł posłyszeć.

Wymyślając modlącym się od pogan, heretyków, bydląt, zgniewany wrócił na plebanię. Za wiele dokazuje ten podły wikary, muszę pojechać do biskupa, rozmyślał po drodze, i pojadę, bylem tylko skończył z owsem, gdyż jak na złość, wówczas gdy stawili się kosiarze, przepadały deszcze, a gdy nastawała pogoda, zabrakło kosiarzy. Teraz jednak owies leżał już na pokosach, należało go tylko związać i zwieźć.

Na drugi dzień rano do kancelaryi proboszcza

zgłosili się ludzie z Wierzbowa, prosząc o zapowiedzi i ślub. Proboszcz, zapisawszy nazwiska i imiona, spytał surowo:

— Czy należycie do bractwa adoracyi albo miłosierdzia?

Zmieszali się oboje młodzi, a dziewczyna odpowiedziała wstydliwie:

— Mieszkamy daleko od kościoła i trudno nam codziennie chodzić taki kawał drogi, ale jeśli ksiądz dobrodziej...

— Milcz głupia, — ofuknął, — gdyby które z was należało, ślubu nie dostanie... A do kaplicy, na te bałwochwalcze beki chodzicie?

Wprawdzie byli kilka razy, ale z obawy nagany i kary, wyparli się.

— To dobrze, ślub dostaniecie, — i zwracając się do rodziców: — jakiego ślubu chcecie?

— Juścić kościelnego, świętego sakramentu, — odpowiedział gospodarz.

— Trutniu jakiś, nie o to pytam, ale czy ołtarz główny, czy poboczny? oświetlony suto, czy nie? z muzyką i z mową?

— Jak ślub, to paradny, jak się patrzy gospodarskim dzieciom.

— Za taki ślub zapłacicie piętnaście rubli, na kancelaryę rubla pięćdziesiąt, a organiście i kościelnemu tak samo.

Gospodarze spojrzeli na siebie zdziwieni, a ojciec panny młodej pokłonił się do ziemi i przemówił:

— Jak to może być, z przeproszeniem księdza proboszcza dobrodzieja, to wszyscy mają chrzty, śluby, pochowki darmo, a dlaczegóż my mamy płacić?

— Co ty pleciesz, bałwanie! — zawołał pleban, — spiłeś się, czy oszalałeś?

— Ani jedno, ani drugie. Bóg mi świadkiem i cała wieś, jako nikt nie płacił.

— Kłamstwo! To niemożliwe!

— A to nasz ksiądz wikary przecież nauczał: »darmo wzięliście, darmo dawajcie« według Chrystusa, i nie brał grosza.

Proboszcz tak się zdumiał, że na chwilę zaniemówił, bo przecież wikary oddał mu sumiennie pieniądze za wszystkie posługi, a teraz słyszy taką herezyę. Naturalnie chłop kłamie, wikary musiał brać, bo skądżeby płacił?

— Oszuście, łotrze! — krzyknął, — to mnie, kapłana, chcesz obedrzeć? to kłamiesz, zanim dostąpisz świętego sakramentu?

— Księże dobrodzieju, a bodajbym zdechł, a niech mnie spali ogień niebieski, jeśli słówko kłamię!

— Poganinie bez czci i wiary, — gniewał się proboszcz, — precz! Niech twe dzieci żyją jako bydlęta, jako świnie, niech tarzają się w gnoju nieczystości! Teraz chociażbyś zapłacił, ślubu nie dam, póki nie odwołasz bezecnego kłamstwa.

— Iii, odwoływał prawdy nie będę, a nie da ślubu jegomość, da ksiądz wikary.

— Precz, zbóju, łotrze, złodzieju, bo cię kijem przepędzę! — trząsł się z pasyi.

— A czy nie stoi w ewangelii: jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą? — spojrzał chłop chmurny ściskając palicę.

— Tatusiu, chodźmy! — zapłakała córka.

Zmiarkował i proboszcz, że zadaleko poszedł, ale nie stracił miny i krzyknął:

— Precz! Wyrzucę cię z kościoła.

— To pójdę do kaplicy. Skończyło się panowanie jegomości, — nałożył czapkę i do dzieci: — chodźmy, nic tu po nas.

Proboszcz oniemiał, krew uderzyła mu do głowy. Podobnego zuchwalstwa nie widział i nie słyszał od kiedy został księdzem. Przemyśliwał nad zemstą, nad upokorzeniem chłopa i nie znalazł innego sposobu prócz odmówienia posług religijnych i zgromienia go, napiętnowania z ambony.

A jeśli wikary da im ślub? przemknęło mu w myśli, i zatrząsł się z gniewu i oburzenia. Zerwał się z krzesła, zatrzasnął za sobą drzwi kancelaryi i w sieni krzyczał gniewny:

— Marto, Marto!

Wybiegła z kuchni przerażona Blińska, a zobaczywszy buraczkową twarz brata, zawołała:

— Rany Boskie! Co się stało bratu!?

— Każ Grzeli zaprzęgać!

— Matko Przenajświętsza! czy po doktora?

— Głuchaś!? — wrzasnął, — każ zaprzęgać, jadę do konsystorza.

— Grzela w polu.

— To biegaj... leć po niego!

Wszedł do swego pokoju i pospiesznie zaczął pakować do kuferka podróżnego potrzebne rzeczy, szepcąc od czasu do czasu przez zaciśnięte zęby:

— Nauczę ja ciebie... Dam ja tobie! — pod adresem wikarego.

Po pewnym czasie zmęczył się, otarł rękawem spo-

cone czoło, podszedł do lustra wiszącego, a ujrzawszy swą twarz, czerwoną i trochę obrzękłą od nachylania się, rozczulił się nad swym wyglądem:

— Zmarnieję! Zginę! Szlag może trafić człowieka przy takiem łotrostwie!

Usiadł na fotelu, oddychał głęboko, wreszcie zapalił papierosa.

Cicho otworzyły się drzwi, weszła Blińska, a widząc nieład w pokoju, rozrzucone rzeczy, załamała ręce i zawołała:

— I trzeba się tak męczyć bratu dobrodziejowi? Od czegóż ja tu jestem? — zaczęła zbierać ubrania z łóżka, krzeseł, ze stołu. — Już ja sama upakuję kuferek; na długo brat jedzie?

— Nie wiem, — odpowiedział kwaśno, — człowiek wie, kiedy wyjeżdża, a nie wie, kiedy wróci. Tym, w konsystorzu, — mówił z goryczą, — wcale nie spieszy się... ten wyjechał na wieś, tamtego brzuch boli, trzeci ma dzień przyjęć... a ty siedź i czekaj, aż się zmiłują.

— To może dam na tydzień bieliznę, — wypróżniała kuferek.

— Oszalałaś... Za dwa, za trzy dni wrócę, a pilnuj owsa; zwieźć za pogody...

— Dobrze, — wyprostowała się, — czy brat dobrodziej teraz każe podać posiłek? bo Grzela zaprzęga.

— A temu co tak spieszno!? — podszedł do okna i zawołał: — zaczekaj durniu, daj im obrok! — a do Blińskiej: — co masz na śniadanie?

— Kotlet z kury, zaraz zrobię. Czy dać masła do środka?

— Ostatecznie, nie zaszkodzi, daj... A z czem ten kotlet?

— Z groszkiem cukrowym.

— Byle świeży i młody, a przynieś wina... strasznie się zirytowałem.

— Widziałam przecież... już to brat dobrodziej szafuje swem zdrowiem... a może zamiast wina przygotować herbatę?

— Ziółka dla siebie schowaj... no, spiesz się, nie mam czasu.

Proboszcz wyjechał i na trzeci dzień wrócił. Przywitała go na ganku Blińska:

— Chwała Bogu, że brat dobrodziej wrócił!

— Czy stało się co złego? — złaził z bryczki.

— Uchowaj Boże! — zaprzeczyła.

— To i czego drzesz się!?... Owies zwieziony?

— Tak jest, w najpiękniejszą pogodę. Łaciata coś chorowała, ale już zdrowa.

— Pewno daliście mokrej koniczyny... znam was.

— A może brat dobrodziej zje coś po drodze?

— Co masz? — szedł do swego pokoju, a za nim dreptała Blińska.

— Przygotowałam kaczkę na zimno.

— Niezdrowa... co więcej?

— Mam rosół, istna galareta.

— Dobrze, zagrzej; i podaj kaczkę, może spróbuję.

Gdy zjadł talerz rosołu, Blińska podsunęła mu kaczkę, kompot i spytała:

— Bracie dobrodzieju, co w konsystorzu?

— Co? a to, co przeczuwałem, — ostrzył nóż, — kazali mi zatrzymać na jakiś czas tego fanatyka. Ty dasz sobie z nim radę, — przedrzeźniał, — u ciebie

dobra szkoła, uspokoi się, utemperuje... ot, głupie gadanie i tyle. Z każdym mogę sobie poradzić, ale nie z waryatem.

— Boże! Boże! A ja się tak cieszyłam, że nastanie spokój, — westchnęła.

— Co tam tobie!? Siedzisz w kuchni i pietrasisz, ale miej takiego na karku, jak ja; a taki to nieusłuchany, uparty, zarozumiały.

Jadł kaczkę, kompot i odetchnąwszy głęboko:

— Kawa jest?

— Zaraz podam... a może papierosa?

— Nie, wypalę cygaro; zachwalał kanonik Brynkiewicz, że dobre, ano, spróbujemy.

Gdy wniosła kawę, spytał z grymasem niechęci:

— Czy wikary jest?

— Także coś. On cacka się zawsze z chamami. Teraz przy ochronce siedzi po całych dniach.

— Budowa postąpiła?

— Pewno! Pół wsi na robocie i raz wraz beczą swoje hymny, dziwno, że nie ogłuchnie i nie straci ochoty.

— Robi mi na złość, — rzekł z goryczą, — ale i ochronka mu nie pomoże. Każ zawołać Łukasza.

Przyszedł wezwany, a proboszcz rozkazał:

— Idź po wikarego, powiedz, ażeby się stawił do mnie, są rozkazy od księdza biskupa.

— Rozumiem.

— Jeszcze jedno. Czy kościół zamykałeś po mszy rannej?

— Zawsze... ale nie wiele to pomogło, bałwochwalcy gromadzili się w kaplicy.

— Hm... ustanie i to, a teraz biegaj po wikarego, czekam!

Blińska kręciła się po pokoju, niby to sprzątając, ogromnie zaciekawiona jakie rozkazy przywiózł proboszcz od biskupa, i zagadnęła:

— Żeby tylko brat dobrodziej nie irytował się, szkoda zdrowia.

— Skądże ta troskliwość? Co?

— Zdrowie brata droższe mi od własnego, a wspomniał brat o rozkazach, to pewno będzie się on awanturował.

— Ty nie wścibiaj nosa w sprawy duchowne, zasie kobietom do tego.

— Mnie tylko o zdrowie brata chodzi.

— Znam się na tem, — zaśmiał się drwiąco, wstał z krzesła, ziewnął przeciągle, — zdrzemnę się trochę, jak przyjdzie Łukasz, obudź mnie.

Blińska pilnowała i raz po raz wyglądała przez okno. Zdaleka dojrzała wikarego, pobiegła do proboszcza, który ułożywszy się na kanapie spał i chrapał.

— Bracie dobrodzieju, — mówiła, — już idzie, — i widząc, że nie budzi się, dotknęła ramienia, — bracie dobrodzieju, on przyszedł.

Otworzył oczy, spojrzał i mruknął:

— A bodaj cię licho wzięło!... Niech czeka w kancelaryi, przyjdę, — ziewnął i dodał: — przynieś mi kawę i zimnej wody.

Wszedł do kancelaryi z mózgiem sennym i leniwym, ale widok wikarego zelektryzował go. Usiadł za stołem i wyjął z kieszeni złożony arkusz papieru.

— Jest tu rozkaz dla księdza, — przemówił su-

rowo, — proszę przeczytać i oddać mi ten papier, — podał arkusz.

Wikary wziął, rozwinął, zbliżył się do okna i odczytał uważnie. Na spokojnej twarzy tylko lekkie drgania zdradzały wrażenie rozkazu. Arkusz złożył starannie i oddał proboszczowi, który z miną tryumfującą spytał:

— A co? — patrzał z uśmiechem złośliwym.

— Otrzymałem rozkaz imienny i będę mu posłuszny, — skłonił się chcąc wyjść.

— O, nie! Zaczekaj ksiądz! — rozwinął arkusz, — muszę cię pytać protokólarnie... Czy habit zrzucasz?

— Tak jest.

— Czy rozwiążesz bractwa?

— Rozkaz zabrania mi tworzenia bractw, ale nie każe rozwiązywać. Nie zrobię też tego, niech one same się rozwiążą.

— To jest przeciwne duchowi rozkazu.

— Pilnuję się ściśle litery.

— Dobrze, doniosę o tem nieposłuszeństwie... Czy zaprzestaniesz bałwochwalczych nabożeństw i śpiewów?

— O bałwochwalstwie niema w rozkazie, zaś co do zabronionych nabożeństw, usłucham.

— Zamkniesz kaplicę?

— Nie do mnie ona należy, lecz do parafian, co zrobią, nie wiem.

— Wyrzucisz z niej obraz?

— Nie, byłoby to świętokradztwem.

— Mięso jeść będziesz?

— Nie, bo szkodzi memu zdrowiu.

— Dobrze... a pieniądze za posługi kościelne będziesz ksiądz przyjmował?

— Ofiarę każdą przyjmę, ale targował się nie będę.

— Teraz ja księdzu powiem, — zawołał wzburzony, — wszystko co mówisz, są wykręty podyktowane ci przez szatana pychy. W rozkazie wyraźnie napisano, — czytał z arkusza: — »rozkazujemy, ażebyś w niczem się nie różnił od innych braci kapłanów, ani w życiu kościelnem, ani też prywatnem. Starsi kapłani powinni ci być przykładem, jak żyć należy na chwałę Boga i na wzór dla parafian...« Zważ dobrze, księże, te słowa, wyraźny tu rozkaz, ażebyś wstępował w moje ślady, jestem dla ciebie żywym przykładem.

— Ja obieram sobie jako wzór i przykład życie świętego Franciszka z Assyżu, a chyba ksiądz proboszcz ustąpi mu pierwszeństwa?

— Nie wykręcaj się sianem! Nie rzucaj mi piaskiem w oczy! — krzyczał rozgniewany, — patrzcie go, równa się ze świętym... to świętokradztwo!

— Nie równam się, chcę go tylko naśladować, o ile potrafię.

— Dość dysputy, rozkaz masz wyraźny i musisz stosować się do niego. Habit zrzuć dzisiaj, nabożeństw bałwochwalczych zaniechaj, będziesz stołował się u mnie, i brał pieniądze... I co za dziki pomysł z ochronką!? Czy nie lepiej użyć ich ofiarności na dobro kościoła? Usunąć wilgoć? Sprawić nowy ornat albo dzwon?

— Dzieci marnieją.

— Nie bój się, napłodzą nowych, im w to graj, tym grzesznikom... A do kaplicy nie chodź, już ja ją zamknę i obraz zabiorę, dość tego bałwochwalstwa.

— Czy mogę już wyjść?

— Idź! Przebierz się natychmiast i zastosuj się ściśle do rozkazu.

Chłopi pracujący przy ochronce, a było ich dużo,

słyszeli przemowę nielubianego Łukasza do wikarego i wzmiankę o rozkazie biskupa, to też widząc go wracającego do nich w sutannie, jęli pytać ze współczuciem, co się stało?

— Z rozkazu księdza biskupa zdjąłem habit.

Wiedziano też, że proboszcz zakązał nabożeństw i bractw, dopytywano się więc, czy i one są zakazane.

— Z rozkazu biskupa nie wolno mi brać udziału, modlić się będę w samotności na waszą intencyę.

— Ano, ksiądz wikary musi słuchać księdza biskupa, — odezwał się Kasper, — bo je duchowny chleb, ale nam żadna niewola.

Uradzono, że jak zwykle zbiorą się w kaplicy na różaniec i litanię. I tegoż wieczora ostentacyjnie obok plebanii, pobożnie śpiewając, udali się do kaplicy.

Oburzyło to niezmiernie proboszcza i schwyciwszy laskę, poszedł spiesznie za nimi. Dopadł ich w chwili, gdy Kasper otwierał drzwi, a przedarłszy się między ludźmi, stanął w kapeluszu na stopniach u wejścia i krzyczał:

— Precz stąd, wy bałwochwalcy, poganie...

— Kapelusz z głowy! — zawołał ktoś z tłumu.

— Kapelusz z głowy! Tu obraz cudowny!

— Łotry przebrzydłe, taki szacunek macie dla kapłana! Ziemia żywcem was pochłonie! Ogień spali wam zbiory!... Zniszczę, rozbiorę, spalę tę budę waszą, — uderzył laską o ścianę kaplicy.

W tej chwili podszedł do rozgniewanego proboszcza Słodownik, zdjął mu kapelusz mówiąc surowo:

— Nie godzi się przed cudownym obrazem.

Proboszcz oburzony zamierzył się laską na niego, lecz Kasper pochwycił laskę, a tłum, pchając się w drzwi

otwarte, odsunął na bok proboszcza, który nie mógł pojąć tego niesłychanego zuchwalstwa, patrzał osłupiały, wziął machinalnie podany mu kapelusz i w milczeniu wrócił do domu.

Zrozumiał proboszcz, że pomiędzy nim a parafianami nastąpił rozbrat, i że ci posunęli swą zuchwałość do tego stopnia, iż nie szanując powagi jego i godności, zdjęli mu kapelusz z głowy. Wszystkiemu winien był wikary, którego znienawidził z całego serca; postanowił też nie dopuszczać go do żadnych kazań, a samemu na sumie upomnieć naród i skłonić do posłuszeństwa biskupowi.

W niedzielę, na rannej mszy wikarego kościół był przepełniony, lecz gdy proboszcz wyszedł ze sumą, kościół opustoszał zupełnie. Prócz kilku dziadów i bab, nie było do kogo przemawiać.

Zawiadomił go też Łukasz, że chłopi postawili wartę przy kaplicy w obawie, że proboszcz zechce spełnić swą groźbę.

I wśród ciągłej walki, wzajemnych niechęci, wlokło się takie życie przez kilka miesięcy. Proboszcz obniżył ceny za posługi kościelne, mniej wymyślał i groził, ale parafian nie ułagodziły te ustępstwa i gorycz do proboszcza wzrastała.

Stosunek wzajemny dwóch księży, proboszcza i wikarego, był pełen niechęci i tajonej nienawiści. Proboszcz Marski wymagał surowo posłuszeństwa bezwzględnego, zawsze skłonny do podejrzenia i nieufności, wikary natomiast ulegał tylko pozornie, nie mogąc pogodzić swych zasad ewangelicznych z wymaganiami proboszcza. Mimo umartwień i modlitwy podnosił się w nim nieustannie bunt przeciw temu życiu, które zmuszony był prowadzić.

Nie przyczyniały się też do jego uspokojenia listy, które otrzymywał od braci Maryawitów, donoszące mu o licznych prześladowaniach ze strony biskupa i kleru.

W takich warunkach otrzymał depeszę od księdza Horodelskiego, ażeby przybył do miasta, gdzie mają się zjechać wszyscy bracia Maryawici.

Otrzymawszy pozwolenie proboszcza, pojechał, nie bez ukrytej nadziei zobaczenia się z Klarą.

XXIV.

Maryawici, posłuszni podpisanej deklaracyi, zebrali się nie u matki Bronisławy, lecz w jednej z większych sal hotelowych.

Gdy wikary wszedł na salę, zastał w niej około pięćdziesięciu braci Maryawitów, którzy go przyjaźnie przywitali. Dostrzegł jednak natychmiast wielką różnicę pomiędzy dawnem zgromadzeniem, pełnem swobody, zaufania i pewności siebie, a dzisiejszem.

Wyraz twarzy obecnych zdradzał niepokój, trwogę ukrywaną i podejrzliwość. W powietrzu zdawała się unosić groza zakazu biskupa i arcybiskupa.

Ksiądz Horodelski, zobaczywszy go, pospieszył z powitaniem serdecznem:

— Co u ciebie słychać, bracie Stanisławie, jesteś jednym z tych nielicznych, których zostawiono na miejscu? — prowadził go do stołu i wskazał miejsce obok siebie.

— Jestem w niewoli u mego proboszcza, — uśmiechnął się z goryczą, — zabrania mi naszych praktyk religijnych.

— Nie ty pierwszy, nie ostatni, — zaśmiał się ksiądz Szyszkowski, — wszyscy jesteśmy na indeksie; odebrano mi probostwo i zostawiono bez zajęcia.

— Przynajmniej wolny jesteś, bracie Antoni, — dorzucił ksiądz Redolski, — a mnie z proboszcza zrobiono wikarym u zaciekłego formalisty.

Wikary Kęcki rozejrzawszy się po sali spytał Horodelskiego:

— Bracie Pawle, nie zjechaliśmy się tak licznie jak poprzednio. Co za przyczyna?

— Nie widzę potrzeby ukrywać przed tobą tej przykrej prawdy, — odpowiedział Horodelski, — że wielu naszych braci po gromach biskupich wyrzekło się naszego zgromadzenia.

— Czas próby nadszedł, — dodał ksiądz Redolski, — ziarno lekkie i płone poszło z wiatrem.

Bracia Maryawici rozmawiali po cichu grupami, opowiadając sobie wzajemnie o przykrościach i prześladowaniach, jakie cierpieli od kleru. Wśród tej niemal szeptanej rozmowy, ksiądz Szyszkowski powiedział głośno do księdza Redolskiego:

— Mam pewne wiadomości, że ksiądz biskup przyjechał wczoraj z Rzymu, a na dziś przed południem zwołano na naradę całą kapitułę. Nie ulega żadnej wątpliwości, że będą o nas radzili, naturalnie bez nas... Bracie Pawle, zdaje się, że nie zbierze się nas większa ilość, czas zacząć.

Nastała głęboka cisza i spojrzenia wszystkich zwróciły się na księdza Horodelskiego, który z krzesła wstał, pobladł, ręką drżącą wyjął złożony arkusz papieru i przemówił wzruszony:

— Najmilsi bracia i przyjaciele, dotknął nas cios

straszny, któregośmy się najmniej spodziewali... U stóp Ojca Świętego, zastępcy Jezusa Chrystusa na ziemi, ufni w jego miłość i sprawiedliwość, złożyliśmy statuty naszego zgromadzenia i skargę na bezwzględny wyrok biskupów. Ojciec Święty przyjął nas bardzo łaskawie, obiecał wejrzeć w naszą sprawę.

— Do mnie powiedział, — przerwał ksiądz Redolski, — te słowa: »nie lękajcie się, musimy działać rozsądnie, nie możemy występować przeciwko biskupom«. Mów dalej, bracie Pawle!

— Byliśmy też najlepszej otuchy, nie wątpiąc w zwycięstwo ewangelii świętej nad pospolitemi oszczerstwami. Aliści, szatan siedmiogłowy, który obrał sobie siedlisko w sercach biskupa i arcybiskupa, obawiając się tryumfu Jezusa Chrystusa, poszepnął im, ażeby udali się do Rzymu i przeciwdziałali naszym pobożnym intencyom odrodzenia i oczyszczenia Kościoła świętego. Biskup nasz pojechał tam i tyle zdziałał swym wpływem, że święte officium wydało wyrok nietylko nam nieprzychylny, ale wprost wrogi.

Wśród zebranych księży podniosły się wyrazy przykrego zdziwienia, żalu i smutku.

— Już po nas!... Zginęliśmy... W jarzmo złego ducha nas wprzęgną!

Jeden z braci Maryawitów zawołał:

— Czy to tylko pewna wiadomość?

— Niestety, moi najmilsi, — westchnął Horodelski, — mam w ręku wyrok świętego officium.

— Odczytaj nam bracie! — zachęcił go jeden z obecnych.

Rozwinął arkusz i zaczął głosem, w którym drżał ból i oburzenie:

— Ustęp, który nas dotyczy, brzmi: co się tyczy kongregacyi Maryawitów, to ma ona być doszczętnie skasowana, z rozwiązaniem ślubów w jakikolwiek sposób przez nich składanych i z zakazem utrzymywania z niewiastą, zwaną matką Bronisławą, wszelkich stosunków, czy to osobistych czy piśmiennych.

Umilkł, a z rogu sali doszedł zgromadzonych rzewny płacz młodego brata Franciszka. To rozczulenie jego podziałało na innych, i ten i ów pokryjomu ocierał łzy.

— Czy wyrok ten wydano tylko na nas? — spytano Horodelskiego.

— Nie!... Pierwsza część jego odnosi się do matki Bronisławy.

— Czy wie ona o tem?

— Nie; dopiero dziś albo przeszlę, albo też odniosę osobiście.

— Cóż ją spotyka z wyroku?

— Bodaj surowsza kara, aniżeli nas, — powiedział z goryczą Horodelski.

— Jaka? Odczytaj! — zawołali ci i owi.

— Rozkaz do biskupa brzmi: Niewiastę, zwaną przez Maryawitów matką Bronisławą, niech przewielebny biskup usunie od wszelkiego przełożeństwa czy to nad księżmi, czy nad kobietami, należącemi do zgromadzenia zakonnego i niech ją zupełnie oddzieli, zabroniwszy stanowczo, ażeby pod żadnym pozorem do duchownego kierowania księżmi lub klerykami się nie wtrącała.

— Oddzieli, — rzekł zgorszony ksiądz Szyszkowski, — jednoznaczne z zamknięciem gdzieś w klasztorze na surową pokutę.

Podniosły się wykrzykniki zgrozy i oburzenia, a po-

tem nastała głucha cisza. Maryawici rozmyślali i zastanawiali się nad surowym wyrokiem.

— W tem naszem utrapieniu i boleści, — zaczął Horodelski, — widzę tylko dwie drogi wyjścia, albo rozwiązać się natychmiast i pójść w służbę Beliala i antychrysta, albo też wytrwać przy świętej ewangelii i przy Najświętszej Pannie Nieustającej Pomocy. Innego sposobu załatwienia tego sporu nie widzę. Módlmy się, bracia, ażeby oświecił nas Duch Święty i natchnął, co mamy czynić.

Ukląkł, a za nim wszyscy obecni i w sali słychać było szept gorących modłów i westchnień.

Po skończeniu modlitwy, przemówił Horodelski tonem serdecznym:

— Bracia, myśmy synami naszej dobrej i świątobliwej matki Bronisławy, a czyż synowie w dniach próby i żałości opuszczają swą matkę? Kto z nas chce pozostać wiernym ewangelii Jezusa Chrystusa i Przenajświętszej Pannie Nieustającej Pomocy, niechaj dziś o godzinie trzeciej przyjdzie do domu mateczki naszej.

Maryawici spojrzeli po sobie w milczeniu i niepewności. Bywania u matki Bronisławy zabronił biskup surowo, cóż tedy oznacza przemówienie Horodelskiego? Czy jawnie mają się sprzeciwić biskupowi, arcybiskupowi i papieżowi?

— Czy niema sposobu, moi bracia, — przemówił brat Franciszek, ten, który płakał, — pogodzenia się z Ojcem Świętym? To przecież rzecz straszna i zdrożna podnosić bunt przeciw stolicy apostolskiej?

Pytanie to sprawiło widoczną ulgę Maryawitom i po odpowiedź zwrócili się oczyma do Horodelskiego, a ten rzekł z wielką powagą:

— A kto nie bierze krzyża swego i nie naśladuje mnie, nie jest mnie godzien, rzekł Chrystus Pan... Bracia, niech każdy z nas zastanowi się w pokorze i skrusze nad pytaniem, co uczyniłby Chrystus Pan, będąc na naszem miejscu? sumienie wasze odpowie wam. Amen.

Po tych słowach wziął kapelusz w rękę i powiedział łagodnie:

— Bracia, kto wie, ilu z nas spotka się dzisiaj popołudniu ze sobą, przepędźmy te ostatnie chwile wesoło i swobodnie. Zamówiłem w tej restauracyi skromny, maryawicki obiad i zapraszam was serdecznie. Przejdźcie do pobocznych pokojów, każę tu nakryć i podać.

W czasie obiadu nikt nie poruszył sprawy zebrania się u matki Bronisławy, jakkolwiek wszystkich zaprzątała, opowiadano sobie natomiast o zatargach z przełożonymi i władzą.

Kęcki, który miał w pamięci Klarę, dowiedziawszy się o rozkazie usunięcia matki Bronisławy, pilnował Horodelskiego i wyszedł razem z nim na miasto.

— Bracie Pawle, czy zakonnice, Klaryski, zostały wymienione w dekrecie?

— Tak jest. Istnienie tego zakonu zależy w zupełności od biskupa. Zostawiono mu władzę nieograniczoną.

— To smutne, — westchnął wikary, — jeśli nasze zgromadzenie rozwiązał, nie zawaha się biskup rozpędzić zakonnice.

— Takie i moje zdanie. A dlaczego pytasz, bracie Stanisławie?

— Wstąpiła do zakonu zacna i czysta dusza, córka Szybickiego, i troszczę się o jej los.

— Szybickiego? — zdziwił się Horodelski, — czy brałeś w tem udział?

— Znikomy bardzo. Ona sama czuła się powołaną do zakonnego życia.

— Cóż Szybicki na to?

— Nie widziałem go po wyjeździe córki.

W oznaczonej godzinie poczęli się schodzić księża Maryawici do sali w domu zakonnym matki Bronisławy. Wchodzili smutni, przygnębieni, nieswoi. Każdy obliczał ilość zgromadzonych i z niepokojem wypatrywali nowych przybyszów, którzy zwolna ściągali.

Około godziny czwartej było obecnych trzydziestu trzech braci Maryawitów.

Weszła matka Bronisława, spokojna, łagodna, jak zwykle, tylko na twarzy widać było ślady świeżo przeżytych cierpień. Pozdrowiła obecnych słowem bożem, usiadła i przemówiła:

— Wiecie, moi dobrzy bracia, jaki wyrok wydano na was i na mnie... Nie było to dla mnie niespodzianką, przygotowałam się modlitwą i postem na korne przyjęcie tego nieszczęścia. Panowanie antychrysta zaczęło się i godzi w nas pierwszych, jako posłanników ewangelii świętej. Wśród proroctw o przyjściu antychrysta i Rzymie, jako stolicy jego, wspomnę papieża Grzegorza Wielkiego, który zapowiedział, że antychryst będzie miał do swego rozporządzenia całą armię kapłanów. A któż inny ma tak olbrzymią armię kapłanów, jak nie papież? A nawet dzisiejszy papież w pierwszej· encyklice swej obwieścił światu, że syn zatracenia już żyje i działa na świecie... Milszy mi jest Chrystus Pan, aniżeli życie, aniżeli dobra sława; chętnie, z radosnem sercem zniosę

wszelkie męki i prześladowania dla świętego imienia Chrystusa...

— A cóż nam radzisz matko? — spytał brat Jan Grzywak, — nie zostaw nas bez odpowiedzi w tak ciężkiej chwili.

— Was bracia, ani nakłaniam, ani proszę, ani żądam, ażebyście szli drogą, którą wybrałam. Czyż sądzicie, że mnie, słabej, ułomnej niewieście łatwo przyszło być nieposłuszną mej władzy zwierzchniczej? Ale, mając do wyboru służbę u antychrysta z wiecznem zatraceniem duszy, albo cierpienie dla miłości Chrystusa, wybrałam Chrystusa i niech Bóg sprawiedliwy rozsądzi pomiędzy mną a moimi zwierzchnikami.

Milczeli zamyśleni, zaniepokojeni, czuli, że w tej chwili stoją na progu nowego życia, pełnego trosk i męki.

— Bracia! — odezwał się niespodziewanie wikary Kęcki, — wyznam wam szczerze, że gdyby szło tylko o mnie, przeraziłbym się biskupów i papieża. Ale pomnijcie, że tu idzie o zbawienie tylu ludzi, całego narodu! Sam papież ogłosił światu, że syn zatracenia, antychryst, żyje i działa: czy godzi się nam, kapłanom, oddać dusze nieśmiertelne całego narodu na męki piekielne, gdy mamy w ręku środek uratowania dusz i zbawienia tychże? Ja, zostaję wierny ewangelii i moim ślubom.

— I ja!... I ja!... — odezwały się liczne głosy.

— Kto z was, bracia, zostaje z Chrystusem, niech ukląknie i błaga Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy o błogosławieństwo dla naszego zgromadzenia i naszej pracy ewangelicznej, — zawołał Horodelski i ukląkł.

Wszyscy obecni uczynili to samo, nikt nie opuścił sali.

— Jako zakonnicy pierwszej reguły świętego Franciszka z Assyżu, — zaczął Horodelski, gdy podnieśli się z klęczek, — my, jako pierwsza kapituła generalna, musimy obrać, stosownie do reguły zakonnej, ministra generalnego.

— Ty bądź nim, bracie Pawle, — zawołał gorąco ksiądz Szyszkowski, co inni powtórzyli z zapałem, radzi, że ukończyły się wahania i wątpliwości.

— Przyjmuję bracia ten ciężki i odpowiedzialny urząd. Zanim naradzimy się nad szczegółami naszego związku, podam wam bracia zamysły moje. Rozważycie je wolnym czasem, a ostatecznie zatwierdzi lub odrzuci przyszła kapituła. Czy chcecie mnie wysłuchać?

— Mów bracie!

— Wierzymy w to wszystko, w co wierzy Kościół katolicki, a opieramy się tylko na synodach, nie zaś na encyklikach papieskich. Stosownie do dziejów apostolskich, wierni biorą czynny udział w obiorze kapłanów. Kler sam nie stanowi Kościoła, lecz wspólnie z wiernymi, ażeby stanowili jedną duszę i jedno serce. Czynne i żywe uczestnictwo wiernych osiągniemy, gdy wprowadzimy jako język liturgiczny w miejsce niezrozumiałej łaciny język polski. To są wytyczne punkta, rozwinięcie ich, uzasadnienie i pomniejsze szczegóły przekazuję, jako minister generalny, przyszłej kapitule. Czy zgadzacie się bracia?

— Zgadzamy!

— Jeszcze jedno, — zawołał Horodelski, — doświadczyliście bracia, jak błogie skutki na lud wywarło szerzenie zasad ewangelicznych. Ustały swary, ustały grzeszne nałogi, zapanowała miłość i życie cnotliwe. Nie ustawajmy w pracy, bo zbliża się Królestwo Boże. Wpro-

wadzenie zasad ewangelicznych w życie nietylko dusze oczyszcza i podnosi, ale zaprowadza ten ład społeczny, o który tak ciężkie i nadaremne walki toczą się teraz na świecie całym. Oto wśród naszych parafian powstały już liczne ochronki, a powinny powstać przytułki dla chorych i niedołężnych, czytelnie, szkoły, sklepy. Utwierdzając lud w zasadach ewangelicznych, podnośmy go kulturalnie i ekonomicznie, rozszerzajmy przemysł domowy, bo tylko ludzie niezależni ekonomicznie znajdą dość czasu na doskonalenie swej duszy i będą w stanie przetrzymać ucisk i prześladowanie.

— Bracie Pawle, — spytał ksiądz Orzelski, — czy wymawiamy posłuszeństwo biskupowi?

— Nie, my pierwsi nie wyłączajmy się ze związku z dzisiejszym Kościołem. Nieugięci w naszych zasadach, czekajmy wśród naszych ukochanych parafian, póki nas siłą nie zmuszą do ustąpienia... a lud nam wierny pójdzie za nami.

* * *

Proboszcz Marski zdziwił się nieprzyjemnie, gdy spotkał wikarego po powrocie z miasta.

Twarz wikarego, dawniej chmurna, cierpiąca, z oczami przygasłemi, nabrała znów blasku młodości i zdrowia. Wesoło i swobodnie spełniał swe obowiązki, zajmował się gorliwie ochronką, uczył dzieci, a dla starszych miewał odczyty.

W sobotę otrzymał proboszcz z poczty list w dużej, urzędowej kopercie z konsystorza, i tak go to zaciekawiło, że przerwał sobie obiad, ażeby list odczytać.

Blińska nie spuszczała oczu z twarzy proboszcza,

a widząc, że rozjaśniła się w uśmiechu, była niezmiernie ciekawa nowych wiadomości.

Proboszcz złożył list starannie, schował do koperty i rzekł z uśmiechem:

— Nareszcie namyślili się, a czas był najwyższy ukarać przykładnie tych zuchwalców i bluźnierców.

— Kogo brat dobrodziej ma na myśli? — spytała z miną skromną.

— To do ciebie nie należy... podaj mi sosu, ta cielęcina mdła jakaś.

— Może podać korniszonów, — gotowała się do wstania.

— Nie! Wiesz, że mi szkodzą, z wyjątkiem sosu korniszonowego, ale o tem nie pomyślałaś... daj mi wina, ten list wart tego, — uderzył dłonią po kopercie.

Za chwilę przyniosła butelkę, a proboszcz w dowód łaski i dobrego humoru zaprosił i ją na kieliszek.

— Teraz mam pewność, — zaczął proboszcz, — że albo poprawię wikarego i zrobię podobnym do ludzi, albo też dyabli go stąd wezmą.

— Daj to Panie Boże, — westchnęła pobożnie, — uspokoi się brat dobrodziej i wieś przestanie się buntować. Byle tylko nadzieje brata się spełniły!

— Kiedy mówię, że tak, to tak. Mam nad nim władzę prawie biskupią i teraz nie pomogą mu żadne wykręty.

— Chwała ci Panie! — uśmiechnęła się.

— Jutro na sumie posłyszysz, dziś nic ci nie powiem.

Blińska powiedziała zaraz Łukaszowi, że jutro rozstrzygnie się los wikarego, ten powtórzył żonie i kumom

i już na rannej mszy rozeszła się wśród wiernych wiadomość, iż na dzisiejszej sumie zajdzie coś niezwykłego.

Jeden tylko wikary nic nie wiedział, ani się domyślał, cały bowiem ranek przepędził w konfesyonale, słuchając spowiedzi.

Kościół był nabity, że nawet wikary się zdziwił i przyszła chwila kazania. Wstąpił proboszcz na ambonę, pozdrowił obecnych słowem bożem i ku ich zdziwieniu wyjął z bocznej kieszeni list wczoraj otrzymany i rozwinąwszy go, czytał wśród głębokiego milczenia wiernych:

— Przestroga pasterska do ludu wiernego, którą wczoraj otrzymałem, brzmi: »Ludu katolicki, posłuchaj głosu mego! Odzywam się do ciebie, ja, prawowity i prawowierny pasterz i ojciec. Kapłani niektórzy, poddawszy się całkowicie wpływom pewnej niewiasty, wbrew dekretowi świętego officium i zbawiennym przestrogom władzy dyecezyalnej, aby się poprawili, nie zaprzestali złego nauczania i postępowania, ale gorszą wiernych kłótniami z władzą swoją«, — przestał czytać i objaśnił: — jak tutaj z proboszczem... — »głoszą błędną naukę o eucharystyi, o pokucie, szerzą zakazane bractwa i cześć bałwochwalczą dla niby to cudownego obrazu, znoszą się z oną niewiastą i słuchają jej rad. Wzywam tedy księdza proboszcza« — to znaczy mnie — »ażeby publicznie, w świątyni, w obliczu wiernych zażądał wyprzysiężenia się tychże błędów od wikarego, księdza Kęckiego Stanisława«.

Wśród wiernych odezwały się liczne westchnienia, jęki i płacze niewieście ze współczucia dla wikarego, który stał w pobliżu ołtarza, blady jak płótno i nie spuszczał oczu z proboszcza.

— Księże wikary Kęcki! — zawołał surowo pro-

boszcz, — czy wyrzekasz się błędnej nauki o eucharystyi przenajświętszej?

W kościele nastała ogromna cisza, a wśród niej przemówił wikary jasnym, dźwięcznym głosem:

— Nie mogę się jej wyrzec, gdyż nie znam błędnej nauki i nie szerzę jej.

— Zważ księże, — poczerwieniał proboszcz, — że mówisz do twego przełożonego, który może cię ukarać. Czy będziesz szerzył bractwa adoracyi?

— Będę.

— Czy wyrzekasz się czci bałwochwalczej dla obrazu?

— Nie.

— Czy wyrzekasz się onej niewiasty, prowadzącej ciebie i tobie podobnych na bezdroża duchowne?

— Nie.

— Wzywam was tedy tu obecnych na świadków, — mówił proboszcz gniewnie, — że ksiądz wikary nie odwołał swych herezyi, ale zatwardziały grzesznik i bluźnierca trwa w nich. Na mocy nadanej mi władzy przez księdza biskupa, zawieszam go we wszelkiej czynności duchownej; obrządki i posługi religijne udzielane przez niego są nieważne, a tobie, przeklęty heretyku, rozkazuję, zdejm szaty kapłańskie, których nie jesteś godzien i wynoś się z tej świątyni i parafii.

W kościele rozległy się jęki, płacze, odgrażania proboszczowi i pomruki niechętne.

Wikary zdjął szaty liturgiczne, wstąpił na schody ołtarza i przemówił dobrym, pokornym głosem:

— Najmilsi bracia i siostry, głosiłem wam słowa świętej ewangelii, słowa miłości i przebaczenia boskiego naszego nauczyciela, Jezusa Chrystusa. Nie podobało się

to mej władzy, wyrzucają mnie z Kościoła, niech im to Bóg przebaczy. Zostały mi jednak wasze serca, i kto z was jest wyznawcą Jezusa Chrystusa, jego miłości i przebaczenia, ten pójdzie za mną.

I podobnie jak wpierw poszli wszyscy na poświęcenie kaplicy, tak i teraz wszyscy wyszli za wikarym. Został tylko oszołomiony tym wypadkiem proboszcz, Blińska rozpłakana i zdziwiony zuchwalstwem Łukasz.

— Zamknij kościół! — zawołał proboszcz schodząc z ambony.

Łukasz z kluczami w ręku poszedł do głównych drzwi, lecz równocześnie przy wejściu zjawiło się pięciu gospodarzy, a Kasper Sas, biorąc Łukasza za rękę, rzekł głosem stanowczym:

— Oddaj klucze naszego kościoła.

— Nie dam, — silił się wyrwać.

— Dasz! — zawołał Słodownik chwytając za klucze.

Szarpanina trwała bardzo krótko, klucze były w ręku Słodownika, który oddał je Kasprowi i w pięciu podeszli do zgorszonego proboszcza.

— Wzięliśmy klucze od naszego kościoła, — przemówił Kasper, — zatrzymujemy księdza wikarego i on będzie naszym proboszczem.

— Żywcem robaki was stoczą za takie świętokradztwo! Oddaj klucze!

— Nie dam. I niech ksiądz proboszcz opuści nasz kościół, a co do plebanii, to dopiero zapadnie uchwała gromady.

I nie czekając odpowiedzi poszli w pięciu, zamknęli drzwi główne, poczem stanęli w zakrystyi i czekali, póki proboszcz nie wyjdzie.

Próżne były prośby i groźby proboszcza, chłopi nie ustąpili.

* * *

Mijały dnie, miesiące...

Ze związku braci Maryawitów wyrosła sekta wyklęta przez Kościół rzymsko-katolicki, następnie wyznanie, uznane i uprawomocnione przez rząd państwowy.

Ksiądz Stanisław Kęcki, niegdyś wikary, dziś proboszcz gminy wyznaniowej Kościeńca, przyjechawszy do miasta, szedł chmurny i stroskany ulicą obok klasztoru sióstr Maryawitek. Ponad mur zasłaniający zabudowania klasztorne wyrastały drzewa owocowe osypane kwieciem, skąpane w promieniach słońca wiosennego, a cisza ulicy dozwalała słyszeć rojne brzęczenia pszczół i wesoły świergot ptactwa.

Przed oczyma przesunął mu się obraz Klary, pełnej entuzyazmu i poświęcenia dla pracy ewangelicznej, przekonanej, że tylko przez odrodzenie Kościoła spłynie na ludzkość szczęście i spokój.

Przed furtą przystanął, wyciągnął już rękę do dzwonka, i cofnął się, bo nie znalazł w myśli nic takiego, co mogłoby Klarę ucieszyć i rozweselić.

Szedł dalej krokiem zmęczonego człowieka, aż przystanął przed domem, jednym ze wspanialszych w mieście.

Zadzwonił do bramy i pozdrowiwszy odźwiernego spytał:

— Czy zastałem księdza biskupa Horodelskiego?

— Jest w domu, ale czy zechce przyjąć, nie wiem.

— Tak bardzo zajęty?

— Od samego rana jest ksiądz biskup koadjutor

Szyszkowski u najprzewielebniejszego księdza biskupa na konferencyi, ale niech ksiądz proboszcz spyta.

Kęcki z gorzkiem westchnieniem wszedł na pierwsze piętro, gdzie mu lokaj wskazał ładnie i wygodnie urządzoną poczekalnię, a sam poszedł zameldować gościa.

Za chwilę wrócił oznajmiając:

— Najprzewielebniejszy ksiądz biskup zajęty, a jeśli ksiądz proboszcz ma ważny interes, powiedział, żeby tu zaczekał, lub też udał się do księdza sekretarza.

— Zaczekam, — usiadł na fotelu i przeglądał pisma rozłożone na stole.

Od czasu wikaryatu u proboszcza Marskiego, twarz księdza Kęckiego znacznie się zmieniła. Mimo, że nie miał jeszcze trzydziestu lat, zmarszczki widniały na czole, jak po ciężkiej i utrudzającej pracy myślowej. Około ust był wyraz goryczy, a oczy niegdyś pełne zapału i ognia stały się smutne i malowała się w nich obawa.

Minęło dobre pół godziny oczekiwania, gdy z dalszych pokojów wszedł do poczekalni ksiądz Jan Grzywak, a zobaczywszy siedzącego Kęckiego przyspieszył kroku i zawołał z rozjaśnioną twarzą:

— Dzień dobry Stachu, — wyciągnął rękę, — jakże się cieszę... przepraszam cię, że tak długo sam czekałeś, ale byłem bardzo zajęty.

Ksiądz Kęcki spojrzał na witającego chłodnemi oczyma, ledwie uścisnął podaną rękę i spytał:

— Czy ksiądz biskup raczy mnie przyjąć? — uśmiechnął się ironicznie, — czekam dość długo.

— Przysłał mnie właśnie do ciebie, — mówił trochę zmieszany, — i pyta, czy przyszedłeś w sprawie administracyjnej?

— Nie!... w osobistej i dla mnie bardzo ważnej.

— Możesz mi powiedzieć w jakiej?

— Nie!

— W takim razie zaczekaj chwilę, pójdę go uwiadomić.

Po pewnym czasie wrócił i rzekł z progu dalszego pokoju:

— Ksiądz biskup kazał cię prosić.

Wszedł do obszernego salonu oświetlonego dwoma oknami. Przez otwarte drzwi balkonowe widać było ulicę i część miasta niżej położoną.

Na fotelu, przy biurku siedział ksiądz biskup Paweł Horodelski z miną poważną i surową. Przeglądał papiery zwrócony twarzą do siedzącego na krześle księdza biskupa koadjutora Szyszkowskiego. Obaj w habitach maryawickich.

Na szmer wejścia biskup Horodelski spojrzał na wchodzącego i uśmiechnął się przyjaźnie:

— Witaj, bracie Stanisławie! Podobno masz do nas ważną sprawę osobistą... mów!

Kęcki lekko przybladł i po chwili zaczął niepewnie:

— Przyszedłem z prośbą o zwolnienie mnie ze ślubów maryawickich.

Obaj dostojnicy poruszyli się niespokojnie, a biskup Horodelski z oczyma i miną inkwizytora rzekł surowo:

— Dziwne są twoje słowa i wielce nieopatrzne, co one mają znaczyć? Zastanów się dobrze mój bracie i zważ do kogo przemawiasz.

— Wiem z kim mówię, — spojrzał wzgardliwie po ładnych meblach, po dywanie i obrazach, — a ile męki i żalu kosztują mnie te słowa, sam tylko Bóg wie.

Nie mogłem jednak dłużej milczeć, za wielki to był ciężar na moje siły.

Biskup i jego towarzysz patrzyli badawczo na księdza Kęckiego, w którego twarzy i głosie łatwo było odczuć surową zawziętość. To niespodziewane wypowiedzenie posłuszeństwa nietylko zdumiało Horodelskiego, ale trochę przeraziło. Kęcki znany był ze swoich przekonań, z dobroci i poświęcenia. W dniach najgroźniejszych prześladowań wytrwał on niezłomnie przy Maryawitach.

— Bracie Stanisławie, — przemówił bardzo łagodnie i uprzejmie biskup, — powierz naszemu sercu twe troski i cierpienia, zrobi ci to ulgę i może zdołamy ukoić niepokój twej duszy.

— Tylko jeden Chrystus Pan mógłby zesłać spokój na moją duszę i uciszyć moje sumienie, ale snać nie jestem tego godzien, póki nie wychylę całego kielicha goryczy.

— Bracie Stanisławie, — odezwał się ksiądz koadjutor Szyszkowski, — siadaj i rozmów się z nami szczerze, jak przystało na brata Maryawitę.

— Mogę to samo zrobić stojąc, nie myślę ukrywać powodów, które mnie zmusiły do tego stanowczego i nieodwołalnego kroku.

— Mów! — i wpatrzeni w niego słuchali słów wypowiadanych głosem śmiałym, w którym od czasu do czasu drgała struna bolu i cierpkiego rozczarowania.

— Złamaliśmy karność kościelną, naraziliśmy się na wyklęcie i prześladowania, powodowani tem przekonaniem, że rozszerzając prawdziwą naukę ewangelii, sprowadzimy na ziemię królestwo boże, królestwo miłości

i przebaczenia, braterstwo wszystkich ze wszystkimi. Czy nie tak, księże biskupie?

Horodelski spochmurniał i mruknął niechętnie:

— Co to ma znaczyć?

Kęcki nie odpowiadając na pytanie, wyprostował się, na bladej twarzy wystąpiły rumieńce i mówił silnym głosem:

— A teraz spojrzyjmy na nasze czyny i ich następstwa...

— Bracie Stanisławie, — przemówił Horodelski, — patrzysz zbyt czarno na świat i ludzi. Tak źle nie jest... Dzieło nasze, odrodzenie Kościoła katolickiego, rośnie i rozwija się ku większej chwale Pana Boga.

— Przypomnij sobie, bracie Stanisławie, — dodał ksiądz Szyszkowski, — ilu nas było przy początkach odrodzenia, a ilu nas jest dzisiaj? Czy to nie jest widoczny cud i opieka Najświętszej Panny?

Około ust księdza Kęckiego przewinął się gorzki uśmiech, podniósł spuszczone oczy i rzekł:

— Nie łudźmy się... Wzniosłe nauki ewangelii, boskie hasło miłości Chrystusowej, stały się dla nas, podobnie jak dla katolików, pustymi dzwonami. Uderza się w nie w uroczystych chwilach, ażeby tem jaskrawiej ich czysty dźwięk wyróżniał się wśród samolubstwa, kramarstwa i wojny wszystkich przeciw wszystkim. W tej hipokryzyi, w tej rozterce ducha, dłużej nie wytrwam i nie chcę żyć... Uważam sobie za obowiązek postąpić z wami szczerze i otwarcie. Od tej chwili nie jestem już Maryawitą i żegnam panów, — skłonił się i miał wyjść, lecz zatrzymał go głos księdza Szyszkowskiego:

— A czy pomyślałeś bracie o swej parafii? Czy godzi ci się opuścić tych wiernych?

— Uprosiłem księdza Szklarka, ażeby mnie zastąpił do czasu, póki ksiądz Horodelski nie naznaczy proboszcza.

W jasnej sali, przepełnionej zapachami kwiatów, zapanowało głuche milczenie. Do uszu siedzących dochodziły odgłosy kroków oddalającego się księdza Kęckiego, a gdy umilkły, powiedział posępnie Horodelski:

— Nigdy nie przypuszczałem, że on będzie pierwszy!

Ksiądz Szyszkowski, z głową spuszczoną, nie podnosząc oczu, westchnął głęboko:

— Daj Boże, żeby był ostatni!

KONIEC.